

**MIKAL GILMORE**

# STRZAŁ W SERCE

*Z angielskiego przełożył Jacek Łaszcz*

*LiBROS*

*Grupa Wydawnicza Bertelsmann Media*

*Tytuł oryginału SHOT IN THE HEART*

*Redaktor prowadzący Ewa Niepokólczycka*

*Redakcja*

*Mirosław Grabowski*

*Redakcja techniczna Alicja JabtońskaChodzeń*

*Korekta Tadeusz Mahrburg*

*Copyright © 1994 by Mikal Gilmore All Rights Reserved*

*© Copyright for the Polish translation by Jacek Łaszcz, 2002*

*Bertelsmann Media Sp. z o.o.*

*Libros Warszawa 2002*

*Skład łamanie FELBERG*

*Druk i oprawa GGP Media, Pößneck*

*ISBN 83-7311-250-2 Nr 3384*

*Memu bratu, Frankowi Gilmore'owi juniorowi. To on pomógł mi przeżyć trudy  
tej opowieści.*

## PROLOG



To, co umarło, wraca.

Robert Frost

S R N

*Miałem straszny sen.*

*W tym śnie zawsze jest noc. Znajdujemy się w domu mojego ojca - smoliście brunatnym, w stylu lat pięćdziesiątych. W takim krytym dachówką jednopiętrowym budynku, wystawionym na wszelkie kaprysy pogody, gdzieś na peryferiach zapadłego amerykańskiego miasta, między światłami nocy i dymiącymi kominami wielkich zakładów przemysłowych. Skąpany w księżycowym blasku tor kolejowy oddzielał dom od lasu, dokąd surowo zabroniono mi wstępować. W nocy z tego snu słychać było odległy gwizd, zapowiadający przyjazd osobowego z dalekiego świata. Jednak z jakichś względów żaden pociąg nie nadjeżdżał. Słychać było tylko ten gwizd.*

*Jacyś ludzie wchodzili do domu i z niego wychodzili, przesuając się między ciemnością na zewnątrz a ciemnością wewnątrz. Ci ludzie to moja rodzina, we śnie wszyscy przybywają z niebytu. To moja matka, Bessie Gilmore: wiodła życie pełne goryczy, odarte przez jej ojca i męża z miłości i nadziei, i umarła podczas krwotoku, wołając z ciemności, której tak bardzo się bała, obu tych mężczyzn i błagając ich o zmiłowanie. To mój brat Gaylen: umarł młodo od starych ran, a świeżo poślubiona żona siedziała u jego wezglowia, trzymając go za rękę i patrząc, jak życie uchodzi z zapadłej twarzy. To mój brat Gary: zabił niewinnych ludzi w porywie wściekłego buntu przeciw temu życiu, które pozbawiło go tylu szans i tylu miłości; umarł, gdy karabinowa salwa rozdarła jego udręczone serce. To mój brat Frank: wyciszał się w sobie i oddalał z każdą nową śmiercią; widziano go ostatnio, gdy*

*przechodził drogą w pobliżu nocnego domu ze snu, z rękami w kieszeniach i tym niepojętym wyrazem bólu ściągającym mu twarz. I mój ojciec, Frank senior, który umarł stoczony przez raka. Ze wszystkich członków rodziny on pojawiał się w tym śnie ostatni, a gdy tylko nadchodził, moje poczucie winy gdzieś znikало, zawsze tak się cieszyłem na sam jego widok, i tylko wtedy, gdy on się zjawiał. Bo w tym śnie było podobnie jak w życiu: zawsze zachodziła obawa, że ojciec wybuchnie niepowstrzymanym gniewem i zniszczy zbyt wiele, by rodzina mogła dalej trwać, że znajdzie jakiś sposób, by zabić tych, którzy już od dawna byli martwi, zbyt drogo płacąc za tę schedę. Gdy tylko się zjawiał, następował punkt zwrotny snu: ojciec mógł się przekonać, że to on jeden jest lekiem na wszelką gorycz, na całą złą krew, że przez niego wracamy ku śmierci. Leż, tato, w pokoju, mówiliśmy. Pozwól znów się pochować.*

*I wreszcie ja sam. Przyglądałem się w tych snach mojej rodzinie, zawsze zuyprany z poczucia braterstwa, jakby toczyła się tu jakaś walka o miłość i przynależność - walka, którą zawsze przegrywałem. Obserwowałem tylko, jak moi bracia wchodzą i wychodzą. Spoglądałem przez okno i widziałem, jak się poruszają w ciemności tam na zewnątrz, przechodzą przez krzaki i przez podwórko, kierując się ku podjazdowi. Patrzyłem na samochody przejeżdżające przez tor kolejowy. Patrzyłem, jak otwierają drzwi i zabierają moich braci, a potem przywożą ich z pozurotem, i wiedziałem, że oni podążają do tego przestępczego świata i wracają stamtąd, a ja nie mogłem się stać jego częścią, bo z jakichś względów nie potrafiłem opuścić domu.*

*Potem, pewnej nocy, kiedy ten sen powtarzał się już od lat, Gary powiedział mi, dlaczego nigdy nie mogłem towarzyszyć członkom rodziny, gdy wychodzili z domu i do niego powracali, dlaczego siedziałem sam w pokoju, gdy oni byli na zewnątrz: to dlatego, że nie przekroczyłem jeszcze progu śmierci. Nie pójdę za nimi przez tory, do lasu, gdzie toczyło się ich prawdziwe życie, dopóki nie umrę. Wyciągnął broń z kieszeni kurtki. Położył mi ją na kolanach, po czym skierował się do drzwi i wyszedł w noc. Dostrzegłem błysk szyn, za nimi była moja rodzina.*

*- Do zobaczenia w mroku - powiedział.*

*Nie zuahałem się. Wziąłem pistolet. Wsadziłem lufę w usta. Pociągnąłem za spust. Uczułem, jak rozsadza mi tył głowy. To było znacznie łagodniejsze, niż mogłem się spodziewać. Poczulem, jak zęby łamię się i kruszę, wypływając z ust w strudze krwi. Poczulem, jak wraz z nią uchodzi ze mnie życie, i w jednej chwili zapadłem się w nicłość. Była tam ciemność, ale już nie poza mną. Już nic nie było poza mną, jeszcze te nagłe, szybkie skurcze konającego ciała. Wiedziałem, że to, co czuję, to śmierć - to znaczy wiedziałem, jak musimy się czuć, gdy śmierć przychodzi naprawdę, i wiedziałem, że to jest tam, gdzie kończę*

*się nasze możliwości.*

*Śniłem ten sen niejedyn raz, w wielu odmianach. I zawsze w tym momencie się budziłem, serce kołatało mi mocno, jakby chciało się do mnie przedrzeć z tej pustki, gdzie były, wiem to, wrota ocalenia mojej spustoszonej rodziny. Czy były to wrota piekieł? Chciałem wrócić do tego snu, lecz w tych strasznych godzinach nocy nie było już drogi powrotu. Jest opowieść, którą muszę z siebie wysnuć. To opowieść o zabójstwie ciała i zabójstwie ducha, o nienawiści i karze. To opowieść o tym, jak rodzą się te zabójstwa, jak nabierają kształtu i kierują naszymi działaniami, jak zmieniają nasze życie, jak spadek po nich wsącza się w świat i zdarzenia wokół nas. I jest to też opowieść o tym, jak wygasa ta żądza gwałtu i mordy - jeśli w ogóle wygasa.*

Znam dobrze tę opowieść, ponieważ tkwiłem w niej. Przez całe życie obracałem się w kręgu jej przyczyn i skutków, szczegółów i niezatartych nauk. Znałem umarłych z tej opowieści, wiem, dlaczego zadawali innym śmierć i dlaczego szukali jej w sobie. I jeśli kiedykolwiek mogę żywić nadzieję, że opuszczę to miejsce, muszę wyznać, co wiem.

Zaczynam.

Jestem bratem kogoś, kto zabił niewinnych ludzi. Nazywa się Gary Gilmore i stał się jedną z największych postaci galerii przestępców współczesnej Ameryki. Ale nie o jego zbrodnię tu chodzi, ów przyczynek do złej sławy - te bezsensowne zabójstwa dwóch młodych mormonów, dokonane noc po nocy w lipcu 1976 roku. Gary'ego uczyniło sławnym jego dążenie do poniesienia za to kary. Do zabójstw tych doszło niedługo po tym, jak Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych utorował drogę do przywrócenia kary śmierci, a stan Utah, gdzie je popełniono, był jednym z pierwszych, które uchwaliły stosowną regulację prawną. Ale od przywrócenia kary śmierci do jej wykonywania droga daleka. Kiedy je - sienią 1976 roku wydano wyrok na Gary'ego, w Ameryce od ponad dziesięciu lat nie wykonywano egzekucji i mimo tej nowej regulacji kraj nie miał wielkiego nabożeństwa do zgodnego z prawem rozlewu krwi. Wszystko to zmieniło się wraz ze sprawą Gary'ego Gilmore'a.

1 listopada 1976 roku Gary nie skorzystał z prawa wniesienia apelacji od wyroku i upierał się przy jego wykonaniu, dążąc do wyznaczenia terminu egzekucji. Wzniecił tym natychmiast ogólnonarodową dyskusję i przez następne kilka miesięcy niemal każdego dnia i nocy jego nazwisko pojawiało się w nagłówkach najważniejszych wiadomości. Były spory, odroczenia, intrygi; była nawet historia miłosna. Ale przez cały ten czas Gary podtrzymywał zacięłą i niezłomną w^olę śmierci - próbował nawet dwukrotnie wymierzyć ją sobie z własnej ręki - i postawił przez to stan Utah i obrońców kary śmierci w kłopotliwej, nieoczekiwanej sytuacji. Uczynił z nich już nie tyle sprzymierzeńców, ile wręcz przekształcił

ich w swoje służki, które miały go zabić na jego prośbę, aby dopasować się do jego idealnej miary zniszczenia i odkupienia. Upierając się przy własnej egzekucji - i w rezultacie uruchamiając maszynę prawną, która miałaby doprowadzić do jej wykonania - Gary zdawał się mówić: „Niczego naprawdę nie możecie zrobić, żeby mnie ukarać, ponieważ ta kara jest tym, czego ja sam chcę, to moja własna wola. Pomóżcie mi więc tylko w tym ostatnim zabójstwie<sup>77</sup>”.

Państwo znienawidziło Gary'ego; nie z powodu jego zbrodni, lecz dlatego, że w swej niewiarygodnej pysze wymyślił metodę, która zapewniała mu wygraną, znalazł sposób ucieczki.

Tę część opowieści wiele osób już zna. Był to stały temat największych międzynarodowych serwisów informacyjnych w ciągu kilku miesięcy 1976 i 1977 roku, a potem także przedmiot popularnej książki Normana Mailera i opartego na niej filmu telewizyjnego *Pieśń kata*. Jeśli czytaliście tę książkę lub oglądaliście film, wiecie, że historia Gary'ego trwała jeszcze parę miesięcy. Znaście nadzieje, które zawiódł, miłość, którą zagubił, i samozaparcie, które odnalazł. Nie jest natomiast powszechnie znane i nigdy nie ujrzało światła dziennego to, co legło u źródeł gwałtowności Gary'ego - prawdziwa historia mojej rodziny oraz okoliczności, w jakich się mrocznych sekretów i niespełnionych nadziei doprowadziła do owego dziedzictwa, które przynajmniej po części stało się siłą napędową pchającą mego brata do zbrodni.

Ten fragment historii nigdy nie został opowiedziany, z tego prostego powodu, że nikt o tym nie mówił. W ciągu kilku ostatnich tygodni życia Gary'ego Larry Schiller, który pozyskał prawa do jego biografii i przeprowadził większość wywiadów do *Pieśni kata*, usiłował go nakłonić, by z całą szczerością przedstawił rzeczywistość swego dzieciństwa i życia rodzinnego. Schiller miał poczucie, że w przeszłości mojego brata musiało się zdarzyć coś strasznego, ale Gary upierał się, że to nie należy do sprawy, i zwykle reagował na takie pytania kpiną lub gniewem, nawet w ostatnich godzinach życia. W ciągu następnych kilku miesięcy Schiller i Norman Mailer spędzili wiele godzin na rozmowach z moją matką, Bessie Gilmore, penetrując ów mroczny obszar: co takiego się zdarzyło w dzieciństwie Gary'ego, co później doprowadziło go do popełnienia morderstwa? Schiller i Mailer bardzo się starali, ale matka zazwyczaj odpowiadała na te wypytywania jakimiś doprowadzającymi do szału zagadkami lub po prostu je zbywała. Rozległe partie rodzinnej przeszłości zostały więc całkowicie pominięte, ponieważ wolała je okryć zasłoną tajemnicy. Dotyczyło to spraw związanych z moim ojcem: tego, jak przeżył swoje życie i jak się odnosił do własnych synów. Cokolwiek się wówczas zdarzyło, ani matka, ani Gary nigdy tego nie ujawnili, zabierając swe

tajemnice do grobu. Jakby woleli raczej umrzeć niż porzucić tę przeszłość.

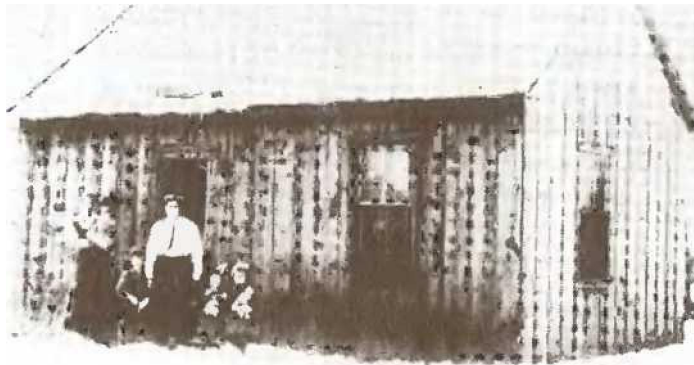
Ja także nie chciałem rozmawiać o przeszłości rodziny. W istocie wołałem przez następne piętnaście lat robić wszystko, by zdystansować się od swoich bliskich i tego, co zobaczyłem w owej straszliwej historii i nieszczęsnym przeznaczeniu. Tłumaczyłem sobie zwykle, że cokolwiek płynęło w żyłach Gary'ego, czyniąc z niego mordercę, nie płynie przecież w mojej krwi, a jeśli zniweczyło to nadzieje rodziny, nie spustoszyło przynajmniej mojego życia. Byłem od nich inny, wiedziałem. Udało mi się uciec.

Teraz wiem o tym więcej. Na tyle, by uwierzyć, że Gary chciał wchłonąć w siebie cały rozkład swej rodziny, ażeby to, co najgorsze w naszej zgniliźnie, umarło wraz z nim tego ranka w Draper w stanie Utah, gdy wymknął się prawdziwej istocie owego spadku i znalazł spokój przed lufami karabinów: oto, czym było to dziedzictwo czy ojcowizna, z której to wszystko wyszło.

-rr.r.

## **DUCHY MORMONÓW**

- \*



Będą tacy, którzy przekroczą prawo, a jeśli zrobią to z rozmysłem, jest tylko jeden warunek, by mogli uzyskać przebaczenie: muszą prosić swych braci, by przelali ich krew, a jeśli dym z tej ofiary wzniesie się ku Bogu, oznacza to, że ich ofiara uśmierzyła gniew, którym zapalał przeciwko nim, i że sprawiedliwości stało się zadość.

Brigham Young, *Dziennik kazań*

Nawet jeśli mormoni tworzą duchy, tworzą je na wieki.

Wallace Stegner, *Kraj mormonów*



## BRACIA

### ROZDZIAŁ 1

Patrzyłem, jak umierają kolejno, jedno po drugim. Najpierw mój ojciec. Potem moi bracia, Gaylen i Gary. Wreszcie moja matka, zgorzkniała i zniszczona kobieta. Zostaliśmy już tylko my dwaj - ja, najmłodszy, i Frank, najstarszy. Wówczas, pewnego dnia, gdy ból tej rodzinnej historii stał się zbyt wielki, by można go było dalej znosić, Frank po prostu odszedł w świat cieni i już nie potrafiłem go znaleźć, choćbym nie wiem jak szukał. A może właśnie nie umiałem dostatecznie wytrwale szukać.

To było ponad dziesięć lat temu. Z upływem czasu uwierzyłem, że nie jestem już związany z resztkami mego rodzinnego ducha i jakiegokolwiek klęski przyniesie mi życie, stanie się to na mój własny rachunek. Powiedziałem sobie: jestem w końcu sam, wolny, więc niech już mnie nie prześladowuje ten rodzinny sen.

Pewnego dnia jednak sen przemienił się w koszmar. Kiedy to się stało, zrozumiałem, że i ja nie ujdę rodzinnej klątwie. Czułem, że nasz upadek może nie mieć końca, a jedynym sposobem powstrzymania tego procesu jest przerwanie samego dziedzictwa; żeby zaś to osiągnąć, musiałbym rozbić tę porażającą tajemnicę, jeśli tylko byłbym w stanie do niej dotrzeć.

Postanowiłem więc wrócić do rodziny, do jej dziejów, przekazów i wspomnień, do jej dziedzictwa. Zapragnąłem wrócić do tej historii rodzinnej, tak jak chciałem zawsze wrócić do owego snu o domu, w którym się wychowałem. Wrócić tam i odkryć to coś, co czyniło ten sen koszmarem i co mogło zniszczyć tak wiele istnień.

To tak, jakby struktura przeszłości mojej rodziny nabrała dla mnie wymiaru tajemnicy. Chciałem sprawdzić, badając naszą historię, czy mogę gdzieś odnaleźć ów klucz, to węzłowe wydarzenie, które mogłoby wyjaśnić, co było przyczyną tylu klęsk i gwałtownych czynów.

Może gdyby mi się udało znaleźć jakieś odpowiedzi, mógłbym też znaleźć sposób powstrzymania dalszego upadku.

Bałem się, po części dlatego, że mogłem nigdy nie dotrzeć do prawdy, a trochę też dlatego, że mogło być tego zbyt wiele. Wiedziałem jedno: płaciliśmy wszyscy za coś, co wydarzyło się na długo przedtem, zanim przyszlismy na świat, za coś, o czym nie chcieliśmy wiedzieć. I może nadal wszystko to pozostanie tajemnicą, której istoty nikt nie będzie mógł dotknąć.

Rodzina, w której się wychowałem, nie była tą samą rodziną, w której dojrzewali moi bracia. Oni dorastali w rodzinie, która była wciąż w drodze, nigdy nie pozostając w tym samym miejscu dłużej niż parę miesięcy, i to w najlepszym razie. A dorastając, widzieli, jak ojciec regularnie bije ich matkę, aż jej twarz staje się jednym udręczonym, sinym kotлетem. Sami byli bici, okładani pięściami i znieważani za najmniejsze nieposłuszeństwo. Musieli się zjednoczyć w tajemnym przeżywaniu niepowodzeń, aby móc się cieszyć wspólnymi radościami.

W tej rodzinie, w której ja dorastałem, bracia stanowili taką samą jej część jak rodzice. Stanowili część doświadczenia, które musiałem sobie przyswoić. Byli zarazem częścią tego wszystkiego, co musiałem w sobie przewyciężyć i od czego musiałem się odciąć. Oferowali mi coś, ku czemu mogłem dążyć: szansę uniknięcia ich losu. Być może tym właśnie najlepiej mi się przysłużyli: ucząc mnie, bym trzymał się z dala od wartości, którym hołdowali, i od tradycji, wśród których wzrastali.

Dojrzałem więc w świecie tak dalece różnym od świata, w którym ukształtowali się moi bracia, że mógłbym równie dobrze nosić inne nazwisko. Mógłbym się tylko cieszyć z tej różnicy, ale oczywiście nic nie układa się gładko. Nieszczęście dzieciństwa moich braci tak jest odległe od nieszczęścia mego własnego dzieciństwa, że pewnie nie byłbym w stanie wyrwać się z tego piekła, tak jak nie mógłbym się uwolnić od koszmarów drugiej wojny światowej - po prostu dlatego, że ich nie przeżyłem, nie było mnie wówczas na świecie.

Można by pewnie znaleźć więcej prawdy o tych dwóch rodzinach: rodzinie moich braci i rodzinie, w której ja się wychowywałem, przeglądając strony naszego albumu. Zapewniają je niemal wyłącznie zdjęcia braci, pojawiających się razem w tym lub innym układzie. Fotografie Franka i Ga - ry'ego jako brzdąców trzymających się za rączki i uśmiechających wstydliwie do kamery; stojących obok siebie w mundurach piechoty i marynarki z czasów wojny czy w spodniach na szelkach, białych koszulach i szerokich krawatach z okresu, gdy rodzina mieszkała na pustyni Arizona. Odkąd urodził się Gaylen, na zdjęciach była już cała ich trójka. Trzej chłopcy w kowbojskich ubrankach, trzymający w



rękach lśniące rewolwery zabawki, z owym złowieszczym spojrzeniem charakterystycznym dla braci wyjętych spod prawa. Gdy album wkracza w okres mego dzieciństwa, jest w nim już tylko parę moich zdjęć z braćmi, głównie zebranych w cyklu portretów spod świątecznej choinki, na których wyglądamy jak jakieś zgnębione ofiary. W tym albumie są tylko dwa lub trzy moje osobne zdjęcia, w przeciwieństwie do licznych pojedynczych portretów braci.

Zdjęcia te mówią prawdę: moi bracia i ja nie żyliśmy w tym samym czasie i miejscu. Nie znaliśmy się. Tyle że stanowiliśmy jedną rodzinę. Pamiętam, że gdy byłem mały, bawiłem się z Gaylenem, ponieważ dzieliła nas najmniejsza różnica wieku, i pamiętam, jak Frank się mną czule opiekował, zabierał mnie do kina i pilnował. Wbrew temu, co opowiadała mama, nie przypominam sobie, bym miał coś wspólnego z Gaiym, zanim obaj staliśmy się dorośli. Może spędziliśmy razem jakieś dwa, trzy dni, nie więcej.

Zazwyczaj bawiłem się sam, miałem swoje zabawki. Podobnie jak bracia lubiłem broń i przygody z Dzikiego Zachodu, choć nie wolno mi było ruszać wymyślnych posrebrzanych pistoletów, których bardzo im zazdrościłem. Ale tak naprawdę wolałem zamki niż broń. Miałem wspaniały model zamku króla Artura, z mostami zwodzonymi i wieżyczkami. Nie podobały mi się jednak - rzucałem nimi, naprawdę! - tanie plastikowe figurki rycerzy, które należały do kompletu. Wolałem piękny zestaw metalowych rycerzy na koniach, w budzących respekt pozycjach - dzieło sztywnej angielskiej firmy Britains. Byli ręcznie malowani, cudowni, no i odpowiednio kosztowni, więc bezustannie nagabywałem matkę, by mi ich kupiła. Skoro bracia mieli swe sześciostrzałowce z rękojeściami wykładanymi macicą perłową, to ja mogłem mieć tych strojnych rycerzy. Uwielbiałem ich rozlokowywać na murach zamku, na zwodzonych mostkach, trzymać w wieży, gdzie nic już nie mogło im grozić. Nie pozwalałem braciom dotykać moich kawalerów, oni zresztą nie bardzo się do tego palili.

Całkiem możliwe, że bawiłem się z braćmi więcej, niż pamiętam, zachowałem jednak we wspomnieniach tylko kilka takich zdarzeń, które dotyczą całej naszej czwórki. Pewnego razu byliśmy wszyscy na podwórku naszego domu w Portlandzie w stanie Oregon. Bracia rzucali strzałkami do tarczy, która wisiała na drzewie. Bardzo mi się to podobało i też chciałem sobie z nimi porzucać, oni jednak nie mieli wcale ochoty na to, by taki niezdarny szkrab psuł im zabawę. Napraszałem się, no pewnie. Wydymałem usta. W końcu jeden z nich, Gary, jeśli dobrze pamiętam, uległ.

- Dobra - powiedział. - Jeśli już koniecznie chcesz się bawić strzałkami, czemu nie? Zaraz się przekonasz. - Wziął mnie za rękę i ustawił przed tarczą. - Zobaczmy, kto z nas rzuci najbliższej ciebie.

Chciałem uciec, ale nie mogłem. Cieszyłem się, że włączono mnie do zabawy. Pierwszy rzucał Gary: strzałka wbiła się w tarczę sześć cali od mojej nogi. Strzałka Franka utkwiała w tarczy już parę cali bliżej. Potem rzucał Gaylen i jego strzałka przeszła obok mojej nogi o mniej niż cal. Przestraszyłem się, bo to było bliżej, niż myślałem. Kolejna strzałka, rzucona przez Gary'ego, dostała lekkiego kiksa. Trafiła w mój prawy bucik, przeszła przez jego nosek, zawadziła o paznokieć wielkiego palca i tak już została. Bracia wystraszyli się, a ja zacząłem płakać. Nadeszła matka, zobaczyła, że z mojej stopy sterczy strzałka, spojrzała tylko na zmieszane twarze chłopców i na tym się skończyło.

Później nadarzyła mi się okazja, żeby się zemścić. Któregoś pięknego letniego popołudnia Gary siedział na ganku z kilkoma koleżankami, obok Frank też z dziewczyną. Znow chciałem z nimi zostać i znow mnie wyproszone. Poszedłem za róg domu i przy targałem koniec długiego ogrodowego węża. Wręczyłem tę końcówkę Gary'emu, który słodko sobie gruchał ze swą jasnowłosą przyjaciółką, i powiedziałem:

- Potrzyj to. Zaraz będę z powrotem.

Nie zwracał wcale uwagi na to, co mówię. Siedział spokojnie, trzymając węża, i rozmawiał z dziewczętami.

Pobiegłem i odkręciłem kran na pełny regulator. Stało się tak, jak sobie wymyśliłem: struga wody strzeliła z impetem prosto w twarz Gary'ego, oblewając też jego ubranie. Usłyszałem krzyki dolatujące z podwórka, dziewczyny się śmiały. Uciekłem i skryłem się w krzakach głogu rosnących przy domu. Nie ruszałem się stamtąd przez parę godzin. Kiedy wróciłem, Gary spojrzał na mnie z wyrzutem i powiedział:

- Nigdy ci tego nie wybaczę.

Patrzę na zdjęcia moich braci. Gdy przeglądam album rodzinny, inne fotografie nie robią na mnie tak silnego wrażenia. Patrzę na tę trójkę - broń mają wymierzoną prosto w obiektyw - i jak niegdyś czuję, że panują nad tym światem., który był ich własnością. Odganiaли mnie stamtąd, ale nie ze względu na swoją pozycję czy te ich romanse, do których jako mały chłopczek nie miałem przystępu. Co innego mnie uderza w tych zdjęciach: jak bardzo się cieszyli, gdy byli razem, wydawali się szczęśliwi w świecie, który do nich należał. Nie pamiętam, by ktoś z mojej rodziny tak się uśmiechał w tym okresie, gdy byłem dzieckiem, ale z upływem czasu wspomnienia bledną. Uśmiechali się tak tajemniczo; jakby mi chcieli powiedzieć, że tam toczy się to życie mojej rodziny, o którym wciąż nic nie wiem, o którym po dziś dzień niewiele więcej mogę się dowiedzieć.

Przeszli całe to piekło, które musieli przejść, ale przynajmniej przez jakiś czas byli prawdziwym rodzeństwem. Patrzę na ich twarze, tam na tych zdjęciach, i nienawidzę ich. Nie

chcę tego, lecz nie mogę nic poradzić. Nienawidzę ich, bo nie ma mnie w tym obrazie. Nienawidzę ich za to, że nie jestem częścią ich rodziny, niezależnie od tego, jak straszną cenę musieli zapłacić za tę przynależność.



## RODOWÓD

Wspominam matkę. Zamykam oczy i przywołuję obraz jej twarzy z tych najdawniejszych lat, gdy ojciec przebywał głównie poza domem, a moich braci nie porwał jeszcze prąd życia i nie spotkały ich kolejne nieszczęścia. Często się wtedy uśmiechała; każdego ranka miałem przed sobą jej zachwyconą twarz, gdy czekała na moje przebudzenie. A potem widzę tę twarz po latach. Jakże inną, naznaczoną skurczem nagłego gniewu, to znów ożywioną niebezpiecznym blaskiem choroby, tę twarz, której nie udawało się zatrzeć śladów niekończących się rozczarowali. Dorastałem, bojąc się tej twarzy, a to, że ojciec twierdził, iż należy się jej bać, tylko pogarszało sprawę.

W gruncie rzeczy Bessie Gilmore łatwo wpadała w złość. Ojciec pokrzykiwał na nią, drwił z niej i bił ją przez całe lata, a zachowanie braci sprawiło, że nasz dom nie cieszył się w sąsiedztwie dobrą sławą. Ale ta złość zaczęła się wcześniej. Dużo wcześniej.

W końcu to matka była w rodzinie osobą, z którą spędzałem najwięcej czasu, a kiedy już trochę podrosłem, utożsamiałem się z jej doświadczeniem smutku i samotności, tym poczuciem, że jest się wyrzutkiem doprowadzającym wszystkich do szału. A teraz, gdy dotarłem do miejsca, w którym przychodzi mi odtworzyć jej obraz, by opowiedzieć tę historię, muszę ku swemu zaskoczeniu stwierdzić, że być może nigdy tak naprawdę nie pojmowałem głębi ani źródeł jej upośledzenia. Reszta rodziny to mężczyźni; dobrze znam te nasze szczególne słabości, ów niepokój, zmienne i kapryśne humory. Mogłem więc jakoś zrozumieć ten gwałt wdzierający się w nasze życie; można znienawidzić świat, który nas odrzuca, i można chcieć ukarać i zniszczyć wszystko i wszystkich, którzy rozkoszują się szczęściem, jakiego my nigdy nie zazналиśmy. Lecz gdy tylko spróbowałem sobie wyobrazić

to, co może się kryć w sercu mojej matki - jej nieukojonny ból, nienawiść i gniew - przestraszyłem się. Bałem się, że na samym dnie naszych serc tkwi to dziedzictwo, a serce mojej matki okaże się prorocze. Za sprawą jej opowieści mogłem sobie wyobrazić to poczucie potępienia, jakiego musiała zaznać w młodości, i wrażenie utraty, nieopuszczające jej w późniejszych latach. Jakbym wreszcie zrozumiał bolesne okowy życia matki: strach, w którym dorastała, strach, w którym umarła.

Ale wiedziałem również i to, że uczyniła, co tylko mogła, by wpoić we mnie to wszystko, co miało mi przynieść powodzenie w świecie, czyli inaczej mówiąc: to, dzięki czemu mogłem uciec od ciężaru tradycji naszej rodziny. To przecież ona, bardziej niż ktokolwiek inny, pomogła mi zrozumieć złożoność tego snu. Zapewne oddała mi część własnego zdrowia i bezpieczeństwa w późniejszych latach swego życia; to dzięki niej mogłem w końcu odnieść sukces. Uświadomiłem sobie z kolei, że ją opuściłem, tak jak porzuciłem wszystkich członków rodziny. Chciała, bym przetrwał to nasze złe dziedzictwo, do tego zmierzały najszlachetniejsze jej wysiłki. Ale żeby się to stało, musiałem ją opuścić, a nawet zranić. Nie możesz wejść w nowy świat, zachowując więzy łączące cię ze starym, a ja byłem zawsze zwrócony ku nowym światom.

Ale nie tylko we mnie matka lokowała nadzieje. Mogę podejrzewać, że upatrywała ich również w Garym; pewnie był tym, przez którego mogła odreagować wściekłość na samą siebie, zemścić się za wszystkie te lata złego traktowania i wykluczenia, jakie wycierpiała w Utah. Miała syna, który mógł spłacić ten dług przeszłości, stąd to przymierze Bessie i Gary'ego Gilmore'ów. Pamiętam, jak mi kiedyś powiedziała:

- Gary jest przestępcą. Chciałabym, żebyś ty był prawnikiem. Twoi bracia będą potrzebowali dobrej i troskliwej opieki prawnej.

Było to powiedziane jakby od niechcienia, ale też bez jakiegokolwiek drwiny czy ironii.

^eby wyjaśnić, dlaczego Bessie Gilmore mogła żywić pragnienie ukarania swych krewnych i stron ojczystych, powinienem może zacząć od ludzi i tradycji, w których wyrosła. Moja matka urodziła się w mormońskim Utah na początku dwudziestego wieku - w miejscu, które pod wieloma względami drastycznie się różniło od reszty Ameryki. Mormoni odznaczali się silnym i wyrazistym poczuciem odrębności i jedności: postrzegali się nie tylko jako współczesny lud wybrany, ale także jako lud, który w imię swej wiary i tożsamości doświadczył długiej i krwawej historii, a także ostatecznego wygnania. Byli narodem na uboczu - ludźmi żyjącymi w kręgu własnych mitów i celów, w tradycji zdumiewającej przemocy.

Mama wspominała, jak w dzieciństwie opowiadano jej mormońskie legendy o cudach

i prześladowaniach, które stały się udziałem tego ludu; te same opowieści przekazywała mnie i moim braciom, gdy byliśmy mali. Głównym wątkiem tych historii była walka wczesnych mormonów przetrwanie ich religii, szczególnie zaś natchnione życie męczeńska śmierć założyciela Kościoła, Josepha Smitha. Był on człowiekiem wielkiej wyobraźni i wizji - należał w istocie do najbardziej nowatorskich mitotwórców w dziejach naszego narodu - a przy tym kimś, kto przekuł swe najbardziej osobiste obsesje w epicką tkanę złożoną z teologii i folkloru. Całą tę skomplikowaną strukturę zbudował wokół tego, co było w istocie dylematem rodowodu: okupić marzenia i winy własnego dziedzictwa lub może zginąć w rezultacie jakiejś nieokreślonej klątwy. Z czasem ta kwestia dotknęła też mojej rodziny, z wszelkimi zgubnymi skutkami, jakie miało to przynieść.

Największym dziełem Smitha była oczywiście Księga Mormona. Opublikowana pod koniec lat dwudziestych dziewiętnastego stulecia, miała w sobie ogromną siłę żywotną, której mogło dorównać niewiele tekstów i książek tamtego czasu, i w ciągu stu sześćdziesięciu lat stała się głównym czynnikiem rozwoju mormonizmu jako jednej z najszybciej krzewiących się religii współczesności. Samo pochodzenie tej księgi jest tyleż fascynujące, co kontrowersyjne: Smith oznajmił, że przepisał ją ze starożytnych złotych tabliczek, które przyniósł mu anioł boży o imieniu Moroni. Na tych tabliczkach wyryto historię dawnych mieszkańców Ameryki i ich stosunków z Bogiem Izraela. Inaczej mówiąc, Smith twierdził, że odkrył dawno zagubione uzupełnienie Świętych Ksiąg Biblii Starego i Nowego Testamentu. Księga ta wywarła i wciąż jeszcze wywiera ogromny wpływ na umysły wielu Amerykanów, nietrudno pojąć jej niemal pierwotny zew. Jeśli pominąć pretensje Księgi Mormona do boskiego pochodzenia, można w niej znaleźć rozmaite krzepiące opowieści o tym, co Ameryka tak lubi: o rodzinach i o zabójstwie.

Księga Mormona, spisana czy też opowiedziana przez Smitha jego tłumaczom, przypomina stylem przekład Biblii dokonany przez króla Jakuba i stanowi tysiącletnią kronikę pewnego żydowskiego plemienia, rodziny prawego męża i proroka Lehiego” który zebrał swych krewnych i przyjaciół i uszedł z Jerozolimy podczas jej upadku w 600 roku przed

Chrystusem. Z rozkazu Boga Lehi i jego synowie zbudowali statek i popłynęli ku nowej ziemi, gdzie Lehi nauczał, że najważniejszym celem życia i jedyną drogą wiodącą do zbawienia jest pozyskanie miłości Boga dzięki przestrzeganiu Jego przykazań. Jednakże w plemieniu Lehiego zawsze istniała rywalizacja i kiedy na łożu śmierci wyznaczył on na prawowitego przywódcę rodu i proroka jednego ze swych młodszych synów, Nefiego, spotkało się to z wielkim niezadowoleniem ze strony starszych braci, Łamana i Lemuela.

Wkrótce wzbурzyli się przeciw woli ojca i zarazem przeciw pobożności Nefiego i jego Bogu ze Starego Świata. Zagrozili, że przepędzą brata i jego zwolenników, jeśli ten nie usunie swego plemienia z ich linii dynastycznej. Bóg zapłonął strasznym gniewem przeciw zbuntowanym Lamanowi i Lemuelowi; żeby ukarać pychę i żądzę krwi, rzucił na nich klątwę czerwonej skóry i zapowiedział, że wszyscy ich potomkowie będą nosić na sobie tę skazę - i pamiątkę nienawiści Boga - jako zapłatę za grzechy ojców. Tak zaczęła się schizma między Nefitami i Lamanitami, której historyczny rozwój stanowi główny wątek Księgi Mormona.

Potomkowie obu zwaśnionych rodów wojowali ze sobą niemal bez przerwy przez kolejne tysiąclecie, przy czym jedna ze stron płaciła cenę pochodzenia od prawowitej krwi, druga zaś była skazana na życie w nieposłuszeństwie i morderczym dziedzictwie swych występnych przodków. Wreszcie, w najśmielszych fragmentach księgi, przybywa do nich Jezus, ofiarowując im swą mękę i zmartwychwstanie oraz obejmując ich doktryną zbawienia i życia w pokoju. Pokój nie utrzymał się jednak zbyt długo. Powracają gwałty, szerzą się zabójstwa. Przy końcu księgi pojawia się głos jednego już tylko męża, Moroniego, ostatniego żyjącego Nefity. Wspomina on historię swego upadłego ludu i ostatnich wojen, które rozegrały się w mieście zwanym Desolation (Spustoszenie). W rezultacie tych wojen ciała Nefitów kładą się pokotem całymi tysiącami na zatopionej we krwi ziemi umierającego narodu, a kilkoro zaledwie dzieci, które zdołały przeżyć, musi jeść mięso swych ojców. Na końcu, oprócz Moroniego, nie pozostaje już nikt, kto czekałby na Lamanitów; owi odtrąceni bracia znajdują go wreszcie i uśmiercają.

Zabójstwo i spustoszenie przewijają się przez całą pre - amerykańską panoramę Josepha Smitha, a ponieważ gwałt zawsze domaga się wyjaśnienia czy rozwiązania, największym objawieniem Księgi Mormona jest przerażający obraz, gdy Moroni spogląda na czerwoną od krwi ziemię wokół siebie i widzi, że cały ten bieg historii, który doprowadził do zbiorowego wyniszczenia, owo zamierzenie, które stało za stuleciami wojen, jest niczym innym, jak wolą samego Boga. To Bóg rzucił ten wędrowny lud na pustynną ziemię, to Bóg ustanowił dziedzictwo, które doprowadziło do tak straszliwej zagłady. Bóg więc jest owym architektem zabijania, kryjącym się na samym dnie tej największej amerykańskiej legendy; gniewny ojciec, który domaga się, by wszystkie pokolenia aż po sam kres podlegały jego prawom i czciły go nawet za cenę ostatecznego ich wyniszczenia.

W Księdze Mormona pojawia się też bezprzykładne bluź - nierstwo, kiedy charyzmatyczny bezbożnik i antychryst zwany Korihorem staje przed obliczem jednego z bożych sędziów i królów i wyznaje: „Zaprawdę powiadam wam, ten lud jest winny upadku z powodu przekroczenia prawa przez swych rodziców. Ale mówię wam też, że dziecię nie ma

na sobie winy swych rodziców”.

Usłyszawszy te zuchwałe słowa, Bóg odbiera Korihorowi mowę i pomimo jego płynącej z głębi serca skruchy nie udziela mu przebaczenia. Korihor błąka się wśród ludzi swego plemienia, żebrząc o zmiłowanie i wsparcie, a oni stąpają po nim, póki wreszcie nie umrze pod ich stopami.

Najbardziej niepokojącym proroctwem była zawarta w Księdze Mormona wizja Ameryki jako ziemi od samego początku wydanej na spustoszenie. Gwałt i strach nie odstępowały Josepha Smitha i jego ludu aż do krwawej śmierci przywódcy po latach, a również i potem zabójstwo stało się w historii mormonów sposobem na przetrwanie.

Mimo to tysiące mężczyzn i kobiet gromadziły się wokół Smitha i jego wiary. Joseph nazwał w końcu nową religię Kościołem Jezusa Chrystusa Świętych Dnia Ostatniego, a jej wyznawców Świętymi. Natomiast jego wrogowie, opierając się na znienawidzonej przez nich Księdze Mormona, nazywali ich mormonami.

Mormoński rodowód mojej matki sięgał owych najwcześniejszych lat, z całym łańcuchem przodków. Większość tych mężczyzn i kobiet przywędrowała do amerykańskiej społeczności mormonów z ubogiej Anglii, zwabiona obietnicą, że przybywają do nowej Ziemi Obiecanej. I zamiast niej zastali kraj pełen strachu i gwałtów. W połowie lat trzydziestych dziewiętnastego wieku mormoni musieli kilkakrotnie zmieniać miejsce osiedlenia, większe ich skupiska powstały w Kirtlandzie w stanie Ohio i w Independence w stanie Missouri. Palono ich farmy, zabijano mężczyzn i dzieci, zdarzało się, że pod kierunkiem milicji stanowej. Dziwne praktyki i kłopotliwy sposób funkcjonowania ich społeczności - przypisywano Świętym zarówno praktykowanie związków poligamicznych (co było prawdą), jak i wiarę w system wielu bogów z wieloma niebami (co też okazało się prawdą) - przysporzyły im wielu wrogów. Najbardziej jednak drażnił ludzi, a nawet ich wzburzał, sam charakter Josepha Smitha. Był to mężczyzna niepospolitego uroku, przy tym dumny i ambitny. Wśród polityków i wpływowych właścicieli gazet szerzyły się pogłoski, że ma metodycznie opracowany plan podboju środkowych stanów Ameryki i założenia tam Cesarstwa Mormonów, opartego na wierze religijnej, z nim samym jako zwierzchnikiem. W latach czterdziestych dziewiętnastego stulecia tarzano go w smole i pierzu, strzelano do niego, zamykano w więzieniu i grożono mu rozprawą przed sądem wojskowym, a wielu uważało go za „najbardziej niebezpiecznego człowieka amerykańskiego Zachodu”. Gubernator stanu Missouri, Lilburn Boggs, wydał dekret uznający mormonów za oficjalnych wrogów państwa, których należy wypędzić z ich ziemi bądź zlikwidować. Nad rzeką w zachodniej części Illinois mormoni wzniesli swe nowe miastopństwo, Nauvoo.

Pod okiem Smitha stało się ono jednym z najwspanialszych miast Środkowego Zachodu, jak na ironię jednak rozkwit ten pogorszył tylko położenie przywódcy i jego zwolenników. Widziano już mormonów jako królestwo w państwie, o dokonaniach i linii rozwoju niepasujących do reszty Ameryki, i aż do 1844 roku obywatele Illinois i Missouri bali się Smitha i jego mormonów. Gdy rozeszły się pogłoski, że przyboczny ochroniarz Smitha, legendarny strzelec Dzikiego Zachodu, Orrin Porter Rockwell, był zamieszany w próbę zabójstwa - strzałem w tył głowy - byłego gubernatora Missouri, Lilbur - na Boggsa (jakimś cudem Boggs przeżył), marzenie o cesarstwie Środkowego Zachodu ostatecznie się rozwiało.

Po paru takich kłopotliwych incydentach Illinois zawrzało wściekłym gniewem na Smitha, a gubernator Thomas Ford zażądał, by prorok poddał się władzom cywilnym i stanął przed sądem. Smith znalazł się w więzieniu w małej osadzie zwanej Carthage wraz ze swym bratem Hyrumem i paroma innymi przywódcami Kościoła. Z początku nie wysuwano przeciw nim oskarżeń kryminalnych, ale wkrótce je postawiono: chodziło o zbrodnię przeciwko państwu, co było zagrożone karą śmierci.

Gubernator Ford gwarantował Smithowi i jego towarzyszom bezpieczeństwo, ale gdy tylko Joseph pojawił się w mieście i ujrzał oddziałek milicji Carthage Greys, który wyznaczono do ich ochrony, nie miał wątpliwości, że ci ludzie prędzej woleliby go widzieć martwym niż wypuścić na wolność. Te skąpe siły strzegły więzienia w Carthage, gdy pod wieczór 27 czerwca 1844 roku nadciągnął stuosobowy tłum. Ludzie z tłumu i strażnicy byli przyjaciółmi i należeli do tej samej milicji, nie mogło więc być mowy o jakimkolwiek oporze, gdy napastnicy zaatakowali więzienie. Kilkanaście osób wtargnęło do środka i ruszyło po schodach do celi, w której trzymano Josepha i Hyruma. Wypalili z muszkietów przez drzwi celi, jedna z kul trafiła Hyruma w twarz. Jeszcze cztery pociski przeszły jego ciało, zanim padł martwy u stóp brata. Joseph miał przy sobie pistolet, który wcześniej podrzucił mu przyjaciel. Wystrzelił przez drzwi sześć kul. Trzech napastników odniosło rany, co dało mu nieco czasu, żeby spróbować ucieczki przez okno. Przerzucił już jedną nogę i gdy spojrzał w dół, zobaczył las bagnetów i strzelb. Zgodnie z relacją świadków tego zdarzenia zastygł na moment na parapecie, widząc cenę, jaką mu przyjdzie zapłacić, i wtedy dosięgły go kule z obu stron: od drzwi, a także z tłumu zgromadzonego pod oknem. Z okrzykiem: „O Panie mój, Boże!” stoczył się na ziemię. Wokół niego zgęstniał zaraz tłum, kopali go i poszturchiwali, dopóki się nie upewnili, że już się nie podniesie, po czym odeszli.

Oto opowieść o męczeństwie Josepha Smitha, którą wielokrotnie mi powtarzano. Byli też inni świadkowie, inaczej relacjonujący jego śmierć, i po tylu latach od tego wydarzenia



dowiedziałem się ostatnio, że właśnie ich wersja została uznana za prawdziwą. Zgodnie z tą wersją, podaną przez samych mormonów i później potwierdzoną przez jednego z obecnych na miejscu, przebieg ostatnich momentów życia Josepha Smitha był następujący...

Gdy podszedł do okna, dosięgły go dwa strzały i wypadł na zewnątrz pod nogi czekającego tłumu. Ktoś podniósł go i oparł o krąg studzienny, leżący o parę stóp od muru więzienia. Pułkownik milicji rozkazał czterem mężczyznom, by dobili Josepha. Stanęli osiem stóp przed nim i wypalili równocześnie, mierząc w serce. Smith upadł twarzą w dół, a jego krew zboczyła ziemię kraju, którego tajemną przeszłość próbował przcn'knąć. Zostawiono go samego, żeby skonał.

Nie było między nami żadnych związków krwi, ale czułem się bliższy Josephowi Smithowi niż któremukolwiek z mych rzeczywistych przodków. Ze względu na potępienie, którego się bał, i długotrwałe fatum, które go w końcu pokonało. Jakby to on był naprawdę moim bratem.

Śmierć Josepha Smitha miała położyć kres mormonizmowi, tymczasem przyczyniła się tylko do jego dalszego rozwoju. W ciągu paru miesięcy po zabójstwie ci, co przeżyli, skupili się wokół nowego proroka i przywódcy, Brigham Younga, może mniej wizjonerskiego teologa niż Smith, ale gładszego odeń i bardziej uzdolnionego autokraty. Pozostali w Na - uvoó jeszcze przez dwa lata - dość długo, by uczynić z tego ośrodka największe miasto Illinois. Ale nagonka na mormonów trwała dalej, napaści tłumu się powtarzały i kiedy do Younga dotarły pogłoski, że oddziały federalne szykują się do ostatecznej rozprawy ze Świętymi, podjął decyzję: jedynym sposobem na to, by jego lud przetrwał Amerykę, było jej opuszczenie. W lutym 1846 roku Young i mormoni rozpoczęli długą pielgrzymkę, mającą na celu znalezienie nowego domu poza granicami państwa. Po osiemnastu miesiącach tułaczki osiedlili się w dorzeczu Wielkiego Jeziora Słonego, na ziemi, którą nazwali Deseret (słowo zaczerpnięte z Księgi Mormona, oznaczające pszczołę robotną, a więc kogoś pracowitego, kto potrafi dobrze funkq'onować w społeczności podobnych sobie). Ten nowy dom miał być spełnieniem marzenia Josepha Smitha o Królestwie Bożym na ziemi i o założeniu jedyne go narodu duchowego, który nigdy nie przekroczyłby granic Ameryki. W owym tysiącletnim kraju zwanym Deseret - późniejsze Utah - mormoni mogli się wreszcie uwolnić od formujących się przeciw nim przerażających oddziałów straży obywatelskiej. Wraz z Indianami Cherokee stanowili jedyną populację, która uszła ze Stanów Zjednoczonych przed groźbą zagłady, a w tym obiecany miejscu byliby w stanie się obronić przed podążającymi za nimi napastnikami.

Wkrótce po dotarciu do Wielkiego Jeziora Słonego Brig - ham Young rozesał wieść,

że mogą tu przybyć Święci ze wszystkich zakątków Ziemi, aby osiedlić się w dorzeczu i przyczynić do założenia Kościoła i kolonii ludnościowych tak upragnionego cesarstwa. To właśnie rozporządzenie przywiodło do doliny Utah ostatniego mormońskiego przodka mojej matki, Francisa Kerby'ego; zgodnie z pewnym przekazem stanął on tam po latach twarzą w twarz ze straszliwą i odzierającą ze złudzeń rzeczywistością.

Niedawno odnalazłem zmikrofilmowaną kopię starego, ręcznie pisanego dziennika Francisa Kerby'ego (podobnie jak wiele innych kronik Świętych Dnia Ostatniego, dokumenty te przechowywały się w bezcennych archiwach Mormon Family History Library w Salt Lake City). Spośród wszystkich naszych przodków najbardziej szczegółowe zapiski osobiste, przynajmniej do pewnego momentu, zostawił Joseph Kerby (dziadek mojej babci w linii męskiej). Urodzony w 1821 roku w arystokratycznej rodzinie pobożnych i zasiedziałyh członków Kościoła anglikańskiego, osiadł na Wyspach Normandz - kich u wybrzeża Francji. W 1849 roku, gdy miał dwadzieścia osiem lat, wysłuchał wraz z żoną, Mary LeCornu Kerby, kazali misjonarzy Świętych Dnia Ostatniego, przeczytał Księgę Mormona i przeszedł na wyznanie mormońskie. Zdeprymowani tym i rozgniewani rodzice Kerby'ego, chociaż nigdy nie zerwali całkowicie więzi z synem, zdystansowali się od jego poczynań, nie pozostawiając mu ani wnukom niemal żadnego majątku. Kerby rozpoczął natychmiast błyskotliwą karierę w świecie brytyjskich mormonów i za namową przywódcy lokalnego Kościoła zaczął prowadzić systematyczne zapiski swych codziennych czynności. Dokument ten czyta się zarazem z pewnym trudem i z fascynacją. Podobnie jak wiele mormońskich dzienników, zapiski Kerby'ego - a prowadził je w latach 1849-1893 - zawierają niemal wyłącznie dość pospolite szczegóły życia kościelnego. Jeśli Francis Kerby pokłócił się kiedyś z żoną czy posprzeczał z sąsiadem albo na przykład był chory, usłyszał dobry kawał lub też zwrócił uwagę na jakiś historyczny moment, nie wpisywał tego do dziennika. Zapełniał natomiast stronę po stronie czynnościami kościelnymi, wliczając w to obiady z wybitnymi osobistościami mormońskimi, i drobiazgowo dokumentował własny udział w rozlicznych działaniach Świętych Dnia Ostatniego.

1 stycznia 1857 roku Francis Kerby wraz z żoną i dziećmi wyprawił się do Ameryki, a trzy lata później dołączył do ostatniej mormońskiej ekspedycji wózkarzy do Utah (przemierzali Amerykę, popychając przed sobą wózki, w których mieli cały swój dobytek). Po przybyciu na miejsce zdecydowanie się zmienił. Podczas gdy w Anglii skrzętnie i z dumą spisywał wszystkie swe czynności kościelne, w istocie zajmując wysoką pozycję wśród duchownych Zjednoczonego

Królestwa, tu w Utah mniej się interesował wytyczaniem ścieżki swego życia w

Kościele, wyraźnie mniej obchodziła go też sama działalność kościelna. Ostatnie trzydzieści trzy lata jego dziennika wypełniają niemal wyłącznie uwagi o małżeństwach, narodzinach i zgonach. Nie ma już na tych stronach miejsca na przemyślenia dotyczące wiary i pobożności, które pojawiały się w zapiskach z przebiegu jego służby duchownej w Anglii.

Cóż takiego się stało z Francisem Kerbym? Matka miała na ten temat własną teorię. Uważała, że dotknął go kryzys wiary.

- Po masakrze w Mountain Meadows nie był już tym samym człowiekiem - mawiała. - Nie wierzył, że mormonom może się przytrafić coś takiego, a gdy poznał prawdę, nie zachował już w sercu tej miłości do Kościoła, jaką miał niegdyś.

Do masakry w Mountain Meadows doszło w roku 1857, roku przybycia Francisza Kerby'ego do Ameryki, lecz korzenie tej tragedii sięgają pierwszych lat mormonizmu, kiedy to Joseph Smith sądził, że teologia może się okazać równie bezlitosna i krwawa jak obraz historii, który mu się objawił w Księdze Mormona. Ściśle biorąc, same te zdarzenia zaczynają się w epoce Nauvoo; Smith obwieścił wówczas po raz pierwszy nieszczęsną regułę, znaną jako Zadośćuczynienie Krwi. W najszerszym sensie, tak jak ją pojmował od samego początku, reguła ta brzmiała następująco: „Jeśli odbierasz komuś życie lub popełniasz porównywalny z tym grzech ciężki, musisz za to przelać własną krew”. Powieszenie lub osadzenie w więzieniu nie stanowią tu odpowiedniej kary czy rekompensaty. Chodzi o sam sposób zadawania śmierci: żeby przeprosić Boga, przelana krew musi wsiąknąć w ziemię.

W ostatnich latach, ze względu na ów obraz historyczny przedstawiający mściwych ludzi, Kościół mormoński podjął trud odcięcia się od tej interpretacji. Prawdziwa zasada

Zadośćuczynienia Krwi - twierdzą współcześni teologowie - jest sprawą odkupienia, a nie zemsty. Jezus Chrystus dał należyte zadośćuczynienie za grzechy świata, przelewając własną krew; jeśli więc wierzysz, że Jezus jest Synem Boga, i jeśli idziesz za jego nauczaniem i podporządkowujesz się prawom, wówczas czujesz się oczyszczony z grzechu przez jego krew. Są jednak pewne grzechy na tyle ciężkie - należy do nich zabójstwo - że jeśli popełniłeś taki czyn, przestaje cię obejmować zadośćuczynienie Chrystusa. Ale na to, by Zadośćuczynienie Krwi zostało dokonane należycie, również i za takie grzechy, musimy wszyscy zaczekać na ten lepszy świat, w którym zarówno prawa obywatelskie, jak i duchowe będą realizowane przez jeden rząd, a taki czas jeszcze nie nadszedł.

To jest oficjalna wykładnia, lecz legendy Zachodu snują inną opowieść. Zgodnie z relacjami obserwatorów, w tym dawnych gubernatorów i sędziów terytorium Utah, a także paru wyznawców i świadków, mormoni rzeczywiście stosowali zasadę Zadośćuczynienia Krwi, a dotyczyła ona znacznie szerszego zakresu grzechów niż tylko proste zabójstwo.

Niektórzy przestępcy mogli ponieść w rezultacie tego śmierć i nietrudno to sobie wyobrazić. W połowie dziewiętnastego wieku szerzyły się liczne pogłoski o osobach, które ciężko obraziły Brigham Younga lub pogwałciły mormońskie przysięgi prawdy i tajemnicy i skończyły gdzieś w ustronnym miejscu czy w bezimiennym grobie, z kulą w głowie. Były jeszcze inne wykroczenia, które karano śmiercią. Według pewnych autorów należały do nich cudzołóstwo, kazirodztwo, rozwiązłość, gwałt, kradzież, beznadziejna choroba umysłowa (jeśli miała przebieg drastyczny, odczytywano w tym niechybny znak owładnięcia przez demony) oraz rażące i uporczywe nieposłuszeństwo wobec rodziców. Komitet mormońskich starszych, ubranych na czarno, odwiedzał o północy delikwenta w domu i prowadził go (lub ją) do świeżo wykopanego grobu. Takiemu skazańcowi pozwalano uklęknąć nad grobem, po czym pochylał się nad nim skrzywdzony mąż lub ojciec, niekiedy lokalny zwierzchnik

Kościola, i podrzynał mu gardło, podtrzymując za głowę, tak aby krew umierającego mogła się rozlać na ziemię.

Czy któryś z tych aktów Zadośćuczynienia Krwi mógł się naprawdę zdarzyć w mormońskim Utah? Historycy od ponad stu lat zaprzeczali prawdziwości takich pogłosek i w samej rzeczy brak jakichkolwiek dowodów na to, by zwierzchnicy mormońscy mieli pod auspicjami Kościoła przyzwalać na tego rodzaju egzekucje czy rozlew krwi. Pozostaje jednak prawdą, że wielu dantów - kasta mormonów czuwająca nad strzeżeniem tajemnic, pełniąca funkcje policyjne i restrykcyjne - dopuszczało się strzelanin i zabójstw na terytorium Utah, nie stając za to przed sądem ani nie ponosząc kary. Oczywiście, pamiętając o niepisanej władzy teokratycznej, jaką sprawowali mormoni na przeważającej części tych ziem we wczesnym okresie po osiedleniu, trudno wykluczyć egzekucje i zabójstwa dokonywane żelazną ręką i utrzymywane w świętej tajemnicy, by prawda onich nigdy nie ujrzała światła dziennego. Jak pisał Wallace Stegner w *Kraju mormonów*: „Byłoby nierozsądnie upierać się przy tym, że w Utah nie było żadnych świętych mordów... że nie ratowano dusz grzeszników, rozlewając ich krew... i że nie było żadnych tajemniczych zniknięć odszycie - pieńców i szczególnie agresywnych niemormonów”.

Legendy o Zadośćuczynieniu Krwi miały także swój mityczny i moralny wymiar. Takie historie rozpowszechniały obie nieprzejezdane strony. Jeśli opowiadali je niemormoni, stanowiło to ilustrację faktu, że Amerykanie uważali Świętych za diabłów, którzy zmienili swą religię w system rytualnych aktów przemocy. O ile powtarzali je sami mormoni, było to świadectwem gorczy owej historii, którą kształtowali ci twardzi ludzie, i tego, jak to nieustępliwe postępowanie rozprzestrzeniało się na ziemi, na której się osiedlili. Ponadto pogłoski o Zadośćuczynieniu Krwi pomagały mormonom utrzymać w ryzach własnych ludzi.

Matka wspominała pełne grozy opowieści o jakichś tajemniczych dani - tach w starym Utah, którzy latami praktykowali swój nocny proceder. Wspominała również o tym, że podania te często powtarzano dzieciom, aby sobie nie myślały, iż owi danici i ich obrządku związane z Zadośćuczynieniem Krwi całkiem już wygasły w dwudziestowiecznym Utah.

Masakra w Mountain Meadows nie była jednak żadnym mitem i nie miała nic wspólnego z jakimiś czczymi pogłoskami. To się zdarzyło naprawdę, groza była dobrze udokumentowana, do tego się przyznano. Oto co tam się stało...

We wrześniu 1857 roku kolumna furgonów z emigrantami z Arkansas, znana jako partia BakeraFanchera, jechała szlakiem wiodącym przez południowe terytorium Utah w drodze do Kalifornii. Na swoje nieszczęście podróżowali przez ten region wkrótce po tym, jak mormoni otrzymali wiadomość, że maszerują na nich oddziały federalne. Brig - ham Young uznał, iż zamiary tej grupy są wrogie - spodziewano się ostatecznej rozgrywki między Świętymi a narodem, który ich wygnał - i przygotowując strategię obronną, pozyskał kilka lokalnych szczepów indiańskich, które miały mu pomóc odeprzeć atak Amerykanów.

Gdy partia BakeraFanchera dotarła do południowego skraju Cedar City, mormoni w tej okolicy powzięli straszne podejrzenie: może ci przybysze to wysunięte przyczółki wojsk amerykańskich... Do tego jeszcze paru emigrantów - ochrzczonych później mianem żbików z Missouri - przechwalało się beczelnie, że byli wśród tej straży, która kilka lat wcześniej ubiła Josepha Smitha, i że gdy tylko dotrą do Kalifornii, wrócą wszystkimi siłami i pomogą zlikwidować ocalałych Świętych z Utah. Mormoni, których rozwścieczyli przybysze z Missouri, dobrze pamiętali, co to znaczy być wypędzonym z domu przez dziki tłum, i powzięli decyzję, że nie pozwolą teraz obcym opuścić swej ziemi, by mogli później wrócić z nowymi siłami i pozabijać ich wszystkich. Zwołali spotkanie i uradzili, by przybyszów, którzy zatrzymali się na parę dni w obfitej w wodę okolicy znanej jako Mountain Meadows, potraktować jak wrogów wojennych. Wysłali posłańca do Brigham Younga w Salt Lake City, pytając go o radę. Young uspokoił ich, że ci wędrowcy na pewno nie stanowią forpoczty federalnej wyprawy i że powinni ich przepuścić bez żadnych niepokojów. Kiedy po paru dniach posłaniec wrócił do Cedar City, niemal cała partia BakeraFanchera była już wyrżnięta. A gdy Brigham Young dowiedział się o masakrze, zapłakał nad ludźmi, którzy dopuścili się takiego okrucieństwa.

Wieści o masakrze w Mountain Meadows szerzyły się błyskawicznie i wkrótce stały się głównym orężem w walce Stanów Zjednoczonych przeciw mormonom. Po upływie osiemnastu lat od tych wydarzeń aresztowano człowieka, który dowodził rzezią, zasłużonego mormona i słynnego danitę nazwiskiem John D. Lee, i w trakcie dwóch procesów, w samym

Utah i w Stanach, uzyskano lepszy obraz tego, co się naprawdę zdarzyło w Mountain Meadows. Lee był wówczas agentem na terytorium indiańskim i zgodnie z zeznaniami miejscowych Indian udał się do nich z wiadomością, że ludzie z partii BakeraFanchera trują bydło i planują wielkie gwałty. Lee poświadczył, iż byli to Indianie, którzy doznali uprzednio krzywd ze strony przybyszów; grozili mu, że jeśli nie wyda tej partii wędrowców indiańskiej sprawiedliwości, sami mormoni znajdą się w niebezpieczeństwie. Tak czy inaczej, wkrótce po tym, jak posłaniec wyruszył zasięgnąć rady Brigham Younga, grupa mormonów i Indian przypuściła atak na partię BakeraFanchera. Bitwa rozegrała się za dnia, a Lee uzgodnił ze starszymi szczepu, że jeśli tylko pozwolą oddalić się bezpiecznie kobietom i dzieciom, to mormoni pozwolą im wyrżnąć mężczyzn. Indianie - jak twierdził - zgodzili się na to, on zaś przekonał partię BakeraFanchera, że jeśli pozostali przy życiu się poddadzą, będą mogli w spokoju opuścić to miejsce. Gdy tylko wyszedł z obozu męskiego, Indianie na dany znak rozpoczęli rzeź. W morderczym zapamiętaniu nie oglądali się jednak na nic i po krwawej jatce setka z górą mężczyzn, kobiet i dzieci legła w pyłe ziemi Utah. Wielu z nich zabito z bezprzykładnym okrucieństwem.

Lee został uznany za winnego udziału w rzezi przez ławę przysięgłych złożoną z samych mormonów i skazany na śmierć.

John D. Lee nie był pierwszą osobą, którą stracono w majestacie prawa na terytorium Utah, ale żaden wyrok przedtem ani potem nie wzbudził tak szerokiego zainteresowania znaczeniem kary śmierci. Aż do sprawy mojego brata sto lat później. Na początku lat pięćdziesiątych dziewiętnastego stulecia, kiedy na terenach zamieszkanym przez większość mormońską wprowadzano kodeks prawa karnego, domagano się ukarania przede wszystkim tych, którzy winni byli zabójstw związanych ze stosowaniem doktryny Zadoścuczynienia Krwi. Skazanym na śmierć pozwalano wybierać sposób wykonania kary: rozstrzelanie przed plutonem egzekucyjnym lub ścięcie. W 1888 roku odstąpiono od stosowania ścięcia, ponieważ - co nie było żadną niespodzianką - nikt nie wybierał sobie takiej śmierci. A dla tych, którzy trochę się bali rozlewu krwi albo po prostu nie byli mormonami, zawsze istniała możliwość śmierci nie tak wyszukanej: przez zwykłe powieszenie. Trochę krwi popłynęło. Od końca lat czterdziestych dziewiętnastego wieku do roku 1977 stracono w Utah pięćdziesięciu ludzi: ośmiu przez powieszenie, jednego przez otwarcie wnętrzości, w dwóch przypadkach dane się nie zachowały, całą resztę zaś, trzydzieści dziewięć osób, rozstrzelano przed plutonem egzekucyjnym. Oczywiście w kilkunastu innych stanach, zwłaszcza na Południu, stracono w tym samym czasie znacznie więcej osób. Jednak w żadnych z tych stanów nie wykonywano tylu wyroków wiążących się z rozlewem krwi i nigdzie kodeks

karny nie precyzował sposobu wykonania kary śmierci tak, by był zgodny z doktryną religijną.

Kiedy więc Lee miał wybrać sposób egzekucji, wybrał zgodnie z własną wiarą: przez rozstrzelanie. marca 1877 roku stanął na polu masakry w Mountain Meadows.

- Nie boję się śmierci - powiedział tego ranka. - Nigdy nie będę w gorszym miejscu niż teraz. - A potem, kiedy Brigham Young potępił go przed zgromadzeniem mormonów za odstępstwo od nauk Josepha Smitha, Lee dodał: - Zostałem zamęczony w tchórzliwy, podły sposób. Nic na to nie mogę poradzić. To wszystko, co mam do powiedzenia. - (Kiedy później Brighamowi Youngowi przekazano te słowa, zgodnie z Księgą Mormona przeklął on Lee i całe jego pokolenie). Skazaniec usiadł na trumnie i rzekł: - Celujcie prosto w serce, chłopcy. Nie znęcajcie się nad moim ciałem.

Wykonawcy wyroku spełnili jego prośbę. Wystrzelili pociski z bliska prosto w serce Johna D. Lee, który padł na swoją trumnę. Jego krew wsączyła się w glebę Utah, tę samą, którą zrosiły krwią ofiary masakry z poprzedniego pokolenia. Ciało włożono do drewnianej skrzyni i wydano rodzinie, aby je pochowała.

Cała ta sprawa okazała się gwałtem zadany światu mormonów. Masakra była czymś haniebnym i podobnie niegodny był sposób wykluczenia Lee ze struktury mormonów z uwagi na rolę, jaką odegrał w tamtych wydarzeniach. (Po osiemdziesięciu czterech latach Kościół ostatecznie oczyścił imię Lee i przywrócił go do pełnego uczestnictwa, przywracając też sens jego ostatnim słowom).

Po Mountain Meadows mormoni musieli uznać, że to zabójstwo nastąpiło na ziemi obiecanej przez Boga, w tej opuszczonej Ameryce, w królestwie, które miało nadejść. Krew nie przestawała wsiąkać w ziemię, a ludzie z plemienia wybranego mogli teraz stwierdzić, że jest też na ich rękach.



## **DOM NA JORDAN LANE**

Były pewne legendy, które moja mama słyszała jako dziecko w mormońskim Utah i później przekazywała je z kolei nam, dzieciom. I była jeszcze jej rodzinna historia.

Matka mojej matki, Melissa Kerby, była wnuczką Francisa Kerby'ego i prawnuczką Emanuela Mastersa Murphy'ego. Za czasów pokolenia Melissy rody Murphych i Kerbych osiadły w okolicach Provo w Utah, około pięćdziesięciu mil na południe od Salt Lake City. U schyłku lat czterdziestych dziewiętnastego wieku Provo było drugim co do wielkości miastem regionu pod zarządem Brigham Younga i miało za sobą historię obfitującą w gwałtowne czyny w stopniu bodaj jeszcze większym niż inne kolonie mormońskie w Utah. Nazwa upamiętniała niejakiego Etienne'a Provosta; przed laty pierwszą partię przybyszów pod jego wodzą wyróżnili nad rzeką Jordan Indianie Snake. Przez pierwsze dziesięć lat istnienia Provo widziało wiele potyczek z miejscowymi Indianami o użytkowanie ziemi i wypas bydła, przy czym ofiarami większości walk byli Indianie, nie osadnicy.

W Provo odbyła się pierwsza zapisana w aktach egzekucja, jeszcze wtedy nieoficjalna. Zuchwały i złośliwy Indianin Ute imieniem Patsowits (czy Pat Souette, jak wymawiali to imię mormoni) zabił w 1850 roku osadnika, a potem ubił jeszcze parę sztuk mormońskiego bydła i koni. Zagroził też śmiercią miejscowemu wodzowi za to, iż ów przystał do mormońskich grabieżców ziemi. Patsowitsa porwali dwaj inni Indianie ze szczepu Ute, któremu zależało na dobrych stosunkach z nowymi osadnikami, i wydali go lokalnym władzom mormoń - skim. Zgodnie z wprowadzoną właśnie zasadą Zadośćuczynienia Krwi Indianina rozplątano, napelniono mu rozpruty brzuch kamieniami i wrzucono do jeziora.

Przez te wszystkie legendy mormońskie i podania indiańskie Provo zyskało sławę miejsca nawiedzonego. Opowiadano sobie historie o duchach, które przenikały przez góry i pojawiały się nocą na farmach; o duchach ludzi, którzy utracili ziemię i życie po to, by mormoni mogli tu krzewić swoje nowe zwyczaje.

W takim to kręgu urodzili się moi dziadkowie, tu także przyszła na świat i wychowywała się moja mama wraz z licznym rodzeństwem. Babcia Melissa Kerby urodziła się w 1880 w pobliżu Wallsburga jako córka Josepha Kerby'ego i Mary Ellen Murphy. Joseph Kerby był utalentowanym artystą - znano go z tego, że brał sztalugi i przybory do malowania i znikał na całe dni w którymś z wąwozów Utah, malując majestatyczne górskie widoki. Zdarzały mu się też częste załamania i nagłe zmiany nastroju, a owa potrzeba samotności musiała przysparzać wielu kłopotów jego rodzinie. Gdy Melissa miała dziewięć lat, ojciec posłał ją w okolice Heber, żeby gotowała tam i sprzątała w gospodarstwie trzech mężczyzn, którzy dla niego pracowali Babcia opowiadała potem, że cały czas czuła się bardzo samotna i



tęskniła za domem, a w jednym z takich okresów odosobnienia zaczęła z nudów pisać. Stało się to jej zwyczajem, którego już nie porzuciła; zapełniała niestrudzenie papier licznymi wierszami, sztukami, listami, opowiadaniem i dziennikami. Nie mogła przeżyć dnia, żeby czegoś nie napisać, aż do samego końca.

Choć wiersze Melissy i jej pisma kościelne były pełne charakterystycznej dla mormonów pobożności, zupełnie inny charakter miały jej opowiadania. Nieraz pisywała w pierwszej osobie jako młoda kobieta, córka samotnego i udręczonego człowieka, który siłą zatrzymywał ją w domu; musiała go doglądać i ukrywać przed światem, gdy upijał się i zachowywał grubiańsko. Bił córkę i demolował dom, a potem gryzł się z tego powodu i błagał, by mu przyrzekła, że nigdy go nie porzuci. Inne znów jej opowieści poświęcone były kobiecie, która pragnęła zdobyć miłość i oddanie młodych mężczyzn ze swego otoczenia, niekiedy dwóch lub kilku naraz, by potem niezmiennie ich odrzucić i łamać im serce. Można by stąd wnosić o rozmaitych faktach z życia młodej Melissy Ker - by, lecz nie mam żadnych podstaw, by ocenić, na ile byłoby to prawdziwe. Wiem tylko z przekazów rodzinnych, że Melissa za młodu uchodziła za ponętą, miała paru adoratorów, no i owszem, złamała kilka serc, zanim wreszcie spotkała tego jednego, którego nie potrafiła odrzucić.

Tym mężczyzną okazał się William Brown, nieśmiały i tyczkowaty facet, o sześć lat od niej młodszy i wyraźnie niedorównujący jej inteligencją. Ojciec Willa, Alma, przez całe życie mieszkał w Provo, pracując w kuźni i na kolei. W 1875 roku poślubił Mary Ann Duke i zgodnie z mormońskim ideałem mieli dziesięcioro dzieci. Will urodził się piąty. W połowie swych lat męskich Alma wpadł pod koła pociągu na stacji Provo i stracił nogę. Po tym wypadku stał się trudnym do zniesienia, apodyktycznym tyranem. W atakach najgorszej złości odczepiał drewnianą nogę i bił nią Mary Ann na oczach dzieci. Zdarzało się, iż tłukł ją tak do utraty przytomności, a raz czy dwa na parę dni musieli ją wziąć do szpitala. Gdy pewnego razu mały Will próbował temu przeszkodzić, sam oberwał tą drewnianą protezą i z paskudnie poranioną nogą trafił do szpitala. Brownowie opowiadali później historjkę, jak to koń poniósł i zrzucił Willa. Po tej nauczce chłopiec słuchał już ojca bez szemrania i wiedział, że emocje najlepiej trzymać na wodzy.

W czasie gdy Melissa spiknęła się z Willem, utrapienia z Alną już się skończyły; starszy pan zmarł na tydzień czy dwa przed ślubem syna. Kiedy się poznali, Melissa była piękną tutejszego biskupstwa. Reżyserowała sztuki, cieszyła się zasłużonym uznaniem poetki kościelnej, była prezeską Stowarzyszenia Młodych Dam i została wybrana na Boginię Wolności Provo w wielkim widowisku historycznym lipca (Święci ściągali do Salt Lake Valley na doroczne obchody tego dnia). Gwoździem wieczoru miała być sztuka, którą

reżyserowała, i kiedy owładnięty nieśmiałością W.K. poplątał swoje kwestie, jakoś ją to ujęło. A może chodziło o tę jego samotność, z którą mogła się utożsamić. Tak czy inaczej, nie potrafiła złamać mu serca.

Po półtorarocznym narzeczeństwie, 4 grudnia 1907 roku, Will Brown i Melissa Kerby pobrali się w Provo. Od samego początku strona finansowa tego związku nie była najmocniejsza. Po śmierci ojca na Willu spoczywał obowiązek opieki nad matką i rodzeństwem oraz utrzymania ich gospodarstwa, a teraz miał się jeszcze zająć nową rodziną. Co więcej, Mary Duke Brown upierała się, by dzieci zostały przy niej. Z takimi zobowiązaniami Will nie mógł za bardzo oddalać się od domu, więc po ślubie nie mieli z Melissą wyboru: zamieszkali u matki Willa i doglądali gospodarstwa. Zdaniem mojej matki Mary Brown była osobą bardzo wymagającą. I jakby tylko czekała wszystkie te lata na śmierć Alm)/, żeby przejąć jego rolę.

W 1908 roku Melissa i Will mieli pierwsze dziecko - chłopca, któremu nadali imię George. Dwa lata później narodziło się drugie dziecko, córeczka imieniem Patta, ale poród był bardzo ciężki i niewiele brakowało, by Melissa pożegnała się ze światem. Will doszedł do wniosku, że warunki życia na farmie jego matki i ciężary doglądania dwójki dzieciaków<sup>7</sup> okazały się ponad siły jego żony. Powiedział matce, że nadszedł już czas, by on i Melissa zbudowali sobie nowy dom. Mary Brown bardzo się nie podobało, że może w ten sposób stracić kontrolę nad synem, i złożyła mu pewną propozycję. Od Jordan Lane odbijała droga na szczyt góry, opasująca jej wierzchołek; rozciągał się stąd widok na łańcuch Wasatch Mountain i całą kotlinę Provo, widok istic królewski, a było tam też pewne śliczne gospodarstwo, które Mary i Alma kupili przed laty w nadziei, iż z czasem się tu przeprowadzą. Mogłaby teraz podarować synkowi i jego żonie najlepszy kawałek tej ziemi i miejsce na dom, pod warunkiem że Will nadal będzie doglądał jej gospodarstwa i obieca, że gdy tylko jego dzieciaki podrosną na tyle, by mogły unieść wiadro i wbić łopatę w glebę, też pomogą babci w gospodarstwie. Will zdawał sobie sprawę, że otwiera się przed nim szansa zdobycia najlepszej ziemi spośród wszystkich wysoko położonych gruntów Provo. Przystał na w ar miłe i matki i w krótkim czasie na tej ziemi w górę od Jordan Lane zbudował dwuizbowy dom, w którym zamieszkał wraz z żoną i dwójką dzieci.

W rok po narodzinach Patty przyszło na świat ich trzecie dziecko, dziewczynka, którą nazwali Mary, a potem, 19 sierpnia 1913 roku, urodziła się moja mama, Bessie Brown. W ciągu następnych paru lat Brownowie mieli kolejno jeszcze pięcioro dzieci: Marka, Altę, Wandę i bliźniaczki Adę i Idę. Tłoczyli się wszyscy w tym dwuizbowym domu na Jordan Lane, dziewięcioro dzieciaków, i gdy już dosłownie wchodzili sobie na głowę, Will

dobudował jeszcze dwa pokoje. W jednym z nich była sypialnia jego i żony, drugi zajmowały dziewczynki. Na tyłach domu, wśród wysokich drzew, Will wybudował składzik i szopę, w której mogli spać chłopcy (Obok szopy) postawił dużą, prostą stodołę. Dom Willa i Me - lissy był skromnym gospodarstwem, ale nigdy nie chcieli mieć za dużo, głównie dlatego, że Will i dzieci bardziej musieli się zajmować gospodarstwem jego matki przy drodze aniżeli swoim własnym.

Podobnie jak inne małe gospodarstwa w Provo, farma Willa dostarczała wprawdzie dość owoców i jarzyn, by wykarmić żonę i dzieci, ale niewiele więcej. Jeśli idzie o mleko, mieli krowę, która nazywała się Bessie. Moja matka nie cierpiała tego zwierzęcia. Nie dość, że musiała dzielić z nim to swojskie imię, to jeszcze dowiedziała się, że krowa otrzymała je pierwsza, co prowadziło do niekończącej się serii żartów. Mijały lata i aż do śmierci matka toczyła zawziętą wojnę, żeby zdjąć z siebie to piętno krowiego imienia.

- Moje prawdziwe imię to Betty, nie Bessie - wyjaśniała. - To skrót od Elżbiety, królowej Anglii.

Nigdy jej nie pytałem, którą królową Elżbietę miała na myśli, ale przecież wiem, że chodziło o tę aktualną, która urodziła się w 1926 roku, trzynaście lat po Bessie Brown.

Dzieciaki Brownów przez większość czasu chowały się same. Will, poza pracą w gospodarstwie swojej matki, podjął się obowiązków woźnego w miejscowej szkole; został też strażnikiem wodnym w Grandview Hills i pilnował, by woda spływała do kanałów irygacyjnych. A do tego na każde wezwanie wykonywał jeszcze prace w kuźni. Tymczasem słuch Melissy po urodzeniu bliźniaczek zaczął mocno szwankować. Krótko mówiąc, rodzina była zbyt liczna, za dużo było obowiązków, a za mało na to wszystko czasu. Will i Melissa spłodzili tyle dzieci, ponieważ jako mormoni powinni mieć liczne potomstwo. Nie starczało już czasu na to, by zapewnić każdemu dziecku indywidualną opiekę. Rozumiało się samo przez się, że wszystkie muszą ciężko pracować i pomagać sobie nawzajem. A gdyby któreś z nich zanadto odbiegało swym zachowaniem od dopuszczalnej normy, gdyby było nazbyt buntownicze, nieposłuszne lub naruszało w rażący sposób wartości społeczności czy Kościoła, zostałyby po prostu przegnane. Tak wówczas postępowano.

Kiedy byłem mały, wydawało mi się to takie wspaniałe, że mama wychowywała się na farmie. Ale ona najwidoczniej miała na ten temat odmienne zdanie.

- Nienawidziłam tej roboty w gospodarstwie, stale brudziłam sobie ręce - mówiła. - A miałam przecież piękne ręce. Nie mogłam na to patrzeć, jak się niszczą przy pielieniu ogórków czy zrywaniu fasoli. Nie było mi wcale wszystko jedno, jak pocziwej babci Brown. Ona nawet o tym nie myślała.

Jak tylko jej się udawało, matka pod byle pozorem wymigiwała się od pracy w gospodarstwie. Miała swoją ulubioną kryjówkę na farmie babci, wygrzebała sobie taką jamę w piasku. Przebywała tam całymi godzinami, znosząc gałązki i kamienie, a bywało, że i lalki swych sióstr. Ta jama musiała być chyba bez dna.

Zdarzało się, że Bessie schodziła w dół Jordan Lane, zapuszczając się w kotlinę, gdzie Cyganie rozbijają w sezonie obozy. Nikomu nie wolno było tam chodzić.

- Cyganie kradną dzieci - ostrzegła ją matka. - Ale ty nie musisz się tym martwić. Kradną tylko ładne.

Przez większość czasu Bessie starała się przebywać w pobliżu ojca, bawiła się przy nim, obserwowała, jak na kowadle kuje podkowy i przybija je potem koniom do kopyt. Postanowiła sobie, że będzie ukochaną córeczką Willa Browna i że ojciec będzie ją zabierał wszędzie, gdzie tylko ona zechce. Któregoś dnia zapragnęła to sprawdzić. Kiedy rankiem stawała w otwartych drzwiach domku Brownów, jej wzrok padał najpierw na linię masywu Wasatch Mountain, długiego, gigantycznego grzbietu, sprawiającego wrażenie, jakby unosił się nad ziemią, chroniąc przed resztą świata lud boży. Jedna z tych gór w szczególny sposób odróżniała się od pozostałych - ta sama, na której Brigham Young University wznosił później z błyszczących białych kamieni wielką literę „Y”. W te wieczory, kiedy drużyny piłkarskie uczelni czciły zwycięstwo, gracze wspinali się na górę i rozniecali na tych kamieniach pochodnie; płomienistą literę „Y” można było widzieć z całej kotliny. Bessie kochała tę górę bardziej niż cokolwiek innego w Utah. Wpatrywała się w nią godzinami, powierzając jej swoje sekrety. Prawdę mówiąc, modliła się do tej góry może bardziej namiętnie, niż kiedykolwiek modliła się do Boga swego ludu. Postanowiła wreszcie, że podobnie jak miłość ojca, góra będzie nagrodą, która należy się wyłącznie jej.

- Tatko - spytała pewnego popołudnia, patrząc, jak ojciec uwija się przy kowadle. - Czy mogę mieć tę górę? Czy mogę ją mieć na własność?

Ojciec odstawił na chwilę młot, żeby spojrzeć na górę, i wzruszył ramionami.

- No pewnie, a czemu by nie? - odparł i wrócił do pracy.

- Dobra, góro - powiedziała Bessie. - To jesteś moja.

Parę tygodni później bawiła się w stodole, w pobliżu pracował jej ojciec. Nagle zobaczyła stary drewniany kufer zamykany na gwoździe.

- Co tam jest? - spytała.

Ojciec podszedł i wyjął gwoździe z wieka.

- Otwórz i zobacz sama - odparł.

Mama otworzyła skrzynię i ujrzała w środku drewnianą nogę, którą Alma Brown bił

żonę i syna. Krzyknęła, zatrzasnęła wieko i zaczęła beczeć. Will stał obok niej i pokładał się ze śmiechu.

Byłem w rodzinie jedyną osobą, która nigdy nie odwiedzała farmy matki. Bracia bywali tam po parę razy w roku, gdy tylko ojciec miał trochę wolnego, i znali tamtejsze zwyczaje opowieści nie gorzej niż matka.

Pewnego dnia na początku 1959 roku Bessie dostała wiadomość, że jej ojciec miał wylew krwi do mózgu i jego życie dobiega kresu. Nie była tam, odkąd się urodziłem, więc postanowiła, że wybierze się razem ze mną pociągiem do Utah i wreszcie zobaczę dom dziadków.

Miałem wtedy osiem lat i dziś jeszcze mnie zadziwia, jak dobrze pamiętam wszystkie szczegóły tej podróży. Starszy brat mamy, George, po którym mam drugie imię, odebrał nas wieczorem z dworca. Sprawiał wrażenie kogoś nieśmiałego i wyglądał naprawdę zabawnie: szczupły starszy pan z wąsem, we flanelowej koszuli, w grubej czapie z nauszni - kami i zimowym płaszczu. Wprowadził nas do swego wysłużonego kombi, a kiedy byliśmy u stóp góry wznoszącej się nad Provo, uprzedził Bessie, żeby mówiła głośno i nie ustawiała się bokiem do matki. Melissa słyszała już wtedy bardzo kiepsko, a były takie dni, kiedy nawet aparat słuchowy niewiele jej pomagał.

Wjechaliśmy na długi wyboisty podjazd, minęliśmy mały domek i znaleźliśmy się na podwórku. W blasku księżyca pomyślałem sobie o stodole i tych wielkich drzewach, których się bałem. Weszliśmy do domu tylnymi drzwiami przez kuchnię; wyglądała tak, jakby tapeta w kwiatki i staromodny telefon na ścianie pamiętały jeszcze czasy młodości mojej matki. W rogu, na bujanym fotelu, siedziała z zamkniętymi oczami babcia. Głowa opadła jej w dół, a okulary zsunęły się do połowy nosa. Nie wiedziała, że już jesteśmy, dopóki George nie klepnął jej lekko w ramię. Otworzyła oczy, z tym nagłym błyskiem strachu i smutku, jaki zdarza się podczas raptownego przebudzenia i powrotu do bolesnej rzeczywistości, a potem zobaczyła moją mamę. Zerwała się na nogi i natychmiast objęła córkę. Było to szybkie pojednanie i być może obie pokonały w tej chwili lata dystansu. Rozmawiały aż do nocy, a George pokazywał mi w ciemności gospodarstwo.

Gdy nadeszła pora, by się położyć, Melissa zaprowadziła nas do pokoju, w którym niegdyś sypiała Bessie z siostrami. Nie mogłem zasnąć, podekscytowany tym, że znalazłem się w Utah. Nie ruszałem się, wiedziałem, że mama ma lekki sen. Dopiero po chwili zorientowałem się, że płacze. Spojrzałem na nią. Odwróciła się plecami, ale byłem pewny, że trzyma rękę na ustach, wstrząsana takim nieopanowanym, spazmatycznym szlochem, jakiego nigdy przedtem nie słyszałem. Ani u niej, ani u nikogo innego. Coś mnie tknęło, żeby

zostawić ją w spokoju. Pomyślałem sobie, że płacze, bo jej ojciec jest bliski śmierci, i może miałem rację, choć wydaje mi się raczej, że to wspomnienia tego miejsca tak ją poruszyły.

Kiedy przebudziłem się rano, mama już wstała. Zobaczyłem, jak stoi w otwartych drzwiach wejściowych. Patrzyła na tę górę, którą przed laty chciała mieć na własność. A kiedy i ja ją zobaczyłem, mogłem lepiej zrozumieć to szczególne upodobanie matki. Góra była dumna i wyniosła jak sama Bessie Brown.

- Czy to jest ta twoja góra? - spytałem.

- Tak, to moja góra. Rozmawiałam z nią. Umiem słuchać tego, co mówi, a dziś rano powiedziała mi, że mój ojciec nie przeżyje.

- Och, mamó, wszystko będzie dobrze - pocieszałem ją, choć wiedziałem, że z pewnością miała rację. Było to moje pierwsze zetknięcie ze śmiercią, jej bliskość zarówno mnie podniecała, jak i przerażała. Niebawem to podniecenie śmiercią minęło, a bojaźń wzrosła.

- Nie - odparła. - Nie dojdzie już do siebie. Tym razem wybiła jego godzina. - Skrzyżowała ręce na piersi w rodzinnym geście, którym zamykała dyskusję, i stała tak, patrząc jeszcze jakiś czas na górę. A potem, ze wzrokiem wbitym w ziemię, wróciła do tego starego domu. Ja zaś zostałem, patrząc na górę mojej matki i próbując sobie wyobrazić, jak można z czymś takim rozmawiać i słuchać, co ci powie.

Resztę tego dnia i większość następnego spędziliśmy z rodziną z Utah, składającą się głównie z ciotek, ckliwych i słod - kawych na zewnątrz, okropnie przy tym grymaśnych, jeśli idzie o maniery przy stole i modły do obiadu. Nie zbliżyłem się też za bardzo z moimi kuzynami. Wydali mi się afektowani i równocześnie złośliwi w ten charakterystyczny sposób, właściwy dobrze wychowanym mormońskim dzieciakom; pamiętam przepychankę, w jaką się wdałem z jednym z nich. Zupełny wyjątek na tle całej tej rodziniki stanowiła ukochana siostra mojej matki, Ida. Kiedy Melissa czuła się już bardzo przeciążona obowiązkami przy dziewięciorgu dzieciakach, wyznaczała Mary do opieki nad Adą, a moją mamę do opieki nad Idą. Mary podjudzała Adę do rywalizacji z bliźniaczą siostrą i powtarzała Idzie, że jest brzydszą z bliźniaczek (tak przynajmniej relacjonowała to moja mama). Bessie z kolei faworyzowała Idę, ubierała ją w najładniejsze łąszki i kupowała jej specjalne wstążki do włosów<sup>7</sup>. Po wielu latach na stosunkach między mamą a Idą zaciążyły ich własne kłopoty. Ida żyła w przykładowym związku małżeńskim z dobrym trzeźwym mężczyzną, jej dzieci były kochane i szanowane, a trudności zdarzały się jedynie sporadycznie. Natomiast mama wyszła za mąż za pijaka, który zostawiał ją regularnie, a co do dzieci... no tak, nie było się czym pochwalić, choćby nie wiem jak się chciało.

Ale podczas naszej wizyty w<sup>f</sup> Utah o tych różnicach nawet nie wspomiano. Tu było inaczej: odżywały dawne uczucia i związki lojalności. Gdy tylko Bessie i Ida się spotkały, nie mogły przestać gadać, śmiać się i płakać, a drugiego dnia naszego pobytu Ida uparła się, że musimy przenieść się do niej, by poznać jej męża, Vernona Damico, i ich dziewczynki. Vern okazał się wysokim, krzepkim mężczyzną, który chodził utykając - pozostałość po starej wojennej ranie. Na głównej ulicy Provo miał dobrze prosperujący sklep z butami, w którym spędziłem swoje najszczęśliwsze godziny w Utah. Patrzyłem na jego wielkie dłonie, gdy podzelowywał obuwie; pewnie w taki sam sposób mama musiała przyglądać się swemu ojcu podczas pracy. Vern był nie tylko porządnym człowiekiem, ale i dobrym wujem: postawnym, ciepłym, opiekuńczym i tryskającym humorem. Nosił też okazałe wąsy, które czyniły go podobnym do komika Erniego Kovacsa. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że miały one przesłaniać zajęczą wargę. Vern musiał znosić mnóstwo przytyków<sup>7</sup> i złośliwości z powodu tej szczególnej skazy, miał ciężkie dzieciństwo. Lecz nigdy nie zauważyłem w nim nawet śladu tej goryczy. Pomyślałem sobie, że to pierwszy mężczyzna, którego chciałbym za ojca.

Vern i Ida mieli dwie nastoletnie córki, Brendę i Toni. Skończyłem wprawdzie dopiero osiem lat, ale gdy tylko je ujrzałem, od razu wiedziałem, co to znaczy, że ktoś jest dla nas atrakcyjny i podniecający. Brenda i Toni wpadły mi w oko, co zresztą nie łączyło się z niczym krzykliwym czy niestosownym. Słodkie i opiekuńcze, były dla mnie jak siostry. Czułem się bezpieczny w domu Idy/ i Verna. Pamiętam, jak wówczas pomyślałem: dobrze byłoby mieć taką rodzinę. A potem się dowiedziałem, że te same myśli przychodziły do głowy moim braciom, przynajmniej kilka razy do roku, z czego wyniknęły w końcu tak okropne skutki dla nas wszystkich.

Trzeciego czy czwartego wieczoru pobytu w Provo siedziałem z matką i babcią na ganku domu dziadków. Drużyna piłkarska BYU wygrała właśnie mecz i gracze wspięli się na górę Bessie, żeby rozpaść literę „Y”. Mama była podniecona tym, że będę świadkiem owego rytuału. Siedzieliśmy tam i patrzyliśmy na płonące „Y”, póki blask nie przygasł. Parę minut później ujrzelśmy, jak od strony drogi prowadzącej do starego gospodarstwa Mary Brown wyłania się z ciemności coś białego i idzie prosto ku nam. Zbliżało się tak szybko, że można by sądzić, iż unosi się stopę nad ziemią. Powyżej tej białej postaci, która wyglądała jak suknia marszcząca się w nocnym powiewie, widzieliśmy dwoje rozżarzonych oczu patrzących w naszą stronę.

Bessie i Melissa zerwały się w jednej chwili.

- To duch - powiedziała babcia, a mama dotknęła mego ramienia i popchnęła mnie lekko w stronę domu.

Chciałem się zbliżyć do tej białej postaci, przecież nigdy przedtem nie widziałem ducha; chciałem się przekonać, co nastąpi, gdy to coś do nas podejdzie, ale Bessie

i Melissa zabrały mnie z ganku. Mogłem popatrzeć tylko przez chwilę z frontowego okna. Kiedy weszliśmy do środka, zjawą zatrzymała się. Przechodziła jeszcze kilkakrotnie przez drogę, jakby czekała na coś, co ma się zdarzyć, a może po prostu nas obserwowała. Po minucie czy dwóch nagle odeszła, cofając się w mrok, skąd przyszła.

Kiedy później opowiadałem o tym ojcu, roześmiał się.

- To nie był żaden duch - powiedział. - To musiał być pies sąsiada, który ściągnął ze sznura jakąś starą białą koszulę i szukał kogoś, żeby się popisać. To, co ci się zdawało, to tylko głupie przesady starych mormonów.

Mój dziadek, Will Brown, zmarł w wieku siedemdziesięciu trzech lat w noc po pojawieniu się ducha. U jego wezgłowia stał biskup Kościoła, żona i wszystkie dzieci. Niezbyt dobrze to pamiętam, nigdy nie widziałem go za życia, ale trzydzieści parę lat później, gdy przeglądałem ostatnie zapiski Melissy natrafiłem na coś, co poruszyło mi serce. Było to wszystko beznadziejnie nudne - strona po stronie o haftowaniu serwetek dla wnuków, smażeniu pieczeni dla gości czy odkurzaniu bibelotów. Nawet ta relacja o wylewie mózgowym jej męża była jakaś bezkrwista. A potem, pisząc oostatniej nocy Willa Browna, Melissa zanotowała te pięć słów o jego odejściu w ciemność: „Patrzyłam, jak umierał. Tak ciężko”. Już nigdy potem nie myślałem o tych ludziach, że żyło im się lekko.

Pogrzeb Willa Browna był jednym z największych, jakie Provo oglądało w ciągu ostatnich lat. Widocznie każdy chciał uczcić pamięć starego szkolnego woźnego. W kościele siedziały w pierwszych ławkach, na wprost otwartej trumny z ciałem mojego dziadka, wszystkie wnuczeta i różne inne szkraby. Nigdy dotychczas nie widziałem z bliska nieboszczyka. Patrzyłem na białe włosy Willa Browna i nic nie czułem. Musiałem chyba być jak sparalizowany, gdy tak przyglądałem się martwemu ciału. Było coś nierzeczywistego w tym wpatrywaniu się w zwłoki; czułem, że to powinno być zakazane jak jawny seks, tyle że śmierć - jak się potem miałem przekonać - jest jeszcze bardziej obrzydliwa.

Długi szereg limuzyn i zwykłych wozów ruszył w kierunku miejskiego cmentarza. Staliśmy nad świeżo wykopany grobem, a trumna z ciałem mojego dziadka spoczywała obok głębokiej jamy. Całe wieko pokrywały wieńce, a dzieci Willa Browna podchodziły jedno za drugim do trumny i dodawały do tej sterty po jednym kwiatku. Gdy przyszła kolej na mego wuja George'a, zatrzymał się na moment, szukając miejsca na swój kwiat. W końcu upuścił go na tę stertę, a kwiat sam dołączył do innych. Wydawało mi się wówczas, że dziadek wyciągnął rękę i przygarnął tę różę. Całymi latami miałem przed oczami ten obraz,



często pojawiał się też w moich snach.

Kiedy odchodziliśmy od mogiły, nastąpiłem przez przypadek na płytę nagrobkową. A potem, już z rozmysłem, nastąpiłem na nią jeszcze raz, i jeszcze. Może usiłowałem w ten sposób pozbyć się lęku, jaki czułem, będąc tak blisko śmierci. Nie wiem. To, co zrobiłem, było takie dziecinne lekkomyślne, że usłyszałem głosy dezaprobaty moich ciotek i kuzynów. Pamiętam jeszcze, jak jeden z surowych mormońskich patriarchów pochwycił mnie, obrócił w miejscu i wymierzył palec w moją twarz.

- Nigdy nie lekceważ śmierci, młody człowieku - powiedział. - Nigdy! Pamiętaj o tym, że żyjesz na kredyt.



### **ALTA I MARTWY INDIANIN**

Niedawno znów odwiedziłem gospodarstwo Brownów. Kuzynka Brenda zabrała mnie na przejażdżkę po Grandview, zabudowanym teraz ślicznymi, schludnymi domkami. Dawna Jordan Lane nazywa się obecnie Jordan Avenue, a na samym jej końcu jest posiadłość, która niegdyś stanowiła własność moich dziadków. Należy do kuzyna, syna jednej z sióstr mojej matki. Ogrodził tę ziemię płotem (a może zrobił to ktoś inny) i postawił tabliczkę: PRZEJŚCIA NIE MA, WŁASNOŚĆ PRYWATNA. Było coś nierzeczywistego w tym ogrodzeniu: miałeś poczucie, że to, co ci zabrania wstępu, to nie tyle własność prywatna, ile historia. Przeszłość, o której lepiej zapomnieć. Choć przecież nie dotyczyło to tego, co widziałeś. Wszystko, co kiedyś tu było, zmieniło się lub zostało zrównane z ziemią, przekształciło się we współczesną zabudowę, we współczesną przyziemność. Oczywiście nie można mieć to pretensji. Któż by chciał wegetować w dwuizbowej chałupie tylko dlatego, że jego dziadkowie tak mieszkali? Któż by się upierał zachować ten zabytek dawnego ubóstwa pokrzyżować nadzieje rodziny, zamieniając go w nie - odwiedzone i niekochane muzeum? A jednak, patrząc na to inaczej, nie dokonała się tu żadna zmiana. Odnosiłeś wrażenie, jakbyś

znalazł się w miejscu, gdzie duch utraty przetrwał niemal stulecie. Są rzeczy, które nie rozplývają się w powietrzu tylko dlatego, że na ziemi coś się zmienia.

Zaparkowaliśmy od frontu, gdzie jacyś chłopcy majstrowali przy samochodzie, a ponieważ istotnie znaleźliśmy się na terenie prywatnym, powitały nas zaciekawione spojrzenia. Brenda zapytała o naszego kuzyna. Wszedł przed dom, zachowywał się grzecznie, lecz zarazem nieufnie; może nie za bardzo miał ochotę spotkać kogoś, kto mu przypominał tamtą paskudną historię, na skraju swojego frontowego trawnika. Pogadaliśmy o tym i owym przez parę chwil, ale nie doczekaliśmy się zaproszenia, by wejść do środka czy rozejrzeć się po gospodarstwie, naszej dawnej własności. Po jakimś czasie Brenda pożegnała się i wróciliśmy do wozu. Gdy odjeżdżaliśmy, wskazała na kawałek ziemi tuż przed posesją, w miejscu, gdzie ziemia pochylała się i opadała stromo ku wąwozowi w dole.

- Tam się to stało - powiedziała, a ja od razu się zorientowałem, co ma na myśli.

W tym miejscu ponad sześćdziesiąt lat temu rozegrała się tragedia, która weszła w życie Brownów nagłym i strasznym ciosem, nie do zapomnienia i nie do wymazania. W świetle zachodzącego słońca wyglądało to tak, jakby jeszcze była w tym miejscu plama krwi, która zniweczyła tyle nadziei, a w oczach mojej matki oznaczała nieodwracalną katastrofę, której żaden upływ czasu, żadna zmiana pogody nie były w stanie zatrzyć.

*TL* biegiem lat ród Brownów rozpadał się na dwa obozy: grzeczne dzieci i buntowników. Do tego pierwszego należeli ci, którzy byli pilnymi pracownikami w gospodarstwie, jak Mark, Mary i Wanda. Do drugiego - ci, którzy musieli postawić na swoim i dumę poczytywali sobie za punkt zasługi, jak George i Patta, a z czasem dołączyła do nich i moja matka. Gdzieś między tymi dwiema frakcjami tkwiła Alta, która urodziła się pięć lat po Bessie. Stanowiła jakby punkt graniczny, oddzielający w rodzinie młodsze i starsze dzieci. Ale była takim punktem zwrotnym również w innym sensie.

Na zdjęciach rodzinnych Alta sprawia wrażenie osoby szczerzej i niezłomnej, jak większość dzieci pionierskich rodów. Miały zawsze takie poważne twarze. Tyle że z jej oczu wyziera niewątpliwa, żywa inteligencja. Wyglądała na kogoś, kto bez mrugnięcia okiem mógł każdego wystrychnąć na dudka. Chyba dlatego lubiano ją najbardziej ze wszystkich dzieciaków Brownów - do tego stopnia, że wiadomość o jej śmierci opatrzone w gazetach Provo tłustym nagłówkiem. W oczach rodziców Alta była dzieckiem idealnym: skromna i posłuszna, bez najmniejszego ociągania wykonywała wszystkie polecenia i zносиła do domu same dobre stopnie, którymi nagradzano ją i w szkole, i w kościele. Jednak zdaniem mojej mamy było w niej coś więcej. Alta wiedziała, jak trzeba się zachować, żeby ludzie ją lubili, ale pod tą pokrywką uległości wiodła własne życie. Podobnie jak Patta i moja mama, robiła

to, co chciała, ale w tajemnicy, nie afiszując się przed innymi. Podczas gdy Bessie i Patta wbrew nakazom rodziców do późna przebywały poza domem, ściągając na siebie w chwili powrotu gromy świętego oburzenia, Alta czekała, aż rodzice zasną, a potem wymykała się i spotykała z siostrami czy z chłopcem. Nie miała z tym żadnych kłopotów - głuchota Melissy posunęła się już do tego stopnia, że nie słyszała ona odgłosów otwierania ani zamykania okna w przyległym pokoju dzieci.

Mimo że mama była o pięć lat starsza, Alta wydawała jej się bliższa niż pozostałe siostry i tego samego doświadczała z jej strony, tak przynajmniej zawsze twierdziła. Zwierzały się sobie z najtajniejszych sekretów i chociaż Bessie daleko było do subtelności towarzyskiej Alty, szczerze ją podziwiała.

- Alta była najlepsza z nas wszystkich - mówiła moja mama. - Miała najlepsze zadatki. Nigdy nie otrząsnęliśmy się po jej utracie. Już nie byliśmy taką rodziną jak dawniej.

Na tydzień przed Halloween 1929 roku, gdy Alta miała jedenaście lat, a Bessie szesnaście, obie dziewczynki uczestniczyły pewnego popołudnia wraz z całą rodziną w zajęciach szkółki niedzielnej. Biskup przestrzegał właśnie przed próbami kontaktowania się ze zmarłymi za pomocą stolika ouija, wspominał też o innych akcesoriach seansów spirytystycznych. Mormoni powinni szczególnie wystrzegać się spirytyzmu - mówił biskup. Duchy naprawdę istnieją, Święci wiedzą o tym. lepiej niż inni. W końcu to duch, pod postacią anioła Moroniego, zaprowadził Josepha Smitha do złotych tabliczek u zarania ich religii. A potem, w kolejnych pokoleniach, duchy objawiały się mormonom tysiące razy, na tysiąc różnych sposobów. Jednak pewne duchy - przestrzegał biskup - są jak niektórzy ludzie: wpędzają innych w kłopoty i zachowują się niegodziwie. Można je wywoływać za pomocą takich instrumentów jak stoliki ouija, zwłaszcza podczas seansów spirytystycznych, ale wszelkie kontakty okultystyczne mogą być sprawką Szatana. Gdy taki duch wejdzie już w życie jakiejś osoby, może ją całkowicie opanować, nakłonić do nieposłuszeństwa, do popełnienia jakichś niewybaczalnych uczynków lub nawet przywieść do strasznej śmierci. Biskup znał osobiście młodych mormonów, którzy zbłądzili na manowce. Próbowali się kontaktować ze zmarłymi, ale przydarzyło im się coś złego i jednego z nich czy też obu znaleziono przywartych do ściany, ze zbielełymi ze zgrozy włosami i ze stolikiem ouija u stóp.

Dobrej zabawy w Halloween - zakończył biskup. Możecie się przebierać, wygłupiać i napędzać sobie stracha. Ale pamiętajcie, że jesteście Świętymi, a Święci nie zapraszają złych duchów pod swój dach.

Jakiś tydzień potem czy może trochę później, gdy Bessie, Alta i reszta szły główną

ulicą Provo, wstępując do sklepów po różne ozdoby na obchody Halloween, Bessie w tanim sklepie ze szpargalami wypatrzyła stolik ouija. Kupiła go, schowała do torby wraz z innymi rzeczami i niepostrzeżenie przyniosła do domu. A w nocy gdy rodzice poszli już spać, Bessie i Alta zapaliły świeczkę w pokoju dziewcząt. Siadły naprzeciw siebie na podłodze, skrzyżowały nogi położyły sobie stolik na kolanach. Pozostałe dziewczynki usiadły na łóżkach, by zobaczyć, co się będzie działo. Patta przyłączyła się do Bessie i Alty, ale Mary była oburzona.

- Co wy robicie? Czy nie słyszałyście, co powiedział biskup? Chcecie sprowadzić diabła na nasz dom?

- Zaraz pójde po mamę - zapiszczała lekliwie Wanda.

- Lepiej tego nie rób, chyba nie chcesz oberwać po gębie. - Bessie posłała jej groźne spojrzenie, po czym odwróciła się do Alty i Patty.

Wszystkie trzy przyłożyły koniuszki palców do ruchomego serduszka na powierzchni stolika. Siostry otoczyły je kręgiem, stojąc jak skamieniałe, trzęsąc się ze strachu i podniecenia zarazem.

- O co spytamy? - zaczęła Patta.

Bessie popatrzyła na Altę i wzruszyła ramionami. Ta zamknęła oczy, pochyliła się i wyrecytowała śpiewnie:

- Czy jest tam kto?

W pokoju zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na serduszko. Po paru chwilach zaczęło się poruszać wraz ze spoczywającymi na nim czubkami palców dziewczynek. Powoli, kanciastymi ruchami serduszko posuwało się ku brzegowi stolika, gdzie było słowo TAK.

Bessie, Patta i Alta spojrzały po sobie z szeroko rozwartymi oczami. Udało im się nawiązać kontakt. Żadna ich modlitwa nie została wysłuchana tak szybko i tak nieodparcie.

Alta znów zamknęła oczy i spytała:

- Kim jesteś? Tym razem serduszko poruszało się szybciej, skacząc od literki do literki, co ułożyło się w odpowiedź: JESTEM - MARTWYM INDIANINEM.

- Martwym Indianinem? - spytała Bessie.

Naraz dziewczęta usłyszały jakieś niesamowite wycie, które piekielnie je nastraszyło. To była Wanda, która dygotała i krzyczała. Nim ktokolwiek zdołał ją zatrzymać, wybiegła z pokoju, wrzeszcząc wniebogłosy.

Melissa może i coś słyszała, ale nie za dużo. Wpadła do sypialni i zobaczyła stolik ouija na kolanach córek.

- Co to robi w moim domu?! - krzyknęła.

Nikt nie wyrzekł słowa.

Zwróciła się do Alty.

- Mogłabym się tego spodziewać po Patty i Bessie - powiedziała. - Nie zdziwiłabym się, gdyby to one zadały się ze złem. Ale ty, Al to?! Ty uczestniczysz w czymś, co może sprowadzić zło na nasz dom? Czy nie wiesz, że to obraża Boga? Czy nie wiesz, jaka jest za to kara?

Alta wyglądała, jakby w nią piorun trząśł.

- Przepraszam, mamó. Chciałyśmy tylko spróbować. Zaraz to odłożymy.

- Nie - odparła Melissa. - To nie wystarczy. Wyrzucicie tę rzecz. Włóżcie ją do pieca i spalicie, i to zaraz. Ty to zrobisz, Alto. Ty sama.

Stała i patrzyła, jak córka się ubiera. Potem wypchnęła Altę z sypialni, zatraskując za nią drzwi.

Gdy tylko wyszły, Bessie obróciła się do Wandy:

- Skarżypyta!

Wanda znów zaczęła się mazać.

- Zostaw ją - powiedziała Mary. - To ty napytałaś biedy, przynosząc tu to paskudztwo.

Po półgodzinie Alta wróciła. Gdy wszystkie dziewczynki już spały, szepnęła Bessie do ucha:

- Mama wróciła do łóżka. Ukryłam stolik w stodole.

Incydent ze stolikiem ouija stał się na parę dni powodem utrapień i wyrzekań w domu Brownów. Siostry znosiły kazania w milczeniu, ale tylko Alta okazywała wyrzuty sumienia.

Zbliżał się wieczór Halloween. Brownowie udali się na przyjęcie kostiumowe do zboru w Grandview, gdzie każdy tańczył i śmiał się aż do zawrotu głowy i zupełnego upojenia tymi wszystkimi frywolnościami.

Około drugiej nad ranem Alta i Bessie wymknęły się z sypialni przez okno i poszły do stodoły. Była cicha jesienna noc. Bessie zapaliła lampę naftową, a Alta zanurkowała po stolik ouija. Najwyższy czas, by odnowić kontakt z duchem.

Bessie i Alta rozsiadły się, same w stodole, i ze stolikiem na kolanach, a palcami na ruchomym serduszkach, zadały identyczne pytanie jak przedtem. I znów spod ich palców wypłynęły słowa: JESTEMM ARTWYMINDI ANIN EM. ZOSTA - ŁEMZABITYBOSAMZABTŁEM. TENCZŁOWIEKMNIE - OKRADŁ. CHCĘWRÓCIĆ...

Usłyszały skrzypienie wrót stodoły. W niewyraźnym świetle ujrzały idącą ku nim postać. To był ojciec. Bessie mogłaby pewnie odetchnąć z ulgą, gdyby nie to, że dostała już

od niego parę surowych lekcji. Will Brown był bardzo miłym człowiekiem, dopóki się go nie rozgniewało. Potem już wcale nie był miły.

Podszedł ku nim.

- Wywołujecie duchy w środku nocy? - spytał. - Jesteście jeszcze moimi dziećmi czy należycie już do diabła? - Podniósł siekierę. Wyrwał im z rąk stolik ouija i roztrzaskał go na kawałki. - Jeśli jeszcze raz zastanę was modlących się do diabła - powiedział - zabiorę was do danitów.

Na tym się skończyła przygoda ze stolikiem ouija w domu Brownów. W nadchodzących tygodniach Bessie i Alta próbowały raz czy dwa nawiązać kontakt z duchem, w ustronnych miejscach z dala od domu, trzymając ręce wyciągnięte w mrok. Ale już nic się nie zdarzyło. Nie usłyszały żadnych głosów, nie zmaterializowały się przed ich oczami żadne obrazy. Z równym powodzeniem mogłyby się oto modlić.

A

Święta przysły i minęły, nadszedł Nowy Rok. W drugim tygodniu 1930 roku Provo zatoneło w śniegu, który pokrył dolinę i góry. Padał do końca tygodnia.

## C DRI

### CZARNA OWCA I ODTRĄCONY SYN



Pewnej nocy, zaraz po tym jak spadł śnieg, na dziedzińcu obejścia w Provo zabłąkał się biały koń. Grandview było małą społecznością i każdy wiedział, jakie inni mają konie, tak jak znał wszystkie dzieciaki sąsiadów, a już Brownowie dobrze wiedzieli, do kogo należała ta pięknie utrzymana, wyglądająca jak zjawia klacz. Bessie i jej siostry wyszły na dwór pogapić się na zwierzę, Alta znalazła się najbliżej i gładziła końską grzywę. Kiedy Melissa zobaczyła córki przy obcym koniu, kazała im wracać do domu. Próbowwała odgonić zwierzę, lecz ono ledwie na nią spojrzało.

Klacz jeszcze przez kilka godzin przyglądała się domowi, jej sierść lśniła w zimowym

blasku księżycy. Odgonił ją dopiero Will Brown, gdy wrócił po pracy w szkole.

Późnym wieczorem moja mama usłyszała rozmowę rodziców.

- Wiesz, co to znaczy, kiedy przychodzi biały koń - powiedziała babcia. - To znaczy, że ktoś w tym domu umrze.

- Nie jestem pewien - odparł Will - czy Pan Bóg tak postępuje.

Następnej niedzieli pod wieczór sąsiad zaprzął konia, żeby urządzić sanne wokół Grandview, i zaprosił dziewczynki Brownów. Alta i Wanda pobiegły do matki spytać, czy mogą się przejechać ulicą na saniach. Melissa знаła tego mężczyznę i znała konia - spokojne, przyjazne zwierzę - ale pokręciła przecząco głową.

- Nie ma powodu, żeby odmawiać - powiedziała - ale powiem wam: nie. Mam takie dziwne przecucie.

Dziewczynki były niezadowolone, ale nie mogły nic poradzić.

Kiedy Melissa wróciła do swoich zajęć, nadeszła Alta i skinęła na Bessie.

- Wiesz co, Bess, możemy się zacząć tam przy zakręcie i wskoczyć na sanie, jak będą zjeżdżały z górki. Mama nawet nie zauważy.

Tym razem przecucie kazało Bessie poprzeć matkę.

- Nie - powiedziała. - To chyba nie jest dobry pomysł.

Alta zwróciła się do Wandy.

- A może ty byś ze mną poszła?

Wanda zawahała się. Nie chciała, żeby ją oskarżano nieposłuszeństwo wobec matki. No dobrze, ale cóż może być złego w jeździe na saniach? Obie dziewczynki wybiegły przed dom i zeszły trochę z górki, niewidoczne z obejścia.

Bessie stanęła przed frontowym gankiem, przyglądając się, jak Ada z Idą próbują ulepić bałwana, i czekała, aż podjadą same. Chwilę później koń równym galopem wypadł zza zakrętu. Alta trzymała się sań, leżąc na spodzie; na górze siedziała Wanda. Koń zatrzymał się przed domem nagle czegoś się wystraszył. Woźnica próbował go uspokoić, lecz koń stanął dęba, sanie wyleciały w powietrze, a dziewczynki wypadły łukiem prosto na stojący tam słup. Wanda stuknęła w niego mocno lewym barkiem, a wszyscy obecni usłyszeli trzask: to Alta w wielkim pędzie uderzyła w słup twarzą i padła na ziemię.

Ktoś skoczył do środka po Melisse, która wybiegła na drogę i ujrzała dziewczynki broczące krwią na śniegu. Wanda była nieprzytomna, prawie martwa, a Alta macała wokół rękoma po ziemi, usiłując się odwrócić. Melissa uklękła przy niej i dźwignęła głowę dziewczynki na kolana. Czaszka z przodu była roztrzaskana; Melissa widziała kości.

- Och, mamó - powiedziała Alta. - Przepraszam. Powinam cię posłuchać. - A

potem zaczęła płakać. Warstwa kości chroniąca jej twarz była tak węża, że szloch dosłownie wyrwał jej oczy z orbit. Spłynęły aż na policzki.

Melissa stała w śniegu, kołysząc swą ukochaną córeczkę, pieścąc jej włosy, póki wreszcie życie nie opuściło Alty.

Młodszy brat Bessie, Mark, wyprowadził ze stodoły konia, wskoczył na siodło i popędził do kościoła po ojca. Zanim wrócili do domu z biskupem i doktorem, dziewczynki położono już w małym pokoju od frontu. Lekarz tylko spojrział na Altę i powiedział, że umarła, po czym uważnie zbadał Wandę.

- Ta jeszcze żyje. Nie potrwa to jednak długo, jeśli nie zabierzemy jej do szpitala.

Wanda wróciła po tym wypadku do siebie, ale częściowy niedowład lewej strony ciała pozostał jej już na całe życie.

Parę dni później, gdy nadszedł czas pogrzebu Alty, ziemia była zmarznięta. Trumna leżała na cmentarzu, czekając, aż grunt rozmięknie. Minęło jeszcze kilka dni, nim dzieci Brownów mogły wreszcie udać się na cmentarz. Siedząc wokół trumny, modliły się o spokój duszy zmarłej siostry.

Niedługo potem zdarzyło się coś ogromnie poruszającego.

- Siostry były w nocy w swojej sypialni - opowiadała mi kuzynka Brenda - gdy ujrzały w mroku białe światło. Światło zbliżało się, podchodziło do ich łóżek. To była Alta. Usiadła obok dziewczynek i powiedziała, że jest jej dobrze, nie cierpi żadnego bólu i jest bardzo szczęśliwa. Chciała, żeby siostry o tym wiedziały. Kochała je. Potem światło zmętniało i Alty już nie było widać, ale w miejscu, gdzie siedziała, dziewczęta mogły zobaczyć na łóżku odcisnięty ślad.

Nikt nie odkrył, co spłoszyło konia w tamten mroczny zimowy dzień, ale moja mama wiedziała: wierzyła, że to był demon tego martwego człowieka, z którym ona i Alta nawiązały kontakt i który jako duch nawiedził ich rodzinę.

Po wielu latach, nie wiedząc nic o tej sprawie, spytałem mamy, czy mogę mieć stolik ouija. Było to w jakiś czas po śmierci ojca; nie czytałem wtedy niczego oprócz opowieści Edgara Allana Poe, Brama Stokera i wiktoriańskich historii o duchach. Widocznie makabra i zdarzenia ponadnaturalne odpowiadały mi i fascynowały mnie w sposób, którego nie umiałem sobie wytłumaczyć, a matka ledwo mogła to znieść. Odmówiła mej prośbie, ja zaś, podobnie jak jej się to zdarzyło przed laty, kupiłem stolik ouija i potajemnie schowałem go w domu. W tym tylko kłopot, że nie miałem chętnych braci, którzy bawiliby się ze mną, i niczym jakiś głupek siedziałem samotnie ze stolikiem na kolanach, zadając pytania i czekając,



aż serduszko poruszy się pod moimi palcami. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek duch się pojawił.

Któregoś popołudnia matka zastała mnie pochylonego nad stolikiem i zareagowała bardzo ostro.

- Natychmiast wyrzuć to draństwo z domu i żebyś mi już nigdy z tym się nie pokazywał. I przestań czytać te posępne książki o duchach, grozie i złu. Nie chcę, by wszyscy moi synowie wyrosli na potworów.

A potem szlochała, tak długo, głośno i żałośnie, że wyszedłem z domu, by uciec od tego jej płaczu.

Na początku dzieci kochają swoich rodziców. Gdy są już starsze, osądzają ich. Zdarza się, że im wybaczą.

Oscar Wilde, *Portret Doriana Graya*



### CZARNA OWCA

Przez większą część życia Bessie Gilmore mówiła o swym ojcu jak o ideale. Ten cichy i skromny człowiek gotów był ponieść każdą ofiarę dla dobra przyjaciela czy członka rodziny który się znalazł w potrzebie, i nie myślał przy tym żadnej odpłaty. Był głęboko kochającym ojcem, ciężko pracował na to, by jego dzieci chodziły przyzwoicie ubrane chodziły do szkoły, sam zaś uczył je wyrozumiałości zarówno wobec sąsiadów, jak i obcych.

Jednak w ciągu ostatnich kilku lat portret Willa Browna kreślony ręką mojej matki zmienił się radykalnie. Był to okres po egzekucji Gary'ego, gdy coraz częściej wracała do przeszłości. To pewnie z tego powodu mniej do niej wówczas dzwoniłem i rzadziej odwiedzałem ją w domu: nie potrafiła mówić o niczym innym, tylko o słupach milowych wyznaczających naszą zbiorową tragedię. Zastanawiam się, czy łańcuch niepowodzeń życiowych i śmierci nie przyczynił się do jej obłędu, w każdym razie, w przeciwieństwie do

mnie, roztrząsała wtedy w myślach każdy wątek, jakby szukając tego miejsca, skąd wszystko musiało pójść w złym kierunku. A może podejrzewała, że ta historia była nam sądzona od samego początku, i wciąż nie mogła przestać rozpamiętywać tego okrutnego kaprysu losu, czekając przez całe życie na jakąś pomyślną puentę czy wyzwolenie, które nigdy nie nadeszło. Przyglądając się uważnie poszczególnym zdarzeniom ze swojej przeszłości, za każdym razem snuła całkiem inną opowieść o czasach, gdy była młoda.

Opowieści te zwykle dotyczyły jej ojca. W miarę jak dzieci dorastały, mówiła matka, Will Brown stawał się coraz bardziej porywczy i w przerażający sposób przypominał wybuchowym temperamentem własnego ojca. Ofiarą jego gniewu padali najczęściej moja mama i jej starszy brat, George. Zdaje się, że najsroźsze kłótnie toczyły się między ojcem a George'em, który - jak się zorientowałem - zarówno w oczach własnej rodziny, jak i społeczności Grandview uchodził za nie lada dziwaka. Może był trochę wstydlivy i niezręczny (jak jego ojciec za młodu, czego Will teraz najbardziej nie cierpiał u własnego syna), a dzieci sąsiadów wyśmiewały go z racji prostackiego wyglądu i niezdarnego obejścia. George spędzał więc większość życia sam i podobnie jak jego dziadek, Joseph Kerby, wykorzystywał tę samotność, aby rozwijać zdolności artystyczne. Malował dużo naturalistycznych widoków Provo i wycinał pięknie zdobione łuki dla łuczników z całego stanu.

Samotność musiała jednak nieraz doprowadzać George'a do szaleństwa. Wtedy zdierał z siebie ubranie, układał je w schludny stosik na podwórku Brownów i biegał nago po Jordan Lane. Raz czy dwa dotarł tak do głównej ulicy Provo, paradując bez odzienia pośród wytrzeszczających oczy mormonów, póki nie schwytała go policja i nie zatrzymała do czasu, aż przyszedł po niego Will Brown. A potem Will bił syna, choć najczęściej bijął go bez przyczyny, jedynie z racji własnego rozdrażnienia. Zaciągał go wtedy do jednego z wielkich drzew na podwórku i przywiązywał do pnia mocnym sznurem. Brał pasek i okładał nim wrzeszczącego chłopaka, póki ten nie zemdlął z bólu i poniżenia. Cięgi te bywały nieraz tak okrutne, że Bessie i Mark biegli do sąsiedniego gospodarstwa, gdzie mieszkał starszy brat Willa, Charley, błagając go, by przybył na odsiecz i wyrwał George'a z rąk ojca. Charley był chyba jedyną osobą na świecie, która mogła bezpiecznie wtargnąć między Willa Browna a jego szalony gniew.

Znęcanie to trwało nieprzerwanie do 1940 roku, gdy George i Mark poszli walczyć na wojnę. George był w oddziałach, które oswobadzały obozy koncentracyjne w Niemczech, przez krótki czas stacjonował również we Francji. Już w kilka dni po powrocie do domu miał okazję przypomnieć sobie o porywczosci ojca. Will uderzył go pięścią, lecz George chwycił

go i przytrzymał.

- Więcej tego ze mną nie próbuj - powiedział.

Jak twierdziła mama, Will nigdy już nie tknął George'a ani kogokolwiek innego.

Lata przemocy i szaleństwa odcisnęły jednak ślad na George'u. Nie umawiał się z dziewczętami, nigdy się nie ożenił, a tego, co przecierpiał w domu, nie wynosił na zewnątrz. W swoim pokoju trzymał w kufrze zbiór zdjęć, które przywiózł z wojny. Były tam zrobione przez niego fotografie ofiar i wychudzonych sylwetek tych, co przeżyli obozy. Były też pornograficzne pocztówki, które kupił na ulicach Paryża. Czasami spraszał do swego pokoju siostrzenice z ich chłopcami. A potem zamykał drzwi na klucz i nie otwierał, póki wszyscy nie obejrzeliby obu zestawów zdjęć. Dla dzieci miał jeszcze jeden zestaw; tworzyły go obrazy współczesnego świata, pełne najbardziej przerażających morderstw, przeplatane widokami zakazanych przyjemności. Te skojarzenia niewątpliwie podniecały wyobraźnię wu~ ja George'a, coś z tej mieszanki musiało chyba potrącać smutne struny jego życiowych doświadczeń.

George nigdy nie opuszczał gospodarstwa. Odziedziczył je po śmierci matki i żył tam samotnie, aż do śmierci w 1974 roku. Znalaziono go w łóżku. Leżał martwy już od trzech dni; obok stał kuferek, w którym przechowywał zdjęcia.

IVIama mówiła, że po raz pierwszy poczuła nienawiść do Willa Browna w dniu egzekucji. Jej intrygująca opowieść tak się nurza w grzęzawisku strachu i nieprawdopodobieństwa, że nie wiem już wcale, czego naprawdę dotyczy. Trzeba ją tu jednak przytoczyć, ponieważ miała swoje konsekwencje.

Egzekucje w Utah zdarzały się jedynie sporadycznie i budziły wówczas znaczne zainteresowanie. Czasami gromadziły setki ciekawskich, a bywało, że i tysiące. Przy takich okazjach ojcowie i matki przychodzili z całymi rodzinami, żeby być świadkami śmierci i potwierdzić bezlitosną cenę, jaką trzeba zapłacić za pogwałcenie prawa bożego. Był początek dwudziestego wieku i mieszkające w Utah dzieci atmosfera ta musiała napawać okropnym lękiem. Mama wspominała nam nieraz, że nie mogła wprost słuchać, jak ludzie mówili o zbliżającym się terminie egzekucji. Zatykała uszy i usiłowała nie dopuścić do siebie tych przerażających wiadomości i posępnego, ale i podnieconego tonu, z jakim jej ojciec i dostojnicy kościoła komentowali wydarzenie. W dniu egzekucji, mówiła, wstawała przed świtem i szukała schronienia w ciemnych zakamarkach stodoły. Kryła się tam nieraz aż do późnego wieczora, żeby tylko uniknąć tych najgorszych nowin i komentarzy.

Kiedyś nie miała jednak szczęścia. Pewnego letniego ranka, a było to blisko jej urodzin, Will Brown zbudził ją i wsadził wraz z braćmi i siostrami do rodzinnego furgonu,

którym udali się w ciemności na łąki w sąsiedztwie stanowego więzienia. Tu - jak twierdziła - wyczekiwali, aż nieszczęsny skazaniec wejdzie po schodkach na pomost, gdzie czekał już na niego kat z pętlą. Opowiadała, że nie mogła patrzeć na samą egzekucję, zaciskała mocno powieki i odwracała twarz ku ojcu. Słyszała jednak łoskot otwierającej się zapadni, słyszała też ten straszny trzask w następnym ułamku sekundy, kiedy lina pod ciężarem wisielca wyprostowała się na całą długość, łamiąc mu kark. To, co słyszała potem, było jeszcze gorsze - dochodzące zewsząd chichoty i powszechny aplauz. Gdy odjeżdżali już z tego miejsca, odwróciła się i rzuciła ukradkowe spojrzenie na dyndające na linie ciało. Na łące wokół ujrzała ludzi trzymających dzieci na rękach, wskazujących na zwłoki i upominających potomstwo, by zapamiętało sobie ten moment i tę lekcję.

Bessie Brown musiała zapamiętać tę lekcję, to rzecz pewna. Było coś takiego w postawie mormonów wobec kary śmierci, co sprawiło, że moja matka zaczęła nienawidzić swoich, a przynajmniej tej części ich wiary, która skłaniała do uczestnictwa w owych ceremoniach. Tak czy inaczej, nienawidziła egzekucji. Gdy byłem dzieckiem i mieszkaliśmy w Portlandzie w stanie Oregon, z okropnym lękiem śledziła wiadomości o zbliżających się terminach egzekucji. Pisywała listy do gubernatora, argumentujące przeciw zasadności moralnej wymierzania kary śmierci i za zmniejszeniem surowości tych orzeczeń. Towarzyszyłem jej przy stole, pisząc własne listy. Ponieważ - jak mi kiedyś wyjaśniła - te zabójstwa były jedynymi, o których z całą pewnością wiedzieliśmy, że nastąpią (miała na myśli to, że dochodziło do nich zgodnie z ustalonym terminarzem), były więc także jedynymi, którym można by zapobiec. Sądzę, że święcie wierzyła w moralność takiej argumentacji, ale przede wszystkim nie mogła pokonać wstrętu i przerażenia, jakie budziła w niej idea publicznego oglądania czyjejś śmierci. Była przekonana, że ludzie, którzy zabierali rodziny, żeby obserwować egzekucje, byli w jakiś sposób jeszcze gorsi od traconych morderców. W końcu przez sw<sup>o</sup>je postępowanie sprawiali, że w zabijaniu uczestniczyły ich dzieci.

Przez wszystkie te lata musiałem wysłuchiwać wielu opowieści matki o egzekucjach w Utah - myślę, że nie tylko ja ich wysłuchiwałem - ale dopiero pod sam koniec widziałem, jak się ożywiała, wzmacniając opowieść pewnym istotnym, ukrytym dotąd szczegółem. W dzień Bożego Narodzenia, na parę miesięcy przed śmiercią, mama powiedziała mi, że nie chciałyby, bym ją pogrzebał obok Willa, bo trudno byłoby jej na niego patrzeć po tym poranku, gdy uczestniczyła w egzekucji. Oto tuż przed uruchomieniem zapadni ojciec schwycił ją za włosy i trzymając mocno, zmusił do patrzenia, jak ten człowiek osuwa się w śmierć. Mówiła, że w drodze powrotnej postanowiła, iż nigdy nie wybaczy tego ojcu i będzie żyła wbrew jego twardym zasadom. Gdy o tym opowiadała, na jej twarzy widać było

nienawiść - oczy rozpląmieniały się jej jakimś dziwnym błyskiem jak komuś, kto musiał widzieć rzeczy, których nigdy nie chciałby oglądać. Gdy skończyła swą opowieść, okropieństwo tego, o czym mówiła, sprawiło, iż dzieliłem jej nienawiść i czułem się tak, jakby pamięć matki o tym zdarzeniu stała się moim własnym wspomnieniem. Musiałem więc zadać sobie pytanie: Czy gdyby jej ojciec nie wywarł na nią tak straszliwego wpływu, Gary nie skończyłby jako człowiek gwałtowanego usposobienia? Czy to okropne fatum nie zrodziło się właśnie w tamtej chwili, by w pięćdziesiąt kilka lat później wydać swe ostatnie, przerażające owoce w postaci owych zabójstw, jakie popełnił mój brat, i jego własnej krwi przelanej na ziemię, po której stąpała nasza matka?

Tak to wyglądało do momentu, gdy rok czy dwa lata temu zacząłem pracować nad tą książką i miałem już za sobą lektury o historii wykonywania wyroków śmierci w Utah. Odkryłem wówczas coś jeszcze bardziej niepokojącego: opowieści mojej mamy rozmięły się z prawdą; nigdy nie była świadkiem tego, o czym mówiła. Od 1919 roku, kiedy mama skończyła sześć lat, nie przeprowadzano w Utah żadnych publicznych egzekucji; było też mało prawdopodobne, by jakieś dzieci czy rodziny mogły być obecne przy takich wydarzeniach na parę lat przed tą datą. Co więcej, według tego, co zdołałem ustalić, nikogo nie powieszono w Utah za czasów dzieciństwa i młodości mej matki. Wykonano w tym okresie około dwunastu egzekucji, wliczając w to głośną w świecie śmierć działacza związkowego Joego Hilla w 1915 roku, o czym bardzo wiele mówiło się również w naszym domu, a wszystkie te wyroki wykonywał specjalny pluton, który rozstrzeliwał skazańców<sup>7</sup> pod murem więzienia w Utah; dopiero potem mogli to oglądać zaproszeni świadkowie.

Myślę o opowieściach matki i zdaję sobie sprawę, jakie to musiało być znaczące i straszne, gdy słyszało się o tym w latach dzieciństwa czy wczesnej młodości. Mogę sobie oczywiście tylko wyobrazić, jaki wpływ wywierały na nas takie legendy. Myślę, że te obrazy przyczyniały się do wzbudzania w naszych sercach poczucia inności, nie mówiąc już o świadomości jakiegoś tatum. Myślę, że to, oczym słyszeliśmy, nie było tylko opowieścią o odległej przeszłości w pewnym okrutnym miejscu, nie, słyszeliśmy w tej opowieści także o naszym przeznaczeniu. Inaczej mówiąc, jeśli nasłuchaliśmy się takich opowieści w dzieciństwie, stawały się one już częścią naszego świata i towarzyszyły nam aż do śmierci. Według nich pozostawało ci jedynie przyjąć rolę skazańca lub dziecka, które musiało ujrzeć własne przeznaczenie; mój brat Gary wybrał tę pierwszą możliwość, co do mnie, sądzę, że wybrałem drugą. Wiedziałem, że nigdy nie mógłbym się znaleźć wśród katów<sup>7</sup>. Wychowałem się w rodzinie, w której pętla stanowiła swego rodzaju talizman; zawisała nad naszymi główkami nie tyle jako znak przestrogi, ile przeznaczenia. Groźba kompletnego zniszczenia

towarzyszyła nam niby rodzinne fatum. Nikt tego głośno nie mówił, ale dotąd nikt nie musiał tego mówić.

Próbowałem sobie wyobrazić, czy matka mogła się kierować tym postulatem jako nieodłączną częścią naszej rodzinnej legendy. Cóż takiego naprawdę się stało, że odczuwała tak obezwładniający lęk przed Zadoścuczynieniem

Krwi, i jak do tego doszło, że ten lęk mógł się przeistoczyć we wróżbę, która powiedziała, w jaki sposób miał umrzeć jej ulubiony syn? Nieraz opowiadamy kłamstwa o naszej przeszłości, może z racji pragnienia sukcesu, a może po to, by zrobić coś złego, jak to dzieje się wówczas, gdy chcemy zyskać na znaczeniu, lecz zdarza się, że wypowiadamy te wymysły dla przesłonięcia najgłębiej skrywanych sekretów. Jestem przekonany, że gdy matka opowiadała tę historię wieszaniu w Utah, miała w tym jeszcze jakiś inny cel: być może usiłowała nam w ten sposób uświadomić surowość wzrastania w takim nieprzejednanym kraju i wśród takich Judzi. Jestem też przekonany, że próbowała w ten sposób powiedzieć, że jej własny ojciec pustoszył jej ducha wywierał na nią gwałt; nie mogła nas o tym inaczej poinformować, a może nie potrafiła już dłużej skrywać tego w milczeniu.

Cóż zatem mogło się zdarzyć? Niczego nie wiem na pewno. Mogę się tylko domyślać lub zgadywać. W ten lub inny sposób musiało się to chyba wiązać z płcią. Gdy Bessie była jeszcze dzieckiem, uważano ją za jedną z najbardziej udanych córek w rodzinie Brownów. Lubiała się stroić w różne fatalaszki i wplatać wielkie kokardy w piękne czarne włosy. Pewnie chciała być elegancka na tych kościelnych tańcach czy piknikach. Will musiał się wówczas szczyć swoją Bess. Ale gdy była już trochę starsza, jej uroda stała się kłopotliwa w domu Brownów. Niektórzy sądzili, że Betty się puszy. Zachowywała się, jakby była dzieckiem z bogatej rodziny; jakby była zbyt dobra na to, żeby na równi z innymi ciężko harować w gospodarstwie. Nie chciała mieć odcisków na swych pięknych dłoniach - trudno wtedy włożyć pierścionek - i nie lubiła brudzić sobie włosów<sup>7</sup>. Mówiono o niej, że popsuły ją te piękne suknie, uszyte specjalnie po to, by mogła je nosić na kościelnych balach i na sobotnich tańcach w Utahna Dance Hall w Provo. Co gorsza, Bessie zaczęła się zachowywać tak, jakby domowe zasady już jej nie dotyczyły. Wstawiała później niż inni i lubiła przyciągać uwagę chłopców, szczególnie tych starszych, z Uniwersytetu Brigham Younga. To ostatnie bardzo musiało się nie podobać jej ojcu. Mówiono o Willu Brownie, że kochał córeczki i nie chciał ich stracić. Jego zdaniem Bess zbyt szybko zaczęła się umawiać na randki.

Podczas gdy inne dzieci Brownów uczyły się żyć w zgodzie z zasadami panującymi w domu rodziców albo też wymykały się cichcem i nie dawały się przyłapać, Bessie jakby świadomie dokładała starań, żeby podważać te zasady. Oczywiście stanowiła w ten sposób

zły przykład dla innych dzieci. A po śmierci Alty było z nią coraz gorzej. Pozostałym członkom rodziny mogło się wydawać, że wraz ze śmiercią siostry coś się w niej załamało. Wyglądało to tak, jakby jej żaloba zmieniła się w jawny bunt, jakby Bessie obwiniała rodziców czy może samo gospodarstwo o to, co się tam tego dnia stało. Zaczęła dłużej przebywać poza domem, a kiedy wreszcie wracała, głośno i niegrzecznie stawiała się rodzicom. Will i Melissa oskarżali ją o niemoralne zachowanie z chłopcami, z którymi się zadawała. Bessie nigdy temu nie przeczyła i nie prostowała ich opinii - zapewne niesłusznych - najwidoczniej jej się podobało, że budzi takie podejrzenia, a gdy odpowiadała: „Co wy otym możecie wiedzieć?”, wzniecała w rodzicach jeszcze większą wściekłość. Była to jednak niebezpieczna gra. Mniejsza nawet o morderstwo czy sprzeniewierzenie się Bogu, nie było dla mormonów większego grzechu niż złe prowadzenie się. Wyśmiewając obawy rodziców, Bessie ryzykowała wykluczenie z rodziny. Gdyby to było pokolenie lub dwa wstecz, mógłby ją za to czekać sąd danitów.

W istocie, pewnej nocy niemal tak właśnie by się to skończyło. Przez parę tygodni umawiała się z młodym mężczyzną z Salt Lake. Plotkowano o nim, że popija i wiedzie lekkie życie. Było to w samej pełni okresu prohibicji, a chociaż Provo miało jedną czy dwie spelunki, żadna mormoń - ska rodzina sobie nie wyobrażała, by w którymś z tych nielegalnych lokali znaleziono kiedy ich córkę. Rodzice

Bessie ostrzegali ją, by nie spotykała się więcej z tym młodym człowiekiem, i zapowiadali, że nie ma on wstępu do ich domu. Bessie jednak nadal się z nim widywała, a w<sup>7</sup> ciągu jednego tygodnia trzy razy wróciła do domu po godzinie wyznaczonej przez rodziców, wzniecając tym najostrejsze awantury, jakie kiedykolwiek widział dom Brownów. Za czwartym razem stała o trzeciej w nocy na ganku domu, całując się z chłopcem na dobranoc, gdy drzwi nagle się otworzyły. Stał w nich Will Brown z dubeltówką i wymierzył ją w córkę. Na jego twarzy malował się gniew i narastające szaleństwo.

- Wyślę twoją kurewską duszę do piekła - powiedział i odwiódł kurek jednej z luf.

W tym momencie wyszedł zza pleców ojca George i odebrał mu strzelbę.

- Nie będziesz do nikogo strzelał - oznajmił.

Rozegrała się gwałtowna scena walki, podczas której

George i Bessie nieźle oberwali od ojca, a pozostałe dzieci stały wokół, płacząc i błagając go, by już przestał. Chłopak Bessie wziął tymczasem nogi za pas i nigdy się już nie pojawił na tej zwariowanej farmie Brownów<sup>^</sup>.

Trzymam w ręku plik zdjęć mojej matki, zrobionych - jak myślę - przez wuja

George'a około roku 1933, kiedy Bessie miała dwadzieścia lat. Ani razu nie widziałem tych zdjęć za jej życia. Krótko po śmierci mamy otrzymałem je od Lar - ry'ego Schillera, który przeprowadzał obszerne wywiady z moją rodziną. Gdy ujrzałem te fotografie po raz pierwszy, tak mnie zaskoczyły, że schowałem je natychmiast i nie wyciągałem z szuflady przez lata. Moja reakcja była bardzo wymowna. Nigdy nie wyobrażałem sobie matki jako młodej kobiety. Ta twarz należała niewątpliwie do niej, ale jakże była inna: pozbawiona wszystkiego, co wyniósł w jej rysy i wiek, i ból, i późniejsze doświadczenie śmierci.

Matka zawsze była dzielną kobietą - nawet w tych dniach, kiedy świat wokół tak bardzo ją przerażał - bez tej odwagi nie mogłaby znosić tego, co znosiła aż do końca życia. Ale nie zawsze przepełniała ją nadzieja. Odkąd sięgam pamięcią, nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek widział na jej twarzy niewzruszoną nadzieję. Tymczasem w tych zdjęciach uderzyła mnie właśnie taka nadzieja, która musiała jej towarzyszyć, gdy je robiono. Nie to, żeby jej było za wiele (nie miała specjalnych powodów do dumy), ale tyle, bym mógł sobie wyobrazić, co może zrobić z twarzą człowieka brak nadziei przez blisko pięćdziesiąt lat. Patrząc na te zdjęcia, pomyślałem sobie, że mama mogłaby umrzeć z zupełnie inną twarzą. Smutek, który mnie ogarnął, dotyczył nie tylko jej; pomyślałem też o tym, jaki widok będzie przedstawiała moja własna twarz.

Mama spoglądała w obiektyw aparatu w sposób, który mówił mi wiele o tym, jak patrzyła na swoje życie. Najbardziej podobało mi się to zdjęcie, gdzie Bessie Brown siedzi na krześle. Ujęcie trochę z lewa, z trzech czwartych profilu, z nogą elegancko założoną na nogę i z rękoma spoczywającymi na kolanach. Matka ma na sobie prostą, opadającą do ziemi suknię - świetnie leży i Bessie wygląda w niej zachwycająco - a z szyi spływa jej sznur pereł. Długie czarne włosy ma podwiązane z tyłu, reszta fryzury układa się w pukle podkreślające zarówno jej inteligencję, jak i urodę.

Zdjęcie wykonano na dworze. Bessie siedzi na krześle, w tle ma swą ukochaną górę. Obok stoi jakaś kobieta (siostra lub przyjaciółka), trzymając torebkę. Wygląda pięknie, ale to zdjęcie należy do Bessie, która zdaje sobie sprawę z cudownej niestosowności swej pozy: wyrafinowane piękno w prostej, wiejskiej scenerii. I ten lekki uśmiezek na jej twarzy, który mówi, że wie ona zbyt wiele o sobie, oswoim życiu, by pozostać w tym pejzażu. Taki drobny uśmiezek wyrażający zakłopotanie i lekkie zniecierpliwienie, a w oczach spokojna pewność nadziei.

W 1933 roku, mimo że tyle zdarzyło się dotąd w jej życiu, mama nie nauczyła się jeszcze nienawidzić tego, że także fotografia potrafi obnażyć i duszę, i ciało.

Xo zdjęcie było już pożegnaniem Bessie z gospodarstwem Brownów. Jak powiedziała



mi kuzynka Brenda: „Twoja mama tęskniła za piękniejszym życiem”. W tym wypadku to piękniejsze życie oznaczało Salt Lake City pięćdziesiąt mil na północ od Provo. W połowie lat trzydziestych Bessie opuszcza dom i z trójką przyjaciółek przenosi się do Salt Lake. Wynajmują mieszkanie niedaleko śródmieścia i we czwórkę utrzymują dom. Jedna z pań przed upływem miesiąca wraca do rodzinnego domu w Provo i rozpowiada, że nie mogła się pogodzić z tym, jak Bessie i pozostałe poczynają sobie w Salt Lake. Rzuciły pracę, mówiła, a nie miały żadnych kłopotów z utrzymaniem mieszkania.

Brownowie już od jakiegoś czasu nie otrzymywali wiadomości od Bessie i nigdy nie wybrali się na północ, żeby się z nią zobaczyć. Czasami wpadała do domu, głównie po to, by się zobaczyć ze swą najmłodszą siostrą, Idą. Wkładała wtedy najlepsze ubranie i nową biżuterię. Na każdym palcu nosiła teraz pierścionek. Rodzice pytali, skąd ma takie rzeczy, ona zaś odpowiadała, że dostała pracę przy prezentacji biżuterii. Nie bardzo jej wierzyli i kłótnie zaczynały się od nowa. Kończyło się tak, że Bessie wypadała z domu wściekła, a jej ojciec schodził do knajpy w dolinie. Will Brown, zacy mormoński patriarcha, nauczył się pić.

Plotki przyczepiały się do Bessie jak rzep do psiego ogona. W 1936 roku znikła na jakiś czas. Później mówiono, że wybrała się do Kalifornii z przyjacielem, a gdy już się tam znalazła, zakochała się po uszy w jakimś żołnierzu. Romans jednak źle się skończył i Bessie wróciła do domu skompromitowana i ze złamanym sercem. Żyła samotnie, coraz bardziej zrywając więzi z dawnymi przyjaciółkami.

Wszystkie te plotki nie pozostały bez wpływu na moją matkę. Ponieważ były w jakiejś mierze wyrazem publicznego osądu odbierającego jej godność i prawość, Bessie czuła się głęboko zraniona i rozdrażniona takim gadaniem. Na zewnątrz jednak obnosiła swój wizerunek z dumą wyrzutka. Miała w sobie zbyt wiele godności, by okazywać skruchę i upokorzenie, czego domagali się od niej rodzice i znajomi. Jako krnąbrna córka mogła jedynie zapuścić się dalej w zakazane regiony

Bessie Brown była pierwszym od trzech pokoleń dzieckiem w tej rodzinie, które opuściło bezpieczne schronienie w mormońskim Utah.

■=,;: „.^\_:\_:ib>Ti

„T: ‘ ‘ .....: ‘ ‘ ‘- ‘ ‘ ‘,;:-:■

## ODTRĄCONY SYN



]Wszę poczynić pewne wyznanie.

Aż do śmierci Gary'ego nic nie wiedziałem o tym, jak się spotkali moi rodzice, ani też nie wiedziałem zbyt wiele owczesnym okresie życia rodziny. Być może mówi to coś o mojej obojętności, ale znałem tylko pewne rodzinne przekazy o tajemnicy i o śmierci, nic więcej. Wiedziałem o pełnej gwałtu historii mormonów i o strasznej śmierci Alty, ponieważ nieraz opowiadała mi o tym matka. Wiedziałem też o niewyraźnej przeszłości mego ojca, skrzywdzonego przez własnego ojca i uciekającego blisko pół wieku przed jakąś straszliwą zagadką - ponieważ i te opowieści stanowiły część rodzinnej mitologii.

O jednym wszakże nic nie wiedziałem i nikt mi tego przedtem nie powiedział: nie miałem pojęcia, jak poznali się moi rodzice i jak się pokochali (nigdy przecież nie sądziłem, że tacy ludzie mogliby się kochać, ponieważ widywałem ich zawsze wzajemnie na siebie zagniewanych). Nie wiedziałem, co działo się w latach, gdy przychodzili na świat moi bracia; owszem, znałem nazwy rozmaitych miast, w których mieszkali rodzice, ale nic zgoła nie wiedziałem o tym, jak oni tam żyli, na przykład dlaczego przynosili się tak często i do tak odległych regionów albo czym zarabiali tam na utrzymanie. Nie wiedziałem więc nawet, czy moja rodzina była kiedykolwiek prawdziwą rodziną. Czy ojciec uprawiał z synami jakiś sport? Czy chodzili razem do kościoła, do kina lub na wycieczki w weekendy? Czy rodzice czytali coś moim braciom, gdy ci byli mali? (Nie pamiętam, by mnie cokolwiek czytali). Czy ci ludzie kochali się nawzajem, czy istniała jakaś wspólna więź, oprócz lęku lub siły nienawiści?

Pierwszym takim przeblyskiem, orientacją, na czym mogło polegać takie życie, była publikacja *Pieśni kata* Normana Mailera w 1979 roku. Larry Schiller i Mailer przeprowadzali z moją matką długie rozmowy o dzieciństwie Gary'ego. Na ich podstawie Mailer pokusił się

o nakreślenie intrygującego szkicu naszej rodzinnej przeszłości. Z paru stron tego materiału mogłem dowiedzieć się więcej niż przez dwadzieścia pięć lat życia. Chcąc być uczciwym, muszę wyznać, że niemal nic z tego nie dotyczyło mnie osobiście. Kiedy po raz pierwszy czytałem tę książkę, wodziłem oczami głównie po tych miejscach. Nie zatrzymywałem się na szczegółach wcześniejszych małżeństw ojca ani na wzmiankach o jego kłopotach z prawem; nic z tego nie należało do oswojonego krajobrazu mej własnej pamięci. To był jakby zupełnie inny świat, dotyczący kogoś innego - ten, o którym mogłem przeczytać w owej książce.

Gdy nadszedł czas, bym sam się dobrał do tajemnic rodzinnej przeszłości, z myślą o własnej książce, Schiller okazał się bardzo wspaniałomyślny i użyczył mi taśm z wywiadami które on i Mailer przeprowadzali piętnaście lat temu z moją mamą i bratem Garym. Słuchając głosu matki, opowiadającej o ukrytej historii rodziny, wyczułem jakby zmysłowe drgnienia tej zmartwychwstającej przeszłości. Odkąd mama nie żyła, nie mogłem oczywiście słuchać jej głosu; a nigdy nie słyszałem, by opowiadała takie rzeczy. Ale przy każdym wyznaniu pojawiały się natychmiast nowe pytania i wątpliwości. Schiller i Mailer starali się jak mogli, ale mama najczęściej zbywała ich dociekliwość jakimiś obłudnymi zagadkami lub jawnymi unikami.

W pewnym momencie Schiller spytał ją wprost, czy nie obawia się tego, że powie jemu i Mailerowi zbyt wiele. Po śmierci ojca i Gary'ego, zauważył, ktoś jeszcze może przeszkodzić w ujawnieniu starych sekretów? Odpowiedziała, że robi to dla mnie.

- Mikal nic nie wie o tych sprawach - powtarzała. - Boję się, że mnie znienawidzi, gdy się o nich dowie. Albo znienawidzi swego ojca, co byłoby jeszcze gorsze. Był jedynym z chłopców, który zawsze kochał ojca, i nie chciałabym, aby utracił to uczucie.

Za sprawą owych taśm Schillera i Mailera, a także dzięki nieocenionej pomocy paru innych osób, przede wszystkim mego brata Franka, którego w końcu odnalazłem, zaczęła się przede mną wyłaniać rzeczywista historia. A przynajmniej jej fragmenty. Nie wiem, czy to lepiej, czy gorzej, lecz wraz ze śmiercią moich rodziców i braci znaczna część prawdy o naszej przeszłości bezpowrotnie zaginęła.

Więc tak to było z moją matką i ojcem...

Latem 1937 roku Bessie mieszkała sama w pokoiku hotelowym w centrum Salt Lake City. Miała dość pieniędzy, by się utrzymać z drobnych posług domowych, a od czasu do czasu dostawiała też zlecenia na prezentację biżuterii.

Salt Lake City, podobnie jak dziś, było największym i najbardziej ożywionym skupiskiem miejskim w Utah.

Ożywionym jak na Utah, bo to pojęcie względne. Więcej jest tu do roboty niż w całej

reszcie stanu, pod warunkiem że uwiniesz się przed zmrokiem. Mojej matce, która miała wówczas dwadzieścia cztery lata, ulice śródmieścia musiały się wydawać niezwykle szerokie, a przecznice ogromnie długie. Nie mając zbyt wiele pieniędzy, przemierzała je codziennie pieszo. Udawała się do starej biblioteki naprzeciw sądu i zasiadała w czytelni, gdzie najbardziej pasjonowały ją książki o astrologii i medycynie, no i o tych wszystkich rzeczach, o których tak mało wiedziała tam, w Provo. Czasami wybierała się do Liberty Park. Siadywała nad brzegiem jeziora, obserwując ścigające się pary wioślarzy w kanadyjkach, lub kupowała chleb i kukurydzę, by karmić kaczki. Lubiła kaczki, bo znały swoje miejsce. Zwracały na ciebie uwagę, ale nie podchodziły zbyt blisko.

Większość tych miejsc zamykano o zmierzchu, więc kiedy słońce już zachodziło, Bessie przechodziła parę przecznic, wracając do swego hotelu. Czasami jadła kolację z przyjaciółką lub wybierała się na tańce do miejscowej sali balowej, gdzie rywalizowały ze sobą duże zespoły tancerzy.

Zazwyczaj jednak spędzała czas samotnie. Po porażce w Kalifornii już trochę nieufnie odnosiła się do mężczyzn. Nie spieszyło jej do prawdziwej miłości i w przeciwieństwie do młodych mormonek nie bała się, że nie znajdzie sobie męża.

Jedną z jej najlepszych przyjaciółek była wówczas Anita, kelnerka w miejscowej restauracji rybnej. Właśnie się rozwiodła i sporo popijała, co oczywiście stanowiło naturalną barierę w ich związku. Bessie nie piła, nie cierpiała tego stanu oszołomienia i głupiego uczucia, jakie zdarzyło się jej raz czy dwa po paru drinkach, ale nie przejawiała też zbytnej ochoty do osądzania czyjejś słabości. Anita nie należała może do najbardziej wyszukanego towarzystwa, ale Bessie lubiła ją dla niej samej. Może jej trochę współczuła.

Któregoś dnia spotkała Anitę w hotelu, w chwili gdy ta wracała z Tempie Street, gdzie żyła ze swym przyjacielem - mężczyzną, zwanym Tatkiem. Obie wybierały się na zakupy, ale Anita była już od rana po paru głębszych, no, może wypła o jednego za dużo.

- Spójrz, Bessie! - zawołała. - Zobacz, jaką maszynę do pisania sprawił mi Tatko!

Uniosła dumnie maszynę, ta jednak wypadła jej z rąk i rozbiła się na podłodze.

Zaraz potem wszedł Tatko. Był to dobrze ubrany facet pod pięćdziesiątkę, jak natychmiast oceniła Bessie, ale nie wyglądał na zbyt grzecznego. Anita wykrztusiła przeprosiny, przedstawiając równocześnie Bessie.

Tatko spojrzał na nią i powiedział:

- Cześć. Jestem Frank Gilmore. - I zwrócił się do Anity: - Prosiłem cię, żebyś nie tykała mojej maszyny. A teraz ją popsulaś. No więc tak, pakuj swoje manatki i zmiataj.

Bessie uznała, że nie ma się co mieszać.

- Pogadam z tobą później, Anito - powiedziała i wyszła. Stojąc przy windzie, słyszała płacz przyjaciółki.

Parę dni później Bessie szła Tempie Street do swojej biblioteki, gdy natknęła się na Franka Gilmore'a. Stał przed hotelem „Utah”, miał na sobie brązowy sportowy płaszcz i krawat do błękitnej koszuli. Nieco przybrudzona fedora przykrywała mu może zbyt długie, siwiejące włosy. Od tamtej sceny w hotelu Bessie nie słyszała nic o Anicie i trochę się o nią martwiła.

- Cześć! - powiedziała. - Nie pogodziliście się jeszcze z Anitą?

- Ach, nie - odparł Frank. - Chyba już ma kogoś innego. - Utkwił spojrzenie w Bessie i spytał: - Może byśmy wpadli gdzieś na kawę?

Poszli do taniej knajpy na rogu, zamówili jedną kawę, potem drugą. Opowiedziała trochę Frankowi o sobie, w zamian dowiedziała się od niego, co robi. Był przedstawicielem handlowym „Utah Magazine”. Pewnego dnia, mówił, zaczął wydawać własny biuletyn. Miał taki pewny siebie, bystry sposób mówienia, zauważyła Bessie, a przy tym był taki pociągający. Stwierdziła nagle, że podoba jej się ten facet. Przypomniała sobie stare porzekadło: „Gdy tylko trafisz na swego mężczyznę, wszystkie względy pójdą na bok”. Siedząc w tej knajpie w Salt Lake i pijąc kawę z Frankiem Gilmore'em, pomyślała: „Oto człowiek, dla którego jestem gotowa odrzucić na bok wszelkie względy”.

Frank musiał jakoś odgadnąć jej myśli, bo za chwilę wypuścił prawdziwą bombę.

- Jutro się żenię - powiedział.

Bessie zamurowało. Jest tutaj, podoba jej się facet, który ledwo trzy dni temu zerwał z jej najlepszą przyjaciółką, a teraz szykuje się do ślubu z inną. Coś takiego nigdy dotąd jej nie spotkało.

Nie pytała o szczegóły, a Frank nic już nie dodał. To nie byłoby w jego stylu.

- Moje najlepsze życzenia - powiedziała wreszcie.

Niemal rok później wpadła znowu na Franka stojącego przed tym samym hotelem.

- Jak tam twoje małżeństwo? - spytała.

- Ach, to nie potrwało długo. Rozpadło się. - Wzruszył ramionami, jakby już zapomniał o tamtej pomyłce. - Wybieram się dzisiaj do kina. Poszłabyś ze mną?

Pomyślała o pierwszym mężczyźnie, w którym się zadurzyła. Był to włoski chłopak imieniem Joe, pracujący w fabryce słodczy w czasach, gdy wróciła do Provo. Dla Bessie był uosobieniem doskonałości: wysoki, dobrze zbudowany, o brązowych oczach. Pracowała wtedy przy taśmie produkcyjnej. Krzątał się tam zespół ludzi, którzy owijali w papierki

gotowe słodycze i pakowali je do torebek. Taka mechaniczna praca, ale miła. Co jakiś czas któraś / dziewcząt niby przez roztargnienie zostawiała na taśmie swe narzędzia, po czym głośno okazywała zdenerwowanie, Joe, który pracował na końcu taśmy zbierał te narzędzia i grzecznie odnosił je z powrotem. Bessie postanowiła spróbować tej samej sztuczki. Pewnego dnia pchnęła na taśmę swoją formę, lecz kiedy Joe odniósł ją z powrotem, była tak skrepowana, że nie mogła nawet na niego spojrzeć ani wykrztusić słowa podziękowania. Przez cały dzień miała o to do siebie pretensje. Po tym wszystkim powiedziała sobie: „Jeśli chcę poderwać chłopaka, muszę na niego spojrzeć i uśmiechnąć się. Niech pomyśli, że jest taki wspaniały i cudowny, a ja to zauważam. Już nigdy się to nie powtórzy, żebym miała tylko odebrać swoją formę i odejść, w ogóle go nie dostrzegając”.

Stojąc tak przed hotelem, obdarzyła Franka Gilmore'a najładniejszym ze swych uśmiechów.

- Uwielbiam chodzić do kina - powiedziała.

Choć prawdę mówiąc, wcale nie lubiła chodzić do kina. Coś w ciemności sali kinowej kojarzyło się jej z grobem. Czuła się jednak lepiej, siedząc obok Franka. Był silnymi mężczyzną i odnosiła wrażenie, że przy nim nie musi się bać ciemności. Kiedy przypominała sobie to uczucie po latach, dziwiła się, że tak było.

Umawiając się na drugą randkę, dzień lub dwa później, Frank zaprosił Bessie do baru. Nie piła, ale on pił. Zaczął coś mówić o swej przeszłości. Nie za wiele - tak tylko, żeby wiedziała, że jest facetem, który miał interesujące życie.

Wynikało z tego, że już od małego wychowywał się w branży rozrywkowej i sam pracował jako artysta. W 1910 roku - Bessie nie było wtedy jeszcze na świecie - był kłownem i chodził po linie w cyrku Barnuma, miał pseudonim Laffo. Parodiował spacer po linie, chwiejąc się jak pijak. Kiedy indziej budował piramidę z krzesel i niepewnie balansując, jak to w pijackim widzie, wspinał się na sam jej szczyt i stawał na rękach. Pewnego wieczoru jednak był naprawdę pijany. Dotarł już na szczyt piramidy, gdy jedno z krzesel, na samym spodzie, się wyślizgnęło.

Frank miał za sobą wiele upadków i wiedział, jak należy lądować i toczyć się po ziemi, żeby nie wyrządzić sobie krzywdy. Tego wieczoru jednak trunek przytępił jego refleks i Frank zleciał tak niefortunnie, że uszkodził sobie kostkę lewej nogi. Zanim złamanie się zrosło, cyrk znalazł nowego kłowna napowietrznego i Frank nie miał już co marzyć o występach na linie. Opracował nowy numer: poskramianie lwów. Lubił pracować z wielkimi kotami, głaskać ich sierść i wyczuwać napięte mięśnie. Gdy jednak pewien złośliwy leopold dosięgnął go łapą i zostawił mu ślady na policzku i czole, Frank uznał, że koty to niepewni

partnerzy, i zostawił cyrk.

Po kilku latach, opowiadał dalej Bessie, przeniósł się do Los Angeles, gdzie pracował w niemych filmach jako kaskader. Zastępował Harry'ego Careya i Francisa X. Bush - mana („obu tych skurwysynów”, jak o nich mówił), wykonywał też pewne zadania dla pierwszej wielkiej hollywoodzkiej gwiazdy westernów, Toma Miksa. On i Tom Mix byli przyjaciółmi, mówił Frank, i kumplami od kieliszka, Pewnego wieczoru Frank prowadził wóz, a Mix był pijany, a może było na odwrót. Tak czy siak, ten, który prowadził, władował wóz na słup w Hollywood Hills. Miksowi udało się wyjść bez szwanku, a Frank wylądował w szpitalu. Miał zranioną nogę, zostawił też na miejscu wypadku połowę zębów z prawej strony twarzy. Zniechęcił się do Hollywoodu i odtąd bywał w innych sferach i robił inne rzeczy.

Gdyby Bessie zastanowiła się choć trochę nad tym, co opowiadał jej o sobie Frank Gilmore, może zwróciłaby uwagę na parę drobiazgów. Przede wszystkim na to, że większość tych opowieści kończyła się nieszczęściem, zwykle spowodowanym pijaństwem. Zauważyłaby także - jako że Frank miał już czterdzieści siedem lat - że te opowieści dotyczyły zaledwie małej części jego życia, a dalej już mknął zygzakiem po mapie Ameryki. Pozostały jeszcze spore obszary przeszłości Franka, o których nic nie wiedziała, a on wcale się nie kwapił, by o nich wspomnieć.

No i to, że nawet gdy był najbardziej pijany, mówił głównie o sobie, a gdy był trzeźwy, nie mówił prawie nic. Zresztą może nawet zauważyła te jego ogólnikowość i doznała z tego powodu ulgi. Po tych latach mormońskiej przeszłości rodzinnej, po tych wszystkich mitach wysławiających pionierskich przodków, którzy przypuszczalnie, gdyby zdjąć z nich tę nabuszoną i nabożną otoczkę, okazaliby się bezdusznymi okrutnikami i sukinsynami, wymowne milczenie Franka Gilmore'a na temat własnej przeszłości mogło być błogim kontrastem.

W każdym razie Frank w niczym nie przypominał mężczyzn, których Bessie dotąd знаła. Owszem, miał swoje lata, ale w jakimś sensie wydawał się jej młodszy duchem, niż był. Tyle już w życiu widział, taki był doświadczony i światowy, a mimo to czuła, że wciąż jeszcze szuka dla siebie miejsca. I może przeważał właśnie ten w^zgląd - chciała znaleźć to miejsce razem z nim.

Pewnego wieczoru, gdy wybrali się do kina, Frank obrócił się ku niej i rzekł

- A co byś powiedziała, gdybyśmy tak pojechali do Sacramento? Spotkalibyśmy się tam z moją mamą i moglibyśmy się pobrać, tak jak stoimy.

Zauważyła, że bynajmniej nie padł przed nią na kolana. Na to był zbyt dumny. Ale pamiętała tamtą lekcję z fabryki słodczy

- Dobra - odparła. - Fajnie by było.

I tak pojechała z nim do Sacramento, a kolejne niespodzianki nie dały na siebie czekać. Gdy tylko dotarli do miasta, Frank wziął dla nich pokój w hotelu „Semoh” naprzeciw dużego parku w śródmieściu. Bał się zobaczyć z matką, która przebywała w „Ladies’ Cottage” - pensjonacie dla pań przy szpitalu w Sacramento. Po drodze Frank wyjaśnił parę rzeczy. Jego matka nazywała się Fay Ingram. Podobnie jak Frank, pracowała w branży rozrywkowej. Kiedy ostatni raz się z nią widział, była zamężna z miejscowym psychologiem, ale Frank słyszał, że jej mąż już nie żyje. A kiedy się z nią widziałeś? - spytała.

- Osiemnaście lat temu. - I znów powiedział to tak mimochodem, jakby nie było żadnego powodu tłumaczyć się czy usprawiedliwiać.

W szpitalnym sklepiku z upominkami Frank kupił pudełko czekoladek i pęk białych róż, a potem udali się z Bessie na piętro, gdzie mieszkała Fay. Otworzył drzwi do pokoju matki, wszedł i powiedział:

- Pani Ingram, paczka dla pani!

Fay siedziała w fotelu na kółkach przy stoliku do gry i pisała list. Była drobną kobietą pod siedemdziesiątkę, z białawymi włosami i żywymi błękitnymi oczami. Podobnie jak Frank, wyglądała równocześnie staro i młodo, i jak on, z miejsca wydała się Bessie diabelnie dostojna. Spojrzała na mężczyznę, który zjawił się w jej pokoju, zdjęła okulary do czytania i powiedziała, niespecjalnie przejęta:

- Gdzie, u diabła, podziewałeś się przez ostatnie osiemnaście lat?

Frank uśmiechnął się i położył kwiaty i czekoladki.

- Ach, tu i tam - odparł.

Fay zobaczyła teraz Bessie.

- A to kto? Twoja nowa żonka?

- Wkrótce nią będzie - potwierdził Frank.

Poczynił pewne przygotowania do wyprowadzki Fay z „Ladies’ Cottage”. Wynajął piękny dom w stylu wiktoriańskim na P Avenue, niedaleko swego hotelu, i powiedział, że z czasem on i Bessie sprowadzą się tu i zamieszkają razem z nią. W trakcie przenosin Fay do nowego domu Bessie dowiedziała się czegoś, czego Frank jej nie powiedział: Fay była praktykującym medium i wróżką; i zaznaczyła jeszcze, że jest w tym cholernie dobra. Mogła materializować duchy, wywoływać głosy, ukazywać kształty i przekazywać żyjącym pełną pocieszenia wiedzę o życiu po życiu. Wiedziała także, jak postępować z niespokojnym duchem i ulżyć mu w bólu, by nie szukał więcej pocieszenia na ziemi.

- Obiecaj mi - powiedziała Bessie - że nigdy nie zrobisz tego przy mnie. Mam



złe doświadczenia z duchami. Ciarki mi chodzą po grzbiecie.

Okazało się również, że Fay jest osobistością duchowną Kościoła Spirytualistycznego Kalifornii, uprawnioną do udzielania sakramentu małżeństwa. Życzyła sobie być tą, która połączy węzłem małżeńskim sw<sup>ego</sup> syna i jego nową narzeczoną. Bessie była tym pomysłem cokolwiek zakłopotana. Jak by to wyglądało po jej powrocie do domu: zła Bess, zamężna z facetem dwukrotnie od niej starszym, po ślubie udzielonym przez matkę czarownicę? Nie chciała jednak urazić Fay. Przyjęła jej propozycję, ale powiedziała, że przy pierwszej sposobności skłoni Franka, by zawarli ten ślub jak należy, przed właściwym duchownym, czy sędzią pokoju. Już drugiego wieczoru po zainstalowaniu się w swojej nowej siedzibie starsza pani udzieliła im ślubu. Zapalono świece, wypowiedziano parę słów, wyrecytowano stosowną formułkę - i po wszystkim. Żadnego kontraktu, jakichś tam badań krwi czy zbędnych papierów. (Nigdy nie udało mi się odnaleźć formalnego zapisu ślubu w hrabstwie Sacramento ani gdziekolwiek indziej w Kalifornii).

Nim jeszcze Bessie i Frank zostali sobie zaślubieni, Fay zwróciła się do syna:

- Wiesz, Robert mieszka niedaleko stąd. Raz, dwa razy do roku próbuje cię odnaleźć. Pomyślałam, że chciałbyś pewnie o niego zapytać.

Frank nie odezwał się. Jakiś gorzki grymas przemknął po jego twarzy.

- Kto to jest Robert? - spytała moja mama.

Frank i Fay wymienili spojrzenia. Po chwili Frank powiedział:

- To mój syn.

- Twój syn?!

- Tak, z poprzedniego małżeństwa.

- Ile ma lat?

Frank zwrócił się do Fay.

- Nie wiem. Ile on ma lat?

- Robert ma już dziewiętnaście lat - wyjaśniła Fay, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

- Kiedy ostatni raz go widziałeś? - spytała Bessie.

- No dobra, jakieś osiemnaście lat temu. Zabrałem go tu, gdy moje małżeństwo się rozpadło. Ta kobieta nie chciała wychowywać. Spytałem Fay czy nie popilnowałaby go przez chwilę.

- Ale oczywiście nie wróciłeś po niego - powiedziała Fay. - Adoptowałam go. Nazywa się Robert Ingram.

Frank dał znać, że ma już dość tej rozmowy.

- Powiedz Robertowi, gdzie się zatrzymałem - zwrócił się do Fay. - Niech kiedy wpadnie.

A potem zabrał swoją nową żonę do hotelu „Semoh”. Tak oto rozpoczęło się ich życie małżeńskie.

Kilka godzin później, około czwartej nad ranem, Frank i Bessie rozkoszowali się właśnie swą pierwszą małżeńską nocą, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Bessie poczuła, jak Frank zeszywniał u jej boku.

- Kto tam? - spytał.

- Robert.

Trochę mu ulżyło, ale jeszcze gderał:

- Cholera, co ty tu robisz po nocy?

- Ach, rusz się i wpuść go! - powiedziała Bessie.

Frank wstał, otworzył drzwi i spojrzał na swego syna.

Bessie też na niego spojrzała, leżąc jeszcze w łóżku. Robert miał ciemnobrązowe kręjące się włosy i - jak Fay i Frank - bystre błękitne oczy. Pomyślała sobie: to najlepiej prezentujący się facet, jakiego kiedykolwiek widziałam. Tak musiał wyglądać Frank dwadzieścia pięć lat temu. Przystojny, nie ma co!

- Dobra, zejdziemy zaraz do parku i poznamy się. Zaczekajmy na korytarzu, póki Bessie się nie ubierze.

Usiedli we troje na ławce w parku. Rozmowa na początku trochę się nie kleiła. Robert powiedział Frankowi, że gdy miał czternaście lat, uciekł, by go szukać, i został zatrzymany przez polię, która odwiozła go do Fay. Frank pominął to milczeniem. Po chwili Robert zwrócił się do Bessie:

- Przypominasz mi moją przyjaciółkę. Masz piękne włosy.

Tą jedną uwagę przebił wszystkie pochwały, które kiedykolwiek słyszała od Franka. Natychmiast polubiła Roberta.

Frank siedział obok syna, próbowali się poznać, ale wydawało się, że Frank jest już tym znużony. Kiedy zrobiło się jasno, Robert zapytał go, czy wie, jak mógłby znaleźć swą matkę.

- Nie - powiedział Frank - i wcale bym ci nie radził jej szukać. Cholera, nie ma w niej niczego dobrego.

Tak się skończyła ta pierwsza wizyta. Nigdy nie było bliższych kontaktów. Bessie podejrzewała, że Frank obciąża Roberta odpowiedzialnością za wszystko, co zrobiła mu matka chłopca osiemnaście lat temu. Już po wymianie paru zdań między Frankiem i Fay stało

się jasne, że w ich stosunkach odzywają jakieś stare urazy. Bessie zdawało się, że Frank musiał kochać swoją matkę - bardzo ją chwalił i na pewno za nią tęsknił - ale gdy tylko znalazł się w jej towarzystwie, atmosfera stawała się napięta i cliło dna. Fay z kolei złościła syna skrytością i nieustannymi żądaniem. Bessie zauważyła też, że gdy byli we czwórkę - ona z Frankiem, Robert i Fay - i schodzili się goście, Fay przedstawiała zawsze Roberta jako swego syna, a Franka po prostu jako Franka Gilmore'a. Wyglądało na to, że całą czułość zachowuje dla Roberta i Bessie. Napięte stosunki między nią a Frankiem rozluźniały się tylko wtedy, gdy zasiadali wspólnie nad butelką whisky. *Znów* dowiedziała się o Franku czegoś nowego: mógł dużo wypić, zanim był naprawdę pijany. Stawał się zabawny i opowiadał barwne historyjki, a Bessie zawsze nastawiała uszu, gdy Frank i Fay razem popijali. Wysłuchiwała różnych skandalizujących opowieści z branży rozrywkowej i z życia ówczesnych artystów cyrkowych. Wiele dowiedziała się zwłaszcza o słynnym, nieżyjącym już magiku i mistrzu wyzwalania się z więzów, Harrym Houdinim. Wyglądało na to, że Fay dobrze go znała - istotnie, pomagała mu na wczesnym etapie jego kariery - ale chyba była do niego źle nastawiona z powodu jakiejś krzywdy, którą musiał jej wyrządzić. Bessie pomyślała, że mogło to mieć coś wspólnego z wypowiedzią Houdiniego o szarlatanach spirytyzmu. O cokolwiek chodziło, Frank podzielał niechęć matki do nieboszczyka. Razem popijali i obrzucali Houdiniego najgorszymi wyzwiskami. To była najmocniejsza więź, jaka ich łączyła.

Nie upłynęło jeszcze zbyt dużo czasu od ślubu, gdy Frank któregoś dnia oznajmił bez ogródek, że musi wyjechać z miasta w pewnych sprawach i jakiś czas może go nie być. Bessie spytała, dokąd jedzie i co to za sprawy, ale Frankowi niespieszno było wyjaśniać.

- Muszę coś dla kogoś zrobić. - To wszystko, co miał do powiedzenia. - Masz tu czekać i opiekować się Fay.

To było jego pierwsze zniknięcie. Frank po prostu spakował torbę i za godzinę go nie było. Późniejsze wyjazdy następowały już bez uprzedzenia. Bess znalazła się pięćset mil od domu, doglądając miłej, ale dość dziwacznej starszej pani, którą mało znała, a która miała zwyczaj rozkazywania wszystkim wokół. Lecz Bessie nie miała zbyt chęci poddawać się woli jakiejś tam królewskiej wysokości. Gdy po raz pierwszy Fay coś jej rozkazała, odparła:

- Słuchaj, możesz tak się zwracać do Franka i do Roberta, ale ode mnie lepiej się odczep. To, że poruszasz się w fotelu na kółkach, jeszcze nie znaczy, że jestem twoją służącą.

Ton tej uwagi najwyraźniej wzbudził szacunek Fay. Od tej pory stosunki między obiema paniami znacznie się poprawiły

Nieobecność Franka wydłużała się, nie było go już parę tygodni i Bessie zaczęła się

niepokoić. A nawet trochę złościć. Spytała Fay, czy wie, dokąd Frank wyjechał i jak mogłaby się z nim spotkać.

Fay przyjrzała się jej uważnie swymi bystrymi niebieskimi oczami, jakby oceniając determinację młodej kobiety, a potem powiedziała:

- Słuchaj, Bessie, jak długo znałaś Franka, zanim się pobraliście?

Bessie pojęła aluzję. Może powinna trochę lepiej poznać człowieka, z którym zdecydowała się spędzić resztę życia. Tłumaczyła, że Frank zawsze niechętnie mówił o przeszłości - do tego stopnia, że była zaskoczona, gdy się dowiedziała, że jego matka jeszcze żyje.

Fay siedziała spokojnie, obserwując Bessie w milczeniu. Toteż mama postanowiła spytać wprost.

- Opowiedz mi o pierwszej żonie Franka. Dlaczego zostawiła mu Roberta?

Powiedziała to w tak naiwny sposób, że rozbroiła tym Fay.

- O pierwszej żonie Franka? - odparła, śmiejąc się, starsza pani. - Ach, złotko, on chyba naprawdę niewiele ci mówił. O ile potrafię zliczyć, jesteś chyba szóstą czy siódmą żoną Franka, ale musisz wziąć pod uwagę, że straciłam go z pola widzenia ładnych parę lat temu, no i nie wprowadzał mnie zbyt dokładnie w to, co się wtedy z nim działo. Poza tym Robert wcale nie był pierwszym dzieckiem Franka - może piątym. Frank zostawiał swe rodziny rozrzucone po całym kraju.

Fay mówiła dalej o ślubie Franka z matką Roberta, ale Bessie była tak oszołomiona, że zdołała zapamiętać tylko parę szczegółów. Kobieta miała na imię Nan, Frank poślubił ją w Chicago gdzieś koło 1919 roku. Była prawdziwy pięknoscia i pochodziła z jakiejś znakomitej mormoń - skiej rodziny z Illinois. Pewnie nie wyszłaby za Franka, ale wypędził ją w kłopoty i choć nie był mormonem, rodzice Nan nalegali, żeby go poślubiła i okupiła w ten sposób swój grzech. Po jakimś czasie Frank, wychowany przez Fay na zagorzałego katolika, chciał się nawet nawrócić na wyznanie mormońskie. Chodził z Nan do szkoły niedzielnej i czytał tę okropną Księgę Mormona, mówiła Fay W 1920 roku mieli syna i dali mu na imię Robert. Frank kochał chłopaka, ciągnęła dalej Fay, ale tylko dlatego, że tak bardzo kochał jego matkę. Nie poznała nigdy kobiety, która zabrała jej syna. Listy Franka były pełne nadziei i pochwał.

A potem przestały nadchodzić. Fay pisała na jego adres do Illinois, ale listy wracały. Po paru miesiącach Frank stanął w drzwiach jej domu, brudny, nieogolony, pijany, z Robertem, który nie miał jeszcze nawet roku. Napożył jakichś pieniędzy, był winien człowiekowi, który pomógł mu dostać się do Sacramento. Opowiedział Fay, co się stało. Pewnego dnia wrócił wcześniej do domu z akwizycji ogłoszeń do gazety i znalazł swą piękną

Nan w łóżku ze starszym ich Kościoła. Dał mu niezgorszy wycisk - Frank umiał się bić, cóż to dla niego rzucić człowieka na ziemię - a potem chwycił niemowlaka i wypadł z domu. Wtedy po raz ostatni Frank i jego syn widzieli Nan. Przyniósł dzieciaka Fay. Tak właśnie ukarał żonę. Swoją drogą, Fay była trochę zaskoczona, widząc Franka po latach z Bessie, inną kobietą mormonów.

- Poprzednim razem, gdy u mnie był, okropnie ich nienawidził - wyjaśniła.

Bessie spytała tylko, czy policja nie szukała Franka z Robertem. Czy oni nie wiedzą, gdzie Fay mieszka?

- Nie - odparła Fay. - Nie sędzę. Wiesz, on w dniach swego małżeństwa nigdy nie używał nazwiska Frank Gil - more, tak że oni naprawdę nie wiedzą, kogo by mieli szukać. Cholera, Frank zenił się pod wieloma nazwiskami. W istocie - dodała, uśmiechając się - wygląda na to, że ty jesteś tą jedyną, którą poślubił pod własnym nazwiskiem. Choć muszę od razu sprostować, że Gilmore to też nie jest jego prawdziwe nazwisko.

- A jakie jest prawdziwe?

Fay przyjrzała się Bessie uważnie.

- Weiss - powiedziała wreszcie. - Ale nie mów nikomu, że ci to zdradziłam. Nawet Frankowi.

Nowe pytania cisnęły się na usta Bessie. Kim były te pozostałe żony Franka? I czemu posługiwał się innymi nazwiskami? Skąd je brał i czemu ich używał? Usta Fay zamknęły się natychmiast, gdy tylko zalał ją potop tych pytań. Starsza pani wiedziała, że lepiej nie mówić za wiele.

- Coś ci wyjaśnię - odparła. - Może w twoim przypadku taka ostrożność jest bezpodstawna. Ale są rzeczy i sprawy w żydu Franka, o których ci nigdy nie powiem, choćbyś nie wiem jak się dopytywała. Jeśli chcesz, możesz wydobyć te sekrety od swego męża.

Fay podała Bessie kilka innych nazwisk Franka; moja matka pomyślała o kobietach, które może gdzieś tam sobie żyły pod takimi nazwiskami. Frank, powiedziała Fay, posługiwał się także imionami: Francis, Franklin, Harry i Walter. A nazwiska, których ostatnio używał, to Ingram, Seville, Sullivan, Lancton, LaFoe, Collier i Coffman; niekiedy używał nawet swego prawdziwego nazwiska, Weiss, choć Fay zawsze mu to odradzała. A dlaczego używał tych innych nazwisk, to już niech Bessie spyta o to samego Franka. No więc były te żony i dzieci. Pierwszy syn Franka, Christopher, urodził się w Baltimore w 1914 roku (w rok po Bessie). Urodził się bez ślubu - o ile Fay wiadomo, wszystkie dzieci Franka były nieślubne - i został adoptowany przez jakąś dobrą rodzinę w Baltimore. Mimo że chłopca adoptowano,

Frank przez lata utrzymywał z nim kontakt, podobnie jak Fay. Christopher pracował w branży rozrywkowej i od czasu do czasu pisał do babci. Raz nawet złożył jej wizytę. To przez Christophera, mówiła, utrzymywała luźne kontakty z Frankiem w owych latach, kiedy zostawił jej Roberta.

W kilka lat po narodzinach Christophera Frank wdał się w krótkie, burzliwe zaloty do słynnej śpiewaczki operowej w Nowym Jorku, co skończyło się jeszcze krótszym i nie mniej burzliwym małżeństwem, a niebawem jego szybkim i przykrym unieważnieniem. Potem ożenił się z Nan i kiedy pojawił się tu z Robertem, wkrótce straciła z nim kontakt. Po paru latach dowiedziała się od Christophera, że w 1928 roku, jako Walter Coffman, Frank poślubił siedemnastoletnią dziewczynę, Barbarę Solomon. Było to w Greenville w stanie Alabama. Mieli dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Jak dowiedziała się jeszcze, założył rodzinę w Seattle, jako Lancton, i zaliczył co najmniej jedno lub dwa bezdzietne małżeństwa. O ile jej wiadomo, dotąd ma tylko jeden ważny ślub i rozwód - z Nan, matką Roberta, co stanowi zupełny wyjątek w jego procederze. Ponieważ nigdy nie żenił się drugi raz pod tym samym nazwiskiem, Fay nie może się absolutnie połapać we wszystkich subtelnosciach; to już sprawa samego Franka.

Te małżeństwa, mówiła dalej Fay, są tylko częścią jego historii.

- Wybrałaś sobie interesującego człowieka na męża - powiedziała do Bessie. - Żadna z nim jeszcze długo nie wytrzymała. Ale co do ciebie mam lepsze przeczucie niż w przypadku pozostałych.

Fay przeszła teraz do własnej przeszłości i Bessie mogła się przekonać, że starsza pani nie jest wcale tak małowówna ani tajemnicza jak jej syn. Powiedziała, że urodziła się w Kanadzie Francuskiej, a ojciec był potomkiem domu królewskiego Burbonów. W 1870 roku okoliczności zmusiły rodziców<sup>1</sup>, do przeniesienia się do Lincolnu w stanie Nebraska. Nie potrafi określić, jakie było jej pierwotne nazwisko rodowe ani co spowodowało tę przeprowadzkę. Podobnie jak Bessie, miała kilka siostr i wszystkie były zmęczone życiem w małym miasteczku. Pod koniec lat osiemdziesiątych po wielu perypetiach wyruszyły na wędrowną. Na początku 1890 roku występowały na Targach Światowych w Chicago jako Iva i Siostry Lancton. To tam spotkała mężczyznę, który mógłby być ojcem Franka. Człowiek ten zyskał potem wielką sławę.

- Gdybym powiedziała, kto to taki, byłby to dla ciebie prawdziwy szok.

Fay natychmiast pokochała mężczyznę, którego miała wkrótce znienawidzić na zawsze. Gdy zaszła z nim w ciążę, zaprzeczył, iż w ogóle ją zna. W niesławie powróciła do Lincolnu i tam 23 listopada 1890 roku powiła Franka.

- A skąd wzięło się nazwisko Gilmore?
- Znałam kiedyś takiego człowieka w Nebrasce.

Bessie przypomniała sobie naraz jedną z tych historii, które Frank opowiadał o swym ojcu. Mówił, że przyczyną jego śmierci był uraz brzucha. Czy to ten facet o nazwisku Gilmore? Czy rzeczywiście on był ojcem Franka?

- A to niespodzianka, że Frank ci o tym mówił! - odparła Fay. - Nie, to nie był Gilmore. Tamten mężczyzna pojawił się w naszym życiu na krótko i nie mam pojęcia, co się z nim stało. Prawdziwym ojcem Franka był ten, który zginął od uderzenia w brzuch. I to już wszystko, co mam ci na ten temat do powiedzenia.

W połowie lat dziewięćdziesiątych rodzina Fay opuściła Nebraskę i przeniosła się na Wschód. Zostawiła Franka w szkole z internatem i na jakiś czas przyłączyła się do trupy swoich sióstr. Występowały w okolicach Bostonu i Nowego Jorku, ale w końcu ich drogi się rozeszły, a Fay wdała się w nieszczęśliwy romans na Zachodnim Wybrzeżu. W latach dwudziestych osiedliła się w Sacramento, ponieważ, jak wspomniała, miasto to stało się azylem ruchu spirytualistów i teozofów, do którego się przyłączyła. Poślubiła tamtejszego psychologa, Williama Ingrama, i pracowała z nim jako asystentka. Gdy po paru latach Ingram zmarł, przejęła część jego klienteli. Po pewnym czasie powróciła na łono spirytyzmu. Wierzyła, że rzeczywistą przyczyną wielu ludzkich kłopotów jest brak kontaktów z tamtą stroną - to znaczy z tymi, którzy przez śmierć przeszli do świata duchowego. Gdyby udało im się za pośrednictwem jakiegoś medium, na przykład Fay, nawiązać taki kontakt, mogłoby to doprowadzić do wielu ozdowień zarówno wśród żyjących, jak i wśród zmarłych.

- Mogę na przykład powiedzieć, że tobie towarzyszy jakiś sprzyjający duch. Jest tutaj teraz, gdy rozmawiamy. Wyczuwam, że ma za zadanie chronić cię przed ciemnym duchem, który także czai się gdzieś niedaleko i próbuje się do ciebie zbliżyć.

- Dość - przerwała jej Bessie. - Nie dbam o to, co robisz z żyjącymi, ale jeśli chcesz, żebym tu z tobą została, nie sprowadzaj żadnych duchów pukających do mnie w mroku przez ścianę. Bo ucieknę stąd prędzej, niż się spodziewasz. Jeśli idzie o te sprawy, wolę już być tchórzem do końca życia.

Fay przyrzekła, że nie będzie się wtrącać między Bessie a obecne przy niej duchy.

Wszystkie sprawy związane ze sławnym ojcem Franka niezwykle pobudzały ciekawość Bessie, a coś z tego gąszczy aluzji i szczegółów jakimś trafem przypadło jej do gustu. Wiele się dowiedziała: prawdziwe nazwisko Franka, według Fay, brzmiało Weiss, a jego ojciec zginął od urazu brzucha. Uzbrojona w te wiadomości i mając już pewne podejrzenia, udała się któregoś popołudnia do biblioteki publicznej w Sacramento i

przystąpiła do lektury. Nie dowiedziała się jednak tyle, ile się spodziewała. Słynny magik Harry Houdini, o którym tak pogardliwie wypowiadali się Frank i jego matka, urodził się w 1874 roku jako Ehrich Weiss. Zmienił później nazwisko na Houdini, na cześć słynnego francuskiego magika, Roberta Houdina. Podczas podróży artystycznej w 1926 roku Houdini, który miał wówczas pięćdziesiąt dwa lata, pozwolił jakiemuś nadgorliwemu wielbicielowi wyprowadzić parę mocnych ciosów w splot słoneczny, chcąc zademonstrować swą niezwykłą wytrzymałość i siłę. Ciosy te spowodowały ostry uraz, który 31 października 1926 roku doprowadził do śmierci magika na skutek zapalenia i perforacji otrzewnej.

Na podstawie tej informacji Bessie domyśliła się, że prawdziwym ojcem Franka Gilmore'a był Harry Houdini.

Gdy wyjawiała Fay, czego się dowiedziała, ta potwierdziła jej przypuszczenia. Przed laty, wspomniawszy, kiedy Houdini stał się sławny, skontaktowała się z nim, występując w imieniu Franka o potwierdzenie ojcostwa. Magik, gorzko rozczarowany faktem, że jego żona nie mogła mieć dzieci, a nie z powodu jakiegoś tam skandalu, odrzucił żądania Fay. Chciała jednak, by syn wiedział, kim był jego ojciec; sądziła, że tak będzie sprawiedliwie.

- Stało się to wielką tragedią w życiu Franka. Gniew i uraza wobec tego człowieka sprawiły, że Frank nigdy się nie przyznał, kim naprawdę jest.

Gorzka świadomość tego, że odrzucił go własny ojciec, powiedziała Fay, sprawiła, iż Frank zmienił się w niespokojnego ducha, który wciąż wikłał się w jakieś kłopoty i nie potrafił uznać swojego potomstwa.

- Jeśli będziesz z nim miała dzieci, Bessie, postaraj się, żeby pozostał im wierny. To jedyna rzecz, która może przynieść mu spokój. Za późno już na to, żeby był synem Houdiniego. Ale może być ojcem własnych synów.



TAJEMNICA FAY



Przez lata Fay intrygowała mnie bardziej niż ktokolwiek inny w historii mojej rodziny. Z pewnością ta kobieta poznała siłę sprawczą tajemnicy. Tajemnicy przeszłości, która zawładnęła przeznaczeniem, nie ujawniając przy tym własnych sekretów. Tajemnicy świata śmierci.

Fay umiała zasiać taki przekaz. Za młodu słyszeliśmy jej legendy o ojcostwie Houdiniego i zaginionym królewskim rodowodzie. Obok opowieści o mormońskich przodkach

i Zadośćuczynieniu Krwi sekrety Fay stanowiły istotną część świadomości naszego pochodzenia. Były tam tajemnice i długi zaciągnięte w przeszłości, były prawa przyrodzone, które wymykały się nam z rąk, były duchy czające się za plecami, były wreszcie ciemne miejsca w naszej historii - ów mrok, którego nie będziemy w stanie przeniknąć, jeśli nie poznamy najstarszej i najprawdziwszej części siebie samych.

Trudno z góry przesądzać, czy któraś z tych opowieści okaże się prawdziwa, czy też nie. Wierzyliśmy, że ich treść upomina się o nasze życie, i postępowaliśmy zgodnie z tym przekonaniem. Kiedy przystępowałem do pracy nad książką, miałem nadzieję, że odnajdę w tych legendach tyle prawdy, ile tylko potrafię. Choć muszę przyznać, że Fay nader biegle zacierała ślady - udało się jej zataić większą część wydarzeń z własnego życia i istotne partie życiorysu swego syna. Zapomniała jednak o pewnych drobnych tropach. Jak sądzę, tam właśnie mogą się kryć klucze do tragedii.

Oto czego się dowiedziałem o świecie Fay i okolicznościach narodzin mojego ojca...

7 listopada 1869 roku siedemnastoletnia Josephine St. Louis, późniejsza matka Fay, poślubiła liczącego dwadzieścia siedem lat Lewisa Lavois. Był on szewcem, a działo się to w Marlborough w stanie Massachusetts. Oboje urodzili się w Kanadzie Francuskiej, choć ich francuskich korzeni trudno byłoby się dogrzebać. Jeśli nawet któreś z nich miało w swej linii rodowej ślady jakichś królewskich koligacji, to i tak było już po herbatce. Nie mogłem też nigdzie odnaleźć wpisu metrykalnego Fay, która miała się urodzić 8 stycznia 1871 roku; nie było go ani w Kanadzie, ani w Massachusetts, choć z większym prawdopodobieństwem można przyjąć, że urodziła się raczej w tym ostatnim miejscu.

Rodzina Fay pojawia się następnie w spisie ludności USA z lat osiemdziesiątych - w hrabstwie Lancaster w stanie Nebraska. Noszą teraz nowe nazwisko, Laneton, a ojciec jest wymieniony w spisie jako Peter, czterdziestosześcioletni drwal. Pewien doświadczony genealog, który pomagał mi prześledzić te perypetie, zapewniał, że Lewis Lavois, który znikł ze spisów w Massachusetts w latach siedemdziesiątych, i Peter Lancton, który pojawił się w Nebrasce w latach osiemdziesiątych (figurujący w księgach także jako Peter La neto), to

całkiem różne osoby. Zwłaszcza że ten Lancton ze spisu jest prawie dziesięć lat starszy niż Lavois. Otóż nie byłbym tego taki pewny. Jeśli uwzględnić to, co mówiła Fay, w jej rodzinie była jakaś zmiana tożsamości; poza tym nigdy nie wspominała ona o drugim ojcu. Nie można więc z pełnym przekonaniem stwierdzić, że Lavois i Lancton to nie ten sam człowiek. Jedno w każdym razie jest pewne: w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku Josie mieszka w Nebrasce z niejakim Peterem Lanctonem i od tego nazwiska zaczyna się poświadczona historia rodzinna.

Lanctonowie, podobnie jak Brownowie, byli ubodzy i mieli wiele dzieci. W latach spędzonych w Lincolnie zmieniali często miejsce pobytu, mieszkali zwykle na obrzeżach miasta przenosili się z jednej chałupki do drugiej. Jadąc dziś przez te okolice, pomyślałem, że te posępne strony mało się zmieniły od czasów, gdy tam żyli. Z całą pewnością musiało to być przygnębiające otoczenie dla młodego człowieka, zarówno wtedy, jak i teraz. Żeby tam przetrwać, trzeba było pewnie być tak jałowym jak okoliczne ziemie, chyba że ktoś karmił się jakimś wyobrażeniem, które wykraczało poza tę pospolitość.

Tu jednak historia Fay zaczyna odbiegać od jej opowieści; z tego, co zdołałem ustalić, wynika, że nigdy nie wyjechała z siostrami, by występować na Targach Światowych w Chicago w 1890 roku. Nie, 31 lipca 1886 roku Fay, znana w Lincolnie jako Fannie, poślubiła w Omaha w stanie Nebraska niejakiego Harry'ego Noole'a Gilmore'a. Harry, który urodził się w Illinois, nie był człowiekiem zbyt majątnym. Według danych z ówczesnego spisu obywateli Lincolnu mieszkał u rodziny żony. W wykazie zatrudnionych raz figuruje jako pomocnik cieśli Petera Lanctona, a raz jako motorniczy tramwaju.

W rok po ślubie, 26 sierpnia 1887 roku, przychodzi na świat ich pierwsze dziecko, chłopiec o imieniu Clarenee. Lecz 31 października 1890 roku malutki synek Harry'ego

i Fannie umiera i zostaje pogrzebany na cmentarzu Wyuka w Lincolnie. Trzy tygodnie po jego pogrzebie, 23 listopada 1890 roku, rodzi się mój ojciec, Frank Harry Gilmore. A przynajmniej mogę przyjąć, że właśnie wtedy się urodził. W stanie Nebraska nie prowadzono wówczas rejestru narodzin i nigdy nie odnalazłem świadectwa urodzenia lub chrztu Franka Gilmore'a.

A potem już niewiele było o nich w aktach stanu Nebraska. Na początku 1893 roku Fannie wnosi sprawę rozwodową, co odnotowano w rubryce wydarzeń publikowanej na łamach „Nebraska State Journal”. Pod nagłówkiem „Rozwody” 28 lutego 1893 roku można było przeczytać: „Fannie Gilmore chce się rozwieść z Harrym Gilmore'em, wczoraj wniosła pozew do sądu rejonowego. Twierdzi, iż Harry, którego poślubiła w Omaha w lipcu 1886 roku, zaniedbuje swe obowiązki w zakresie zapewnienia jej środków utrzymania. Dodaje, że z

trudem udaje jej się u trzymać z pracy fizycznej, pomimo pomocy krewnych. Sąd zajmie się również kwestią przyznania pani Gilmore opieki nad dzieckiem”.

Po uzyskaniu rozwodu Fannie wraz z synem wraca do rodziców. W 1896 roku Lanctonowie przenoszą się na Wschód, gdzie siostry przez parę lat pracują razem, śpiewając tańcząc w objazdowych wodewilach. Tymczasem w 1895 roku w spisie miejskim Lincolnu zostaje odnotowany Harry Gilmore jako goniec w hotelu „Lincoln”. I to już wszystko, co można o nim przeczytać aż do 11 czerwca 1911 roku, kiedy na łamach „Nebraska State Journal” pojawia się wzmianka: „SCOTTS BLUFF, NEB., 10 CZERWCA - Harry Gilmore, lat 40, zmarł wczoraj w szpitalu Scotts Bluff na gorączkę tyfusową. Nie udało się odnaleźć jego przyjaciół i krewnych ani ustalić, skąd pochodził. Pracował w fabryce cukierków, a koszty jutrzejszego pogrzebu pokryją chłopcy z fabryki”.

Po roku 1890 Fay znika na długo z zapisków rodzinnych jakichkolwiek udokumentowanych adnotacji. I dopiero gdzieś około roku 1920 można usłyszeć, że w Sacramento niejaka Baby Fay LaFoe trudni się wywoływaniem duchów. Frank Gilmore tymczasem wiódł swe tajemne życie.

Oto prawdziwa historia pierwszych lat mojego ojca, o ile zdołałem ją ustalić. Nie wierzyłem, że był on nieprawym synem Harry’ego Houdiniego, choć podejrzewam, że mój ojciec w to wierzył. Jeśli nawet Frank Gilmore pamiętał swego prawdziwego ojca lub wiedział o jego samotnym losie, nigdy o tym nie wspomniał. Ale nie wszystkie historie Fay były zmyślane. Odkryłem na przykład wiele prawdy w jej opowieści o wczesnych latach Lanctonów, która stanowiła podstawę późniejszych wymysłów. Prawdziwe okazały się też relacje o rozmaitych małżeństwach Franka i jego różnych nazwiskach.

To tylko czyniło fantazje Fay jeszcze bardziej kłopotliwymi. Dlaczego zadała sobie tyle fadygi, żeby zmyślić historyjkę ourodzeniu syna z nieprawego łoża i dlaczego tak się przy niej upierała do końca życia? Oczywiście Frank Gilmore poniósł z tego tytułu ogromne koszty, ale nie sprowadzało się to tylko do niego. Myślałem nieraz, że Fay mogła wymyślać te historie, żeby okupić własne rozczarowania. Może małżeństwo i jego klęska to zbyt banalne dla osoby o takiej wyobraźni i takim temperamentcie jak Fay. Może, by się z tym pogodzić, potrzebowała większej klęski, jak utrata miłości jakiejś wielkiej sławy, która była ojcem jej syna bękarta. Może po prostu taka historia przydawała jej znaczenia i może po latach Fay uznała, że właśnie takie rewelacje ludzie będą pamiętali po jej śmierci.

Być może; ale może też jednak coś w tym było?

Niedawno temu wybrałem się na cmentarz Wyuka tuż pod miastem Lincoln, gdzie pogrzebano trzyletniego Clarncce’a, starszego brata mego ojca. Wyuka jest jednym z

najstarszych wielkich cmentarzy w stanie Nebraska; od ponad stu lat przyjmuje umarłych i odwiedzających ich żałobników. Otwiera się przed przybyszem niczym mozaika. Wąskie dróżki wiją się wokół szerokich zagonów, a każdy z nich stanowi swoistą wyspę grobów. Grób Clarence'a usytuowany jest w odległej części cmentarza, w jednej z jego najstarszych kwater. Postawiłem wóz w pobliżu, był wczesny zimowy ranek, dawało się we znaki przenikliwie zimno. W porannych wiadomościach podano komunikat o zamieci. Nad ziemią unosiła się mgła, która utrudniała odczytywanie napisów na starych, zniszczonych przez czas nagrobkach. Straciłem trochę czasu, zanim znalazłem małą mogiłę obok pustego kawałka gruntu, otoczoną kolonią grobów rodzinnych. Na kamieniu leżącym płasko na ziemi było wszystko, co zostało w Nebrasce po Lanetonach i pierwszej rodzinie mego ojca. Mogłem odczytać napis: NASZE DZIECIĄTKO.

Stałem tam i patrzyłem, jak długo pozwoliło mi na to dojmujące zimno. Próbowałem sobie wyobrazić, co czuli Fay i Harry, kiedy grzebali synka. Może to małżeństwo już się psuło i śmierć dziecka zabiła resztki nadziei tej młodej pary. Myślałem o tym tak: masz dziecko, kochasz je i lokujesz w nim to, co w tobie najlepszego, całą swoją nadzieję. A potem to dziecko umiera, twoje nadzieje zostają wymazane, rozwiera się wielka rana i w trzy tygodnie później rodzi się następne dziecko - jest nim mój ojciec, i cała nadzieja miłość mogą jeszcze powrócić. A jeśli nie, jeśli to przychodzi zbyt szybko? Co się dzieje, jeśli uczucia, którymi darzy się to dziecko, nie są uczuciami odradzającej się nadziei, lecz emocjami, jakie towarzyszą ogromnym obawom i żalom, a nawet urazom? Kiedy Fay patrzyła na swego nowego synka, tak szybko po złożeniu pierwszego dziecka do ziemi, czy buzia tego niemowlęcia mogła ją pocieszyć? Czy nie czuła, że to zbyt ryzykowne: kochać to dziecko tak, jak kochała pierwsze? Albo, być może, była zbyt zraniona po stracie Clarence'a, by dać Frankowi to poczucie miłości bezpieczeństwa, jakiego niemowlę wymaga?

Jakakolwiek jest na to odpowiedź, małżeństwo Gilmore - re'ów nie przetrwało. Rozpadło się w ciągu paru lat i Fay odeszła, zapominając o Harrym. Nie sądzę, by Frank był bliższy sercu Fay po jej wyjeździe z Nebraski. Posyłała go do kolejnych internatów i tylko okazjonalnie mieszkali razem. Lepiej jest trzymać się na dystans niż kochać dziecko, a potem je grzebać. Frankowi Gilmore'owi odmówiono wszelkich praw - i uczynili to wszyscy. Rósł bez ojca i bez matki. Kiedy trzydzieści lat później podrzucił Roberta pod drzwi Fay, mógł równie dobrze powiedzieć: „Słuchaj, oddaję ci to, czego doznałem przez ciebie”. I odepchnąć własnego syna w ręce matki, która kiedyś odepchnęła jego.

To by tłumaczyło dystans między Fay i Frankiem, ale skąd te pogłoski o Houdinim? Nie mam tu pewności. Może Fay przeżyła z nim romans? Może знаła go do pewnego czasu, a

potem poczuła się zraniona jakimś jego postępkami? Czy jest lepszy odwet niż skandal z synem bękartem? może wmawiając Frankowi tę historyjkę, usiłowała tym głębiej pogrzebać prawdę o swej smutnej przeszłości.

Spojrzałem jeszcze raz na kamień nagrobny Clarence'a pomyślałem: „Jestem być może jedyną osobą, która odwiedziła ten osobliwy grób w ciągu ostatnich stu lat”. Ta myśl napęliła mnie taką rozpaczą, że powróciłem do wozu i odjechałem z tego miejsca tak szybko, jak pozwalały mi na to wąskie dróżki. Lecz zanim opuściłem cmentarz, przystanąłem jeszcze przy kancelarii i zapytałem o tę działkę przy dziecięcym grobie. Wydawało mi się to dziwne: taka pusta kwatera w odległej części cmentarza, która zapęliła się blisko wiek temu. Miły starszy pan za biurkiem wyjął jakieś stare księgi, powiódł palcami po rubrykach wpisów i powiedział:

- Ta działka należała do kogoś, kto nazywał się Harry Gilmore. Był to ojciec Clarence'a i wykupił to miejsce dla siebie parę lat po tym, jak pochował synka. Ale już nigdy nie wrócił i nikt tam nie leży.

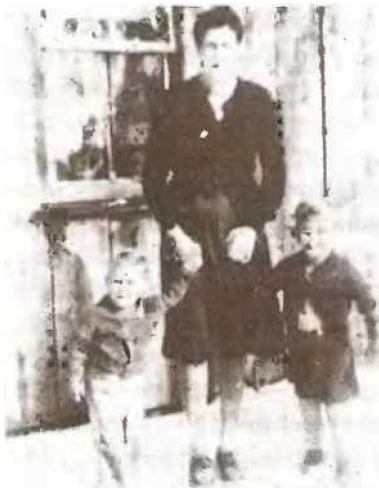
Nikt nie leży w pustej kwaterze obok mogiły Clarence'a. Więc on leży tam sam, a kryje się za tym pewna mała tajemnica.

Być może w tym miejscu Bessie mogłaby powiedzieć: „No, no, wygląda na to, że wżeniłam się w rodzinę, co miała większe kłopoty niż te, przed którymi właśnie uciekłam”. Ale tak nie powiedziała. Została wbrew tym okropnym sekretom na przekór wszystkim przerażającym perspektywom. Mimo że jej mąż pogrążył się w pijaństwie, bił ją i zniknął z domu.

Miała swoje powody.

A my - jej synowie - jesteśmy pokłosiem tej decyzji.

LATA WĘDRÓWKI



Pod nieobecność Franka, która wydłużyła się do miesiąca, interes spirytystyczny Fay

odżył i rozkręcił się na nowo. Znaczną jego część stanowiło to, co Fay nazywała spirytyzmem dziennym: odczytywanie kart i wróżenie tym, którzy przeżywali rozterki miłosne lub przejmowali się stanem swych interesów. Ci klienci potrzebowali potwierdzenia jakichś ogólnych wskazówek, a Fay wyczuwała, czego oczekują. Wieczorami odstawiała poważną robotę: seanse, wywoływanie duchów, materializacje. Zbierała na tych sesjach ludzi, którzy obawiali się kontaktu z ukochaną osobą po drugiej stronie ciemnej zasłony. Zwykle gromadziło się około tuzina zainteresowanych, choć czasami zasiadało w salonie i czterdziestu uczestników. Większość stanowili starsi ludzie, w wieku Fay. Chcieli zażegnać bolesne nieporozumienia z osobami, które kochali, a potem utracili, bądź też uzyskać od drogiego nieobecnego decydującą radę w tej czy innej sprawie. Albo po prostu oczekiwali jakichś znaków, że po śmierci jest życie i wyzwolenie od kłopotów. Znajdowali takie znaki w saloniku Fay, pod jej kierunkiem. Swojskie głosy przychodziły z ciemności bądź z ust Fay, jeśli zgodziła się być pośrednikiem w kontakcie ze zmarłą osobą. Żyjący czuli na twarzach ręce i oddechy umarłych, dziwne odgłosy dobywały się z podłogi i ścian. Czasami przepływały w mroku jarzące się twarze, niczym zjawy, które przenikały do rzeczywistego świata.

Mama pozostawała na uboczu, gdy Fay wywoływała duchy. Czowała się nieswojo w atmosferze, jaka panowała wówczas w domu; do tego dochodziło nerwowe oczekiwanie na coś, co mogło się zdarzyć. Albo klientami Fay byli żałośni ludzie w potrzebie, którzy dawali się jej naciągać, albo też sprzedawała im rzetelny towar, mając dostęp do rzeczywistości zastrzeżonej przez Boga i do świata zmarłych, a ta druga możliwość była dla Bessie jeszcze bardziej niepokojąca niż pierwsza. W wieczory, kiedy odbywały się seanse, mama odwiedzała zwykle Roberta, który mieszkał w małym pokoiku kilka przecznic dalej. Syn Franka przypadł jej do gustu, byłby właściwie mężczyzną na jej miarę: nieśmiały i grzeczny, do tego jeszcze cholernie przystojny. Im dłużej przeciągała się nieobecność Franka, tym bardziej mama zbliżała się do Roberta; łączyło ich to, że oboje w jakimś sensie zostali porzuceni przez tego samego mężczyznę. W obecności kogoś, kto wzrastał w świecie dziwnych cieni i kto był tak jak on spragniony obecności ojca, Bessie mogła się wyżalić, jak głęboko i dotkliwie została zraniona. Ale wszystko, co Robert wiedział o swoim ojcu, sprowadzało się do informacji, że wychował się on w wodzie - wilowocyrkowym kręgu i obracał w świecie, którego sekrety trzymały go z dala od syna. Świadomość istnienia owego tajemnego świata niewiele jednak Robertowi pomagała. Prawda była zbyt oczywista: Frank Gilmore ze straszliwą łatwością opuścił syna, nigdy do niego nawet nie dzwoniąc ani nie pisząc. Robert bardzo chciałby się zbliżyć z ojcem, ale nie wiedział, jak miałby tego dokonać.

Bessie i Robert spędzili wiele wieczorów na rozmowach o tych i innych sprawach, podczas gdy duchy grasowały nocą w domu Fay.

W połowie jesieni, po sześciotygodniowej nieobecności, Frank wrócił do domu. Bessie ujrzała go, jak się zbliżał do drzwi, i mimo całego napięcia coś w jej sercu odtajało. Gdy tak ku niej szedł, nie wątpiła, że to jedyny mężczyzna, jakiego kiedykolwiek mogłaby naprawdę pokochać. Dała mu jednak odczuć, że nie była szczęśliwa z powodu tej długiej nieobecności i że dowiedziała się czegoś o jego życiu. Powtórzyła słowa Fay o tym, że miał parę żon i używał wielu nazwisk. Powiedziała mu też, że odkryła, iż jego ojcem był Ehrich Weiss.

Frank spojrział na nią, nie okazując żadnej reakcji. „Jak jego matka” - pomyślała Bessie.

- Co jeszcze Fay ci powiedziała?

- Tylko tyle. Dodała, że jeśli chcę poznać inne twoje sekrety, powinnam cię sama o to zapytać.

Frank doznał wyraźnej ulgi. Rzucił Bessie spojrzenie, które dało jej do zrozumienia, że nic więcej już się nie dowie.

Postanowiła jednak trochę nacisnąć.

- Frank, gdzie byłeś? Co tam robiłeś?

- To chyba nie twój zasrany interes - odparł. - Już ci powiedziałem. Może to lepiej dla ciebie, jeśli nie będziesz wszystkiego wiedziała. Pomyśl o tym w ten sposób.

Była jednak pewna rzecz, o której chciała wiedzieć: czy miał jakieś rodziny w innych miejscach? Czy widuje się ze swymi żonami i otacza opieką ich dzieci?

- Mogę ścierpieć wiele rzeczy, ale jeśli będziesz się uganiał za innymi kobietami, zostawię cię.

Frank się roześmiał, a policzki Bessie zdrzały z czułością. Spojrział tylko w jej zielone oczy i powiedział:

- Wierz mi, znaczysz dla mnie więcej niż inne. A poza tym człowiek byłby chyba przeklętym głupcem, gdyby miał równocześnie więcej niż jedną żonę. Do diabła, nie jestem przecież mormonem! Nie martw się, nie zobaczysz żadnej z tych kobiet. Raz tylko zetknęłaś się z jednym z moich dzieci. I to wszystko.

Nie wiedzieć czemu, Bessie odczuła ulgę.

Frank zarobił widocznie trochę pieniędzy na wyjeździe nie wstydził się ich wydawać. Zabrał Bessie do centrum, kupił jej nowe ciuszki i nowe pierścionki, a Robertowi dał gotówkę na używanego forda, którego chłopak chciał sobie sprawić. Opłacił czynsz Fay za sześć

miesiący z góry i wręczył jej kopertę z pewną sumą, zapowiadając, że to na bieżące wydatki. Mówił, że tęsknił i chciałby, żeby Bessie zwiedziła trochę kraj, zanim będą mieli dzieci. Powiedział jeszcze Fay, że wrócą za parę miesięcy. Bessie zaś wyjaśnił, że nie chce się mieszać w te spirytystyczne błazeństwa. Naoglądał się tego mnóstwo przez lata i byłby chyba ostatnim głupcem, gdyby się przejmował tym całym szurumbu - rum, jakie odprawia jego matka. To jeden wielki szwindel oszustwo, mówił. Pod stołem i pod dywanem Fay ma zamontowane kontakty, które uruchamia rękami i stopami, różne rzeczy mogą się dziać w ciemności.

Bessie nie była tego taka pewna. Wiara utwierdziła ją w przekonaniu, że zasłona odgradzająca świat żywych od świata martwych jest bardzo wątła. Umarli są zawsze w pobliżu, bliżej, niż ci się zdaje, mówiła. Poza tym niby jak Fay miałyby wykonywać wszystkie te sztuczki, skoro jest przykuta do fotela?

Frank się roześmiał.

- Ona wcale nie potrzebuje tego cholernego grata - powiedział. - To tylko część jej sztuki. W dodatku świetny sposób na to, by ludzie ją obsługiwali.

Bessie uznała, że Frank żartuje. Obserwowała, jak bezradna jest Fay w swoim fotelu, widziała, że jej nogi są jak kłody. Nie miała żadnych wątpliwości, że Fay jest sparaliżowana.

Tak czy siak, Frank i Bessie wyruszyli w drogę. Frank kupił nowego pontiaca kombi z drewnianą boazerią, wrzucił trochę rzeczy do walizek i pojechali we dwoje z powrotem do Utah. Chciał odebrać jakieś pieniądze, z których zapłatą zalegał jego pracodawca z „Utah Magazine”, a Bessie pomyślała, że nadarza się okazja, by rodzina poznała wreszcie jej męża. Pisała do nich z Sacramento, powiadamiając, że wyszła za mąż. Jej małżonek był obrotnym akwizytorem ogłoszeń, przedtem zaś występował w niemych filmach i w cyrku. Nie wspominała oczywiście o takich drobiazgach, jak że był od niej niemal dwukrotnie starszy i że miał z pół tuzina innych żon i dzieci. Pomyślała, że będzie lepiej, jeśli zachowa tę informację dla siebie; po co w sąsiedztwie mają brać ją na języki? Kilka tygodni później dostała krótki, lecz miły list od matki.

„Trochę martwiliśmy się o ciebie, jak wyjechałaś z Utah, ale jesteśmy szczęśliwi z powodu tych nowin - pisała Melissa. - Jak wiesz, tylko przez małżeństwo kobieta może dostąpić pełnej obecności w Bogu i chwały Królestwa Niebieskiego, jesteśmy radzi, że zrobiłaś ten ważny krok. Przyjedź, proszę, to się zobaczymy Chcielibyśmy poznać twojego Franka”.

Już od samego początku wizyta nie układała się dobrze. Zarówno Melissę, jak i Willa bardzo drażniło to, że widzą Bess u boku mężczyzny znacznie od niej starszego, zaledwie



cztery lata młodszego od jej ojca. Widocznie w samym wyglądzie Franka było coś takiego, co źle usposabiało teściów - zupełnie jakby wyczuwali jego kryminalną przeszłość. Zwłaszcza Will był niezadowolony, że Bessie poślubiła takiego mężczyznę.

- To człowiek - powiedział do niej pewnego dnia na podwórku - który siedział w więzieniu. Dlaczego nam o tym nie powiedziałaś? Jak mogłaś wyjść za kogoś takiego?

- Nie siedział w więzieniu - odparła Bessie i stare urazy wypełzły na jej twarz. - Frank miał ciężkie życie. Ojciec porzucił go zaraz po urodzeniu, a matka musiała pracować w branży rozrywkowej, żeby posyłać go do szkoły. Tyle lat był zdany na własne siły, może stał się trochę twardy. Ale mój mąż nie jest kryminalistą. Jak śmiesz tak o nim mówić?

Bessie protestowała, choć nie na wiele się to zdało. Brownowie nie okazali Frankowi życzliwości, a młodsze siostry były niemal przerażone. Czuła się bardziej niż kiedykolwiek osądzona i odrzucona przez własną rodzinę. Pogarda dosięgła ją w najczulszym punkcie. W świecie mormonów nie ma nic ważniejszego niż związki małżeńskie - to opoka, na której buduje się rodzinę, klucz do błogosławieństwa wiecznego. Bessie musiała odczuć skrajne konsekwencje faktu, iż uchybiła w tym względzie. Była przekonana, że pogarda, której teraz doświadcza, nie ma nic wspólnego z osobą Franka Gilmore'a. Cały przekaz emocjonalny, jaki otrzymywała przez lata od rodziny, potwierdzał tylko ten werdykt: była bezwartościowa. W ich świecie, a także w ocenie Boga, nie nadawała się do niczego. Czuła się tak, jakby zatwierdzono jej ostateczne potępienie.

Gdy tylko wyjechali z Provo, Bessie usiadła na przednim siedzeniu pontiaca, zasłoniła twarz rękami i szlochała gorzko jak nigdy przedtem. Czuła się tak, jakby przestało ją obchodzić, czy kiedykolwiek jeszcze ich zobaczy.

Frank objął żonę, przygarnął do siebie, głowa Bessie znalazła się na jego ramieniu

- A czego, do diabła, mogłaś się spodziewać po bandzie przeklętych mormonów?

Zacząła się ich wędrówka. Przez następne parę miesięcy Bessie oglądała miasteczka i zaplecze autostrad całej południowej Kalifornii, Newady, Arizony i Kolorado. Docierali do jakiegoś miejsca, spędzali tam kilka tygodni i ruszali dalej. Rzadko zatrzymywali się dłużej niż miesiąc lub dwa. A kiedy trzeba się było zwijać, odbywało się to w wielkim pośpiechu. Frank wciąż jej mówił, żeby dała sobie spokój z pakowaniem zbędnych rzeczy. Wsiadali tylko do wozu, już ich nie było.

- Kupimy nowe rzeczy w następnym miejscu - tłumaczył. Chyba nie był nadmiernie przywiązany do własności.

Jak się okazało, często były powody do takiego pośpiechu. Bessie zaczęła się

orientować, że głównym procederem Franka są przekręty. Gdy tylko przyjeżdżali do miasta, natychmiast włączał telefon w pokoju hotelowym, podając jedno ze swych nazwisk. Potem obchodził różne przedsiębiorstwa, oferując im umieszczenie ogłoszeń w nowym magazynie lub publikacji specjalnej. Okazywał próbny numer tego magazynu, zostawiał wizytówkę firmową, wracał do hotelu i czekał na telefony od handlowców, którzy chcieliby umieścić ogłoszenia. Niekiedy wyręczał się Bessie, która przedstawiała się jako jego sekretarka.

- Halo, tu biuro pana Colliera. - Lub: - Halo. Miller Publications. Biuro Franka Colliera.

Potem Frank udawał się ponownie do tych kupców, brał materiał ogłoszeniowy i pełną lub częściową wpłatę. Publikacja, oczywiście, nigdy się nie ukazywała. Frank inkasował pieniądze i ruszał dalej. Numer ze sprzedażą ogłoszeń nazywał się „na sto procent”, ponieważ akwizytor brał cały zysk do kieszeni i związał interes.

Taki tryb życia sprawiał, że jutro dzieliły od wczoraj setki mil, choć nie same tylko oszustwa były powodem tej wędrówki. Bessie zawsze się zdawało, że Frank próbuje stawić czoło jakiejś nienazwanej zjawie, która wciąż go prześladowuje. Czuła to, gdy spał, odgadrywała z napięcia jego leżącej sylwetki lub z tego, jak zrywał się na nocny odgłos kroków w korytarzu. Bardzo szybko przejęła jego sposób reagowania. Zaczynała się irytować, gdy zostawali dłużej w jakimś miejscu, i odprężała się dopiero wtedy, gdy siedzieli już w pontiacu, pędząc do następnego miejsca postoju i do kolejnego oszustwa.

Mimo tych wszystkich ucieczek i ryzyka Bessie wspominała później ten okres jako dobre dni ich małżeństwa; byli tylko we dwoje, przemykali przez małe miasteczka niczym prawdziwi przestępcy amerykańskiego Zachodu.

- Zbliżyliśmy się w tych dniach do siebie. To trwało, póki nie było dzieci. Nigdy tak naprawdę nie chciałam ani nie planowałam mieć dzieci; to Frank tego pragnął. To nawet zabawne: chciał, żeby były, a potem zwracał się przeciw nim. A ja, która nigdy ich nie chciałam, walczyłam o to, by je chronić. Gdyby to mogło tak trwać, bez dzieci...

Mówiła to, jakby chciała nas zranić, i tak rzeczywiście było. Czuliśmy, że jesteśmy winni tego piekła. W głębi serca naszym ideałem rodziny była rodzina bez dzieci.

Te dobre dni nie trwały długo. Wszystkiego parę miesięcy, nie więcej. Na początku roku 1939 Bessie poczuła, że jest w ciąży. Wędrowali dalej niemal do rozwiązania, a potem, gdy jej stan już tego wymagał, zamieszkali w parterowym domku w Glendale, dzielnicy Los Angeles. Tam narodził się mój najstarszy brat, Frank Harry Gilmore junior. Whrew temu, czego Bessie się spodziewała po ostrzeżeniach Fay, Frank wydawał się troskliwym ojcem. Przychodził do szpitala zdenerwowany i dumny, trochę pijany, wlokąc ze sobą paru starych

kumpli. Odprawiał cały rytuał - zostawiał papierosy każdemu, kogo tylko ujrzał, doktorowi wręczał flaszkę luksusowej whisky, musiał oczarować każdą pielęgniarkę. Gdy mama po raz pierwszy zobaczyła go z Frankiem juniorem na ręku, pomyślała, że nigdy jeszcze tak się nie cieszył; jakby piastowanie niemowlęcia czyniło zeń prawdziwego mężczyznę. Zaglądał w twarz małemu i mówił do Bessie:

- Daję ci syna, żeby się tobą opiekował na starość.

Jedno było pewne: Frank wiedział, jak obchodzić się z niemowlęciem. Nigdy nie zapomniał o nakarmieniu czy przewinięciu juniora, wstawał do niego w nocy, gdy malec płakał lub marudził. Bessie mówiła później, że jej najlepsze wspomnienia o Franku wiążą się ze sposobem, w jaki odnosił się do dziecka. Brał je na kolana, gaworzył do niego, mówił różne czułości, śpiewał kołysanki chropawym głosem. Nie trwało długo, kiedy na kolanach Franka dziecko niczym kociak zwiąjało się w kłębek i zasypiało, bezpieczne w objęciach ojca.

W Los Angeles zatrzymali się na parę tygodni, Frank doglądał dziecka i opiekował się Bessie, a potem pojechał na północ zobaczyć się z Fay. Coś w jego zachowaniu kazało żywić obawy że nowy synek podzieli los Roberta, który kłócił się z ojcem bardzo często. Nie chodziło przy tym o brak miłości, której Frank skąpił Robertowi. Przeciwnie, Robert podejrzewał, że ojciec był nie w porządku, gdyż nie kochał dostatecznie Nan. Frank używał najgorszych słów, mówiąc o swej „skurwionej ekszonie”, która wyzwoliła w nim podle instynkty, aż Robert wychodził, tłumiąc łzy. Wtedy Bessie i Frank zaczynali mówić o nim. Bessie czuła, że mąż nie ma racji, ponizając w oczach Roberta matkę, której nigdy nie było dane mu poznać. A Frank jej odpowiadał:

- Widzę, że jesteś miękka dla Roberta, ale byłoby lepiej, gdybyś się nauczyła, jak zamknąć gębę swojej własnej matce.

- Wiesz co, Frank - mówiła na to Bessie - jestem już za stara, żeby się uczyć.

Na początku nadchodzącego roku Bessie znów była w ciąży, ale tym razem jej stan nie znalazł uznania w oczach Franka. Ojciec upił się, poszedł w tango i zaszył się na parę dni w hotelu pod Oaklandem. Gdy wrócił, był zniecierpliwiony i rozdrażniony. Oznajmił Bessie, że już czas, by wyruszyli w trasę. Nie chciała o tym słyszeć. Było prawie lato, ona w siódmym miesiącu, wkrótce znów będzie matką. W tej sytuacji perspektywa przemierzenia całego kraju wcale jej się nie uśmiechała, a gdy jeszcze dowiedziała się, że mają jechać do Alabamy, mina całkiem jej zrzędła. Jechać tak cholernie daleko tylko po to, żeby Frank mógł znowu wykręcić jeden z tych swoich głupich numerów? Coś tu śmierdziało od samego początku, już choćby ta wytyczona przezeń trasa. Zamiast jechać prosto, zawracając na południe i przecinając Teksas, Frank chciał koniecznie zahaczyć o Utah, żeby Bessie mogła

pokazać rodzicom nowe dziecko. A potem mieli przeciąć Kolorado, Kansas i Missouri, wracając przez Arkansas i Missisipi do Alabamy. Wiedziała, że mężowi wcale nie zależy na tym, by Will i Melissa obejrzeni Franka juniora. Mogła tylko podejrzewać, że coś jeszcze wchodzi tu w grę, ale cokolwiek to było, Frank milczał.

Dotarli do Alabamy i nic się nie zmieniło na lepsze. Nadeszło lato i lepka duchota nie przypominała Bessie niczego, co dotąd знаła. No i było coś w samym miejscu, co napędzało jej stracha. To fakt, wiele nasłuchiwała się od lat bigoterii i przemocy Południa, ale czuła na sobie w lokalach ciężar tych kłujących spojrzeń, ilekroć otworzyła swą jankeską gębę. Zamawiając obiad w przydrożnej knajpie, dostrzegła złośliwe spojrzenie kelnerki, które mówiło:

„Skąd, do cholery, wy wszyscy się bierzecie?”

Frank też nie pomagał jej odzyskać spokoju. Wynajęli pokoik w motelu w południowej dzielnicy Selmy, miasta położonego w samym środku stanu. Nie było tam zbyt wiele do roboty. Parę sklepów z widokówkami, jakiś lokal z fontanną, gdzie Bessie zamówiła obiad. Ale Frank chciał, by siedziała przez cały czas w pokoju i nie zadawała się z sąsiadami. Chodziło mu o to, żeby nie mówiła nikomu, kim są i jak żyją, żeby nie odpowiadała na te wszystkie pytania kierowane do obcych.

- To ciekawscy ludzie - wyjaśniał. - Mili z pozoru, ale wewnątrz skrywają nienawiść, jaką do ciebie żywią, bo jesteś kimś innym. Jesteś Jankeską, a Jankesi są tu intruzami. Zostaw tych ludzi w spokoju, Bessie. W dzień wydają się całkiem w porządku, a gdy zapadnie mrok, poderzną ci gardło i nie będzie żadnych świadków.

Pewnej nocy Frank się upił i opowiedział Bessie o swym wcześniejszym pobycie w Alabamie, dziesięć lat temu. Był wtedy żonaty z żydówką, Barbarą Solomon. Zajechali do miasta Greenville, gdzie Frank znalazł zajęcie akwizytora ogłoszeń jakiejś gazety. No i któregoś dnia tutejsi członkowie Ku - KluxKlanu wpadli do nich i zaprosili na swój wiec. Frank odmówił, a kiedy chcieli usłyszeć powody, powiedział, że jest katolikiem, żonę ma żydówkę, nigdy nie miał nic przeciw czarnym, wobec czego nie może się przyłączyć do jakiejś kampanii Klanu. Parę dni później wrócił do domu z pracy zastał żonę z dzieckiem siedzących w ciemnościach. Barbara wyjaśniła mu, że byli tu jacyś mężczyźni, dobijali się do drzwi i miotali straszne groźby. Powiedzieli, że żydzi i katolicy nie są w tych stronach mile widziani i jeśli się nie wyniosą do następnego wieczoru, przyniosą jej odcięte jaja męża. Frank uznał, że nie są to czcze pogrożki. Jeszcze przed świtem opuścili z żoną Greenville, kierując się na Montgomery. Małżeństwo przetrwało tylko jakiś rok czy dwa.

Cokolwiek Frank robił teraz w Alabamie, zdaniem Bessie siedział tu już zbyt długo.

Nalegała, by wyjechali - chciała, aby dziecko przyszło na świat w ich domu w Kalifornii, w Los Angeles, albo u Fay, w Sacramento.

- Już wkrótce - odparł Frank. - Zaraz wyjeżdżamy. Muszę dokończyć to, co tu zacząłem, wezmę tylko forszę i jedziemy.

Święto Dziękczynienia Frank rozpoczął jeszcze przed świtem. Ubrał się i wyszedł, nie było go aż do północy. Bessie czekała z dzieckiem po ciemku w tej klitce, zupełnie jak Barbara Solomon dziesięć lat temu. Zastanawiała się, co zrobi, jeśli jeszcze w ogóle zobaczy Franka, jak się wydostanie z tego straszego miejsca. Bo mogą i do niej przyjść nocą.

Około drugiej nad ranem wpadł Frank.

- Wszystko załatwiłem - rzucił. - Możemy już jechać. Prześpisz się w wozie, ja będę prowadził.

Była bardzo zmęczona, a Frank zupełnie się z tym nie liczył. Uciekali w pośpiechu; to było jedno z tych miejsc, gdzie zostawili rzeczy, kompletna improwizacja. Bessie jednak nie marudziła, szczęśliwa, że opuszczają to okropne miejsce.

Wracając, Frank znowu wymyślił jakiś długi objazd, żeby ominąć Teksas.

- Frank, to bez sensu, musimy jechać prosto. Nie chcę urodzić dziecka gdzieś na poboczu drogi, na tylnym siedzeniu wozu. Wracam do Kalifornii.

Wygrała, przynajmniej ten raz, ruszyli w drogę przez bezkresny Teksas. Nie miała wątpliwości: Frank nie chciał się tam znaleźć. Z każdą milą robił się coraz bardziej nerwowy, a ponieważ Teksas był tak cholernie wielkim stanem, Bóg wie, co czeka ich dalej. Frank usiłował prowadzić całą noc, byle mieć już ten stan za sobą, tylko że nie sposób przejechać Teksas za jednym razem. Światło ranka obudziło

Bessie na tylnym siedzeniu z dzieckiem; ujrzała, jak jej mąż osunął się za kierownicą. Tak bardzo chciała się stamtąd wydostać, że prowadziła wóz w połowie dziewiątego miesiąca ciąży. Sama nie wie, jak jej się to udało.

A potem, jadąc drogą 67, już wiedziała, że nie dotrą do Kalifornii. Dziecko było w drodze, musieli znaleźć szpital. Człowiek na stacji benzynowej wskazał im kierunek na McCamey. To miasto nafciarzy, powiedział, tam mają dobry szpital. Kiedy wóz toczył się już po szpitalnym podjeździe - dzie, z Bessie na tylnym siedzeniu, ściskając kurczowo kławkę jedną ręką, a drugą podtrzymującą brzuch, Frank nie omieszkał uprzedzić:

- Tylko nie mów tu nikomu o tych zasranych sprawach. Pozwól, że ja wszystko załatwię.

Tyle zdołała zapamiętać. W następnej chwili leżała już na wózku, który toczył się w światłach korytarza wprost do izby porodowej.

Kilka godzin później obudził ją gęgający głos teksańskiej pielęgniarki.

- Pani Coffman? Dobrze się pani czuje, pani Coffman? Czy pani mnie słyszy?

Jeszcze oszołomiona, pomyślała: „Czemu pani Coffman nie odpowiada tej kobiecie? Czy pani Coffman źle się czuje?”

Poczuła na ramieniu rękę męża, potrząsał nią lekko.

- Bessie, słyszysz nas? Już wszystko w porządku, to ja, Walter!

Otworzyła oczy i ujrzała Franka stojącego po prawej stronie łóżka. Po drugiej stronie stała pielęgniarka i trzymała nowo narodzone dziecko. Widząc niemowlę, Bessie ocknęła się i wyciągnęła ku niemu ręce.

- To pani dziecko, pani Coffman. Ma pani zdrowego i pięknego syna. Właśnie powiedziałam, że mały Faye to jeden z najładniejszych chłopców, jakich tu oglądałam.

Bessie rozbudziła się do końca.

- Mały Faye? - zapytała.

- Tak - odparł Frank. - Podaliśmy już informacje do świadectwa urodzenia. Powiedziałem, że ustaliliśmy, iż będzie się nazywał Faye Robert Coffman.

- To piękne imię - zachwyciła się pielęgniarka. - I ma pani naprawdę oddanego męża. Nalegał, że będzie tu czuwał przy pani łóżku. Chciał być obok, kiedy się pani obudzi.

Bessie popatrzyła tylko na swoje nowe dziecko, na jego żywe niebieskie oczka i pomyślała: „Czy obudziłam się kimś innym? A może zwariowałam?”

Później, gdy już zostali sami, wszystko do niej wróciło: ta desperacka jazda przez Teksas i nowina, że nosi teraz inne nazwisko. Wszystko mogła zrozumieć, a przynajmniej wszystko to, co miało znaczenie w ich wspólnym życiu, ale nie mogła w żaden sposób pojąć, jaki sens miało to dziwne imię, które Frank nadał ich nowemu synkowi.

- Jak mogłeś dać dziecku takie imię: Fay Robert Coffman?

- To chyba nie jest złe imię. Nie wymyśliłabyś lepszego. Ale pisze się trochę inaczej. Na końcu „Fay” jest jeszcze „e”.

- Nie dbam o to, jak się je pisze. Nazwałeś syna po swojej matce i innym synu, którego nawet nie kochasz. Czemuś to, do cholery, zrobił?

- Uspokój się - powiedział Frank. - Nie będziemy tu tkwić wiecznie. Ale póki tu jesteśmy, nazywa się Faye Robert. Zapamiętaj to sobie.

Parę dni później zatrzymali się w miejscowym hotelu „Doyle”, czekając, aż Bessie nabierze sił do dalszej podróży. Kierowniczka hotelu, starsza kobieta, już od pierwszego wieczoru trzęsła się nad dzieckiem. Ale gdy Bessie powiedziała, jak dziecko ma na imię, kobieta stanęła jak wryta.

- Tak, to jego ojciec tak go nazwał - wyjaśniła moja mama, podczas gdy Frank, to jest Walter, nie posiadał się z dumy.

Kierowniczka wróciła następnego popołudnia, gdy Frank poszedł kupić coś do jedzenia.

- To chyba niezbyt dobre imię dla dziecka - powiedziała, głaszcząc je po główce.

- Tak, wiem - zgodziła się Bessie. - Chyba nie będę się upierać, żeby zatrzymać to imię. Jak będzie miała pani jakiś pomysł, proszę mi powiedzieć.

Kobieta przychodziła codziennie z nowymi pomysłami na imię dla dziecka. W końcu oznajmiła, że powinno się nazywać Doyle, na cześć hotelu. A potem, ilekroć widziała małego Faye'a, nazywała go Doyle'em. Franka doprowadzało to do szału.

Parę tygodni później moi rodzice i ich dwaj synowie jechali z Teksasu na zachód. Gdy przekraczali El Paso i granicę Nowego Meksyku, Frank zwrócił się do Bessie:

- Dobra, możesz podrzeć tę cholerną metrykę. Damy mu nowe imię.

- Tak - zgodziła się Bessie. - Wiem. Już mu wybrałam imię. Nazwiemy go Gary. Gary Gilmore. Pomyślałam, że nazwiemy go tak po Garym Cooperze, niech będzie tak przystojny jak ten aktor.

Reakcja Franka była natychmiastowa i gwałtowna.

- Na cholerę masz go nazywać Gary! Żaden mój syn nigdy nic będzie nosił tego imienia.

- A to czemu?

- Człowiek, który ukradł mi matkę Roberta, nazywał się Grady. Imię Gary zawsze by mi o tym przypominało. Nie cierpiałem tego człowieka i nie znoszę tego imienia. Nie mam ochoty myśleć o nim za każdym razem, kiedy zawołam mego syna.

- Frank, to przecież wcale nie jest to samo.

Dla mojego ojca nie miało to najmniejszego znaczenia. Kłócili się o imię dziecka przez całą drogę do Sacramento.

Jego ostatnie słowa brzmiały:

- Nie będę wychowywał syna o takim imieniu.

Na co mama zawyrokowała:

- Imię zostaje.

WUstę tu przerwać na chwilę. Stała się ważna rzecz: w naszej opowieści narodził się morderca. Teraz jest niemowlęciem z wielkimi niebieskimi oczami i otwartą, pociągającą twarzą. Trzydzieści sześć lat później stanie się kimś, kto zabije dwóch innych ludzi i zajmie

miejsce w galerii najsłynniejszych zabójców Ameryki, ponieważ będzie jedynym zabójcą, który sam zapragnie zostać zabity. Spójrzcie tylko w te niebieskie oczęta, a odpowie spojrzeniem, od którego ciarki przebiegną wam po grzbiecie. Jest w nim straszliwa elegancja i straszliwa nieugiętość. Tak wygląda człowiek, który boi się wszystkiego prócz śmierci, który zabije cię bez wahania, gdy tylko wejdiesz mu w drogę, a może nawet wtedy, gdy nic nie zrobisz. Twarz dziecięcia od twarzy zabójcy oddziela jedynie historia destrukcji.

A może było jeszcze coś, co sprawiło, że to niemowlę stało się zabójcą. Przez ostatnie lata wciąż się zastanawiałem nad takimi kwestiami: kiedy i jak ktoś staje się zabójcą? Lub formułując to inaczej: czy można określić ów moment, a może przedział czasowy, w którym dokonuje się takie zróżnicowanie? I gdyby udało mi się ustalić taki moment, to czy wypadłby on gdzieś w życiu Gary'ego? A jeśli ten moment znalazłby się poza jego życiem, powiedzmy: w tajemniczych mrokach historii ojca? Nie ma jakiejś prostej odpowiedzi na podobne pytania, pozostają więc niekończące się dociekania i spekulacje. Nawet jeśli tak jest, nie mogę zaprzestać nieustannego przeszukiwania naszej historii; to właśnie czyniła mama w swych ostatnich dniach, badając każde straszne ogniwo brzemienne w skutki łańcucha losu. Gdzie, w jakim miejscu moglibyśmy zmienić tę opowieść? Jak moglibyśmy uchronić duszę mego brata przed zabójstwem, a tym samym ocalić życie niewinnych ludzi? Powiada się, że uczymy się wówczas, gdy zrozumienie czegoś ujawnia wszelkie mechanizmy destrukcji i uwalnia nas od konieczności jej powtarzania. Gdy jednak zaczynasz się przyglądać wszystkim ogniwom zamkniętej już historii, odkrywasz coś jeszcze gorszego: każda chwila może się okazać takim punktem zwrotnym, a cholernie dużo jest tych chwil, które były złe. Aby rozwikłać straszliwą konstrukcję losu tego człowieka, można jedynie rozrzucić wszystkie te chwile i zbudować nowy łańcuch przyczynowy.

Jedno jest pewne: to dziecko nie przyszło na świat pod pomyślną gwiazdą. Zostało zrodzone ze związku dwojga osób, które przekazały mu swoje fatalne dziedzictwo, uciekając przed własnymi nieznanymi demonami. Jeśli przyjąć, że obawy rodziców przechodzą na dziecko przy urodzeniu, to życie Gary'ego zaczęło się jako garstka niepewności. Na samym wierzchu były te dwa imiona: pierwsze, imię kobiety, która nigdy nie zdołała pokochać jego ojca; a drugie - imię, które miało przywodzić na myśl kogoś sławnego, lecz w odczuciu ojca wiązało się z utratą i budziło gorycz. Jest jakiś straszliwy ironiczny węzeł w tym wszystkim, co wynika ze zmiany imienia: oznacza to, iż Gary Gilmore nigdy się nie narodził; mógł jedynie umrzeć. (W istocie, po latach federalny system więziennictwa odmówi mi wglądu w akta mego brata, nie mogłem bowiem wykazać, że osoba o takim imieniu w ogóle kiedykolwiek się urodziła, ani przedstawić dokumentu potwierdzającego oficjalną zmianę



imienia).

Wprawia mnie w zdumienie złożoność i głupota okoliczności związanych z narodzinami: w szczególności to, że dwie dorosłe osoby wydają na świat dziecko w atmosferze lęku i naglącej potrzeby szybkiego ustalenia jego tożsamości, co tak czy inaczej prowadzi do utraty uczucia. Które z tych czynników wchodzi tu w grę? Czy coś tak z pozoru błahaego jak sprzeczka o imię dziecka może naprawdę odgrywać jakąś rolę i przesądzać o jego krwawym przeznaczeniu? Nie mogę tu nic powiedzieć na pewno - tkwię zbyt głęboko w mitologii swej historii rodzinnej, by się w tym pozbierać. Odczytywanie osobliwości losu przychodzi mi zbyt łatwo i trochę się obawiam, że stale to robię. Zarazem wiem, że wszystkie te kalkulacje związane z imieniem miały wielkie znaczenie dla Gary'ego. Może właśnie przez to wybrał tę swoją szczególną drogę do piekła.

Po narodzinach Gary'ego i powrocie z Południa coś się we Franku zmieniło; zaczął szaleć. Jakby chciał teraz od życia czegoś innego. W ciągu pierwszych kilku miesięcy 1941 roku nowa rodzina co parę tygodni zmieniała miejsce pobytu, zatrzymując się tu i tam w różnych miejscach. Sprzeczki między Frankiem a Bessie stawały się coraz częstsze i ostrzejsze. Pewnego razu w Santa Barbara Frank poszedł w pięciodniowe tango. Bessie zdążyła już przywyknąć do takich epizodów. Wiedziała, że musi zostać z chłopcami i czekać na powrót męża. A tym razem wrócił w wyjątkowo podłym nastroju. Wkroczył do hotelu, w którym się zatrzymali, podszedł do łóżka, gdzie spało nowe dziecko, i wskazał palcem na Gary'ego.

- To ma być mój syn, tak?

Bessie nie była przygotowana na taką uwagę ni z gruszki, ni z pietruszki.

- O czym ty mówisz? A niby czyj miałby być?

- To syn Roberta, prawda? Myślisz, że nie wiem o tym, co zaszło między wami w Sacramento, gdy mnie nie było?

Bessie przyjrzała mu się uważnie. Po chwili parsknęła śmiechem.

- Odbiło ci - powiedziała. - Pijesz już tyle, że mózg ci rozmiękł i stałeś się staruchem.

Frank walnął ją mocno w twarz.

- Nie kłam mi, ty zmijo, diabliczo z piekła rodem! Dość już tych kłamstw!

Okladał ją pięściami, póki nie padła na podłogę, z twarzą we krwi. Dzieci płakały. Przez cały czas twierdziła z uporem, że dziecko jest jego. Nic to nie pomogło. Po tej przeprawie ojciec już znacznie rzadziej trzymał na ręku nowo narodzonego synka.

Odtąd wędrowali tak po Ameryce, walcząc, wrzeszcząc i ciągnąc za sobą dwójkę

dzieci. Któregoś dnia późną wiosną przejeżdżali przez północne Missouri. Frank cały dzień był w kiepskim humorze, wciąż pokrzykiwał na moją matkę i prowadził wóz z niebezpieczną prędkością. Dzieci tymczasem kaprysiły, zbyt długo uwięzione w kojcach. Tym razem Bessie wykazała więcej przebiegłości. Trzeba było tylko jakoś uzasadnić prośbę. Niemal czuła na karku ich gorące oddechy. Nalegała, by Frank zatrzymał wóz gdzieś przy stacji obsługi. Musiała zmienić pieluszki małemu Frankowi, chciała też rozprostować nieco nogi. Widziała, że mąż niezbyt chętnie zgodził się na postój.

- Tylko uwiń się z tym szybko - rzucił. Został w wozie, pilnując dzieciaka.

Wkrótce Bessie wróciła z Frankiem z toalety. Rozejrzała się wokół. Nie było wozu, nie było męża, nie było dziecka.

- Co się stało z tym człowiekiem, który siedział tam, czekając na mnie? - spytała kogoś z obsługi.

- Odjechał parę minut temu. Chyba mu się spieszyło.

- Nic zostawił jakiejś wiadomości? Nie mówił, że zaraz wróci?

- Nie, psze pani - odparł pomocnik.

Po minie młodego człowieka zorientowała się, że nigdy nie widział czegoś podobnego. Facet odjeżdża z jednym dzieckiem, zostawiając żonę i drugiego dzieciaka gdzieś na pustkowiu. „Świetnie - pomyślała. - Frank wściekł się, ponieważ kazałam mu stanąć, i odjechał na chwilę, żeby dać mi nauczkę. Co za rozpieszczony skurwysyn!”

Mijały godziny. Siedzieli na stacji obsługi, czekając na powrót Franka. Słońce zaszło, na niebie widać już było księżyc i gwiazdy, a pomocnik zaczął się krzątać, zwijając sprzęt. Tuż przed zamknięciem drzwi i zgaszeniem światła powiedział:

- Proszę pani, nie wygląda na to, żeby pani mąż miał wrócić, a ja nie mogę tu dłużej siedzieć. Jeśli pani chce, podrzucę panią i synka do Chillicothe. Mają tam hotel i dworzec autobusowy.

Bessie zadzwoniła z tego dworca do rodziców, prosząc, by wysłali jej telegraficznie pieniądze na powrót do Provo. Gdy dotarła do domu, Will Brown chciał, by zadzwoniła od razu na policję, ale Bessie się sprzeciwiła. Powiedziała rodzicom, że Frank bardzo się czymś martwił, a ona nie chce mu przysparzać kłopotów. Sama była winna temu, że ją zostawił. Na pewno wróci, przecież nie mógłby skrzywdzić własnego dziecka.

- Jeśli tu zajrzy - odparł jej ojciec - będzie miał kłopoty. Żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie opuszcza żony i dziecka, zostawiając ich bez pomocy.

Po kilku dniach Bessie otrzymała telefon z sierocińca w Des Moines w stanie Iowa. Mieli tam Gary'ego; przekazał im go ojciec, który w więzieniu sąsiedniego hrabstwa

odsiaduje trzydzieści dni za uiszczenie opłaty sfalszowanymi czekami. Czy pani Laffo zechce tu przyjechać i odebrać dziecko, czy może woli je zostawić pod ich opieką, z przeznaczeniem do adopcji?

Mama mówiła potem:

- Gdyby to nie było tak tragiczne, roześmiałabym się im tylko w nos na tę panią Laffo. Po raz pierwszy tak się do mnie zwracano.

Bessie pożyczyła od rodziny trochę pieniędzy, wzięła ze sobą Franka i pojechała do Iowa. Zabrała Gary'ego z sierocińca i podjęła się obowiązków pomocy domowej w zamian za mieszkanie i jedzenie, czekając, aż skończy się odsiadka męża.

Wyszedł rano. Czekala już na niego na zewnątrz z Frankiem i Garym.

- Co jest, do diabła?! - wygarnęła mu na powitanie. - Co ty sobie myślisz? Zostawiasz mnie tam i uciekasz z dzieckiem?

- Tego dnia ktoś już za bardzo następował mi na pięty - odparł. Wyglądał na znużonego. - Nie mogłem czekać. To wszystko, co mam do powiedzenia w tej sprawie.

Bessie zaczęła się zastanawiać. Może cała ta afera, że musiał przed czymś uciekać, była tylko wymówką. Może nic się za nim nie ciągnęło, z wyjątkiem lęku przed pozostaniem z rodziną i wypełnianiem roli ojca. Może Fay miała absolutną rację.

- Frank - powiedziała Bessie - cokolwiek się stało, możesz mi wszystko wyznać. Jeśli to jakaś inna kobieta czy inna rodzina, powinnam o tym wiedzieć. Nie będę się wtrącać. Ale powiedz mi prawdę.

Frank potrząsnął głową.

- Nie - odparł. - Wszystko, tylko nie to. Prawda jest zbyt przerażająca, Bessie. Lepiej nic nie wiedzieć.

Tak im zeszło do końca roku. Kluczając zygzakami przez amerykański Zachód, Frank włócił żonę i dzieciaki z jednej dziury do drugiej, pijąc coraz mocniej. Od początku wakacji mieszkali w pszenicznobydłęcym okręgu zwanym Holy - oke, na samej górze północnowschodniego zakątka Kolorado. Frank kontynuował swe zwykłe przekręty „na sto procent”, miał fałszywe wizytówki firmowe z numerem telefonu i przybranym nazwiskiem - tym razem nazywał się Harry F. Laffo - i konto czekowe w banku w pobliżu sporego miasta Sterling. Liczył na dobry inieres w tym regionie, zbierał pieniądze za ogłoszenia w jakimś miejscowym magazynie turystycznym, zdaje się „Arizona Highways”. Pewnego dnia wystawił czek kupcowi, który zamówił u niego ogłoszenia. Handlowiec nabral podejrzeń i zadzwonił od razu do banku. Kiedy okazało się, że czek nie miał pokrycia - na koncie były tylko trzy dolary, a czek został wystawiony na pięćdziesiąt - facet ścigał Franka aż do hotelu,

gdzie w końcu go dopadł. Był początek grudnia 1941 roku. W dniu ataku Japończyków na Pearl Harbor mój ojciec siedział w jakimś nędznym mamrze za sfalszowane czeki.

Policja miała trochę tych czeków, które posłużyły za dowód, że Frank sprzedawał fałszywe ogłoszenia do nieistniejącego pisma. A to już było coś więcej niż obracanie fałszywymi czekami - podpadało pod świadome wyłudzenie. Podczas rozprawy, na trzy dni przed świętami, prokurator zlecił sporządzenie kroniki przeszłości kryminalnej Franka w stopniu możliwym do ustalenia. Lista zaczynała się w maju 1914 roku, kiedy Franka jako Harry'ego Seville'a aresztowano we Fresno w stanie Kalifornia pod zarzutem nakłaniania nieletnich do czynów przestępczych; spędził dziewięćdziesiąt dni w areszcie hrabstwa. Kolejny odnotowany wyrok pochodził z sierpnia 1919 roku; aresztowano ojca w Sacramento jako Franka Gilmore'a pod zarzutem defraudacji. Sędzia poprosił o wyjaśnienia.

- Zdaje się, że oskarżony usiłował ukraść ciężarówkę wyładowaną futrami z miejsca, gdzie był zatrudniony - powiedział prokurator.

Frankowi udało się uzyskać wyrok w zawieszeniu (jak dowiedziała się potem Bessie, Fay wynajęła jakiegoś dobrego adwokata), z zakazem opuszczania stanu. Nie dotrzymał jednak tego warunku. W niespełna dwa lata później ujęto go w Seattle pod nazwiskiem Walter Saville i jako uchylającego się przed wymiarem sprawiedliwości odstawiono do Sacramento. W Kalifornii uchylono warunkowe zawieszenie i zasądono mu dziesięć lat w San Quentin. Po dwóch latach ciężkiej pracy został stamtąd zwolniony.

- Jesteśmy przekonani - mówił prokurator - że na panu Laffo ciąży jeszcze inne wyroki, pod różnymi nazwiskami i w różnych sądach. Jest też prawdopodobne, iż oskarżony popełniał rozmaite niewykryte przestępstwa, wyłudzenia i przywłaszczenia, a być może i czyny poważniejszej natury, na terenie naszego stanu bądź w całym kraju, unikając należytego aresztowania. Naturalnie posługiwał się licznymi fałszywymi nazwiskami. W istocie nawet teraz nie jesteśmy pewni, jakie jest jego prawdziwe nazwisko. Zalecamy wydanie odpowiednio surowego wyroku. Choć nie są to bardzo poważne przestępstwa, Harry Laffo jest osobą o niekwestionowanej przeszłości kryminalnej, a jeśli nawet nie ciąży na nim nic innego, chcielibyśmy przetrzymać go dostatecznie długo, by pozostałe stany mogły sprawdzić w wykazach imiennych, którymi rozporządzamy, czy nie jest tam poszukiwany pod innymi zarzutami.

Sędzia H.E. Munson skazał Harry'ego F. Laffo na pięć lat odosobnienia w więzieniu stanowym w Kolorado. Patrząc na zniszczoną twarz męża, Bessie odnajdywała w sobie więcej współczucia niż gniewu. Wyglądał na złamanego, po raz pierwszy ujrzała w nim starszego mężczyznę. „To oburzające - pomyślała. - Zapłacił już za swoje inne przestępstwa,

a ci drobnomieszczańscy panowie bez znaczenia wciskają mu kit, strosząc swe marne piórka”.

Po paru dniach Bessie podjęła trudną decyzję: nie zatrzyma się w stanie Kolorado na czas odsiadki Franka w więzieniu w Canon City. Nie była dostatecznie przygotowana do tego, by zarobić na siebie w obcym miejscu i wychowywać przy tym dwójkę małych dzieci. Zabrała Franka i Gary’ego i przez Nowy Jork wróciła na farmę rodziców w Provo, czekając tam, aż mąż opuści więzienie.

Przechowuję teczkę akt ojca z więzienia karnego w Kolorado. Nie jest tego zbyt wiele, choć i tego starczy, by wyrobić sobie nie najlepszą opinię o moim ojcu. Akta zawierają między innymi udokumentowane potwierdzenia jego licznych pseudonimów oraz listę popełnionych przestępstw, obejmującą ponad ćwierć wieku, i sugerują, że być może doszłoby do tego wiele innych, nieznanych czy nierozstrzygniętych spraw.

Teczka ta ma dla mnie znaczenie także z dwóch innych powodów. Przede wszystkim były tam najwcześniejsze dokumenty, jakie odnalazłem, zapoznając się z aktami Franka Gilmore’a; są one w istocie, oprócz jego świadectwa zgonu, wykazu pobytów w różnych miastach i spisu telefonów, jedynymi pewnymi informacjami, do których zdołałem dotrzeć, badając życie ojca na tej ziemi. Nie zachowały się żadne świadectwa szkolne, nie służył nigdy w wojsku, historia jego zatrudnienia nie może być potwierdzona. Nie ma żadnych kwitów podatkowych ani wpłat na ubezpieczenie społeczne.

Wspomniane akta więzienne mają dla mnie jeszcze inną wartość. Zawierają mianowicie najwcześniejsze jego zdjęcie, jakie kiedykolwiek widziałem. Nie jest to twarz szczególnie młoda. Na tym policyjnym zdjęciu (Colorado State Prison, nr 22 470) ma pięćdziesiąt jeden lat; z lukami w sztucznym uzębieniu i zmierzwionymi, przedwcześnie posiwiałymi włosami wygląda jednak znacznie starzej, na mężczyznę sześćdziesięcioletniego. Usiłowałem coś wyczytać z jego twarzy.

Oczywiście niewiele mogłem się dowiedzieć o sekretnych źródłach strachu, który nękał ojca, choć zarazem wyraźnie widziałem malujący się na niej głęboki smutek i upór w walce o ocalenie swego stanu posiadania w owym dniu na początku 1942 roku. Wyglądał na osadzonego, który nic rozumie swoich win i boi się, że może się na tym nie skończyć.

Mój brat Frank twierdzi, że jestem podobny do ojca, choć ja sam nigdy tego nie dostrzegłem. Ale kiedy patrzę na to zdjęcie, przypomina mi się coś, o czym chciałbym zapomnieć: odbicie mojej twarzy w lustrze pewnego wieczoru przed kilku laty, po wielu godzinach picia i pewnie też płaczu. Dowiedziałem się tej nocy, że straciłem właśnie ostatnią szansę na szczęście płynące z posiadania własnej rodziny; odebrano mi to marzenie i

musiałem się nauczyć żyć bez niego. W przeciwnym wypadku mógłbym się obawiać, że powtórzę arogancki błąd ojca: odwleknięcie decyzji o powołaniu na świat dzieci do chwili, gdy znajdę się w sytuacji, w której nie mógłbym już liczyć na to, że będę żył dostatecznie długo, by otoczyć je miłością i właściwą opieką. Nie chciałem znać tej prawdy moim życiu i nie dopuszczałem do świadomości tamtego obrazu własnej twarzy, pustej, starej i brzydkiej; nie chciałem, by ktokolwiek na świecie widział mnie takim.

Być może więzienny fotograf uchwycił przygnębienie Franka Gilmore'a tego dnia, kiedy oderwano go od rodziny

0 - wedle jego osądu - odcięto od przyszłości. Frank nie miał oczywiście pojęcia, że pięćdziesiąt lat później jeden z jego synów zobaczy to zdjęcie i odkryje w sobie samym coś, co może jest rodzinnym dziedzictwem.

To zabawne. Przez lata myślałem, że jestem tak bliski memu ojcu, jak może nikt jeszcze nie był; mama powiedziała, że gdy umierał, ja jeden z całej rodziny go kochałem. I choć spędziłem lata młodości z mamą, to przecież ojciec - bardziej niż ktokolwiek inny - mnie wychował; to on stwarzał mi poczucie bezpieczeństwa. Ale teraz, gdy spoglądam na to jego zdjęcie, myślę o tym, co już się stało z moją mamą i braćmi i co dopiero miało się z nimi stać. Próbowałem jakoś pogodzić to swoje wyobrażenie o nim, błogie poczucie bezpieczeństwa, jakiego doznawałem w obecności ojca, z jego nieopisaną brutalnością w stosunku do pozostałych dzieci, posuniętą nawet do ich porzucania. Nie potrafię pojąć, jak człowiek, który kochał swoje dziecko, mógł je zostawić na ławce w parku i oddalić się, by puścić w obieg sfalszowany czek - a to właśnie zdarzyło się pewnego dnia w Atlantic w stanie Iowa, gdy utracił opiekę nad Garym na rzecz stanowego sierocińca. Nie mogę w to uwierzyć, że taki człowiek był moim ojcem, że kochałem go bardziej niż kogokolwiek na świecie. I nadal go kocham, bo nie mogę bez tego żyć.

Czuję, że ojciec jest tak blisko, a zarazem tak daleko ode mnie. To on jest w tej opowieści największą tajemnicą, a jeśli nie potrafię jej rozwikłać, jeśli nie odkryję jego sekretów i nie poznam powodów jego strachu - to jakie mam prawo do snucia owej historii? Żeby poznać swego ojca, może powinienem poszukać w głębi własnego serca i stawił czoło tej części, która we mnie tkwi. A równocześnie najbardziej boję się tego, że jestem tak do niego podobny, że noszę już w sobie jego grzechy.

Po powrocie Bessie do Provo rodzice umieścili ją w starym domu, a George zamieszkał w sąsiedztwie z wujem Charle - yem. Will i Melissa nie obawiali się przyjąć wyrodnej córki. Mieli trochę pieniędzy, sądzili, że już odchowali wszystkie dzieci i wyprowadzili je w świat. Nawet najmłodsze, bliźniaczki Ada i Ida, powydawały się za męż i

mieszkały poza domem. Bessie jedna z pierwszych opuściła dom Brownów, więc mogli sądzić, że zagrała im na nosie, gdy pojawiła się z powrotem. Co więcej, poślubiła niemormona, o którym nic prawie nie wiedzieli, jawnego przestępcę, jak domyślał się jej ojciec, a teraz wraca do gniazda, którym wzgardziła, czekając, aż męża wypuszczą z więzienia. W dodatku nie okazuje z tego powodu żadnego wstydu. Brownowie nie myśleli osobie jako o drobiazgowych mężach sprawiedliwych, którzy ścigaliby człowieka za byle przestępstwo; napatrzili się przez lata na wielu mormońskich chłopców schodzących z właściwej drogi i wiedzieli, że szybka nagana i pełne miłości przebaczenie mogą ich wyprowadzić na ludzi. Jednakże wykroczenia Franka Gilmore'a były poważniejszej natury i przypuszczalnie by mu nie wybaczyli. Ten paskudny człowiek zawiódł zaufanie żony kolejnymi przestępstwami narażał przyszłość swych dzieci i nie respektował podstawowych praw społecznych. Zło skaziło go znacznie głębiej niż to się wydawało ich łatwowiernej córce. Will i Melissa Brownowie nie lubili Franka Gilmore'a i nie chcieli, by ktoś taki należał do rodziny.

- Bałam się go - powiedziała po latach młodsza siostra Bessie, Ida. - Chowałam się, gdy był w pobliżu. Nawet nie wiem, czy na niego patrzyłam.

Bessie czuła otaczające ją potępienie niemal tak, jakby wyrok Franka dotyczył i jej. Pogardzano nią z powodu postępów męża; było jej przykro, że rodzice zamykali ją w obejściu jak jakieś zwierzę. Może nawet nie czynili tego złośliwie, lecz potępienie ze strony rodziny i rozczarowanie własnym małżeństwem sprawiały, że wszystko się w niej burzyło, zamieniając we wściekłość ból i doznane krzywdy. Między nią a matką dochodziło do gwałtownych scen i wrzasków z powodu kłopotów, których była źródłem, ona sama zaś zarzucała siostrze hipokryzję, a ojcu podłość. Melissa nie pozostawała jej dłużna.

- Jeśli ośmielasz się wygadywać takie rzeczy na krewnych - powiedziała kiedyś - tych bogobożnych ludzi, którzy modlą się za was, żeby miłość i zrozumienie wróciło do waszych serc, możesz sobie iść i wracać tam, skąd przyszedłeś. Nie pozwolę na to, żebyś w naszym domu wygadywała takie rzeczy na własną rodzinę.

Bessie, trzasnąwszy drzwiami, wróciła wzburzona do szopy, gdzie spała wraz z dziećmi. Spojrzała na nędzne sprzęty wokół. Połamane krzesła i stoły, rozsypujące się łóżko, a to wszystko nie było nawet jej własnością. Pomyślała o siostrach w ich pięknych domach z nowymi meblami i znienawidziła wszystko to, co przywiodło ją do tego żalnego stanu. Mój braciszek Frank, wtedy niespełna trzyletni, z rosnącym strachem obserwował poczynania matki. Chwyliła ze stołu talerz i roztrzaskała go o ścianę.

Potem złapała krzesło i rzuciła nim w drzwi. Hałasy rozbudziły Gary'ego, który zaczął

plakać. Wrzasnęła na niego, żeby przestał, lecz on tylko darł się coraz głośniejszymi wyciskami. Bessie posiniała z wściekłości i zwróciła się do Franka.

- Niech on się zamknie! - wykrzykiwała. - Zrób coś, żeby się zamknął!

Frank podszedł do braciszka i próbował go uspokoić, głaszcząc delikatnie po główce, ale Gary nadal płakał. Bessie chwyciła z łóżka poduszkę i zaczęła okładać nią Franka po twarzy, wykrzykując za każdym uderzeniem:

- ZRÓBCOŚZ NIM, NIECH SIĘ ZAMKNIĘ!

Biła go tak poduszką, póki Frank się nie wyrwał, próbując uciec. Upadł na ziemię i leżał tam, krzycząc i osłaniając głowę, podczas gdy Bessie waliła go raz za razem. Opowiadał mi później, że to nie lania tak się bał, tylko wrzasków Bessie, jej zapamiętałego szaleństwa.

Tłukła go, aż krzyki wywabiły na dwór na wpół głuchą Melissę, która kazała córce natychmiast przestać.

- Jeśli będziesz bić te dzieci, to ci je odbiorę.

Po czym zabrała Franka i Gary'ego i zaprowadziła ich do swego ciepłego domu. Osuszyła łzy Frankowi, dała mu ciasteczka i utuliła Gary'ego. Tymczasem Bessie siedziała sama w szopie, wrzeszcząc, bez dzieci i bez rodziców.

Bicie stało się chlebem powszednim, wspominał mój brat Frank. Pewnego razu, gdy Bessie kłóciła się z matką, wtrącił się, prosząc, by przestały.

- Nie kocham cię już - powiedziała Bessie i odepchnęła go.

Frank stracił równowagę, upadł i uderzył główką o ścianę. Widząc, że jest oszołomiony, Bessie wystraszyła się, uklękła i zaczęła go kołysać, pieszcząc jego blond włoski.

- Ach, Frank, przecież naprawdę cię kocham - mówiła, płacząc. - Wybacz mi, dziecko. Wybacz mi.

Melissa miała w końcu tego dość.

- Słuchaj, Bessie. Zamierzamy pozbawić cię dzieci. Nie możemy już dłużej przyglądać się temu z boku.

Bessie ubrała Franka i Gary'ego i tego samego dnia opuściła gospodarstwo Brownów. O zmierzchu najmłodsza siostra Ida ujrzała ją na jednej z ulic Provo, jak z Garym na ramieniu prowadziła za rączkę Franka. Ida i jej mąż Vern pożyczili Bessie dwadzieścia pięć dolarów i na parę dni wynajęli dla niej pokój w motelu „City Center”, niedaleko od miejsca, gdzie mieszkali. Był to ten sam motel, w którym Gary po latach popełnił swe drugie zabójstwo. Wszedł do biura i strzelił w tył głowy kierownikowi motelu. W przyległym pokoju, dosłownie parę metrów dalej, spało dziecko tego mężczyzny. Chłopiec był w tym samym wieku co



Gary, gdy zatrzymał się tu w 1942 roku.

Spór z matką udało się załagodzić; pozwolono Bessie wrócić do szopy w podwórzu. 3 lipca 1943 roku, po osiemnastu miesiącach więzienia, ojca zwolniono warunkowo i odesłano z Canon City do Provo. Widząc go, Bessie odczuła ulgę, ale Frank Gilmore stał się jeszcze uciążliwszy niż wtedy, gdy rodzina widziała go po raz ostatni.

- Ojca nie było tak długo, że już go nie pamiętałem - powiedział mi Frank. - Stał się w naszym życiu jakby kimś nowym, naprawdę. Pewnego razu jedliśmy obiad i upadło mi ciastko. Człowieku, żebyś ty widział, jak się wściekł! Musiałem to wybierać co do okruszka, a na dodatek oberwałem jeszcze parę niezłych kuksańców. Krzyczał na mnie i wrzeszczał, bił przez cały czas za to tylko, że upuściłem ciastko na podłogę. Może miał akurat zły dzień, zdarza się, ale nie był to chyba dojrzały sposób potraktowania małego dziecka.

Odtąd karał chłopców za byle drobiazg: gdy nie dość szybko zjedli, za głośno krzyczeli lub potracili jakiś sprzęt. Nietrudno było go teraz sprowokować, by posunął się do bicia.

Ojciec nie pamiętał tego dnia, kiedy się dowiedział, że teściowie wszczęli postępowanie o odebranie jemu i Bessie praw do Franka i Gary'ego i przekazanie ich na wychowanie Brownom. Frank i Will niemal się pobili podczas sprzeczki, jaka wtedy wynikła, i dziadek wyrzucił ojca ze swego domu. Tej nocy Frank, Bessie i ich synowie znaleźli się na drodze, próbując złapać okazję, żeby dostać się do Sacra - mento. Bessie była przekonana, że gdyby Frank nie przybył w porę, straciliby dzieci na rzecz jej rodziców i czekałoby je puste życie na farmie. Ta myśl sprawiała, że nienawiść wsączała się w jej żyły.

Po powrocie do Kalifornii Frank chciał wstąpić do wojska i bić się z Niemcami, był jednak za stary, do tego jeszcze ta kryminalna przeszłość! Dostawał robotę jako monter okrętowy w rozmaitych stoczniach i w dokach. Do końca wojny życie płynęło rodzinnym torem: Bessie i Frank przenosili się do miejsc, gdzie realizowano zamówienia wojenne, i pracowali oboje, póki zamówienie nie zostało wykonane bądź Frank nie zaczął się niecierpliwieć, pozostając zbyt długo w jednym miejscu. 12 marca 1944 roku mama urodziła w Los Angeles trzeciego syna, Gaylena Noela Gilmore'a. Miał ciemnobrązowe oczy w kształcie migdałów i niegasnący uśmiech na twarzy, a ojciec szybko zapalał do niego szczególną miłością. To było tak, jakby całe poczucie radości z posiadania kolejnych synów zostało zarezerwowane tylko dla niego.

Nadszedł koniec wojny. Mama wspominała, że kiedy wyszły na jaw fakty o okrucieństwie nazistów wobec ludności żydowskiej, ojciec usiadł i płakał długo w noc. Mimo że był katolikiem, wierzył w swoje żydowskie pochodzenie z powodu tych plotek o

Houdinim. Pamiętam, że kiedy po latach odnaleziono Adolfa Eichmanna i aresztowano go za zbrodnie popełniane przez SS w obozach zagłady, ojciec był tym rozradowany. Siadywał w wielkim fotelu i każdego wieczoru oglądał w telewizji relacje z procesu Eichmanna; sadzał mnie wtedy obok siebie, obejmując ramieniem. Pamiętam, jak mówił:

- Pogrzebią tego człowieka w grobie, który sam sobie wykopał, głębokim na sześć milionów istnień.

Wraz z końcem wojny upłynął termin zwolnienia warunkowego Franka. Ojciec wrócił do swych oszukańczych afer, a rodzina znów zaczęła wędrować. Moi rodzice i bracia wędrowali przez całe lata czterdzieste ze stanu do stanu i z miasta do miasta.

ICiedy rozmawiałem niedawno o tamtych czasach, mój przyjaciel powiedział:

- Nie mogę sobie wyobrazić, jak wiedli takie cygańskie życie przez tyle lat. Ani jak twoja matka radziła sobie w drodze z trzema bachorami i pijanym mężem, zupełnie nie mając pieniędzy. Co może zrobić z kobiety dziesięć lat takiego życia, zwłaszcza jeśli została wychowana w tradycyjny sposób? Musiała się chyba czuć jak najgorszy z wyrzutek.

Słyszałem też, jak inni moi przyjaciele mówili podobne rzeczy o tych latach, i muszę być sprawiedliwy: ominęło mnie to, gdyż nie wędrowałem wtedy z rodzicami i braćmi z miejsca na miejsce. Był to intensywny okres w historii mojej rodziny. Ja zaś musiałem czuć się głęboko nieszczęśliwy - wy, ponieważ nie mogłem dzielić z nimi tego doświadczenia. Urodziłem się później i pod wieloma względami czułem się obco pośród braci.

Pytałem już, czy moja rodzina była kiedykolwiek prawdziwą rodziną. Czy mieli jakieś wspólne zainteresowania, czy chodzili razem do kościoła? Usłyszałem, że niczego takiego nie było. Ale mieli zamiast tego inne wspólne przeżycia.

I tak, gdy rodzice pracowali w stoczni w San Pedro w Kalifornii, w miejscowej stołówce wydawano tanie posiłki dla biedaków i pracowników rządowych. Któregoś wieczoru podawano spaghetti z klopsikiem i jakiś starszy mężczyzna, bezdomny włóczęga, obchodził stoły, zjadając zostawione przez innych resztki. Gdy znalazł się w pobliżu talerza mojego brata Franka, bez pytania chwycił klops i zaczął go jeść.

Ojciec zerwał się z miejsca.

- Ty wściekły skurwielu! - wrzasnął. - Lubisz spaghetti?

Wziął swój talerz i cisnął go temu człowiekowi w twarz, a potem zaczął mu wpychać do ust spaghetti z innych talerzy.

Z zaplecza wybiegły kucharki i odciągnęły Franka, a potem zapowiedziały, żeby już tu nie przychodził, on i jego dzieci.

Gdy dotarli do domu, Frank wręczył Bessie jakąś monetę, mówiąc:

- Wiesz, wyrzucili nas stamtąd i przegnali chłopców, ale patrz, ten skurwiel miał gwineę. Lubił spaghetti.

Kiedy indziej, w pokoju hotelowym w Oaklandzie, ojciec postanowił powtórzyć swą słynną piramidę krzesel z czasów, kiedy był akrobatą cyrkowym. Przesunął stół na środek pokoju, ustawił na nim stertę krzesel, dołożył do tego parę taboretów, pionowych popielnic i kwietników i zaczął się wspinać na zaimprovizowaną piramidę, a moi bracia patrzyli na to w zachwycie.

Bessie upominała go przez cały czas:

- Frank, tylko bądź ostrożny!

Udało mu się wgramolić na sam szczyt. Stanął tam, rozwarł triumfalnie ramiona, po czym, oczywiście, cała konstrukcja runęła. Krzesła i ojciec polecieli w różne strony. Frank wylądował ciężko na plecach; uśmiechał się blado, patrząc w sufit. Mama i chłopcy pochylili się nad nim, Bessie potrząsnęła go za ramię i spytała:

- Frank, nic ci się nie stało? Powiedz mi, Frank!

Usłyszała jedynie:

- Oooch!

Hałas zwabił dyrektorkę hotelu. Nie była zbytnio zachwycona, widząc połamane krzesła i leżącego na ziemi mężczyznę.

- Przykro mi - oznajmiła - ale nie możecie tu państwo zostać. To szanujący się lokal. Nie tolerujemy takiego har - mideru.

Bessie wskazała tylko leżącego na podłodze pijaka, który jęczał głośno, ale zdołał powiedzieć:

- Chyba umieram.

- Jak mamy się wynieść - spytała Bessie - gdy mąż jest w takim stanie?

- Proszę to zrobić, zanim pani mąż wstanie i rozwali ścianę w moim hotelu. Jeśli zastanę was tu jeszcze za pół godziny, wezwę policję i zostanieie wyrzuceni.

Bessie wzięła dzieci, podtrzymała jakoś pijanego męża i wyszli na ulicę. Przejście czterech przecznic do dworca autobusowego zabrało im niemal godzinę. Przenosiła bagaże parę metrów, wracała, zabierała chłopców, którzy mieli pilnować rzeczy i niemowlaka, i wracała ponownie po męża, który zasypiał tymczasem na chodniku. Posuwając się w ten sposób, dotarli wreszcie do dworca. Miała akurat tyle pieniędzy, by starczyło na podróż do Sacramento, do domu Fay.

Kiedy podstawili autobus, Bessie ulokowała najpierw chłopców, a potem wróciła po Franka, który mamrotał coś i jęczał, próbując wejść po schodkach.

Widząc to, kierowca zawołał:

- Hola, proszę pani, nie może pani tu wejść z tym człowiekiem! On jest kompletnie pijany.

Spojrzała na kierowcę, spojrzała na dzieci, które zdążyły tymczasem zasnąć na schodkach, przysiadła przy Franku i uniosła mu głowę, wykrzykując w stronę kierowcy swą rozdzierającą historię.

Kierowca albo zmiękł, albo miał już dość wysłuchiwanie tego wszystkiego.

- Dobra, dobra - powiedział. - Może zostać, póki będzie cicho. Jeśli tylko zacznie sprawiać jakieś kłopoty, wysadzę go na poboczu.

Bessie podziękowała, otarła łzy i zaciągnęła jakoś męża na siedzenie. Zasnął natychmiast i siedział już cicho aż do samego domu swej matki.

Była to jedna z ich lepszych nocy. Każdego wieczoru rodzina zasypiała w jakichś misjach dla bezdomnych, w nędznych hotelikach, na dworcach lub w schroniskach Armii Zbawienia. Czasem mieli swój wóz, czasem podróżowali autobusami i pociągami, zwykle łapali jakąś okazję. Przez cały ten czas moi bracia wzrastali wśród zdesperowanych obcych ludzi, oszalałych, pijanych lub brutalnych, albo wszystko to naraz. Oglądali zadźganych nożem, widzieli umierających z głodu i chorób.

Zdarzało się, że ojciec wychodził do sklepu i nie było go przez kilka tygodni. Matka szła wówczas do miejscowego kościoła i żebrała na bilet autobusowy dla siebie i dzieci do następnego miasta albo do Provo. Żyli tak z dnia na dzień przez ładnych parę lat.

Wygląda to dość kiepsko i beznadziejnie, i niewątpliwie tak było. Ale to tylko część prawdy o tamtych czasach.

Przez wszystkie te lata jakieś mityczne fatum stawało na drodze Franka. Mama opowiadała o jednym z takich spotkań, kiedy faktycznie widziała twarz kogoś, kto prześladował mego ojca.

Było to pewnego letniego wieczoru w 1946 roku w Sacramento. Frank i Bessie zabrali chłopców do restauracji w pobliżu centrum. Siedzieli w ustronnej kabinie, jedząc obiad, gdy Bessie ujrzała wysokiego, szczupłego mężczyznę z gładko zaczesanymi włosami. Zajął miejsce przy barze, zamówił filiżankę kawy, okręcił się na taborecie i utkwił wzrok we Franka. Był starannie ubrany, miał kaszmirowy płaszcz i nowy kapelusz w stylu fedora. Ze złośliwym wyrazem twarzy patrzył na Franka, jakby go znał.

Bessie dotknęła ramienia męża.

- Ten facet przy barze patrzy na ciebie - powiedziała.

Frank spojrzał na obcego, a potem szybko odwrócił wzrok.

- Nie patrz tak na niego - rzucił. - Nie chciałbym stwarzać pretekstu.

Ujrzała, jak Frankowi pot występuje na czoło.

Po paru minutach wstał.

- Idę do toalety - powiedział.

Bessie i mężczyzna w płaszczu patrzyli, jak Frank się oddala. Ten obcy zaraz za nim poszedł. Po chwili wrócił, spiesznie uregulował rachunek, rzucił Bessie spojrzenie i wyszedł. Obraz tego człowieka jeszcze długo nie dawał jej spokoju.

Czekała, aż Frank wróci z toalety. Długo to trwało. Myślała już: leży tam może, ranny lub martwy? Poprosiła człowieka za barem, by poszedł do toalety i upewnił się, czy z mężem jest wszystko w porządku, bo jakoś za długo nie wraca. Barman wrócił i powiedział, że nikogo tam nie ma; okno było otwarte i wyglądało na to, jakby ktoś się wspiął i wyskoczył, ale jest pewien, że nikt nie opuszczał lokalu.

Bessie zapłaciła, zabrała chłopców i wrócili do hotelu. Franka nie było. Poczekała chwilę i poszła do Fay. Teściowa wysłuchiwała jej opowieści i potrząsnęła głową.

- Bessie - powiedziała - chyba nie powinnaś teraz tu zostać. Nie mam za wiele pieniędzy, ale dam ci tyle, ile mogę. Wracaj zaraz do domu rodziców do Provo. Frank na pewno będzie cię szukał. Nie sądzę, by dotarł tam od razu.

- Co się dzieje, Fay? Co to wszystko znaczy?

- Nie mogę ci powiedzieć, Bess. Nie wiem zresztą dość, by ci powiedzieć. Ale chyba nie powinnaś zwlekać ani chwili.

Bessie przygotowała chłopców do podróży. Nie mieli dość pieniędzy, by starczyło na podróż do Provo. Pojechali autobusem do Reno, stamtąd już złapią jakąś okazję do Utah, oszczędzając w ten sposób na jedzenie.

Parę dni później Bessie i jej synowie stali na autostradzie w Humboldcie w stanie Nevada, próbując zatrzymać jakiś wóz. Ostatnie miejsce, gdzie coś jedli, dawno zostało za nimi, do następnego mieli daleko. Dzieci płakały z głodu, zmęczone ciągłym chodzeniem.

- Chłopcy - powiedziała Bessie - uklękniecie ze mną i będziemy się modlić. Bóg nas nie zostawi.

Cała czwórka uklękła na poboczu, a Bessie prosiła Boga, by ulżył im w głodzie i ciężkim położeniu, w jakim się znaleźli. Kiedy otworzyła oczy, spojrzała na drogę i kilkaset metrów przed sobą ujrzała człowieka idącego w ich stronę. Gdy się zbliżył, zobaczyła, że jest średniego wzrostu, ma szczerą, jasną twarz i łysinkę na czubku głowy. Wyglądał prawie na mnicha. Podszedł do wędrowców i wyciągnął w stronę mamy papierową torbę.

- Czy nie wzięłyby pani ode mnie tych paru kanapek i babki z owocami? -

zapytał. - Jakiś nieznajomy dał mi to na drodze, ale już jadłem i nie jestem głodny.

- Ach, bardzo panu dziękujemy - odparła Bessie i rozplakała się. - Jesteśmy tak głodni i tacy samotni.

Mężczyzna wręczył jej torbę, poklepał po ramieniu i powiedział:

- Wszystko się ułoży, proszę pani. Pani i chłopcy będziecie jeszcze szczęśliwi. -  
Po czym odszedł swoją drogą.

Bessie wyjęła kanapki i podzieliła je na małe kawałki dla siebie i dzieci. Spojrzała na drogę, ale nigdzie już nie było widać tego człowieka. Odwróciła się i popatrzyła za siebie, ale i tam nikogo nie zobaczyła. Jakby się rozpląnął w powietrzu.

Pomyślała, że musiał to być jeden z Trzech Nefitów. W Księdze Mormona jest taka opowieść o trzech amerykańskich uczniach Jezusa, którym udzielił On daru wiecznego życia na ziemi, podobnie jak obdarzył wiecznym życiem Jana Bożego. Mężowie ci pozostali już na kontynencie, aby zaświadczać prawdę Chrystusa i służyć w potrzebie. Zgodnie z mormońskim przekazem owi uczniowie - znani także jako Trzej Nefici - zostali przemienieni w ludzkich aniołów i. póki istnieją na ziemi, pojawiają się często jako bezdomni i głodni. Błogosławią tych Świętych, którzy udzielą im pomocy, upominają i wykluczają zaś tych, którzy jej odmówią, a gdziekolwiek tylko mogą, sami pomagają zagubionym i zdesperowanym dzieciom bożym.

Jedno było pewne: ten sprawiedliwy musiał być jednym z owych Nefitów. Być może rzucił klątwę, gdy natknęła się na tego diabelskiego człowieka w restauracji w Sacramento. Może to doznanie uczyni z chłopców bogobojnych ludzi. Może - jak powiedział anioł - teraz się wszystko ułoży.

Jeśli jednak ten obcy był aniołem, to ten anioł kłamał.



OSIEDLENIE

## ROZDZIAŁ 5

Czas na inną historię o duchach. A trochę później - na jeszcze jedną.

Pierwsze nawiedzenie nastąpiło wkrótce po tym, jak obcy nastraszył mego ojca w restauracji w Sacramento. Bessie i chłopcy wrócili w końcu na farmę jej rodziców. Nadszedł już list od Franka, który pisał, że wszystko z nim w porządku i żeby czekała na niego w Provo. Czekala trzy miesiące, a kiedy do nich przyjechał, zachował się tak samo jak wcześniej w podobnych okolicznościach. Nic nie wspomniał o tym człowieku w restauracji, nie zdradził, dlaczego wtedy uciekł i gdzie się obracał. Fay mówiła potem mamie:

- Jestem przekonana, że ten człowiek był jednym z synów Franka i że udali się razem ściągnąć coś, co ludzie byli im winni.

Gdy Bessie spytała o to męża, odparł tylko:

- Nie pchaj palca między drzwi.

Frank wrócił do żony i dzieci w Provo w połowie 1946 roku. Miał trochę pieniędzy i samochód; powiedział, że została mu jeszcze robota do wykonania. Będzie musiał wyjechać na jakiś czas i chciałby zabrać Bessie i chłopców z powrotem do Sacramento. Martwił go stan matki. Fay miała już siedemdziesiąt pięć lat, a w ostatnich latach przebywała na zmianę to w szpitalu, to znów w domu.

- A może - powiedziała Bessie - ty powinieneś z nią zostać. Może to ciebie chce mieć w pobliżu.

- Eee, tam - odparł Frank. - Tylko bym ją denerwował. Wciąż się mnie czepia. A ciebie i chłopców lubi.

Wrócili więc do Sacramento, a Bessie wraz z Frankiem, Garym i Gaylenem zamieszkała w dużym starym domu Fay na M Street. Tylko raz widziała Fay przygnębioną: kiedy Frank musiał wreszcie wyjechać w swoich sprawach. „Co za wstyd - pomyślała Bessie. - Przez wszystkie te lata Frank potrzebował Fay, a ona odmawiała mu miłości. A teraz, kiedy Fay wreszcie chce się zbliżyć do syna, on trzyma się od niej z dala”.

Bessie z dziećmi ulokowała się na piętrze, a starsza pani zajmowała sypialnię i salon na dole. Frank zostawił jej trochę pieniędzy na bieżące wydatki, ale Fay upierała się przy swoich seansach. Bessie czuła, że podkopują one zdrowie starszej pani, ale czuła też, że Fay nie może się bez nich obyć - przyzywała umarłych, jakby w ten sposób mogła sobie wytargować przesunięcie terminu własnej śmierci lub cokolwiek innego. Podczas tych sesji Bessie nadal wolała przebywać poza domem. Zabierała synów i siadywali razem w parku McKinleya, póki niebo nie pociemniało, a czasami dawała Frankowi i Gary'emu drobne na kino, sama zaś piła kawę, czekając na nich z Gaylenem. Raz na jakiś czas zdarzało się jej

zostać z chłopcami na górze, kiedy Fay odprawiała swoje seanse. Ciarki przechodziły Bessie po grzbiecie; były takie chwile, gdy wyczuwała, że niewidzialne zjawy przesuwają się po całym domu i wokół niej - ale nie chciała wówczas opuszczać Fay ze względu na jej stan zdrowia.

Aż nadeszła taka noc, gdy starsza pani powiedziała Bessie, że odprawi seans, który będzie czymś niezwykłym. Uzyskała specjalną dyspensę, wyjaśniła, na kontakt z duchem kogoś, kto umarł zhańbiony zarzutem morderstwa, i poprosiła Bessie, by wzięła chłopców do kina i by nie wracali stamtąd za wcześnie.

Kiedy mama i bracia wrócili późną nocą, znaleźli Fay w kuchni, siedzącą w fotelu na kółkach, bledszą i bardziej roztrzęsioną niż kiedykolwiek przedtem. Mamie wydało się, że tej nocy musiał się tu unosić jakiś duch niepokoju, i tak było istotnie, można było jeszcze wyczuć odór czegoś starego i paskudnego. Położyła chłopców do łóżek i powoli zeszła do Fay. W miarę jak ciemności nocy okrywały starszą panią, wspominała Bessie, ta stawała się coraz bardziej bojaźliwa i bezradna, jak nigdy przedtem.

Po upływie kilku godzin Bessie wraz z trójką synów opuściła dom. Nigdy już nie zobaczyła Fay żywej. Musiały minąć jeszcze dwa pokolenia, by mama - długo po śmierci Gary'ego - opowiedziała mi ze szczegółami wszystko to, co się tam wydarzyło owej nocy duchów.

Jakąś godzinę po północy usłyszała ruch w domu. Przypomniała sobie, że dzień czy dwa wcześniej dzwonił mój ojciec, zapowiadając, że wkrótce wpadnie, żeby się z nią zobaczyć, a wiedziała, że na ogół zjawia się późno i zalany potyka o meble. Zasnęła więc znowu, mając nadzieję, że da jej spokój i sam trafi do łóżka. Chwilę później przebudziła się, czując intymne dotknięcie. Zrazu był to dotyk znacznie delikatniejszy od tego, którym zwykł ją pieścić mąż, więc tylko odepchnęła go, półsenna jeszcze w ciemności. A potem ta ręka zaczęła sprawiać jej rozkosz i ból na takie sposoby, jakich nigdy nie doświadczyła ze strony żadnego mężczyzny. W końcu Bessie rozbudziła się na dobre, oszołomiona i przestraszona. Odepchnęła rękę i otworzyła oczy - a to, co ujrzała, co ją pieściło tak nieoczekiwanie, nie było wcale moim ojcem. Nie wyglądało nawet na człowieka z krwi i kości, choć na twarzy zjawy malowało się lubieżne podniecenie.

Bessie poruszała się szybko - szybciej niż kiedykolwiek przedtem. Oswobodziła się od natręta i wybiegła do holu, wołając Franka i Gary'ego. A tam czekał na nią kolejny wstrząs. Fay posuwała się ku niej powoli, z białymi włosami spływającymi na plecy niczym grzywa dzikiego rumaka. Była w transie i mamrotała coś niskim, przerażonym głosem. Przykuta do fotela przez wszystkie te lata, odkąd mama ją знаła, teraz znalazła jakoś drogę na schody i



szła ku Bessie. Z początku mama była tym bardziej rozgniewana niż przestraszona. Czy przez cały czas Fay tylko udawała, że jest taka niezaradna? Jej słowa ochłodziły jednak gniew mamy.

- Bessie - mówiła Fay - musisz stąd odejść. Musisz natychmiast opuścić ten dom. Bo wiesz, Bessie, on wic, kim jesteś.

A potem, mówiła mama, mały Frank chwycił ją w korytarzu za rękę i zaczął ciągnąć do swego pokoju. Płakał i wskazywał na drzwi, wołając:

- Mamusiu, Gary! Mamusiu, Gary!

Gdy weszła do sypialni, ujrzała, jak ta sama postać, która była z nią w łóżku, pochyliła się nad Garym, zaglądając w oczy mego braciszka. Była przerażona, ale przemogła się i wyjęła Gary'ego z łóżeczka, a potem chwyciła trzeciego synka i wybiegła z domu. Tę noc spędziła wraz z chłopcami na dworcu autobusowym. Martwiła się o Fay, ale nie było sposobu, by zabrać ją ze sobą, gdy opuszczała dom. A poza tym, myślała sobie, Fay przecież wie, jak postępować z duchami.

Następny dzień spędziła z chłopcami w pobliskim hotelu. Może i odwiedziłaby Fay, ale nigdy już nie weszłyby do tego domu po ciemku. Parę dni później wrócił ojciec i uśmieł się z tej historii o duchach. Wkrótce potem rodzina przeprowadziła się do San Diego, gdzie ojciec dostał pracę robotnika na budowie. W Wigilię 1946 roku przyszedł list:

Fay powróciła do szpitala w Sacramento, w którym w ciągu ostatnich paru lat niejednokrotnie przebywała, i zmarła tam 15 grudnia. Jej serce przestało bić o siódmej trzydzięci wieczorem. Niebawem Gary'ego zaczęły dręczyć koszmary nocne. Był to zawsze ten sam sen: ścinano mu głowę.

List informujący Franka o śmierci Fay wysłano do biura przesyłek pocztowych w San Diego, więc gdy ojciec odebrał wiadomość, było już po pogrzebie. Mieszkający w Nowym Jorku szwagier opłacił pochówek i wykupił miejsce spoczynku, ponosząc koszty w wysokości dwustu pięćdziesięciu sześciu dolarów i czterdziestu pięciu centów. Ostatnią posługę przy mogile odprawił ksiądz katolicki. Robert usiłował odnaleźć Franka, by przekazać mu tę wiadomość i poinformować go o terminie pogrzebu, nie miał jednak adresu ani numeru telefonu swego ojca.

Śmierć Fay była najwyraźniej jednym z najcięższych przejść w jego życiu.

- Minęło kilka tygodni, zanim się z tym pogodził - wspomina mój brat Frank. - Płakał, pił na umór, porzucił pracę. Siadał, zalewał się w trupa, opowiadał o niej i wzywał jej imienia. Pił jeszcze więcej niż przedtem. Myślę, że wiele spraw do niego nie docierało. Czuł się zawsze odrzucony przez matkę, nie było mu nawet dane być przy jej śmierci ani

uczestniczyć w pogrzebie.

Nigdy przedtem nie popadł w tak długie pijaństwo. Mama i bracia znajdowali go na ulicy, rozciągniętego gdzieś pod latarnią, z flaszką w rękę i nieotwartymi jeszcze butelkami w kieszeniach płaszcza. Pomagali mu jakoś dobrać do mieszkania, podczas gdy on pił przez całą drogę. Trwało to, póki nie przepił reszty gotówki., rodzina zaś musiała jadać co wieczór w Armii Zbawienia.

- Był twardym facetem - wspominał mój brat - ale wtedy pił tylko i pił, płacząc bez przerwy. Fay go zawiodła, a on naprawdę się o nią troszczył. Nie mógł się pogodzić z tym, że ją stracił na zawsze, wszystko mu się zawaliło.

Pewnego wieczoru, wychodząc ze sklepu z alkoholem - żona i dzieci czekały w tym czasie na /ewnątrz - ojciec potknął się i uderzył głową w słup. Fatalnie rozciął sobie przy tym twarz. Bessie i dzieci zabrały go do domu i położyły do łóżka. Trzy dni później, gdy wciąż jeszcze leżał, Bessie wezwała doktora. Martwiła się raną odniesioną przez męża podczas upadku, a może też i stanem zatrucia alkoholowego. Doktor pobrał próbki moczu i krwi, a wróciwszy z wynikami badań, oznajmił, że jeśli Frank będzie nadal pił w tym tempie, nie pożyje dłużej niż rok, dwa. Ma już tak zniszczoną wątrobę, że regularne picie wtrąci go szybko do grobu.

Zdaje się, że zrobiło to wrażenie na moim ojcu. Przestał pić tego samego dnia i choć w ciągu następnego roku miał jeszcze parę pijackich epizodów, nigdy nie wrócił do ostrego picia, któremu tak długo się oddawał. Ta dobra nowina miała jednak pewien minus. Przy całej swej niezdarności i otępieniu Frank podczas tych pijatyk był jednak wciąż mile widzianym i nawet dowcipnym kompanem. Opowiadał wówczas anegdotki o ludziach z branży rozrywkowej, o zarabianiu i traceniu wielkich pieniędzy, o swoich dniach w cyrku i wyczynach w roli klownaakrobaty i poskramiacza lwów. Bywał też wtedy niezwykle hojny. Dawał synom pieniądze na każdą zabawkę, jaką tylko chcieli, i wspaniałomyślnie obiecywał im i żonie, że zapomni o ich ostatnich wykroczeniach przeciw jego honorowi i dumie. A kiedy trzeźwiał, stawał się prawdziwym potworem. Zdarzało się, że tłukł synów pasem za najmniejsze przewinienie. Był jak doktor Jekyll i Mister Hyde, wspominał mój brat, z tym że to pijany Frank Gilmore okazywał się bardziej cywilizowany.

Ojciec był więc trzeźwy przez cały czas, ale stał się przy tym bardziej skąpy i bardziej gwałtowny. Bessie od dawna stanowiła cel jego złości, ale teraz te wybuchy były naprawdę koszmarnie i niezwykle drastyczne. Jak mówił dalej Frank:

- Nie mieliśmy choćby dwóch tygodni bez jakiejś dzikiej młócki i okładania pięściami. Wielokrotnie widywałem mamę z podbitymi oczami i straszliwie obrzmiałą

twarzą. Człowieku, wyglądała, jakby zeszła z ringu dla zawodowców, poobijana i sina, z rozwalonymi ustami! Wiele razy ją taką widziałem. Walił w nią jak w bęben. Pamiętam, że raz się wtrąciłem, miałem wtedy z dziewięć lat, i powiedziałem mu, żeby przestał. Nie wiem, musiałem być chyba szalony albo co, ale jego wtedy zamurowało. Dziwnie na mnie patrzył przez cały dzień. Nawet sobie nie wyobrażał, że ktoś mógłby coś powiedzieć. Przestał ją bić, odwrócił się i odszedł do swej roboty.

Dzieci patrzyły na to wszystko, krzyczały i płakały. Frank pamiętał, że zwłaszcza Gary miał kłopoty z usnię - ciem. Bijatyki rodziców widywał w swoich egzekucyjnych koszmarach. Często moczył się w nocy i budził z wrzaskiem, spocony, leżąc we własnym moczu.

Był jeszcze inny skutek uboczny trzeźwości mojego ojca: zniknął gdzieś przymus nieustannych podróży. Mogli teraz przebywać w jednym miejscu dłużej niż parę tygodni. Bessie to odpowiadało. Była już bardzo zmęczona tymi ciągłymi wędrówkami. Pragnęła mieć dom i posiadać coś na własność jak jej siostry w Utah. Chciała także, żeby chłopcy mieli bardziej ustabilizowane życie, żeby spędzili choć rok w jednej szkole i kontynuowali swe szkolne przyjaźnie. To było marzenie mojej mamy.

W 1949 roku rodzina przeniosła się do Portlandu w stanie Oregon, gdzie znalazła siedzibę w nowo wzniesionej dzielnicy mieszkaniowej na północnym skraju miasta. Frank wpadł na pomysł pewnej kampanii reklamowej: zbierze do kupy różne statuty i regulacje prawne dotyczące planowania i rozbudowy osiedli mieszkaniowych i własności handlowej w Portlandzie i hrabstwie Multnomah, przełoży je na czytelny i zrozumiały język i wyda książeczkę w poręcznym formacie, zawierającą porady dla wykonawców, budowniczych i architektów. Publikacja rozchodziłaby się dzięki zamieszczanym w niej ogłoszeniom klientów i przy wsparciu odpowiednich wydziałów, wydających przyszłym inwestorom i wykonawcom zezwolenia budowlane na terenie miasta i hrabstwa. Ten atrakcyjny pomysł szybko przyciągnął uwagę ogłoszeniodawców i Frank zgarniał co tydzień setki dolarów, wyciągając stały dochód na poziomie, jakiego nasza rodzina nigdy nie zaznała. Kiedy uzbierało się tego kilka tysięcy dolarów, zdecydował, że najwyższy czas ruszyć się i wypróbować ten pomysł w innym miejscu.

I wtedy Bessie Gilmore postawiła wreszcie na swoim.

- Nie - powiedziała. - Zaczyniłeś ciasto, trzeba upiec chleb. Masz zleceniodawców, którzy ci ufają, masz poparcie miasta, jesteś zdolny. To twój najlepszy pomysł, Frank, twoje własne dzieło od początku do końca. Tylko nie próbuj tego numeru co zwykle. Powinieneś wydawać tę broszurę co roku i otrzymywać za nią regularnie prawdziwe

pieniądze. Moglibyśmy nareszcie mieć dom. Jeśli zrobisz wszystko zgodnie z przepisami, pomogę ci, a jeśli w przyszłości będziesz chciał się przenieść, też ci pomogę. Ale jeśli kombinujesz numer „na sto procent” i chcesz dać nogę z forszą, tak że nikt z nas nie będzie się tu mógł pokazać, to równie dobrze mogę tu zostać z chłopcami na miejscu. Jestem już zmęczona tą ciągłą ucieczką.

Frank nie przyjął ultimatum, ale spodobał mu się pomysł Bessie, żeby wydawać to co roku. W 1949 roku opublikował pierwszy zeszyt „Building Codes Digest” i wpłacił pierwszą ratę na mały domek przy Crystal Springs Boulevard w południowowschodniej dzielnicy Portlandu. Wszystkiego dwie sypialnie, niewielki kawałek ziemi na skraju przemysłowej zabudowy miasta, bardziej na pustkowiu niż pośród sąsiadów. Nie był to jeszcze dom na miarę marzeń Bessie, ale Frank dopiero zaczynał się dorabiać i jego ambicje z pewnością się rozwiną. Postawili płot, kupili psa i nowego pon - tiaca. Posłali chłopców do szkoły, a że nadchodziła właśnie Gwiazdka, wystroili drzewko i świętowali Narodzenie Pańskie. Był to ich pierwszy rodzinny dom, po dziesięciu latach małżeństwa i z trójką dzieci w dorobku, najbliższy temu zwykłemu szczęściu, o jakim mogliby marzyć.

Robert był już porucznikiem piechoty, stacjonował jakieś sto pięćdziesiąt mil stamtąd, w Forcie Lewis w pobliżu Taco - my w stanie Waszyngton. Miał żonę i trójkę dzieciaków, dwie dziewczynki i chłopca. Zanedbywał własną rodzinę, odwiedzając co dwa tygodnie rodzinę ojca, niekiedy wpadał nawet częściej. Podobały mu się zmiany, jakie dostrzegał teraz we Franku. Lepiej się rozumieli. Mogli już ze sobą rozmawiać ponad dziesięć minut bez wzajemnych oskarżeń i podejrzeń, całkiem inaczej niż przed laty. Pewnego dnia Robertowi, który sposobił się do kariery zawodowego fotografa, udało się zgromadzić moich rodziców i braci na dziedzińcu domu przy Crystal Springs i zrobić im wspólne zdjęcie. Dziś jest ono może moją najcenniejszą pamiątką. Każdy z osobna pełni na tym zdjęciu rolę, jaka do niego najbardziej pasuje lub jaką odgrywa w życiu. Ojciec sprawia tu wrażenie bardzo poważnego, mama też nie wygląda tak, jakby to była dla niej jakaś wesoła chwila, Gaylen uśmiecha się w miły i niewymuszony sposób, a Gary już ćwiczy to swoje groźne spojrzenie. I jeszcze mój brat Frank z charakterystycznym błazeńskim uśmiechem, który mówi: „Czyż to nie śmieszne? Każdy z nas udaje, jakby był częścią prawdziwej rodziny”. Wszyscy są osobno, nikt na tym zdjęciu nie styka się z nikim innym. I naturalnie mnie tam jeszcze nie ma. Nie mogło mnie tam być. I nigdy nie mógłbym tam być. Ale to może najlepsze nasze zdjęcie rodzinne, jakie kiedykolwiek powstało. Nie ma innego, na którym bylibyśmy wszyscy razem.

Chociaż nie każda zmiana wychodziła na dobre. Na przykład nowy pies. Według mamy była to mieszanka w połowie Alaskan husky, w jednej czwartej chowchow i w jednej

czwartej owczarka niemieckiego. Gary dostał tę sukę w prezencie i nazwał ją Queen. Pies skończył jak jego pan, i to pod wieloma względami: z początku mały i nieszkodliwy, z czasem stał się złośliwy i groźny. Stanowił jedną z tych rzeczy, które chciał mieć mój ojciec, a którym mama energicznie się sprzeciwiała. A gdy już stał się częścią naszej rodziny, ojciec odwrócił się od niego i zaczął karcić, a mama stawała w jego obronie. Do ulubionych zabaw ojca należało zwijanie gazety w kij baseballowy i uderzanie nią zwierzęcia.

- Bił psa bez powodu, tak jak nas - wspominał Frank. - Po kiego diabła to robił?

Pies znosił to, póki nie podrośł, a potem zwrócił się przeciw naszemu ojcu. Gdyby mama nie umiała obchodzić się z Queen, Frank Gilmore na pewno wychodziłby z tych zabaw poważnie pokiereszowany.

Queen zachowywała więc dystans w stosunku do ojca, a była oddana Bessie i moim braciom. Frank i Gary chodzili z suką na spacer, a ona czuwała nad nimi, gdy groziło im jakieś niebezpieczeństwo ze strony innych dzieci czy psów. Według obliczeń mojej mamy Queen zaatakowała przynajmniej piętnaście osób, gryząc niektóre z nich nawet dość dotkliwie, i zabiła dwa inne psy. Pewnego razu Frank i Gary splatali jakiegoś figla człowiekowi w sąsiedztwie. Ten wpadł we wściekłość, chwycił tasak i pogonił moich braci po bulwarze. Mama, która tego dnia zamknęła Queen w domu, usłyszała krzyki synów, a kiedy wyjrzała przez okno, zobaczyła ścigającego ich mężczyznę. Mówiła potem, że był to jedyny przypadek, gdy poszczuła kogoś psem. Otworzyła drzwi, wskazała tylko tego człowieka, a Queen ruszyła jak gepard. Skoczyła intruzowi na plecy, przewróciła go i kąsała po rękach, może nawet przegryzłaby mu gardło, gdyby mama jej nie odwołała.

To dziwne, że nikt wtedy nie zastrzelił tej bestii ani nie ukarał ludzi, którzy ją wypuścili. Jeden z przyjaciół powiedział mi kiedyś, że ten pies to nie żadna zabawka, lecz prawdziwa broń, zabójca broniący swą groźną postawą rodzinę i trzymający zewnętrzny świat na wodzy, gdy ojciec wreszcie postanowił gdzieś osiaść na stałe.

Gdy pojawiłem się na świecie, pies musiał się przenieść na podwórko.

Rok czy dwa lata po urodzeniu Gaylena mama miała jeszcze jedno dziecko: chłopca, który żył tylko parę dni, a może parę tygodni. Aż do niedawna nic o tym dziecku nie słyszałem, dopóki nie dowiedziałem się o nim od Franka. Według niego dziecko urodziło się, umarło, zostało pogrzebane i nikt już go nie wspominał. To jedno z tych wydarzeń, których nigdy nie rozmawiano, i gdyby Frank tego nic zapamiętał, nie wiedziałbym nawet, że coś takiego się stało.

Mamie powiedziano wówczas, że już nie będzie miała dzieci. Gdy jednak obserwowała, jak ojciec wychowuje każdego z synów w wierze katolickiej, miała poczucie

winy, że mu na to pozwala, że nie uczyniła więcej dla swojej religii. Chciała mieć dziecko, które zostałyby wychowane na mormona; ojciec zaś chciał mieć po prostu kolejnego potomka. Zawarli taką umowę: jeśli mama donosi bezpiecznie jeszcze jedno dziecko, ojciec pozwoli wychować je na mormona.

Urodziłem się 9 lutego 1951 roku w szpitalu St. Vincent w Portlandzie. Ojciec miał wówczas sześćdziesiąt jeden lat, mama trzydzieści osiem. (Nawiasem mówiąc, urodziłem się jako Michael, nie Mikal. Zmieniłem imię w szkole średniej, ulegając pewnej manierze. Ze względu na zwartość tej opowieści zachowuję od początku późniejszą formę).

0 Pamiętam dzień, w którym się urodziłeś - powiedział mi kiedyś Frank. - Tato wszedł na górę w samych majtkach oznajmił: „Chłopcy, nie wiem, jak wam to powiedzieć, ale macie jeszcze jednego braciszka”. Nigdy nic widziałem, żeby był tak szczęśliwy, ani przedtem, ani potem.

Radość była krótka. Któregoś dnia, gdy już zabrałem się do tej książki i codziennie rozmawiałem z bratem, wyciągając z niego wspomnienia, Frank ze zmartwioną miną zastukał do mych drzwi.

- Jest jeszcze coś, o czym ci muszę powiedzieć. Myślałem o tym za każdym razem, gdy z tobą rozmawiałem. Nie chciałem ranić twoich uczuć, ale musiałem znaleźć jakiś sposób, żeby ci to wyznać.

Oto co miał mi do powiedzenia:

- Kiedy przynieśli cię ze szpitala, wszyscy byli bardzo szczęśliwi. Nie minęło jednak parę tygodni, gdy zaszła zmiana. Mama zawsze czytywała te bzdurne książki medyczne, a nie wiedziała, jak należy interpretować to, co tam napisano. Przeczytała w jednej z nich, że jeśli podrzuci się noworodka w górę, można obserwować jego reakcje: w jaki sposób rozwiera rączki, jak się uśmiecha. No ale oczywiście każde niemowlę reaguje nieco inaczej. Mama cię podrzuciła, ale twoje reakcje były inne, niż się spodziewała. Chyba musiałeś się już tak przyzwyczaić do tego piekła wokół, że jakieś tam podrzucanie nie mogło cię zdenerwować. Tak czy siak, mama zaczęła się przejmować. „Coś jest nie tak z tym dzieckiem. Chyba ma jakąś wadę”. Jeszcze o tym mówiła, ale tato powiedział, żeby się wreszcie zamknęła. No i któregoś dnia zobaczyliśmy, jak stoi przy twoim łóżeczku, z poduszką w ręku. Wyglądało na to, że chce ci ją przycisnąć do twarzy. Przyglądała ci się. Tato chwycił ją za rękę. Była bardzo zdenerwowana i powtarzała bez przerwy: „Nie możemy pozwolić, żeby to dziecko żyło”. No i tato... rozpętało się piekło. Przyłożył jej naprawdę mocno i zapowiedział, żeby już nigdy nie ośmieliła się ciebie tknąć. Byliśmy przy tym, gdy się to zdarzyło, ja, Gary i Gaylen. Muszę przyznać, że od tego dnia odnosiłem się do niej

inaczej.

Gdy Frank doszedł do końca opowieści, widziałem, że to, czym mówił, musiało nim wstrząsnąć. Mnie zaś trudno było odnieść się do tego bardziej emocjonalnie. Nie miałem wątpliwości, że to, co dręczyło wtedy moją mamę, musiało być epizodem depresji okołoporodowej - uwarunkowaną chemicznym przestrojeniem organizmu formą depresji, zdarzającą się niekiedy w połogu. W tamtych czasach jednak, uwzględniając jeszcze przy tym skłonności mego ojca, nie było możliwe, żeby postawić Bessie właściwą diagnozę czy ją leczyć. Zamiast tego dostała potężne lanie.

Odnoszę wrażenie, że ten incydent mógł mieć istotny wpływ na to, co nastąpiło później, i na charakter stosunków między moimi rodzicami. To właśnie mogło zaważyć na tym, że ojciec w jakiś szczególny sposób zbliżył się do mnie, tak iż stałem się punktem zapalnym w narastającej rozgrywce. Choć nie odczuwałem wtedy niczego szczególnego - strachu ani przerażenia - gdy mama tak mi się przyglądała, jestem przekonany, że większość tego lęku, jaki później wobec niej odczuwałem, pojawiła się w następstwie tego epizodu. Pamiętam, że ojciec często oskarżał mamę o jakieś haniebne szaleństwo i że te oskarżenia wyraźnie ją raniły. Bardzo jej wtedy współczułem. Jednak zarzuty te mogły ją też rozjątrzać na tyle, że jej reakcje potwierdzały tylko przeświadczenie ojca, i zacząłem się bać tego narastającego szaleństwa, które widziałem w rysach mamy.

Ojciec wykorzystał później ten incydent jako pretekst do złamania obietnicy, że pozwoli wychować mnie na mormona.

- Tego samego dnia, kiedy ochrzczisz go jako mormona, wyrzucę was oboje na ulicę - zapowiedział.

- A tego dnia, gdy zrobisz z niego katolika - odpowiadała - poczekam., aż zaśniesz, i wbiję ci nóż w serce.

Tkwiąc pośrodku tych sporów, aż do śmierci ojca nigdy nawet nie zajrzałem do kościoła.

„Building Codes Digest” święcił triumfy w Portlandzie przez kolejne dwa lata, toteż Frank przygotował jeszcze bardzo korzystną finansowo edycję pisma w Seattle. Musiał teraz dzielić regularnie czas między te dwa miasta i być może to właśnie sprawiło, że chciał się wycofać z przedsięwzięcia. Po raz kolejny zapragnął wyrwać swoje korzenie i przenieść się tam, gdzie zaczęli razem z Bessie: do Salt Lake City. Lecz ona zareagowała wściekłością na ten pomysł. Rodzina osiadła w końcu na miejscu, dzieci chodziły tu do szkoły i miały przyjaciół - czemu więc nagle z tym zrywać? Nie w smak był jej też powrót do Utah. Nie chciała żyć w kręgu swych siostr zadzierających nosa i chełpiących się przewagą, jaką dawali

im mężowie i piękne domy; wreszcie nie miała ochoty znowu słuchać tego, co sądzą o niej rodzice.

Frank nie dbał o to, co Bessie sobie myśli. Miał w Salt Lake dawnego współnika, który zapewniał, że dopiero w Utah interes powinien się rozkręcić na dobre. Był też przekonany, że teraz, odkąd podjął zyskowne i legalne przedsięwzięcie, wszystkie właśnie między nim a rodzicami Bessie należą już do przeszłości.

Mama jednak wiedziała, że tak naprawdę Frank wcale się nie odciął od swej przeszłości. Za długo już siedział w jednym miejscu, świerzyło go od tego oglądania się za siebie i sprawdzania, czy ktoś go nie śledzi.

Na wiosnę, parę miesięcy po moich narodzinach, rodzice sprzedali dom przy Crystal Springs i załadowali wóz na drogę do Utah. Ponieważ Frank się uparł, Bessie zostawiła Queen u najbliższej sąsiadki. Wiedziała, że kobieta ostro pije i różnie się zachowuje, więc ostrzegła ją, by nigdy nie podnosiła ręki na psa. Gdy odjeżdżaliśmy, Queen spojrzała tylko na Bessie smutnym wzrokiem i zawyła. Mamie złamało to serce. Nigdy przedtem nie kochała żadnego zwierzęcia.

Frank i Bessie sprzecali się przez całą drogę do Salt Lake - i to tak wytrwale, że Frank junior, Gary i Gaylen, którzy siedzieli z tyłu, zatykali palcami uszy, zabawnie wykrzywiając twarze. W końcu ojciec dostrzegł to w lusterku i wybuchnął śmiechem. Tysiąc mil nandryczenia.

Mama wyniosła jednak z tej wyprawy pewną korzyść. 7 czerwca 1951 roku moi rodzice stawili się przed sędzią pokoju w Elko w stanie Nevada i zawarli skromne, lecz legalne małżeństwo. Nigdy nie wygadali się przed dziećmi o tym spóźnionym wydarzeniu, dopiero na parę miesięcy przed śmiercią mama opowiedziała o wszystkim Frankowi. A kiedy Frank mi to powtórzył, nie bardzo chciałem mu wierzyć; nie mogłem sobie wyobrazić mamy jako osoby, która tak długo musiała znosić „bezpprawność” swego małżeństwa, i potem zdobyłem kopię tego aktu.

- Wygląda na to, że wszyscy jesteśmy z nieprawego łoża - wyjaśniłem Frankowi i pokazałem mu dokument.

Długo się z tego śmieliśmy.

- Jezu - skwitował Frank. - Ileż to można się dowiedzieć oswoim życiu... po czasie. w Salt Lake rodzice zamieszkali w małym trzypokojowym lokalu na obrzeżach miasta. W pobliżu biegły tory kolejowe, dzieląc miasto na dwie części. Na północy mieszkali porządni ludzie - mormoni i akceptowana ludność niemor - mońska. Na południe od torów osiedlali się włóczędzy, imigranci, mniejszości i beznadziejni nędzarze; w tamtych dniach



była to rozległa i posepna ziemia niczyja. Moja rodzina mieszkała zalewie parę ulic na północ od torów. Ojciec chyba lubił żyć na granicy, ta myśl nigdy nie była mu obca. Może kierowało nim jakieś niejasne poczucie, że wystarczy przekroczyć tory, a będzie znowu bezpieczny na bezdrożach Ameryki. Gdy tylko rodzina osiedliła się w nowym miejscu, ojciec natychmiast wyruszył w drogę, sprzedając oferty ogłoszeniowe do swego nowego magazynu w całym Utah i Idaho.

Dość szybko Bessie się zorientowała, że jej nowy dom jest nawiedzony. Czowała wokół siebie czyjąś wrogą obecność, słyszała niedające się wytłumaczyć hałasy, zarówno w dzień, jak i w nocy. I nie tylko ona; chłopcy też czuli w ciemności czyjś oddech na twarzy. Po jakimś czasie mama zauważyła, że większość tych dziwnych zdarzeń zachodzi w pomieszczeniu, w którym przebywa najmłodszy członek rodziny, czyli ja. Opowiadano później, że gdy czasami byłem sam w pokoju, a mama i bracia słyszeli, jak coś do siebie gaworzę, mogliby wówczas przysiąc, że słyszą, jak ktoś mi odpowiada. A kiedy wchodzili do pokoju, widzieli tylko mnie, jak coś paplałem i wskazywałem. Trwało to jakiś czas, aż pewnej nocy, gdy mama była ze mną w domu, usłyszała znów ten głos, tym razem wyraźniej niż przedtem. Zbliżyła się po cichutku do pokoju, a kiedy weszła do środka, ujrzała twarz bardzo podobną do tej, którą widziała parę lat temu u Fay, i zaklinała się, że ten ktoś usiłował mnie pocałować. Wrzasnęła i wszystko się skończyło. Kiedy wrócił ojciec, mama próbowała mu o tym powiedzieć, ale on nie traktował takich rzeczy poważnie. Przez całe życie miał wokół siebie „duchy”, mówił, i nie zna takiego przypadku, żeby za tym stało coś realnego.

- Zdarza się - mówił - że słyszysz czasami w nocy odgłosy wydawane przez myszy. Gdybyśmy mieli kota, pozbyłabyś się tych strachów.

- Widziałam tę przeklętą rzecz, Frank - upierała się matka. - Jeśli to była mysz, to cholernie wielka i z twarzą z piekła rodem.

Zdaniem matki to w czasie pobytu w Salt Lake zaczęło źle się dziać z Garym. Stracili z Frankiem juniorem przyjaciół, których mieli w Portlandzie, a z nowymi kumplami, jakich znalazł tu sobie Gary, Frank nie chciał mieć nic wspólnego. Ci nowi przyjaciele byli bardzo prymitywni, przeklinali, palili, kradli i mówili o broni. A Gary stawiał sobie za punkt honoru jeszcze ich w tym przewyższyć. Frank pamięta, jak zastał go kiedyś z kilkoma takimi koleśkami, grającego w rosyjską ruletkę. Gary się upierał, że broń nie była naładowana, lecz lanie dostał tak czy owak. Kiedy indziej znów wdał się w jakąś awanturę z sąsiadem. Facet puścił się w pogoń za Garym, a kiedy go złapał, zaczął bić głową jedenastolatka o ścianę garażu. Frank junior pobiegł po matkę. Przeskoczyła płot, dopadła faceta i zaczęła walić jego głową o garaż, póki nie zbiegli się sąsiedzi i ich nie rozdzielili. Później, kiedy opowiedziała

tym ojcu, ten znalazł faceta, położył go na koziołku do cięcia drewna i o mało nie wytrząsł z niego ducha. Zdaje się, że zawsze mieliśmy kłopoty z sąsiadami.

Parę miesięcy po tym zdarzeniu Gary ukradł jakieś rzeczy ukrył je w garażu. Były to rozmaite drobiazgi: cukierki, jojo, komiksy - wszystko to zwędził ze sklepu spożywczego „Big C” na naszej ulicy. Chyba nie miał po temu jakiegoś szczególnego powodu. Po prostu ukradł te rzeczy i przechował, a potem chciał je pokazać swoim kumplom i bratu. Doszło to jakoś do ojca, który uznał, że lepiej dmuchać na zimne. Spuścił Gary’emu porządne lanie i kazał odnieść z powrotem skradzione przedmioty i umieścić dyskretnie tam, skąd je wzięł. Nikt się o tym nie dowie; nic mu nie będzie. Mój brat Frank uważa, że ojciec przestraszył się bardziej niż Gary. Może spostrzegł w tej chwili, że coś z niego samego kiełkuje w jego dziecku, i chciał to zabić, zanim zdąży wyrosnąć.

Późnym wieczorem i w ciemności nocy Gary pozostawał jednak wciąż małym dzieckiem. Często dręczyły go złe sny, budził się, wołał matkę, zaklinał się, że coś było w pokoju, że to widział.

Pewnej nocy, po jednym z takich zdarzeń, Bessie postanowiła czuwać nad Garym, aż znów zaśnie. Może spędzał za dużo czasu z Fay i jej cholernymi duchami, pomyślała. Może weszła w niego ta straszna zjawa, którą widziała tamtej nocy, a może to duch, który mieszkał w ich nowym domu, znalazł jakiś dostęp do jego podatnej duszy. Nie da się tego wytłumaczyć inaczej, uznała Bessie, patrząc w twarz Gary’ego i rozpamiętując jego ostatnie wybryki.

Nie było wątpliwości. Jakiś przerażający duch zagnieździł się w duszy jej syna.

W sylwestra rodzina mamy urządzała przyjęcie w swoim domu w Provo. Mama wiedziała o tym od paru tygodni, ale ani ojciec, ani nikt inny z naszej rodziny nie został zaproszony. Dosłownie w ostatniej chwili zawiadomiono ich telefonicznie. Pojechali na farmę Brownów, lecz gdy się tam zjawili, spotkał ich afront. Nikt nie rozmawiał z moim ojcem, mimo że podarował rodzicom Bessie nowe radio. I choć inni popijali ukradkiem drinki, jemu odebrano nawet butelkę piwa.

Obu moim braciom, Frankowi i Gary’emu, nie podobało się, jak traktuje się tu ich ojca, i uprosili mamę, żeby wrócić do domu. Jeszcze przed nadejściem Nowego Roku wszyscy byli na miejscu.

Następnego wieczoru, 1 stycznia 1952 roku, siedzieli w mieszkaniu w Salt Lake, zmęczeni i zniechęceni tą wyprawą do Provo. Słyszeli dziwne hałasy, wszyscy byli zdenerwowani. Ze strychu dobiegało jakieś rżenie, długie i posępne, zupełnie jakby ktoś konał. Wszyscy skupili się pod schodami wiodącymi na strych i spojrzeli w górę.

Bessie obróciła się do męża i powiedziała:

- Czy mógłbyś tam pójść i pogadać z tą wielką myszą?

Frank skwitował to milczeniem. Stał tylko z resztą rodziny, gapiąc się w drzwi, zza których dochodził hałas. Bessie mogła się przekonać, że ta mroczna zjawa i na nim w końcu zrobiła wrażenie.

- Jeśli się stąd nie wyniesiemy, Frank - oznajmiła - umrzemy pod ciężarem tego zła.

Następnego dnia ojciec wystawił dom w Salt Lake City na sprzedaż.

Mniej więcej rok temu pojechaliśmy z Frankiem do Salt Lake i chcieliśmy odwiedzić dom, w którym mieszkaliśmy. Frank rozejrzał się po pobliskich ulicach, przeszedł się trochę w górę i w dół, raz jeszcze sprawdził adres. Dobrze pamiętał tę okolicę, mówił. Wszystkie te stare budynki wciąż stały, z wyjątkiem jednego. Nie było tylko tego domu, w którym kiedyś mieszkaliśmy. Rozciągała się w tym miejscu pusta, jałowa ziemia.

Przytoczyłem tu dość historii o duchach, by wreszcie powiedzieć wprost: wszystkie te historie pochodzą ze wspomnień mojej mamy bądź też biorą się z rodzinnych legend. Żadna nie dotyczy moich własnych wspomnień, może tylko w tym sensie, że są one częścią tej dręczącej i malowniczej mitologii rodzinnej, wśród której wzrastałem. Słuchałem uważnie, gdy matka opowiadała mi te historie, ale myślę, że musiała ona wiedzieć - ze względu na miłość i współczucie, jakie nas łączyły - że nie wierzyłem, po prostu nie mogłem uwierzyć w te jej opowieści o duchach. Wiedziała, iż zdaję sobie sprawę, że jeśli cokolwiek nas straszło i pojawiała się w naszych snach, to tylko my sami - nie potrzebowaliśmy wcale złych duchów, by popełniać w życiu wszystkie te grzechy, okrucieństwa i straszliwe głupstwa. Mamy własną historię, własne mroczne serca, to w zupełności wystarczy.

Nie, nigdy nie wierzyłem w te historie o cholernych duchach. Nie wierzyłem, że jakiś duch zabił siostrę mojej matki, pochylał się nad Garym tej rozgorączkowanej nocy czy wreszcie, po wielu latach, próbował mnie pocałować, gdy byłem niemowlęciem. Nie wierzyłem też, w przeciwieństwie do matki, że jakiś duch owładnął Garym, a potem dopadł go jeszcze raz, gdy popełnił tę nieszczęsną pomyłkę, decydując się na powrót do Utah w kwietniu 1976 roku. Wiedziałem, że są rzeczy gorsze niż dotknięcie jakiejś zjawy w nocy. To wspomnienia gniewu, utraty i pożądania mają taką niszczycielską moc i są w stanie tak nas zmienić, że schodzimy do grobu, zanim naprawdę tam się znajdziemy. To takie łatwe: przerazić się czegoś nieznanego czy dać wiarę w moc, która nami kieruje. Znacznie trudniej jest stawić czoło rzeczywistym demonom: twarzom tych wszystkich ludzi, którzy nas kochali, czy innych, którzy ukształtowali nasz charakter i naszą historię. Myślę, że nie ma nic

straszniejszego niż radzić sobie z takimi wspomnieniami i dziedzictwem tych twarzy. Nie potrzeba mi żadnych innych duchów. A moja matka niech tam sobie wierzy w te swoje historie. Pochodzi z innych czasów i z innej kultury, i może ta wiara pomogła jej jakoś dojść do ładu z gnębiącym ją latami poczuciem utraty i pustki.

Nie, nigdy w to nie wierzyłem. Nie jestem nawet pewien, czy uwierzyłem w to po wielu latach, gdy po usilnych próbach wróciłem do domu i zetknąłem się wreszcie twarzą w twarz z czymś strasznym w małym ciemnym pokoju, z czymś, co oładnęło mną mocno w najgorszej godzinie mego życia i powiedziało: „Znam cię. Jesteś ostatnim. Teraz przyszedłem po ciebie”. Nie, powiedziałem sobie, ten duch naprawdę nie istnieje, to zjawy, która skądś przychodzi, z pewnych ciemnych, głęboko ukrytych pokładów. I nawet wtedy pomyślałem sobie: są znacznie straszniejsze rzeczy, które mogą mnie mocniej poruszyć niż jakiś duch.

Ale to już jest inna historia i nie pora jeszcze, by ją opowiedzieć.

Rodzina wróciła do Portlandu. Nowa nieszczęsna podróż: Frank i Bessie licytowali się przez całą drogę, kto był winien tej przeprowadzki do Salt Lake. Kiedy dotarli do miasta, Bessie uparła się, że najpierw pójdzie odzyskać psa Gary’ego.

Zatrzymali się przed domem, gdzie zostawili Queen. Nikt nie odpowiadał na pukanie, więc poszli do innego sąsiada i zapytali, czy wie, gdzie jest pies.

- Przykro mi o tym mówić - powiedział ten człowiek - ale Queen została zastrzelona zaledwie parę dni temu.

Okazało się, że kobieta, której powierzono Queen, upiła się, uderzyła psa pasem i została przez niego zaatakowana. Trafiała do szpitala, więc postanowiła zwierzę zastrzelić.

Bessie oplakiwała Queen przez cały dzień. Nie wierzyła, że ktoś mógłby zastrzelić ulubieńca Gary’ego. To tak, jakby ten pies był ucieleśnieniem klęsk całej rodziny - nienawistnego i karzącego losu, który widziała w opowieści o sobie i swoich synach. Więc tak, powiedziała sobie później, teraz już wie, co może jej przynieść przyszłość.

## **C 2 E S C T I X I C . I I**

BRACIA

...i będą nieprzyjaciółmi człowieka jego domownicy.

Ewangelia wg św. Mateusza, 10, 36



## OBCY

Oto moje pierwsze wspomnienie związane z Garym...

Musiałem mieć jakieś trzy, cztery latka. Pewnego upalnego letniego dnia bawiłem się przed naszym domem w Port - landzie; zachciało mi się pić, więc pobiegłem po wodę. Wpadłem do kuchni i ujrzałem siedzących przy stole mamę i braci, Franka i Gaylena. Był tam jeszcze jakiś obcy. Pamiętam, że miał krótkie brązowawe włosy, jasnoniebieskie oczy nieśmiało się do mnie uśmiechał.

- Kto to jest? - spytałem, pokazując na obcego.

Siedzący przy stole roześmieli się.

To twój brat Gary - powiedziała mama. Musiała zauważyć na mojej twarzy wyraz zakłopotania, który mówił: „Mój brat Gary? A skąd on się wziął?”, gdyż zaraz dodała: - Odgrzebaliśmy go na chwilę, leżał gdzieś koło garażu. Chyba zakopujemy go tam z powrotem.

Znów parsknęli śmiechem.

Gary był przez rok w zakładzie poprawczym, nikt ze mną o tym nie rozmawiał.

Jeszcze po latach myślałem o Garym jako o kimś, kogo pogrzebano na domowym podwórku, a potem odkopano. w 1952 roku rodzice kupili inny dom na przedmieściach Portlandu, ojciec zaś wrócił do wydawania biuletynu. Słowo „przedmieścia” nie jest tu przesadą. Dom przy autostradzie rolniczoprzemysłowej, zwanej Johnson Creek Boulevard, leżał dokładnie na granicy hrabstw Multnomah i Clackamas. Linia podziału biegła przez pokój, w którym sypiałem z trzema starszymi braćmi. Gdy trzeba było podjąć decyzję, do której z pobliskich szkół powinni pójść moi bracia, zjawił się u nas urzędnik hrabstwa. Osobiście zbadał sytuację i uznał, że chłopcy będą chodzili do szkoły na terenie tego hrabstwa, po którego stronie stoi ich łóżko. Tak więc Gary i Frank poszli do gimnazjum w hrabstwie Multnomah, a Gaylen do liceum w Clackamas.

Dom należał do owych zniszczonych przez kaprysy pogody budynków, do których ojciec musiał odczuwać jakiś szczególny sentyment. Jednopiętrowy, kryty ciemnobrązową dachówką, z odstręczającą swym wyglądem fasadą. W pobliżu przycupnęły jeszcze jeden czy dwa podobne domy, a nieco dalej wielkie bloki fabryczne rozpraszały ciemność blaskiem pochodzącym jakby z innego świata. Wzdłuż Johnson Creek poruszały się po torach tramwajowych wiekowe pojazdy, łączące centrum Portlandu ze śródmieściem Oregonu. Tuż za torami były świetne miejsca do pływania i łowienia ryb, a jeszcze dalej rozciągał się duży, gęsty las. Wiezorami zbierała się tam młodzież; mówiono, że w tych gęstych zaroślach popijało się i uprawiało seks. Krążyły też pogłoski, że popełniono tu niegdyś okropne morderstwo, a ponieważ nigdy nie odnaleziono wszystkich części ciała ofiary, można się było obawiać, że poniewierają się one gdzieś pod drzewami.

Po drugiej stronie lasu ciągnął się długi szereg tandetnych domków stanowiących uboższą część sąsiedniego Mil - waukie. Wyżej, w strefie falistych wzgórz, wznosiły się uprzywilejowane rezydencje - ta lepsza część Milwaukie. Na wzgórzu za naszym domem zaczynało się już pobliskie Shacktown, gdzie mieszkwały robotnicze rodziny. Jadąc parę ulic dalej, mijałeś stare, zamożne tereny Eastmorelandu, z najbardziej prestiżową uczelnią stanową, Reed College. Gdyby zakreślić na mapie dwa koncentryczne kręgi: zewnętrzny, bogactwa, i wewnętrzny, biedy - to nasz dom na Johnson Creek znalazłby się w ich punkcie środkowym. W punkcie zerowym tego gorszego kręgu.

To właśnie jest dom moich pierwszych wspomnień. Miejsce, w którym mieszkaliśmy najdłużej jako rodzina, jeszcze przed uwięzieniem i śmiercią. I nienawiścią, jaka zaczęła nas powszechnie otaczać.

Odkąd zamieszkaliśmy w tym nowym miejscu, ojca opętała myśl, że jego synom niezbędna jest żelazna dyscyplina. Być może wyniósł to przekonanie z tych wszystkich lat spędzonych w drodze, gdy byliśmy pozbawieni jakiegokolwiek trwałej ostoji. Tak czy siak, we wszystkim, co robili jego starsi synowie, gotów był teraz upatrywać przejawów samowoli, której nie mógł tolerować. Co więcej, pewne oznaki zuchwałości dostrzegął już nawet u siedmiolatka Gaylena, który utracił przeze mnie pozycję ukochanego syna. Frank Gilmore mógł kochać swoje dzieci tylko dopóty, dopóki nie sprzeciwiały się jego władzy. Gdy zaś uznał, że to się stało, odnosił się do nich jak do swych najgorszych wrogów. To tak, jakby każdy akt synowskiego nieposłuszeństwa traktował jako wypowiedzenie należnej mu miłości, a czegoś takiego jego obolałe serce nie mogło ścierpieć. Jako rosły silny mężczyzna nie pozwalał sobie na to, by znosić odmowę miłości ze strony swych dzieci.

Wszystkie te lata spędzone w drodze nie zmieniły bynajmniej kapryśnego i

wybuchowego charakteru ojca - tak jak poprzednio, nawet najmniejsze wykroczenie czy nieposłuszeństwo zasługiwało na karę - zmieniły się za to znacznie metody wychowawcze. Zamiast dawnych klapsów należało się teraz okrutne lanie, egzekwowane za pomocą paska do ostrzenia brzytwy czy pasa od spodni, a czasami gołą. pięścią. Przy każdym ciosie powtarzał, że dzieci są po to, by kochać swego ojca. Było jednak na odwrót: każdy cios, który sięgał celu, unicestwiał naszą synowską miłość i rodził nienawiść.

- Nigdy czegoś takiego nie przeżyłeś - powiedział mi kiedyś mój brat Frank. - Gdy tato rozgniewał się na kogoś, jego gniew nie znał granic. Nie miał dla nas żadnych względów. Zaraz szedł w ruch pasek do ostrzenia brzytwy. Tato był bezlitosny. Kończyło się zawsze skaleczeniami i siniakami, choć uważał przy tym, żeby nie zostawiać śladów na naszych twarzach czy na odsłoniętych miejscach.

Bicie było więc na porządku dziennym - lania można się było spodziewać w każdej chwili. Przynajmniej raz w tygodniu, póki mama się nie wtrąciła, ojciec tłukł regularnie na przemian Franka i Gary'ego, a najczęściej obu naraz. Powodem kary mogła być najmniejsza błażostka - dajmy na to, któryś z chłopców zapomniał skosić trawę pod drzewem - ale równie często było to podyktowane jakimś kaprysem ojca. Frank dał mi przykład.

- Któregoś dnia, gdy wracaliśmy z Garym ze szkoły, tato zaczął się za drzwiami. Wchodzimy, słyszymy trzask zamykanych drzwi i czujemy na grzbiecie pas od brzytwy. Tato wpadł we wściekłość, bo spóźniliśmy się pięć minut. Wcale nie żartuję: pięć minut. Nie pamiętam nawet, dlaczego się spóźniliśmy, może po prostu zatrzymał nas nauczyciel, a może wstąpiliśmy po drodze do kolegi, naprawdę nie wiem. Pamiętam tylko, jak stał za tymi drzwiami z paskiem w ręku. Nie mieliśmy nawet szansy się wytłumaczyć, gdy spadł na nas grad batów.

Kiedy indziej z biurka ojca znikły jakieś pieniądze. Kazał się zaraz stawić Frankowi i Gary'emu i zapytał, który z nich to zrobił. Frank wiedział, że to Gary zwędził pieniądze, choć był o to zły na brata, nie powiedział nic ojcu.

- Jeśli nie usłyszę odpowiedzi, obaj zasłużycie na lanie - orzekł ojciec z niezachwianą logiką trenera, kaprała czy jakiegoś innego satrapy.

Tym razem skrzył rzemienie, żeby bardzo boleło, i walił synów, póki krew nie przesiąkła przez spodnie. Z każdym uderzeniem wyzywał ich od złodziei.

Frank spytał później ojca, czy dostałby, gdyby wydał Gary'ego.

- Oczywiście, że byś dostał - odparł ojciec. - Nikt nie lubi cholernych donosicieli.

Tego wieczoru Frank się dowiedział, że tak czy owak, musi płacić za czyny swego

brata.

I Kiedy tato chwycił pasek od brzytwy i szedł z nim na nas - opowiadał Frank - nie wypominał, co złego zrobiliśmy, ani nie mówił, jak mamy się poprawić. Wystarczyło, że wyprowadziliśmy go z równowagi. Wpadał w gniew i w ten sposób się mścił. Nie robił tego, by nas o czymś pouczyć, chodziło o to, byśmy się go bali. Właśnie dlatego nas karał: nie po to, byśmy stali się przez to lepsi, lecz po to, byśmy go przepraszaali. Jeśli jednak tak właśnie cię karzą, to jak masz przeprosić za to, co zrobiłeś? Jeśli wykastrujesz chłopca przyłapanego na kradzieży chleba, to czy będzie on odczuwał skruchę z powodu tej kradzieży, krzycząc i płacząc? Nie przyjdzie mu to nawet do głowy. Wcale do niego nie dotrze, co złego zrobił, ponieważ nie został ukarany w sposób, który mógłby go powstrzymać przed kolejną kradzieżą. Nie pomyśli sobie: „No tak, przecież kogoś pozbawiłem tego bochenka chleba”. Pomyśli co innego: „Zostałem ciężko okaleczony z powodu jakiegoś głupiego chleba”. Znienawidzi cię za to. to właśnie ojciec w nas wszczepił: głęboką urazę, ponieważ nawet dziecko zdaje sobie sprawę, że zostało zbyt surowo ukarane za jakiś drobiazg. Gdy spadnie ci coś ze stołu, jesteś gotów wytrzeć podłogę, ale nie jesteś przygotowany na to, że będziesz musiał wylizać ją językiem. I podobnie jeśli się spóźnisz parę minut, wracając ze szkoły.

Frank junior jest obecnie przekonany, że to bicie miało więcej wspólnego z wzajemnymi stosunkami między ojcem matką aniżeli z pragnieniem dyscyplinowania niesfornych dzieci. Frank Gilmore bił synów, dopóki nie wtrąciła się żona. Nadchodziła i dawała mu poznać, że jest zła, że posunął się za daleko i że zaraz będzie miał z nią do czynienia. Mój brat przypominał sobie, że kiedy dostawał lanie, modlił się o to, by matka się zdenerwowała.

- Liczyłem razy. To było siedemnaście lub osiemnaście uderzeń pasem przez plecy, cholerny ból, zanim ruszyła wreszcie dupę z krzesła, przyszła i zaczęła coś mówić. Wydawało mi się nieraz, że między nimi jest tylko agresja. Pośrodku byliśmy ja i Gary, czekaliśmy, aż jedno z nich się nas uczepi, wówczas to drugie będzie mogło coś powiedzieć lub zrobić. To wyglądało tak, jakby wzajemnie próbowali zwrócić na siebie uwagę, a my byliśmy tylko kozłami ofiarnymi.

Frank znalazł w końcu sposób na to, by złagodzić skutki kary. Odkrył, że im bardziej się boi bicia i trzęsie ze strachu, tym mocniej ojciec go wali.

i Jak płakałeś czy wrzeszczałeś - mówił - to tato wiedział, że cię boli, i tym mocniej tłukł. Mogłem więc udawać właśnie tak robiłem. Grzmocił mnie, jak tylko chciał. W rezultacie obrywałem mniej niż Gary, który naprawdę podskakiwał, wył i wrzeszczał. Tato faktycznie mógł się na nim wyżyć. Mógł się naprawdę zapomnieć, zanim wreszcie skończył.



Machał paskiem i machał, a Gary wrzeszczał i lamentował, błagał, żeby przestał, co wywoływało tylko ten efekt, że tato tłukł go coraz mocniej i mocniej.

Podaję, że Frank po prostu wyciszył się emocjonalnie, jakkolwiek koszty psychiczne musiały tu być ogromne. Gary jednak nie potrafił się zamknąć: oburzenie i doznana niesprawiedliwość zalegały kamieniem w jego sercu. Można sądzić, że gdy tylko spotkał w życiu kogoś władczego, wciąż musiał odtwarzać na nowo ów dramat ojcowskiej kary. Po latach, kiedy dostał się do więzienia, dominacja strażników musiała dlań stanowić podobnego rodzaju wyzwanie. Byli to często ludzie bardzo prymitywni i brutalni; powalali Gary'ego na ziemię, bili go i kopali, aż usta miał zbyt obrzmiałe, żeby mówić, a nogi zbyt obolałe, żeby na nich ustać. Wciąż przy tym próbował się poderwać, pluł na swoich oprawców i obrzucał ich najpaskudniejszymi obelgami, jakie tylko przychodziły mu do głowy, wiedząc bardzo dobrze, że w ten sposób ściągają na siebie jedynie nowe razy. Nie przestawał walczyć, choć wiedział, że nie może wygrać.

A potem, gdy mój brat Frank odwiedził go w więzieniu stanowym, w Oregonie, Gary mu powiedział:

- Wiesz, jeśli tak bardzo nienawidzę władzy, to tylko dlatego, że przypomina mi ona tatę. Pomyśleć tylko, te wszystkie bezsensowne uderzenia paskiem, od brzytwy, które mi aplikował stary... Czy ustrzegły mnie one przed kłopotami?

Choć stykałem się później z bezsprzecznymi oznakami ojcowskiej gwałtowności, nigdy nie przeżyłem w całej rozciągłości tego, czego doznawali moi bracia. Prawdę mówiąc, dostałem lanie tylko jeden raz. Powody nie były jasne - co potwierdzałoby opinię Franka, że wynosi się z tego tylko gorycz ukarania, nic więcej. Musiałem pewnie mazać po ścianach albo odszczeknąć niegrzecznie mamie, ojciec zaś uznał, że to wymaga batów. Pamiętam, że rozebrał mnie postawił przed sobą, odpinając równocześnie szeroki pas z czarnej skóry z połyskującą srebrzyście sprzączką. Cały czas mi mówił, na czym będzie polegało bicie i jak okropnie to będzie bolało. Pamiętam, że czułem się jak sparaliżowany; nikt mnie wcześniej nie uderzył i strach przed tym biciem był chyba podobny do strachu przed śmiercią. Mój własny ojciec miał mnie zbić i miało to boleć. Wydawało mi się to przerażające - jak wszystko, o czym nigdy nie pomyśleliśmy, że akurat nam może się przytrafić - a także skrajnie niesprawiedliwe.

Ojciec złożył już pas i ujął go w rękę. Rozsiadł się na krześle, chwycił mnie i ułożył sobie na kolanach. Co było dalej, już nie pamiętam. Wiem tylko, że dostałem lanie płakałem, ale nie jestem w stanie przypomnieć sobie samych uderzeń ani bólu, ani nawet tego, czy naprawdę tak trudno było to wytrzymać. Pamiętam jedynie, że parę chwil później ponownie

przed nim stałem, tym razem w objęciach matki.

- Już dość, Frank. Chyba się zagalopowałeś. Nie musisz z nim tego robić tak jak z innymi.

Stałem tak, patrzyłem na ojca i płacząc, pocierałem obolały goły tyłek. Pamiętam, że naprawdę mnie zabolęła utrata miłości do ojca, fakt, że człowiek, któremu tak ufałem, sprawił mi ból; nigdy czegoś takiego się nie spodziewałem. Ojciec uśmiechał się do mnie, a ten uśmiech miał mi powiedzieć, że jest dumny z tego, co zrobił, że raduje się teraz swą siłą i przepełniającym go poczuciem mocy. Odwróciłem się od niego i powiedziałem:

- Nienawidzę cię.

Wiem, że tylko ten jeden raz mu to powiedziałem, i nie mogę zapomnieć wrażenia, jakie odmalowało się wówczas na jego twarzy. Znikł z niej uśmiech, a zastąpiły go strach świadomość utraty. Położył pas na stole i siedział oklapły, wpatrując się w podłogę, z bezbarwnym wyrazem smutku.

Mama wyprowadziła mnie z pokoju i ubrała.

Już nigdy nie dostałem lania. Po tym incydencie ojciec dotykał mnie tylko z miłością. Jestem przekonany, że jedyny z rodziny zachowałem ten czuły dotyk ojca, i do dziś z tego powodu czuję się winny.

Więc to było pierwsze i ostatnie lanie, jakie dostałem, i to we wczesnym dzieciństwie. Pewnie dlatego kiepsko je pamiętam, że nie obrywałem cięgów co tydzień jak moi bracia. Gdybym był bity tak jak oni, a zwłaszcza jak Gary, którego ból i strach prowokowały tym dzikszymi razy, być może skończyłbym jako człowiek, który przez całe życie przygotowuje się tylko do pociągnięcia za spust. Gdy myślę o tym, co w dzieciństwie i wczesnej młodości musieli każdego tygodnia przechodzić moi bracia, mogę się tylko dziwić, że nie zabili nikogo, gdy byli jeszcze dziećmi.

Kłopoty, jakie sprawiał Gary po naszym powrocie do Salt Lake, nie były niczym nadzwyczajnym.

- Wiele dzieciaków robiło to samo co on - mówił Frank. - Ludzie pamiętają takie rzeczy tylko przez parę godzin, później o nich zapominają. Wiedzą, że z tego się wyrasta.

W Salt Lake mógłby mieć nawet większe kłopoty, tam nikt się tym specjalnie nie przejmował. W Portlandzie nietrudno było napytać sobie biedy.

Na początku lat pięćdziesiątych Portland już od wieku był największym i najbardziej znaczącym miastem stanu Oregon, choć pod wieloma względami skupisko to rządziło się własnymi prawami. Nie miało za sobą takiej historii czy aspiracji jak inne miasta

Zachodniego Wybrzeża - Seattle, San Francisco czy Los Angeles; przeciwnie, z samego założenia potępiało takie ambicje. Odznaczało się pewnym konserwatyzmem, który zachował się jeszcze z okresu, gdy pierwsi osadnicy z Nowej Anglii szukali dla siebie miejsca będącego oazą dobrych manier i wygód wśród awanturniczych elementów Północnego Zachodu. Taka pełna samozadowolenia postawa przetrwała w Portlandzie kilka pokoleń, miasto było więc dość sztywne i zasklepięte w sobie. Oczywiście nieprzygotowane na napływ ludności i związane z nim zmiany kulturowe, jakie nastąpiły po zakończeniu drugiej wojny światowej. W czasie gdyśmy tu osiedli, wygląd i mentalność Portlandu były jeszcze w znacznej mierze przedwojenne i czuło się, że miasto nie ma najmniejszej ochoty zmieniać swych drobiazgowych przyzwyczajeń.

Niezbędna jest tu pewna uwaga. Powojenne poczucie luzu i nowa populacja musiały doprowadzić do przejściowego zachwiania wiktoriańskiej fasady miasta. Za dnia śródmieście Portlandu zachowywało jeszcze tradycyjne zwyczaje dzielnicy handlowej, jakkolwiek wiele amerykańskich centrów miejskich traciło znaczenie na rzecz odległych przedmieść. Po zmroku jednak charakter Portlandu ulegał zmianie. Wzdłuż Broadwayu działało mnóstwo ruchliwych barów i restauracji, a wiele z nich było otwarte przez całą noc. W miejscach tych kwitło intrygujące życie towarzyskie, z udziałem tutejszych bogaczy, bohemy artystycznej i barwnej domieszki typów kryminalnych. Całonocne oazy handlowe mogłeś też znaleźć poza Broadwayem, bliżej rzeki Willamette, o ile naturalnie wiedziałeś, jak tam trafić. Funkcjonowały tam całodobowe kina, gdzie oglądanie filmów było ostatnią rzeczą, jaka komukolwiek przyszlaby do głowy. Męskie prostytutki obsługiwały w nich stałą klientelę, oferując za parę dolców seks oralny lub robótki ręczne. Co odważniejszym bywalcom sprzedawało się marihuanę lub twardsze specjały. Działały tu także całonocne jaskinie hazardu i zatłoczone burdele, które nie wstydziły się obsługiwać nastolatków. Chyba i ja znałem ten Portland. Były to wówczas dość paskudne spelunki, z których z czasem powstało nudne i poślednie centrum.

Policjanci dobrze znali wszystkie te nory i tolerowali je, póki odpalały im dołą. Nie popełniano tu jakichś grubszych zorganizowanych przestępstw, nie było wojny rywalizujących ze sobą gangów. Inicjowane przez gazety kampanie moralności położyły w końcu kres nocnemu życiu miasta. Pozamykano nocne bary, domy publiczne musiały się przenieść na północnozachodnie rubieże miasta, a kina całodobowe stały się tanimi sypialniami dla pijaków i przygodnych klientów. Zaczęła też rosnać liczba zabójstw. Krótko mówiąc, Portland upodobił się do wielu innych miast amerykańskiego Zachodu: takich gotowych na wszystko skupisk średniej wielkości, nieźle funkcjonujących pod osłoną nocy, w

przekonaniu, że nie narusza to przyzwoitości amerykańskiego modelu życia rodzinnego.

Wczesne lata pięćdziesiąte były też okresem wzrostu przestępczości nieletnich; pod terminem tym kryły się frustracja i przemoc, szerzące się wśród amerykańskiej młodzieży. Znaczną rolę w narastającym buncie młodych odegrała w połowie dekady przygoda z rock and roilem, stawiająca na głowie amerykańską kulturę popularną; nie była ona jeszcze gotowa na przyjęcie takich zmian. W tej właśnie epoce dorastali moi starsi bracia. Zwłaszcza Gary i Gaylen radośnie wchłaniali ten bunt i próbowali go przenieść do domu. Formowali sobie wypomadowane fryzury i grali płyty Elvisa Presleya i Fatsa Domino. Nosili złachane motocyklowe kurtki i wzmocnione buty. Palili papierosy, popijali tego z gwinta i pili syrop od kaszlu, wagarowali i rzucali szkołę, włączyli się wieczorami z dziewczynami w obcisłych sweterkach, pędzili w podhajcowanych wozach po bezdrożach Portlandu i zabawiali się całą paczką w podejrzanych podmiejskich spelunach. Większość czasu spędzali na wypatrywaniu okazji do zrobienia czegoś zakazanego. Utrwalone przez tradycję życie gangsterów i zabójców stanowiło dla nich atrakcyjny wzorzec i trzeba przyznać, że ich wyskoki stawały się coraz bardziej niebezpieczne i groźne.

Z czasem zapragnąłem mieć swój udział w nocnych eskapadach braci, dzielić ich radości i przyjaźnie. Pamiętam też, że budzili strach. Wyglądali naprawdę groźnie - jakby już byli ponad miłość, jakby musieli ranić i zabijać życie wokół siebie.

Dla Gary'ego nie kończyło się to wcale na odosobnionych młodzieńczych ekscesach. Wrażliwość zasklepiła się w nim niczym u zwierzęcia zamarzonego w lodach przed wiekami. Jego ideał zła ukształtował się właśnie wtedy i odtąd pozostał już dla niego drogowskazem życiowym.

Jak wspominałem, wciąż próbuję odnaleźć w tej opowieści ów punkt krytyczny, gdzie wszystko zaczęło się przechylać w złą stronę, moment, w którym rozpoczęła się destrukcja mojej rodziny, a zwłaszcza Gary'ego. Według mamy ten niszczycielski zwrot w jego życiu nastąpił w trakcie naszego krótkiego pobytu w Salt Lake; także mój brat Frank sądzi, iż decydujące zmiany w charakterze Gary'ego zaszły właśnie wtedy. Ja zaś uważam, że takim punktem zwrotnym było bicie, choć dopuszczam też inną, prostszą i może bardziej przerażającą możliwość: zły los Gary'ego rozstrzygnął się w tej chwili, gdy moi rodzice go poczęli.

On sam miał własny punkt widzenia na tę sprawę. Wiąże się to z pewnym dziwnym wypadkiem, jaki się zdarzył w pierwszym roku naszego pobytu na Johnson Creek. Gdy życie mojego brata dobiegało już kresu, Larry Schiller zapytał go za pośrednictwem adwokatów:

- Czy było jakieś zdarzenie we wczesnym okresie życia, które wspominasz dziś

jako decydujące o kształcie twego przyszłego losu?

Gary opowiedział mu o tym, jak mając jakieś dwanaście, trzynaście lat, wracał ze szkoły parafialnej do domu i chciał sobie skrócić drogę. Zszedł z Czterdziestej Piątej Alei, długiej i krętej drogi łączącej Johnson Creek z ulicą, przy której była szkoła, i ruszył prosto przez szczyt wzgórza, którego stok opadał zaledwie ulicę od naszego domu. Gdy Gary schodził już w dół, natknął się na zwarty gąszcz kłujących krzewów, obsypanych mnóstwem dorodnych jeżyn. Widziane ze szczytu wzgórza, zarośla nie wydawały się zbyt wielką przeszkodą, gdy jednak się w nie zanurzył, stwierdził, że wcale nie są takie małe. Rosły tam od lat i zdążyły uformować ciernisty żywopłot, który ciągnął się wzdłuż stoku jakieś trzydzieści stóp od wierzchołka. Im niżej Gary schodził, tym gęstsze stawały się te zarośla, a jak zauważył, nie prowadziła przez nie żadna ścieżka.

Na początku mógł jeszcze zawrócić, ale postanowił iść dalej. Po półtorej godzinie zorientował się, że beznadziejnie utknął w jeżynach w połowie drogi. Pomyślał: może by krzyknąć, ale nikogo tam nie było. Zdecydował więc, że pójdzie dalej i przedrze się przez te splątane jeżyny albo padnie tu trupem. Po paru godzinach udało mu się przejść, cały był w cierniach i spływał krwią.

- Spóźniłem się do domu trzy godziny - powiedział Schillerowi - a mama na to: no cóż, spóźniłeś się, ja zaś: tak, poszedłem na skróty.

Gdy Schiller wspomniał później o tym zdarzeniu mojej matce, spytała:

- I to miałoby zmienić bieg jego życia? Tylko dlatego, że sobie pomyślał, że skoro już tam wszedł, to pójdzie dalej?

Oto chodzi? Niebezpieczne było nie tylko to, że coś takiego zrobił, ale i to, że w ogóle o tym pomyślał.

Sam Gary wyjaśnił Schillerowi, że historia ta mówi o dojściu do takiego punktu, od którego człowiek przestaje się już bać.

- Dało mi to poczucie czegoś w rodzaju pokonania samego siebie - powiedział.

Mój brat odkrył jednak tylko połowę prawdy, niezależnie od tego, czy zdawał sobie z tego sprawę, czy nie. Mówiąc o pokonywaniu samego siebie, miał na myśli zdolność przewyciężenia własnego strachu, ale nie wierzę, że coś takiego jest w ogóle możliwe. W ostatnim tygodniu jego życia codziennie patrzyłem mu w twarz. Wiedziałem, jak to jest, kiedy się patrzy w te oczy, ponieważ patrzyłem w nie codziennie przez całe życie, stojąc przed lustrem. Bo były to moje oczy. I nigdy nie znikало z nich poczucie strachu, ani na chwilę, nawet wtedy, gdy terroryzowały innych.

Tak naprawdę Gary mówił nie tyle o pokonywaniu własnego strachu, ile o uczeniu się,

jak zabijać czy wyciszać tę część samego siebie, która potrzebuje wypłakać strach lub ból. Gdy Gary pokonał siebie w ten właśnie sposób, znalazł w sobie moc, by zniszczyć swoje życie i zgasić wszelkie inne życie, które mogłoby stanąć na drodze do tego celu.

Kiedy ostatnio byłem w Oregonie, odwiedziłem Johnson Creek Boulevard i mogłem się przekonać, jak bardzo ten teren się zmienił. Nic prawie nie zostało z naszego dawnego sąsiedztwa. Obskurnego brunatnego domu, w którym mieszkaliśmy, dawno już nie było, podobnie jak tych wszystkich innych obskurnych domów w pobliżu. Zostały rozebrane, a na ich miejsce weszła rozrastająca się zabudowa przemysłowa. No i dobrze, że tak się stało. Johnson Creek nie był nigdy niczym więcej niż splechciem ziemi na pustkowiu. Teraz jest tam po prostu inna nędzna droga na rubieżach miasta, którą pokonuje się możliwie szybko, zmierzając z jednego pustego miejsca do drugiego. Chyba jedyną rzeczą, która przetrwała z tamtych czasów, jest ten pas jeżynowych krzewów porastających wzgórze nad Johnson Creek. Wyglądają równie staro i złowieszco jak czterdzieści lat temu i nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek ośmielił się je stamtąd usunąć.

Stoją tam wciąż, nędzna pamiątka chwili, w której pewien chłopiec ujrzał w ich gąszczu bieg własnego losu, uświadamiając sobie, że choćby nic wiedzieć jak wrzeszczał, nic go nie zbawi przed strachem, jaki odczuwa.

Po zakończeniu nauki w miejscowej szkole katolickiej, co odpowiadało kursowi szkoły podstawowej, moi bracia przenieśli się do Szkoły Powszechnej Josepha Lane'a w Portlandzie, gdzie nauka odbywała się na poziomie niższych lat gimnazjum. Wielu chłopców z tych samych klas, do których chodzili moi bracia, stało się zabójcami lub ofiarami zabójstw. Taka to była szkoła, takie miejsce.

- Niemal wszyscy tu chodzili do Josepha Lane'a - mówił Tom Lyden, emerytowany nauczyciel, jeden z tych, którzy niegdyś uczyli moich braci. Wtedy, w 1952 roku, był młodym mężczyzną świeżo po ślubie i próbował czegoś nauczyć te trudne dzieciaki. - Mieliśmy w szkole dziewięciuset uczniów powiedział mi pewnego razu przy kolacji, którą jedliśmy w pobliżu tej starej szkoły - i jak daleko sięgam pamięcią, tylko jedna rodzina, która oddała tu dzieci, należała do warstwy inteligenckiej, to znaczy głową tej rodziny był lekarz czy prawnik, w każdym razie człowiek z wyższym wykształceniem. Olbrzymia większość naszych uczniów rekrutowała się z klasy robotniczej, ich rodziny pracowały w miejscowych stoczniach. Nic dziwnego, że Joseph Lane uchodził za jedną z dwóch najtrudniejszych pod względem wychowawczym szkół w Portlandzie. Całe to środowisko było robotnicze. Uczniowie byli dziećmi robotników i nauczyciele też byli dziećmi robotników. Owszem, zdarzało się, że przetrzepaliśmy czasem kogoś z podopiecznych, ale nie sądzę, byśmy

nadużywali przemocy.

Lyden wręczył mi fotografię, którą zrobił chłopcom w ich pierwszym roku nauki w Szkole Josepha Lane'a. Gary z odchyloną głową stoi w samym środku grupy, wzrok ma skupiony na czymś innym niż reszta kolegów, pada nań światło flesza odbite od okna za jego plecami.

- Dobrze mu z tą aureolą nad głową - mówi z uśmiechem Lyden. Po chwili dodaje: - Na początku Gary wyglądał mi na spokojnego chłopca. Miał piękne pismo i wyraźne zdolności artystyczne. Zdawało się, że nauka przychodzi mu łatwo. Ale potem zaczął sprawiać kłopoty i stał się jednym z najbardziej destrukcyjnych uczniów, jakich miałem. Zachował wrodzoną inteligencję i zdolności, ale jakby odmawiał dalszego ich rozwoju. Złościłem się na niego bardziej niż na innych jego kolegów. Ilekroć się odwracałem, robił wszystko, żeby za moimi plecami wywołać kompletny zamęt.

Brat Frank dobrze pamięta niesforne zachowanie Gary'ego - go. Miał z tym przecież do czynienia na co dzień.

- Gary prowadził nieustanną walkę - mówił. - Nie uczył się. Przychodził do szkoły w skórzanych butach i kurtce, włosy nosił jak Marlon Brando. Siadał i zasypiał w kJasie. Nieraz, gdy byliśmy w różnych salach, słyszałem jakieś odgłosy na korytarzu i od razu wiedziałem, co to znaczy. Nauczyciel wywalał kogoś z klasy. Mogłem być w innym pomieszczeniu, lecz i tak wiedziałem, że to musiał być Gary. Zawsze robił jakieś numery. Spał albo coś pokazywał za plecami nauczyciela, mówił mu, żeby przestał bredzić, lub wyczyniał jeszcze coś innego. Nie dbał o nic. Dostawał gorsze stopnie, niż powinien. Myślał, że to dowcipne. Nie miał żadnego powodu, żeby tak robić, był przecież bystrym chłopakiem. Mógł otrzymywać najlepsze oceny. Cholernie mnie upokarzał w tym Josephie Lanie. Osiągnąłem już wiek, w którym człowiekowi zależy na tym, żeby nie dać strugać z siebie kompletnego wała, a on wciąż to robił.

Pewnego dnia - ciągnął Frank - Gary i paru innych szkolnych twardzieli rozebrali jakiegoś chłopca na dziedzińcu. Przytrzymali go, zdarli z niego majtki i spodnie i wywiesili je na maszcie flagowym. Nie widziałem, co się dzieje - gdybym widział, mógłbym wdać się z nim w bitkę, próbować go jakoś zatrzymać. Tymczasem wieści rozeszły się już w całej szkole. Gary zrobił to tylko dla kawału, bez żadnego innego powodu. Widziałem, że kształtuje się w nim jakiś rys okrucieństwa. To nie był żaden dowcip. Ten chłopak nikomu nie wadził. Byłem z nim w dobrej komitywie. Parę lat temu spotkałem go na ulicy. Zapytał mnie, czy pamiętam tamten incydent. Mogłem się przekonać, że uczynek Gary'ego odcisnął na nim jakieś piętno, i czułem się zakłopotany, że mój brat wtedy to zrobił.

Gdy Gary przebrał kiedyś miarkę, Lyden uderzył go albo zagroził, że uderzy.

- Rzeczy między nami zaszyły już zbyt daleko - stwierdził. - Nadszedł taki moment, że trzeba było dzieciakowi powiedzieć: „Masz, czego chciałeś - oto skutki twego postępowania”.

Owpół do dwunastej w nocy zadzwonił do Lydena mój ojciec. Był wściekły. „Kiedy przyjdiesz jutro do szkoły - powiedział nauczycielowi - rozwalę ci ten cholerny łeb”.

- Zdziwiłem się - wspominał Lyden - bo kiedy nazajutrz zjawiłem się w szkole, nikt nawet nie próbował mnie straszyć.

Frank Gilmore nie spełnił pogroźki, przesłał tylko nauczycielowi ostrzeżenie: „Żebyś mi już nigdy nie tknął mego syna. Jeśli to zrobisz, będziesz miał ze mną do czynienia”.

Lyden przerwał opowieść i znów spojrzał na zdjęcie swojej dawnej klasy.

- Pamiętam., że zawsze czułem się winny, gdy szło o twego brata Franka, ale nigdy nie miałem poczucia winy w stosunku do Gary’ego. Pewnego wieczoru wracałem z żoną po szkolnym balu i zobaczyłem Franka idącego po ciemku do domu. Pomyślałem wówczas: „Jeśli są tak blisko z Garym, dlaczego nie wracają razem?” Tego wieczoru Frank szedł sam, ze zwieszoną głową i opuszczonymi ramionami. Wyglądał, jakby zważyło mu się na barki brzemień całego świata, a był przecież tylko dzieckiem. Pomyślałem sobie: „On nigdy nie zwraca na siebie uwagi”. Całą uwagę zawsze skupiał na sobie Gary. Nie było to może zainteresowanie pozytywne, ale w końcu zainteresowanie.

Po wielu latach, gdy Gary stał przed plutonem egzekucyjnym w Utah, a w gazetach całego kraju pełno było nagłówek z jego nazwiskiem, Tom tyden śledził te wydarzenia jak nikt inny. W dniu, w którym rozstrzelano mego brata, odczuł szczególny ból. Niezależnie od czynu, jaki Gary popełnił, nie mógł patrzeć, jak zbliża się koniec. Tego samego dnia miał telefon od Larry’ego Schillera z Provo. Schiller chciał porozmawiać z kimś, kto mógłby mu powiedzieć coś o tym, jaki był Gary w okresie dzieciństwa. Nauczyciela zaskoczyło, że ten w ogóle go pamiętał, ale to, czego się dowiedział od Schillera, zupełnie nim wstrząsnęło: Gary powiedział Schillerowi i swoim obrońcom, że Tom Lyden był tym nauczycielem, którego najbardziej poważał i cenił. Istotnie, wymieniał Lydena jako jednego z tych kilku ludzi, którzy wyciągnęli do niego rękę, tyle że sądził, iż był wobec nauczyciela zbyt krnąbrny i Lyden się na nim zawiódł.

- Byłem wówczas, w 1977 roku, dyrektorem Rose City Park School w Portlandzie i mieliśmy tam ucznia, który stwarzał nam prawdziwe kłopoty, odczuwalne dla całej szkoły. Chciałem, żeby dwaj nauczyciele starali się więcej pomagać temu chłopcu, lecz oni woleli mieć to z głowy, potraktować rzecz formalnie i przekazać go władzom. Nazajutrz



po telefonie od pana Schillera mieliśmy zebranie ciała pedagogicznego w sprawie tego ucznia. Zdecydowałem się podzielić tamtą historią z nauczycielami. Powiedziałem: „Wczoraj miałem rozmowę telefoniczną w sprawie Gary’ego Gilmore’a. Gary mówił komuś, że miał w ósmej klasie takiego nauczyciela, który wyciągnął ku niemu pomocną dłoń, ale nie mógł mu pomóc. Dodał też, że ten nauczyciel chyba sam nie miał zbyt lekkiego życia. To ja byłem tym nauczycielem. Więc jak, jesteście gotowi pomóc temu chłopakowi?” Usłyszawszy taką przemowę, stanęli na głowie, żeby to zrobić. Po latach wciąż pamiętam lekcję, jakiej udzielił mi Gary. Zawsze powtarzam nauczycielom: „Podejmijcie wszelkie możliwe wysiłki, a potem zróbcie jeszcze jeden. Gdyby to było wasze dziecko, chcielibyście, żeby ludzie udzielili mu pomocy”.

Wiele razy oglądałem uważnie to zdjęcie Gary’ego, które otrzymałem od Toma Lydena. Żaden inny wizerunek mego brata nie poruszył tak boleśnie mego serca i nie zbliżył mnie do niego tak jak ten. Udało się tu uchwycić jedną z tych paru chwil w życiu Gary’ego, kiedy mogłbym się z nim identyfikować; równie dobrze sam mogłbym się znaleźć na tym zdjęciu. Uderzyło mnie przede wszystkim to, że twarz Gary’ego jest tu niemal identyczna z twarzą, jaką miałem w tym samym wieku. Gary nie uśmiecha się na zdjęciu, nie sprawia wrażenia, jakby był razem z innymi; przez wszystkie te lata, kiedy chodziłem do szkoły, zachowywałem się podobnie. Jego postawa, sposób, w jaki odwraca się od reszty kolegów, w jaki patrzy na coś, co znajduje się poza kadrem, a co najwidoczniej pochłania jego uwagę w większym stopniu niż to, na co patrzą koledzy - wszystko to mówi, że był chłopcem, który musiał czuć trochę inaczej niż pozostali i dążyć ku innym wartościom. Oczywiście jakaś część tego była pozą. Gary pragnął, by go szanowano, ale nie chciał przy tym uchodzić za jakiegoś sztywniaka czy nudziarza. Już wolał, żeby się go bano - może dlatego, że tylko dzięki temu mógł się wreszcie poczuć kimś bardziej równoprawnym. Tak długo się bał i tak długo był tyranizowany, że chciał innym, odplacić tym, czego sam doświadczał.

Patrzę na to zdjęcie i czuję smutek i gniew. Nigdy, przez całe życie, nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie znalazł się ktoś, kto zaproponowałby temu dziecku inne wartości oprócz wzdargy i różgi. Gary był chłopakiem rozgarniętym jak na czas i miejsce, które nie wymagały od niego inteligencji. Był na tyle bystry i dzielny, by się przeciw temu zbuntować - a olać to wszystko, tak jak jego olewano! - ale świat wokół niego nie tolerował takiego buntu. Świat widział w tym jedynie akt nieposłuszeństwa, gotów był zniszczyć tego ducha przekory, wziąć na nim odwet. Więc gdy patrzę na to zdjęcie, widzę chłopca, któremu wyrządzono krzywdę. Lub inaczej: widzę przed sobą twarz upadłego anioła, który odwraca wzrok od tej łatwej pewności, jaką wykazują pozostali, i na całe życie wkłada maskę diabła. w wiosenne

wieczory po szkole, gdy dnia coraz bardziej przybywało, Gary i jego koledzy włóczyli się po lesie za Johnson Creek. Brali ze sobą dziewczyny, które chowały się w gąszczu, oni zaś podkradali się do nich z butelką piwa czy flaszką whisky. Gary miał mały aparat fotograficzny, który zwędził ojcu, i wszędzie, gdzie tylko mógł, rozповідаł, że dziewczyny pozowały mu do aktów. Za parę dni mógłby przynieść te zdjęcia do szkoły.

- W tamtych czasach to była wielka rzecz - wspominał Frank. - Większość chłopców nie miała nawet czegoś takiego w rękach. Gary zachowywał się jak dwudziestoletni mężczyzna. Cieszył się uznaniem wśród kolegów, zupełnie jakby ich wyprzedzał o sto punktów w grze.

Nieco głębiej w lesie wznosił się stary most belkowy nad zagłębieniem potoku, gdzie można się było kąpać. Po paru drinkach Gary wspinał się nieraz po dźwigarach tego mostu i czekał, aż ukaże się pociąg. Stawał na środku torów i dopiero gdy pociąg wjeżdżał na most, zaczynał biec w kierunku drugiego brzegu, zeskakując dosłownie w ostatniej chwili, kiedy pociąg był już niemal po tamtej stronie. Robił to często i lokomotywa już parę razy gwizdała na niego z bardzo bliska. Fama o tych zuchwałych popisach rozeszła się po szkole i dzieciaki pod wieczór gromadziły się przy moście, żeby zobaczyć wyścig Gary'ego z pociągiem. Nikt nie zaryzykował powtórzenia tego wyczynu. Niektórzy podziwiali nonszalancję Gary'ego, ale inni odsuwali się od niego po takim pokazie. Wiedzieli, że ktoś, kto nie boi się rozpędzonego pociągu, może być zbyt niebezpieczny, żeby się z nim zadawać.

Któregoś dnia Frank wybrał się popatrzeć, jak jego brat ściga się z pociągiem, i gdy zobaczył, jak blisko Gary dopuszcza do siebie pędzącą lokomotywę, był przerażony.

- Próbowałem przemówić mu do rozumu - wspominał.

- Nie chciałem patrzeć, jak zginie. Popisywanie się, tak, ale to było samobójstwo.

Gary nadal ścigał się z pociągami. W końcu Frank poszedł z tym do matki.

- Nie chciałem być skarżypytą, ale bałem się, że Gary się zabije, więc poprosiłem ją, by z nim porozmawiała. Powiedziałem, żeby nic nie mówiła tacie, bo on miał tylko ten swój pasek do brzytwy i od razu by zrobił z igły widły, a po co sprawę komplikować?

Bessie wymogła w końcu na Garym, że ten przyrzekł jej i bratu, iż nie będzie się więcej ścigał z pociągami. Ale ja gotów byłbym się założyć, że nadal czekał na pociągi na moście, zniewolony przez swą nihilistyczną wyobraźnię.

Jeśli byłeś wówczas nastolatkiem w Portlandzie i chciałeś się wykazać twardością i lekceważeniem prawa, to pozostawało tylko przyłączyć się do Broadway Gangu, nic innego.

Stanowił on połączenie gangu ulicznego z klubem samochodowym; broadwayowcy - a wszyscy byli dobrze znani - chodzili w ekstrawaganckich meksykańskich ciuchach i przebywali do późna w noc na głównej ulicy Portlandu, przed restauracją zwaną „Jolly Joan’s”. Choć zdarzało się czasem niektórym członkom gangu ukraść wóz, sprzedać narkotyki czy iść na kurwy, działania broadwayowców były bardziej nastawione na pokaz niż rzeczywiście niebezpieczne.

- To tylko drobne uliczne pętaki - powiedział mi jeden z przyjaciół Gary’ego. - Odstawiali piekielną jazdę do śródmieścia, no wiesz, szastali się jak to pętaki. Każdy z nich mógł ci błysnąć w oczy majchrem. Ale nigdy nie słyszałem, by któryś z broadwayowców użył tego majchra jak należy.

Gary bardzo chciał się przyłączyć do gangu. Może znał tam kogoś, trudno dziś dociec. Tak czy siak, już samo gadanie o tym, że ma zamiar do nich przystąpić, umacniało jego buntowniczą pozycję w oczach rówieśników. Po szkole, kiedy chłopcy spotykali się w kąpielisku pod mostem i popijali piwo, moj brat przechwalał się, iż wie, że broadwayowcy potrzebują broni. Gdyby tak dostarczył im parę sztuk, mówił, mógłby do nich wstąpić.

Przejrzał parę gazet, w których spekulowano na temat szlaku dostaw, i wytypował sobie domy, skąd mógłby wykraść broń. Nauczył się dyskretnie je obserwować, żeby wiedzieć, o jakich porach wchodzą i wychodzą mieszkańcy, kiedy jedzą obiad i kiedy mają wolne. To właśnie wtedy - miał wówczas dwanaście, trzynaście lat - zaczął się włamywać do domów. Upatrywał sobie jakieś niedomknięte lub łatwe do podważenia okno, otwierał je i wślizgiwał się do środka. Podniecały go zwłaszcza te pierwsze chwile, gdy stał w ciszy i ciemności w czyimś domu, upojony mocą intruza, któremu udało się wdrzeć w cudzy świat. Szybko się nauczył, że włamanie do domów to dobra droga do poznawania sekretów innych - trzeba wiedzieć, gdzie trzymają gotówkę, kompromitujące materiały czy zdjęcia, jaki rozmiar stanika nosi blond piękność w klasie, czy jej rodzice to pijacy, czy religijne oszołomy, a może jedno i drugie. Nauczył się wyczuwać intymne sekrety ich bielizny, poznał smak ich trunków, pornografię noszoną po kieszeniach. Jednak, ku swemu rozczarowaniu, nigdy nie znalazł w tych domach żadnej broni. W tamtych czasach większość Amerykanów jeszcze się nie zbroiła, jeszcze się tak nie bano świata na zewnątrz.

Gary miał jakieś podstawy, by zdobyć pewność, że w domu na rogu naszej ulicy, tuż obok małego sklepiku spożywczego, znajduje się kolekcja broni zmagazynowana w kufrze w garażu. Namówił swego przyjaciela, Dana; pewnej nocy włamali się do garażu i ukręcili kłódkę przy kufrze. Nie znaleźli broni, ale mieszkająca w tym domu rodzina zorientowała się, że włamywaczem był Gary, i podzieliła się swymi podejrzeniami z policją. Sąsiedzi podnieśli

raban, ale ponieważ nic nie zginęło i niczego nie dało się dowieść, sąd dla młodocianych wypuścił Gary'ego z ostrzeżeniem: wiedzą, że zarabia na złą reputację, i odtąd będą go mieli na oku.

W 1954 roku, któregoś wieczoru tuż przed Halloween, Gary czekał na tramwaj do domu na pętli w śródmieściu Portlandu. Było stamtąd blisko do Skidrow, dzielnicy nędzarzy. Tramwaj miał za godzinę, czasu zostało więc sporo - na tyle, by dobrze obejrzeć witryny sklepowe w pobliżu. Niedaleko przystanku był lombard; na jego wystawie znajdowało się mnóstwo karabinów kalibru 22, wśród nich winchester półautomat, który wpadł mu w oko. Piękna broń, nie ma co, choć cena znacznie przekraczała możliwości Gary'ego. Ulica była cicha, odludna. Pustkowie, ani śladu obecności człowieka. Podeszedł do jakiegoś opuszczonego budynku, pogrzebał w ruinach, wrócił stamtąd z cegłą i cisnął nią w okno wystawy. Nie włączył się żaden alarm, nikt nie zareagował. Gary wspiął się, chwycił upatrzonego winchestera, wziął jeszcze torbę papierową z kilkoma kartonami naboju. Skaleczył sobie dłoń, wchodząc przez okno, lecz nawet o tym nie pomyślał.

Znalazł w sklepie jakąś gazetę. Rozmontował broń, która rozkładała się na dwie części, owinał ją w gazetę i wepchnął do dużej torby ze sklepu. Wyglądało, jakby miał w niej rzeczy z pralni albo jakieś artykuły spożywcze. Poczekał na tramwaj i przewiózł broń i naboje na Johnson Creek. Tam zagłębił się w las i ukrył strzelbę z amunicją w miejscu, gdzie często przechowywał inne przedmioty wykradzione z sąsiednich domów lub ze sklepów. Nie mógł zabrać strzelby do domu, ojciec mógłby ją znaleźć.

Nazajutrz Gary powiedział o strzelbie Frankowi i paru swoim kumplom, Danowi i jeszcze Charliemu i Jimowi. Franka specjalnie to nie obeszło, nie chciał nawet oglądać, strzelby. Co innego pozostali. Któregoś wieczoru, gdy niebo nad Oregonem przeszło z koloru indygo w głęboką czerń, Gary spotkał się z kumplami w kąpielisku i pokazał im karabin. Udali się małą grupką przez las, a potem przeszli torami do przystanku tramwajowego na Johnson Creek, usytuowanego jakieś dwieście metrów od naszego domu. Była to trójstronna drewniana konstrukcja z wiatą i wiszącą lampą. Gary położył się na torach, kumple stali nad nim. Celował w lampę przez boczne okno budyneczku. Pociągnął za spust i lampa wybuchła z trzaskiem. Jakaś kobieta wybiegła z przystanku ile sił w nogach. Gary strzelił w jej stronę, pokładając się ze śmiechu.

Po paru tygodniach spotkali się przy kąpielisku; Gary celował do blaszanych puszek i papierowej tarczy. Był dobrym strzelcem. Lecz trzymanie swego skarbu w tajemnicy już go trochę znużyło. Tamtego popołudnia, siedząc z Char - liem i Jimem, wpatrywał się w swój karabin. Coś go korciło, by ich wypróbować; nie mógł dłużej czekać. Powiedział:

- Słuchajcie, gdybym rzucił tego gnata do rzeki, to czy któryś z was miałby dość jaj, by ruszyć dupę i zanurkować po niego?

- A coś myślał, do cholery! - odparł Charlie. - Rzuć go, już!

Gary mógł im odpowiedzieć, że tylko żartował, ale ujął karabin za lufę, zamachnął się i cisnął go do rzeki. Broń wpadła w wodę dwa metry od brzegu, tuż obok sterczącej ostrej skały. Dwaj kumple Gary'ego wpatrywali się w to miejsce. Byli zdumieni tym, że Gary ot tak sobie rzucił karabin, do którego był przecież bardzo przywiązany.

- No, dalej! - podpuszczał Gary. - Ten z was dostanie strzelbę, który po nią skoczy.

Jim zanurkował tam, gdzie zniknął karabin, ale nadział się kolaniem na ostrą skałę. Rozdarł sobie głęboko nogę i z pomocą Charliego wydostał się na brzeg. Gary śmiał się, aż mu głowa podskakiwała. Jakby to było zabawne. W końcu nikt nie wydobył tego winchestera. Wciąż tam leży pod ostrą skałą, na dnie kąpieliska za Johnson Creek.

Przyjaźń z Charliem i Jimem nie utrzymała się długo. Kilka tygodni później moi rodzice urządzili w domu przyjęcie na czternaste urodziny Gary'ego. Zaprosił tylko ich dwóch. Przyjaciele mieli w prezencie urodzinowym zafundować Gary'emu kino. Kiedy jednak byli już w pół drogi do kina, powiedzieli mu, że tylko tak żartowali, sami sobie pójdą, niby dlaczego mieliby tracić na niego pieniądze? Pobiegli i zostawili go u wylotu Czterdziestej Piątej, gdzie mógł się do woli przyglądać gąszczowi jeżyn, przez który przedzierał się parę miesięcy temu. Jak niepyszny wrócił do domu. Kiedy stanął w drzwiach kuchni, mama spytała, co się stało.

- Póki żyję, nie będę już obchodził żadnych pieprzonych urodzin - wyjaśnił i udał się do sypialni.

Parę dni później Gary, Charlie i Jim bawili się w domu rodziców Jima. Urządzali sobie zapasy w starej przyczepie kempingowej na podwórku, które służyło im za plac zabaw. Gary nauczył się w szkole kilku nowych chwytów i chciał im pokazać jeden taki manewr. Poprosił Jima:

- Załóż mi pełnego nelsona, a ja ci pokażę, jak szybko się wyswobodzę.

Sztuczka jednak nie wyszła i Jim nie popuścił chwytu

- Dobra, puszczaj - poprosił Gary, ale Jim zacisnął tylko ręce jeszcze mocniej, jakby naprawdę chciał mu dać nauczkę. Gary wpadł we wściekłość. Wywinął się Jimowi i za chwilę znalazł się na nim. Zacisnął mu dłonie na gardle, dusząc go i waląc jego głową o ziemię. Jim zemdłał, a Gary dalej bił go po twarzy. Charlie stał obok, przyglądając się tej scenie, póki nie uznał, że zaszło już za daleko, i nie pobiegł do domu, wołając o pomoc.

Nadbiegł ojciec Jima, wielki facet zwany Koziółkiem. Uniósł Gary'ego jedną ręką za kark i trzymając go tak w powietrzu, dokładał mu drugą pięścią. Gary dolewał jeszcze oliwy do ognia, krzycząc, żeby walił mocniej. Koziółek nie dał się sprowokować i poszedł ratować syna, który dławił się i krwawił, walcząc o oddech. Dostał od Gary'ego tęgie lanie. Ojciec spytał Jima, czy chciałby dokończyć walkę na podwórku, ale ten schował się tylko za jego plecami. Gary nie odezwał się słowem, widać było, że jest gotów do dalszej walki.

Koziółkowi wcale się nie spodobało, że jego syn tak szybko ustąpił pola. Powiedział Gary'emu:

- Zmykaj i nie pokazuj się tu więcej.

Gary w milczeniu wsiadł na rower i odjechał. Nie przejął się zbyt tym zdarzeniem, ale zapamiętał sposób, w jaki ojciec Jima na niego patrzył: dorośli nie patrzą tak na dzieci. Tak czy siak, mój brat dobrze się wtedy poczuł, jak ktoś, komu się udało.

Jim nie pokazał się nazajutrz w szkole. Charlie odszukał Gary'ego na przerwie; wyglądało na to, że chce z nim pogadać o całej sprawie, ale nie bardzo wie, jak się do tego zabrać. Podszedł tylko do mego brata, popatrzył na niego, odwrócił się i odszedł.

Po dwudziestu trzech latach Gary opowiedział Larry'emu - mu Schillerowi o przyjaźni z Charliem i z Jimem:

- Charlie był bardzo wrażliwym chłopcem, zobaczył coś, czego wolałby nie widzieć. Coś, co było czymś więcej niż tylko bójką, która z początku tak mu się podobała. Wciąż ze sobą walczyliśmy. Lecz ta bójka była najbardziej zacieklą ze wszystkich, które stoczyłem w dzieciństwie, i nie wiem, co by się stało, gdyby Charlie nie poszedł po tatę Jima. Z tego, w jaki sposób Charlie patrzył na mnie następnego dnia, domyśliłem się, że ujrzał coś, czego nie może sobie wytłumaczyć.

Zła passa Gary'ego trwała nadal.

Na początku 1954 roku uciekł z domu i został ujęty przez policję w Burley w stanie Idaho. Był to jeden z tych wczesnych incydentów w życiu Gary'ego, o których Frank wcześniej nic nie wspominał, a ja nie miałem pojęcia, jaki mógł być powód tej ucieczki. Najprawdopodobniej dostał o jedno lanie za dużo i postanowił poszukać szczęścia poza domem. A może on i ktoś tam jeszcze myśleli sobie po prostu, że nigdy ich nie złapią. Mógł wrócić. Ale bakcył destrukcji widać zbyt głęboko wniknął mu w krew i Gary nie umiał zrezygnować.

Po tym zdarzeniu jego życie było już jednym pasmem kłopotów aż do samej śmierci.

Następnego lata podczas wakacji Gary i paru jego kumpli odwiedzili któregoś popołudnia Szkołę Josepha Lane'a i rzucali kamieniami w okna.

- Nie mieliśmy zamiaru stamtąd odchodzić, póki nie rozbijemy wszystkich szyb  
- powiedział po wielu latach jeden z tych kołesiów.

Szkoła skierowała sprawę do sądu. Choć nie było najmniejszych wątpliwości, że Gary jest winien, ojciec wynajął prywatnego detektywa, by udowodnić, że syna nie było w mieście podczas tego zdarzenia. Udał się również do wziętego adwokata, by bronił Gary<sup>7</sup>ego przed sądem dla nieletnich. Sąd był zaskoczony ekstrawagancją poczynań mojego ojca, ale podobnie jak Fay wiele lat temu uchroniła swego syna przed więzieniem, Frank Gilmore zrobił wszystko, by oczyścić Gary<sup>7</sup>ego z zarzutu wandalizmu.

Jak wspomina Frank junior:

- Tatko i my wszyscy martwiliśmy się, żeby Gary nie poszedł do więzienia, bardziej ze względu na ochronę reputacji rodziny niż z innych powodów. Chyba każdy widział, że Gary zmierza najkrótszą drogą do piekła. To było pewne, podobnie jak to, co miało się zdarzyć. Ale nie pamiętam, by ktoś wziął go na bok i powiedział: „Posłuchaj, jeśli pójdziesz dalej tą drogą, znajdziesz się w celi śmierci”. Nie pamiętam, by ktoś w ogóle się przejmował losem Gary<sup>7</sup>ego. Chodziło tylko o to, by uchronić dobre imię Gilmore<sup>7</sup>ów.

Kiedy już od roku czy dwóch moja rodzina mieszkała w nowym domu na Johnson Creek, pewnego dnia zjawił się tam gość. Mama otworzyła drzwi frontowe i ujrzała przed sobą tego samego człowieka, którego widziała sześć lat temu, gdy jedli obiad w Sacramento. Tego samego szczupłego, zadbanego mężczyznę. Zobaczyła jego jasnoniebieskie oczy i pociągający wąski uśmiešek, całkiem jak u swego męża. „Tak - pomyślała, patrząc na tę twarz, zarazem okropną i pociągającą - to rzeczywiście może być jeden z zaginionych synów Franka Gilmore<sup>7</sup>a<sup>77</sup>”.

- Chciałbym widzieć się z Frankiem - oznajmił mężczyzna.

Zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, obok stanął mój ojciec.

- W porządku, Betty - rzekł. - To ktoś, na kogo czekam.

Poprosił obcego do swego biura i zamknął drzwi. Mama nauczyła się już przestrzegać sekretów męża, a przynajmniej wiedziała, że wścibianie nosa na nic by się tu nie zdało; jeśli Frank Gilmore nie chciał czegoś powiedzieć, to nie mówił. Lecz przez te wszystkie lata, kiedy żyła z brzemieniem tajemnicy, której nie mogła poznać, ciekawość stała się zbyt silna, by jej się oprzeć. Nieopodal biura ojca znajdował się podest schodów, którymi przechodziło się do sypialni. Mama usiadła tam i niedostrzeżona podsłuchiwała znaczną część rozmowy prowadzonej w biurze.

Ojciec i nieznajomy rozmawiali ze sobą blisko godzinę. Jego imię, jak dosłyszała mama, brzmiało Clarence. Nie mogła zrozumieć wszystkiego, o czym była mowa, lecz

usłyszała tyle, by dostatecznie jasno się zorientować, jakiego rodzaju interesy łączyły ojca z tym mężczyzną i dlaczego tak długo go nie było. „Nigdy już nie będę podsłuchiwała” - pomyślała, gdy zeszła ze schodów i usiadła przy stole w kuchni.

Kiedy gość wyszedł, ojciec zobaczył mamę siedzącą przy stole kuchennym, zagapioną w filiżankę zimnej kawy. Nalał sobie świeżej kawy i usiadł przy Bessie. Wyglądał, jakby ubył mu dziesięć lat.

- Wiesz, są dobre nowiny - oznajmił. - To był ktoś, kto przyszedł mi powiedzieć o pewnym starym długi, jaki zaciągnąłem. Wszystko jest już uregulowane. Nie musimy się odtąd przenosić, jeśli sami nie będziemy tego chcieli. Możemy tu zostać i uznać Portland za swój dom.

Mama nie ruszała się od stołu.

- Frank - odezwała się po chwili - możesz się na mnie wściekać, jak chcesz, ale podsłuchiwałam twoją rozmowę z tym mężczyzną. I muszę ci powiedzieć, że wolałabym nie słyszeć tego, co usłyszałam.

Tym razem Frank nie okazał złości. Przeciwnie, mogło się wydawać, że poczuł nawet ulgę.

- To wszystko zdarzyło się dawno temu, Betty - wyjaśnił. - Byłem młodszy, piłem więcej, niż możesz sobie wyobrazić, do tego byłem głupi. I chyba też zdesperowany, tak. Zrazu wszystko wydawało się łatwe. Z czasem zrozumiałem, że siedzę w tym po uszy, musiałem zmieniać miejsca, ukrywałem się. Życie w biegu, byłem na to skazany. Uciekać, ukrywać się, zmieniać nazwiska, wciąż stykać się z nowymi ludźmi, tracąc wcześniejszych znajomych. Przez cały ten czas nieustannie szukałem drogi wyjścia. - Westchnął i pociągnął łyk kawy. - Tak czy siak, ta wizyta oznacza, że wreszcie jestem wolny. Już nie musimy się martwić. I nie ma potrzeby dalej tego wałkować.

- Nie przejmuj się - powiedziała mama. - Nigdy bym otym nikomu nie wspomniała. Nikt by mi nie uwierzył. Ale gdy następnym razem przylejesz Gary'emu, jak wpadnie w kłopoty, zapytaj lepiej sam siebie, skąd mu się to wzięło. Myślę, że ma to po tobie, Frank. To twoja krew. Jest twoim nieodrodnym synem.

Mama dotrzymała obietnicy. Czegokolwiek dowiedziała się wtedy o tajemnicy Franka Gilmore'a, nigdy tego nikomu nie wyjawiała. Choć pewnego razu, kilka miesięcy po śmierci ojca, miała telefon w tej sprawie od jego adwokata. Gary siedział wówczas w domu - to były już ostatnie jego dni na wolności, które spędzał z rodziną - i coś w ściszym głosie matki powiedziało mu chyba, że to rozmowa, o której powinien wiedzieć. Gdy Bessie rozmawiała na schodach, podniósł słuchawkę aparatu na dole i poznał tę samą ukrytą prawdę, którą mama



poznała parę lat wcześniej.

Kiedy zeszła ze schodów, ujrzała Gary'ego siedzącego w ciemności, z ręką na telefonie.

- Słuchałeś mojej rozmowy? - spytała.

Skinął głową.

- A niech to szlag, Gary! Czy ty zawsze musisz wścibiać, nos w nie swoje sprawy?

Nic na to nie powiedział. Był już wtedy twardzielem, który wiele lat spędził w więzieniu. Nieobce mu były kradzieże, narkotyki, gwałty, ani to wszystko, co się nazywa logiką przestępczą. A jednak ta podsłuchana rozmowa - jak spostrzegła mama - musiała nim wstrząsnąć i głęboko go zasmucić.

- Mamo - powiedział - wiedziałem, że tato pochodził z nieprawego łoża. Już samo to było dostatecznie złe, ale mogłem go tak właśnie wspominać, jako wypędka z nieprawego łoża, który mnie nie kochał. Po co mi było dowiedzieć się tego, co teraz wiem o starym.

- Przykro mi, że musiałeś się tego dowiedzieć o swym ojcu - odparła mama - ale może nie powinienes go oceniać tak surowo. Bo jednak było coś, przed czym próbował nas uchronić przez tyle lat. Nie wydaje mi się, byś wyświadczył braciom przysługę, mówiąc im o tym. Nie niszczy tych dobrych wspomnień, które mają o ojcu.

Gary dochował sekretu, podobnie jak mama. Jakkolwiek okropne były jego przestępstwa, nigdy nie wyjawiał nikomu tego, czego nie musiał wyjawić. Nauczył się kodeksu milczenia, zarówno w domu, jak i w więzieniu. Nieraz jednak myślałem, że to, czego mama i Gary dowiedzieli się o Franku Gilmore, było dla nich udawką, której nie da się wymazać i do której nie sposób się przyznać. W ostatnich latach życia mama wciąż wspominała o tej przerażającej tajemnicy, która otaczała mojego ojca, jakby czuła, że nadal tkwi tam coś, co może nas zranić. A w dniu egzekucji Gary wspomniał dostatecznie wymownie o cenie, jaką musiał zapłacić za to, że był synem Franka Gilmore'a.

- Ojciec był zawsze pierwszą osobą, którą chciałem zabić - powiedział wujowi Vernowi w swych ostatnich godzinach. - Gdybym mógł go zabić i raz na zawsze z tym skończyć, zrobiłbym to.

## ROZDZIAŁ 2

## CHŁOPIEC W KĄCIE



Przez pierwszą połowę 1955 roku mój brat Gary nabierał doświadczenia; aż dziw, ile tego było. Gdy patrzy się wstecz, nie wygląda to zbyt wesoło. Zwłaszcza w trzech ostatnich miesiącach okresu dojrzewania. Miał o czym rozmyślać przez następne dwadzieścia lat.

W lutym rzucił szkołę i za przyzwoleniem rodziców wybrał się wraz z przyjacielem autostopem do Teksasu. Pierwsze kilka miesięcy nauki we Franklin High School było jedną wielką klapą, a mama pomyślała, że jak się trochę z tego wyrwie i zapanuje nad dręczącym go niepokojem, to może się wreszcie usatkuje. Ojcu zaś nawet to odpowiadało, że Gary'ego nie będzie jakiś czas w domu.

Wypad był krótki, ale stał się z czasem jedną z tych legend, które Gary chętnie opowiadał, gdy mówił o swej młodości. Głównym jego celem było zobaczyć McCamey, miasto nacierzy, gdzie się urodził. W drodze, jak później wyznał, próbował go wraz z kumplem poderwać mężczyzna, który miał wobec nich seksualne zamiary. Gary pobił faceta, wyrzucił go na pobocze i zabrał mu wóz, którym pojechali do Odessy. Przez kilka dni grali w hotelu w pokera i mieli dość forsy na alkohol i prostytutki. Rozchorowali się od tego i wrócili do Portlandu, podróżując przygodnymi wozami i wagonami towarowymi.

Po powrocie do domu Gary i kilku jego kumpli utworzyli mały gang złodziei samochodów. Kradli wóz, przemalo - wywali go, jeździli nim przez parę dni, potem go porzucali i kradli następny. Kiedyś, dla czystej zabawy, ukradli ten sam wóz dziewięć razy z rzędu, zawsze stawiając go przed świtem właścicielowi na podjeździe.

W pierwszych dniach maja przyłapano ich na tym niebezpiecznym hobby i postawiono przed sądem. Ojciec święcie utrzymywał, że to jakaś pomyłka, że Gary nie mógłby czegoś takiego popełnić. Sąd okazał się pobłażliwy i oddał Gary'ego ojcu, ograniczając się do upomnienia.

Dwa tygodnie później Gary znów stanął przed sądem pod zarzutem kolejnej kradzieży samochodu, chevroleta z 1948 roku. Ojciec ponownie się upierał, że Gary nie mógł być winny, tym razem jednak sąd nie był tak tolerancyjny i nakazał umieszczenie Gary'ego w Szkole MacLarena, zakładzie poprawczym dla chłopców w Woodburnie w stanie Oregon, na czas nieokreślony oraz zasądził miesięczną opłatę w wysokości trzydziestu pięciu dolarów ze strony ojca na pokrycie kosztów pobytu Gary'ego w tej instytucji. Ojciec wpadł we wściekłość i obrzucił sędziego paroma niewybrednymi wyzwiskami, za co został wydalony z budynku sądu.

Po ogłoszeniu wyroku sędzia wysłał do Zakładu MacLarena kuratora sądowego z następującym pismem:

Chłopiec ten zwrócił uwagę sądu notorycznie powtarzającym się zachowaniem przestępczym. Państwo Gilmore'owie uporczywie odmawiają współpracy z sądem i odrzucają oczywiste fakty, świadczące o popełnieniu przez ich syna szeregu przestępstw. W szczególności postawa ojca nie pozostawiła sądowi innego rozwiązania, jak umieszczenie chłopca w Zakładzie MacLarena. Świadczy o tym niezbita adnotacja pana Gilmore'a na odwrotnej stronie czeku, gdzie czytamy: „Zasrane pieniądze dla stanu, pod przymusem i przy moim sprzeciwie”. Te trzydzieści pięć dolarów miesięcznie to mniej, niż musiałby pan Gilmore zapłacić za utrzymanie syna w domu, i wierzę, że z czasem przestanie uważać uiszczanie tej opłaty za przymus. Gdyby jednak uchybił powinności regulowania zasądzonej kwoty, będzie musiał stawić się przed sądem, by wyjaśnić powody, dla których dopuszcza się tej obrazy trybunału.

Inaczej mówiąc, Gary został ukarany, a mojemu ojcu udzielono przy tym lekcji, wytykając mu błędy. Grzechy ojców - i grzechy sędziów...

Po odczytaniu wyroku skuto Gary'ego z innym chłopcem, umieszczono na tylnym siedzeniu wozu policyjnego i przetransportowano czterdzieści mil na południe do Woodburnu. Zakład Poprawczy MacLarena nie leżał wówczas zbyt daleko od głównej drogi. Zajmował rozległą posiadłość, z mnóstwem zielonych trawników i drzew orzecha włoskiego, odgradzoną od frontu ponaddwumetrowym kamiennym murem. Od wjazdu na teren zakładu wóz policyjny posuwał się drogą wewnętrzną, mijając budynek administracyjny, sypialnie i domek recepcji na tyłach.

Gary'ego wraz z drugim chłopcem przekazano w ręce krzepkiego łysego mężczyzny, którego będę tu nazywał Panem Smutnym. Wielki owczarek niemiecki obok Pana Smutnego szczerzył groźnie kły i próbował wspiąć się łapami na pierś Gary'ego. Ten zaś, chcąc odepchnąć zwierzę, prostował skute kajdankami ręce. Pan Smutny udzielił mu natychmiast

surowego napomnienia:

- Nie wolno wam tykać psa, nawet w obronie własnej. Jeśli wykonacie jakiś nieostrożny czy zbyt szybki ruch, może was rozedrzeć na strzępy.

Pies obwąchał kolejno chłopców, jednego, a potem drugiego, wrócił i przysiadł koło swego pana.

- Pan Smutny miał taką swoją kretyńską teorię - wyjaśnił mi po latach pewien wychowanek MacLarena. - Wierzył, że jeśli uda nam się nawiązać jakieś stosunki z psem, to uda się nam także nawiązać stosunki z innymi ludźmi. Może nie był to nawet taki poroniony pomysł, choć myślę, że wyszłoby to znacznie lepiej, gdyby pies był trochę mniejszy i nie tak agresywny, a tak to wyglądało, jakby tylko czekał na jakąś okazję, by cię dopaść i odgryźć ci jaja.

Gary'ego wraz z tym drugim chłopcem wprowadzono zaraz do sąsiedniego pokoju, gdzie kazano im się rozebrać, a potem opiekunowie wsadzili im palce we włosy, sprawdzając, czy nie mają wszy.

- Dobra - powiedział Pan Smutny - a teraz schylcie się, pokażcie dupy i rozsuńcie buły. - Przeszedł z tyłu za chłopcami, trzymając w ręku linijkę. Uderzył nią lekko chłopców po mosznie, a potem dźgnął każdego w odbyt. - Wygląda na to, że mamy tu dwóch ciasnodupych - rzucił do swego pomocnika i wszyscy się roześmieli.

Następnie chłopcy musieli wziąć prysznic i wyfasować swoje uniformy, na które składały się bokserki, dżinsy i zielona sztruksowa bluza; potem posadzili ich na krzesłach, a opiekun podszedł do nich z maszynką elektryczną i zgolił im włosy na zero niczym rekrutom z piechoty morskiej. Po tej operacji wepchnięto ich do sali zbiorczej o wymiarach piętnaście na dwadzieścia pięć stóp, gdzie tłoczyło się już ze dwudziestu pięciu chłopców, siedzących na podłodze i na kilku stołach. Po jednej stronie tego pomieszczenia ciągnął się szereg kibli, których nie oddzielały od reszty sali żadne ścianki; nie było nawet najnędrniejszej namiastki prywatności. W takiej zbiorówce spędzali pierwsze tygodnie wszyscy nowi wychowankowie MacLarena, a opiekunowie podejmowali w tym czasie decyzję o ich przydziale do poszczególnych domków. Było tu parę szachownic i kilka talii kart, ale to wszystko. Żadnych książek, telewizji ani radia.

Wieczorem chłopcy udawali się po schodach do swoich sypialni, nowo przybyłym przydzielano łóżka. Wszystkie łóżka stały pod ścianami, ciasno jedno przy drugim. Na środku pokoju była kabinka strażnika, odgródzona kratami i szkłem kuloodpornym. Co jakiś czas w nocy zaglądał do pomieszczenia strażnik, obchodził łóżka lub siadał w kabinie, obserwując śpiących chłopców. Wewnątrz był telefon. Wystarczyło tylko podnieść słuchawkę, by

natychmiast się połączyć z posterunkiem policji stanowej przy drodze.

Odziewanej wieczorem chłopcy zdejmowali ubrania i wkładali nocne koszule.

- Kładźcie się do łóżek - nakazał Smutny nowym. - Gdybyście potrzebowali iść do łazienki, zaczekajcie i zgłoście to strażnikowi na obchodzie. I żadnych rozmów po zgaszeniu światła.

Po paru chwilach Gary leżał już w ciemności. Zapewne obmyślał, jak można by się stąd wydostać. Zaraz jednak usłyszał jakieś dziwne odgłosy; coś jakby szelest energicznego tarcia, któremu towarzyszył chór przyspieszonych oddechów i tajemnicze chichoty. W następnej chwili coś gorącego i lepkiego trysnęło mu w twarz. Ciepła, mokra strużka oblepiła mu oczy i nos. Była to sperma chłopców z sąsiednich łóżek, którzy go obstąpili.

W taki to sposób Gary został wprowadzony w maclare - nowski obyczaj „wojen spermowych”. Przez parę nocy w tygodniu, gdy tylko gasło światło, chłopcy odrzucali koce i wyciągali penisy. Brandzłowali się tak szybko, jak tylko byli w stanie, próbując się doprowadzić do błyskawicznego wytrysku; było to coś na kształt wielkiego wyścigu. Kto doszedł pierwszy, mógł wykorzystać przewagę: chwycił własne tryskające nasienie na dłoń i ciskał je w twarz najbliższego współzawodnika, nieraz skutecznie tym zakłócając jego rytm masturbacji. Najgorzej było nowo przybyłym.

Stanowiło to *część* inicjacji. Podczas pierwszej nocy twarz takiego chłopca dosłownie ociekała spermą. Jeśli próbował się zasłaniać, paru sąsiadów go trzymało, dopóki pozostali się nie zbrandzują i nie rozmażą nasienia na jego twarzy. Nieraz piętnastu, dwudziestu chłopców spuszczało się na takiego nowicjusza. Strażników oczywiście nigdy nie było, gdy rozgrywała się ta wojna spermowa. Może nawet wcale oniej nie wiedzieli. W każdym razie w kronikach MacLare - na nie ma o tym ani słowa. Ieco po pierwszej w nocy Gary obudził się na chwilę w ciemności. Podniósł wzrok i zobaczył Pana Smutnego idącego przejściem między łózkami. Niósł w ręku mały taboret, coś jak stołeczek, który stawiasz obok krowy, gdy bierzesz się do dojenia. Kiedy przystanął przy łóżku Ga - ry'ego, ten zamknął zaraz oczy, udając głęboki sen. Smutny przeszedł dalej wzdłuż rzędu łóżek, zatrzymując się przy innym chłopcu. W słabym świetle Gary mógł jeszcze zobaczyć, że opiekun siedzi na swoim taborecie i szepce coś do chłopca. Przekręcił się i znów zamknął oczy.

Ktoś, kto był u MacLarena w tym samym czasie co Gary, opowiadał mi, że nocne wizyty Smutnego nie były niczym nadzwyczajnym.

- Podczas mojej pierwszej nocy w tym miejscu - relacjonował - Pan Smutny wszedł ze swym stołkiem i przysiadł przy moim łóżku. Nachylił się nade mną, chwycił mnie za udo, ścisnął i. przemówił ledwie słyszalnym szeptem: „No, jak się tam masz?” Po czym

przesunął rękę wyżej. Chyba świrował. Znów mnie ścisnął, tym razem mocniej, i powiedział: „Ścisnę twoją nogę, jeśli tego chcesz”. Odparłem: „Nie, nie zrobi pan tego. Mam rodzinę. A to im się nie spodoba”. Smutny popatrzył na mnie przez moment, ścisnął mocno jeszcze raz i wyjął rękę. „Dobra - powiedział. - Skoro tak chcesz”. Trochę mnie wystraszył podczas tej nocnej wizyty. Jestem pewien, że gdyby go nakryto, powiedziałby, że próbował ustalić, czy nie jestem gejem, ale nie sądzę, by chciał, żeby to roztrąbiono. Znałem innego chłopca, któremu przytrafiło się coś podobnego. Spośród wszystkich kuratorów i wychowawców, jakich poznałem u Mac - Larena, właśnie jego najlepiej pamiętam. Był zimnym, sadystycznym skurwysynem, budzącym strach facetem, a jak ostatnio słyszałem, wciąż jeszcze pracuje w szkolnictwie poprawczym stanu Oregon.

Była to pierwsza noc uwięzienia Gary’ego, z dala od domu.

Gary trafił do MacLarena jako bystry i zdolny piętnastolatek, którego styl życia sprawiał innym wiele kłopotów. Wyszedł stamtąd rok później, w pełni przygotowany do swej kryminalnej przyszłości.

- Zakład poprawczy upowszechnia pewną wiedzę tajemną - powie po latach Larry’emu Schillerowi. - Są bardzo chytry. Chłopak wychodzi z takiej szkoły i umie już parę rzeczy, jakie w innym wypadku uszły by może jego uwagi. No i, rzecz jasna, utożsamia się z ludźmi, którzy wyposażeni są w tę samą wiedzę tajemną co on: z elementem przestępczym, czy jak tam zechce pan ich nazwać. Tak więc to, że trafiłem do Woodburnu, nie było w moim życiu jakąś błahostką.

Nie znaczy to bynajmniej, że za upadek Gary’ego odpowiada w głównej mierze zakład poprawczy. Przeglądałem tamtejsze akta Gary’ego - po jego egzekucji dokumenty te nabrały tak wielkiego znaczenia, że szkoła zachowała je w całości, okazując do wglądu na życzenie rozmaitych urzędników wymiaru sprawiedliwości. Jakkolwiek szkoła nie udostępniła mi wywiadów i ocen psychologicznych, dotyczących mego brata (stanowiących być może najważniejszą część tego dossier), udało mi się odnaleźć parę zdumiewających relacji, charakteryzujących się pełnym i rzeczywistym wglądem w życie Gary’ego i jego rodziny. Gdybym więc miał podać jakiś istotny trop wyłaniający się z lektury tych dokumentów, to chyba ten: kłopoty Gary’ego były nieodłącznie związane z wpływem ojca, człowieka zupełnie niezdolnego do przyjęcia trudnej prawdy o własnym synu, którego tylko on mógłby uratować.

Po przeprowadzeniu pierwszego wywiadu z moimi rodzicami jeden z ekspertów napisał: „Fakt, że ojciec nie wysiadł z wozu, gdy przeprowadzano wywiad z matką, wskazywałby na zupełny brak zainteresowania z jego strony, wstyd lub na skrajną

nieumiejętność radzenia sobie z problemem. Trzeba jednak uczciwie zaznaczyć, że w wozie znajdował się jeszcze czteroletni Mike i być może ojciec uznał, że w tej sytuacji powinien zająć się malcem”. I parę ustępów dalej: „Panu Gilmore’owi... wydaje się, że jest obdarzony władzą... monarchy absolutnego... Niestety, znacznie odeń młodsza, ale całkowicie będąca w jego cieniu żona nie stanowi dostatecznej gwarancji skuteczności zwolnienia warunkowego, w razie gdyby Gary’ego odesłano do domu”. I jeszcze fragment innego wywiadu: „Warunki materialne w domu są bardzo dobre, jednakże ze względu na paranoidalną postawę, jaką przejawia ojciec, chłopiec wydaje się poważnie zagrożony”.

Przez cały czas pobytu Gary’ego u MacLarena ojciec odnosił się wrogo do wysiłków szkoły mających na celu poprawę atmosfery w naszym domu. Upierał się przy zdaniu, że nie wolno obwiniać rodziny o kłopoty z Garym; to inni ponoszą winę, a karę wymierza się chłopcu. Oczywiście Gary’ego z zarzutów i uwolnijcie go - mówił przedstawicielom zakładu - a jego problemy same się rozwiążą. Jeden z ekspertów był na tyle bystry, by pojąć, że ta zaciekle obrona Gary’ego była nie tyle oznaką miłości ojca do syna, ile po prostu rozwinięciem przekonania, iż cały świat się sprzymierzył, żeby zniszczyć Franka Gilmore’a, choćby przez zniszczenie jego rodziny. „Niezależnie od tego, czy [Gary] był winny, czy nie - pisał ten ekspert - jest mało prawdopodobne, by przebywając w domu, mógł uniknąć przeświadczenia, że szkoła, sąd, jacyś ważni przedstawiciele społeczeństwa czy kto tam jeszcze sprzyśleli się zniszczyć całą rodzinę”.

Notatki te nie wyczerpują jednak sprawy. Rozmawiałem także z kilkoma osobami (lub czytałem ich wspomnienia), które były u MacLarena w tym samym czasie co Gary. Zestawienie tych dwóch perspektyw: relacji urzędowych i wspomnień wychowanków, daje dwie całkowicie odmienne wersje tej samej rzeczywistości. Z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że niektórzy eksperci zakładu próbowali możliwie najlepiej zrozumieć Gary’ego i pozytywnie odmienić jego życie. On zaś odpłacał im serią ucieczek i epizodami przemocy, które zmuszały ich do nakładania nań jeszcze ostrzejszych kar. Przy czym z tego, czego się dowiedziałem, jasno wynikało, że mimo najlepszych intencji, jakie wszyscy deklarowali, zakład poprawczy lat pięćdziesiątych nie stronił od bardzo brutalnych metod. Chłopców zamykano w zimnych izolatkach, bito wedle uznania wychowawców i umieszczano w środowisku sprzyjającym najostrzejszym formom przemocy i nadużyć seksualnych. Zamykanie dzieci w takim świątku mogło jedynie pogłębiać ich lęk i nienawiść.

- Wobec normalnej osoby takie postępowanie nie miałoby sensu - wspominał jeden z dawnych wychowanków - lecz gdy już byłeś tam zamknięty, bardzo szybko wypełniała cię nienawiść. A kiedy nie możesz jej uzewnętrznic - albo jeśli nie wystarczają ci

fantazje o tym, jak z szybkostrzelnym gnatem wpadasz do banku i rozwalasz każdego, kto ci stanie na drodze - nienawiść kieruje się przeciw tobie samemu. Osiągasz taki punkt autodestrukcji, że musisz coś ze sobą zrobić. Nieraz pozostaje ci jedynie zranić i doprowadzić do wściekłości tyle osób, ile tylko zdołasz.

Najbardziej wiarygodnym i wymownym obserwatorem tego, co działo się u MacLarena, był pewien mężczyzna o imieniu Duane. Znalazł się w zakładzie niemal dokładnie w tym samym czasie co Gary i dobrze znał mego brata. Odwiedził mnie któregoś rana w moim mieszkaniu w Port - landzie i podzielił się ze mną swymi wspomnieniami. Do piętnastego roku życia był świetnym uczniem, dopóki ojczym nie zaczął go ostro tłuc. Wtedy Duane popadł w złe towarzystwo. Razem z kolegą kradli wozy i robili inne rzeczy. Kiedyś się jednak nadziali, włamując się do domu policjanta i kradnąc mu rewolwer. Zorganizowano za nimi wielki pościg i zostali aresztowani, gdy mierzono do nich z broni. Incydent rozdmuchano na pierwszej stronie „The Oregonian”. Dzięki temu Duane wraz z kumplem zdobyli sobie z miejsca zaszczytną pozycję u MacLarena. Pozostali chłopcy widzieli w nich renomowanych wykolejeńców.

- Byliśmy w rzeczywistości parą głupich kutasów - mówił Duane - ale te dzieciaki nie miały pojęcia, a my za cholerę nie chcieliśmy im tego powiedzieć, że dziewięćdziesiąt procent tego, co odstawiasz w takim miejscu, to zwykły pic. Gdyby wszystkie te czarne owce i zgniłe jabłka odkryły, że nie jesteś takim morderczym maniakiem, za jakiego cię biorą, dopiero by ci się dobrały do skóry.

Duane był już u MacLarena tydzień, gdy trafił tam Gary. Pierwsze wspomnienia Duane'a związane z moim bratem dotyczą testów psychologicznych, które chłopcy przechodzili w celu określenia ich sytuacji w szkole i perspektyw uzyskania zwolnienia warunkowego.

- Mieli tam takiego wielkiego, tłustego psychiatrę - opowiadał Duane. - Ten gościu ważył chyba ze sto trzydzieści pięć kilo, najmarniej. Był doktorem medycyny, a gadał do dzieciaków z zakładu poprawczego, no to, na miłość boską, jak mógł być dobry? Tak czy owak, musiał tam iść i siadał sobie przy stole naprzeciw gościa. Siedział i gapił się na ciebie z pół minuty, pocił się jak mysz, a potem miał takie gotowe pytanko: „Ile dziewczyn przerypałeś?” Niemal każdy, kogo znałem u MacLarena, miał z nim to samo. Pomyślałem sobie: jeśli mu powiem, że zgwałciłem dziewczynę, dopiszą mi sześć miesięcy do wyroku. Z drugiej strony jeśli powiem, że jestem prawiczkim, moje notowania spadną. Czułem się więc rozdarty. Tyle że naprawdę byłem prawiczkim, gdy się tam dostałem, uczciwość zwyciężyła. Większość chłopaków łągała, aż się kurzyło. Mówili: „Ach, może z pięćdziesiąt”. A potem



psychiatra żądał, by wymienili ich imiona, i bardzo pedantycznie sporządzał listę. Pamiętam, że był tam taki chłopak imieniem Raymond, który się przechwalał, że przerznął dwie setki dziewczuch, a co tam, i doktor kazał mu podać te dwieście imion. Potem Raymond to podpisał i Zakład MacLarena wysłał tę listę do jego poprzedniej szkoły. Mogę sobie wyobrazić to gównu, gdy zaczęli się czepiać tych dziewczyn i wypytywać je, czy naprawdę rypały się z Raymondem. Wiesz, w tamtych czasach nastolatki były znacznie mniej przystępne niż teraz. Jeśli taka dziewczyna miała trzech facetów, to była zdzirą. A pięciu... no to była już arcykurwą, bez dwóch zdań, i nikt się z nią nie ożenił. Potem psychiatra dawał ci papier i ołówek i mówił: „Dobra, to teraz narysuj mi dom. A później narysuj tam siebie, gdzie jesteś w tym domu”. I tak dalej. No, to już wiedziałem, co on kombinuje. Chciał zobaczyć dom i chciał wiedzieć, gdzie jest w nim moje miejsce. Spodziewał się, że w ten sposób uzyska ode mnie pewne wskazówki co do mojej osoby. Proszę bardzo, pogram z nim sobie, bo już rozeszły się słuchy, że jeśli ten psychiatra uzna, że będą z tobą kłopoty, przydzielą cię do gorszego domku. A ja chciałem się dostać do któregoś z lepszych domków, skąd szybciej się wychodzi, więc nie mogłem mieć w dupie swego profilu psychologicznego. Po powrocie do zbiorówki siedzieliśmy z kumplami i naśmiewaliśmy się z psychiatry, myśląc tylko o tym, jak by go tu wykołować. To właśnie wtedy poznałem Gary’ego. Fajny chłopak, trochę nieśmiały, ale gotów był trzymać z nami i widać było, że chce zostać kimś, z czym zdaniem trzeba się liczyć. Widział, co kombinujemy, i bał się, czy będzie umiał wystawić do wiatru psychiatrę i te jego pojebane teorie. No i chyba chciał też zrobić na nas wrażenie. Był od nas trochę młodszy, o jakieś półtora roku.

Duane przerwał na chwilę relację i potrząsnął głową.

- Pamiętam to bardzo dobrze, no i jak się potem czułem, kiedy wyszło na jaw to wszystko, co działo się z Garym w ostatnich latach. Wiem, to może brzmi śmiesznie, ale gdybym mógł coś zmienić z tego, co wtedy robiłem, wliczając w to moje tak zwane przestępstwa, i gdyby mi było wolno zmienić tylko jedną rzecz, nie zrobiłbym Gary’emu tego, co mu wtedy zrobiłem, jak zauważyłem, że facet nie zamierza odpuścić. Powiedziałem mu tak: „Więc dobrze, chcesz narysować obraz samego siebie, to rysujesz sobie małe usta, wielkie oczy, wielkie uszy, a rąk w ogóle tam nie ma. Czy wiesz, co to mówi temu idiocie psychiatrze? Skoro jesteś pozbawiony głosu i rąk, to znaczy że jesteś bezradny i nie możesz niczego zmienić. Ale przecież wszystko słyszysz i wszystko widzisz, więc to proste, musisz być paranoikiem!” Gary nigdy naprawdę nim nie był, chyba wiesz, co mam na myśli. Ale zrobił to, co mu poradziłem: kiedy tam wszedł, narysował siebie w taki właśnie sposób.

Dziś bym tego nie zrobił - ciągnął Duane. - Ale wtedy myślałem sobie, że to chytre

jak diabli, kiedy jakiś dumny dzieciak wypełnia moje polecenia; a przecież wiedziałem, że ten tłustodupy psychiatra to tylko nędzny kutas i że ma władzę posłać Gary'ego do jednego z tych domków o zastrzonym rygorze. Możesz sobie to wyobrazić: jesteś tylko dzieciakiem i zamykają cię tam, robią z tobą, co zechcą. Myślałem sobie, że każdego miesiąca przybywa tam tylko tyle osób, ile akurat mogą zwolnić. Chciałem mieć pewność, że w każdej chwili jestem na wylocie, jakbym rywalizował o zwolnienie z innymi dzieciakami. Taki sobie wymyśliłem sposób na to miejsce. Grałem wtedy w coś takiego, w co dziś bym już nie zagrał.

Poszczególne oddziały Zakładu Poprawczego MacLarena oferowały rozmaite formy doradcze i wychowawcze lub - jeśli ktoś wolał - szkolenie zawodowe, głównie w zakresie pracy w gospodarstwie. Gary zdecydował się na czwartą możliwość, nieujęta w tym oficjalnym wykazie: korzystanie z kar w pełnym wymiarze. Nie było niemal dnia, by nie popadł w jakieś kłopoty. A pierwsze kary leżały w gestii Pana Smutnego.

- Pan Smutny uwielbiał wymierzać coś, co nazywał klapsami - zdradził mi Duane. - Dostałem je parę razy. Nietrudno o nie było, wystarczyło, żeś głośniejsz wrzasnął lub popchnął jakiegoś chłopaka. Nawet niechcący, bez złych intencji. Łatwo mogłem przewidzieć, że twój brat od samego początku będzie dostawał klapsy. Pamiętam, jak to było.

- A co to takiego te klapsy?- spytałem Duane'a.

Duane skrzywił się.

- Pan Smutny miał taki przeszklony kantor w domku recepcji. Jeśli naruszyłeś jakąś zasadę albo po prostu olałeś polecenie Pana Smutnego, wzywał cię do tego kantorku i zamykał za tobą drzwi. Musiałeś zdjąć koszulę i spuścić spodnie, stawałeś przed nim nagi. Potem trzeba się było pochylić i chwycić nogi w kostkach. Brał taką sztywną raketkę do pingponga, z otworami dla zmniejszenia oporu powietrza, i walił cię w dupę. Mogłeś mieć wrzody na pośladkach od takich klapsów. Nazywaliśmy je światłami przednimi. Właściwie nie wiem, dlaczego nie nazywaliśmy ich światłami tylnymi. To chyba przez to, że miałeś takie wrażenie, jakby oślepiały cię reflektory wozu. Najmniejsza liczba klapsów, które aplikował ci Smutny, wynosiła dwadzieścia pięć, ale jeśli naprawdę coś sknociłeś, mogło ich być i pięćdziesiąt. Wiem, że twój brat wielokrotnie obrywał te klapsy; widziałem, co się dzieje. To było zawsze takie dziwne, bo Pan Smutny nie zdradzał przy tym żadnych emocji. Jakby wymierzała ci je jakaś bezosobowa siła. Kiedy zapowiadał, że dostaniesz klapsy, miał taki uśmiech na twarzy. Mówił beznamiętnym głosem: „Jest mi naprawdę przykro, że muszę to zrobić, ale muszę, Gary, sam się o to prosiłeś”. A potem łup! Nigdy mnie tak nie bito, przez całe życie. Możesz mi wierzyć, to okropne doświadczenie.

Klapsy to była tylko rozgrzewka. MacLaren oferował poważniejsze kary, a Gary

zaliczał je wszystkie.

Parę tygodni po tym, jak trafił do zakładu, wraz z wychowawcą i kilkoma kolegami wziął udział w wyprawie na oregońskie wybrzeże, w okolicę Seaside. Było to coś w rodzaju próby: jeśli się okaże, że chłopcy potrafią współpracować w takich warunkach, zachowują się odpowiedzialnie i że można na nich polegać, to będą mogli łatwiej uzyskać zwolnienie warunkowe. W drodze powrotnej z porannej wyprawy na ryby Gary i dwaj inni chłopcy trzymali się z tyłu. Gdy tylko się zorientowali, że są poza zasięgiem wzroku wychowawcy, szybko pobiegli w przeciwną stronę. Przedzierając się przez krzaki, dotarli do Seaside, gdzie złapali stopa do Portlandu. Tej nocy Gary przespał się z kolegami w pustym, zwalonym pawilonie, który stał za naszym domem na Johnson Creek, a rano, gdy tylko ojciec wyszedł, wślizgnął się do środka i powiedział mamie ucieczce. Wiedziała już o tym, bo dzwonili z zakładu, informując, że policja szuka Gary'ego. Dodali, że jeśli będzie z nią rozmawiał, powinna nakłonić syna, by wrócił do MacLarena. Gary odmówił.

- Zwariowałbym tam - odparł i opowiedział jej o tym, czego był świadkiem i co przeżył w zakładzie.

Mama dała mu pięćdziesiąt dolarów i ubranie na zmianę. Prosiła, żeby był ostrożny i napisał do niej, gdziekolwiek będzie. Nie zawiadomiła policji ani zakładu o tym, że jej zbiegły syn zjawił się w domu. Po prostu postanowiła, że już nigdy nie odda go w ręce prawa, pod żadnym pozorem.

Resztę dnia spędził, ukrywając się z kumplami w kinach śpiąc w porzuconych samochodach. Rano udało mu się odpalić chevroleta coupe z 1947 roku, stojącego przy Division Street; przejechali nim dwieście mil do Pendletonu w stanie Oregon i porzucili wóz na drodze. Potem ukradli chevy 1955 i byli już blisko granicy z Idaho, gdy zatrzymał ich policjant stanowy i kazał zjechać na bok. W raporcie napisał, że trzech chłopcy byli bardzo podnieceni ucieczką i dumni ze swego wyczynu, a Gary przechwalał się smykał - ką do kradzieży wozów.

Kiedy wrócili do MacLarena, ucieczka nie wyszła im na dobre. „Zrobiono wszystko, by dać [Gary'emu] sposobność poprawy - pisał jego wychowawca. - Ten chłopiec ma w sobie ducha niestałości, który nie budzi zaufania, jest krnąbrny wobec przełożonych i niechętnie wykonuje swe obowiązki. [Jego] przebywanie w warunkach obozu otwartego pociąga za sobą zbyt duże ryzyko; powinien zostać objęty programem L.E. Darling”.

L.E. Darling - w skrócie LED - stanowił zakładowy odpowiednik warunków maksymalnego bezpieczeństwa. Był to duży dom na tyłach zakładu, oddzielony od reszty wysokim ogrodzeniem z drutu kolczastego.

- Codzienny regulamin dzieciaków objętych systemem LED - wspominał Duane - przypominał w zasadzie nasz, z tym że nie mogli wychodzić na zewnątrz i podlegali znacznie surowszej dyscyplinie. Mówię: surowszej, bo z tego, co wiem, mieli tam pomieszczenie, gdzie przebywali przykuci kajdankami do ściany, u nas czegoś takiego nie było. Sam tego nie zaznałem, ale słyszałem od innych chłopaków, którzy byli objęci LED, że przykuwano ich do ściany, a wychowawcy wymierzali karę. Zamiast klapsów na gołą dupę dawali prawdziwą chłostę, walili pasem przez plecy, a bolało, jakby cię obdzierali ze skóry. A jeśli miałeś być o chlebie i wodzie, to przez trzy tygodnie dostawałeś tylko chleb i wodę, a w południe jeszcze kubek mleka. Parę razy miałem tę karę przez tydzień i nie pozostawiło to trwałych skutków. Ale nie wiem, jak to jest, gdy musisz wytrzymać w ten sposób dwa albo trzy tygodnie. Myślę, że to nic dobrego, naprawdę.

Gary dotrwał w tych warunkach do końca 1955 roku. Krótko przed Bożym Narodzeniem kierownik domku sporządził następującą notatkę: „Gary nadal jest naszym chłopcem w kącie. Nie ufa nikomu, ani pedagogom, ani wychowankom, wciąż się o tym przekonuję. Chce być jednym z grupy, ale nie bardzo mu to wychodzi. Kiedy rozmawiam z grupą, zaszywa się w jakiś kąt i nie bierze udziału w dyskusji”. Kierownik zauważył także, że Gary’ego niemal każdej nocy dręczą koszmary i że często mówi przez sen.

Jednakże gdy Gary był spokojny, wychowawcy programu LED nie mieli z nim szczególnych kłopotów. „Część personelu uważa nawet, że Gary to najlepszy chłopak, jakiego kiedykolwiek tu widziano, i że nie powinien być objęty reżimem LED - pisał jeden z doradców. - Być może ten chłopiec stał się bezwiedną ofiarą wyjątkowo niekorzystnego splotu okoliczności i to stanowi główne tło jego przestępczości”.

1 stycznia 1956 roku Gary’ego zwolniono z domu o obostrzonym reżimie LED i przeniesiono do trójki, uznawanej przez wielu za najlepszy domek zakładu. Po dwóch dniach Gary podszedł do kierownika tego domku i oznajmił, że jeśli nie wróci w poprzednie miejsce, to znów ucieknie. Nie podobało mu się, że w tych liberalniej szych domkach zabraniano palić, a w porównaniu z domem objętym programem LED było tam zbyt tłoczno i głośno. Kierownik odesłał go na noc do poprzedniego domu, a potem uznał, że Gary udaje, i przeniósł go z powrotem do trójki. Nazajutrz mój brat uciekł. Złapano go po tygodniu i umieszczono w tak upragnionym domu z LED.

Ta skłonność do ciężkich kar stała się wzorcem postępowania, którego mój brat trzymał się do końca swej więziennej kariery. Wciąż dopuszczał się rażących wykroczeń i aktów przemocy, które skutkowały przedłużającymi się epizodami ostrych kar, zwykle w warunkach pełnej izolacji. Istotnie, połowę swego życia, aż do samej śmierci, Gary spędził w

więzieniu, w izolacji od społeczeństwa, poznając wszelkie formy skrajnego ograniczenia wolności. Ta forma postępowania utrwaliła się na dobre podczas pobytu w Zakładzie MacLarena: w ciągu kolejnych kilku miesięcy Gary zachowywał się wzorowo w domu o obostrzonym rygorze, a gdy tylko przenoszono go do domu o lżejszym regulaminie, natychmiast stamtąd uciekał lub popełniał wykroczenie, które gwarantowało mu powrót do skrajnego reżimu.

- Podczas jednego z moich ostatnich spotkań z Garym - mówił Duane - jedliśmy razem lunch w bufecie, a on namawiał mnie usilnie, bym mu towarzyszył w domu o obostrzonym rygorze. Opowiadał, jak mu tam było dobrze, a ja tylko słuchałem: co on tak pieprzy od rzeczy? Kto mógłby sobie życzyć, by go trzymano w zamknięciu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę? No cóż, każdy z nas doskonale wiedział, że dopuszczając się poważnych wykroczeń, trafi tam nieuchronnie. A Gary utrzymywał, że to wspaniałe życie. Przekonywał mnie: „Słuchaj, Duane, będziemy tam palić i przeklinać ile wlezie. Nie musimy żyć według tych samych reguł. Nie musimy nawet chodzić do szkoły ani do pracy”. To, co mówił, nie przekonywało mnie jednak, nie widziałem w tym żadnych przywilejów. Chłopcom z domu o obostrzonym rygorze mogło się wydawać, że wolno im robić, co chcą, takie tam szkolne gadanie. Palili i klęli do woli, to prawda, ale przecież przebywali tam w zamknięciu, póki władze nie postanowią inaczej.

Jednym z powodów pobytu Gary'ego w domu o obostrzonym rygorze - wyjaśniał Duane - była bójka.

- Gdy w Zakładzie MacLarena wybuchała bójka, wychowawcy nigdy jej nie przerywali. Pamiętam, jak wszyscy kibicowali dwudziestominutowej, zajadłej i bardzo brutalnej walce dwóch tępych drwali z Medfordu, a wychowawca stał sobie z tyłu, paląc papierosa i przyglądając się z uciechą widowisku. Te dwa dzieciaki prawie się pozabijały! Wydaje mi się, że wychowawcy traktowali to jako formę wyładowania napięcia. Gdyby przedwcześnie tłumili takie incydenty, napięcie utrzymywałoby się nadal, prowadząc do podziału na obozy, co mogłoby się skończyć jakąś wielką rozróbą lub walką gangów. W części bójek sam uczestniczyłem, innym tylko się przyglądałem; wiem, jak dziki miały przebieg. Były to walki do samego końca, z góry wiedziałeś, że nikt nie będzie cię chronił. Nikt nie wskoczy pośród walczących i nie powie: „No dobra, chłopcy, pobiliście się trochę, a teraz się rozejdźcie”. Byliśmy gotowi walczyć o byle potrącenie, o brud za paznokciem. Bądź twardy, mówiliśmy sobie, zabij go! Kiedyś do domu, w którym przebywał twój brat, trafił chłopak o przydomku Leser. Nie pamiętam jego prawdziwego nazwiska; zabił swych rodziców, była to wtedy głośna sprawa w stanie Oregon. Miał dwanaście lat, a ci rodzice to

para pijaczków, którzy tłukli go regularnie. Pewnego wieczoru zbili go szczególnie okrutnie i położyli się spać. A trzeba wiedzieć, że jedyną istotą na świecie, którą Leser kochał, był jego pies, szczeniak. Tej nocy Leser zabił rodziców i psa. Policja znalazła go szlochającego nad psem, a po rozprawie przed sądem dla nieletnich wysłano go do MacLarena. Leser był niebezpieczny; powinien raczej się znaleźć w zakładzie dla umysłowo chorych.

Według relacji Duane'a któregoś dnia Leser i Gary przygotowywali razem jedzenie.

- W którymkolwiek domku znalazłby się Leser, reguła numer jeden brzmiała: trzymać go z dala od noża, bo to kompletny psychol! Gdyby wpadł mu w ręce nóż, mógłby go niewłaściwie użyć. Akurat tego rana Leser i Gary poprzytkali się i Leser sięgnął po nóż. Gary podbił mu rękę i wytrącił ostrze, a potem spuścił manto. Rzucił go na podłogę, wrzeszcząc. Po tym wszystkim nikt już nie chciał mieć z Garym na pieńku. Zyskał sobie renomę jednego z największych chojraków u MacLarena, a jego najbliżsi kumple to nie byli mili chłopcy. Nie przyszłoby mi nawet do głowy wdawać się w spory z Garym czy w jakiś sposób nim pomiatać. Byliśmy z miejsca w dobrych stosunkach, to już nie mogło się zmienić. Ale mówię ci, nie chciałbym wejść mu w drogę, był twardy. Gdybyś z nim zadarł, mógłbyś się spodziewać odwetu.

Duane powiedział mi coś jeszcze o pobycie Gary'ego w domu o obostrzonym rygorze.

- Był taki chłopak imieniem Fritz, prawdziwy sadysta. Trafił tam w wieku jedenastu lat. Chwytał koty, wiązał im ogony rzemieniem, rzucał na sznur do wieszania bielizny i obserwował, jak walczą o odzyskanie wolności. Oczywiście koty zabijały się nawzajem. Właśnie za to go przymknięto, za okrucieństwo wobec zwierząt. To był potwór jak na swój wiek. U MacLarena miał zwyczaj ostrzyć ołówki w szpic i wbijać je w upatrzone ofiary. Pewnego wieczoru przebywałem właśnie w apartamencie nowożeńców, co w naszej gwarze oznaczało jedynekę, dom o rygorze tylko ostopień niższym od LED. Nie było tam żadnej toalety czy czegoś takiego. Po prostu siadałeś na podłodze i to wszystko. Siedzę więc tam, jest późna noc, i słyszę jakieś głosy dobiegające spod prysznic. Jeden z nich poznaję natychmiast. To Fritz. Leży na ziemi i błaga o litość. A potem słyszę głosy chłopców, którzy powalili go na posadzkę. To Gary z dwójką kumpli. Wiesz, co zrobili Fritzowi? Zaostrzyli ołówki i wbili mu w dupę. Słyszałem, jak się zmawiali, że to zrobią. Nigdy nie słyszałem takiego wrzasku, a Gary ostrzegał: „Nie rusz się, bo złamiesz ten cholerny ołówek, skurwielu!” śmiali się, a Fritz dalej wrzeszczał. Nie wiem, co przeszkrobał. Nie był naszym pieszczoszkiem, ale możesz sobie wyobrazić, co taki ołówek mógłby zrobić, gdyby ci się złamał w dupie. Koniec byłby fatalny. Takie to rzeczy zdarzały się w domu o ostrzejszym rygorze, to była ta ciemna strona. Po czymś takim reputacja Gary'ego, przynajmniej wśród

chłopców, pogorszyła się jeszcze bardziej. Wszyscy się go bali, schodzili mu z drogi.

W przeciwieństwie do tych okropnych historii następna opowieść jest niemal czuła, choć na swój sposób jeszcze straszniejsza.

Przypominam sobie, jak znalazłem kiedyś list, który Gary napisał do mamy. Schowała go na samym dnie biurka. To było już parę lat po jego pobycie w Zakładzie MacLarena, Gary miał chyba dwadzieścia lat i odsiadywał jakiś wyrok w więzieniu w Portlandzie. Pisał go z więziennego szpitala, wkrótce po pierwszej próbie samobójstwa. Rozbił żarówkę w celi i wbił sobie odłamki w przeguby. Kiedy sprawa przybrała już zły obrót, kopnął w głowę swego towarzysza z celi. Biedak zbudził się, ujrzał, jak krew Gary'ego tryska mu w twarz, i zaczął wrzeszczeć na strażnika, żeby ratować życie mego brata. Wyglądało to na rutynowy manewr i mama napisała do Gary'ego, pytając, czemu podjął taką ryzykowną grę.

Gary odpisał jej, że dręczyło go coś, co zdarzyło się parę lat wcześniej u MacLarena, a o czym nigdy nikomu nie mówił. Zaprzyjaźnił się tam z pewnym chłopcem około czternastu lat, ładnym i delikatnym - bardzo złe zestawienie w więzieniu. Chłopak trafił do MacLarena, ponieważ jego przybrani rodzice nie chcieli się już nim zajmować, a nie miał żadnych żyjących krewnych, którzy by go wzięli. Inaczej mówiąc, był sam - sierota. Bez rodziny, bez odwiedzin, bez przyjaciół. Był jednym z tych dzieciaków - pisał Gary - których i wychowawcy, i wychowankowie mogli traktować, jak tylko chcieli; nikt by nie przemówił słowa w jego obronie. Gary opowiadał, że pewnego razu zobaczył, jak dziesięciu innych chłopców zaczęło go gwałcić. Powiedział, że teraz jego kolej, lecz nie skorzystał ze sposobności, czym zaskarbił sobie zaufanie chłopaka.

Im bardziej się nad nim znęcali, tym gorzej chłopak to znosił. Któregoś dnia się rozchorował. Wychowawcy wysyłali go co jakiś czas do izby chorych, ale jakoś mu się nie poprawiało. W końcu uznali, że symuluje chorobę, żeby przygotować ucieczkę. Gary raz się z nim przespał, powiedział o tym matce; uważał, że to niewinny chłopak, spragniony miłości i ochrony. Pewnej chłodnej nocy chłopak wezwał strażnika i poprosił o pozwolenie na wyjście do izby chorych, ale tamten odmówił. Podszedł więc do koi Gary'e - go i spytał mego brata:

- Czy mogę zostać tu z tobą na noc? Boję się i chciałbym, żeby ktoś mnie objął.

Gary przekimał z nim część nocy, przytulił go, dotknął ręką jego rozgorączkowanego czoła, mówił do niego czule.

- Chciałbym stąd zniknąć - powiedział chłopak i zwinął się w kłębek w ramionach mego brata. - Gdybym tak mógł się rozplątać, żeby nikt mnie nie mógł dosięgnąć! - Wreszcie usnął w objęciach Gary'ego.

Kiedy Gary się zbudził, wciąż jeszcze obejmował chłopca, który jakby skulił się w

sobie, zimny i martwy. Mój brat został tak, trzymając chłopca w objęciach i pieszcząc jego twarz.

„I ze mną mogłoby się tak zdarzyć, gdyby nikt mnie stamtąd nie odebrał - pisał Gary. - Byłem zbyt zdrowy na to, żeby umrzeć tak jak on, więc próbowałem ucieczki jako jedynej drogi, którą znam. Wybacz mi, mamó”.

Historia ta jest, jak sądzę, jeszcze jednym z tych nieuniknionych kłamstw, jakie członkowie mojej rodziny nauczyli się opowiadać o sobie, żeby przekazać znacznie od nich gorszą prawdę. MacLaren nie odnotował w tym czasie żadnego takiego zgonu, a w aktach Gary'ego nie było najmniejszej wzmianki o czymś, co choćby w odległy sposób mogło się z tym kojarzyć. Nie wierzę, by to się stało w dosłownym sensie, choć w przenośni i może w głębszym znaczeniu historia ta jest prawdziwa. Myślę, że tym chłopcem, o którym Gary mówił, że tak pragnął rozpuścić się w nicości - był on sam. Myślę, że Gary pisał o swej ostatniej nocy na ziemi, zanim stał się wystarczająco okrutny, by zaprzagnąć przetrwać resztę życia.

Zaszła w nim jakaś zmiana. Wychowawcy z zakładu odnotowywali systematyczną poprawę; wydawało się, że wysiłki ekspertów nie idą na marne. W czerwcu 1956 roku terapeuta Gary'ego pisał: „Psycholog regularnie spotykał się z Garym, dyskutując z nim problemy związane z jego stosunkiem do strachu i gniewu. [Gary] ujawniał znaczny lęk, jeśli idzie o stosunki z ludźmi, bał się zarówno tego, co on sam może im zrobić, jak i tego, co oni mogą zrobić jemu. Zdradzał wciąż rysy osobowości natrętczej, odczuwając przymus trzymania się dawnych zachowań. Ujawniał poczucie odrzucenia przez rodzinę, zwłaszcza przez ojca, czuł się przez niego zraniony zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Mówił o przenoszeniu się z miejsca na miejsce we wczesnym okresie życia, miał za sobą wiele walk i zachowań agresywnych”.

Przedstawiciele zakładu twierdzili zgodnie, że Gary znalazł się w punkcie zwrotnym i że nadszedł czas, by zmierzył się z nową perspektywą bardziej realistycznych wymagań życiowych, współpracując z otoczeniem i rodziną. Nadeszło lato i doradca wdrożył program zwolnienia warunkowego, które będzie zależało od postawy samego Gary'ego. Mógł on powrócić do domu i zapisać się na drugi rok nauki w Szkole średniej Franklina w Portlandzie. Mógł także podjąć pracę w niepełnym wymiarze czasowym, unikając przy tym kontaktów z elementem przestępczym i powstrzymując się od działań sprzecznych z prawem. Zgodził się też na stałe cotygodniowe kontakty z terapeutą z kliniki psychologicznej Uniwersytetu Portlandzkiego. „Wydaje się, że Gary'emu bardzo zależy, by kontynuować taki program - pisał ekspert. - Zaznaczył, że sam pragnie płacić za tego rodzaju usługi, ponieważ nie chce



obarczać dalszymi wydatkami ojca. Mam nadzieję, że uda mu się kontynuować terapię... i odnieść z tego większy pożytek”.

1 września Gary został warunkowo zwolniony z Zakładu Poprawczego MacLarena i wrócił do domu.

- Nigdy już nie widziałem się z Garym - wspominał Duane. - Dostałem zwolnienie warunkowe i poszedłem do pracy. Niedługo potem moja przyjaciółka zaszła w ciążę i powiedziałem „pa, pa” dawnym kolegom. Wiedziałem, że jeśli nie przestanę się z nimi zadawać, z małżeństwa będą nici. Od tego momentu życie poszło szybko naprzód. Czytałem w gazecie o wielu chłopakach, których poznałem w zakładzie. Wielu z nich trafiło do więzienia z tego lub innego powodu, wielu zmarło gwałtowną śmiercią. A potem bach, i widzę któregoś dnia tego biedaka Gary’ego na pierwszej stronie; mają go zabić w Utah. Mieszkałem w Kalifornii, pracowałem w zakładach papierniczych nad zatoką, także tego rana, gdy wykonali na nim wyrok. Nie sądziłem, że kiedykolwiek do tego dojdzie, wierzyłem, że coś lub ktoś stanie na przeszkodzie. To, że Gary źle zrobił, nie ulega kwestii, ale, mój Boże, trzymamy przy życiu „rodzinę” Mansona, takiego typu! Jest tylu gorszych, którzy nigdy nie uczynili, jak Gary, wysiłku odkupienia, nawet im to nie przyszło do głowy. Gdy oglądałem Gary’ego w dzienniku telewizyjnym, brnącego przez to wszystko jak Don

Kichot w patetycznym rytuale, nieraz sobie myślałem, że mógłbym do niego podejść, podać mu rękę i powiedzieć: „Cholera, Gary, daj se z tym spokój, przestań upokarzać tych skurwysynów, zabiją cię ani chybi, jeśli nie przestaniesz. Choć raz w życiu się ugnij. Jeśli dasz im, czego chcą, powiesz «wybaczam i proszę o wybaczenie», będziesz żył”. Jestem o tym głęboko przekonany, że gdyby Gary przyznał, że znajdował się pod wpływem siły wyższej, której nie mógł się przeciwstawić, toby go oszczędzili. Musiał się zmierzyć z tyloma złymi ludźmi. Pamiętam, jak mówiłem do żony: „Ci cholerni mormoni mają Boga po swojej stronie i nie odmówią sobie prawa do wykonania boskich rozporządzeń, tak jak je widzą”. Gorliwość takiej religii jest czymś strasznym.

Zanim się rozstaliśmy, Duane dorzucił jeszcze ostatnią uwagę, którą chciał się ze mną podzielić.

- To musi być dla ciebie bolesne, kiedy słyszysz o takich rzeczach. Przynajmniej ja bym tak się czuł, gdyby chodziło o mojego brata. Gary był starym kumplem, którego noszę w sercu, a jestem lojalny w stosunku do starych przyjaciół. Nie był jakimś prostackim, bezmyślnym potworem, jak gazety zwykle przedstawiają kogoś, kto popełnił taki akt przemocy. To był dobry facet, któremu życie się popierdoli - ło. Sporo spieprzył sobie sam, na własne życzenie. Ale nie wszystko. Z pewnością nie wszystko.



## BEZ OPAMIĘTANIA

Pod nieobecność Gary'ego rodzina cieszyła się niezwykle dla niej okresem spokoju. Interes reklamowy ojca rozwijał się znakomicie, obejmując dodatkowo roczne zestawienia działalności handlowej w stanach Oregon i Waszyngton. Ojciec zarabiał tyle, że mógł otworzyć biura w Portlandzie, Seattle i Tacomie, sam zaś spędzał czas w podróży, nadzorując pracę wynajętych akwizytorów ogłoszeń. Mój siedemnastoletni brat Frank, uczeń Szkoły Średniej Franklina, zdradzał silne zainteresowanie magią. Niewątpliwą inspiracją tej namiętności była wciąż żywa legenda rodzinna o jego domniemanym dziadku, Houdinim, ale bez dwóch zdań: Frank miał do tego smykałkę. Tymczasem prawdziwą sławą cudownego dziecka cieszył się dziesięcioletni Gaylen, uczeń szkoły parafialnej, który znał już większość dzieł Szekspira i recytował z pamięci najmroczniejsze poematy Poego. Ponad wszystko jednak - może z wyjątkiem dziewcząt, które kochał już jako dziecko - pasjonowała go poezja miłosna. I w końcu umrze nad niedokończonym wierszem, a kilka lat wcześniej pewnego romansu omal nie przypłacił życiem.

Tylko mama liczyła dni do wyjścia Gary'ego. Tm częściej widywała, jak ojciec go bije i traktuje tak, jakby Gary nie był jego synem, im więcej kar obrywał w szkole i im bardziej był prześladowany przez stróżów prawa, tym mocniej czuła, że Gary jest właśnie tym jej dzieckiem, które się kocha najbardziej. I nie tylko dlatego, że grał on teraz tę rolę, która jej samej przypadła we własnej rodzinie - rolę czarnej owcy. To było coś więcej. Tak jak mój ojciec, również Bessie Gilmore miała swe mroczne sekrety, których strzegła przed innymi.

Gary wrócił do domu i spokój prysł. Nie minęło nawet parę dni, gdy wdał się z ojcem w zacieklą wojnę, która toczyła się dzień i noc. Nieustannie łamał porządek domowy i zachowywał się na tyle bezczelnie, iż ojciec groził, że go odeśle do MacLarena; raz czy dwa nawet wezwał odpowiedniego urzędnika. „Wydaje się, że ci dwaj, Gary i jego ojciec, nie są w

stanie ustalić jakiejs zasady współżycia pod jednym dachem... - napisał ów urzędnik po jednej z takich wizyt. - Każdy z nich jest tak podejrzliwy wobec drugiego, że zachowanie dobrych stosunków wzajemnych nie leży chyba w granicach ich możliwości. I chłopak, i jego ojciec chcieliby być przyjaciółmi, ale widocznie obaj sądzą, że obraza jest najlepszą obroną. Kompromis wydaje się tu trudny do osiągnięcia. Sytuacja nie jest jednak beznadziejna i być może regularne konsultacje z psychiatrą Gary'ego pozwoliłyby ustalić jakąś płaszczyznę porozumienia między tymi skłóconymi ze sobą ludźmi”.

Niestety, po jednej z wielu kłótni ojciec odmówił ponoszenia dalszych kosztów konsultacji psychologicznych Gary'ego. Nie dostrzegał w nich żadnego pożytku. Urzędnik poręczający zwolnienie warunkowe Gary'ego rozłożył tylko ręce. „Pan Gilmore, jak się zdaje, nie jest zdolny do jakiegokolwiek odbudowy pozytywnego stosunku emocjonalnego z Garym - napisał. - Jedyne nadzieje w tym, że Gary dzięki relacjom koleżeńskim w szkole nabędzie koniecznej dojrzałości, która umożliwiłaby mu dalsze korzystanie ze zwolnienia warunkowego mimo tych wszystkich negatywnych czynników domowych. To jednak, w jakiej mierze te pobożne życzenia mają szansę realizacji, będzie teraz zależało od osiągnięć Gary'ego w szkole”.

Wznowienie wrogich stosunków między ojcem a synem rzutowało na obraz życia całej rodziny. Pewnego razu mama zastała Gaylena siedzącego na tylnych schodkach, całego we łzach. Co się stało? Gary miał właśnie kłótnię z ojcem i wybiegł z domu. Na progu natknął się na Gaylena, który tarasował mu przejście. Gary podniósł go tylko i odrzucił dalej na ganek. Braciszek, który jeszcze rok temu się z nim bawił, był tym bardzo rozżalony.

- On się zmienił, mamo - żalił się, szlochając. - Już nas nie lubi.

- Tak - zgodziła się mama, tuląc Gaylena. - Wiem, on jest teraz inny. Ale czasem bywa już za późno, żeby ludzie mogli się zmienić. Więc trzeba ich kochać takich, jacy są.

To wtedy zaczęły się w naszym domu te okropne stałe kłótnie przy obiedzie. Wspólny posiłek nigdy nie był przyjemny - głównie dlatego, że jedynie wtedy cała rodzina musiała się zebrać przy stole. Nieobecność na obiedzie lub choćby tylko spóźnienie stanowiły pogwałcenie jednej z najświętszych zasad ojca. Gary'ego jednak po powrocie z Mac - Larena coraz częściej brakowało przy stole, nieraz zostawał po lekcjach z kolegami albo pojawiał się dopiero po zmroku odgrzewał sobie posiłek. To przestępstwo było powodem strasznych walk między nim a ojcem i doprowadziło do tego, że tato zabronił mu w ogóle jadać w domu, póki nie nauczy się żyć według reguł.

Frank bardzo dobrze pamięta te awantury. Kuchnia była w małym pomieszczeniu na

tyłach domu. Tam jadaliliśmy obiad. Mama siadała z jednej strony stołu, Gaylen z drugiej, Frank i Gary siedzieli obok siebie, a ja przy ojcu, naprzeciw starszych braci.

- Siadaliśmy pr/y stole - wspominał Frank - i mieliśmy zawsze wspaniałe jedzenie. Panierowane w tartej bułce kotlety cielęce, pieczone lub gotowane kartofle, warzywa wszelkiego rodzaju, deser i co kto sobie życzył do picia. Do tego czasami świeży chleb domowego wypieku. Można powiedzieć, jadało się po królewsku. Tyle że nie bardzo można się było cieszyć tym jedzeniem. Siadaliśmy, zaczynaliśmy jeść, a mama zawsze musiała wtrącić coś w rodzaju: „Wiecie, zastanawiam się, gdzie Gary mógł się podziać”. Na to natychmiast odzywał się tata: „Nic mnie to nie obchodzi, gdzie on się obraca. Cieszę się, że go tu nie ma”. Albo Gary właśnie wpadał, a tato podnosił głos: „Co ty tu, u diabła, robisz? Nie prowadzimy stołówki. Wynoś się!” Mama przychodziła zaraz Gary’emu z odsieczą i zażegnany - wała spór: „Nic nie szkodzi, odgrzeję mu danie i będzie mógł zjeść. Chyba mam tu jeszcze coś do powiedzenia”.

Stale tak było. Najczęściej ona i tato wydzierali się i skakali sobie do oczu. A jeśli któreś z nas próbowało się wtrącić przed końcem obiadu, to tylko pogarszało sprawę. Prędzej czy później przychodził moment, gdy mama brała coś ze stołu, zwykle coś dobrego, jak pieczeń czy ciasto, a nieraz też talerz lub czajnik, i rzucała tym z hukiem o podłogę albo ciskała w kierunku taty. Wtedy mógł wyjść, wyzywając ją od zwariowanych suk, a my wszyscy musieliśmy dalej siedzieć przy stole - mama szlochała, jedzenie było zmarnowane, żadnej ucieczki. Mówię ci, zawsze tak się działo. Powtarzało się to stale, latami, aż nabawiłem się lęku przed jedzeniem; już na samą myśl o tym mój układ trawienny staje dęba.

Nawet gdy nie chodziło o Gary’ego, awantury stanowiły niezmienną regułę obiadu.

i Tak się bałem tych obiadów - ciągnął Frank - że zwykle stawiałem talerz na samym brzegu stołu, jadłem nerwowo i szybko. Tato patrzył na to z obrzydzeniem pewnego razu...

Wszedłem mu w słowo, bo nagle przypomniał mi się ów incydent. Było to jedno z tych paru zdarzeń z tamtego okresu, które z jakichś powodów akurat zapamiętałem.

- Ojciec chwycił cię za głowę - dopowiedziałem - i wtłoczył ci twarz do talerza.

i Pamiętasz to? - zdziwił się Frank. - Nie mogłeś mieć wtedy więcej niż pięć lat. Masz rację, tak, właśnie to mi zrobił. Podszedł do mnie, chwycił z tyłu za głowę i wepchnął mi ją prosto do gulaszu. Byliśmy właśnie przy tym daniu. - Frank przerwał na chwilę, a potem się roześmiał. - Całą twarz miałem wysmarowaną gulaszem, marchewką ziemniakami. Teraz mogę się z tego śmiać, ale wtedy nie było mi do śmiechu. To było upokarzające, nędzne i żalotne. Nie skończyłem obiadu. Wstałem od stołu, poszedłem się umyć i usiadłem gdzieś na

zewnątrz. Pamiętam, że Gaylen potem do mnie podszedł, usiadł obok. „Chłopie - powiedział - żebyśmy choć raz mogli zjeść obiad bez tych wszystkich awantur. Ale oni nigdy nam nie dadzą. Szukają tylko okazji do zwady albo jakiegoś pretekstu, żeby wszystko zwalić na nas”. Pamiętam, jak łzy mu płynęły, gdy to mówił. Wiedziałem, co ma na myśli. Jezu, nie chodziło w końcu o jedzenie! Wiem, są ludzie, którzy całe życie cierpią głód; błagaliby o taki posiłek. Myśmy mieli to szczęście, że jedzenia nam nie brakowało, ale nie mogliśmy, ot tak, sięść sobie i normalnie to zjeść, ponieważ było tych dwoje głupców, którzy wyzywali się nawzajem, aż wszystkim wychodziło to bokiem. Chyba w piekle nie byłoby gorzej.

Frank westchnął, umilkł, przypominał sobie tamte czasy.

- Tato miał cholernie dużo tych zasad - odezwał się po chwili. - Miał dziesięć tysięcy zasad, wiedział, że nie ma takiego, kto by mógł je wszystkie uszanować. W ten sposób zawsze znalazło się coś, za co mógł ci przyłać. A po MacLa - renie Gary wciąż nadeptywał tacie na odcisk.

Gary opuszczał coraz więcej posiłków. Właściwie już zrezygnował z naszego domu, a zasady ojca były dlań nie do przyjęcia.

Zycie Gary'ego toczyło się już niemal całkowicie poza domem. Jak się domyślał doradca z MacLarena, to, co działo się w szkole, też niewiele go obchodziło. Jego nowymi kumplami byli chłopcy, których poznał w domu poprawczym, lub starsi i bardziej doświadczeni znajomi tych koleśków.

Trzymał się zwłaszcza tych, którzy wiedli nocne życie. W dolnej części śródmieścia Portlandu był wówczas bar nastawiony głównie na homoseksualistów. Policja nie widziała wśród jego klienteli grup przestępczych czy uciekających się do przemocy, a jeśli kogoś tam aresztowano, to głównie gejów. Rozeszły się więc pogłoski, że to miejsce jest bezpieczne dla nastolatków; póki nie znaleziono przy nich sfałszowanych dowodów tożsamości, nie mieli tam żadnych kłopotów. Bar stał się ulubioną przystanią Gary'ego. Choć odżegnywał się on w głos od jakichkolwiek form aktywności homoseksualnej w więzieniu, spotkałem osoby, które zaklinały się, że było inaczej. Rozmawiałem później z mężczyznami, którzy chodzili z nim do tego baru; opowiadali, że widzieli, jak siadywał w ustronnych kabinkach i całował się z jakimiś młodymi ludźmi lub pozwalał starszym trzymać rękę na swych obcisłych dzinsach. Przesiadywał tam stale facet, którego nazywano Johnem; wykazywał szczególne zainteresowanie Garym i jego paczką. Chłopcy sprowadzali przyjaciółki do jego mieszkania w śródmieściu i zostawiali na całonocnych bib - kach, a potem, gdy Gary i niektórzy jego kumple kradli już regularnie i potrzebowali skrytek, John używał im niekiedy swego lokalu. W drodze rewanzu Gary i inni chłopcy rzucali monetę, a ten, który przegrał, musiał obciągać

Johnowi, a czasem i jego kumplom.

Pomimo tych gejowskich flirtów Gary cieszył się opinią faceta, który ma wielkie powodzenie u młodych kobiet.

Mówiono, że podobał im się chłód, z jakim na nie patrzył, rozbierając je wzrokiem, a niektóre ceniły sobie łatwość, z jaką nie tylko pociągał drinki, ale popalał marychę, łykał syrop na kaszel i tabletki stymulujące. W każdym razie jeśli dziewczyna wychodziła z Garym, to zdaniem jego kumpli wiedziała, że randka będzie rozbierana. Taką miał reputację. Wychodzili gdzieś na zewnątrz i szukali jakiegoś ustronnego miejsca, a potem dziewczyna, z duszą na ramieniu, sama wracała do domu. Zdarzało się, że Gary z kumplem umawiali się z dwiema dziewczynami naraz, kradli wóz i skręcali w jakąś ustronną wiejską drogę. Gary obracał jedną z dziewczyn na przednim siedzeniu, a drugą jego kumpel z tyłu. Potem dziewczyny zamieniały się miejscami i powtarzały to samo z innym chłopakiem. Gary znany był z tego, że szybko zmierzał do celu, mówili jego kumple.

- Nie lubił tracić czasu - wspominał jeden z nich. - Zaczynał zwykle od czegoś takiego: „To jak, zabieram się do ciebie?” Większość dziewczyn nie miała nic przeciw temu. Więc tak się z nim zabawiały.

Nocne akcje stawały się coraz poważniejsze. Gary włamywał się do aptek i innych zamkniętych lokali, szukając tam narkotyków, forsy i broni. Jak zgarnął tysiąc dolców lub więcej, kupował nowe ubranie, jakieś prochy i napitki i bawił się aż do świtu. Noc w noc powtarzało się to samo. Palili trawkę, brali dziewczyny do Johna lub wyciągali je na przejażdżkę, a potem pili na umór. Jeśli akurat nie mieli kobiet albo kończyły się im pieniądze, włamywali się do kolejnego domu czy sklepu. W mieszkaniach szukali głównie pierścionków i zegarków. Lubili przy tym popatrzeć, jak ludzie sobie żyją.

Kiedy Gary jeszcze wracał na noc do domu, musiał przechodzić koło wielkiego supermarketu przy drodze z Reed College na Woodstock Boulevard, około mili od domu. Cała nasza rodzina bardzo lubiła robić tam zakupy, a ojciec od dawna miał opinię jednego z najlepszych klientów. Parę lat temu Gary’ego przyłapano w tym sklepie na kradzieży; na oczach wszystkich kierownik powłókł go za rękę przez całą halę i wezwał ojca. Ojca nadal chętnie tam widziano, lecz Gary’emu zakazano wstępu. Musiał sobie zapamiętać tę gorzką lekcję. Pewnego wieczoru przechodził tamtędy, gdy zamykano sklep. Naciągnął na głowę nylonowa pończochę, wszedł do pomieszczeń biurowych i wymierzył gnata w kierownika tego samego, który przed laty prowadził go za rękę.

- Jeśli nie chcesz, żebym ci wsadził lufę w dupę i pociągnął za spust, dawaj całą forszę, jaką masz w kasie.

Wyszedł ze sklepu z torbą na zakupy wypełnioną osiemnastoma tysiącami dolarów. Trochę sobie wtedy odłożył. Nigdy go nie zatrzymano. Nikt nawet nie podejrzewał Gary'ego.

Innego wieczoru wyszedł ze swym kumplem Clyde'em. Zażyli jakieś prochy i poszli na występ Little Richarda. Świątowali małą uroczystość. Żeby podbudować Gary'ego, ojciec kupił mu używanego oldsmobile'a. Wtedy po raz pierwszy Gary wziął ten piękny wóz. Był z niego dumny jak diabli. Około drugiej w nocy jechali z Clyde'em wzdłuż Osiemdziesiątej Drugiej, głównej ulicy wschodniego Po - rtlandu, gdy przytrafił się im przymusowy postój. Olds Gary'ego wymagał uzupełnienia paliwa.

- Cholera - zaklął Clyde. - Co teraz zrobimy?

Gary wzruszył ramionami.

- Nie wiem. - Wyjrzał przez okno i dostrzegł parking pełen używanych aut. - Chyba rąbniemy inny wóz.

Parę minut później pędzili Osiemdziesiątą Drugą chevro - letem 1956. Gary prowadził. Przejechali na czerwonym świetle, a po chwili już im siedział na ogonie wóz policyjny, błyskając światłami.

Gary i Clyde spojrzeli po sobie.

- Co robimy? - spytał Clyde.

Gary uśmiechnął się tylko.

I A pieprzyć ich! wcisnął gaz do dechy.

W tamtych czasach Osiemdziesiątą Drugą można było szybko się dostać na wiejskie drogi przecinające bezpańskie ziemie, które do dziś otaczają Portland. Gary mknął przed siebie w kierunku jednej z takich dróg; chevy, rycząc potężnie, wyciągał chyba ze sto dziesięć mil na godzinę. Za nimi były już trzy wozy policyjne. Nagle niemal tuż przed maską Gary zobaczył zajeżdżające drogę tiry. Szaleńczym skrętem wyminął je w ostatnim momencie, po czym bezpiecznie pomknął dalej. Dwa wozy z policyjnego pościgu zamieniły się w złom.

- No, no, chłopie! - wrzasnął Clyde. - Ale z nas gangsterzy!

Parę minut później Gary usłyszał kichnięcie. Wóz toczył się bez paliwa, jedynie siłą rozpędu. Wprowadził go jeszcze na jakiś podjazd i obaj z Clyde'em prysnęli. W tej samej chwili obskoczyło ich piętnaście glin, strzelając ostrzegawczo w powietrze. Schwytali Clyde'a, zanim zdołał zbiec albo się ukryć, ale Gary był szybszy.

Nazajutrz siostra Clyde'a, próbując ratować dupę brata, zeznała policji:

- Gary'ego Gilmore'a możecie znaleźć u handlarza owocami w centrum Portlandu - i podała adres Johna.

Gary'ego i Clyde'a zatrzymano w areszcie hrabstwa i po kilku tygodniach postawiono

przed sądem dla dorosłych. Clyde był zestrachany jak diabli, ale Gary nie dał sobie w kaszę dmuchać. Ta pewność siebie opłaciła się. Ojciec wynajął dobrego adwokata, jednego z najlepszych portlandzkich obrońców w sprawach politycznych, który wydebił dla Gary'ego rok z warunkowym zawieszeniem. Taki sam wyrok dostał Clyde. Dobrze, stare czasy.

Wcześniej czy później coś musiało się zdarzyć.

Pewnej upalnej nocy w połowie lipca 1957 roku Gary

i Clyde włączyli się po mieście, wypatrując jakiejś okazji i szukając kłopotów, jak zazwyczaj. Wracali właśnie z przyjęcia we wschodniej dzielnicy, na którym palili trawkę. Idąc Pięćdziesiątą Drugą Aleją, zbliżali się do Division. Około wpół do trzeciej przechodzili obok biurowca. Gary rozejrzał się. Ulica wydawała się pusta, wszędzie było cicho i spokojnie.

- Wchodzimy - zdecydował.

Znaleźli niedomknięte okno, wyważyli je, wsunęli się do środka. Chwilę później Gary uwijał się przy biurku, gdzie natknął się na automat kalibru 32. Broń była załadowana zarepetowana, o czym Gary nie wiedział.

Nieco dalej mieściła się duża drogeria. Gary i Clyde postanowili ją obrobić. Kiedy szli Division, Clyde zwrócił się do Gary'ego:

- No, dalej, Gary, jeszcze nikogo nie obrabowałeś z bronią w ręku.

- Owszem, zdarzyło mi się. Obrabowałem sklep spożywczy koło domu.

- E tam, pieprzysz. Lepiej pokaż, jak to się robi.

- A tak - odparł Gary. Odwrócił się, wycelował broń w środek tułowia Clyde'a i pociągnął za cyngiel.

Clyde ujrzał niebieski płomień u wylotu lufy i poczuł pieczenie w żołądku.

i Jezus, człowieku, zastrzelełeś mnie - zdążył powiedzieć upadł.

Gary tylko rzucił na niego okiem i pobiegł ulicą.

Chwilę później Clyde usłyszał jeszcze dwa strzały. „Jezus, Maria! - pomyślał. - Co się stało z Garym? Zabił kogoś czy strzelił do siebie?”

Próbował wstać; udało mu się podejść do rogu, gdzie zatrzymał przejeżdżającą taksówkę. Wyjaśnił, że został postrzelony i chce się dostać do szpitala. Kiedy dotarli do izby przyjęć, powiedział kierowcy:

- Jestem splukany.

- Zasrany lachmyta - stwierdził taksówkarz i odjechał.

Po godzinie przyszła do szpitala matka Clyde'a, gliny były już na miejscu. Clyde nie zdradził, kto i w jaki sposób go postrzelił. Lecz jego matka zwróciła się do funkcjonariusza i spytała:



- Dlaczego nie sprawdzicie Gary'ego Gilmore'a? Wygląda na to, że on to zrobił. VIatka Clyde'a obstawała przy swoim, ale on sam nie obciążył Gary'ego.

- Zrobiłbym to samo - wyjaśnił później. - Pomyślałbym sobie: „Cholera, zabiłem faceta. Lepiej się zmywać”.

Wykpili się policji, ale ciążył na nich jeszcze tamten wyrok za kradzież wozu. Gary stanął ponownie przed sądem dla dorosłych. Tym razem nie na wiele się zdała pomoc dobrego prawnika. Został skazany na rok pobytu w Rocky Butte, więzieniu hrabstwa Multnomah. Miał szesnaście lat. znów opowiadam wam historie, których sam nie mogę pamiętać. Wiedzę tę czerpię z ustnego przekazu naszej tradycji rodzinnej, z tego, co wspominali bezpośredni świadkowie, lub z wywiadów i dokumentów tego czy innego rodzaju. Gary nie był dla mnie kimś, kto wyłania się z mych osobistych wspomnień, a już na pewno nie ze wspomnień mojego dzieciństwa. Prawdę mówiąc, nie pamiętam Gary'ego jako kogoś, kto krząta się cały czas po domu, tak jak moi rodzice i pozostali bracia. Pamiętam go raczej jako kogoś, o kim się mówi z pewnym wymuszonym dystansem, jako kogoś, kto swą działalnością poza domem nieustannie podkopuje nasz spokój, niczym burza, która czai się za drzwiami.

Mama opowiadała mi, że kiedy byłem brzdącem, Gary chętnie brał mnie na kolana, lubił się ze mną bawić. Opowiadała także, że gdy musiał sprawić sobie coś do szkoły lub jakieś ubrania, zabierał mnie ze sobą do miasta zwykle odstawiał z powrotem obładowanego jakimiś nowymi łupami, które kupował mi za własne kieszonkowe. A potem wybuchał śmiechem, gdy mama utyskiwała, że wydaje wszystkie pieniądze na rozkapryszonego bachora. Chyba nawet nie przyszłoby mu do głowy, że jakieś dziecko może go na coś naciągnąć. Muszę tu jednak polegać na tym, co mówiła mi mama. Po prostu nic z tego nie pamiętam.

Z wczesnego dzieciństwa zapamiętałem wyraźnie tylko parę zdarzeń wiążących się z Garym. Oto one.

Kiedyś rano - musiało to być w tym krótkim okresie wolności między MacLarenem a więzieniem hrabstwa - mama powiedziała mi, żebym go obudził, bo jeszcze się spóźni do szkoły. Pobiegłem po schodach na górę i otworzyłem drzwi do sypialni braci. Gary siedział na łóżku. Z prawej strony nachylała się nad nim jakaś dziewczyna, goła, z czarnymi włosami. Głowę trzymała między jego kolanami, wsuwając ją i wysuwając. Z lewej strony była inna dziewczyna, z długimi brązowymi włosami. Klęczała nad moim bratem i wkładała mu pierś do ust. Gary podniósł wzrok i gdy mnie zobaczył, poklepał zaraz po głowie tę z czarnymi włosami. Przestała go ssać i usiadła obok niego na poduszce.

- To mój mały braciszek Mike - przedstawił mnie Gary.

Dziewczyny zachichotały, a czarnowłosa kiwnęła w moją stronę.

- Cześć, Mike - powiedziała. - Chcesz się do nas przyłączyć? - I potrząsnęła wielkimi piersiami. Pamiętam nawet owalny kształt jej ciemnobrązowych brodawek.

- Wyświadczyć mi przysługę, kolego - odezwał się Gary. - Nie wspominaj o tym mamie ani tacie. Powiedz im, że mnie nie było.

Przytaknąłem, zbiegłem na dół i poszukałem matki. Powiedziałem jej o Garym z dwiema dziewczynami w łóżku. Nie wiem, czemu to zrobiłem. Przecież zawsze chciałem, żeby bracia mnie lubili. Oceniając to z pewnej perspektywy, myślę, że po prostu musiałem o tym komuś powiedzieć, a mama była pierwszą osobą, którą napotkałem. Pamiętam, że to był ten jeden jedyny raz, kiedy mama naprawdę wściekła się na Gary'ego. Poszła do kuchni i powiedziała ojcu. I pamiętam, że ojciec się roześmiał.

- A, do diabła - odparł. - Jest przecież mężczyzną.

Udał się na górę i powiedział coś łagodnym tonem do tych dziewczyn. Potem wszyscy się ubrali, wsiedli do wozu odjechali.

Pamiętam jeszcze żywo pewną noc Bożego Narodzenia; może to były te święta po powrocie Gary'ego z Zakładu MacLarena, a może o rok czy dwa późniejsze. Siedziałem w swoim pokoju, bawiąc się prezentami, gdy wszedł Gary.

- Cześć, Mike, co tam u ciebie? - spytał, siadając na łóżku.

- Chyba przyjmiesz ode mnie świąteczne życzenia? - Miał ze sobą karton piwa i mówił takim niewyraźnym głosem. - Wiesz, kolego - ciągnął - chciałem z tobą trochę pogadać.

To była pierwsza towarzyska propozycja z jego strony, jaką pamiętam. Ale potem nastąpiły intymne zwierzenia, których w ogóle się nie spodziewałem i których nie mógłbym nawet zrozumieć w tak młodym wieku. Siedział na moim łóżku, pociągał świąteczne piwo i ze wzrokiem utkwionym w jakieś jemu tylko wiadome miejsce opowiadał mi przerażające rzeczy. Były to historie o chłopcach, których poznał w izbie zatrzymań i w zakładzie poprawczym, gdzie spędził tyle czasu, opowieści o chojrakach, którzy nauczyli go bezlitosnego kodeksu jego nowego życia, i o mięczakach, którzy nie wiedzieli, co robić, żeby ująć stamtąd z życiem.

A potem Gary udzielił mi jednej z tych lekcji, których nigdy nie zapomnę.

- Musisz nauczyć się być twardym - mówił. - Nie wolno ci się przejmować różnymi sprawami i uczuciami. Żadnego bólu, żadnej złości, nic. I musisz zapamiętać: jeśli zechcą spuścić ci baty, nawet gdy cię przewrócą i będą kopali, musisz im na to pozwolić. Nie

możesz oddać. Za nic nie możesz im oddać. Leż tylko przed nimi i niech cię biją, niech cię kopią. Leż sobie tylko i pozwól im na to. To jedyny sposób, żebyś przetrwał. Jeśli im na to nie pozwolisz, zabiją cię.

Odstawił piwo, zbliżył się do mnie i ujął w dłonie moją twarz.

- Musisz to sobie zapamiętać, Mike - powiedział. - Przyrzeknij mi to. Przyrzeknij, że będziesz mężczyzną. Przyrzeknij mi, że pozwolisz, by cię bili.

Siedzieliśmy w tę zimową noc, patrząc na siebie. Obejmował moją twarz rękami, a kiedy mnie prosił, bym mu obiecał, że przyjmę swe baty, z jego zaczerwienionych oczu płynęły łzy. Tylko dwa razy widziałem go płaczącego, wtedy po raz pierwszy. Więc obiecałem mu: tak, pozwolę im się kopać. Ale bałem się już wtedy, gdy to mówiłem - bałem się, że ktoś naprawdę mnie spierze, i bałem się, że złamię słowo dane Gary'emu.

Myślałem, że mówi mi, jak przetrwać w więzieniu. Teraz wiem, że mówił, jak przetrwać w naszej rodzinie.



#### RAZEM Z OJCEM

Kiedy się urodziłem, ojciec zaczął prowadzić albumy rodzinne, które zappełniał niemal wyłącznie moimi fotografiami. Jak przypuszczam, oddają one rzeczywistość najwcześniejszych lat mego dzieciństwa: ojciec się mną zajmował. Przez wiele lat w istocie aż do jego śmierci - tworzyliśmy własną rodzinę.

Już nigdy potem nie zaznałem takiej opieki i takiej miłości. Sadzał mnie sobie na kolanach, podrzucał w górę i podśpiewywał:

- Jedzie sobie chłop, na koniku hop, hop, hop. Jedzie sobie pan, na koniku sam, sam, sam. Patataj, patataj...

Tulił mnie w ramionach, łaskotał, nazywał pieśczośliwie swoim Tamarakiem. Nie miałem pojęcia, skąd to wziął i co to miało znaczyć, pamiętam tylko, że tak mnie nazywał,

gdy byłem dzieckiem.

Więc jak wspomniałem, nie zaznałem już potem takiej miłości. I nie zaznałem też takiej samotności i strachu, i poczucia winy.

Choć życie moich braci upływało wśród zacieklej walk, jakie toczyli ze sobą rodzice - przy czym niezmiennie ojciec tłukł matkę, a bracia musieli na to patrzeć - ja znałem już inny charakter tych zmagania. Nigdy nie widziałem, żeby któreś z rodziców uderzyło drugie, lub może po prostu tego nie pamiętam. Nie mam wątpliwości, że wcześniej musiało to być na porządku dziennym; być może, gdy się urodziłem, ojciec jakoś się wreszcie nauczył powściągać swe pasje lub po prostu był już za stary, żeby przez cały czas tłuc wszystkich naokoło. A może bicie moich braci rozładowało już jego wściekłość.

Jedno nie ulega kwestii: rodzice walczyli ze sobą, i to często. Przerażliwe, małostkowe wrzaski świadczyły o tym, że niewiele brakowało, by zostały przekroczone granice przemocy. Nigdy jednak do tego nie dochodziło. Owszem, mama ojciec obrzucali się wzajemnie straszliwymi obelgami. Ojciec wyzywał matkę od „plującej jadem diabolicznej z piekła rodem”

i „tej szalonej, wścieklej suki”. Jako dziecko, a nawet jako ten, który często brał stronę ojca, wiedziałem, że takie obelgi są czymś strasznym, zwłaszcza jeśli dotyczą osoby, którą się kocha. Z kolei matka wypominała ojcu wszystkie te kobiety, które kochał i z którymi się żenił, by potem je porzucić; często też wyzywała go od „katolizów”, posługując się mormońskim przezwiskiem katolików. W porównaniu z obelgami, jakie miotał ojciec, jej zniewagi wydawały się łagodniejsze, ale tym bardziej go rozwścieczały. Kiedy podkpiwała sobie z jego religii, on nie pozostawał dłużny i zaczynał tyradę o mormonach, o złych daninach i o tym, jak zamordowano Josepha Smitha, o Brighamie Youngu pozostającym w związku małżeńskim z dwudziestoma siedmioma kobietami naraz i przeżywanym z tego powodu „Bring'em Young”<sup>1</sup>. Na koniec tych tyrad zwracał się do mnie i do moich braci:

- Kiedy następnym razem będziecie w Salt Lake City, chłopcy, spójrzcie no na ten pompatyczny pomnik, jaki wystawili Brighamowi Youngowi na Temple Square. Chciałbym, żebyście mu się dobrze przyjrzel. Zobaczycie wtedy, że ręką sięga do banku, a dupą odwraca się do kościoła.

Był to dowcip dość prostacki (choć trafnie opisujący lokalizację pomnika), ale celnie godzący w uczucia mamy. Pewnie czuła w takich momentach, że ojciec naśmiewa się z całej jej przeszłości, sprowadzając rzecz do głupiego żartu. Raniło ją to może tym głębiej, iż sama odcinała się od tej przeszłości - swej historii rodzinnej i mormońskiego dziedzictwa, owej nadziei, że stanie się dobrą owieczką tego Kościoła i jako taka będzie się mogła cieszyć łaską

---

<sup>1</sup> Nieprzetłumaczalna gra słów: „Bierz je, Młodziak!”

i błogosławieństwem bożym - a teraz wypominał jej to człowiek, który z taką przyjemnością ją poniżał.

Tak czy inaczej, temperatura tych scysji niezmiennie rosła, wspinając się ku crescendo grózb. Ojciec groził, że zostawi mamę i moich braci i nie będzie ich utrzymywał, niech sobie radzą, jak potrafią, albo zapowiadał, że wyrzuci mamę na bruk bez pieniędzy i bez prawa powrotu. Wciąż mam jeszcze w uszach ten arogancki, rubaszny ton, którym się z niej naśmiewał, i nadal pamiętam jej twarz wykrzywioną z bólu i wściekłości, gdy dosięgały ją te pociski. Przemawiał jej do rozsądku. To było bodaj najbardziej podstępne zachowanie, na jakie go było stać, chyba jeszcze gorsze od znęcania się nad moimi braćmi, i przynosiło natychmiastowy, piorunujący efekt. Nazywając Bessie wariatką, Frank Gilmore doprowadzał ją do stanu, w którym naprawdę stawała się wariatką. Oczy kłuły jak noże, twarz była jedną straszną maską, o jakimś sztywnym i dzikim wyrazie, jakby odmalowywały się na niej najgorsze pragnienia serca i umysłu. A potem mama krzyczała:

- Masz rację, jestem wariatką! Taką wariatką, że mogę nawet zabić. No, dalej, wal, co tam jeszcze masz w zanadrzu, możesz sobie ode mnie odejść. Zobaczysz, co ci zrobię. Jestem już taką wariatką, że pewnej nocy, kiedy będziesz spał, przyjdę do ciebie z ostrym nożem i poderżnę ci gardło, i dopiero będę się śmiać, jak krew ci chluśnie i będziesz walczył o ostatni oddech w swym parszywym, okrutnym życiu.

Niezależnie od tego, czy mama byłaby kiedykolwiek w stanie spełnić te obietnice, mówiąc tak, wydawała się niezwykle przekonująca. Nigdy nie widywałem jej równie strasznej. Wzrok miała wbity w ojca z tą śmiertelną zawziętością, jaką wywołuje tylko głęboka rana zadana przez osobę, którą się najbardziej kochało. To wtedy, w owych momentach, gdy widziałem tę groźbę w twarzy matki, nauczyłem się bać takiego gniewu. Gniewu urażonej kobiety. Niestety, nauczyłem się także, jak wywoływać taki gniew.

Gdy wreszcie matka przeobrażała się w szaloną istotę, doprowadzona do tego właśnie oskarżeniami o szaleństwo ciskanymi przez ojca, następowała przerwa w rozgrywce. Jakby ojciec czuł, że odniósł chwilowy sukces, ale bał się posunąć krok dalej, by go ugruntować. Uspokajał się i wycofywał do swego biura, a mama zostawała rozgniewana i upokorzona, sama w pustym pokoju.

Awantury te tak mocno wryły mi się w pamięć głównie dlatego, że najczęściej, Niestety, dotyczyły tej samej sprawy: chodziło o mnie. O to, które z rodziców będzie sprawować nade mną opiekę i codziennie mi towarzyszyć.

Być może ojciec nigdy w pełni nie odzyskał zaufania do mamy po tym incydencie, który się wydarzył w okresie mego niemowlęctwa i o którym opowiedział mi Frank. Może

czuł, że muszę być stale przy nim, bo inaczej nie będzie miał pewności, że nie przytrafi mi się nic złego. Albo może po prostu zrozumiał, że się starzeje: miał już wtedy pod siedemdziesiątkę i pragnął czyjejs bliskiej obecności. Myślę, że stanowiłem dla ojca ostatnią szansę miłości - takiej, która go nie odrzuci ani nie zdradzi, ani też nie podważy jego twardości i zdecydowania.

- Ten człowiek kochał Mike'a - powie mama po latach Larry'emu Schillerowi. - Naprawdę go kochał. Mike był może jedyną osobą na świecie, którą kiedykolwiek kochał, ale rzeczywiście kochał to dziecko.

Gary też to potwierdza:

- Myślę, że Mike był wśród nas jedynym, którego tato naprawdę kochał.

Cokolwiek było tego powodem, ojciec chciał mnie zawsze widzieć obok siebie, gdziekolwiek się mszył. Ponieważ często podróżował w związku z akwizycją ogłoszeń, oznaczało to, że sezon czy dwa spędzałem w Portlandzie, potem parę miesięcy w Seattle lub Tacomie, no i krążyłem tak tam i z powrotem między tymi miastami. A gdy skończyłem sześć lat, musiałem dodatkowo jakoś godzić to z nauką, zmieniając czasem szkołę po trzy i cztery razy w ciągu jednego roku. (Tylko w pierwszej klasie systematycznie chodziłem do tej samej szkoły). I trwało to aż do szóstej klasy, rok po śmierci ojca.

Jednak nie to było kością niezgody między moimi rodzicami, ani miejscowa szkołka w Portlandzie, ani też twierdzenie mamy, że te ciągłe zmiany nie wyjdą mi na dobre. Ojciec chciał, bym mu towarzyszył w podróżach, mama zaś wołała, bym został na Johnson Creek i chodził do szkoły w sąsiedztwie. Spór wciąż trwał. Mama uważała, iż ojciec, powodowany zaborczością, próbuje zagarnąć moją miłość wyłącznie dla siebie i obrócić mnie przeciw reszcie rodziny.

- To moje dziecko - upierała się mama. - Musi być z matką, potrzebuje bliskości braci. Wyrządzasz mu wielką krzywdę: buntujesz go przeciw mnie, chcesz, żeby się od nas odwrócił.

Nienawidziłem tych kłótni. Pamiętam, że stawałem między rodzicami i wyciągając do nich ręce, próbowałem jakoś zapobiec temu, by się tak wzajemnie nie ranili. Błagałem, by przestali ze sobą walczyć. Byłem w samym środku starcia dwóch potwornych sił, kochałem i chciałem zachować przy sobie oboje rodziców, lecz nie potrafiłem powstrzymać ich kłótni. Może byliśmy już taką rodziną. Czasami, gdy awantura osiągała apogeum, mama wykrzykiwała:

- Niech Mike sam wybierze!

Ojciec gotów był przystać na ten pomysł, lecz z tego, jak na mnie patrzył i co mówił,

wynikało, że tak naprawdę nie mam żadnego wyboru.

- No, dalej - mówił. - Wybieraj, z kim chcesz zostać. Możesz zostać z matką, jeśli chcesz. Ja sobie wyjadę i może nigdy do was nie wrócę. Jeśli ty mnie nie chcesz, nikt mnie już nie zechce.

Kłótnie te niezmiennie dochodziły do punktu, w którym mama, wyzywana od wariatek, czuła się już zbyt urażona, by powstrzymać wybuch wściekłości, a perspektywa pozostania w domu tylko z nią nazbyt mnie wtedy przerażała.

Stałem tak między nimi, patrząc to na ojca, to na matkę, i niemal zawsze wybierałem ojca.

Pamiętam bardzo dobrze - istotnie, trudno coś takiego zapomnieć - jakie wrażenie robiło to na mamie. Jej twarz wyrażała straszliwą klęskę kogoś, kto wszystko stracił, nie - dający się ukryć zawód miłosny, którego byłem przyczyną. Miałem takie potworne poczucie winy, jakbym tylko ja był za to wszystko odpowiedzialny. Pamiętam, jak zobaczyłem ją kiedyś leżącą na kanapie, szlochającą, z twarzą ukrytą w dłoniach. Pożałowałem natychmiast swego wyboru i chciałem ją pocieszyć. Podeszedłem do mamy i próbowałem ją objąć. Odepchnęła mnie, z poczerwieniałą od gniewu twarzą, krzycząc:

- Wynoś się stąd! Już mnie nie kochasz!

Pobiegłem więc do ojca, by szukać u niego schronienia.

Mama zaraz zawołała:

- Ach, Mike, nie chciałam cię zranić! Przecież cię Kocham! Chodź tu do mnie!

Nie miałem już jednak do niej zaufania. Stałem przy ojcu, obejmując ramionami jego mocne uda. Bałem się jej i litowałem się nad nią, ale chciałem uciec od niej jak najdalej.

- Miałeś z tym prawdziwy problem - powiedział po latach mój brat Frank. - Nieraz widziałem, jak się męczysz, usiłując dokonać wyboru. Byłeś taki mały... Jeszcze po latach myślałem o tobie wciśniętym między ich dwoje, próbującym zdecydować, z kim chcesz zostać. Współczułem ci, ale nie mogłem nic doradzić, co masz powiedzieć ani co zrobić. Żaden z nas nie mógłby tu pomóc.

W taki to sposób uczyłem się kochać: wybierając nieustannie między dwiema osobami, bez których nie mogłem żyć, i nie mając już nadziei, że kiedykolwiek się pogodzą. Uczyłem się więc miłości, która jest jak zabijanie, a przynajmniej pewnego rodzaju wyboru, który do tego się sprowadzał. Wiedziałem, że muszę urazić matkę lub ojca, decydując się na porzucenie jej lub jego, kiedy byłem zmuszony zadeklarować, które z nich wolę, które bardziej Kocham. W rezultacie musiałem uśmiercać jedno z nich, dokonując wyboru, a w większości wypadków decydowałem się na zabicie matki. (Nic dziwnego, że się jej bałem).

Po latach karmiły się tą wiedzą nie tylko moje własne zdrady w miłości, ale także złe przecucia dotyczące wartości związków uczuciowych. Ponieważ wiedziałem, jak straszną rzeczą jest odmowa miłości, Dałem się, by ktoś nie zrewanżował mi się tym samym. Wiedziałem, że mogę być odrzucony, potępiony, uznany za niepełnowartościowego. A przede wszystkim bałem się, że ktoś mi powie, że mnie nie kocha, nie potrzebuje czy nie chce dzielić ze mną życia. Inaczej mówiąc, bałem się, czy nie skończę jako ofiara tego samego rodzaju wyborów jak te, których musiałem dokonywać we wczesnym dzieciństwie. Tak że niekiedy wolałem uciec przed uczuciem lub się asekurować, zwracając się jednocześnie ku paru obiektom miłości. Zwykle odpłacano mi w podobny sposób, a odrzucony zostaje sam.

Oczywiście możliwe, że zbyt wielką wagę przywiązuję do tych dramatów z dzieciństwa. Być może moje porażki uczuciowe są w głównej mierze efektem błędów, które popełniam na własny rachunek. Sam zmarnowałem dar miłości, który otrzymałem od Boga, i sam jestem winien wszystkich niepowodzeń, jakich doznałem.

Wciąż dziwi mnie jedno. Kiedy całuję kobietę, nigdy nie myślę o swoich rodzicach. Dlaczegoż więc myślę o nich za każdym razem, ilekroć ją tracę lub sprawiam jej zawód?

Zdarzało się, że gdy mama groziła ojcu, iż go zabije, kiedy będzie spał, brał te pogrożki na serio - lub może tylko pragnął podkreślić jej szaleństwo - i przenosił swe posłanie do pokoju gościnnego, zostając tam na noc. Zatrzymywał mnie wtedy ze sobą. Nie bardzo było przy tym wiadomo, czy to znaczy, że pozostaję pod jego ochroną, czy też trzyma mnie w pobliżu dla własnego bezpieczeństwa. Zanim zgasił światło, odsuwał krzesła od stołu i ustawiał je przed kanapą, dodatkowo wiążąc oparcia mocnym sznurem. Budował w ten sposób prawdziwą barykadę. Na sznurze wieszał jeszcze kilka dużych chińskich dzwoneczków, które zwykle stały na jego biurku. Gdyby mama próbowała się do nas podkraść, te dzwonki by nas obudziły - coś w rodzaju prowizorycznego alarmu, zabezpieczającego przed rodzinnym mordem w ciemności.

Potem układał mnie na kanapie od ściany, sam zaś zajmował pozycję bliżej krzeseł i zasypiał. Mnie jednak trudno było zasnąć. Właściwie nigdy wtedy nie spałem.

Leżałem tylko w ciemności, nasłuchując odgłosów kroków mamy, przygotowany na to, że ujrzę błysk noża. Słyszałem jakieś dźwięki - może to moi bracia szli po schodach lub ukradkiem wychodzili na noc - i zastanawiałem się: czy to ktoś, kto przyszedł nas zabić?

Siadałem na łóżku i wpatrywałem się w cienie, które mnie otaczały. Mogłem dostrzec zarysy krzeseł. A także dzwonki wiszące na sznurze. Ale tam daleko, w mroku pokoju, gdzieś w kącie przy schodach albo w korytarzu prowadzącym do innych pokoi, wydawało mi się, że widzę coś innego. Wyobrażałem sobie, że coś się tam rusza w ciemności. W tym stanie



umysłu, w którym się znajdowałem, było miejsce na gniew, na nienawiść i jeszcze na jakiegoś morderczego ducha. Na szaleństwo mojej matki. Na ból mego brata. Czaili się tam wszyscy, skuleni w mroku, ciemne siły gotowe nas dopaść i zadźgać nożami.

Obok mnie spał ojciec, z ramieniem wyciągniętym w moją stronę i z otwartymi ustami zdradzającymi jego wiek: po wyjęciu sztucznej szczęki odsłaniały się wrażliwe różowe dziąsła. W słabym świetle, pogrążony we śnie, wydawał się już martwy.

Kładłem się i nasłuchiwałem odgłosów jakiegoś ruchu. Skrzypienia podłogi. Brzęku noża w szufladzie na sztućce. Tyle jest dźwięków, które można usłyszeć w głębokiej ciszy nocy. Zamykałem oczy i próbowałem przywołać sen, ale nigdy mi się to nie udawało. Studiowałem wzory na tapecie, fałdy firanek. Myślę, że podczas tych nocy czuwania wsączało się we mnie jakieś szaleństwo. Faktura tapety, pajęczyny firanek, wszystko to wyglądało jak sylwetki diabłów, jakieś piekielne ornamenty. Bałem się, że przeszło na mnie szaleństwo matki. Może znalazło sobie drogę przez pasma mroku, które poruszały się w tym pokoju i w naszym życiu. A może były to tylko majaki wylęknionego dziecka. Nigdy nie miałem twardego snu. Czasami, nawet teraz, potrafię się nagle przebudzić z myślą, że coś drgnęło w tym ciemnym pokoju, w którym się znajduję. Czuję, jakby ktoś stanął u mego łóżka, słyszę, jak szybko oddycha, jak nagle wstrzymuje dech. Oczywiście niczego takiego naprawdę tam nie ma. Tak jakby coś z mego snu weszło we mnie i stało się moją pamięcią.

Leżałem tam, nie śpiąc, godzinami. Czekałem, że przyjdzie mama i spełni swą obietnicę. Gdy niebo zaczynało się rozjaśniać i czerń pokoju przechodziła w szarość poranka, czułem się w końcu na tyle bezpiecznie, że przekręcałem się na bok, prostowałem stopy na nogach ojca i zapadałem w sen.

*To wtedy zaczęły się te sny. Miałem pięć czy sześć lat, a sny układały się w zasadzie w jeden z dwóch lnożliuuych ciągów. Pierwsza sekwencja owych majaków wiązała się z tym, co kłębi się w mroku. Ojciec i bracia loybudozuali drewnianą zuerandę na tyłach domu; w podłodze była klapa prowadząca do składziku, zu którym przechozuyzuano narzędzia ogrodowe. Było to ciemne, wilgotne miejsce, którego się batem. Nigdy tam nie zaglądałem. We śnie stałem nocą przed klapą, była otwarta. Widziałem, jak zu mroku kłębią się jakieś kształty. Miały okrutne czerwone oczy i ostre kły, biegały szybko w koło, zwijały się w nieustających kręgach. Wydawało mi się, że to szczury, i bałem się, że mogą mnie pożreć. Innym, znów razem śniło mi się, że coś żyje w piwnicy naszego domu. W tych snach piwnica przypominała loch - coś takiego, co można sobie wyobrazić, czytając opisy labiryntów u Edgara Allana Poe, biegnących pod domami i skrywających ich sekrety, choć nie kojarzyłem sobie wtedy Poego z tymi snami, stało się to dopiero po latach, gdy się w nim zaczytywałem i*

*uznałem go za swego pierwszego mistrza. To, co klębiło się w piwnicy w moich snach, nie miało żadnego kształtu. Było jak opar, który unosił się do połowy schodów; widziałem, jak wiruje u mych stóp. Wspinałem się do góry, chciałem obudzić swoją rodzinę, powiedzieć, że coś idzie ku nam z głębi domu, coś, co wraz z oddechem może się dostać do naszego ciała i wszystkich nas zabić. Ale nigdy nie udawało mi się nikogo obudzić.*

*Inne moje dziecięce sny były jeszcze bardziej niepokojące i aż do tej chwili ich nie ujawniałem. Najczęściej scenariusz kształtował się tak... Byłem policjantem czy może detektywem - mały jasnowłosy chłopiec w stroju detektywa, kapelusz z wywijanym rondem i pistolet - na tropach jakiegoś zabójstwa. W tych snach miałem zawsze partnera, którym była mała dziewczynka, również jasnowłosa; wiedziała, że ją kocham. Ale w miarę jak sen się rozwijał, docierało do mnie, że to właśnie ja jestem tym poszukiwanym zabójcą, a jedynym sposobem ratunku i uniknięcia odpo - wiedzialności było zamordowanie tej dziewczynki, partnera, którego kochałem. Całowałem ją, obejmowałem, a potem do niej strzelałem. Pamiętam także, że zu pewnym szczególnie okrutnym wariancie owego snu zdarzyło mi się też zabić inne dziecko czy niemowlę, na które się tam natknąłem.*

*Nie zdawałem sobie sprawy, że te sny mówią o kimś, kim sam byłem jako dziecko - oczywiście nie miałem pojęcia, że sny mogą w ogóle o czymś mówić, a tym bardziej wtedy nie mogłem ich ani zrozumieć, ani jakoś sobie wyjaśnić. Budziłem się z tego koszmaru z jakimś strasznym poczuciem winy i nigdy o tym nikomu nie mówiłem. Czasami, zasypiając wieczorem, modliłem się do Boga: „Proszę, nie zsyłaj na mnie tych morderczych snów”.*

*Modły jednak nigdy nie przenuwały pasma złych snów. Ani razu.*

Stałem się więc nieodłącznym towarzyszem ojca. Co parę tygodni pakowaliśmy manele i wyruszaliśmy w dwustumi - lową trasę do Seattle lub Tacomy. Podśpiewywaliśmy sobie przez całą drogę - takie głupie, żywe kawałki w rodzaju *Giddy up*, *Napoleon*, *It Looks Like Rain* albo *Oh, Susannah* czy jakieś piosenki z *Oklahomy*. Śpiewaliśmy sobie także *This Land Is My Land* i *Blue Suede Shoes*. A kiedy ojciec poczuł, że może już wziąć jakąś solówkę, próbował sił w ariach Verdiego czy Pucciniego. Z obu nas byli śpiewacy, że pozał się Boże, ale nie sądzę, byśmy o tym wiedzieli i byśmy o to specjalnie dbali. Gdy się zdarzało, że podwoziliśmy kogoś po drodze, taki gość ledwo wytrzymywał te nasze artystyczne popisy.

Po dotarciu na miejsce ojciec wynajmował jakieś mieszkanie lub mały domek. Kwatery wybierał zawsze w starej, zwykle wyludnionej części miasta. W Seattle mieszkaliśmy w Queen Ann Hill lub w Ravennie. Dziś ta pierwsza dzielnica jest odnowiona i wygląda, jakby została przeniesiona z Nob Hill w San Francisco. Jednak w latach

pięćdziesiątych była bardzo zniszczona; dawało się tu wytargować niezłe warunki, bo niektóre miejsca po prostu się rozsypywały. Wynajmowaliśmy zazwyczaj pokoje lub mieszkania w starych domach z epoki postwiktoriańskiej, które trzymały się dosłownie resztką sił. Czasami byliśmy jedynymi chętnymi reflektującymi na te kwatery. Mnie przypominały one dziwaczne, nawiedzone przybytki, które oglądałem w czarnobiałych filmach o duchach, i może stąd wzięło się u mnie nieprzemijające zamiłowanie do horrorów.

Te wynajmowane pokoje musiały chyba przypominać ojcu jakiś stary świat, który kiedyś tu wyrastał, lub może nieistniejące już miejsca, gdzie tak długo się ukrywał i gdzie wciąż jeszcze czuł się jak u siebie. Były to lata poprzedzające błyskawiczną ekspansję nowych programów urbanistycznych, prowadzących do zrównywania z ziemią całych dzielnic wraz z ich przestarzałymi strukturami samotności i zastępowania ich nowymi strukturami samotności, schludnymi i gotowymi do natychmiastowego użytku. W starych domach mieszkali ludzie, którzy wzrastali w tych pokojach i spędzali w nich całe życie i którzy chcieli tam umrzeć, zanim świat zbuduje nowe pokoje. Nie mógłbym z całą pewnością powiedzieć, że ojciec lubował się w owym dawnym świecie; zawsze wybierał najnowszy model aparatu fotograficznego i magnetofonu, bardzo go ekscytował amerykański udział w rywalizacji o podbój kosmosu. Ale był taki światek, który stanowił jego intymną przestrzeń. Tam czuł się całkowicie bezpieczny i za nic by się stamtąd nie ruszył.

Pamiętam zwłaszcza jedno takie miejsce, w którym mieszkaliśmy w Seattle. Był to usytuowany ze dwieście stóp od chodnika ciemny stary dom podparty u szczytu wielkim drewnianym rusztowaniem. Aby się dostać z chodnika do drzwi frontowych, trzeba było przejść po rozpadającym się drewnianym mostku, w którym brakowało paru desek. Pod mostkiem był splątaną gąszcz zarośli i chwastów, tak rozkrzewionych i gęstych, że przesłaniały ziemię. Wystarczyło zejść parę kroków, by dostać się do tej plątaniny, ale nikt przy zdrowych zmysłach nigdy tam nie schodził. Zgodnie z tym, co mówił ojciec, na początku dwudziestego wieku szalał tu pożar, który niemal zrównał z ziemią wiele domów w Seattle. A kiedy doszło do odbudowy, te wypalone domy stały się fundamentem nowych. Inaczej mówiąc, pod miastem, w którym mieszkaliśmy, było drugie, martwe miasto. Są nawet tacy, którzy sądzą, że pod ziemią wciąż jeszcze zachowały się te stare domy i tlą się tam nadal jakieś ślady istnienia. Pod tą plątaniną cierni i krzewów - mówił ojciec - są zatem szczątki innego domu.

Stawałem nieraz na mostku i patrzyłem w dół, w tę fosę rozpościerającą się pod moimi stopami, wyobrażając sobie zręby tamtego budynku. Zastanawiałem się też, czy w środku są szkielety ludzi, którzy tam niegdyś mieszkali. Przenikał mnie dreszcz, ilekroć

dostrzegłem jakiś ruch w zaroślach. Nie spało mi się najlepiej w tym domu, ale nie było to dla mnie niczym nowym.

Ojciec lubił te stare domy, a kiedy rzucaliśmy się w wir zakupów, uwielbiał grzebać w rupieciarniach i kramach z używanymi ciuchami, na wyprzedażach staroci, w sklepikach Armii Zbawienia, Goodwilla czy Świętego Wincentego a Paulo bądź też na targowiskach Seattle. (W tamtych dniach szeregi odnowionych sklepików i kafejek ciągnęły się wzdłuż śródmiejskiej promenady, a u schyłku lat pięćdziesiątych w labiryncie kramików ze szpargałami, antykwariatów i kawiarenek aż się roiło od wagabundów). Były to ulubione miejsca ojca; tu wynajdywał stare ubrania, które obaj nosiliśmy, tu wyszukiwał też przedpotopowe meble do naszych przedpotopowych mieszkań.

Oczywiście towarzyszyłem mu w tych wyprawach. Byłem jego nieodłącznym cieniem. Ubierał mnie na własną modłę. Układał mi fryzurę, używając gęstej pomady, tej samej, którą namaszczał własne rzednące siwe włosy. Ubierał mni e tak, jak sam się nosił: w obszerne spodnie, sportowy płaszcz i pastelową, luźną bluzę wełnianą, do tego wiązał mi jeszcze krawat, a na głowę wkładał kapelusz w stylu fedora. Zdawałem sobie sprawę z tego, jak dziwną i uderzającą stanowimy parę: starszy pan i tak samo wyglądający mały chłopiec. Większość ludzi sądziła, że jest moim dziadkiem. Gdy prostowałem, że nie, to mój ojciec, byli zaskoczeni, nie chcieli wierzyć. Nie mogłem tego zrozumieć, było mi przykro. Później, gdy miałem już w podstawówce paru przyjaciół, którzy zapraszali mnie do siebie, sam się z kolei dziwiłem, widząc ich rodziców. Wydawali mi się tak niewiarygodnie młodzi, nie mieli nawet trzydziestu lat lub zaledwie przekroczyli trzydziestkę. Nigdy dotąd nie obracałem się wśród osób w takim wieku i o takich manierach. Nie rozumiałem ich, nie umiałem z nimi nawiązać kontaktu i prawdę mówiąc, nie potrafiłem też znaleźć wspólnego języka z kolegami, których uważałem za swoich przyjaciół. Wydawali mi się jakimiś dziwolągami, choć oczywiście to ja i mój ojciec nimi byliśmy. I może właśnie dlatego aż do śmierci taty nie przyjaźniłem się za bardzo z innymi dziećmi.

Podczas tych podróży powinienem chodzić do szkoły, ale ojciec nie przejmował się znanadto takimi drobiazgami. Niekiedy, gdy zapuszczaliśmy się po raz pierwszy w nowe regiony, siedziałem w domu przez parę tygodni, bo zapominał mnie zapisać do miejscowej szkoły. Gdy nadchodziła wiosna, stwierdzał, że jest już na to za późno, i trzymał mnie w domu aż do jesieni. Te przedłużające się okresy nieobecności w szkole odbijały się na moich postępach w nauce, a już najgorzej było z matematyką. U schyłku lat pięćdziesiątych poziomy nauczania matematyki w drugich i trzecich klasach rozmaitych szkół mogły znacznie od siebie odbiegać, zwłaszcza jeśli te szkoły były w różnych stanach. W Seattle, dokąd się

przeniosłem, uczono już podstaw dzielenia, a ja opanowałem zaledwie dodawanie. Wydawałoby się, że nauczyciele powinni pomagać słabszym uczniom, ale nie znałem zbyt wielu takich, którzy by to robili. Może po prostu większość ich uważała mnie za tępaka i lenia. Albo może się zorientowali, że mój ojciec jest typem wiecznego lesera, więc byłem dla nich kimś podobnym, niezasługującym na to, by marnować na niego czas. Tak czy siak, nigdy nie nabyłem szczególnej biegłości w matematyce, nie miałem nabożeństwa do jej zawichości. Prawa i tajniki tej dyscypliny oneśmiały mnie i czułem, że muszę być chyba jakimś głupkiem, skoro nie umiem sobie przyswoić elementarnych reguł i przepisów arytmetyki, które innym nie nastroczały najmniejszych trudności.

Za to z czytaniem było zupełnie inaczej. Ojciec nauczył mnie czytać na długo przedtem, zanim poszedłem do pierwszej klasy. Kiedy pracował przy biurku, sadzał mnie sobie na kolanach i wskazując na poszczególne wyrazy w książce z obrazkami, uczył mnie rozpoznawać je po wyglądzie i wymawiać literki. Co prawda, nie czytywał mi wieczorami - może chciał, żebym to ja jemu czytał. No i nauczyłem się czytać. Czytałem więc, kiedy tylko mogłem. Czytanie stało się jedną z moich najulubieńszych czynności. Mogłem to robić sam, co oczywiście stanowiło świetną metodę ucieczki od rzeczywistości, która mnie otaczała. Najpierw zakochałem się w komiksach - kryminałach i horrorach, a także w przygodówkach Carla Barksa, wspaniałych opowieściach o Kaczorze Donaldzie i Wujaszku Scro - oge'u, publikowanych w zeszytach Walta Disneya z lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Barks był bystrym facetem, znał na wyrywki mitologię starożytną i umiał przenieść jej motywy do świata gadających kaczorów, czyniąc to w sposób dowcipny, a przy tym nie zatracając głębi moralnej ani magii pierwowzoru. Dzięki Barksowi łatwiej mi było zrozumieć nie tylko przygodowe opowieści Jacka Londona, Juliusza Verne'a czy Aleksandra Dumasa, ale także pełnokrwiste dramaty i niewiarygodne emocje zawarte w takich eposach, jak *Iliada* i *Odyseja*, czy w innych legendarnych opowieściach greckich i rzymskich. Po paru latach nabrałem wielkiego zamiłowania do autorów horrorów, jak Poe i Bram Stoker, i do historii o duchach pióra Henry'ego Jamesa, Emila Zoli czy Ambrose'a Bierce'a. Mogłem nie rozumieć rozmaitych subtelności narracyjnych i na pewno nie ogarniałem całej złożoności ich dzieł, ale czułem, że świat, który opisywali, jest moim światem.

Wieczorami, kiedy ojciec tuż obok zajmował się własną pracą, siadałem na kanapie w gabinecie i czytałem komiksy albo powieści wydawane przez Scribnera w twardych okładkach, takie jak *Wyspa skarbów*, *Porwany za młodu* czy *20 000 mil podmorskiej żeglugi*, z sugestywnymi ilustracjami N.C. Wyetha. Potem ojciec gasił lampę na biurku i siadał przy mnie na kanapie, włączaliśmy telewizor. Regularnie śledził zapowiedzi tego, co chciał

oglądać; były to głównie kryminały: *Nietykalni*, *Richard Diamond*, *Highway Patrol* i *Obrońcy*, czy westerny, jak *Gunsmoke*, *Wagon Train*, *Maverick* i *Have Gun, Will Travel*. W przeciwieństwie do mamy ojciec nigdy nie zabraniał mi oglądać horrorów, które tak lubiłem; jego zresztą także wciągały historie z Belą Lugosim i Borisem Karloffem, które głosiły triumf człowieczeństwa w walce z potworami. (Było to oczywiście zabiegiem koniecznym, ale ja i tak zawsze brałem stronę potworów. Postaci ludzkie wydawały mi się nudne, nie warto było poświęcać im uwagi; istniały tylko po to, by te niepojęte potwory mogły je zabijać, odpłacając się w ten sposób rodzajowi ludzkiemu).

Pamiętam, że ilekroć na ekranie telewizora pojawiali się *Nędznicy*, w wersji z 1935 roku, z Fredrikiem Marchem i Charlesem Laughtonem, ojciec zawsze kazał mi siadać i oglądaliśmy to razem.

- Zapamiętaj to sobie dobrze - powiedział raz, gdy patrzyliśmy, jak nieubłagany inspektor policji Javert ściga Jeana Valjeana za drobne przestępstwo. - Zapamiętaj, jak świat prześladuje człowieka za jedno potknięcie. Zapamiętaj, jak przerażający może być nabożny sędzia.

Obejmował mnie i przyciskał do siebie. Czułem się wtedy bezpieczny, nie bałem się świata, choć wied/iałem ze słów ojca, że straszne kary miały jeszcze nadejść.

Czasami, kiedy tak podobnie ubrani wypuszczaliśmy się na miasto, ojciec zachodził do dzielnic tanich hotelików i knajp. Pełno tam było włóczęgów i pijaków. Dzisiaj takich ludzi nazywa się bezdomnymi, ale wtedy mówiono o nich: lenie, luzaki, obiboki. W Seattle, które wyrosło z osady awanturniczych pionierów i poszukiwaczy złota, zawsze można było znaleźć jakąś ciężką pracę w dokach, a w owych menel skich dzielnicach tanie i nędzne kwatery. Ojciec zachodził tam i rozglądał się po knajpach. Zamawiał małe piwo i ucinał sobie pogawędkę z barmanem o jego klientach. Wiedział, że zawsze może tu znaleźć rozmaitych życiowych rozbitków, a z różnych względów właśnie takich ludzi starał się zatrudniać. Głównie dlatego, że nie musiał im wiele płacić i łatwo mógł nad nimi zapanować. Być może nawet wielu z nich znało mego ojca z czasów, kiedy sam dołował. Załatwiał pijaczkom zakwaterowanie w tym samym domu, w którym my żyliśmy. Kupował im coś do ubrania, jakieś używane ciuchy oczywiście, i zatrudniał jako agentów ogłoszeniowych dyżurujących przy telefonie. Mogli sobie pić poza domem, jeśli nie przeszkadzało im to w pracy; póki mu się nie stawiali i nie próbowali kraść, traktował ich dobrze. Jeśli jednak nadużyli jego zaufania, pili lub urządzali awantury, wylewał ich natychmiast. Pamiętam dwa czy trzy takie wypadki, kiedy powalał na ziemię mężczyzn dwukrotnie od niego młodszych i ze dwa razy silniejszych. Ojciec miał twardą pięść i bił w żołądek. To zawsze skutkowało. Potem jeszcze

dokładał w twarz, póki nie błagali, by przestał. Wyrzucał ich ze wszystkimi rzeczami za drzwi, zostawiał im parę dolarów i mówił:

- Żebyś was już nigdy tu nie widział!

W czasie gdy odwiedzał bary i tawerny, musiałem sam się o siebie zatroszczyć. Dawał mi kieszonkowe i mówił, żebyśm pochodził sobie po sklepach albo złapał jakiś autobus i wybrał się do kina. Patrząc na to z perspektywy czasu, muszę przyznać, że dawał mi zdumiewająco wiele swobody. W wieku ośmiu lat jechałem autobusem do centrum Seattle lub do miejskiego zoo i mogłem sobie tam siedzieć, póki się nie ściemniło. Nie pamiętam, by ktoś kiedy mnie postraszył albo czymś mi groził, nie przypominam też sobie, by jakiś dorosły spytał, co tam robię, sam, bez rodziców i żadnej opieki. Jeśli nie udawało mi się znaleźć jakiejś dobrej księgarni czy kina, godzinami włóczyłem się po opuszczonych starych domach w Queen Anne. Były to rudery tak zniszczone, że mogłem myszkować po najstarszych piwnicach tej dzielnicy, mogłem też znaleźć jakieś przejścia wiodące do tego dawnego podziemnego świata, który może gdzieś jeszcze się ostał po straszliwym pożarze sprzed paru pokoleń. Lecz natrafiałem tylko na nędzne ruiny i jakieś porzucone pamiątki.

Prawdę mówiąc, byłem małym chłopcem, który mieszkał ze starym człowiekiem, reliktem starego świata. Kupowaliśmy w starych sklepach, jadaliśmy w starych restauracjach, nosiliśmy stare ubrania. U progu lat sześćdziesiątych chodziłem ubrany w stylu lat czterdziestych.

Wszystko to wydawało się normalne, był to przecież jedyny znany mi świat. Ale na jakimś innym poziomie chyba czułem, że coś jest nie tak, i może nawet uważałem się za ofiarę. Dziś jestem przekonany, iż nie były mi obce przejściowe dziecięce depresje. Kiedy mieszkałem z ojcem, co pewien czas miałem napady jakiejś dziwnej choroby. Trwało to zwykle dzień i noc; leżałem w łóżku lub otulony kocem na kanapie i wydawało mi się, że jakieś osoby, najczęściej członkowie rodziny, wchodzą, coś do mnie mówią, a potem wychodzą. Gdy leżałem tak w ciemności, skupiałem uwagę na swych dłoniach. Przygniatał je pośrodku jakiś wielki ciężar i czułem, że jeśli tylko uda mi się zacisnąć pięści, to jakoś się go pozbędę i wszystko wróci do normy. Ścisnąłem je tak mocno, że wbijałem sobie paznokcie w dłonie.

Raz czy dwa coś mi się zwidywało: na skraju mego łóżka siedział ojciec z obcą kobietą. Opuszczała suknię, aż odsłaniały się piersi, patrzyła na mnie i chichotała.

- Zostaw mi chłopca w spokoju - słyszałem głos ojca i znowu zapadałem w nerwową drzemkę.

Niektórzy z was powiedzą, że to, co teraz opisuję, jest przykładem pamięciowego

odzysku; inaczej mówiąc, taka scena mogła się istotnie zdarzyć, a potem stłumiłem jej wspomnienie. Nie wierzę, żeby tak naprawdę było. Nie sędzę ani przez chwilę, żeby ojciec sprowadzał do domu jakieś kobiety, kiedy mieszkaliśmy razem, i nie mam żadnego dowodu na to, że romansował na boku w okresie małżeństwa z moją mamą. Nie wiem, skąd biorą się u dzieci podobne wizje. Być może pochodziły z jakichś warstw podświadomości, które dzieliłem z ojcem, a może były przeczuciem przyszłego podniecenia erotycznego.

Pamięć tych gorączkowych zwidów przypomina mi też coś, co widziałem parę lat później, kiedy zajrzałem do szuflady w biurku ojca. Było tam zdjęcie nagiego mężczyzny stojącego w basenie między dwiema gołymi kobietami owielkich piersiach. Jego ręce pieściły wzniesione łonowe obu kobiet. Ta z lewej strony obejmowała dłonią wyprężonego penisa, a druga, z szerokim uśmiechem, dotykała jaj. Pamiętam to tak żywo z dwóch powodów: przede wszystkim dlatego, że było to pierwsze wyraźnie nieprzyzwoite zdjęcie, jakie oglądałem, i oczywiście bardzo mnie ono podniecało. Lecz także dlatego, iż miałem niemal pewność, że ten mężczyzna na zdjęciu to młodsza wersja mego ojca. A może był to jeden z tych jego nieznanych synów; sądząc z twarzy, wykapany Frank Gilmore. Czy nie jest to zastanawiające? Wszystko to działo się po śmierci ojca, gdy dzieliliśmy się tym, co po nim zostało; zajrzałem wtedy do biurka i znalazłem to zdjęcie. Odszedł i nigdy już go nie ujrzę ani nie usłyszę.

Któregoś roku, gdy było już pewne, że część Bożego Narodzenia spędzimy z ojcem w Seattle, mama dała mi przechowywane w pudle, od dawna nieużywane dekoracje choinkowe. Były tak stare jak wszystko w naszym życiu: tandetna figurka Świętego Mikołaja, zdekompletowana szopka (Dzieciątka Jezus brakowało głowy) i plastikowa pozytywka w kształcie katedry. Gdy pokręciło się kluczykiem, rozbrzmiewał hymn i powoli rozwierały się plastikowe złote drzwi, ukazując podświetlony od tyłu renesansowy obraz Wniebowstąpienia. (Teraz myślę, że była to raczej pamiątka wielkanocna, choć wtedy, gdy byłem dzieckiem, charakter świąt nie stanowił dla mnie zbyt wielkiej różnicy).

Nadchodziły święta, a ja znowu miałem jeden z tych swoich napadów i nie mogliśmy jechać z ojcem do Portlan - du, by spędzić Boże Narodzenie w domu. Mama była srodze zawiedziona i oskarżała ojca o kłamstwo, a mnie oto, że chcę się wykipić chorobą, byle tylko uniknąć spotkania z rodziną. No więc przeleżałem te święta w łóżku, z plastikową katedrą, obracając wciąż kluczyk i patrząc, jak otwierają się drzwi na stadko malowanych aniołów unoszących się wokół wstępującego do nieba Pana, i widząc przed sobą ojca ze słuchawką w ręce, godzinami sprzeczącą się z matką. A im dłużej przyglądałem się tym starym dekoracjom świątecznym, rozwieszonym na starych ścianach mieszkania i na starych



futrynach, tym bardziej czułem się chory i przygnębiony. Chciałem, żeby te anioły zabrały mnie stąd do swego jasnego, obiecanego królestwa miłości. Modliłem się o to, bym mógł umrzeć i wznieść się wraz z nimi do nieba. Oczywiście nic podobnego nie nastąpiło.

W środku nocy, wciąż w malignie, przeklinałem anioły i pozytywkę. Rzuciłem nią o ścianę, rozbijając tandetne drzwi. Nienawidziłem aniołów, bo nie spełniły mego życzenia: nie dały mi umrzeć.

Dzień czy dwa później czułem się już lepiej i pojechaliśmy z ojcem powitać zimowe niebo nad naszym domem w Portlandzie. Przez cały czas śpiewaliśmy okropnymi głosami te nasze głupie pieśni, a potem wróciliśmy do Seattle.

JWimo gwałtownego usposobienia ojciec nigdy nie lubował się w broni. Braciom wolno było strzelać z wiatrówki przy zachowaniu dość surowych rygorów. Broń ręczna nie wchodziła w rachubę - chociaż pamiętam, że gdy po śmierci ojca sortowaliśmy jego rzeczy, natknęliśmy się na pistolet automatyczny w kaburze mocowanej pod pachą; dziś myślę, że to musiał być luger. Bracia chcieli mieć broń nabijaną tymi indiańskimi szafirami i rubinami, ale mama powiedziała wyraźnie: nie. Ma pewne złe wspomnienia związane z tymi rzeczami, mówiła, i nie chce, by ktokolwiek z rodziny trzymał broń. Poprosiła przyjaciela, by zabrał pistolet i sprzedał go w lombardzie.

Ojciec jednak w pewnej chwili uznał, że powinniśmy mieć w domu strzelbę. (Było to, zdaje się, po tej awanturze z ukradzionym przez Gary'ego winchesterem). Bracia wchodzili akurat w ten okres, kiedy chłopcy chętnie polują i strzelają, więc ojciec powiedział, że nauczy ich bezpiecznie obchodzić się z bronią.

Na zapuszczonym podwórku za domem były gęste zarośla, w których mieszkała parka bażantów. Obserwowaliśmy pod wieczór, jak jeden z tych bażantów - myślę, że był to samiec - wzbijał się w niebo i odlatywał. Po mniej więcej półgodzinie przyfruwał z powrotem. Lubiliśmy te ptaki, podziwialiśmy ich piękno i wdzięk lotu, no i moi bracia postanowili je zabić, a ojciec zgodził się czuwać nad odstrzałem. Uznał, że będzie to dobry test ich zdolności myśliwskich, gdy zmierzają się z ruchomym celem.

Pamiętam to bardzo dobrze. Była późna wiosna. Po szkole, ale jeszcze przed kolacją. Jedną z tych rzadkich chwil, gdy wszyscy mężczyźni w rodzinie, z Garym włącznie, zebrali się dla wspólnej przyjemności. Bracia mieli strzelać do bażanta, kiedy będzie wzbijał się w górę lub przylatywał z powrotem. Ponieważ ptak odbywał zwykle tylko jeden wieczorny lot, to szaleństwo strzelania było ściśle ograniczone czasowo. Każdy z braci - prócz mnie oczywiście, gdyż byłem zbyt mały, by utrzymać broń - mógł oddać co wieczór po parę strzałów.

Ojciec siedział na werandzie, obserwując, jak strzelają jego synkowie. Niewiele mówił; gdy było trzeba, wypowiadał tylko niezbędne instrukcje. Trwało to już kilka dni, a moim braciom nie udawało się trafić żadnego z tych głupich, pięknych ptaków.

Wreszcie ojciec stracił cierpliwość.

- O Jezu, co z was za strzelcy! Nic trafilibyście nawet we wrota stodoły.

- Gary obrócił się do ojca, Ciekawe, czy tobie by się powiodło. Łatwo jest tak siedzieć i krytykować, wielki mi biały myśliwy.

Ojciec zszedł z werandy i podszedł do nas. Wziął strzelbę z rąk Gary'ego.

- Uważaj - powiedział.

Parę chwil później ukazał się bażant powracający do gniazda. Ojciec błyskawicznie przyłożył kolbę do prawego barku, wycelował szybko do ptaka i pociągnął za spust. Bażant eksplodował czerwoną mgiełką i spadł na ziemię. Ojciec opuścił strzelbę, odwrócił się i ruszył w stronę domu. Wszedł do środka i zaszył się w swoim biurze.

- A to kawał skurwysyna! - powiedział z uznaniem Gary. - Trafił prosto w łeb.

Patrzyłem na leżącego ptaka i zbierało mi się na mdłości. Chciałem widzieć to stworzenie martwe, podobnie jak moi bracia, ale teraz, gdy patrzyłem na rozciągnięte na ziemi nieruchome szczątki, uświadomiłem sobie, że nigdy już nie zobaczę wlatującego bażanta i nie usłyszę, jak śpiewa. Czuję się tak, jakbyśmy popełnili jakiś niewybaczalny grzech.

Odszedłem nieco na bok, gdy moi bracia oskubywali ptaka. Powiedziałem sobie, że nigdy nie wezmę broni do ręki, nie będę strzelał i nikogo nie zabiję.

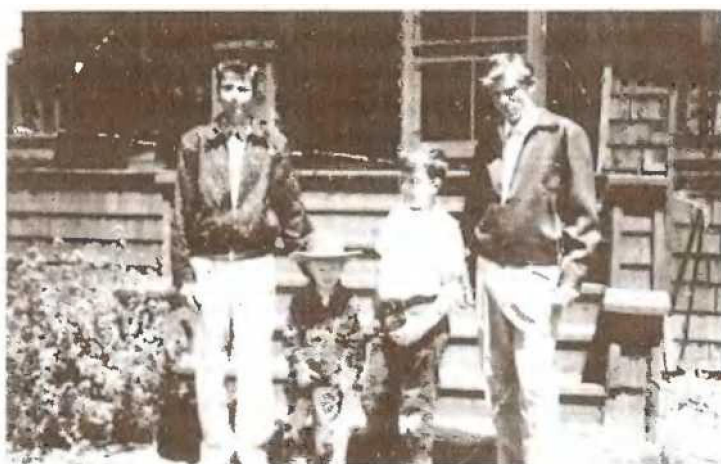
Dotrzymałem słowa, po dziś dzień.

## CZWARTA

### JAK LUDZIE UMIERAJĄ



Rosną groby głęboko.  
Każdej nocy umarli są bardziej martwi.  
Pod wiązami i gęstwą liści Rosną groby głęboko.  
Ciemne poły wiatru  
Okrywają ziemię. Noc jest chłodna.  
Niebo bez gwiazd nad nimi.  
Ich twarze są ciemne.  
Nie możemy ich spamiętać  
Zbyt wyraźnie. I nigdy nie będziemy mogli.  
Mark Strand, *Umarli*  
BRACIA: CZĘŚĆ DRUGA



Niewiele dotąd wspominałem o pozostałych moich braciach, Franku juniorze i Gaylenie. Może dlatego, że problemy małżeńskie rodziców i kłopoty z Garym zajmowały tak dużo miejsca w naszym rodzinnym dramacie. Lecz skupiając się na nich, a zwłaszcza na wątkach związanych z Garym, ryzykuję, iż ktoś uzna, że to jedyne historie rodzinne, jakie miały znaczenie. A jeśli jeszcze wziąć pod uwagę, że Frank i Gaylen byli maltretowani fizycznie i psychicznie tak jak Gary, a żaden z nich nie popełnił przestępstw kryminalnych, nikogo nie zabił ani nie stanął przed plutonem egzekucyjnym, można by wręcz powiedzieć: „No dobrze, im też nie było lekko, ale jednak nikogo nie zabili. Zatem Gary sam jest winien zła, które popełnił, to jego własna wola i jego szczególne skłonności”. Również i mama się nad tym zastanawiała: „Wychowywałam przecież jednakowo Franka juniora i Gary’ego - powie Larry’emu Schillerowi w 1977 roku. - Jeden z nich chwycił za broń. Drugi nie. Jak mam to tłumaczyć?”

Jedno z dzieci zabija, a drugie nie - to oczywiście ważna kwestia. Ale fakt, że mój brat Frank nie został ostatecznie zabójcą, wcale nie oznacza, iż nie poniósł mniejszej szkody.

Umrzeć można w tym świecie na wiele sposobów. Niektórzy umierają, nie pociągając za sobą innych. To bez wątplenia zwycięstwo, ale jeszcze nie odkupienie.

Wspomniałem już, że Frank był prestidigitatorem. W dzieciństwie godzinami się przyglądałem, jak wyczarowywał z niczego jedwabne chusty lub bukiet kwiatów, które następnie znikwały za jednym ruchem jego dłoni. Błagałem go, by mi pokazał, jak się robi takie cuda, ale Frank chodził tylko dumny, że mu się udaje, i nie był skory nikomu zdradzać swych sekretów. Wyjaśnił mi parę prostych sztuczek, ale kiedy usiłował mnie wprowadzić w tajniki swej zręczności, demonstrując na przykład, jak za pomocą nieznacznych ruchów samych palców pokazuje się lub chowa monety albo przekłada karty, w żaden sposób nie mogłem tego powtórzyć. Frank musiał mieć bardzo zręczne palce i świętą cierpliwość. Po latach, gdy demonstrował to w miejscowych szkołach, zatrudniał mnie parokrotnie jako swego asystenta. Bardzo byłem wtedy dumny z brata.

Nigdy też się nie dowiedziałem, dlaczego Frank zarzucił swoją pasję. Oczywiście trudno jest opierać karierę na magii czy jakichś nadzwyczajnych zdolnościach wykonawczych, ale Frank zapewne miał talent i aspiracje ku takiej pracy. Jeszcze dziś zachował nadzwyczajne zdolności manualne. Pewnego razu, jakiś rok temu, wpadł do mojego mieszkania w Portlan - dzie i pokazał mi parę sztuczek karcianych, nad którymi właśnie pracował. Poprosił, bym wyciągnął jedną kartę z talii, zapamiętał ją i włożył z powrotem. Potasował karty, przełożył talię i jakimś tajemniczym sposobem trzymał już tę kartę w ręku. Potrafił także sprawić, by ta wybrana karta pojawiła się u spodu talii. Byłem tego dnia pod takim wrażeniem sztuki Franka jak niegdyś w dzieciństwie; zapytałem go, dlaczego nie obrał kariery profesjonalnego magika? Uśmiechnął się tylko wstydliwie, ale rychło uśmiech zgasł na jego wargach. Frank zgarnął karty i schował je do kieszeni.

Jak mi wyjaśnił, jego zainteresowanie magią objawiło się, gdy miał dziewięć lat i zobaczył jakiegoś magika, który popisywał się sztuczkami w szkole w Portlandzie. Były to klasyczne numery w rodzaju wyciągania królika z kapelusza, wypuszczania gołębi z jedwabnej chustki czy wyjmowania pół - dolarowej monety z ust zdumionego uczniaka. Frank wrócił do domu i opowiedział rodzicom, co widział. Przez tydzień czy dwa wciąż o tym mówił. Kiedy Frank senior zrozumiał, że syn naprawdę interesuje się magią, wspomniął mu, że wie coś na ten temat. Opowiedział o swej karierze cyrkowej i latach spędzonych z Fay i nauczył go paru szablonowych sztuczek, które wykonywał jako klown w cyrku Bamuma. Obiecał poznać Franka z kilkoma miejscowymi iluzjonistami i zaopatrzyć go w książki o sekretach magii.

Frank junior rozpoczął od nauki sztuczek, które ćwiczył na ojcu. W jednej z nich

rozbijał jajko na patelni, a potem pojawiał się kurczak. Ojciec dawał Frankowi wskazówki, jak szlifować ostateczny efekt.

- Nigdy nie pokazałem tacie sztuczki, która by go zaskoczyła - mówił mi Frank.  
- Kiedy coś oglądał w telewizji, od razu umiał powiedzieć, jak to się robi. I wszystko jedno, czy przepiłowywali kobietę na pół, sprawiali, by unosiła się w powietrzu lub zniknęła, zawsze mi mówił, jak to się robi. Tato wiedział o tym wszystko. Był znacznie lepszy ode mnie.

Kiedy Frank miał czternaście lat, przygotował pokaz dla Portlandzkiego Stowarzyszenia Iluzjonistów.

- To był mój debiut - wspominał - bardzo się tym przejmowałem.

Ćwiczył pilnie przed całą rodziną, ale w pewnym momencie, gdy coś się zacięło przy wykonywaniu jakiejś sztuczki, natychmiast przyskoczył ojciec i zrobił to za niego, pokazując przy okazji, jakim to jest wciąż znakomitym magikiem. Frank junior był zdumiony; pomyślał, jak dobry musiał być kiedyś w swym. fachu Frank senior.

- Zrobił to absolutnie pewnie i płynnie - zaznaczył. - Nie wiem, czy ktokolwiek w tym Stowarzyszeniu Iluzjonistów mógłby się z nim równać. Był w tym naprawdę dobry, Mikołaj, więcej niż dobry. Pewnego dnia jednak wprowadził mnie w zakłopotanie. Powiedział: „Kochasz magię, Frank. Ale, niestety, nie masz talentu”. Powiedział mi to. Było to dla niego całkiem oczywiste. Kochałem magię. I sporo umiałem. Ćwiczyłem całymi miesiącami. Ale nigdy nie byłem tak dobry, jak chciałbym być. Niestety. Nie byłem tak dobry jak tato, jeśli mam być szczerzy.

Rozmawiałem o tym kiedyś z przyjaciółką, kobietą, od której wiele się nauczyłem. A miała serce i intuicję. Skomentowała to tak:

- Co za paskudny, nędzny trik! Zastraszyć czternastolatka i sprawić, by zwątpił w wartość jedynej pozytywnej rzeczy w swoim życiu!

Miała rację, z pewnością. Krytyka ojca uderzyła w najczulszy punkt mego brata i skończyła jego karierę magika, jeszcze zanim ta się zaczęła. Frank zademonstrował swe umiejętności w Stowarzyszeniu Iluzjonistów i wypadł bardzo dobrze. Był jednak głęboko przekonany, że pod względem talentu nie ma się co równać z ojcem.

Moja przyjaciółka dodała:

- To tak, jakby twój ojciec uznał doskonałość dokonań syna za jakieś własne uchybienie. Cholera, musiał go upewnić co do tego, że nikt nie może się równać z Frankiem seniorem. Żał mi tego czternastolatka. Bo on po prostu przyjął to do wiadomości: „Nie jestem tak utalentowany jak mój ojciec”. Biedny chłopiec! W końcu to tylko dzieciak.

Z Frankiem nigdy nie było tyle kłopotów co z Garym, chociaż gdy byli mali, obaj

lubili psoty. Dziecięce figle, jak celowanie do obcych z pistoletu na wodę, obrzucanie jajami przejeżdżających wozów czy bijatyki z dziećmi sąsiadów.

Ostatnio jedliśmy z Frankiem obiad w cudownej chińskiej restauracji w dolnym Portlandzie, zwanej „Hung Far Low”. Chodziliśmy tam z rodzicami, gdy jeszcze byliśmy mali. Racząc się chińskim makaronikiem z miseczki, spytałem Franka, czy próbował na własną rękę popełnić jakiś czyn przestępczy tak jak Gary. Roześmiał się głośno, odsuwając talerz zupki.

- Początek i koniec mojej kariery przestępczej - powiedział po paru chwilach - wiązał się z batonikiem „Milky Way”. Gdy byłem jeszcze smarkaczem... chodziłem wtedy do katolickiej szkoły, a jestem pewien, że Gary musiał już wcześniej zacząć kraść... wszedłem do sklepu spożywczego i ukradłem tam taki batonik. Chwyciłem go, wsadziłem do kieszeni i wyszedłem. To znaczy, niemal już wyszedłem. Pracował tam taki facet, który obserwował klientów. Zatrzymał mnie, zabrał mi batonik i spytał: „Skąd jesteś?” Chciał wiedzieć, jak się nazywam i co tam jeszcze. Przestraszyłem się nie na żarty i powiedziałem: „Chodzę do tej katolickiej szkoły niedaleko stąd”. Zadzwoił tam, podeszła jedna z zakonnicek i potwierdziła moją wersję: „Tak, to Frank. Co zrobił? Ukradł batonik? Dobrze, musimy coś z tym zrobić. Nie można tego tak zostawić”. A facet na to: „Wcale nie myślę tego tak zostawić”. Kazał mi opróżnić kosze na odpadki, potem dostałem mokrą ściereczkę i musiałem nią przejechać wszystkie przejścia, tam i z powrotem. Wyprowadził mnie przed sklep i kazał jeszcze zamieść chodnik. Chłopie, dla takiego dzieciaka to fura roboty! Odwaliłem to wszystko i powiedziałem: „Dobra, chyba już wszystko zrobiłem. Przepraszam, że to wziąłem”. A on to skwitował: W porządku. Możesz sobie wziąć ten batonik. Teraz na niego zarobiłeś. Odpowiedziałem: „Dziękuję” i wziąłem swego milky way a. Wróciłem do domu, zjadłem go i nie miałem zamiaru nikomu o tym mówić. Lecz kiedy nazajutrz przyszedłem do szkoły, siostra wzięła mnie na spytanki, musiałem jej opowiedzieć, co zrobiłem, a po powrocie do klasy napisać na tablicy dwieście albo trzysta razy: „Już nigdy nie będę kradł”. Powiedziałem sobie: „Teraz to już zarobiłem na ten batonik, mam, co chciałem”. Wróciłem ze szkoły do domu i okazało się, że któryś z księży zadzwonił do taty i wszystko mu powiedział. I na ostatek dostałem jeszcze paskiem za kradzież. Więc chcesz wiedzieć, czemu nie zostałem złodziejem? No, to był powód. Nie dawało mi to jednak spokoju. Po dziś dzień, kiedy o tym myślę, zastanawiam się: „A co by było, gdyby mi się wtedy udało?” Myślę, że chyba dalej kradłbym batoniki. I kto wie... mogłoby się to dla mnie skończyć znacznie gorzej.

Jeśli kara odstraszyła Franka, czemu nie odstraszyła Gary'ego - spytałem brata.

Popatrzył na mnie bez słowa dłuższą chwilę. A potem powiedział:

- Wiesz, chciałbym tak widzieć Gary'ego, jak przechodzi przez to, co mnie wtedy spotkało. Ale on przecież cały czas obrywał. I te wszystkie kary nie tylko go nie odstraszyły, na odwrót - stał się jeszcze gorszy. Wygląda to nawet tak, jakby Gary chciał tych wszystkich kar. Ja oczywiście ich nie chciałem. Nie wiem, jak to jest. Czasem mi się zdaje, że Gary i Gaylen przejęli całe szaleństwo po mamie i tacie, a my obaj nie.

Spojrzał na mnie, uśmiechnął się, wzruszył ramionami i wrócił do swej zupki.

Gary popadał w kolejne kłopoty, a jego walka z ojcem coraz bardziej się zaostrzała; Frank mimo to wszelkimi sposobami próbował utrzymać spokój w domu. Nie było to łatwe. Ojciec przychodził do Franka i Gary'ego i mówił: „Śmieci mają być do jutra wyniesione, a trawnik skoszony”. Nazajutrz Frank wynosił śmieci i kosił trawnik, a Gary się obcyndalał. Aby oszczędzić niepotrzebnego piekła, Frank odrabiał przypadającą na brata część pracy. Dla ojca nie miało to jednak większego znaczenia. Reagował natychmiast, gdy tylko ktoś mu się sprzeciwił lub niewłaściwie wykonał jego polecenie. Jeśli odkrył, że Frank robił za dwóch, a Gary palcem nie kiwnął, karał ich obu: zabierał im kieszonkowe, nie puszczał w weekend do kina, zawieszal inne przywileje czy nagrody.

- Pewnego razu - wspominał Frank - tato kazał mi wysprzątać piwnicę. Akurat miałem alergię i nie mogłem zejść na dół, za dużo tam było kurzu i brudu. Na pewno dostałbym od tego wysypki, a jak się ma kilkanaście lat, trzeba dbać o wygląd, to ważne. Nie wiedziałem, jak mu to powiedzieć. Spytałem więc po prostu: „Czy tym razem nie mógłby tego zrobić Gary?” Tato odparł: „Nie, powiedziałem, że ty masz to zrobić. Tak ma być i koniec”. A kiedy nazajutrz zszedł sprawdzić, nic nie było zrobione. Nie miałem wcale zamiaru łamać tych jego zasad. Ale on nie był z tych, którym mogłeś cokolwiek wyjaśnić. Nie dało się ot tak, po prostu powiedzieć: „Wiesz, tato, martwiłem się, bo mam uczulenie”. Zawsze musiał być pewny, że dokładnie wykonujesz swoje obowiązki domowe. Już lepiej było się przyznać do winy i ponieść karę, jaką wyznaczył. Podeszedł do mnie ze wzniesionymi pięściami. Powiedział, że mam się wynosić, a nie były to żarty. Stwierdził: „To jest mój dom. Jesteś pod moim dachem. Nie wykonujesz tego, co ci każe. Wynoś się!” W cholerę tam, nie zamierzałem z nim walczyć, wyniosłem się. Poszedłem do miasta i mieszkałem w jakimś tanim hotelu przez trzy, cztery dni, a potem wróciłem. Jeszcze długo mnie nienawidził, tak jak nienawidził Gary'e - go. Upłynęło wiele czasu, zanim mogłem się do niego odezwać. Siedzieliśmy przy stole, a ja nie miałem prawa się do niego odezwać.

Wreszcie Frank poczuł się już trochę zmęczony stąpaniem po zdradliwym gruncie władzy ojca. Pod koniec szkoły średniej postanowił wyuczyć się fachu stolarskiego. Znalazł na miejscu dobrą szkołę, zapisał się do niej i podjął się wykonywania pewnych prac w

niepełnym wymiarze godzin, żeby opłacić podstawowe koszty. Ojciec zgodził się pokryć pozostałe koszty nauki. Jednak już w pierwszym tygodniu nauki zdarzyło się chyba ze cztery razy, że Frank musiał się zająć przede wszystkim obowiązkami domowymi, a za każdym razem ojciec groził, że nie będzie łożył na naukę.

Brat spojrział pod tym kątem na perspektywy rocznej nauki w szkole i uznał, że gra jest niewarta świeczki. Poszedł do ojca i powiedział, że rezygnuje ze szkoły stolarskiej. Nie chciał, żeby ojciec miał nad nim dalej taką władzę.

- Wiesz, niby ma ci pomóc coś osiągnąć - mówił - a potem cztery razy na tydzień ci to udaremnia... Pomyślałem sobie, że nic będę się trudził przez wszystkie te miesiące po to, by w ostatniej chwili usłyszeć od niego: „No dobra, to wreszcie masz to, czego chciałeś. Uczyłeś się przez dziewięć miesięcy, myślałeś, że za tydzień dostaniesz dyplom, ale nie d o s t a n i e s z, bo nie wysłałem czeku; zawiodłeś mnie, w ten czy inny sposób naruszyłeś moje zasady”. Tato zawsze mówił: „Powiedziałem i nie ma dyskusji”, ale sprawdzało się to tylko wtedy, ilekroć obiecał ci karę. Jeśli obiecał ci coś innego, nie mogłeś na nim polegać. Wiesz... nic nie można było zrobić. Czasami miałeś wrażenie, że jesteś już na wpół martwy.

Przykro mi o tym mówić, ale słuchając opowieści Franka, cieszyłem się niemal, że ojciec umarł, gdy jeszcze byłem dzieckiem, ponieważ to samo co z Frankiem stałoby się i ze mną. Może w nieco mniejszym stopniu, bo szczęśliwie nigdy nie musiałem z nim walczyć, nie musiałem pod tym względem naśladować braci. Ale znałem też własny gniew i zawziętość, ten swój upór nie do pokonania. Gdyby ojciec coś mi przyrzekł, a potem nie dotrzymał słowa, musiałbym go za to znienawidzić. Może i mógłbym go zabić. Albo, co gorsza, zabić kogoś innego, kto uczyniłby mi to samo. Więc mogę się tylko cieszyć, że moje ambicje i nadzieje nie zostały w ten sposób uśmiercone, że nikogo nie zabiłem z zemsty za ich niespełnienie.

Podobnie jak Gary, Frank szukał możliwości zrealizowania swych aspiracji poza rodziną. Był nieco zakłopotany, kiedy mi o tym opowiadał.

- Miałem przyjaciela - powiedział podczas którejś z naszych wieczornych rozmów. - Nazywał się Ron. Byliśmy kumplami już od dłuższego czasu, trwało to ładnych parę lat, włóczyliśmy się razem po mieście. No i chcieliśmy po prostu... Dobra, nie musisz tak na mnie patrzeć, ale wtedy było w Portlandzie sporo takich miejsc, gdzie kwitła prostytutka. Każdy z nas zaoszczędził trochę grosza, chcieliśmy się wybrać do jednego z tych miejsc, no wiesz, żeby się wyszu - mieć. Wtedy było to znacznie bezpieczniejsze niż dzisiaj, można było się trochę powydziwiać. Tyle że Rona matka zapisała na takie studium religijne - konkretnie



było to studium świadków Jehowy. Cały czas tylko o tym gadał, a mnie to wcale nie interesowało. Przez ostatnie parę lat mówiłem sobie, że jestem ateistą. Miałem poważne wątpliwości, czy Bóg istnieje. Więc kiedy Ron schodził na tematy religijne, nie chciałem tego słuchać, wolałem myśleć o tych innych rzeczach, o których ci wspomniałem. Wtedy byłem w takim wieku, że interesowało mnie to znacznie bardziej niż religia.

Pewnego dnia - ciągnął dalej Frank - Ron przyszedł do mnie i oświadczył: „Uznałem, że ta religia mówi prawdę, i jestem gotów poświęcić jej życie”. Powiedział: „Jeszcze tylko przez miesiąc pochodzimy tam, gdzie mieszkają te prostytutki. A potem zamierzam wyprostować swoje życie”. No więc ganialiśmy tam z Ronem i zabawialiśmy się. Piliśmy i robiliśmy te rzeczy. Ale nim miesiąc dobiegł końca, Ron dotrzymał słowa. Stał się świadkiem Jehowy i zaprzestał tych ekscesów. Nadal mnie odwiedzał, byliśmy przecież przyjaciółmi, i namawiał, żebym się do niego przyłączył. A ja nie chciałem. No i wciągnął moją mamę w to sześciomiesięczne studium. Ona uwielbiała rozprawiać o religii. Siedziałem w sąsiednim pokoju i słuchałem, bo nie chciałem się do nich przyłączyć. I mama, oczywiście, odrzuciła to wszystko. Mówiła: „Z tym chłopakiem z tygodnia na tydzień jest coraz gorzej”. Ale gdy tak siedziałem w drugim pokoju i słuchałem tego, co mówił Ron, przekonałem się, że ma rację. Powiedziałem o tym mamie: „Spodobało mi się to. Chciałbym do tego przystąpić”. Mama od razu rozzłościła się na Rona. Poszła do mormońskiego kościoła i sprowadziła miejscowego biskupa, żeby ze mną porozmawiał. Powiedział mi, że nauki świadków Jehowy są błędne. Że lepiej już dla mnie, żebym został katolikiem niż świadkiem, ponieważ i mormoni, i katolicy wierzą w Chrystusa, który „umarł za twoje grzechy, więc jak umrzesz, to możesz pójść do nieba, a świadkowie Jehowy w to nie wierzą”. Chciałem być grzeczny wobec mamy i biskupa, ale powiedziałem: „Ja w to wierzę”. I już przy tym zostałem. Zaprenumerowałem magazyn świadków, zacząłem chodzić na ich spotkania. Miałem dziewiętnaście lat, gdy ostatecznie do nich przystałem.

Bardzo mi się spodobała ta relacja Franka. Zwłaszcza historyjka o dwóch chłopcach zatroskanych o swoje zbawienie, ale na tyle bystrych i spragnionych użycia, żeby jednak popełnić tych parę porządnych grzechów, nim będzie za późno.

A jeszcze bardziej przypadło mi do gustu to, co z owej opowieści wynikało. Otóż Frank wiedział, że warto poznać pewne granice. Granice tolerancji dla słabości swego ducha, lecz także granice przynależności do rodziny. Wybierając wiarę, której nie wyznawali matka ani ojciec, Frank stwierdził jasno, że nie chce już żyć w świecie skonstruowanym na ich modłę i wedle ich wartości, że woli pójść własną drogą. Powiedział im w ten sposób, iż nie chce być dłużej własnością rodziny. Miał na widoku lepszy dom, lepsze życie i oczekiwał

tylko dnia, w którym zacznie wreszcie żyć na własny rachunek.

Zupełnie inaczej było z Gaylenem i już sama próba opowiedzenia o tym sprawia mi spory kłopot. Gaylen - który urodził się jako Gaylen Noel Gilmore - był w rodzinie jedyną, obok ojca, osobą, która nigdy nie udzielała wywiadów na temat swego życia. Gdybym chciał uzupełnić pewne luki czy wyjaśnić tajemnice w jego biografii, miałbym duży problem ze znalezieniem świadków czy jakichkolwiek źródeł. I rzeczywiście niewiele mam takich świadectw, oprócz własnej pamięci oraz wspomnień Franka i kuzynki Brendy. A skoro nie dysponuję wywiadami ani zapiskami dotyczącymi brata, wychodzi na to, że odtwarzając jego życie, mogę polegać głównie na sobie samym. Przecież wychowałem się razem z Gaylenem - toczyliśmy bójkę i śmialiśmy się z tych samych rzeczy, miałem do niego pretensje i żałowałem go. Gdybyście zapytali mnie o to w chwili, gdy przystępowałem do pracy nad tą książką, powiedziałbym pewnie, że znałem Gaylena lepiej niż pozostałych członków rodziny.

Niebawem jednak musiałem sobie uświadomić, że wcale nie znałem ich tak dobrze, jak sądziłem, i być może już nigdy naprawdę nie poznam. Zbyt duża różnica wieku dzieliła mnie i braci, a Gaylen, podobnie jak Gary, w znacznej mierze odsunął się od rodziny, przebywając w więzieniu bądź włóczęgając się po kraju i szukając tam tych samych podniet, których w końcu wszyscy szukamy. Dlatego tak niewiele wiem o tym, co się działo z Gaylenem i Garym. podczas ich nieobecności w domu, a właśnie w tamtej obcej przestrzeni obaj kształtowali swe życie. Inaczej mówiąc, ich życie osobiste upływało poza kontrolą rodziny; mogli sobie iść za swymi największymi pragnieniami, popełniać najgorsze grzechy i odczuwać przerażający strach, a jakiegokolwiek były to doświadczenia, ich pamięć i znaczenie umarły wraz z moimi braćmi. Może to i lepiej. Może właśnie tyle powinienem wiedzieć o ich sekretach.

A jednak nigdy nie przestanę się dziwić. Patrząc na to, co się stało z życiem Gaylena, wiem, że przyglądam się jakiejś tajemnicy, i bardzo mnie to niepokoi. Jeśli to prawda, że śmierć człowieka mówi nam wiele o tym, jak żył, to wiem tyle: Gaylen żył ze strasznymi ranami, które nigdy nie zostały zaleczone, ale to nie one go zabiły. Zabiły go rzeczy, których nie mógł sobie odmówić.

Nigdy nie brakowało mi nikogo tak, jak zabrakło mi Gaylena. Ani rodziców, ani Gary'ego. Gdybym miał wybrać - rac, z którą z nieżyjących już osób chciałbym spędzić godzinę, wybrałbym Gaylena. Poprosiłbym go, by mi wyjawiał tajemnicę swego życia i powiedział, co mam zrobić, żeby wreszcie o nim zapomnieć.

Z żadnym z braci nie łączyły mnie tak zapalne stosunki jak z Gaylenem. Bawiliśmy się razem jako dzieci. Ale nawet gdybyśmy stanowili wzorową rodzinę, więzi braterskie

między nami nie mogły być zbyt bezpośrednie, zważywszy różnicę wieku. Ja miałem sześć lat, a Gaylen dwanaście. Odkrywał już cudowne namiętności i lęki związane z dojrzewaniem, czytał Salingera i Kerouaca, był bliski epoce seksu i rocka, nie dał się zamknąć w świecie Disneya. Gdy go błagałem, by zabrał mnie do miasta na jakiś film w rodzaju *Darby O'Gill i krasnoludki*, oglądaliśmy, dajmy na to, *Nagle ostatniego lata*, pełną okrucieństwa opowieść Tennessee Williamsa o rodzinie przeklętej przez Boga i pozostawionej własnym demonom. A kiedy film wydawał mi się zbyt przegadany i zaczynałem się skarżyć, Gaylen mówił: „Cicho bądź i siedź spokojnie, bo przegapisz tę scenę, w której zjawia się skrzat”.

Jak daleko sięgam pamięcią, wspominam Gaylena nie tylko jako kogoś, kto płatał mi figle, ale także jako kogoś, kto w dzieciństwie odnosił się do mnie ze szczególną wrogością. Pewne napięcia między nami wiązały się z tym, jak układały się nasze relacje z ojcem. Gaylen był przez lata jego ulubionym synem. Niezwykle atrakcyjny, bystry, czarujący chłopak to właśnie on, zanim się urodziłem, przebywał najbliżej ojca. Jednak w miarę jak dorastał, rozwijał coraz śmieiej własne pomysły, zdradzając cięty i złośliwy charakter. Ojciec postrzegał te zmiany jako przejawy samowoli i niesubordynacji i zaczął bić Gaylena, podobnie jak tłukł Franka juniora i Gary'ego. W wieku trzynastu lat Gaylen przybrał trochę na wadze - był to ten jedyny krótki okres, kiedy nieco utył, potem już do końca życia pozostał chudy jak szczapa - i ojciec cieszył się, ilekroć mógł go ośmieszyć, ganiąc jego niepokromiony apetyt. Jeśli tylko widział, że Gaylen bierze sobie dokładkę przy obiedzie, wyśmiewał jego zachcianki.

- Gdzie ty to wszystko mieścisz? - pytał. - Idzie ci w nogi? Bo twoje bebechy są już chyba zbyt tłuste, żeby coś tam jeszcze weszło.

To, co nastąpiło między ojcem a Gaylenem, ma tylko jedną nazwę: zerwanie. Popsuły się łączące ich stosunki, lecz Gaylen już zaznał ojcowskiej miłości. Teraz ja zająłem uprzywilejowaną pozycję, podczas gdy jego odrzucano i wyśmiewano; nic potrafił więc ukryć zranionej dumy i wściekłości, jaką czuł z tego powodu. Nieraz byłem przedmiotem jego gniewu, jak wtedy, gdy zepchnął mnie w domu ze schodów, zupełnie jak niegdyś Gary podniósł go z werandy jak kociaka, by nie tarasował przejścia; nieraz wykręcał mi rękę do tyłu, przypominając, bym trzymał język za zębami. Pamiętam, jak ojciec ukarał kiedyś Gayle - na, odbierając mu ulubioną zabawkę - zdaje się, że chodziło oniklowany sześciostrożniowiec wykładany macicą perłową - i dając ją mnie. Dzień czy dwa dni później, gdy ojciec wyszedł do pracy, Gaylen wyciągnął wszystkie moje zabawki, rzucił je na stos w kącie podwórza, a mnie zamknął w domu. Patrzyłem przez okno, jak rozbija siekierą zabawkę po zabawce. Potem włożył tę kupkę potrzaskanego plastiku do kubła na śmieci, a kiedy wrócił do domu,

szlochał.

- Pewnego dnia - powiedział pełnym bólu głosem - z tobą też tak zrobię. Zobaczysz.

Najgorsze moje wspomnienie dotyczące Gaylena i Gary'ego wiąże się z Bożym Narodzeniem. Nie pamiętam, jak doszło do bitki, ale w pewnym momencie ojciec i Gary, wczepieni w siebie, zaczęli się tarmosić, grożąc, iż pozabijają się nawzajem. Mama błagała, żeby przestali, ale kłębili się tak, że trudno ich było rozdzielić. W końcu Gaylen nie wytrzymał i zawołał, by ojciec puścił Gary'ego. Tato, którego zawsze pamiętam jako starszego pana o zadziwiającej sile, zacisnął tylko pięść i zdzielił Gaylena w brzuch. Kiedy ten zwijał się na podłodze z bólu, a Gary usiłował jakoś mu pomóc, ojciec chwycił mnie i powiedział, że wychodzimy i spędzimy święta w hotelu. Nie chciałem wyjść i upierałem się, że z nim nie pójdę.

- Chociaż ty nie zwracaj się przeciw mnie - rzucił z wściekłym grymasem na twarzy. Strach pomyśleć, co mógłby nam zrobić, gdybym dalej upierał się zostać.

Mama błagała go, by nie wychodził, usprawiedliwiając Gaylena i Gary'ego. Prosiła, żeby choć święta spędził ze wszystkimi synami. Ojciec nawet jej nie słuchał. Wsiadliśmy do wozu. Spojrzałem na mamę i braci zebranych na ganku, czekających, aż odjedziemy. Patrzyli na mnie tak, jakby mieli mi tego nigdy nie wybaczyć; mogłem po czymś takim raz na zawsze zostać wyłączony z braterskiej sztamy.

Odjeżdżając sprzed domu, czułem się jak zdrajca. Chciałem stać tam na ganku razem z braćmi, patrząc na odjazd tego, kto ich tak zranił.

Parę miesięcy później Gaylen zaprowadził mnie na werandę na tyłach domu i powiedział, że ma dla mnie prezent. Wręczył mi małą paczuszkę, owiniętą białą bibułą i zawiązaną czerwoną wstążką. Byłem podekscytowany. Kochałem prezenty. Rozwiązałem wstążkę i odwinąłem bibułę. Wewnątrz była mniejsza, dziwnego kształtu paczuska, przypominająca wyglądem popularne wtedy pojemniki z płatkami zbożowymi. Kiedy rozwinąłem i to opakowanie, ujrzałem prezent: był nim zeschnięty kawałek psiego gówienka.

Gaylen roześmiał się, widząc dziwny wyraz mojej twarzy.

- Nie bądź mazgajem - napomniał mnie. - I nie leć z ozorem do mamy i taty. Jeśli to zrobisz, stłukę cię na kwaśne jabłko.

Siadłem na werandzie i wpatrując się w „prezent”, czułem, że bracia muszą mnie nienawidzić. A potem wyrzuciłem gówienko, poszedłem na podwórko i parę godzin przesiedziałem pod drzewem. Wtedy chyba po raz pierwszy pomyślałem, że któregoś dnia wszystkich ich opuszczę.

Kiedy ojciec kłócił się z Gaylenem, oskarżał go, że trzyma stronę Gary'ego.

- Jesteś tylko ńedznym szachrajem, takim jak twój brat.

Była to prawda; gdy Gaylen utracił miłość ojca, zaczął się pasjonować światem zbrodni. Różniło ich to, że Gary z reguły ulegał impulsowi i dopuszczał się czynów przestępczych, podczas gdy Gaylena interesowała sama idea przestępstwa. Starczyło tego akurat na tyle, by zaimponować kilku koleśiom i kobietom - i nawet parę razy dostać się do kicia - ale w odróżnieniu od Gary'ego nie znajdował się w stanie nieustannego zagrożenia. Gary popełniał przestępstwa; Gaylen uwielbiał o nich myśleć. Tak czy inaczej, przemoc pociągała ich obu, mordercę i zamordowanego.

Urzeczenie Gaylena przestępcami było tylko pozą bystrego, zbuntowanego młodzieńca, który postanowił zostać antybohaterem, demonstrując w ten sposób sprzeciw wobec pewnych łatwych wartości i otaczającej go kultury - dość pospolita forma młodzieżowego buntu w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Gaylen uwielbiał zwłaszcza rozpatrywać ideę zbrodni doskonalej, podobnie jak jakiś inny dzieciak marzył o nowym rekordzie sportowym, a jeszcze inny o napisaniu wielkiej książki lub stworzeniu wielkiej muzyki. Gaylen rozczytywał się w książkach o poezji, ale znosił także do domu relacje o słynnych przestępstwach, na przykład o porwaniu w 1932 roku synka Charlesa Lindbergha. Porywacz zostawił list, w którym żądał pięćdziesięciu tysięcy dolarów w zamian za zwrot chłopca. Lindbergh wpłacił okup, ale dziecka nie odzyskał. Parę tygodni później ciało chłopca znaleziono w zagajniku w pobliżu domu Lindbergha. Nie żył już w dniu porwania. Potem był słynny proces niemieckiego imigranta, Brunona Hauptmanna, któremu zarzucono posiadanie pewnej sumy pieniędzy z okupu, i nie mniej słynna egzekucja. Cztery lata po tamtym porwaniu Hauptmann został stracony na krześle elektrycznym w więzieniu stanowym New Jersey, a sprzedawcy pamiątek oferowali żadnej sensacji publice modele krzesła oraz drabinki porywacza. Jednak aura tajemnicy wokół tej sprawy nie rozwiła się wraz ze śmiercią Hauptmanna, podobnie jak nie ustały apelacje, i zdaniem wielu obserwatorów rzecz wcale nie została wyjaśniona do końca. Po przestudiowaniu dokumentów procesowych Gaylen był przekonany, iż Bruno Hauptmann zmarł jako niewinny człowiek i że faktycznym sprawcom porwania i zabójstwa wszystko uszło na sucho. Brat tygodniami analizował przebieg procesu, zupełnie jak młody artysta, który studiuje mistrzowskie dzieło, próbując zrozumieć i przyswoić sobie zawarty w jego formie geniusz.

Intrygowała go też wielce słynna sprawa Leopolda i Loeba. Nathan Leopold i Richard Loeb, dwaj błyskotliwi studenci Uniwersytetu Chicagowskiego, pochodzili z bardzo bogatych rodzin o wysokim statusie społecznym. Obaj urzeczeni głośzoną przez Fryderyka Nietzschego

ideą nadczołowieka, zostali oskarżeni o popełnienie brutalnych przestępstw seksualnych na nieletnich. W 1924 roku Leopold i Loeb nawiązali rozmowę z czternastoletnim Bobbym Franksem, którego następnie zaprosili do samochodu. Loeb, posługując się dżetem, zadłgał chłopaka na tylnym siedzeniu, po czym dwaj studenci spokojnie zjedli obiad. Późną nocą ściągnęli z martwego chłopca ubranie, oblali mu twarz kwasem, żeby uniemożliwić rozpoznanie, i wepchnęli zwłoki do rury odpływowej w pobliżu chicagowskich bagien. Następnie zażądali okupu od zaniepokojonych rodziców ofiary. Przyświecała im myśl popełnienia zbrodni doskonałej, odrażającego aktu, którego tajemnica nigdy nie zostałaby wykryta, jakkolwiek pozostawili parę charakterystycznych wskazówek. Sam czyn - zabójstwo chłopca - miał dla nich być ostentacyjnie obojętny, nie budząc jakichkolwiek skrupułów czy poczucia winy. Właśnie ten ostatni aspekt przypadku Leopolda i Loeba szczególnie intrygował Gaylena.

- Nie chcieli odczuwać żadnych emoqi w związku z tym, co zrobili - powiedział mi raz. - Sądziłi, że są nadludźmi, a nadludzie mają prawo zabijać słabszych dla przyjemności lub samego doświadczenia zabijania.

Gdy byłem młodszy i Gaylen opowiadał mi o tej ohydnej zbrodni - albo mówił, że pierwszą dziewczyną, w której się zakochał, była aktorka Patty McCormack, grająca małą Rho - dę, która w sztuce *Nasiona zła* beztrósko zabijała każdego, kto wszedł jej w drogę - pomyślałem sobie, że mój brat nie jest taki zły, jak można by sądzić. Rzekłbym, że studiował zło po to, by samemu go nie popełnić, że gdyby istotnie dopuścił do siebie myśl o jakichś potwornych zbrodniach, to przecież nie mógłby jej wcielić w życie. Zapewne miałem rację, ponieważ rejestr przestępstw Gaylena nie był imponujący; drobne kradzieże i fałszowanie czeków to najgorsze, na co się zdobył. No i dochodził do tego jeszcze zły zwyczaj pieprzenia żon swoich najlepszych przyjaciół. Skłonny jestem sądzić, iż Gaylen był zbyt moralny lub zbyt wrażliwy, by kogokolwiek zabić albo dokonać jakiegoś aktu zniszczenia, który kosztowałby kogoś utratę nadziei lub szczęścia. Sam najwidoczniej nigdy nie popełnił takich czynów, pewnie dlatego, że lepsza część jego natury brała jednak górę. Gdyby rzeczywiście zdobył się na zbrodnię doskonałą, znalazłby też sposób, by zachować ją w tajemnicy, chociaż sądzę, że alkohol, którego nadużywał, rozwiązałby mu język i rzecz by się wydała.

Obawiam się, czy nie odmalowałem go tutaj w zbyt pociągającym świetle. W istocie Gaylen był czarującym, zabawnym., niewiarygodnie byстрыm i utalentowanym młodym człowiekiem, bez wątpienia najlepszym pisarzem, jaki urodził się w naszej rodzinie. Ale był także złośliwy i bezwzględny w stosunku do siebie i o ile mogę coś na ten temat powiedzieć, jego dobre i złe cechy ściśle się ze sobą zazębiały. Chciał zachować swoje znaczenie i

wsparcie, jakim cieszył się we wczesnym dzieciństwie, kiedy ojciec odnosił się do niego z miłością i wyróżniał go spośród reszty rodzeństwa. Gdy jednak miłość między nimi przerodziła się w nienawiść, poczucie tożsamości Gaylena stanęło na głowie. Osoba, którą niegdyś kochałeś najbardziej, teraz rani cię w bezwzględny i okrutny sposób. Taki nagły zwrot może nie tylko sprawić, że znienawidzisz tego, którego dawniej kochałeś, ale może także okazać się dostatecznie silny, byś znienawidził i zaczął wyśmiewać wartości, w których kręgu wzrastałeś.

Tak czy inaczej, zbrodnia i mrok nie były jedyną obsesją

Gaylena. Marzył o potworach, ale marzył również o miłości, dzięki której mógłby się wnieść ponad samego siebie. Wiem o tym, bo w wierszach, które zdążył napisać, dostrzegłem zarówno potwory, jak i nadzieję. Poezja Gaylena odnosiła się do spraw rzeczywistych - mówiła o destrukcji, owolnym wyborze i przeznaczeniu, o życiu na marginesie, które wiedzie ku upartemu, pokutnemu piekłu - a przy tym nie brakowało w niej namiętnych rymów i zaskakujących zwrotów frazy. Gaylen był dumny z tych blisko dwustu wierszy, które napisał, ale gdy pewnej nocy, po gorzkich wyrzutach, kobieta, którą kochał, odeszła od niego, otworzył flaszkę pepermintu, usiadł w szarości poranka i przeczytał te wiersze, jeden po drugim, a potem wylał na nie resztę pepermintu i podpalił stosik. Zaklinał się, że nie napisze ani jednego wiersza, dopóki znów nie pokocha go kobieta, która da mu natchnienie. Później, gdy umierał, cierpiąc z bólu, kobieta siedziała przy jego łóżku. A kiedy pielęgniarka sprzątała w szafce nocnej, znalazła nagryzmołony przez Gaylena wiersz, nad którym pracował, o trudach miłości niemożliwej - ostatni utwór, jaki napisał. Wiersz zaczynał się tak: „Nie da się opowiedzieć/Czegoś co jeszcze trwa”.

Ale wybiegam zanadto do przodu. Kłopoty z Gaylenem zaczęły się, gdy miał dwanaście, trzynaście lat i zrywał się ze szkoły, żeby w towarzystwie innych wagarowiczów po - wałęsać się w lasku przy Johnson Creek. Podobnie jak Gary, ubierał się w motocyklowe kurtki, starając się upodobnić do Jamesa Deana i Elvisa Presleya. (Później, gdy stracił nieco na wadze, być może istotnie trochę przypominał młodego Elvisa). Oczywiście palił i pił. Zaczął też kraść, a to już nie na żarty zaniepokoiło ojca. Podkradanie, podobnie jak popijanie, stało się jedną z przywar Gaylena. Jeśli ojciec zostawił jakieś pieniądze na biurku lub w kieszeni spodni, Gaylen zabierał je, a potem się tego wypierał. Jeśli zobaczył w sklepie coś, co chciałby mieć, na przykład miniaturowy model samochodu czy ładną koszulę, związał to w stosownym momencie, gdy mu się zdawało, że nikt nie patrzy. Potrafił też wynieść coś z domu i sprzedać w lombardzie. Mama straciła w ten sposób kilka pięknych zegarów i sporo cennych pamiątek. Patrząc na to z perspektywy czasu, mógłbym powiedzieć, że Gaylen cały

czas był zły. Chciał wszystkiego spróbować, i to szybko, na nic się nie oglądając. Jak ktoś, kto nie ma zbyt wiele czasu.

Myślę, że najgorsze było to jego pijaństwo. Frank uważa, że Gaylen zaczął popijać, gdy miał dwanaście lat, i nigdy z tym nie skończył.

Pewnego razu wróciłem z mamą autobusem z Seattle i kiedy Gaylen otworzył drzwi, żeby wziąć od nas bagaż, był ostrzyżony na pałę. Mamę niemal podcięło z wrażenia. Stała jak wryta, wpatrując się w tę lśniącą, okrągłą głowę. Gaylen był na pełnym luzie, jakby nic się nie stało. Mama kilka razy poruszyła bezgłośnie wargami, zanim odzyskała mowę.

- Coś ty, u diabła, zrobił z włosami? - wyrzuciła z siebie.

Gaylen wyjaśnił, że chciał mieć modnego mohawka, nosiło go już wielu chojraków ze szkoły. Dzień czy dwa przedtem wypili z przyjacielem parę piw i zaczęli sobie nawzajem podcinać czupryny. Temu koleśowi nie udało się chyba utrzymać równej linii, powycinał mojemu bratu jakieś krzaczkę, a po paru dalszych przymiarkach Gaylen już tak się zalał, że było mu wszystko jedno.

- Nie pokazuj mi się publicznie w takim stanie - oznajmiła mama. - Włóż czapkę baseballową, jakąś myckę czy inne cholerstwo, póki ci włosy nie odrosną, bo wyglądasz jak strach na wróble.

Nie pamiętam, by choć słowem napomknęła o picciu.

Jakiś czas potem siedziałem w pokoju i oglądałem telewizję, gdy frontowymi drzwiami wpadł Gaylen, goły do pasa, a od głowy w dół cały upstrzony cętkami i strużkami krwi. Chciał się przyłączyć do miejscowego gangu, więc przywódca poddał go inicjacji: obnażył, związał i dwukrotnie wypalił do niego ze śrutówki, tak przynajmniej brat opowiadał. Siedział na krześle przy stole kuchennym, a mama zmywała z niego krew i wydłubywała mu śruciny z ramion i klatki piersiowej. Płakała i chciała wewać policję, ale Gaylen ubłagał ją, by tego nie robiła. Powiedział, że sam to załatwi. Nie wyglądał na zaskaszonego, to była zimna determinacja. Niedługo potem usłyszeliśmy, że przywódca młodocianej bandy został napadnięty na ulicy i fatalnie zraniony w oko z wiatrówki. Nikogo to nie zdziwiło, w jakimś sensie było to oczywiste.

Lecz z całej tej afery coś innego szczególnie utkwilo mi w pamięci: kiedy ujrzałem mego brata w drzwiach, zbroczonego krwią i na wpół nagiego, wiedziałem, że widzę coś okropnego i przerażającego. W jakimś sensie chciałem być wtedy nim - wejść z takim opanowaniem i determinacją, gdy krew ze mnie cieknie. Krwawić i być zdolnym do działania, jakby nic się nie stało. w końcu Gaylen zbuntował się na dobre, tak jak Gary.

- Jak wiesz - wspominał Frank - tato zawsze miał te swoje tysiące zasad, a jedna



z nich brzmiała, że jeśli nie zjawisz się w domu wieczorem o wyznaczonej porze, drzwi będą zamknięte i rób, co chcesz. Zdaje się, że to była dziesiąta. Gaylen przychodził gdzieś koło wpół do jedenastej lub o jedenastej, a wtedy drzwi były już zamknięte. Stał tam pijany, wrzeszczał i walił do drzwi, wołał, by mama i tata mu otworzyli. No i tata w końcu otwierał - zwykle kopał go i tłukł pięściami, robiło się piekło. Sąsiedzi się skarżyli, że słychać te awantury na całej ulicy. Pamiętam, jak myślałem: „Z Garym nie układa się za dobrze. A teraz mamy w domu dwóch takich rozrabiaków, do tego jeszcze mama i tata. Ani chwili spokoju”.

W okresie, o którym piszę, Gary odsiadywał rok więzienia w Rocky Butte za włamanie do biura i kradzież pistoletu. Wyszedł stamtąd w maju 1958 roku i wrócił do pracy w Bresse Appliances. Zdarzały mu się wtedy zwykle nocne wpadki, jedna czy druga kradzież samochodu, parę włamań, lecz przez cały ten czas pieniądze ojca trzymały go z dala od więzienia.

A potem był ten incydent z nieletnią. Zdaje się, że miała na imię Anita.

Znam tę historię z kilku różnych źródeł. Przede wszystkim z taśm, które pożyczył mi Larry Schiller. W ostatnich czterdziestu ośmiu godzinach życia Gary'ego jeden z adwokatów zapytał go:

- Czy jesteś pewien, że nigdy nie miałeś dziecka?

Gary odpowiedział:

- Nie sądzę, bym miał. Owszem, miałem synka, ale umarł... To było dawno temu, w Portlandzie... Zmarł przy porodzie.

Doznałem wstrząsu, gdy to usłyszałem, była to dla mnie zupełna nowość, ale wątek urwał się równie nagle, jak się pojawił. Gary nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia.

Parę miesięcy później, gdy grzebałem się w materiałach dotyczących aresztowania Gary'ego i w protokołach sądowych hrabstwa Multnomah, natknąłem się na akt oskarżenia w sprawie o gwałt dokonany na nieletniej. Wyglądało na to, że Gary z jakimś innym młodym człowiekiem poderwali pijane małolaty, a następnie wykorzystali je seksualnie, nie byłem jednak pewny, czy zostało to ostatecznie potwierdzone. Zetknąłem się później z mężczyzną, współ - oskarżonym w tej sprawie, będę go tu nazywał Richardem; zgodził się ze mną spotkać i opowiedzieć mi o okolicznościach tego zdarzenia.

Pewnego śnieżnego ranka Richard stanął w progu mojego portlandzkiego mieszkania. Był przystojnym mężczyzną z siwą bródką, dałbym mu jakieś pięćdziesiąt dwa lata, i w przeciwieństwie do wielu innych przyjaciół Gary'ego, jakich spotkałem, nie było w nim niczego sztywnego czy nudnego. Zrobił na mnie wrażenie przyzwoitego i miłego, rodzinnie usposobionego faceta. Okazało się, że spotkanie z Garym było jakimś punktem zwrotnym w

jego życiu.

Doszło do niego, jak mi powiedział, gdy pracowali obaj w Bresse Appliances.

- Pański brat trzymał się raczej na uboczu - stwierdził Richard, gdy już usiedliśmy przy kawie. - Jakby był trochę nieśmiały czy może wystraszony; wciąż odnosiło się wrażenie, że styka się z czymś po raz pierwszy. Poczulem do niego sympatię. Byłem wtedy trochę samotny, zawsze miałem kłopoty ze słuchem. Zdawałem sobie sprawę, że niełatwo mi będzie znaleźć nowych przyjaciół. Postanowiłem więc zaprzyjaźnić się z pańskim bratem. Mogłem mu trochę pomóc, pokazywałem, gdzie są różne rzeczy i jak co działa, no i tak się złożyło, że wypuściliśmy się na drinka. Mieszkałem na rogu Dwudziestej Trzeciej i Weidle - ra w północnowschodnim Portlandzie. Poznałem dwie dziewczyny, które mieszkały trzy lub cztery domy dalej. Zwykle wpadały do mnie na weekend. Jedna z nich czasem zostawała. Wypiliśmy z Garym parę drinków i postanowiliśmy się zabawić, jak przystało młodym facetom.

To było we wtorek rano - ciągnął Richard. - Pracowaliśmy na nocną zmianę i Gary zwałił mi się do mieszkania. Wczesnym rankiem dziewczyny zastukały do drzwi, budząc nas obu. Była z nimi ich młodsza siostra, miała około czternastu lat i chodziła jeszcze do podstawówki. Szły właśnie do szkoły i chciały złapać autobus gdzieś na Broadwayu. Dwie starsze twierdziły, że muszą się spieszyć, bo inaczej się spóźnią, ale ta młodsza, Anita, miała chęć jeszcze zostać. Kiedy więc tamte wyszły, Anita, Gary i ja usiedliśmy, trochę pogadaliśmy i zagrałiśmy w karty. Mówiłem jej, że powinna raczej wracać już do domu, bo musimy iść do pracy na wpół do czwartej. Po pewnym czasie Gary odezwał się: „Wiecie co, może nie pójdę dzisiaj do roboty”. Odparłem: „Dobra”, ale pamiętam, że pomyślałem: „Cholera, coś jest nie tak”. Nie było jednak powodu sprzeczać się z Garym, skoczyłem do wozu i pojechałem do pracy. Kiedy wróciłem do domu, Anita leżała pijana jak bela na środku łóżka. Miała na sobie tylko skąpe figi, a Gary już zniknął. Nie budziłem jej, bo była pierwsza w nocy, a poza tym w takim stanie chyba nie dałaby się dobudzić. Usiadłem w fotelu i troszkę się zdrzemnąłem. Rano ją obudziłem, kazałem jej się ubrać i iść do domu. Oczywiście wiedziałem, że musiało tu zajść coś złego, czekałem więc, co będzie dalej. Nazajutrz rano słyszę łup, łup, łup do drzwi. Policja z nakazem aresztowania. Wywlekli mnie skutego na zewnątrz, potem wrzucili do wozu i powieźli do aresztu. Mój brat przeczytał o tym w gazecie i złożył poręczenie, a ja mu opowiedziałem, co się wydarzyło. Poszedłem do tych dziewczyn, żeby się dowiedzieć, co naprawdę zaszło. Okazało się, że ich matka zamierza wnieść skargę; mówi, że córka została zgwałcona. Pomyślałem więc, że Gary ją uwiódł, lecz biorąc pod uwagę wiek Anity, było to równoznaczne z gwałtem. A ponieważ wydarzyło się w moim

mieszkanii, najpierw dobrali się do mnie. W końcu dziewczyny zeznały, że nic z nimi nie robiłem, i oczywiście musiałem podać nazwisko Gary'ego, żeby ratować skórę.

Parę dni później policja zatrzymała Gary'ego w naszym domu na Johnson Creek. Zabrali go do aresztu miejskiego w centrum Portlandu i przesłuchiwali w sąsiednich pokojach jego i Richarda, porównując ich zeznania. W pewnym momencie zostawili Gary'ego samego, żeby uzgodnić jego oświadczenie z tym, co powiedział Richard. Gary przesunął taboret pod półotwarte okno, podskoczył, uchwycił się ramy i wy dostał na zewnątrz. Od ziemi dzieliło go sześć metrów, zeskoczył i uciekł. Policja go nie złapała.

Gary zemścił się na Richardzie za to, że ten go wydał. Kiedy któregoś wieczoru Richard wrócił do domu, stwierdził brak gitary i radia, a także rzadkiego kolejarzkiego zegarka kieszonkowego, jedynej pamiątki po zmarłym ojcu. Gitarę udało mu się odzyskać, co prawda w takim stanie, że już nie warto było jej naprawiać, ale zegarek przepadł. Przeszukiwanie wszystkich miejskich lombardów nic nie dało. Kiedy zajrzał do mnie tego zimowego ranka, myślał, że może ja będę coś wiedział. Mylił się, niestety.

- Chyba byłem zbyt łatwowierny w stosunku do Gary'ego - powiedział Richard, zanim się ze mną pożegnał. - Szukając przyjaciół, za bardzo się otwierałem i wyobrażałem sobie, że Gary potrzebuje przyjaźni tak samo jak ja. Ale jemu nie była potrzebna nasza przyjaźń. Nigdy bym nie splugawił domu swego przyjaciela i ufałem, że Gary postąpi tak samo w stosunku do mnie.

Gary udał się do Kalifornii i zatrzymał u swej dawnej przyjaciółki w San Diego. Zmienił też nazwisko. Nazywał się teraz John Rohr. Jego życie w San Diego nie różniło się zbytnio od tego, które wiódł w Portlandzie. W ciągu jednego tylko miesiąca zatrzymywano go pięciokrotnie, w San Diego i Los Angeles, za jazdę bez dokumentów lub za kradzież alkoholu. Gdy wybrał się do Teksasu, wsadzono go za włóczęgostwo. Policja z El Paso nie miała wątpliwości, że John Rohr to Gary Gilmore, poszukiwany w stanie Oregon za gwałt. Przetransportowano go do miejsca zamieszkania.

Gary'ego oskarżono początkowo o gwałt, sprawa jednak się skomplikowała: okazało się, że dziewczyna jest w ciąży. Zgodnie z tym, co opowiadała mama, ojciec zgodził się opłacić koszty szpitala i kilkuletniej opieki nad dzieckiem w zamian za wycofanie oskarżenia. Prokurator i rodzina poszkodowanej zgodzili się na to pod warunkiem, że Gary nigdy nie będzie się kontaktował z tą dziewczyną ani nie będzie próbował zobaczyć się z dzieckiem. Urodziło się ono w połowie 1960 roku. (Nie znam jego nazwiska ani nie próbowałem się go dowiedzieć). Mama powiedziała potem komuś, że odwiedziła kiedyś tę rodzinę i pozwolono jej przytulić niemowlę. Później utrzymywała z nimi sporadyczne kontakty, choć dziewczyna

wraz z rodzicami opuściła wkrótce Oregon. Chłopiec, wbrew zapewnieniom Gary'ego, bynajmniej nie umarł.

- Nie sądzę, by Gary kochał tę kobietę - mówiła mama - ale może mógłby pokochać dziecko. Wierzę chyba lepiej dla niego, by myślał, że chłopiec nie żyje, i nie czuł pokusy, by się z nim zobaczyć.

Gary dostał jeszcze rok, z dawnego oskarżenia o kradzież samochodu, i od września 1960 roku przebywał w należącym do więziennictwa stanu Oregon zakładzie w Salem, w skrócie OŚCI; było to coś pomiędzy więzieniem hrabstwa a więzieniem stanowym dla dorosłych. W wywiadzie wstępnym Gary tak oceniał własnego ojca: „Nie znałem go za dobrze. Traktował mnie tak, jak bym sobie tego życzył”. O mamie zaś mówił: „Całkiem w porządku kobieta, pozwalała mi iść własną drogą. Uważała, że mam już swoje lata i własny rozum, i nigdy się nie wtrącała. Szanowała moje zdanie”. Zarazem stwierdzał, że nigdy nie zwierzał się rodzicom ani też nikomu innemu. „Byłoby to dla mnie zbyt kłopotliwe”. W dołączonym do wywiadu profilu psychologicznym zanotowano: „Gilmore kieruje się zasadą dążenia do przyjemności i unikania bólu, a struktura jego osobowości jest zgodna z niedojrzałą koncepcją zaspokajania własnych przyjemności. U jej podłoża tkwi historia rodzinna [Gilmore'a], z bierną rolą matki, dominacją ojca i otwarcie wrogą postawą wobec władzy... W aspekcie dynamicznym jest to przypadek wychowanka niezdolnego do akceptacji władczej roli ojca, pod którego kuratelą się rozwijał. Gilmore niewątpliwie utożsamia się w znacznym stopniu z takimi skłonnościami, co potwierdza długa lista jego zatrzymań... [Jego] historię można rozpatrywać jako studium przypadku zaburzeń charakterologicznych”. Autor tej opinii pisze też o wyraźnych uzdolnieniach artystycznych Gary'ego i wysokich wynikach w testach sprawdzających wiedzę. Zdaniem eksperta to dość kłopotliwy profil: bystry młody człowiek o fatalnej skłonności do ulegania prostackim, głupim i autodestrukcyjnym impulsom.

Po osadzeniu Gary'ego w zakładzie naczelnik OŚCI napisał do Teksasu z prośbą o ustalenie danych dotyczących narodzin mego brata. List odesłano z adnotacją, że nie ma aktu urodzenia żadnego Gary'ego Gilmore'a; zapis z tą samą datą dotyczy Faye'a Roberta Coffmana, urodzonego w McCamey z ojca Franka Waltera Coffmana i matki De - ssie Brown, przy czym nazwiska te znano jako pseudonimy moich rodziców. Naczelnik napisał więc do nich, prosząc o wyjaśnienie sprawy, ale spotkał się z odmową. Ojciec nie zamierzał zwierzać się komukolwiek z okoliczności, w jakich posługiwał się nazwiskiem Coffman, ani też ujawniać szczegółów wyprawy na Południe, a mama zachowywała się tak, jakby w ogóle nie było o czym mówić. Mimo ponawianych ponagleń z OŚCI rodzice nawet się nie

połatygowali, by dostarczyć jakichkolwiek informacji w tej sprawie.

Naczelnik poprosił zakładowego socjologa, by wyjaśnił to z samym Garym. Ten jednak odparł socjologowi, że nie ma pojęcia, o czym on mówi, i poprosił o pozwolenie na powrót do celi. Przez kilka następnych nocy Gary'ego trapiły ostre bóle głowy. Był to początek migreny, która dokuczała mu odtąd przez resztę życia; na to samo skarżyli się Frank junior i Gaylen, podobnie zresztą jak ja. Z czasem migreny Gary'ego stały się tak chroniczne i niepokojące, że władze więzienne kilkakrotnie wysyłały go do szpitala, by zbadać przyczynę owych bólów. Nie znaleziono jednak ani przyczyny, ani lekarstwa na te dolegliwości. Po trzydziestu latach przyjaciółka Gary'ego, Nicole, opowiedziała mi, że pamięta, jak mój brat, przechodząc przez ich podwórko w Spanish Fork w Utah, walił głową w drzewo, pragnąc stłumić dręczący go ból.

Sprawa okoliczności związanych z nazwiskiem, które otrzymał po urodzeniu, z czasem zaczęła doskwierać Gary'emu coraz bardziej. Kilkakrotnie odwiedzał socjologa, by o tym porozmawiać. Zrazu kwestionował prawdziwość dokumentacji, domagając się uwierzytelnionej kopii. Ani on sam, ani ojciec nigdy nie przyznali otwarcie wobec osoby postronnej, że wiedzieli o fałszywym nazwisku, i dopiero po latach Gary zdecydował się porozmawiać o tym z matką; było to ostatniego dnia jego wolności, który spędzili razem.

Oto moje życie w domu na Johnson Creek, tak jak je zapamiętałem: nieustające wojny rodziców, wyjazdy z ojcem w trasę wzdłuż północnozachodniego wybrzeża Pacyfiku. Bracia wchodzili i wychodzili, nie mogłem sobie nawet wyobrazić tego ich życia, które wiedli poza domem, a co dopiero w nim uczestniczyć!

Przez cały ten czas mieliśmy tylko jedną wspólną przyjemność, ojciec, Gary, Gaylen i ja. We wtorkowe i piątkowe wieczory tato zabierał całą rodzinę na zawodowe turnieje zapasnicze, które odbywały się na stadionie wojskowym i w miejskiej sali widowiskowej. Zapasy profesjonalne były wówczas równie sztuczne i krzykliwe jak dziś - cały ten śmieszny balet, żadnego prawdziwego ryzyka - ale myśmy to kochali. Siedzieliśmy tuż przy ringu, ojciec i bracia oklaskiwali bohaterów i wygwizdywali nędzników, a ja klaskałem i gwizdałem razem z nimi. Mama i Frank junior siedzieli rząd wyżej, ostentacyjnie okazując brak zainteresowania, my zaś zachowywaliśmy się jak najbardziej rozwydrzeni kibice Północnego Zachodu.

Był tam taki czarny charakter, szczególnie przez nas znienawidzony, pucołowaty, choć muskularny facet w straszliwym kapturze z wymalowaną czaszką. Ojciec i Gary dostawali niemal apopleksji, widząc, jak ten nędzny tłuk walczy i oszukuje. Pewnego razu zakapturzony przeleciał przez ring i wylądował u naszych stóp. Kiedy ojciec i bracia

wyzywali go od najgorszych, tamten tylko na nich spojrzął i potrząsnął głową.

- Wracaj tam i walcz, człowieku, ty tchórzliwy kłocu! ryczał na niego ojciec.

Zapaśnik usiadł przy nim, nachylił się i powiedział:

- Jezu, facet, daj mi, kurwa, chwilę odetchnąć. Chcę tylko przeżyć, jak każdy.

Po tym zdarzeniu ojciec i bracia polubili nawet gościa. Któregoś wieczoru wybrali się z nim na piwo. Gary zaprzyjaźnił się później z zapaśnikiem, nieźle ciągnęli razem drinki i syrop na kaszel. Słyszałem też pogłoski, że mieli jakieś wspólne interesy. Dziś ten zapaśnik jest bohaterem lokalnego konserwatywnego talkshow. w pierwszym tygodniu listopada 1960 roku przenieśliśmy się do nowego domu, pięknego i wytwornego, i zaczęliśmy żyć, jak na rodzinę przystało. W tym samym dniu prezydentem Stanów Zjednoczonych został John F. Kennedy, kandydat, na którego głosowali moi rodzice. Świat się zmieniał. Czuliśmy, że na lepsze.

Nic z tego się nie ziściło. Gdy sprowadziliśmy się do nowego domu, duchy już tam na nas czekały, czając się po korytarzach i wkradając na pokoje.

[;RUS

DOM NA WZGÓRZU



**ZIAŁ**

*Sen. Mijnm dom na wzgórzu, w którym zamieszkaliśmy po opuszczeniu Johnson Creek. W samochodzie siedzą oprócz mnie jeszcze dwie osoby: jedną jest słynny dziennikarz i reporter, drugą Nicole, ostatnia przyjaciółka Gary'ego. Zbliża się wieczór i widzę, że mój stary dom bardzo się zmienił. Do głównego budynku dostawiono przybudówkę; gmach wznosi się teraz ku górze na sześć czy siedem pięter. Na szczycie wieżyczka w stylu wiktoriańskim. Istny dom Usherów, pomyślałem sobie zaraz.*

*Od lat już chciałem odwiedzić ten mój stary dom. Odnaleźć drogę powrotną, jeszcze*

raz być w środku. Czuję się tak, jakbym utracił tam coś czy zagubił, i może gdyby udało mi się znowu przejść tymi pokojami, znalazłbym tę brakującą rzecz. Jestem też przekonany, że są tam tajemnice, które powinienem znać, a jedyny sposób, żeby je odkryć, to wejść do domu, w którym wzrastałem, do domu, który opuściłem.

Widzę teraz drogę, którą mógłbym się tam dostać. Z przodu jest tablica: POKOJE DO WYNAJĘCIA - GÓRNE PIĘTRA. Reporter zgadza się podać za mego brata, Nicole jest teraz nasza siostrę. Jesteśmy rodzinę szukającą nowego domu. Wchodzimy przez drzwi frontowe do czegoś, co było niegdyś salonikiem. Dziś jest to centralne biuro czegoś tam, jakkoheiek wyglądem przypomina przedsionek domu pogrzebowego, w którym odbyły się ceremonie żałobne po śmierci mego ojca, natki i Gaylena. Za biurkiem pośrodku pokoju siedzi piękna starsza pani. Myślę sobie: tyle się zdarzyło w tym pokoju, a teraz ledwo mogę go poznać. Mimo to wciąż uważam, że coś jeszcze jest w tym domu. Czuję tę obecność wokół siebie. Wydaje mi się gęsta i złowroga.

Umawiamy się z kobietą na zwiedzanie domu. Mówi, że przyszedliśmy za późno, ponieważ wszyscy wychodzą, gdy tylko się ściemnia. Mówi jeszcze, że autobusy nie kursują i będzie nam teraz trudno wrócić do miasta.

Wspinamy się po wąskich, krętych schodach i wchodzimy do wielu pokoi. Niektóre z nich mają niewykończone drewniane podłogi, wewnątrz widzę jakieś zapadnie prowadzące donikąd. Inne znów są bez okien, niczym chłodnie.

Wchodząc do kolejnych pokoi, spotykam ludzi, którzy chcą mi opowiedzieć swoje historie. Te historie dzieją się zawsze i wszędzie. Nic mogę ich spamiętać, większość jest smutna jak ludzie, którzy je opowiadają. Młoda czarna kobieta mówi mi, że kiedy wychodzi na spacer po okolicy, ludzie z sąsiedztwa zachowują się tak, jakby jej nie znali lub może nie dostrzegali.

- Traktują mnie, jakbym była zombi - mówi. - Może jestem zombi.

W miarę jak zbliżam się do szczytu domu, widzę, że pokoje stają się coraz bardziej puste. Spostrzegam, że nie ma już przy mnie mojego przyjaciela reportera ani Nicole. Schodzę na dół, żeby ich znaleźć, ale tam też nikogo nie ma. Robi się ciemno. Widzę teraz, że zmieniło się otoczenie domu. Otaczają go krzyżujące się linie kolejowe, znikające gdzieś w pustej przestrzetti, gdzie widać tylko miganie przypadkowych świateł sygnałowych.

Wracam do domu, żeby poszukać wyjścia, ale wszystkie pokoje są teraz puste lub zamknięte. Przekonuję się, że jestem tu sam i że jedynym moim towarzystwem jest obecność zła, które wyczuwałem, zanim wszedłem do tego domu. Jestem sam w domu przepelnionym złem i muszę tu zostać.

*Budzę się przerażony, jakby ktoś właśnie wszedł do pokoju, w którym spałem.*

Nasz nowy dom stał na południowym skraju Milwaukie, leżącego po drugiej stronie torów biegnących od starego domu przy Johnson Creek. Milwaukie było największym miastem hrabstwa Clackamas, lecz w odróżnieniu od Port - landu w hrabstwie Multnomah odznaczało się charakterem w znacznej mierze wiejskim. Nie było tu rozrywek w postaci klubów nocnych, burdeli, barów dla homoseksualistów i kin czynnych przez całą dobę - tego wszystkiego, co czyniło z Portlandu atrakcyjną oazę dla spragnionych grzesznego nocnego życia. Było w tym miejscu coś niepojętego: mieszkańcy Clackamas żyli w całkowitej izolacji od takich spraw i w ogóle ich one nie interesowały. Warunki mogły sprzyjać rozwojowi zarówno duchowości, jak i destrukcji, tak czy inaczej, zazwyczaj zmiany nie dokonywały się na lepsze. Multnomah miało wyższy wskaźnik przestępczości włamania, prochy i tak dalej - ale w jakiś naturalny sposób świat zbrodni skłaniał się ku odległemu zadupiu Milwaukie. Większość najgroźniejszych zabijaków Oregonu, zabójców i gangsterów, wywodziła się z domów w hrabstwie Clackamas. Gary był jednym z nich.

Nic o tym oczywiście nie wiedzieliśmy, gdy kupowaliśmy nasz nowy dom. Ojciec zarabiał teraz przyzwoite pieniądze, rodzina stała się zamożniejsza i mama znów podjęła walkę o lepsze mieszkanie. Myślę, że po prostu chciała żyć w nie gorszych warunkach niż jej siostry w Utah. I nie tylko to: chciała też zapewnić lepszy start synom. Bała się, że jeśli po zwolnieniu z OŚCI Gary wróci do swego światka na Johnson Creek, trafi w dawne koleiny i popadnie w złe towarzystwo. Gdyby miał lepszych sąsiadów i bardziej sprzyjające warunki, może udałoby mu się wyjść na prostą. Widocznie te argumenty przekonały jakoś ojca, że nadszedł czas, by ruszyć z rodziną do lepszego świata. Pomysł świetny, gdyby tylko się udał. Moi rodzice nie mogli jakoś pojąć, że przyczyny tkwiły w samym domu, a nie w jego bezpośrednim otoczeniu. Może już było za późno, by mogli to zrozumieć.

Tak czy siak, mieliśmy nowy dom i nowy, świetny adres. Żeby się tam dostać, trzeba było przejechać w Milwaukie przez tory kolejowe i skręcić w wijącą się Czterdziestą Piątą Aleję. Była to najuboższa dzielnica, ludzie mieszkali tu w nędznych, krytych papą chałupinkach, przytwierdzonych jedną ścianą do muru. Potem był jeszcze jeden przejazd przez tory, dalej w kierunku zachodnim przepływała rzeka Willamette, a stąd był już tylko krok do centrum Milwaukie. Śródmieście sprowadzało się wtedy (a i dziś także) do jednej ulicy rozgałęziającej się na pięć czy sześć przecznic i zwanej Main Street, z kilkoma aptekami, sklepami spożywczymi i kafejkami. Jadąc Main Street, wypadało się na autostradę zwaną Lake Road. Była to długa, rozległa ulica z kilkunastoma porządnymi domami w stylu farmerskim, nieco odsuniętymi od drogi; na pierwszym planie widać było duże ogrody z



drzewami kasztanowymi. U końca tej drogi wjeżdżało się w prawo w Oatfield Road. Krajobraz nagle się zmieniał. Oatfield Road spływała w dół łagodnymi wzgórzami, porośniętymi dębami i sosnami, aż do kamiennego mostku spinającego brzegi potoku, z szeregiem uroczych domów w stylu wiejskich dworców. Dalej pięła się w lewo, okrążając jakieś większe wzgórze. A kiedy już dotarło się na sam szczyt, każdy dom, który mijales, nosił niewątpliwe znamię starych pieniędzy i dawnych czasów, ani śladu jakiegokolwiek bezładu czy rozgardiaszu.

Należało teraz posuwać się półkolistą wstęgą drogi wiodącej ku szczytowi wzgórza i tuż przez wierzchołkiem odbić ostro w lewo. Wystarczyło tylko zakręcić, i miałeś przed sobą wierzchołek. Tam właśnie, na lewo, na szczycie najpiękniejszego ze wzgórz Milwaukie, stał stał nasz nowy dom. Wtedy była to piętrowa szara budowla, nieco oddalona od drogi i wznosząca się nad otoczonym murem podwórkiem. Kilka szerokich schodków wiodło ku dużemu frontowemu gankowi, z kwadratowymi filarami i bujaną ławeczką. Z lewej znajdowało się drugie podwórko, a za nim długa pętla podjazdu, okrążająca wyspę ogrodu w kształcie ły. Z tyłu rozciągał się jeszcze akr ziemi z wielkim drzewem wiśni pośrodku.

Wchodziłeś przez drzwi frontowe i już byłeś w saloniku, kominek z czerwonej cegły stał przy ścianie nośnej. Na prawo od niego podwójnej szerokości rozsuwane drzwi prowadziły do stołowego, a idąc dalej, trafiałeś do kuchni. Na tyłach domu znajdowała się przeszklona weranda. Po schodach wchodziło się do czterech sypialni, była tam też główna łazienka i druga weranda. Mogłeś stamtąd podziwiać wieże i dachy Milwaukie, dalej widziałeś panoramę i nocne światła śródmieścia Portlandu oddalonego o osiem mil. Fascynujący widok.

Kochałem ten dom na wzgórzu, a także zaczynałem się go bać. Był to przecież najważniejszy dom mego umysłu, mego życia, mej pamięci. Nie ma tygodnia, bym o nim nie myślał.

Wróciłbym tam, gdybym mógł. Parę lat temu, kiedy mieszkałem w Portland/ie, napisałem do Ludzi, którzy teraz zajmują nasz stary dom. Poinformowałem ich, że pracuję nad książką o swojej rodzinie, i zapytałem, czy mógłbym się tu wybrać z krótką wizytą. Nie otrzymałem odpowiedzi. Nie mogę ich o to winić. Nie jestem pewien, czy sam bym wpuścił kogoś mającego związek z tak fatalną przeszłością za próg własnego domu.

Jak już wspomniałem, mama widziała w tej przeprowadzce znak opatrnościowy nowego życia naszej rodziny. To był dom, jaki zawsze chciała mieć, toteż wzięła się zaraz do pracowitego wytyczania rabatek i klombów w ogrodzie, a do mieszkania sprowadziła meble importowane z Europy i z Japonii. Musiała pewnie myśleć, że nowy, lepszy dom przywróci

rodzinie dobrą opinię - moi krnąbrni bracia będą wreszcie mieli prawdziwy powód do dumy, a ojciec odzyska wiarę w synów i postanowi ich wspierać. Chciała, żebyśmy byli rodziną na wzgórzu, a nie rodziną przy torach.

Stało się jednak coś, czego żadne z nas nie brało pod uwagę. Zaczęliśmy umierać.

Był pewien epizod, o którym zawsze myślę jako o zapowiedzi tej drogi, choć nie potrafię powiedzieć, dlaczego akurat to szczególne wspomnienie zachowałem w pamięci.

Zacząłem właśnie chodzić do szkoły podstawowej w Milwaukie, w połowie trzeciej klasy. Ojciec zawoził mnie tam i odwoził z powrotem; stało się to jego zwyczajem, nie chciał nawet myśleć o tym, żebym miał jeździć autobusem z innymi dziećmi. Tego wczesnego grudniowego popołudnia w dolinie Wiliamette rozpułała się śnieżycą. Kiedy wychodziliśmy ze szkoły, nauczyciele radzili nam, żebyśmy słuchali jutro od rana radia, ponieważ szkoła może zostać zamknięta ze względu na warunki pogodowe. Piętnaście po czwartej czekałem przed szkołą na zielonego pontiaca kombi, rocznik 1960. Ojciec się spóźnił, a że nigdy dotąd mu się to nie zdarzyło, miałem złe przeczucia.

Gdy wreszcie zatrzymał się przy mnie - inne dzieci dawno już odjechały autokarem szkolnym - ujrzałem zmartwioną twarz ojca.

- Cokolwiek byś robił - powiedział mi, gdy wsiałem do środka - nie mów matce niczego, co mogłoby ją zdenerwować. Mielśmy w domu przez cały dzień malarzy i dekoratorów, a jej okropnie się nie spodobały nowe kolory i desenie, zwłaszcza w kuchni. Chciała urządzić na nowo cały ten cholerny dom i teraz ma to gównu.

Te uwagi, które mogłyby wywołać jakieś dowcipne czy niechętnie komentarze innych osób, zmroziły mnie i wprawiły w prawdziwe przerażenie, pewnie dlatego, że skoro mi to powiedział, trzeba się było liczyć z jakimś kolejnym szaleństwem czy nieprzewidywalną reakcją matki. Ale było coś jeszcze. Gdy wspinaliśmy się Oatfield Road po zaśnieżonym stoku, uderzyło mnie jakieś zmęczenie w twarzy ojca, ton rezygnacji w jego głosie. To było coś nowego: nigdy nie widziałem u niego takiego znużenia czy smutku, więc zatrwożyło mnie to bardziej niż demonstracja siły gniewu. Może wiązał z tym nowym domem większe nadzieje niż my wszyscy. Może sądził, że kupując go, kupuje nie tylko szacunek dla rodziny, ale także spokój dla siebie. Tymczasem obaj wiedzieliśmy, że przy naszej mamie to niemożliwe. Ona chciała, by ten nowy dom był doskonały w każdym calu, a kiedy coś stawało na przeszkodzie jej oczekiwaniom, złościła się na ojca, on zaś wołał po prostu spełnić jej kaprysy i wynieść się z domu. Odtąd coraz częściej patrzyłem na niego jak na zmęczonego i bezradnego mężczyznę, który pragnął zaznać wreszcie trochę spokoju miał już naprawdę dość kłopotów.

To, co ojciec mówił o ambicjach mamy, uświadomiło mi, jakie parszywe życie czeka mnie w domu w najbliższych dniach. Mama chciała wszystko odmalować i wytapetować na nowo, mieliśmy więc zakazane chodzić w tym czasie po mieszkaniu. Zostawiono tylko wąską ścieżkę, która łączyła schody do kuchni i łazienki z dwiema sypialniami na górze. Nie wolno nam było także dotykać ścian ani kontaktów. Jeśli ktoś o tym zapomniał, robiło się istne piekło. W praktyce więc każdy, kto chciał pozostać w domu (co mogło sprawiać niemiłe wrażenie, jakbyśmy stali się wobec siebie sztywni czy chłodni), przenośił się do stołowego, zagraconego telewizorem, nierozpakowanymi książkami dodatkowymi meblami. W dzień przebywało w nim teraz dwoje dorosłych i trójka niesfornych chłopców. Miałem tam swój kącik, gdzie mogłem czytać ulubione książki: opowieści o Jezusie i o potworach, o Odyseuszu i kapitanie Ahabie.

Tego popołudnia, gdy weszliśmy z ojcem do domu tylnymi drzwiami od kuchni, w pełni świadomi natrętnych zarządzeń mamy, ujrzałem Franka i Gaylena siedzących w stołowym. Wyglądali, jakby znaleźli się w pułapce, już od paru godzin wściekli na mamę. Mama siedziała na metalowym krześle w rogu, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, studiując wzory na linoleum, które położono dziś rano. Parę dni wcześniej, gdy dokonywała wyboru, zachwycała się, że to najbardziej uroczy deseń, jaki kiedykolwiek widziała. Teraz jednak, wpatrując się w podłogę, uznała, iż wzór musi być płodem czyjejś piekielnej wyobraźni, i najwyraźniej jakieś złe myśli lęły się w jej głowę. Widziałem, jak tam siedzi, i nagle ogarnęło mnie jakieś wielkie współczucie. Wydało mi się, że nie tylko rozumiem jej zwykły gniew, ale mogę także pojąć osobliwą strukturę umysłu, przenikniętą głębokim żalem wściekłością, że to, czego najbardziej pragnęła, i to, czego się bała, było jednym i tym samym: przestrzenią, w której mogłaby żyć, nieniekpokojona, w swoim małym prywatnym szaleństwie. Pamiętam, że chciałem tylko podejść i przytulić się do niej, pocieszyć ją, powiedzieć, że rozumiem, iż powinna mieć to, czego tak pragnęła - a pragnęła deseni na podłodze, który by harmonizował z jej niepojętym dla innych zmysłem porządku i ładu.

Nie pamiętam dokładnie, co się stało, wiem tylko, że działałem pod wpływem impulsu. Podszedłem do matki. Objąłem ją, ucałowałem w policzek - nie wolno nam było tego robić i nigdy tego nie robiłem. Poleciałem gdzieś pod ścianę - i to było następne, co pamiętam.

- Trzymaj się ode mnie z daleka, ty mały wypędku! - wrzasnęła.

Między nami natychmiast wyrósł ojciec, potrząsając pięścią; bracia rozdzielili rodziców, starając się uspokoić ich oboje. Trzymając się ojca, próbowałem uchwycić mamę, żeby pokazać, że wszystko już jest w porządku. Pamiętam jeszcze, że ojciec wypchnął mnie z

pokoju, a mama żałowała tego, co zrobiła, płacząc, wyciągając ręce i wołając:

I Nie, Frank, niech wejdzie z powrotem! Nie chciałam, przecież wiesz, jak bardzo go kocham! pamiętam Gaylena, wyrzekającego:

- Jezu, mam już dość tego piekła, po uszy mam tego gówna!

I Franka, który zaprowadził nas do samochodu.

Pojechaliśmy z ojcem i braćmi do chińskiej restauracji, a zanim wróciliśmy, zapadł już mrok. Pod naszą nieobecność mama upiekła trochę czekoladowych ciasteczek i czekała z nimi na mnie. Bardzo je lubiłem, a mama była najlepszą kucharką, jaką znałem. Powiedziała później, że wcale się tak nie wpatrywała w ten deseń na podłodze i że jest bardzo szczęśliwa, iż może tu mieszkać, o ile oczywiście wymienimy całą tapetę na schodach na nową, w innym kolorze.

- Świetnie - zgodził się ojciec. - Kiedy tylko chcesz.

Bardzo współczułem obojgu moim rodzicom - ojcu dlatego, że, jak dziś sędzę, wydał mi się wtedy złamanym, skończonym i przegranym człowiekiem; mamie - ponieważ widziałem, że nie osiągnęła niczego, do czego tak naprawdę chciała dojść, i że musiała przez resztę lat żyć z tym poczuciem niespełnienia. Szczęście w nieszczęściu, że wybór deseni był dość ograniczony, wciąż się powtarzały w wielu kuchniach i łazienkach. Ilekroć zdarzyło mi się na nie patrzeć, nie mogłem się opędzić od wspomnień tamtego dnia i tego wszystkiego, co nam się przydarzyło w tym nawiedzonym pałacu.

Pewnego zimowego popołudnia mama była sama w naszym nowym domu, właśnie robiła coś w kuchni. Usłyszała jakiś dziwny hałas dobiegający z sąsiedniego pokoju stołowego, a kiedy się rozejrzała, zdążyła jeszcze zobaczyć zarys ludzkiej postaci, znikającej w szklanych drzwiach tylnej werandy. Pomyślała, że może Frank junior lub Gaylen wrócili wcześniej do domu. Otworzyła drzwi i weszła do pokoju, ale nikogo tam nie było.

Można by to poczytać za czysty wytwór nadmiernie pobudzonej wyobraźni, gdyby nie to, że rzecz zaczęła się powtarzać. Tydzień czy dwa później Gaylen siedział sobie wieczorem na werandzie, patrząc w jeden z naszych czterech telewizorów. Drzwi się otworzyły i - jak opowiadał - stanął w nich jakiś człowiek w białej szacie i o siwych włosach. Przez chwilę popatrzył na Gaylena i zniknął w tych samych drzwiach. Brat odszukał matkę i zapytał, kim był ten obcy.

- Jaki obcy? - zdziwiła się mama.

Dom na Oatfield, zanim się do niego przenieśliśmy, należał do pewnego znanego miejscowego lekarza. Zgodnie z tym, co mówiono, lekarz umarł w domu; znaleziono go na ciemnej werandzie, leżącego na kanapie. Opowieść charakterystyczna dla nawiedzonych

miejsce, z tym że pozbawiona emocjonalnego podłoża. Czy lekarz umarł nieszczęśliwy i osamotniony? Nie, o ile zdołałem się dowiedzieć. Więc co go wiązało z domem, w którym zmarł? Dlaczego zakłócał spokój tego miejsca?

Były to pytania bez odpowiedzi. Kiedy mama usłyszała tej historii, była przekonana, że trafił się nam kolejny nawiedzony dom. Chciała nawet od razu się stąd wynieść, ale ojciec pozostał niewzruszony.

Wciąż zdarzały się tu dziwne rzeczy. I nigdy to nie ustawało. Muszę powtórzyć to, co już mówiłem: nie wierzę w duchy. Ale jak każdy członek naszej rodziny słyszałem wyczuwałem rozmaite dziwne rzeczy, które się działy w tym domu, a nie byłem w stanie w żaden sposób ich sobie wytłumaczyć. Sypialnie na górze dzieliła sporej grubości przegroda; nie mogliśmy dojść, do czego miałyby ona służyć ani co w sobie mieściła. Mieliśmy strych, ale w żaden sposób nie można się tam było dostać - nie znaleźliśmy żadnej klapy, drabiny czy schodów. Może ta przegroda ukrywała jakieś wąskie schodki, coś na kształt tych z poematu Roberta Frosta *Czarownica z Coós*, może odgradzała czające się w tym domu zło. Tak czy siak, wszyscyśmy słyszeli niewytłumaczalne odgłosy, czyjs ciężki oddech czy bolesne jęki, a około trzeciej nad ranem słychać było stłumione rozmowy. Gaylen wymyślił sobie, że na naszym niedostępnym strychu może mieszkać jakaś inna rodzina. Trzeba było widzieć twarz mamy, gdy o tym mówił.

A kiedy spytałem ostatnio Franka juniora, czy pamięta tamte odgłosy z korytarza, powiedział:

- Tak, pamiętam je dobrze. Wiele o tym myślałem przez ostatnie lata. Doszedłem w końcu do wniosku, że w ścianie musiała być wąska szczelina i uwięzło w niej jakieś zwierzę, może ptak lub gryzoń, może nawet kot, któremu udało się tam wejść przez dziurę gdzieś pod okapem, ale który nie mógł już wyjść. Myślę, że słyszeliśmy odgłosy wydawane przez to biedne uwięzione stworzenie, które daremnie próbowało się stamtąd wydostać i z wolna umierało.

Wyjaśnienie Franka brzmiało całkiem rozsądnie, tylko że jeśli coś umierało w tych murach, to musiało to trwać ładnych parę lat. Nie, nie wierzę w duchy, ale wiem jedno: były w tym domu pomieszczenia, jak schowek pod schodami werandy, którego zawsze się bałem. Już na samą myśl onim czułem się nieswojo, starałem się tamtędy nie chodzić, a ilekroć miałem wejść po schodach z korytarza na górę, robiłem to jak najszybciej. I niemal czułem coś na karku, gdy pospiesznie tamtędy przechodziłem.

Ojciec wyjeżdżał w interesach do Seattle i zabierał mnie ze sobą. Przestałem już być powodem scysji rodziców. Myślę, że mama musiała w końcu zaakceptować sytuację. Zresztą

ten nowy dom bardzo ją absorbował. Wciąż czyniła zabiegi, by wyposażyć środkowe pokoje w gustowne meble z epoki wiktoriańskiej, stoły z marmurowym blatem, pluszowe miękkie krzeselka, stoliki do kawy z wytłaczanymi w skórze złożonymi marokańskimi motywami roślinnymi. Spędzała też niezliczone godziny na powietrzu, sadząc rzadkie japońskie drzewka przed domem lub uprawiając swoje ukochane grządki kwiatowe w niszy na podjeździe. Z pewnością sprawiało jej to przyjemność, choć nigdy nie była całkowicie zadowolona z osiągniętych efektów. Wystarczała jakaś drobna usterka czy skaza w nowo nabytym mebelku, by pograżyć mamę w głębokiej depresji, a gdy gazony w ogrodzie nie wychodziły jej tak, jak to sobie zamierzyła, potrafiła powyrywać i zniszczyć roślinki, a potem zaszyć się w domu. Trzaskała drzwiami i siadała, szlochając, przy kuchennym stole. Wszyscy wiedzieliśmy, że lepiej trzymać się od niej z dala, gdy pracuje w ogrodzie.

W Seattle zatrzymywaliśmy się z ojcem w starej dzielnicy, niedaleko Queen Anne Hill. W lokalu na rogu podawano smaczne obiady, tuż obok była dobrze zaopatrzona księgarnia, gdzie mogłem kupić najnowsze komiksy. Mieliśmy tylko milę lub dwie do centrum i, jak zwykle, mogłem sobie chodzić, gdzie tylko chciałem. Seattle było akurat gospodarzem Targów Światowych, więc zaglądałem na tereny wystawowe po parę razy w tygodniu. Któregoś dnia zwiedzał targi astronauta John Glenn. Udało mi się uścisnąć mu rękę. Wróciłem szybko do domu i opowiedziałem o tym ojcu. Był ze mnie dumny. Cały dzień gapiliśmy się w telewizor, kiedy Glenn odbywał historyczny lot po orbicie okołoziemskiej.

Naprzeciw nas mieszkało małżeństwo w średnim wieku z kilkunastoletnim synem. Ojciec jakoś szczególnie ich lubił, więc odwiedzaliśmy się często wieczorami. Tato zawsze przynosił jakieś prezenty. Siadywał nieraz do pokera z panem domu, Waltem, i wypijali wtedy jedno czy dwa piwa. Ich syn miał na imię Larry i okazywał mi wyraźne zainteresowanie. Traktował mnie tak, jak zawsze chciałem, by traktowali mnie bracia. Ilekroć w telewizji szedł jakiś klasyczny film, jak *Wilk morski*, *Ostatni Mohikanin* czy *Dziedziczka*, Larry siadał ze mną i oglądaliśmy, jedząc prażoną kukurydzę, a potem mi tłumaczył subtelniejsze odniesienia filmu. Zabierał mnie także do teatru i muzeum, kupował książki. Podarował mi ilustrowany egzemplarz *Moby Dicka* w twardej okładce i próbował przybliżyć głębszy sens tej powieści, wykraczający poza historię o wielorybie.

Nie dowiedziałem się tego wówczas, lecz dziś sędzę, że Walt był jednym z nieujawnianych synów mego ojca, a Larry w takim razie byłby moim bratankiem. Dopiero po latach stało się to dla mnie jasne. Próbowałem potem odnaleźć tę rodzinę, ale jak wielu innych ludzi, których kochaliśmy, nienawidziliśmy czy z którymi byliśmy jakoś związani, całkowicie zniknęli z naszego życia.

Po powrocie do Milwaukie czekały nas nowe wydarzenia. Gaylen przestał chodzić do szkoły średniej; czuł, że nie ma tam nauczycieli, którzy naprawdę mogliby go czegoś nauczyć, a dyrekcja szkoły odetchnęła z ulgą, że nie będzie już musiała go widzieć. Zaciągnął się do marynarki wojennej, ale przygoda nie trwała nawet miesiąc. Po pięciu nieusprawiedliwionych nieobecnościach i bodaj jeszcze większej liczbie pijatyk Gaylen usłyszał od bezpośredniego dowódcy, że wyczerpał już możliwości kariery wojskowej, i pod eskortą został odesłany.

A potem jesienią 1961 roku z więzienia w Oregonie wrócił do domu Gary. Wdawał się nieustannie w bójki z przełożonymi, a strażnicy zauważyli przy paru okazjach, że szczególną zajadłość wykazywał wobec starszych od niego mężczyzn, stwarzając nawet zagrożenie dla ich życia. Narastający w nim gniew wybuchał z byle powodu, co dodatkowo przedłużało czas odsiadki.

Ekspert, który nakreślił *ex post* sylwetkę mego brata, kiedy ten opuszczał OŚCI, zanotował, iż Gary nie potrafił się przystosować do warunków więziennych. „Do raportu karnego stawał łącznie dwadzieścia trzy razy, i to za większe przewinienia. Bójki, odmawianie pracy, nieposłuszeństwo oraz brak szacunku charakteryzowały reakcje osadzonego w stosunku do zwierzchników i samego faktu uwięzienia... Gilmore nigdy nie przejawiał zainteresowania dążeniami zawodowymi i nie układał sobie przyszłości... Nie uczestniczył w żadnych programach edukacyjnych, choć jego sprawność intelektualna wskazywała, że mógłby funkcjonować na wyższym poziomie, aniżeli faktycznie funkcjonował... Osadzonego nie interesowały jakiegokolwiek formy spędzania czasu wolnego, nie wykazywał też najmniejszej potrzeby zmiany swego dawnego zachowania. Jak można wnioskować z jego księgi kar, nie był w stanie nawiązać pozytywnych kontaktów z personelem więziennym ani z jakąkolwiek postacią obdarzoną władzą. Jego stosunki i kontakty zewnętrzne ograniczały się do matki i ojca, którzy nadal go usprawiedliwiali, pobbłażali synowi i godzili się na wszystko. Nigdy nie korzystał ze zwolnienia warunkowego podczas okresu osadzenia, można też przyjąć, że nie planował żadnej pracy po wyjściu z zakładu, lecz zamierzał żyć na koszt rodziców”. Inny z ekspertów zanotował: „Gil - more... przyjmuje jako swój kodeks moralny zasadę przyjemności, a jego postępowanie cechuje się natychmiastową gratyfikacją własnych potrzeb. Ogromne pokłady wrogości w stosunku do innych zdają się wskazywać na nieco para - noidalną postawę wobec życia... zdradza też wielkie trudności z opanowaniem własnego wybuchowego charakteru”.

Istotnie, po opuszczeniu OŚCI Gary był już kimś innym: chłopcem, jeśli wziąć pod uwagę jego niedojrzałe potrzeby, lecz bezlitosnym mężczyzną pod każdym innym względem.

- Był wtedy bardzo brutalny - wspomina Frank. - Wściekał się na ciebie, mógł cię nawet zabić, zranić, zmieszać z błotem. Nie mogłeś mu przemówić do rozsądku, nie znał umiaru, kiedy chciał kogoś ukarać. Zachowywał się niczym Mussolini. Nieraz czułem, że nie ogląda się na nic, jeśli chce komuś dopiec.

To był ten Gary, którego najlepiej pamiętam z dzieciństwa. Miał dwadzieścia jeden lat, ale ubierał się jak mężczyzna w średnim wieku, chodził w wyświechtanym płaszczu przeciwdeszczowym, na głowie miał filcowy kapelusz z wywiniętym rondem; wyglądał zupełnie jak jakiś ćpun. Patrzył na ludzi taksującym wzrokiem i uśmiechał się do nich zaczepnie jak ktoś, kto zdaje sobie sprawę, że wszystko, co go otacza, stanowi dla niego zagrożenie. Co interesujące, Gary opuścił OŚCI z talentem artystycznym, który rozkwitł jak szaleństwo. Mówiąc, że był artystą, nie mam na myśli tego, że dobrze rysował czy też że miał w tym kierunku jakieś aspiracje. To prawda, umiał rysować i malować z godną uwagi wyrazistością i wyczuciem tematu; najlepsze z jego prac odznaczają się indywidualną, poruszającą siłą, jaką miała twórczość Andrew Wyetha czy Edwarda Hoppera, choć w przypadku Gary'ego zainteresowania tematyczne zawężają się do dwóch spraw: śmierci i dzieciństwa. Być może najbardziej zapadającą w pamięć pracą, jaką stworzył - wielu jego przyjaciół z więzienia zgodzi się później z tą opinią - jest szkic twarzy dzieci oglądających film grozy. Nie widzimy sceny, na którą patrzą, widzimy jedynie wyraz ich twarzy, kiedy ze strachem i zarazem fascynacją dowiadują się, że są na świecie potwory, które potrafią tobą zawładnąć, a ty nic nie możesz zrobić, żeby się temu oprzeć.

Sam Gary nigdy nie przywiązywał wagi do swego talentu. Czemu wolał życie w zbrodni zamiast życia w sztuce? Nie wiem, zastanawiałem się nad tym więcej razy, niż mogę zliczyć.

Któregoś popołudnia, gdy byliśmy w domu tylko my dwaj, Gary i ja, chciałem, by mi pokazał pewne zasady rysunku. Pił tego dnia syrop na kaszel i uśmiechając się, grzecznie, lecz stanowczo oznajmił:

- Nie licz na to.

Próbowałem przełamać jego opór, mówiąc mu, że mógłby zostać uznanym i sławnym artystą, gdyby tylko zechciał.

Popił syrop piwem, popatrzył na mnie i znowu się uśmiechnął.

- Chcesz się nauczyć, jak zostać artystą? - spytał. - Naucz się lepiej, jak lizać cipkę. To jedyna sztuka, jakiej powinieneś się nauczyć.

IVIimo tych wszystkich znaków rok 1961 pożegnaliśmy pięknym Bożym Narodzeniem. Ojciec tym razem został w domu, udekorował cały budynek i ogród wspianią



iluminacją, a mama ubrała najpiękniejsze drzewko, jakie kiedykolwiek widziałem. Wisiały na nim niebieskie wstęgi i niebieskie bombki.

Rodzice kupili każdemu piękne prezenty - Gary i Gaylen dostali nowe samochody - i choć raz mieliśmy spokojny świąteczny obiad. Tego dnia ojciec i Gary byli dla siebie mili. Pamiętam, jak Gary powiedział:

- Doceniam to wszystko, co dla mnie zrobiłeś. To wspaniale móc wrócić do domu.

I usłyszał w odpowiedzi:

- Wiesz, że cię kocham, synu. Chcę dla ciebie dobrze, jestem tu po to, żeby ci pomóc.

Na koniec mama grała jeszcze na swoim nowym pianinie, które przysunęła do ściany pokoju stołowego. Siedzieliśmy wokół, gdy jej zręczne palce grały kolędę za kolędą, i śpiewaliśmy do wtóru. Sześć okropnych głosów wypełniało najświętszą noc w roku jakąś nieznośną kakofonią. Po raz pierwszy byliśmy wszyscy razem.

I również po raz ostatni. Ani ojciec, ani Gary już nigdy nie spędzili świąt w rodzinnym gronie.



ŚMIERĆ AKWIZYTORA

### ROZDZIAŁ 3

3VIama odwiedziła ojca i mnie podczas naszego pobytu w Seattle i została na dłużej. Tylko w ten sposób mogła się z nami zobaczyć w pierwszych miesiącach 1962 roku.

Zaczął się od tego, że ojciec wciąż był zmęczony i źle się czuł. Pewnego dnia wymacał na szyi guzek wielkości pół - dolarówki. Towarzyszyłem tacie, gdy udał się do lekarza. Doktor powiedział, że nie może od razu postawić diagnozy, i poradził! ojcu, żeby poszedł do szpitala, gdzie usuną guzek i przeprowadzą badania. Na ten czas przybyła do

Seattle mama, żeby się mną zająć i doglądać ojca w trakcie kuracji.

Nazajutrz po zabiegu pojechaliśmy z mamą autobusem do Szpitala Szwedzkiego. Był to jeden z tych pochmurnych wiosennych dni, kiedy oceaniczna bryza spada na miasto niczym zapach starości, którego nie sposób się pozbyć. Weszliśmy do pokoju; ojciec siedział rozparty na łóżku. Miał na sobie niebieskobiałą pizamę i wyglądał gorzej niż kiedykolwiek, ale wydawał się szczęśliwy, że nas widzi. Spodziewał się, że powrót do pracy to kwestia kilku dni. Doktor, wysoki Niemiec o chrapliwym głosie, wszedł zobaczyć, jak ojciec się czuje, a potem poprosił mamę do swego gabinetu.

Poprowadził ją przez korytarz i powiedział, że ojciec ma raka okrężnicy i już z tego nie wyjdzie. Sądził, że będzie lepiej, jeśli ona mu o tym powie, niż gdyby miał to usłyszeć z ust personelu medycznego. Na to mama się nie zgodziła, nie mogłaby mu tego powiedzieć. Nalegała też na doktora, by nie informował ojca o jego stanie.

- Nie przeżyłby czegoś takiego - twierdziła.

Siedziałem w tym czasie przy łóżku ojca. Próbowałem podtrzymywać rozmowę, ale widziałem, że był jakiś roztargniony. Patrzył na drzwi, czekając, aż mama wróci.

Przyszła po paru chwilach.

- Co ci powiedział doktor, Bessie? - spytał ojciec.

- Ach, niewiele, Frank. Radził, żebym została tu jeszcze przez parę dni, żeby ci pomóc, kiedy zechcesz wrócić do domu. Obawia się, że po operacji nie będziesz się czuł najlepiej.

Ojciec wydawał się uspokojony słowami mamy i chciał chwilę porozmawiać. Opowiedział nam parę kawałów z brodą i wszyscy się śmieliśmy. A potem mama uznała, że już na nas czas. Pochyliła się nad ojcem i ucałowała go w czoło, mówiąc:

- Wiesz, nie możemy tam wracać o zbyt późnej porze.

I właśnie wtedy w jej mrocznym spojrzeniu dostrzegłem to, co miało nadejść.

Gdy znaleźliśmy się w holu, mama osunęła się na krzesło. Zakryła twarz rękami i wybuchnęła płaczem.

- Co się stało? - spytałem.

- Twój ojciec jest umierający. Ma raka, a lekarze nie potrafią tego wyleczyć. Zostało mu zaledwie parę miesięcy.

Próbuję sobie przypomnieć, tak uczciwie i wyraźnie, jak tylko potrafię, co wtedy czułem, usłyszawszy te słowa. Wiem, że zachowałem spokój. Nie przeraziłem się, nie wpadłem w panikę, nie płakałem. Ogarnął mnie tylko jakiś ogromny smutek i współczucie dla mamy, że musi przez to przejść. Przez chwilę wydawało mi się, że to nie może być prawdą.

Chyba też pomyślałem, że teraz będę jeszcze bardziej sam, ale tym się nie zmartwiłem. Nauczyłem się już pewnego dystansu do świata, w którym przyszło mi żyć, musiałem też zaakceptować dystans, jaki dzielił mnie od braci. Lecz wiadomość, że ojciec jest umierający, przyjąłem bez żalu czy cierpienia. Myślę nawet, że doznałem jakiejś ulgi. Po latach, gdy wspominam ten okres, kiedy mieszkaliśmy razem, widzę go siedzącego samotnie, z głową pochyloną nad biurkiem i pięścią spoczywającą na blacie, powtarzającego nieustannie:

- Chciałbym już umrzeć.

Myślę, że naprawdę bał się śmierci, ale myślę też, że życie było dla niego ciągłym utrapieniem. A teraz wreszcie miałby z tym wszystkim spokój.

W każdym razie czułem, że moje życie teraz się zmieni. Będę zależał tylko od siebie. I czułem się do tego przygotowany. Z paru powodów. Jeśli ojciec cokolwiek mnie nauczył, to chyba właśnie tego, jak żyć samemu na świecie.

Wieczorem odwiedziłem naszych przyjaciół. Mama już im o wszystkim powiedziała. Walt, który przypuszczalnie był moim przyrodnim bratem, siedział przy stole ze szklanką whisky w ręku. Poznałem po jego zaczerwienionych oczach, że musiał długo płakać.

Jeszcze tego samego wieczoru mama zadzwoniła do Mil - waukie. Gary był sam w domu. Powiedziała mu to. [powiedziała też, żeby nie mówić ojcu o jego stanie, pod żadnym pozorem. Chciała, by umierał bez strachu i żeby się nie martwił. Nie wydawało mi się to właściwe; uważałem, że ojciec ma prawo wiedzieć, iż umiera. Człowieka, który wkrótce przestąpi próg śmierci, nie wolno pozbawiać szansy rozrachunku z własną duszą. Frank zgadzał się ze mną, ale nic nie wskórał. Mama była nieugięta: ojciec nie może się dowiedzieć, że umiera.

Franka nie było w domu, gdy mama dzwoniła, pracował dorywczo w myjni samochodowej. Wrócił dopiero po zmroku. Wszedł do swojego pokoju, położył się na łóżku i włączył mały czarnobiały telewizor. Po chwili usłyszał pukanie do drzwi. To był Gary.

- Miał łzy w oczach - wspominał później Frank. - Po - wiedział: „Nie chciałem ci tego mówić, ale wiesz, tato ma raka i jest umierający”. Był załamany. Usiadł przy mnie i długo płakał.

Kilka dni po operacji ojciec opuścił szpital. Pomogliśmy mu z mamą wrócić do mieszkania. Był jeszcze zbyt słaby, by prowadzić, więc wzięliśmy taksówkę. Gdy dojechalismy do domu, mama dała mi klucze, żebym poszedł pierwszy i otworzył drzwi. Po paru krokach usłyszałem groźne warczenie. Obejrzałem się i zobaczyłem wielkiego psa - chyba owczarka niemieckiego - skradającego się za mną w odległości kilku stóp. Podszedł do samych schodów i najwyraźniej nie miał przyjaznych zamiarów. Szczerzył zęby, warczał

głośno i przypadał do ziemi, szykując się do skoku. Ojciec właśnie wygramolił się z wozu, wsparty na mamie. Kiedy zobaczył atakującego mnie psa, szybko jak akrobata przesadził w kilku skokach ulicę, wbiegł po schodkach, chwycił zaskoczone zwierzę za kark i odrzucił je na chodnik. Pies uciekł, skowycząc.

Mama ruszyła za ojcem.

- Frank - powiedziała. - Musisz się oszczędzać. Nie możesz robić takich wysiłków, ten cholerny pies to nie piórko, żebyś sobie nim rzucał.

- Ten pies - odparł ojciec bez tchu - atakował mojego syna. Póki jeszcze żyję, nie pozwolę, by ktokolwiek go skrzywdził.

Po tygodniu ojciec czuł się już na tyle silny, że mógł poprowadzić wóz i zawieźć nas do Milwaukie. Mama przestawiła nieco meble w sypialni, by ułatwić mu dostęp do leków i do telewizji. Ich sypialnia była zaraz na prawo od pokoju, który dzieliłem z Gaylenem, na pięterku od frontu. Na tyłach domu znajdowała się na parterze druga weranda, którą ojciec przekształcił w biuro. Obok była łazienka, a parę stóp dalej zaczynały się schody. Oszklone drzwi przy samych schodach otwierały się na werandę, na której - jak mówiono - umarł doktor.

Którejś nocy, o trzeciej, kiedy wszyscy byli pogrążeni we śnie, ojciec zbudził się i skierował korytarzem w stronę łazienki. Nagle wyrwał nas ze snu potworny hałas. Ojciec z przerażeniem w głosie wzywał mamę na pomoc, lecz potem rozległ się jeszcze jakiś łomot. Po chwili mama biegła już korytarzem, waląc we wszystkie drzwi.

- Wstawajcie, chłopcy! - wołała. - Wasz ojciec spadł ze schodów.

Wyszliśmy ze swoich pokoi i spojrzeliśmy w dół. Ojciec czołgał się po podłodze, był już w połowie drogi na werandę; sprawiało to wrażenie, jakby ktoś go tam włókł. Na tapecie nad nim była krew, najwyraźniej z jego głowy, w którą musiał się uderzyć podczas upadku. Pierwsi podbiegli do taty Gary i Frank junior, przenieśli go na krytą zieloną skórą kanapę w pokoju od frontu. Mama chciała wezwać lekarza, ale ojciec stwierdził, że ma już dość konowałów.

- Co się stało, Frank? - spytała. - Wypadłeś przez balustradę?

- Nie - zaprzeczył ojciec. Musiał być jeszcze oszołomiony upadkiem. - Usłyszałem czyjś szept, a potem coś chwyciło mnie za gardło i zrzuciło ze schodów. Myślę, że ktoś tu jeszcze jest oprócz nas.

Bracia przeszukali dom, ale oczywiście nikogo nie znaleźli; nic też nie wskazywało na to, by ktoś wchodził lub wychodził. Ojciec chciał zostać na kanapie, prosił, bym dotrzymał mu towarzystwa. Rozłożyłem na podłodze śpiwór i przespałem tam resztę nocy, nasłuchując

niespokojnego oddechu ojca.

Do końca dni, które spędził jeszcze w naszym domu na Oatfield, nie wszedł już ani razu na schody. Przeniósł swoje biuro do saloniku i poruszał się tylko po parterze.

Świadomość, że ojciec jest umierający, spowodowała nieoczekiwane zmiany w rodzinnych zwyczajach. Mama bardzo to przeżywała, próbowała okazać mu czułość i miłość, ale lata jego wybryków i jej nienawiści zrobiły swoje. Pamiętam, jak któregoś popołudnia ojciec spał w saloniku, a mama siedziała w kuchni obok i opowiadała o tamtych dniach, gdy na tyle sposobów wciąż ją ranił i sprawiał jej ból, a ona na tyleż sposobów go nienawidziła. Dodała, że nienawidzi go bodaj jeszcze mocniej teraz, gdy odchodzi, zostawiając ją samą z rodziną, bez żadnego wsparcia. Były to najbardziej gorzkie i przepojone bólem słowa, jakie kiedykolwiek słyszałem z jej ust. Słuchałem dość długo tych żalów, a potem wyszedłem do łazienki i kiedy przechodziłem obok saloniku, zajrzałem do ojca. Siedział na skraju łóżka, zasłaniając głowę rękami, a kiedy na mnie spojrział, na jego twarzy malowała się udreka. Wróciłem do mamy i powiedziałem, że chyba słyszał to, co mówiła.

- To dobrze - odparła. - Chciałam, żeby usłyszał.

Zamurowało mnie. Nic mieściło mi się w głowie, że ktoś chce tak dotkliwie zranic drugą osobę. W dodatku bałem się, że mógł usłyszeć jeszcze więcej; nie w taki sposób powinien się dowiedziec, że umiera.

Byłem tak zły, że nic nie powiedziałem. Odwróciłem się tylko i wyszedłem. Długo trzymałem się z daleka od mamy.

Wieczorem ujrzałem rodziców siedzących przy stole w kuchni, trzymali się za ręce i czule coś do siebie mówili. Ojciec płakał, mama ścisłała czule jego dłoń. Nigdy dotąd nie widziałem, by trzymali się za ręce.

- Jak byś czuła - pytał ją - gdybyś nie mogła liczyć na żadną poprawę, gdybyś wiedziała, że pomimo twoich wysiłków może być już tylko gorzej? Co byś myślała? Nigdy dotąd nic tak mną nie wstrząsnęło.

- Wiem, Frank, wiem - powiedziała, głaszcząc jego dłoń.

IV Między ojcem a Garym trwał teraz jakiś niezręczny rozejm, ale prędzej czy później musiało to prysnąć. Mój brat ostatnio brał wiele różnych paskudztw - amfę, trawkę, syrop na kaszel, herę - i topił to wszystko w morzu alkoholu. Wychodził z domu i wracał o bardzo dziwnych porach, ciągnąc ze sobą obcych, którzy czekali na niego w samochodzie. Nie podobały mi się ich twarze; czułem zagrożenie: jakby tylko upatrywali sposobności, by wdrzeć się do środka.

Któregoś popołudnia, gdy byliśmy wszyscy w domu, Gary poprosił ojca o pieniądze.

Tato miał kiepski nastrój, dręczyły go nudności, i odpowiedział Gary'emu:

- Czemu, do diabła, nie postarasz się o jakąś pracę i nie zaczniesz zarabiać jak inni dorośli mężczyźni? Nie dasz mi nawet pięciu minut spokoju, ty cholerny skurwielu?

Tego już było za wiele. Gary i ojciec wdali się natychmiast w jedną ze swych okropnych, wrzaskliwych kłótni, a my wszyscy, zgodnie z naszym nowym zwyczajem, wycofaliśmy się na schody, by przeczekać burzę.

Tyle że tym razem, jak mi się zdawało, zanosilo się na coś gorszego. W głosie Gary'ego słyszałem jakiś podły ton i obelgi, które wystraszyły mnie na równi z bezradnością w głosie ojca. Gary musiał też ją wyczuć, grożąc, że wybebeszy cały dom, jeśli nie dostanie tego, czego chce. Zwróciłem się do mamy, Franka i Gaylena, pytając, czy ktoś mógłby zejść na dół i położyć kres tej zwadzie. Patrzyli tylko na mnie i potrząsali głowami. Widzieli już mnóstwo takich kłótni i dobrze wiedzieli, że lepiej nawet nie próbować się wtrącać. Zszedłem do kuchni. Ojciec siedział w szlafroku przy stole, z poszarzałą twarzą, i wymiotował. Gary w czarnym płaszczu przeciwdeszczowym i słomkowym kapeluszu tkwił na środku, opierając się o blat kuchenny.

- Chcę, żebyś mi wreszcie dał te cholerne pieniądze - nalegał.

- A ja chcę, żebyś się wyniósł do diabła z tego domu i nigdy tu nie wracał - mówił ojciec tak gwałtownie, jak tylko mógł.

Gary chwycił jakiś kubek i cisnął nim w ojca. Gdyby ten się nie uchylił dostatecznie szybko, dostałby w twarz. Kubek rozprysnął się na ścianie, a skorupy spadły na głowę i ramiona ojca. Wtedy zobaczył, że stoję w progu, i powiedział:

- Wyjdź stąd.

Pobiegłem na górę po mamę i braci.

- Musicie coś zrobić - prosiłem. - Gary go zabije.

Frank zerwał się, zszedł na dół i stanął między Garym a ojcem.

- Zostaw go, Gary - perswadował. - Czy nie widzisz, że jest za słaby, żeby się z tobą bić?

Gary rzucił się na Franka. Zwarli się razem. Frank oberwał w twarz, lecz nie pozostał dłużny. Bili się z furją, sprzęty i talerze fruwały po całej kuchni.

- Żaden tam ze mnie zawodnik - mówił mi później Frank. - Nie jestem dość mocny. Ale Gary nie miał wielkiego pojęcia o tym, jak się bić. Był silny, ale nie był zręczny. Gdyby mnie dorwał, mógłby pokiereszować, ale byłem pewny, że to mu się nie uda, i szedłem jak burza.

W tym momencie do akcji wkroczyła mama. Weszła do kuchni z miotłą i zaczęła nią

okładać Franka juniora po głowie, dogadując:

- Przestań, Frank! Przesadziłeś! Wynoś się, bo wezwę na ciebie polię.  
Natychmiast stąd wyjdź!

Frank i Gary jak na komendę przestali się bić i spojrzeli zdumieni na matkę.

- Puść Gary'ego - zwróciła się do Franka.

Ten poczuł się głęboko urażony, zerwał się z podłogi i wybiegł z domu, trzaskając drzwiami.

Mama posadziła Gary'ego na krześle, otarła mu krew z twarzy i wetknęła mu w dłoń zwitek banknotów dwu - dziesięt dolarowych.

- Opuść teraz dom, zanim zjawi się policja - poradziła. - Ja się wszystkim zajmę.

Frank junior wrócił po północy. Mama była już w łóżku, ale ojciec siedział przy stole w kuchni, bóle go nie opuszczały. Gdy ujrzał wchodzącego Franka, powiedział:

- Chcę ci podziękować, synu, za to, co dziś zrobiłeś.

Frank junior trochę sobie popił. Był bardzo rozżalony na mamę. Nie mógł jej darować, że wyrzuciła go z domu.

- Człowieku - zwrócił się do ojca. - Nigdy nic sądziłem, że mama wezwie na mnie polię. Chciałem ci tylko pomóc.

Ojciec odparł:

- Wcale by nie wezwała policji. Na nikogo. Powiedziała tak, żebyście przestali walczyć. Nie mogła zagrozić policją Gary'emu, bo kto wie, jak by się wtedy zachował. Mógłby zrobić coś naprawdę poważnego, gdyby pomyślał, że już nawet na matce nie może polegać. Mógłby nawet zabić któregoś z nas, kto wie. Więc powiedziała, że wezwie gliniarzy na ciebie, żeby tylko położyć kres tej bijatyce.

Frank zastanowił się chwilę i uznał, że to się trzyma kupy. Nikt nie mógł przeciwstawić się Gary'emu. Tych dwoje chroniło się wzajemnie, ufali sobie. Więc w końcu uznał, że było to jedno z najroztropniejszych posunięć mamy.

Parę dni później Frank natknął się na Gary'ego w centrum Portlandu. Nie widzieli się od czasu tamtej bójki. Gary podszedł do Franka i wyciągnął do niego dłoń.

- Wiesz, facet, przepraszam cię za tamto. Nie chciałem się tak zachować.

- Taa, pewnie - powiedział Frank. - Nie powinno było do tego dojść. Ja też przepraszam, że cię wtedy walnąłem, ale bałem się, że zrobisz ojcu coś złego.

- W porządku, postąpiłeś słusznie - przyznał Gary.

Frank przyjął wyciągniętą na zgodę dłoń. Nie chciał, by dzieliły ich jakieś kwasy.

- Słuchaj, a może jesteś głodny? - spytał Gary. - Chodźmy do „George's Coney

Island” na chili doga, a potem na piwko. Na moje konto.

Frank przyjął zaproszenie.

„George’s Coney Island” był barem w uboższej części Portlandu. Podawano tam tylko to jedno: hot dogi, ale za to najlepsze w mieście. Knajpkę prowadził pewien stary Grek imieniem George. Według ojca był on milionerem i mieszkał w bogatej rezydencji na West Hills. Tyle że uwielbiał przyrządzać i podawać hot dogi, no i prowadził ten lokal, żeby osobiście pilnować interesów i spotykać się z ludźmi. Ojciec znał George’a od lat i ilekroć byliśmy w tej okolicy, zachodziliśmy do „George’s Coney Island”, żeby się posilić. Świetnie się ze sobą dogadywali.

- Ach, mój ulubiony klient! - wykrzykiwał krzepki George z greckim akcentem, gdy ojciec stawał w drzwiach.

Gary i Frank usiedli przy ladzie, serdecznie powitani przez George’a.

- Jak się czuje wasz ojciec? Trochę lepiej? Nie? Nie martwcie się, to silny facet. Wygrzebie się z tego. Migiem stanie na nogi.

George zajął się hot dogami, a Gary zagadał do Franka:

- Wiesz, myślę że znów trafię do kicia, i to już wkrótce. Taka jest prawda, Frank. Jestem człowiekiem stamtąd, nie mam tu przyjaciół. Wszyscy moi kumple są w kiciu. Jeśli policja mnie szybko nie zamknie, znów coś zmaluję, jeszcze kogoś rąbnę. Cholera, zawsze muszę kogoś się czepić. Nie mam przyjaciół.

- A nie myślałeś o tym, Gary, że może czas byłoby zacząć coś robić, urządzić się?

- Jestem już urządzony, Frank. Jestem zawodowym przestępcą.

Frank usiłował coś na to odpowiedzieć, gdy siedzący na stołku parę stóp dalej motocyklista zwrócił się do Gary’ego, prosząc, by mu przysunął keczup.

- Sam sobie weź ten cholerny keczup - warknął Gary. - Masz dwie ręce, nie jestem twoim zasranym kelnerem.

Facet wstał, naprężył mięśnie, a Frank rzucił się między przeciwników. Poszły w ruch pięści i runął jak podcięty na ziemię. Gdy po paru chwilach oprzytomniał, ujrzał nad sobą George’a, który spryskiwał mu twarz zimną wodą i mówił z wściekłością:

- Co tu się, do cholery, dzieje?! Twój brat i ten facet rwą się do bitki, rozwalają wszystko i wybiegają. Kto za to zapłaci? Co mam zrobić, wezwać policję?

Frank podniósł się i otarł zakrwawione usta. Pogrzebał w kieszeni i dał George’owi jakieś pieniądze.

- Ty jesteś w porządku - wyjaśnił George. - Zawsze cię chętnie obsłużę. Ale



swemu bratu powiedz, by trzymał się z daleka. Już nie jest tu mile widziany.

Frank wytoczył się na ulicę, jeszcze trochę oszołomiony po tym dyszlu, którego zarobił. Czuł, że musi się napić. Skręcił do baru na rogu. I ledwie tam wszedł, ujrzał Gary'ego i motocyklistę zbratanych przy piwie i śmiejących się głośno. Potem, jak Frank się dowiedział, odwiedzili we dwóch przyjaciółkę motocyklisty i skończyło się na zabawie w trójkądk.

- Spojrzałem tylko na nich w tej piwiarni, obróciłem się na pięcie, i już mnie nie było. Miałem tego potąd. Wróciłem do domu i powiedziałem mamie: „Skończyłem z nim, naprawdę. *Finito*”. I rzeczywiście, nigdy już nie pokazałem się z Garym poza domem.

Ojciec, mama i ja wróciliśmy do Seattle na początku czerwca 1962 roku. Ojciec czuł, że musi trochę nadgonić interesy. Choroba wstrzymała proces produkcyjny magazynu reklamowego, co stanowiło zagrożenie dla rodzinnych dochodów.

Dwa tygodnie później w naszych drzwiach stanął Gary. Powiedział, że przyjechał pomóc ojcu w pracy. Jego bełkotliwa mowa i błyszczący wzrok wskazywały, że jest na prochach. Ojciec nie zapomniał wydarzeń tamtej nocy i nie przyjął propozycji. Mama twierdziła potem, że Gary szukał, być może, ostatniej szansy pojednania, ale ponieważ był naćpany, bała się, że wypśnie mu się coś o fatalnym stanie ojca. Wzięła mego brata na stronę, powiedziała, żeby wracał do Portlandu, i dała mu sto dolarów na drogę.

Pamiętam twarz Gary'ego, gdy wychodził. Wydaje mi się, że chciał objąć ojca ostatni raz, ucałować się z nim na pożegnanie. Żadnemu z nich nie było jednak łatwo pokonać bariery krzywd, która rozdzieliła ich na całe życie. Nie potrafili zrobić ku sobie kroku. Opuszczając nasze mieszkanie, Gary wyglądał na przegranego; nigdy nie widziałem go takim aż do ostatnich dni jego życia, gdy już wiedział, że umrze bez pożegnania z kobietą, którą kochał.

Wieczorem zadzwonił Frank junior z wiadomością, że Gary'ego aresztowano w Vancouverze w stanie Waszyngton za jazdę bez numerów rejestracyjnych. Miał przy sobie otwartą flaszkę jakiegoś trunku. Ojciec opuścił tylko głowę na biurko i zapłakał, długo i boleśnie.

- Dlaczego - mówił, zanosząc się od szloch - zawsze muszą się czepiać mojego syna?

Wkrótce potem stan ojca gwałtownie się pogorszył. Tato położył się do łóżka i już go nie opuścił. Leżał tak, spluwając do podstawionej miski wydzieliną z płuc. Wciąż pamiętam jej zapach: słodkomdły jak usychających kwiatów. Zaskoczyło mnie to. Śmierć miała taką miłą woń.

Pod koniec miesiąca mama wezwała Gaylena do Seattle, by został z ojcem i pomagał mu w pracy. Wróciliśmy razem z nią do naszego domu w Milwaukie. Nie pamiętam, co ojciec mi powiedział ani jaki był ten ostatni raz, kiedy widziałem go żywym. Chciałbym sobie to przypomnieć, ale nie potrafię.

Parę dni później Gaylen zadzwonił wcześniej rano. Stan ojca uległ w nocy znacznemu pogorszeniu i Gaylen musiał go przewieźć do szpitala. Został przy nim całą noc, ale jego stan nadal się pogarszał i około piątej nad ranem tato zapadł w śpiączkę. Gaylen dopiero co wrócił do mieszkania, żeby choć trochę się przespać.

Za godzinę zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę.

- Daj mi mamę - powiedział Gaylen.
- To tato? - spytałem.
- Daj mi mamę.

Mama wyrwała mi słuchawkę. Wysłuchała Gaylena i rozplakała się.

- Mój Boże, Frank, gdzie jesteś? Dokąd odszedłeś?

Parę następnych dni zeszło na przygotowaniach do pogrzebu. Mama sprowadziła ciało z Seattle i wykupiła działkę na cmentarzu. Próbowala odnaleźć Roberta Ingrama, żeby mu przekazać tę wiadomość, ale nie miała jego aktualnego adresu. Straciliśmy go z oczu, nigdy już się nie odnalazł.

Dzień przed ceremonią poszliśmy zobaczyć ciało wystawione w domu pogrzebowym. Ojciec leżał w eleganckiej trumnie z brązu, otoczony wiązkami kwiatów. Był ubrany w piękny brązowy garnitur, głowa spoczywała na kremowej atłasowej poduszce. Ręce miał złożone na piersi, oczy zamknięte. Pasemka rozkładu kładły się już cieniem w dole twarzy. Mama załamana płakała, Gaylen skulił się przy ścianie jakby w ataku bólu.

Frank objął mnie i przygarnął mocno do siebie.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Skinąłem głową. Nie mogłem oderwać oczu od martwej twarzy ojca. Pomyślałem, że nie wygląda już jak ktoś, kogo dobrze znałem: kto brał mnie na kolana, uratował przed psem, kto wrzeszczał na moją mamę i braci. Pomyślałem: tam nic nic ma. Kiedy umierasz, zostawiasz swoje ciało, a ono nie budzi już żadnych wspomnień. Po śmierci nic ma na twojej twarzy miłości ani gniewu, które przejawiałeś za życia. Nie wydaje mi się, żeby to było dobre.

Kiedy wyszliśmy z domu pogrzebowego, Gaylen powiedział:

- Chłopie, czuję się tak, jakbym już trochę odleciał. Muszę się napić.

Opuścił nas, a my wróciliśmy do domu.

Gdy ojciec zmarł, Gary był w zakładzie karnym Rocky Butte. Mówił nam później, że strażnik go obudził i rzekł:

- Ten skurwiel twój ojciec właśnie zmarł. Powinieneś być szczęśliwy.

Gary wpadł w szal. Dosłownie rozniósł celę; zbił żarówkę i pociął sobie przeguby.

Mama błagała władze więzienia i sędziego, by pozwolili Gary'emu wziąć udział w pogrzebie. Chciała zapłacić eskortie podwójną stawkę, gwarantując, że nie będzie próbował ucieczki. Dyrektor i sędzia nie wyrazili jednak zgody. Na czas pogrzebu umieszczono Gary'ego w „dziurze”, tak nazywano izolatkę.

Niewiele pamiętam z samego pogrzebu. Siedzieliśmy z boku katafalku, za zasłoną. Kiedy po wyjściu z cmentarza wsiedliśmy z Gaylenem do jego wozu, radio nadawało rock and rolla. *Point of No Return* Gene'a McDanielisa. Didżej oznajmił, że to nowy utwór, tego dnia po raz pierwszy na antenie. „Jestem w punkcie, z którego się nie wraca - śpiewał McDaniels - i nie ma już dla mnie powrotu”. Coś wspaniałego! Przez najbliższy miesiąc, ilekroć zapowiadano tę piosenkę, pędziłem do radia i podkręcałem je na pełny regulator.

Było lipcowe popołudnie, staliśmy na cmentarzu nad trumną ojca, słuchając mowy księdza. Ku memu zaskoczeniu nie czekaliśmy do chwili, gdy trumnę spuszczano do grobu. Mama zdecydowała:

- Nie, nie zostaniemy. Te ostatnie chwile są dla rodziny nie do zniesienia.

Mnie jednak wydawało się to niesprawiedliwe, że tata będzie grzebany w samotności.

Byłem też zaskoczony tym, jak ciężko mama i bracia przeżyli śmierć ojca. Nie mogli powstrzymać płaczu. Widocznie naprawdę go kochali. A może oplakiwali tę miłość, której tak długo byli pozbawieni, i pogodzili się z faktem, że już nigdy jej nie zaznają.

Gdy teraz o tym wspominam, myślę, że byłem jedynym, który nie płakał. Nie wiem dlaczego, ale nigdy nie płakałem po śmierci ojca.

***IS/Linęło już ponad trzydzieści lat od śmierci ojca, a nigdy po nim nie płakałem, choć we śnie było inaczej.***

*Niedawno śniło mi się, że przyszła do mnie mama. Powiedziała:*

- *Mam dla ciebie niespodziankę. Odnaleźliśmy twego ojca. On naprawdę wcale nie zmarł, po prostu odszedł od nas, ale nie wiedzieliśmy, jak ci o tym powiedzieć. Przyszedł któregoś dnia i oznajmił, że chce cię zobaczyć. Ale muszę cię ostrzec: jest teraz bardzo stary i przy tym bardzo słaby. Bądź dla niego miły, nie pożyje już długo.*

*Wprowadziła mnie do pokoju. Ojciec siedział w fotelu. Miał na sobie koszulę w kratę, krawat i obszerne spodnie na szelkach. Był w okularach, a na głowie miał swoją fedorę. Tak jak mówiła mama, wyglądał strasznie staro i jakoś tak krucho. Gdy tylko mnie zobaczył,*

*uśmiechnął się, wstał i wyciągnął ramiona.*

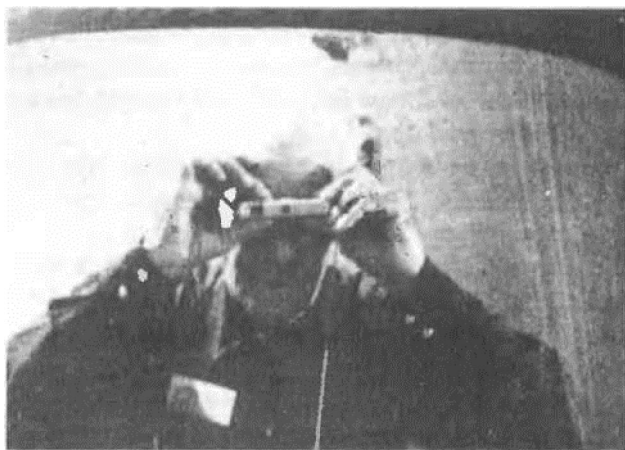
*- Ach, mój synu - rzekł. - Taki jestem szczęśliwy, że mogę cię widzieć. Jak mogłem cię stracić? - I rozplakał się.*

*Objąłem go i powiedziałem:*

*- Już dobrze, ojciec. Ja też się zgubiłem. Cieszę się, że znów cię widzę. Wszystko się ułoży.*

*Wydawało mi się, że będę mógł teraz usłyszeć odpowiedź na wiele dręczących mnie pytań. Że będę mógł zapytać ojca, kim jest i kim był, a on mi na to odpowie.*

*Gdy tylko o tym pomyślałem, poczułem, jak nagle zwiotczał w mych ramionach i życie go opuściło. Stałem tak, obejmując mego martwego ojca, i w końcu nie mogłem nic na to poradzić: płakałem.*



REKWIEM

## ROZDZIAŁ 4

Ojciec nie żył. Bywał często gwałtowny i nieopanowany, bardziej w stosunku do moich braci niż do mnie; próbował grać rolę władczego ojca i utrzymywać rodzinę, a zarazem powodował duchowe szkody i odbierał nam nadzieję.

Brat Frank, z którym w ciągu ostatnich paru lat spędziłem wiele godzin, opowiadał mi nieraz o tym, jak bardzo złożonym człowiekiem był nasz ojciec. Obaj podejrzewamy, że te przerażające i twarde cechy, które ujawniły się w jego synach, pochodziły od niego. Domyślamy się również, jak mogło dojść do przekazania tego dziedzictwa, jak to się stało, że otrzymaliśmy w spadku strach i odczucie potępienia. Zastanawiamy się wciąż nad źródłami tej jego destrukcji i nie możemy ich dociec. Nigdy nie poznaliśmy tajemnic, które zabrał do grobu. Pozbawieni tej wiedzy, czujemy się tak, jakby część nas samych nigdy nie mogła zostać ujawniona. I to wcale nie najmniejsza część. Jak już wspomniałem, był to może najgłębiej ukryty, najistotniejszy element nas samych: ten, który sprawia, że nasza miłość

zawsze obraca się w gruzy.

- Nigdy nie poznałem największego sekretu taty - usłyszałem któregoś wieczoru od Franka. - Ilekroć próbowałem go o to podpytać, mówił tylko: „Lepiej nie wścibiaj nosa w cudze sprawy”. Ale nawet bez tego wiem, że tato wiódłby takie samo życie. Myślę, że tułaczka miała dla niego bardzo istotne znaczenie. Pod wieloma względami był samotnikiem, ale nieraz cieszył się z tego, że jest samotny. Był w gruncie rzeczy kimś w rodzaju... Może nie mógłbym się zgodzić, gdybyś go nazwał doktorem Jekyll'em i Mister Hyde'em, bo moim zdaniem żadna ze stron jego natury nie była zła. A jednak miał podwójną osobowość. Było ich dwóch. Jeden z nich to człowiek rodzinny, który nie potrafił się obejść bez bliskich. Ale po paru tygodniach urok nowości przestawał działać i ojciec wracał do tułaczego życia. Przez jakiś czas był tułaczem, a gdy się tym zmęczył, znów wracał na łono rodziny. Zakosztował więc niejako obu stron życia, obu tych rzeczy, których tak pragnął: rodziny i niezależności. Było to źródłem nieustających scysji między nim a mamą. Zwalczała w nim ten pociąg do tułaczki, a on chwycił za flaszkę i ruszał w drogę. Nie było w tym żadnej pozy ani tajemnicy. Zmęczony mamą i rodziną, musiał po prostu iść. Właściwie postępował tak aż do końca życia. Był takim rodzinnym tułaczem... To zabawne, ale im bardziej teraz o nim myślę, tym więcej mam dla niego szacunku. W swoich ostatnich latach dokonał pewnych istotnych zmian. Mam na myśli to, że przestał pić i osiągnął powodzenie w interesach. A także to, że kochał i chronił ciebie, swojego ostatniego syna. Myślę też, Mikołku, że z czasem miałbyś z nim te same kłopoty co każdy z nas. Zacząłbyś myśleć po swojemu lub stawiać opór, a to by mu się z pewnością nie podobało. Śmierć ojca oszczędziła ci tego. Otrzymałeś więc i zachowałeś najlepszą jego część, jaką mógł ci dać. Był dla ciebie dobry i za to go szanuję.

Co do reszty nas... - Frank urwał i zagłębił się w przeszłość. Przez chwilę dostrzegłem na jego twarzy bolesny grymas. - Więc dobrze - ciągnął dalej - spójrzmy na to tak: tato był zbyt zawzięty, by móc nas wychować. Zbyt twardy. Ranił nas, gdy nie byliśmy na to przygotowani. Porzucał nas i zapominał o naszym istnieniu, dopóki znów nas nie ujrzał lub nie byliśmy mu na coś potrzebni. To wcale nie wydawało się zabawne. Pamiętam, jak inne dzieci mówiły, że nam współczują. Słyszałem to wiele razy. Był zbyt zawziętym facetem, by móc nas wychować... Wiesz, nie chciałbym znów być dzieckiem. Za nic. Ten raz mi wystarczy.

Ojciec nie był oczywiście jedynym źródłem dobra i zła w naszej rodzinie. Niezbywalną część tego układu stanowiła mama. Ilekroć ojciec ją opuszczał, zostawiając na jakimś dworcu autobusowym czy w nędznym hoteliku na zadupiu, brała chłopców za ręce i szukała bezpiecznego miejsca do spania bądź wracała z nimi do tego znieawidzonego

schronienia w Utah. W takich okolicznościach przede wszystkim chroniła dzieci, robiła wszystko, co mogła, by prowadzić je przez świat, od którego nigdy nie spodziewała się pomocy.

Wszystko to musiało być dla niej jednym okropnym pasmem rozczarowań. Istniała pewnie ogromna przepaść między tym, na co liczyła, odkąd związała się z Frankiem Gilmore'em, a tym, co dostała. Wyobrażam sobie, jak bardzo musiała być atrakcyjna dla ojca, z tym swoim niebywałym wdziękiem, zwłaszcza na tle mormońskich wsioków, wśród których wyrosła. Była przy tym romantyczna, młoda i niedoświadczona; sądziła, że Frank ją poprowadzi w nowy, ekscytujący, lepszy świat. Któryś z moich przyjaciół zauważył:

- Wygląda na to, że twoja matka była bliska manii wielkości, a ojciec stał się tym facetem, dzięki któremu mogła rozwijać swe rojenia. Musiał na nią patrzeć jak na kogoś naprawdę ekstra i jestem pewien, że była najbardziej czarującą osobką, jaką widział poza kinowym ekranem.

Mama poślubiła go i wiodła tułaczę życie, przemierzając kraj z czeredą dzieciaków i człowiekiem, który regularnie ją zostawiał. Można więc chyba powiedzieć, że jej marzenia nigdy się nie ziściły. A jednak z uporem i desperacko czepiała się tej lub owej nadziei. Tęskniła do dużego, prawdziwego domu dla nas wszystkich i w końcu jej zawziętość sprawiła, że to pragnienie zostało zrealizowane, niezależnie od ceny, jaką przyszło za to zapłacić.

Oczywiście, podobnie jak ojciec, mama nie była w stanie dokonać wielu rzeczy, które przypuszczalnie powinna była zrobić. Co najważniejsze, nie potrafiła rzucić ojca, mimo że ją maltretował, zostawiał z dziećmi na pastwę losu i nie szczędził nam wszystkim okrucieństwa. Pamiętam, jak Larry Schiller wypytywał ją podczas jednego z wywiadów, dlaczego została z Frankiem. Odpowiedź mamy była rzeczowa i rozdzierająca:

- A dokąd miałam iść? - mówiła. - Kto by mnie wziął? Zostałam przy nim, bo na nic innego nie mogłam liczyć. Postanowiłam na samym początku, że biorę go na dobre i na złe, i dotrzymałam słowa. Tak czy siak, Frank zawsze wracał. Kiedy go pytałam, czemu się mnie tak trzyma, mawiał: „Ach, do diabła, jestem już za stary, żeby uganiać się za kimś innym. A poza tym ty tak dobrze gotujesz”.

To, że mama nie była w stanie odejść od ojca, nie wydaje się niczym wyjątkowym. W świecie, który nas otacza, ludzie cały czas trwają w fatalnych związkach. Kobiety trzymają się uparcie mężczyzn, którzy ranią je emocjonalnie i fizycznie, a mężczyźni nie opuszczają kobiet, które obrzucają ich wyzwiskami i nie pozwalają się do siebie zbliżyć. Czasem zostaje się dlatego, że się kogoś kocha i nie można sobie wyobrazić życia bez widoku umiłowanej

osoby. Może ciągle ma się nadzieję na jakieś zmiany. Może miłość nas zaślepia, może nie zdajemy sobie sprawy, że jesteśmy wykorzystywani.

Mój brat Frank spytał kiedyś mamę, dlaczego znosiła ciągle bicie i dręczenie; pamiętał przecież to lanie, po którym jej twarz przypominała opuchnięty, czarnosiny befszytk.

- Cholera - odparła. - Cały czas zadaję sobie to pytanie. Za bardzo pyskowałam, a twój ojciec przypominał mi, gdzie moje miejsce. Zasłużyłam sobie na to. To proste.

Jej wyjaśnienie, w imię czego znosiła tak straszne bicie, rozgniewało mnie i zasmuciło, ale przecież tak bywa, że akceptujemy niedolę takiego związku, bo nie widzimy żadnych możliwości, aby się z tej biedy wydobyć. Staje się to częścią naszej tożsamości. Sama myśl o życiu bez tych utrapień wydaje się nam bardziej przerażająca niż perspektywa dalszego ich znoszenia. Być może nie wiedziałbyś, kim jesteś, gdyby ta dynamika nagle ustała, lub może nie potrafiłbyś się na nowo odnaleźć. A tak, popełniając wciąż te same błędy, możesz przynajmniej mieć pewność, że pozostajesz sobą.

Myślę, że mama naprawdę kochała ojca, a ojciec naprawdę kochał mamę. Pewnego razu, rozmawiając z nią, Schiller stwierdził:

- Wydaje się, że pani bardzo szanuje swego męża.

Ona zaś odparła:

- Więc tak, widzę go jako osobę niepozbowioną wielu wad i co tam jeszcze złego można o nim powiedzieć. Ale wie pan, do ostatniego dnia jego życia wciąż jeszcze czułam to coś, takie bicie serca, gdy wóz Franka pojawiał się na podjeździe. Sposób, w jaki siedział za kierownicą, jego uśmiech i pewność siebie czy to, jak siedział za biurkiem. To naprawdę potrafiło mnie rozbroić.

- A jak on siedział za biurkiem?

- Ach, w taki swój szczególny sposób, i to niezależnie od tego, czy ktoś jeszcze poza nim był w pokoju. A potem wstawał i szedł po coś przez pokój, przynosił to i poklepywał cię w policzek czy robił coś innego. Tak że miało się poczucie, że wie o naszej obecności, nawet jeśli mogło się wydawać, że jest zbyt zajęty, by nas dostrzec.

Nie wiem, czy mama kiedykolwiek rozmawiała o tym z ojcem. Nigdy nie słyszałem takiej czułości w jej głosie.

Mógłbym powiedzieć, iż za tymi słowami słyszało się bicie jej serca.

Pamiętam twarz ojca tego wieczoru, gdy siedzieli w kuchni i trzymał mamę za rękę. Pamiętam ów moment, gdy usłyszała wiadomość o jego śmierci i rozplakała się nagle w poczuciu doznanej utraty i samotności. Tak, tych dwoje się kochało. Łatwiej dostrzec to teraz niż wtedy, gdy jeszcze żyli. A może dziś wyczuwam w tym trochę mniej goryczy, gdyż sam

zaznałem tego, jak słodkogorzka może być miłość. Moim zdaniem miłość - niezależnie od tego, jak bywa głęboka czy rozpaczliwa - sama w sobie nie jest jeszcze dostatecznym powodem, by pozostawać w złych związkach, zwłaszcza gdy deformują one inne osoby lub działają na ich szkodę. Ale to nie ja dokonałem tego wyboru za swoich rodziców, a tym bardziej nie chcę go dokonywać za was.

Oczywiście można by znaleźć więcej powodów, dla których mama nigdy nie odeszła. Przede wszystkim żyła w świecie, który nie zachęcał kobiet do porzucania mężów i poszukiwania własnej drogi. Nie miała zbyt wielu możliwości zatrudnienia ani oparcia w systemowym zabezpieczeniu chroniącym niewykwalifikowaną samotną matkę. Była w pułapce, niezależnie od tego, czy o tym wiedziała, czy nie, w tej samej pułapce, w której znalazło się tyle kobiet przed nią i tyle po niej.

Ale najważniejszym powodem trwania przy mężu były z pewnością dzieci. To właśnie one są jedną z głównych przyczyn powstrzymujących ludzi przed rozwodem; wiele się mówi o niekorzystnym wpływie, jaki może wywrzeć na dzieci separacja, i o tym, jak trudno jest odnaleźć zdrowy system wychowawczy i wzorce moralne w jednoosobowej strukturze rodzicielskiej. Kiedy myślę o sobie i swoich braciach, zastanawiam się, czy ewentualny rozwód mógłby doprowadzić do jeszcze gorszych następstw aniżeli samo małżeństwo: czwórka chłopców została dotknięta głębokimi zaburzeniami, które dwóch z nich przywiodły do strasznej śmierci. Gdy słyszę ludzi występujących przeciw separacji, obawiam się, że ich argumenty sprowadzają się naprawdę do jednej rady: zostańcie razem dla dobra dzieci. Wciąż powraca to samo przesłanie: nie ma nic gorszego niż naruszenie integralności rodziny. Rodzina, jej prywatna autonomia muszą być pod ścisłą ochroną.

Boże, jakże ja nienawidzę tych rodzin! Gdy patrzę na te schludne gromadki wędrujące po supermarketach, słucham przyjaciół opowiadających o swoim idealnym życiu rodzinnym lub gdy odwiedzam jakieś rodziny w ich domach - nie ma rady, napawa mnie to obrzydzeniem. Jakbym miał do nich pretensję o to rzeczywiste szczęście, w którym być może się pławią, a którego sam nigdy nie zaznałem. Gardzę nimi za to, że nadużywają pojęcia dobra rodziny, by zawstydzać lub podporządkowywać sobie dzieci. Jakże to długo trwa, zanim one dorosną!

Ale być może popadam tu w przesadę. W gruncie rzeczy wcale nie oceniam swych rodziców zbyt surowo. Nie czuję wobec żadnego z nich nawet odrobiny niechęci czy goryczy, choć może powinienem. Kocham swych rodziców. Dziś bardzo mi ich brakuje. Gdyby świat był lepszy, nie musiałbym opowiadać tej historii, bo w takim świecie nigdy by się to nie zdarzyło. W tym lepszym świecie moi rodzice nigdy by się nie zeszli - a przynajmniej nigdy



by się nie pobrali i nie założyli rodziny. W tym lepszym świecie nigdy bym się nie narodził.

Jakże smutna i nieszczęśliwa była ta para, Frank Gilmore i Bessie Brown! Kocham ich, ale muszę powiedzieć: to takie przygnębiające, że mieli dzieci.



NAPAD Z RABUNKIEM

## ROZDZIAŁ 5

Ojciec bywał źródłem wielu bolesnych rozczarowań i aktów przemocy wobec własnej rodziny ale umiał też na nią zarobić. Nie byliśmy może bogaczami ani nie brylowaliśmy w towarzystwie, ale żyliśmy dobrze. Teraz, gdy umarł, musieliśmy znaleźć sposób, by zatroszczyć się o siebie.

Interes ojca - publikacja dorocznych zestawień przepisów i przykładów prawa budowlanego stanu i hrabstwa - był nadal zyskownym przedsięwzięciem. Zarówno mama, jak i bracia pomagali ojcu w pracy przy różnych okazjach. Wiedzieli, jak się sprzedaje ogłoszenia, gdzie się wykłada i jak zbiera zamówienia czy jak się prowadzi rachunkowość. Mieli też dwóch czy trzech lojalnych akwizytorów, którzy pomagali utrzymać firmę.

Jednak już od początku nic się nie kleiło. Frank junior zamierzał rychło opuścić dom, miał nadzieję, że stanie wreszcie na nogi, może nawet założy własną rodzinę. Teraz uznał, że odłoży te plany na rok czy dwa i pomoże mamie w uzyskaniu pełnej samodzielności. Wyjechał do Seattle, by dokończyć prace nad edycją bieżącego numeru „Building Codes Digest” i zabrał ze sobą Gaylena. Niestety, ledwo zdążył zebrać wpłaty z ogłoszeń, Gaylen od razu wyciągał forszę z banku. Wstawał późno, pił, uganiał się za kobietami i na tym polegała cała jego pomoc. Pobili się o to parę razy, Frank widział, że wszystko idzie na marne. Odesłał więc Gaylena z powrotem, a sam pozostał w Seattle. W ciągu kilku tygodni zebrał wszystkie wpłaty, wysłał pieniądze matce, przygotował na czas numer do wydania i zlikwidował mieszkanie w Seattle. Nie zamierzał dalej kierować firmą, sądził, że najlepiej będzie, jeśli uda

mu się znaleźć matce dobrego współnika, który poprowadzi interesy. Po powrocie do Milwaukie czekała już na niego smutna niespodzianka: Gaylen rozbił samochód i został zatrzymany za jazdę po pijanemu. Zrealizował także wiele czeków, uszczuplając stan rodzinnego konta. Wszystkie pieniądze, które Frank zarobił w Seattle, poszły na grzywnę i honoraria adwokatów oraz na remont wozu.

Tymczasem konkurencja w Portlandzie przystąpiła do wydawania własnej publikacji i kilku dawnych klientów ojca zamieściło w niej ogłoszenia. Konkurent chciał wykupić naszą firmę wraz z prawem do nazwy, ale mama nie zgodziła się, grożąc wstąpieniem na drogę sądową. Nie pamiętam dokładnie, jak do tego doszło, ale w rok po śmierci ojca utraciliśmy wpływy z „Building Codes Digest” i kontrolę nad firmą, a konkurenci umocnili własną pozycję.

Nie wszystko jeszcze było przegrane. Ojciec nie ubezpieczył się na życie, ale zostawił dość znaczną sumę w banku. Według oceny Franka było tego trzydzieści tysięcy dolarów lub więcej, co na początku lat sześćdziesiątych najzupełniej wystarczało na życie. Frank uważał, że powinniśmy zrezygnować z dużego domu na wzgórzu i przenieść się w jakieś skromniejsze i odpowiedniejsze miejsce. Argumentował, że Gary’emu wiodło się teraz bardzo ciężko, na Gaylena nie ma co liczyć, a on sam zamierza się wyprowadzić w ciągu najbliższych lat. Nie było więc powodu, by utrzymywać tak duży i kosztowny dom. Gdyby mama zdecydowała się go sprzedać teraz, powiedział, dostałaby niezły kawał grosza; mogłaby włożyć te pieniądze w mniejszy, wygodniejszy dom i jeszcze sporo by jej zostało.

Stanowisko Franka zapoczątkowało spór między nim a mamą, która pragnęła, by ich życie nadal biegło jednym torem. Tymczasem on chciał tylko uciec ze świata mamy, położyć kres dalszym związkom z jej losem. Gdy po zapoznaniu się ze stanem majątkowym rodziny po raz pierwszy napomknął, że powinniśmy się przenieść do mniejszego mieszkania, mama wylała na niego czarę goryczy. Nie chciała żadnego mniejszego domu.

- Pragniesz, bym się wyniosła stąd i żyła w przyczepie jak jakiś włóczęga?! - wrzeszczała, a potem chwyciła pełny talerz i rzuciła nim o podłogę.

Jakakolwiek myśl o porzuceniu naszego pięknego nowego domu musiała być dla niej nie do przyjęcia, skoro tyle lat czekaliśmy na ziszczenie tego marzenia. Myślę też, że uczepiła się kurczowo nadziei, iż ten wspaniały dom może nas jeszcze utrzymać razem. Widziała w nim bezpieczną przystań dla swoich synów, a ponieważ był duży i kosztowny, powinniśmy zrobić wszystko, by zachować go w całej wspaniałości. Inaczej mówiąc, ten dom był czymś, co mogło nas ocalić, a przynajmniej utrzymać pod jednym dachem.

Mama zignorowała radę Franka, choć nigdy nie mogłaby się przeciwstawić ojcu. Gdy

spór osiągnął punkt wrzenia, postanowiła, że sama poszuka dla nas nowego domu. Po kilku dniach znalazła takie miejsce i miała już przygotowaną umowę. Kiedy nas tam zaprowadziła, okazało się, że był to jeszcze większy dom, wspanialszy, usytuowany na najdroższym wzgórzu. Postawiła na swoim. Frank się poddał. Pozostaliśmy w domu na Oatfield.

Po zwycięstwie w tym sporze mama wyszła i kupiła nowe piękne pianino, nowe meble, nowe dodatki i nowy telewizor. Frank ocenił, że w ciągu sześciu miesięcy od śmierci naszego ojca wydała co najmniej dziesięć tysięcy dolarów. Nie zapobiegło to jednak rozpadowi rodziny. Załamały nas nowe kłopoty z Garym i Gaylenem.

Po śmierci ojca życie Gaylena stało się bardzo burzliwe. Pił coraz częściej i wcale już tego nie ukrywał, a chociaż były to na ogół niewinne i rozweselające trunki, siadywał czasami w ciemności i patrzył na nas w sposób, który mnie niepokoił. Nigdy nie mogłem zrozumieć, czemu mama pozwalała moim braciom przynosić alkohol do domu i pić. Może była przekonana, że skoro nie ma takiej siły, która by zmieniła ich zachowanie, lepiej pozwolić, by błądzili na własny rachunek. A może była to już rezygnacja. Skoro i tak by pili, argumentowała, to czy nie lepiej pozwolić im to robić w przyjaznym i bezpiecznym otoczeniu, gdzie nie wpadną w kłopoty i nikt ich nie aresztuje? Choć podejrzewam, że mógł tu wchodzić w grę zwykły strach. Mimo całej miłości i emocjonalnego wsparcia, jakim darzyła Gary'ego i Gaylena, mama musiała ich się czasem zwyczajnie bać; dobrze wiedziała, jakie skutki może za sobą pociągnąć nawet drobne upomnienie czy skarcenie. Wciąż jeszcze pamiętam, że gdy przyglądałem się, jak moi bracia siedzą tak i piją, nieraz odczuwałem groźbę jakichś niepohamowanych poczynań z ich strony, szczególnie tych związanych z użyciem przemocy. Owszem, uśmiechali się przymilnie, kiedy byli pijani, ale wiedziałem, co się kryje za tymi uśmiechami: może po prostu myślą, jak by tu wykraść coś z domu, bo zawsze potrzebowali pieniędzy, albo posłać nas wszystkich do diabła.

Ale ta mroczna strona charakteru Gaylena nie ujawniła się jeszcze w pełni. Wtedy po prostu pił tylko znacznie więcej niż jakikolwiek inny siedemnastolatek i włóczył się z podejrzaną paczką przyjaciół z najuboższych dzielnic. Znacznie przewyższał ich bystrością, ale jakoś mu to nie przeszkadzało. Byli skorzy do robienia rzeczy których dzieciaki z zasobnych domów nigdy by nie zrobiły.

Zaczął też podrywać miejscowe kobiety. Jeździł pięknym niebieskim kabrioletem marki „Jeepster”, nosił wytworne jedwabne koszule, a od jakiegoś czasu paradował z modną bródką w szpic. Wyglądał niczym młody Robert Mitchum - niebezpieczny i wrażliwy zarazem.

Na kobiety działało to jak magnes. Zwykle wtaczał się na podjazd z tą lub ową

ponętą dziewczyną. Ta, którą najlepiej pamiętam, nazywała się Eve. Miała czarne, spływające na ramiona loki i nosiła krótką bluzkę przewiązaną powyżej pasa. Była słodka i kochana, a co najważniejsze, okazywała mi sympatię. Jej pocałunki w policzek pobudzały mnie w nieznanym przedtem sposób.

Gaylen i Eve zatrzymywali się na podjeździe, a ona machała w moim kierunku. Gaylen wstawiał wóz pod daszek, lecz nie wysiadali z niego, tylko siedzieli tam i całowali się godzinami. Patrząc z kuchni, gdzie zwykle przebywała mama, widziało się tylko tył jeepstera i to wszystko. Za to z górnego podestu schodów, gdzie było moje stanowisko, dawało się zobaczyć znacznie więcej. Gaylen odchyłał jej bluzkę i drażnił sutki, a potem przesuwiał palce w dół, aż do granicy ud. Pamiętam, jak się wtedy wierciła. Nie licząc tamtego przypadku sprzed lat, kiedy natknąłem się na młodocianego Gary'ego barszkującego z dwiema dziewczynami, po raz pierwszy stykałem się w domu z seksem. Mama patrzyła na wóz stojący pod daszkiem i wszystko się w niej gotowało z tłumionej wściekłości.

Sześć miesięcy po śmierci ojca Gary opuścił zakład karny Rocky Butte, odsiadawszy wyrok za jazdę bez tablicy rejestracyjnej. Wrócił do nas i przez jakiś czas on i Gaylen trzymali się razem. Tworzyli jakby naturalną parę, bracia sobowtóry, wspólnicy w przestępstwie; było jednak coś, co całkowicie ich różniło. Gary doszedł do pewnej skrajności i zawsze wymyślał jakieś próby, kodeksy czy inne cholery - stwa, do których należało się dostosowywać, żeby sprostać jego wzorcom. Gaylen tymczasem szukał tylko przygody i urozmaicenia. Bardziej niż niebezpieczne czyny pociągały go niebezpieczne idee. U boku Gary'ego miał jedno i drugie. To za jego sprawą zaczął pić syrop na kaszel i zadawać się z pospolitymi opryszkami, biorąc udział w jakichś głupich włamaniach i całonocnych orgiach.

Którejś nocy bracia się pobili. Poszło o kobietę. Otóż Gaylen niewątpliwie zrobił coś, co wykraczało poza kodeks przyjęty przez Gary'ego. Zaatakowany, posłał brata na ziemię i odszedł. Gary usiadł i popijając whisky i syrop, doprowadził jakoś szczęki do porządku. Potem otworzył bagażnik swojego samochodu, wygrzebał łyżkę do opon i powiedział kumpłowi, że idzie poszukać Gaylena. Miał zamiar go zabić. Było coś takiego w jego głosie, że kumpel zorientował się, iż to nie żarty, i powiadomił o tym Franka.

Ten wziął Gary'ego na stronę.

- Jeśli zabijesz brata, będziesz miał ze mną do czynienia - zapowiedział.

Gary przyjął to do wiadomości. Odłożył łyżkę i przedstawił swoje warunki:

- Powiedz Gaylenowi, żeby trzymał się ode mnie z daleka.

Odtąd przez lata Gaylen i Gary unikali się nawzajem.

Dla Gary'ego nadeszły teraz czarne dni. Miał przyjaciół wśród sutenerów i dilerów.

Niektórzy z nich dopuszczali się zbrodniczych czynów, a Gary pomagał im, jak tylko mógł. Jadłem kiedyś lunch z człowiekiem, który znał trochę Gary'ego z tamtych czasów i znał też jego kumpli.

- Najgorsi kryminaliści Portlandu - mówił - nie wytrzymywali porównania z rozwiniętymi organizacjami przestępczymi działającymi w innych miastach; miano ich za wsioków, prowinuszy z trzeciej ligi, ale to nie znaczy, że byli mniej groźni. Może nawet byli jeszcze groźniejsi przez to, że chcieli pokazać, jak bardzo są twardzi. Twój brat należał do drugiego rzutu. Trzymano go w rezerwie, na wszelki wypadek. Był jednym z takich niezawodnych facetów, których bierze się na akcję, gdy potrzeba kogoś, kto zrobiłby swoje i trzymał gębę na kłódkę. Nadawał się na czujkę, kiedy inni działali w środku, albo czekał gdzieś w pobliżu z zapuszczonym silnikiem. Takie zadanie zawsze mogłeś mu zlecić, ale nic więcej. Byli kumple twardsi od Gary'ego, owszem, ale nie sądzę, by znalazł się ktoś, kto bodaj trochę by się go nie bał. Brałeś go, bo nie miałeś pojęcia, jak się zachowa, jeśli go nie weźmiesz. A przy tym wiedziałeś, że możesz na nim polegać i że taki facet nigdy nie pęknie.

Każde z przestępstw Gary'ego było zagrożone odsiadką, ale najwyżej kilkutygodniową. Strażnicy uważali jednak, że jego zachowanie staje się coraz bardziej dziwaczne i niepokojące. Kiedyś, gdy siedział w Rocky Butte pod zarzutem ucieczki z miejsca wypadku bez udzielenia pomocy, wysłano go do kliniki w Dammasch, gdzie był stanowy oddział psychiatryczny Gary bowiem twierdził z uporem, że zawiązał się przeciw niemu spisek, a funkcjonariusze więzienni stanowią jego część. Rzucił talerz z gorącą zupą w twarz więźnia, który pracował w kuchni. Zaklinał się, że była zatruta. Podpalił materac w celi. W szpitalu skarżył się doktorowi, że na dachu więzienia zainstalowano radar ustawiony na jego częstotliwość. Utrzymywał ponadto, że w nocy słyszy dochodzące z kratek wentylacyjnych głosy, które coś do niego mówią. Do tego wszystkiego miewał potworne bóle głowy. W szpitalu psychiatrycznym uznano to za klasyczny wybieg: pewnie uważał, że lepiej odsiedzieć wyrok w szpitalu, gdzie zawsze są większe możliwości ucieczki niż w celi. Odesłano go z powrotem do więzienia. Skończyło się to podejrzeniem żył w przegubach. Wrócił do szpitala i odsiedział tam większość kary.

Oto jedna z opowieści, które przytacza Norman Mailer w *Pieśni kata*; długo nie dopuszczałem jej do świadomości, nawet po dwu - czy trzykrotnej lekturze tej książki.

Któregoś popołudnia mama zastała Gary'ego w swym wyściełanym skórą fotelu, trzymającego w ręku jakiś dokument. Spoglądał na nią z takim gniewem jak nigdy dotąd.

- Chcę ci coś pokazać - powiedział i podał jej papier. Był to oryginał jego świadectwa urodzenia, wystawionego w McCamey w stanie Teksas na nazwisko Faye Robert

Coff - man. - Może powinnaś mi to wyjaśnić.

Mama od lat przechowywała tę metrykę w swoim biurku. Widocznie Gary włamał się tam i znalazł dokument. Była zaskoczona i sina z wściekłości.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz?

Gary potrząsnął głową.

- Cholera, mammo, wcale się nie dziwię, że ten stary nigdy mnie nie lubił. Skoro nie byłem naprawdę jego synem...

- Jak śmiesz mnie oskarżać o coś takiego?! Oczywiście, że jesteś jego synem. Po prostu używaliśmy tego nazwiska, podróżując po Teksasie.

- Nie mów mi takich pieprzonych bzdur.

- A ty nie odzywaj się tak do mnie. Powinieneś się chyba z czegoś wytłumaczyć. Zarzucasz mi coś, a sam zaglądasz bez pozwolenia do mojego biurka.

- Nigdy bym tego nie zobaczył z twoim pozwoleniem, prawda? - spytał Gary.

Wstał z fotela, chwycił kurtkę i zostawił matkę z metryką w ręku.

- Zachowaj ją sobie - powiedziała, uśmiechając się z przymusem.

- Nie, dzięki - odparł, cedząc słowa. Nigdy tak chłodno się do niej nie zwracał.

- Gary, są pewne sprawy, o których nic nie wiesz, ale to nie jest tak, jak myślisz.

Nie odpowiedział. Wypadł z domu, trzasnęły frontowe drzwi. Wtedy po raz ostatni mama widziała go na wolności.

Jednym z ówczesnych przyjaciół Gary'ego był czarny chłopak o imieniu Cleophis. Kiedyś brat przyprowadził go nawet do domu. Zwykle jednak Cleophis siedział w wozie na podjeździe, popijał piwo, coś mówił, śmiał się. Był przyjaźnie usposobiony, miłszy od większości kumpli Gary'ego, tyle że jak on miał pociąg do narkotyków.

Dzień czy dwa po tym starciu z mamą Gary upatrzył sobie magazyn osiedlowy Freda Meyera. Weszli z Cleophi - sem do działu z lekami. Gary chciał, by farmaceuta przepisał mu syrop na kaszel. Gdy ekspedient sprawdzał wykaz leków, mój brat dostrzegł przy najbliższej kasie jakiegoś mężczyznę realizującego czek. Nie wiedział, ile facet wziął pieniędzy, widział tylko zwitek zielonych wypychających mu kieszeń.

- Za chwilę wrócę - powiedział do ekspedienta i dał znak Cleophisowi, by mu towarzyszył.

Wyszli na parking, wsiedli do swojego wozu i pojechali za facetem.

- Co robimy, Gary? - spytał Cleophis.

- Spuszczamy tego frajera - wyjaśnił Gary. - Przyłożymy mu ołowianą rurką, którą mam na tylnym siedzeniu.

- Człowieku - zawahał się Cleophis. - Po co nam się w tym babrać?

Gary upomniał go ostrym spojrzeniem.

- Tylko mi tu nie tchórz. Osłaniaj mnie.

Facet zatrzymał się na swoim podjeździe, a Gary stanął za nim. Wypadli z Cleophisem z wozu i któryś z nich, nie ustalono który, zaczął wymachiwać ołowianą rurką. Gary dopadł mężczyzny, zabrał mu forszę, rzucił go na glebę i czym prędzej się zwinęli. Mieli z tej fatygi jednaście dolców, nie więcej.

Gdy odjeżdżali, ktoś zapamiętał ich numery rejestracyjne, model wozu i kierunek, w jakim się udawali.

Frank siedział w saloniku i oglądał telewizję. Był sam w domu. Usłyszał samochód zatrzymujący się na podjeździe, wstał i wyjrzał przez okno. To byli Gary z Cleophisem. Nie zwrócił na nich uwagi. Przemknęli tylko obok i zaraz gdzieś zniknęli.

Niedługo później usłyszał prawdziwy rwetes. Na podjeździe aż się zaroilo od uzbrojonych ludzi. Podwórko wypełniły wozy policji miejskiej i okręgowej, z czerwonymi światłami migającymi na dachach. Co najmniej dwudziestu policjantów mierzyło ze strzelb i pistoletów w Gary'ego i Cleophisę stojących przed domem. Cleophis stał posłusznie z rękami do góry, ale Gary machał nimi, jakby nie wiedział, co się dzieje.

Frank wyszedł tylnymi drzwiami i znalazł się na linii ognia między policjantami a Garym.

- Proszę, nie strzelajcie do mojego brata! - zawołał.

- Uważaj, bo zaraz ciebie tu zastrzelimy - ostrzegł jeden z policjantów. - Zabieraj się stąd.

I wszyscy gliniarze zaczęli wrzeszczeć na Franka:

- Zabieraj się stąd w cholere!

Na wzgórzu pojawiły się kolejne wozy policyjne i zamknęły ulicę.

Do świadomości Gary'ego dotarło wreszcie poprzez narkotyczne opary to, co się działo między Frankiem a glinami. Wyciągnął ręce w górę, spojrzał na policjantów i powiedział:

- Nie strzelajcie do chłopaka. Nie miał z tym nic wspólnego. - Po czym zwrócił się do Franka: - Frank, zabieraj się stąd! To moja sprawa.

Policjanci zbliżyli się, skuli Gary'ego i Cleophisę i przewieźli ich do więzienia okręgowego w Oregonie.

Tym razem Gary popadł w poważne kłopoty, wszyscy zdawali sobie z tego sprawę. Zatrzymano go pod zarzutem napadu rabunkowego, do tego doszła lista innych

przestępstw. Choć żadne nie było zbyt znaczące i nie łączyło się z użyciem siły, samo ich nagromadzenie starczyło, by oskarżyciel uznał Gary'ego za zawodowego przestępcę, niebezpiecznego dla społeczeństwa. Prokurator okręgowy zażądał długiego wyroku.

Niezbędne przygotowania procesowe trwały kilka miesięcy Gary atakował w tym czasie innych więźniów, głównie starszych mężczyzn, tak że sędzia zarządził obserwację psychiatryczną. W szpitalu Gary nadal stanowił zagrożenie dla innych, sam też się pociął. Zdaniem psychiatry te próby samobójcze nie były częścią demonstracją. W opinii, którą przedstawił sądowi, zanotował, że Gary „zamierzał wykrwawić się na śmierć, pragnął umrzeć, ale było to coś więcej niż pragnienie śmiertelnego wykrwawienia się”. Z dzisiejszej perspektywy wszystko wydaje się jasne: była to pierwsza przymiarka Gary'ego do Zadoścuczynienia Krwi.

Jest przy tym możliwe - jak twierdzili pilnujący go strażnicy, a także jeden czy dwóch lekarzy - że Gary symulował zaburzenia psychiczne. Jeśli jednak ktoś symuluje objawy szaleństwa, to jeszcze nie znaczy, że naprawdę nie jest szalony. Tak czy owak, Gary został uznany za zdolnego do odpowiadania przed sądem i proces mógł się rozpocząć. Końcowa diagnoza psychiatryczna brzmiała: „Osobowość socjopatyczna, typ antyspołeczny z ponawiającą się okresowo niezdolnością powrotu do normalnego funkcjonowania”.

Proces Gary'ego toczył się w połowie marca 1964 roku przed sądem miejskim w Oregonie i trwał trzy dni. Jego współnik, Cleophis, zmienił początkowe zeznania, świadcząc teraz przeciw niemu, choć przypadek był oczywisty i bez tego.

Siedziałem w domu, gdy w ostatnim dniu procesu zadzwonił telefon. Mama poszła na umówioną wizytę u lekarza, ale zostawiła mi jego numer, żebym do niej zadzwonił, gdybym się czegoś dowiedział o werdykcie. Odebrałem telefon. To był Gary. Pomyślałem w pierwszej chwili, że został uniewinniony. Bo inaczej niby jak miałby do mnie dzwonić?

- Jak się masz, współniku? - zapytał. - Widzisz, właśnie chciałem przekazać tobie i mamie wiadomość: dostałem piętnaście lat.

Zamurowało mnie. Nie potrafiłem znaleźć słów.

- Gary, co mogę dla ciebie zrobić? - wydukałem wreszcie. Nie najlepiej to wypadło; zupełnie jakbym powiedział: „Jestem zajęty. Czego chcesz?”

- Ja... ja naprawdę nic nie chcę. - Głos mu się załamał. - Chciałem tylko usłyszeć twój głos. Chciałem powiedzieć: żegnaj. Wiesz, parę lat nie będę cię widział. Trzymaj się.

To była rozdzierająca chwila. Od tamtej osobistej rozmowy w świąteczny wieczór, gdy zwierzał mi się ze swych przeżyć w zakładzie poprawczym, ani razu nie byliśmy ze sobą tak blisko. Czulem, że zepsułem coś bardzo ważnego, że go zawiodłem w decydującym



momencie. To przekonanie nie opuszcza mnie od lat. Prawdę mówiąc, wciąż jeszcze mnie gnębi.

Gdy mama wróciła do domu, przekazałem jej wiadomość. Usiadła przy kuchennym stole i płakała długo i żałośnie - bardziej niż w chwili, gdy dowiedziała się o śmierci męża. Nigdy już nie byłem świadkiem takiej rozpacz.



W ROZSYPKĘ

## ROZDZIAŁ 6

W listopadzie 1963 roku, gdy Gary oczekiwał na proces, zabito strzałem w głowę prezydenta Johna F. Kennedy'ego podczas jego wizyty w Dallas w Teksasie. Było to dla nas prawdziwym szokiem, podobnie jak dla każdej amerykańskiej rodziny. Ten akt przemocy przekraczał znacznie wszystko, co poznaliśmy dotychczas: nie tylko odmienił perspektywę narodu i jego przyszłość, ale zniszczył też sporą część jego przeszłości, i myślę, że już wtedy zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Wszyscy mówiliśmy o tym zabójstwie, płakaliśmy i smuciliśmy się, ale nikt z nas jakoś nie wspominał o przemocy we własnym życiu. Nie sądzę nawet, bym rozumiał, że ta przemoc była w naszych sercach. To nawet zabawne: gdy później mrok ogarnął nas w swej najohydniejszej formie, też stał się tylko epizodem amerykańskiego rozlewu krwi.

Boże Narodzenie upłynęło więc w ponurym nastroju. Gary i Gaylen siedzieli w więzieniu. Rodzina była u progu bankructwa. Naród trwał jeszcze w żałobie. Wszystkie zimowe noce wydawały się czarne. Po raz pierwszy mama nie ubrała drzewka ani nawet nie przystroїła gałązki.

W końcu więcej wtedy mama uznała, że już najwyższy czas, bym został mormonem. Zaprosiła jakichś młodych misjonarzy, by odwiedzali nas regularnie i wyjaśniali mi podstawy religii Świętych Dnia Ostatniego. Co parę dni siadywali ze mną w saloniku i opowiadali o

życiu Josepha Smitha, który w pełnych udręki poszukiwaniach próbował odnaleźć prawdziwy Kościół, aż Bóg w cudowny sposób objawił temu młodemu synowi farmera tajemnice nieba. Porwała mnie ta opowieść, zwłaszcza historia o znalezieniu złotych tabliczek i spisaniu Księgi Mormona oraz koleje losu rodziny Smithów, od ubóstwa do sławy, a potem do tragedii. Coś w tej relacji wydawało mi się dziwnie swojskie: mama kilkakrotnie wspominała tajemniczo o jakimś skarbie, który ojciec miał i utracił, a którego być może nikt jeszcze nie odnalazł. Czulem więc, że uznając religię mormonów, odzyskuję niejako ojca, choć przecież wiedziałem, jak bardzo nie cierpiał Świętych. Mogłem też powiedzieć, że moje przystąpienie do ich Kościoła miałoby wielkie znaczenie dla mamy. Byłoby swego rodzaju odkupieniem grzechów przeszłości, może nawet wyparcia się wiary. Zostałem więc wychrzczony na mormona i kilka razy w tygodniu uczestniczyłem w różnych służbach kościelnych. W okresie dorastania stałem się aktywnym członkiem Kościoła i przyjąłem wiarę jego wyznawców.

Wkrótce potem - Gary czekał właśnie na proces - zdarzyło się jeszcze coś, co spowodowało zwrot w moim życiu. 9 lutego 1964 roku (był to dzień moich trzynastych urodzin i zarazem dzień przystąpienia do Kościoła mormonów) w programie *The Ed Sullivan Show* po raz pierwszy wystąpili Beatlesi. Byłem już wtedy otrząskany z rock and rolla. Moi bracia kochali muzykę Elvisa Presleya, Chucka Berry'ego, Johnny'ego Casha, Jerry'ego Lee Lewisa, Little Richarda i Fatsa Domino, bez ustanku grali ich kawałki w domu. Co interesujące, również ojciec, który - rzecz jasna - nie sympatyzował z buntem młodych, lubił rhythm and bluesa i wczesnego rock and rolla. Była to jedna z tych niewielu przyjemności, których nigdy nie zakazywał synom. Dziś uważam, że taka muzyka pomagała moim braciom wyrażać bunt: oczywiście bunt dość złagodzony, pozbawiony wyraźnej ideologii. Były to cudowne kawałki, ale w czasie gdy dorastałem, duch tej muzyki trochę już zwietrzał i rock and roll utracił w znacznej mierze właściwość ożywiania czy symbolizowania młodzieńczych niepokojów.

Beatlesi wszystko to zmienili. Gdy oglądałem ich tego wieczoru w programie Sullivana, potrzęsających czuprynymi i śpiewających przeboje *I Saw Her Standing There* czy *She Loves You*, jeszcze nie wiedziałem, że to właśnie dzięki nim otworzę się na świat i wyważę bramę wiodącą ku przyszłości, wobec której moja rodzina była tak bezradna. Wiedziałem wtedy na pewno tylko to, że mi się podobają, i tak jak miliony innych dzieciaków czulem, że należą do mnie i do moich czasów. Poza tym lubiłem Beatlesów dlatego, że tak bardzo nie pasowali do świata mych braci, którzy zresztą ich nie znosili.

Gdy patrzę na to z perspektywy czasu, widzę, jak sprzeczne ze sobą były te dwa nurty, którym się poddałem. Podobnie jak wielu tworzących dla nastolatków, a już na pewno jak

większość wykonawców rock and rolla, Beatlesi opowiadali się za seksem i znoszeniem wszelkich granic; można by nawet powiedzieć, że byli za anarchią i rewolucją w ogóle. Mormoni głosili wolność i zbawienie poprzez porządek i władzę; nie tolerowali przedmałżeńskiego seksu, byli przeciwko postępowi w kulturze i polityce. Z czasem sprzeczności między moimi dwoma kultami stawały się coraz bardziej widoczne i musiałem dokonać wyboru. Ale wtedy byłem złańiony czegokolwiek, co wprowadzałoby jakiś ład, dawało możliwość ucieczki od klątwy, którą dostrzegałem już w losach swojej rodziny. Rock and roli i mormoni - i jedno, i drugie, każde na swój sposób, otwierało przede mną pewną drogę. Myślę nawet, że ta zbieżność obu ruchów przypuszczalnie uratowała mi życie. Zarówno w religii, jak i w rocku odnajdywałem poczucie wspólnoty, którego wcześniej nie znałem, a także motywację i ład moralny. To ciekawe, że rock and roli lepiej mi się przysłużył przez te wszystkie lata i wyraźniej ukazał współczesny obraz raju utraconego i odzyskanego. Upłynęło jednak jeszcze parę lat, zanim ostatecznie wybrałem życie z grzesznikami, przedkładając je nad życie ze świętymi. Lecz do tego momentu byłem szczęśliwy, gdyż udawało mi się jedno z drugim łączyć.

Gaylen tymczasem to trafiał do więzienia, to znów wychodził na wolność. Szło zwykle o jakieś błahostki - jak paradowanie po pijaku czy puszczenie sfalszowanych czeków - ale miejscowe gliny chyba już zaczynały go nie lubić. Spore znaczenie miało też to, że był bratem Gary'ego. Ale Gaylen i na własną rękę przyczyniał się do złej sławy, która otaczała nazwisko Gilmore. Był bardzo złośliwy i właśnie tym się chełpił. Ilekroć policjant go zatrzymał, Gaylen musiał coś zuchwale odpysknąć. Jeśli mundurowy go obraził lub uderzył, mój brat nie pozostawał dłużny. Oczywiście zwykle pogarszało to tylko sprawę. Wiem coś o tym, bo pamiętam siniaki, które mu zostawały po policyjnym laniu.

Doszło do tego, że gliniarze nie dawali nam spokoju.

Otrzeciej w nocy słyszę walenie do drzwi, wyglądam i widzę zaparkowany przed domem wóz policyjny. Przyjeżdżali zawsze po Gaylena, z tego lub innego powodu. Gdy wchodzili do środka i zaczynali przeszukiwać mieszkanie, nieraz był w domu. Miał jednak taką specjalną „mysią dziurę” za rzekomym murem w piwnicy, pod gankiem, gdzie zwykle się ukrywał. Nigdy go tam nie znaleźli. Parę razy, kiedy policja szturmowała od frontu, tupiąc ciężkimi buciorami, Gaylen wymykał się od tyłu, wślizgiwał na przednie siedzenie swego samochodu i ruszał przed siebie Oatfield Road, trąbiąc głośno i machając glinom. Policjanci ruszali w pościg, ale rzadko udawało im się go dopaść. Był niczym Robert Mi tchum w jego ukochanym filmie *Thunder Road*, złowieszczy przemytnik krzakowy w podrasowanym wozie.

Prędzej czy później Gaylena zatrzymywano i mama musiała wykupywać go za kaucję. Stało się to w tamtych latach zwykłym rytuałem naszego życia rodzinnego. Znałem już twarz każdego policjanta i poręczyciela w naszym regionie, ponieważ towarzyszyłem mamie, nieraz dobrze po północy, w owych częstych wędrówkach wzdłuż głównej ulicy Mil - waukie, gdzie w miejscowych posterunkach wykładała kaucję za swego pijanego syna, przysparzającego jej wciąż nowych kłopotów.

Reputacja braci nieuchronnie rozciągała się i na mnie. Pamiętam, jak jeszcze w szkole podstawowej byłem wzywany do dyrektora, który ostrzegał, iż szkoła nie będzie tolerować takiego postępowania jak w przypadku moich braci; zapowiadano mi, żebym się pilnował, gdyż oni wyczerpali już wszelkie pokłady dobrej wiary i pobłażliwości, więc jeśli się okaże, że jestem do nich podobny, to proszę bardzo, są inne szkoły, do których mogę pójść. Przez wszystkie te lata, gdy chodziłem do gimnazjum i liceum w Milwaukie, po wielekroć i w rozmaitej formie otrzymywałem takie ostrzeżenia.

Raz, gdy czekałem w mieście na autobus, zaczepił mnie miejscowy policjant.

- Czy ty nie jesteś czasem chłopakiem Gilmore'ów? Cholera, mam nadzieję, że nie skończysz jak tamci dwaj. Dostyc już było zasrańców w waszej rodzinie.

A kiedy indziej zatrzymał się jakiś wóz i wysypali się z niego starsi chłopcy.

- Jesteś bratem Gaylena Gilmore'a? - zapytał jeden z nich.

Wepchnęli mnie do środka, wywieźli parę ulic dalej na pustkowie i zaczęli okładać pięściami po twarzy. Przypomniałem sobie radę Gaiy'ego, której udzielił mi w tamte święta przed laty: „Nie możesz oddać. Za nic nie możesz im oddać” - i pozwoliłem, by mnie bili, póki się nie zmęczą, a potem, opluty i wyrzucony z wozu, patrzyłem bezsilnie, jak odjeżdżają.

Płakałem przez całą drogę do domu i nienawidziłem otaczającego mnie świata. Nie cierpiałem tej miejsciny, w której mieszkałem, z jej nędznymi, małymi ludźmi, i nienawidziłem też moich braci. Czuję, że nie mam przez nich żadnej przyszłości, że jest mi pisane żyć tak jak oni, czy tego chcę, czy nie, i czekają mnie tylko wstyd, ból i rozczarowanie. Wściekłość i pragnienie odwetu sprawiły, że chciałem zmasakrować gęby tych chłopców, którzy mnie pobili.

- Chcę ich zabić - powtarzałem. - Chcę ich zabić.

A kiedy zdałem sobie sprawę, co mówię i dlaczego tak właśnie się czuję, jeszcze bardziej znenawidziłem mój świat i moich braci.

Rzeczywistość dopadła w końcu Gaylena. Jego romans z Eve nie skończył się dobrze. A może właśnie aż nazbyt dobrze. Eve była w ciąży. Kochała Gaylena i chciała za niego wyjść, myślę, że on czuł to samo, ale ojcu ani mamie wcale się to nie podobało. Któregoś

wieczoru Gaylen upił się i poszedł odwiedzić Eve w osiedlu przyczep, gdzie mieszkała, przy drodze w Oak Grove. Wdał się w bójkę z jej ojcem; nieokrzesany Niemiec imieniem Adolf rzucił go na podłogę i przystawił mu fuzję do głowy. W końcu wezwał policję, która zabrała mojego brata.

Dzień czy dwa później Gaylen miał gwałtowną kłótnię z mamą. Siedzieli w kuchni i wrzeszczeli na siebie. Frank próbował załagodzić spór, ale już nic nie dało się zrobić.

- Nie chcę więcej oglądać tej dziewczuchy! - krzyczała mama.

Gaylen nie ustępował:

- To idź do diabła! Nie możesz mi wciąż mówić, co mam robić. Przestań, do cholery, mną dyrygować!

Mama zerwała się z miejsca, chwyciła ze stołu wielki nóż rzeźniczy i zanim ktokolwiek z nas mógł zareagować, popchnęła Gaylena razem z krzesłem do ściany i przystawiła mu nóż do gardła. W oczach miała płomienie, mówiła wolnym i drżącym głosem:

- Nie zobaczysz się więcej z tą cholerną kurwą, rozumiano? Jeśli to zrobisz, zabiję cię.

Zastygliśmy wszyscy w miejscu, na jakiś czas odebrało nam mowę i nie byliśmy w stanie się poruszyć. Mama powrzeszczała jeszcze trochę na Gaylena, a potem odwróciła się, odeszła od niego i odłożyła nóż. Usiadła i zaczęła płakać. Gaylen ze łzami w oczach wybiegł tylnymi drzwiami. Zerwał po drodze zasłonę i wypadł razem z nią na podwórko za domem. Przez resztę dnia zabawiał się rzucaniem nożem traperskim w drzewo wiśni, aż sok wyciekał tymi nacięciami jak krew. Wiśnia już nigdy nie zakwitła.

Chyba właśnie wtedy po raz ostatni widział się z Eve. Z tego, co wiem, urodziła potem śliczną córeczkę, ale Gaylen nigdy jej nic zobaczył.

Zycie Gaylena poza domem biegło dziwnym i tajemniczym torem, podobnie jak życie Gary'ego parę lat wcześniej.

Pewnego wieczoru siedzieliśmy z mamą w kuchni, rozmawialiśmy. Na podjeździe zatrzymał się jakiś wóz ze zgaszonymi światłami. Stary sedan wypełniony ludźmi. Coś w wyglądzie tego samochodu kazało mamie mieć się na baczności. Powiedziała mi, żebym zgasił światło. Jacyś mężczyźni wysypali się z wozu, podbiegli do frontowego ganku i zaczęli walić w drzwi. Mama zabrała mnie na górę i zamknęliśmy się w starym biurze ojca. Stamtąd słyszeliśmy, jak wrzeszczeli:

- Otwórz te cholerne drzwi, Gaylen! Wiemy, że tam jesteś! Nie zmuszaj nas, byśmy weszli!

Mama wezwała policję. Niebawem rozległy się dźwięki syren. Mężczyźni wskoczyli

do wozu i odjechali.

Przeczekaliśmy z mamą u sąsiadów, aż Frank wróci z pracy. Pojawił się koło pierwszej w nocy. Kiedy wróciliśmy do domu, okno od tyłu było rozbite, a łóżko Gaylena splądrowane.

Noc albo dwie później pojawił się Gaylen, złachany i brudny. Mama spytała, co się z nim działo. Lecz on tylko spojrzał i nie powiedział słowa. Przesiedział jakiś czas, po czym wyszedł, wsiadł do wozu i odjechał. Przez następne dwa lata widzieliśmy go tylko raz. Słyszeliśmy, że obracał się w Nowym Jorku, czytał swoje wiersze w klubie w Greenwich Village i upijał się do nieprzytomności, gdy miał po temu okazję.

Z końcem sierpnia 1965 roku Franka juniora powołano do wojska. Przypadło to na okres, gdy nasilała się amerykańska interwencja w Wietnamie, toteż martwiliśmy się z mamą, że wyśle go na front i być może zginie tam w głupi i niepotrzebny sposób. Niepokoje samego Franka były, jak sądzę, bardziej metafizycznej natury. Podzielał on wiarę świadków Jehowy, że jeśli ktoś służy w wojsku i zginie na polu walki, umrze w stanie przemocy i grzechu, a to jest tak, jakby sam się zrzekł prawa wejścia do Królestwa Bożego. Frank konsekwentnie odmawiał służby ze względu na przekonania, ale w sztabie jego odwołanie zostało odrzucone. Wybór był prosty: wojsko lub więzienie. Przyjął więc kartę powołania przy równoczesnej odmowie służby w siłach zbrojnych.

Wieczorem Frank był jeszcze z nami, rano nas opuścił. Przeżyłem to gorzej niż odejście kogokolwiek innego. Był takim miłym i dobrym człowiekiem. Wiedziałem, że wojsko może go zmienić. Mogli z niego zrobić kogoś równie skłonnego do stosowania przemocy jak moi bracia.

Gary był w zakładzie karnym w Oregonie, Gaylen zniknął w Nowym Jorku, Frank stacjonował w Forcie Ord w Kalifornii. Zostaliśmy więc sami z mamą w tym dużym pustym domu, na który już nie mogliśmy sobie pozwolić.

Był to okres samotności i wyrzeczeń. Skończyły się pieniądze, żyliśmy tylko z tego, co wpływało co miesiąc z renty po ojcu.

Ale był to też okres, w którym zacząłem się zbliżać do matki. Można by rzec, iż nie miałem wyboru - zostaliśmy tylko we dwoje - lecz może w końcu chciałem się nauczyć oglądać świat jej oczami, słuchać, co o nim mówi. Jakież to był bolesny i wrogi świat! To wtedy zrozumiałem, w jak wielkim stopniu mama, ojciec, Gary czy Gaylen patrzyli na życie i sprawy z pozycji outsidera. W istocie taką postawę mama przyjmowała w całym swoim życiu: najpierw, jako mała dziewczynka, chciała złamać reguły; potem, jako młoda kobieta, złamała je; i wreszcie, jako dorosła, musiała wciąż płacić za to, że je złamała. Nauczyłem się,

że świat nie wybacza tym, którzy ostentacyjnie naruszają jego zasady, że może cię zniszczyć, jeśli tak właśnie postępujesz. Mama była wyrzutkiem. Bracia byli wyrzutkami. I ja też mogłem zostać wyrzutkiem, jak zapowiadała mama. Muszę być silny, mówiła; muszę nauczyć się żyć z potępieniem, jakie niesie świat, i z karami, jakie wymierza. Przypuszczalnie miała rację, choć nie powiedziałem jej, iż sądzę, że ten napawający przerażeniem świat, o którym tyle mówiła, to także świat naszej rodziny. Marzyłem o tym, by trzymać z dala od siebie nie tylko ten świat, ale także rodzinę.

Zimą 1965 roku mama poważnie się rozchorowała i musiała pójść do szpitala, by poddać się zabiegowi usunięcia woreczka żółciowego czy czemuś w tym rodzaju. Odwiedzałem ją codziennie, a potem wracałem do tego wielkiego pustego domu. Zacząłem właśnie naukę w szkole średniej i mieszkalem zupełnie sam przez co najmniej parę tygodni. I był to pierwszy okres w moim życiu - po tamtych latach spędzonych z ojcem - gdy czułem się szczęśliwy bezpieczny.

Oczywiście nie mogło to trwać zbyt długo. Po kilku tygodniach mama wróciła ze szpitala. Ale nie było już tak jak przedtem. Operacja ją osłabiła, ograniczając strefę, w której się poruszała. Dało się to zauważyć już w chwili, gdy /jawiła się w domu. Nie mogła się zdobyć na to, by wejść do swojej sypialni na górze. Przeniosła się ze spaniem na dół, korzystając z tej samej kanapy i saloniku, które upodobał sobie ojciec w ostatnich tygodniach w naszym wielkim, zagubionym domu. Mama już nigdy nie weszła na schody. rzadko zapraszała do domu obcych, a nawet przyjaciół.

W następnych miesiącach mieszkanie i ogród zaczęły obracać się w ruinę. Mama nie była w stanie dłużej pielęgnować ogródka, a dla mnie był on zbyt duży, żebyem sobie mógł z nim poradzić. Niebawem trawa od frontu wyrosła po kolana. Posesja wyglądała okropnie i odpychająco. W końcu jacyś ludzie z Kościoła mormonów zaczęli przychodzić regularnie, starając się utrzymać ogród w jakim takim porządku. Nawet wtedy myśleli jeszcze o nas jako orodzinie dość zamożnej.

Mama mieszkała teraz na dole, ja miałem całą górę. Przez parę tygodni mogłem każdej nocy spać w innym pokoju. A potem zacząłem słyszeć głosy.

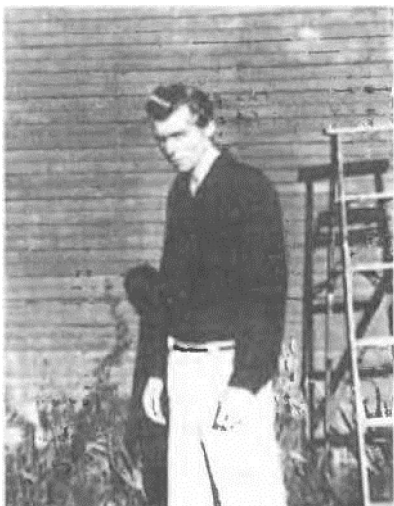
Budziłem się o trzeciej i słyszałem głosy za drzwiami mego pokoju, jakieś pięć, sześć stóp od miejsca, gdzie była ta tajemnicza wnęka pod schodami. Leżałem tak i słyszałem te głosy przez godzinę lub dwie; bywało, że niebo zaczynało się już rozjaśniać. Były słyszalne, choć niezbyt wyraźne, takie mamrotanie dochodzące zza zamkniętych drzwi.

Któregoś dnia po takiej bezsennej nocy spytałem mamę:

- Czy słyszysz kiedy nocą coś dziwnego?

- Słyszę głosy - odparła - niemal co noc. Dochodzą z góry, z jednej z naszych sypialni. Czasami też z innych pokojów, a nieraz płyną jakby z powietrza. Brzmią cicho, ale i tak wiem, o czym mówią. O naszej przyszłości i o tym, jak zamierzają pozbawić życia każde z nas.

Pomyślałem sobie: „Świetnie. Więc jestem już tak szalony jak każdy z nas w tej cholernej rodzinie”. Odtąd zasypiałem z poduszką na głowie. Przynajmniej tłumiła głosy duchów.



DO DOMU

## ROZDZIAŁ 7

Służba wojskowa okazała się ciężka dla Franka już od samego początku. Dowódcy wiedzieli, że jest świadkiem Jehowy i że odmówił służby w siłach zbrojnych. Taka postawa nie cieszyła się sympatią. Besztali go wobec kolegów, wykrzykiwali jego nazwisko, obiecywali, że go tu złamią.

Przez jakiś czas Frank chciał pójść do medyków. Ale zwierzchnicy uznali, że nie jest to dobre rozwiązanie. Chcieli, by nauczył się ładować broń, nosić ją i strzelać, a także posługiwać się bagnetem. Dowódca mu zapowiedział:

- Albo będziesz robił to wszystko zgodnie z regulaminem, albo staniesz przez sądem wojskowym.

- Nie mogę tego robić zgodnie z regulaminem. To wbrew moim przekonaniom religijnym - odparł Frank.

Oficer rozkazał mu spakować worek i udać się do więzienia wojskowego Fortu Ord, odległego o dwie mile. Ma tam zostać i czekać na sąd.

- Po drodze nie było żadnej straży - mówił Frank. - Mam na myśli to, że mogłem się stamtąd łatwo zmyć. Był nawet przystanek autobusowy. Wystarczyło tam dotrzeć, kupić



bilet, i dalej w drogę! Za dwa dni byłbym w Kanadzie. Ale wiedziałem, że jeśli to zrobię, będzie się to za mną ciągnęło przez resztę życia. Idąc tam, myślałem, żeby raz na zawsze z tym skończyć, ale też: „Chciałbym, żeby mi pozwolili być sanitariuszem”. Pragnąłem tylko wypełniać obowiązki i zachować przy tym dobre imię. Ale nie chciałem złamać swoich przekonań i nie chciałem być uznany za dezertera.

Na żołnierzy i poborowych oczekujących na sąd wojenny strażnicy nakładali niezliczone zadania.

- To były zupełnie bezsensowne prace, jak wrywanie trawy z piasku. Miały na celu cię zmęczyć i pozbawić godności. Były formą nękania. Musiałeś to robić całymi godzinami. Po którymś z takich zadań jakiś chłopak pękł. Odwrócił się do mnie i powiedział: „Będę uciekał. A ty lepiej padnij na ziemię”. Zaczął biec, strażnik strzelił. Słyszałem potem, że dostał nową naszywkę za trafienie uciekiniera. Nie mogłem się z tym pogodzić: strzelić tak do chłopaka i okaleczyć go! To przecież nie był jakiś drań. Czy nie wystarczyłoby strzał ostrzegawczy w powietrze? Nie, mieli taką sztywną zasadę: nie pozwolić nikomu uciec. Kiedy ja tu pilnuję, nikt mi nie pryśnie. Po tym zdarzeniu byłem bardzo przygnębiony. Już wiedziałem: znalazłem się w piekle.

Po trzech miesiącach oczekiwania Frank stanął przed sądem wojskowym pod zarzutem niewykonania prostego rozkazu oficera dowodzącego. Rozprawa nie trwała długo, to był banalny przypadek. Prokurator wojskowy twierdził, że mój brat jest gorszy niż wróg na polu walki, gorszy nawet od komunisty: to tchórz!

- A ja wiedziałem - wspominał Frank - że nie byłem większym tchórzem niż każdy z nich. Powiedziałem im to. Dodałem, że byłbym szczęśliwy, służąc jako sanitariusz. Ale nie mógłbym stanąć na linii frontu i zabić kogoś albo samemu zostać zabitym. Bałem się, że gdybym zaczął zabijać, straciłbym poczucie litości. Byliby ze mnie dumni, gdybym na polu walki stał się maniakiem. Wiele razy o tym myślałem. I wiedziałem, że gdyby do tego doszło, gdybym w głębi serca stał się kimś takim, byłbym stracony. Nic gorszego nie mogłoby mi się przytrafić. Nie potrafiłbym z tym żyć. Byłbym wtedy skończony, już lepiej samemu się zabić. Wolę się znaleźć w więzieniu federalnym, pomyślałem.

Sąd wojenny skazał Franka na trzy lata pobytu w więzieniu o zastrzyżonym rygorze w Forcie Leavenworth.

- Gdybym miał cywilnego obrońcę - powiedział mi po latach - skończyłoby się na tym, że dostałbym trzydzieści dni paki i został zwolniony bez honorów. Jak w przypadku wielu białych chłopców, którym załatwiono wziętych adwokatów. Ale mama nie miała już na mnie pieniędzy. Wszystko wydała na Gary'ego i Gaylena.

Gaylen poczuł się w końcu zmęczony Nowym Jorkiem. Z wolna zaczął wracać do domu.

Gdy Frank siedział w Forcie Leavenworth, Gaylen udał się do Provo. Podobnie jak Frank i Gary, miał miłe wspomnienia z gospodarstwa moich dziadków i chciał odwiedzić kuzynów, ciotki i wujków. W Salt Lake mieszkał też jego dawny kumpel z nowo poślubioną żoną, niejaki Kerry.

Podczas tych odwiedzin zatrzymał się u kuzynki Brendy. Dopiero co się rozwiodła, więc ucieszyła się z towarzystwa, zwłaszcza że Gaylen chętnie pomagał w domu i na polu. Był czarujący, miły i bystry, no i polubiła go jak nikogo przedtem, a Gaylen dał się lubić. Oczywiście widziała, jaki był łasy na kobiety. Dokądkolwiek poszli, rozglądał się za miejscowymi pięknosciami i próbował je zagadywać. Dziewczynom z Provo wydawał się bardzo atrakcyjny.

- Był niezwykle przystojny, tak różny od tych wszystkich chłopaków, których dotąd znały - mówiła Brenda - ale kobiety mormonów nie są zbyt liberalne, jeśli idzie o pocałunki i pieszczoty, seks przedmałżeński nie wchodził w rachubę, więc pragnienia Gaylena nie zostały zaspokojone.

A jemu trudno się było obyć bez intymnej zażyłości z kobietą. Któregoś dnia wybrał się do Salt Lake odwiedzić Ker - ry'ego. Kumpla nie było w domu, była za to jego żona. Gaylen spróbował na niej swoich sztuczek, a jej to się spodobało. W końcu wdał się w romans z żoną przyjaciela. Trwało to już parę tygodni i bardzo w tym zasmakowali, gdy Kerry wrócił któregoś popołudnia wcześniej z roboty i zobaczył, co stary kumpel wyprawia z jego żoną. Uznał, że przyjaźń ma swoje granice, a było z niego wielkie chłopisko. Chwyił tylko Gaylena w pól i wyrzucił przez okno, a potem skoczył za nim. Flekował swojego brata przez ładnych kilka minut, kopiąc w brzuch i w głowę, dopóki żona go nie odciągnęła.

Gaylen spędził parę tygodni w szpitalu w Salt Lake. Szczękę miał złamaną w pięciu miejscach. Jeść mógł tylko przez słomkę, nie bardzo też mógł mówić. Wuj Vern pokrył koszty leczenia. Odwiedził Gaylena kilka razy w szpitalu.

- Ty głupi skurwysynu - mówił.

Gaylen nie był nawet w stanie mu odpowiedzieć.

Vern kupił siostrzeńcowi swojej żony bilet autobusowy do Portlandu. Kiedy pewnego popołudnia Gaylen stanął przed naszymi drzwiami, głowę miał jeszcze odrutowaną wstydliwie się uśmiechał. Mama złapała się tylko za głowę orzekła, że pewnie wypił piwo, którego sobie nawarzył.

Kłopoty w Salt Lake przyhamowały Gaylena na jakiś czas. Myślał już o tym, że

znajdzie sobie kobietę i się ustakuje. Zaczął też chodzić ze mną i z mamą do kościoła mormonów i ku jej wielkiemu zdumieniu i radości wkrótce do nich przystąpił.

Mama ostatnio nabrała trochę sił i pracowała jako pomocnica kelnera w restauracji „U Speeda” przy głównej ulicy

Milwaukie. Teraz, kiedy Gaylen wrócił i wyglądało na to, że się poprawił, znów zaczęła mieć nadzieję, że nasz wielki dom może być czymś, co pozwoli nam trzymać się razem.

Gaylen rzeczywiście się uspokoił i staliśmy się sobie bliżsi niż kiedykolwiek. Nie wiem, czy poprawa naszych braterskich stosunków miała coś wspólnego z przystąpieniem Gaylena do mormonów. Było coś takiego w jego sposobie prowadzenia rozmowy, co nie napawało mnie otuchą; bardziej wydawał się spragniony miłości i więzów towarzyskich niż głoszenia nowej wiary. Poza tym niezbyt nabożnie odnosił się do seksu. Kiedyś wróciłem ze szkoły i zobaczyłem, co wyprawiał na schodach z dziewczyną z sąsiedztwa.

- Żebyś mi tylko nie wspominał o tym mamie - przykazał.

Oczywiście nigdy jej o tym nie powiedziałem.

Nasza nowa zażyłość miała poniekąd wiele wspólnego z różnicą wieku - to, co nas niegdyś dzieliło, teraz nas łączyło. Kiedy Gaylen miał dwanaście lat, ja miałem sześć, nie za bardzo było o czym rozmawiać. Teraz ja miałem szesnaście, a on dwadzieścia dwa, i znalazło się już wiele wspólnych tematów. Czytaliśmy te same książki, oglądaliśmy te same filmy, słuchaliśmy tej samej muzyki. Wciąż rozmawialiśmy i sprzecaliśmy się - on nie cierpiał Boba Dylana i Beatlesów, ja ich uwielbiałem. Były to jednak przyjacielskie spory, pełne wzajemnego szacunku. Stanowiliśmy nierozłączną parę. Nie musieliśmy już rywalizować o miłość ojca; myślę, że to też miało znaczenie. Z czasem Gaylen stał się moim najbliższym przyjacielem.

Nie było mu jednak dane żyć w spokoju. Miał kłopoty z dostosowaniem się do innych młodych ludzi w Kościele. Większość mężczyzn w jego wieku wyruszała w misje lub zapisywała się na Uniwersytet Brigham Younga i tego od nich oczekiwały młode mormońskie kobiety. Poza tym Gaylen widział już trochę świata, poznał zbyt wiele rozmaitych sposobów myślenia i życia, a mormonom nie bardzo się podobało to, jak przedtem żył. Zwykle nie proponowano mu funkcji społecznych ani nie zapraszano na przyjęcia.

Zaczął znowu pić i odwiedzać starych przyjaciół. Wypisywał jak dawniej czeki bez pokrycia i wkrótce policja zastukała do naszych drzwi. Byłem zdumiony, jak szybko i głęboko popadł w te same kłopoty. W ciągu paru miesięcy wydano nakaz osadzenia go w

areszcie hrabstwa Clackamas, a wielu jego przyjaciółom wcale nie podobało się to, że ich okradał. A gdy do tego zaczął pić, zwykle bywał w złym humorze i tylko patrzył, jak by sobie spieprzyć życie jeszcze bardziej.

Którejś nocy rozsiadł się w zielonym skórzanym fotelu w naszym frontowym pokoju i popijał wódkę z butelki. Mama mu się przyglądała. Byłem wtedy na górze i odrabiałem lekcje. Nagle usłyszałem wrzask i zbiegłem po schodach. Gaylen kłócił się z mamą o pieniądze. Chciał, by mu dała dwieście dolarów, których potrzebował na wyjazd, ale mama mówiła, że nie może, to były wszystkie pieniądze, jakie miała.

Powiedziałem mu:

- Zostaw ją w spokoju. Nie może ci dać tych pieniędzy. Myślisz, że nie ma cię już dość?

- A ty się odpierdol! Nie jesteś taki ważny, jak ci się wydaje - odparł, po czym zwrócił się do matki i zażądał: - Potrzebuję tych pieniędzy. Nie ruszę się, póki ich nie dostanę. - Była to niedwuznaczna groźba.

Mama, drżąc, otworzyła portmonetkę i wręczyła mu sto dolarów.

- To wszystko, co mogę ci dać, i nie wiem, za co będziemy żyli przez następny miesiąc. Nigdy mnie już o to nic proś - powiedziała i zaczęła płakać.

Gaylen wstał, wziął pieniądze i włożył kurtkę.

- Jeśli odejdziesz stąd z tą forszą - zwróciłem się do niego - nie będziesz już moim bratem.

Przeszedł obok bez słowa i trzasnął drzwiami. Dowiedzieliśmy się potem, że udał się prosto do restauracji, w której pracowała mama, i puścił tam czek bez pokrycia. Musiała zwrócić te pieniądze z pensji swemu pracodawcy, żeby nie wniósł oskarżenia.

Gaylen pojechał do Chicago i żył tam pod innym nazwiskiem. Nie widzieliśmy się przez pięć lat. w Forcie Leavenworth Frank ujrzał te same okropności, które działy się we wszystkich więzieniach: homoseksualne gwałty i brutalność strażników. Wiedział, że to niebezpieczne miejsce, i poprosił o pojedynczą celę. Otrzymał ją.

Będąc sam, naraził się innym więźniom. Myśleli, że ma się za lepszego od nich albo że jest snobem, i przy różnych okazjach próbowali mu dopiec. Było parę bójek, a raz jakiś więzień chciał mu spuścić coś ciężkiego na głowę. Frank wiedział, że w takich miejscach można zginąć. Był świadkiem zbiorowej napaści na więźnia, którego pocięto żyłką: odbyło się to tak szybko i facet dostał tyle cięć, że zanim upadł, był już tylko krwawym befsztykiem.

Przekonałem mamę, że powinniśmy pisać listy w sprawie Franka do senatora stanu Oregon, Wayne'a Morse'a. Był on znany ze zmiennych nastrojów, ale uchodził za prawego

człowieka, jednego z pierwszych kongresmanów amerykańskich, którzy wypowiadali się przeciw wojnie wietnamskiej. Stanowisko to kosztowało go potem utratę fotela senatorskiego, gdyż Oregocńczycy uznali, że ich poglądy i pragnienia lepiej będzie wyrażał Bob Packwood.

Morse odpisał, obiecując, że zajmie się sprawą. Skontaktował się z kimś wpływowym i zapytał: „Dlaczego ten człowiek odsiadyje długi wyrok w miejscu tak niebezpiecznym, choć popełnił przestępstwo bez użycia przemocy?”

1 marca 1967 roku, dziewiętnaście miesięcy po osadzeniu mego brata, dyrektor więzienia spotkał się z Frankiem i powiedział, że mogą mu skrócić wyrok, a wojsko zwolni go w akcie „dobrej woli”, co było równoznaczne z przyznaniem się, że spieprzyli sprawę. Dali mu trochę pieniędzy i wyekspediowali do Kansas. Stamtąd Frank złapał autobus do Portlandu.

Parę dni później czytałem coś przy stole w kuchni, gdy otworzyły się drzwi i wszedł Frank. Ani mama, ani ja nie wiedzieliśmy, że go zwolniono. Bardzo się ucieszyłem, widząc brata w domu, bo wiedziałem, jak ciężko mu było w Leavenworth. On sam sprawiał wrażenie znacznie mniej szczęśliwego, wyglądał, jakby się czegoś bał.

Byłem sam w domu, chciałem zaraz zadzwonić do mamy i zawiadomić ją, że Frank wrócił. Ale on powiedział:

- Nie. Odwiedzę mamę w pracy. Chcę jej sprawić niespodziankę.

Wszedł na górę, żeby się rozpakować. Po paru minutach zszedł i położył mi rękę na ramieniu.

- Miał, chciałem cię o coś zapytać. - Miał łzy w oczach. - Czy ktoś był w mojej sypialni i coś z niej zabrał? Może to ty...?

Powiedziałem mu, że wpadłem tam parę razy, żeby obejrzeć telewizję i przespać się w jego łóżku, to wszystko.

- A czemu pytasz?

- Czegoś brakuje - odparł. - Ukryłem tam dwieście dziewiętnaście dolarów. To wszystkie moje pieniądze. Nie wiesz, co się mogło z nimi stać?

Potrząsnąłem głową. Nie miałem pojęcia, że Frank schował jakieś pieniądze.

Przygryzł wargę, pomyślał chwilę i rzekł:

- Gaylen.

Nic więcej.

Znowu wszedł na górę. A kiedy schodził, miał ze sobą płaszcz i wojskowy worek.

- Wiesz - powiedział - nie chciałbym, żebyś mówił mamie, że tu byłem, i nie mów też nic o brakującej forsie. Chyba będzie najlepiej, jeśli odejdę i nigdy już nie wrócę, i

dobrze, żeby nikt nie wiedział, gdzie mnie szukać. Te pieniądze były wszystkim, co miałem, gdy siedziałem w więzieniu; to wszystko, na co mogłem liczyć. Wrócić do domu i odkryć, że to zniknęło... To znaczy, że nie mam już domu. Nie ma tu dla mnie miejsca.

Próbowałem go przekonać, przemówić mu do rozsądku, wytłumaczyć, że taka ucieczka nic nie da. Błagałem go, powiedziałem, że jeśli pójdzie i mama nigdy się nie dowie, co zaszło, będzie to dla niej straszne, może to ją nawet zabić.

Frank potrząsnął głową.

- Nic. Jej wcale na mnie nie zależy. Ty jesteś jedynym, który o mnie pomyślał. Chce ci podziękować za to, że pisałeś te listy. Cieszę się, że z tobą wszystko dobrze. Trzymaj się.

I odszedł.

Wpadłem w panikę. To był chyba jeden z najbardziej bolesnych momentów w moim życiu. Czułem się okropnie na myśl, że Frank, po tym wszystkim, co musiał przejść w wojsku, wrócił do domu, by przeżyć jeszcze większe rozczarowanie. Czułem się też okropnie z powodu mamy. Nie wiedziałem, czy będę umiał to przed nią ukryć. Prędzej czy później się dowie, że Franka zwolniono z więzienia, i będzie się zastanawiała, co się z nim stało. Wiedziałem, że obawia się najgorszego.

Siedziałem w ciemności tej zimowej nocy i długo płakałem. Poznałem, czym było piekło. To moja rodzina. Mieszkanie razem z ludźmi wyrządzającymi największe zło osobom, które powinni najbardziej kochać.

A potem, na krótko przed powrotem mamy z pracy, drzwi otworzyły się znowu i stanął w nich Frank. Powiedział, że odbył długi spacer. Przechodził obok restauracji, w której pracowała mama, i zobaczył ją tam, jak odnosi brudne talerze; wyglądała, jakby już była na wpół kaleką. Zrozumiał, że nic może jej opuścić. Wszedł tam, powiedział „cześć” i oznajmił, że wrócił. Rozpłakała się ze szczęścia.

Miał ze sobą torbę zakupów. Był gotów zrobić dla nas obiad.

- Pomogę ci - powiedziałem. - To dobrze, że jesteś w domu.

Jakiś czas temu rozmawialiśmy z Frankiem o tej nocy. Widziałem, że wciąż go boli to, co się stało.

- Nie mogłem sobie darować, że mój brat mógł to zrobić - mówił. - Jestem tu, straciłem te dwa pieprzone lata życia i nie mam nawet pieniędzy, żeby wyjść i się napić. Zawsze się czułem jak jakaś ofiara, kiedy wracałem do domu. A potem, kiedy odkryłem tę zdradę, jeszcze długo byłem naprawdę rozżalony.

Czy kiedykolwiek zapytał o to Gaylena?

- O tak, parę lat później. Przyznał się. Powiedział, że nie sądził, bym kiedykolwiek wrócił do domu. Nic mógł się pogodzić z myślą, że ta forsa tam leży; czy nie lepiej ją przetracić.

Zapytałem, czy Gaylen zwrócił te pieniądze.

Frank roześmiał się ponuro.

- Chyba żartujesz! Mówimy o Gaylenie i Garym. Oni nigdy niczego nie zwracali. No dobrze, myślę, że Gary zwrócił, na samym końcu. Myślę, że on próbował wszystko zwrócić.

Frank podjął pracę dozorca. Pomagał mamie regulować rachunki i spłacać zadłużenie hipoteczne. Przykładał się też do pracy w ogrodzie. Ciągle jeszcze myślał o wynajęciu mieszkania i założeniu własnej rodziny, ale odkładał te plany na czas, gdy mama stanie na pewniejszym gruncie.

Któregoś dnia poznał w kościele młodą Chinkę. Zaczęli się umawiać, ona zaprosiła go do rodziców. Poszedł tam parę razy, zjadł z nimi obiad. Zdał sobie sprawę, że bardzo polubił tę dziewczynę. Myślał o niej poważnie.

Sądził, iż teraz on powinien przedstawić młodą kobietę swojej rodzinie. Nie było mnie w domu tego dnia, gdy przyszedł z przyjaciółką. Otworzył frontowe drzwi i wprowadził ją do środka. Mama siedziała na swoim zwykłym miejscu w kuchni.

- Mamo - powiedział Frank - chciałbym, żebyś kogoś poznała.

Mama odwróciła się, ujrzała młodą Chinkę stojącą w jej kuchni i spłoszyła.

- Niech ta ściera wynosi się zaraz z mojego domu! - wrzasnęła na Franka.

Frank stał w miejscu, wpatrując się w matkę. Był wstrząśnięty. Po chwili kłopotliwego milczenia bąknął:

- Ależ, mamo...

- Słyszałeś?! Zabieraj ją stąd, i obym nigdy więcej nie musiała jej tu oglądać!

Frank wyszedł ze swą przyjaciółką, dziewczyna płakała.

- Przepraszam - usprawiedliwiał się Frank. - Nie wiem, co powiedzieć. Czasami jej odbija. Ostatnio miała mnóstwo kłopotów.

Dziewczyna otarła łzy, powiedziała: w porządku, rozumie.

Wieczorem Frank wrócił do domu i odezwał się do mamy:

- Więc to tak. Próbuję ci pomóc, ale ty nie chcesz, żebym to robił. Już nie wierzę, że mogłabyś kogoś polubić.

- Przepraszam - odparła mama. - To pewnie bardzo miła dziewczyna, ale przecież wiem, w jakich kobietach gustujesz. Podobają ci się dziwki. Gdy zobaczyłam ją tam,

pomyślałam, że to jedna z tych, które spotykasz na ulicy.

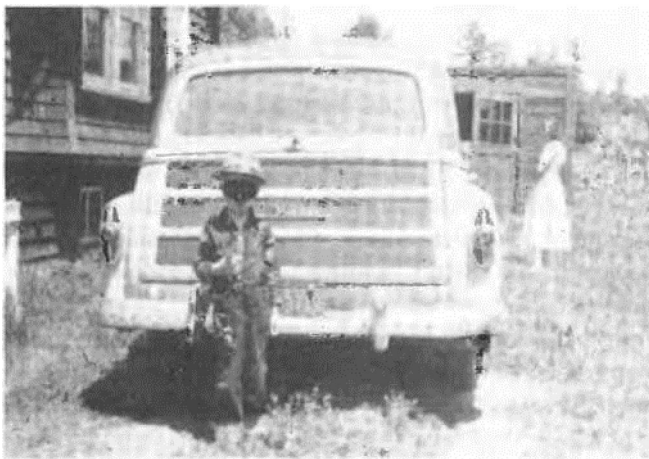
Frank powiedział mamie, że musi opuścić dom. Błagała go, żeby został.

- Bez ciebie wszystko przepadnie. Sama się tu nie utrzymam.

Frank zgodził się zostać jeszcze miesiąc czy dwa i pomóc jej uporządkować sprawy finansowe. A potem wyniesie się na dobre.

Dowiedziałem się o tym zajściu dopiero parę lat temu od Franka. Spytałem go, co się z nimi stało, z nim i tą kobietą.

- Była bardzo miła - powiedział. - I naprawdę piękna. Ale między nami zostało to okropne wspomnienie. Tak naprawdę mama zabiła ten związek. Myślę, że zrobiła tego dnia wszystko, co chciała zrobić. Odebrała mi szansę na miłość, na założenie rodziny. Potem już nigdy nie bytem tak blisko realizacji tych zamierzeń.



BUNT

## OZDZIAŁ 8

A co ze mną? No więc tak, w latach sześćdziesiątych byłem jeszcze chłopcem.

Miałem szesnaście lat. Chodziłem do drugiej klasy szkoły średniej. Choć lubiłem książki i byłem wciąż pod wpływem religii, w głowie miałem tylko jedno - to samo, co większość chłopaków w moim wieku: seks.

Nic nie wiedziałem o seksie. Nikt z rodziny nie porozmawiał ze mną na osobności ani nawet nie zająknął się na ten temat. Uczyłem się z tego, co mogłem skrycie podpatrzeć, przeglądając „Playboya” lub czytając powieści Henry’ego Millera i Johna Clelanda czy klasyczną pornografię Franka Harrisa. Chowałem to w swojej sypialni i wyciągałem późną nocą, razem z Franzem Kafką i Hermannem Hesse.

Prawdę mówiąc, Millera i Harrisa pochłaniałem z większą uwagą niż kiedykolwiek Hessego i Melville’a. Seks wydawał mi się czymś najbardziej ekscytującym i pożądanym na świecie. Fascynował mnie bardziej niż cokolwiek innego; zawsze tak było.



A przecież wiedziałem, że nie jest to dobre. Mój Kościół bezwzględnie zakazywał jakiegokolwiek formy przedmałżeńskiego czy pozamałżeńskiego życia seksualnego. Uczono nas, że seks jest świętym darem służącym prokreacji i jakiegokolwiek nadużywanie tego daru jest bardzo ciężkim grzechem, stojącym na drugim miejscu po zabójstwie. Na niedzielnych spotkaniach z duchowieństwem opiekunowie zawsze nas przestrzegali, byśmy nie ulegali tej pokusie. Bóg uznał za czyn odrażający rozlewanie nasienia w jakichkolwiek innych okolicznościach niż podczas pożycia małżeńskiego, a nawet i wtedy można to czynić tylko w celu prokreacji. Seks oralny stanowił obrazę boską, brandzlowanie też nie wchodziło w rachubę. Jakkolwiek te nauki nie były w stanie ustrzec cię przed erekcją, kazały ci się zastanawiać, co robić, gdy ona nastąpi. Kiedy jednak już ci stanął, żadne modły nie skutkowały.

Zatem, jak większość nastoletnich samców i przypuszczalnie jak każdy młody mormon, onanizowałem się, zaspokajając w wyobraźni własne namiętności albo posiłkując się lekturą wspomnianych książek i magazynów, a niekiedy zdjęciami intymnej bielizny kobiecej z katalogu firmy Montgomery Ward. I naturalnie, jak inni mormońscy chłopcy, miałem z tego powodu poczucie winy. Niezmiennie postanawiałem już nigdy tego nie robić. Nawet udawało mi się wytrzymać przez jakiś czas. Najdłużej dwa tygodnie.

W weekendy chodziło się do klubów tanecznych dla nastolatków w centrum Portlandu. Jeden z nich, „Headless Horse - man”, znajdował się na miejscu dawnego gangsterskiego klubu nocnego, w którym lubił bywać Gary. Teraz wypełniony był nastolatkami w kusych, luzackich strojach, zapowiadających już epokę hippisów. Chodziliśmy tam w szerokich sztruksach, koszulach w groszki lub w kwiaty, z białymi kołnierzykami i mankietami, i w butach do kolan. Mama nie zostawiała mi dużo pieniędzy, ale za to robiła wszystko, bym zawsze miał modny i elegancki strój, Bogu niech będą dzięki.

Wewnątrz prosiliśmy do tańca nastoletnie kobietki w kiótkich spódniczkach i z wielkimi okrągłymi kolczykami; grały stałe klubowe zespoły, jak Kingsmen (słynne *Louie, Louie*), Waiters, a raz nawet wystąpili Paul Revere and the Raiders. Niekiedy przekomarzaliśmy się z dziewczętami wychodzącymi z klubu i wystawialiśmy przed klatką schodową przy wielkim parkingu parę bloków dalej. Całowaliśmy się godzinami, a przynajmniej sądziliśmy, że to były pocałunki, próbowaliśmy dotknąć piersi tych dziewczyn i wsunąć im dłoń między uda. Pamiętam, jak jedna z nich mi powiedziała:

- Masz bardzo ruchliwe ręce jak na chłopca w twoim wieku.

Pewnie miała rację.

Następnego ranka, podobnie jak reszta kolegów, wybrałem się do kościoła, zatroskany

o zbawienie duszy.

Na razie mogło to tak trwać. Aż do lata 1967 roku, które przeszło do historii jako Lato Miłości. Ruch hippisów i muzyka psychodeliczna były w pełnym rozkwicie. Beatlesi odchodzili od popu ku awangardowym obszarom *Sgt. Pepper's Lonely Hearts Club Band*. Młodzi ludzie zapuszczali włosy, nosili fantazyjne stroje, próbowali się odciąć od konwencji kultury rodziców, tworzyli własne prawa. Wszystko to przyszło dość szybko, zapłaciliśmy wysoką cenę za nasz pokoleniowy bunt, ale był to cudowny czas. Muzyka, polityka, emocjonalny stan narodu - wszystko wokół nas sprawiało wrażenie, że wступujemy w nowy wiek, a młodzi mogą się teraz określić w całkowicie odmiennych kategoriach. Warto było na to postawić, tak przynajmniej myśleliśmy w owym czasie.

Popołudnia tego lata spędzałem, włócząc się po parku Lair Hill i zachodząc do miejscowego sklepu psychodelicznego - gromadzili się tam długowłosi i motocykliści. Wieczorami wystawałem z przyjaciółmi na rogu między tym sklepem a „Crystal Ballroom”, starą salą dansingową na piętrze, bardzo popularną wśród bigbandów ery swingu. Parkiet był osadzony na łożyskach kulkowych i tego lata, gdy grały tu takie grupy, jak Grateful Dead czy Quicksilver Messenger Service, hippisi tańczyli i skakali w kręgu, aż całe pomieszczenie trzęsło się i podrygiwało niczym pokład pijanego statku.

W jeden z tych wieczorów poznałem pewną blondynkę, miała na imię Pamela. Spotykaliśmy się codziennie w sklepie psychodelicznym, siadaliśmy na podłodze, gadaliśmy, trzymaliśmy się za ręce i całowaliśmy. Czasami po północy, kiedy nasi rodzice już spali, siedzieliśmy długo, prowadziliśmy jakieś gorączkowe rozmowy przez telefon, mówiliśmy o tym, jak bardzo się kochamy, i zastanawialiśmy się, czy możemy uprawiać seks. W końcu zdecydowaliśmy się to zrobić.

Któregoś dnia pod koniec sierpnia poszliśmy razem do sklepu psychodelicznego. Właśnie się ukazała nowa płyta tria Peter, Paul and Mary, złożyliśmy się i kupiliśmy *Album 1700*. Pojechaliśmy autobusem do mojego domu na Oat - field; mama i Frank byli w pracy. Rozłożyliśmy szybko posłanie na podłodze starej sypialni mamy i puściliśmy nową płytę na przenośnym stereo. Właśnie zaczął się utwór *Leaving on a Jet Plane*, gdy Pamela rozchyliła nogi i pomogła mi wejść. Kiedy osiągnąłem orgazm, wciąż jeszcze rozbrzmiewał ten sam utwór. Leżałem na Pameli, patrzyłem w jej szeroko otwarte bładoniebieskie oczy, oszołomiony tym ogromnym doznaniem, jakie płynęło ku mnie z jej ciała, gdy usłyszałem z dołu odgłos otwieranych drzwi frontowych. Któreś z nich - mama albo Frank - wróciło wcześniej z pracy. Pamela zerwała się w pośpiechu, chwyciła swoje ubranie i ukryła się w szafie mamy. Ubrałem się i zszedłem po schodach, serce waliło mi dziko. To był Frank,

chwała Bogu.

Nic mu nie powiedziałem, że mam nagą kobietę w szafie na górze, choć myślę, że mógłbym to zrobić. Tymczasem kombinowałem, jak to urządzić, by Pamela wymknęła się ukradkiem z domu, nie budząc podejrzeń Franka. Potem spotkaliśmy się w parku Lair Hill.

Czułem się winny z powodu tego seksu - przecież dopiero co popełniłem grzech śmiertelny, drugi co do powagi po morderstwie. Nie była to więc błahostka, a nie miałem siły, by się uchronić od powtarzania tego grzechu. Pewnego razu ojciec Pameli odkrył, co wyprawia ze mną jego córka, i stanął nagle przed nami, gdy szliśmy do parku Lair Hill, trzymając się za ręce. Chwycił córkę za ramię, zapowiadając mi, że już nigdy się z nią nie zobaczę. Kiedy do niej dzwoniłem, za każdym razem on podnosił słuchawkę i od razu kładł ją na widełki. Pamela nigdy do mnie nie zadzwoniła i nigdy już jej nie zobaczyłem.

Znałem mnóstwo ludzi, którzy zaczęli palić marihuanę i brać psychotropy. Wzbraniałem się przed tą pokusą dłużej i z większą mocą niż przed seksem, ale... niewiele dłużej. Po raz pierwszy zapaliłem trawkę, aby być na haju, z dwoma chłopakami, którzy podobnie jak ja należeli do Kościoła mormonów. Nie spaliśmy całą noc, gadając o rocku, dziewczynach i Bogu.

Gdzieś tak miesiąc później wypadły święta. Chcieliśmy we trzech kupić nowe płyty, ale zabrakło nam pieniędzy. Wykncypowaliśmy sobie taki wymyślny, niezawodny plan, żeby podprowadzić album z wielkiego magazynu w centrum Portlandu i nie zostać na tym przyłapanym. Natychmiast nas nakryto i przekazano funkcjonariuszowi, który dyżurował na ostatnim piętrze magazynu; tam otoczyli nas liczni sklepowi strażnicy. Pojechaliśmy na posterunek policji, ten sam, w którym już tyle razy przetrzymywano Gary'ego i Gaylena. Jednak policyjny detektyw zaproponował, żeby sklep nie wnosił oskarżenia.

- Nic chcę trzymać tych chłopców przez święta w areszcie - powiedział.

Szef straży na to przystał, ale pod warunkiem, że już nigdy nie wejdziemy do tego sklepu. Przynieśliśmy to. A gdy już byliśmy wolni, detektyw wziął mnie na stronę.

- Masz starszego brata o imieniu Gary, prawda? - spytał. - Czy nie sądzisz, że to dość dla twojej matki, że ma już jednego syna w więzieniu? Nie idź w ślady brata. Jeśli to zrobisz, zmarnujesz sobie życie.

Wiele myślałem o ostrzeżeniu tego policjanta. Nieraz się bałem, że zbrodnia może być chorobą rodzinną. Czy mógłbym się obudzić któregoś dnia z pragnieniem, by kogoś obrabować? Czy to nieuniknione, bym musiał dokonywać tych samych wyborów, co Gaylen i Gary? Bym zadawał innym rany lub pozbawiał ich życia i majątku? Czy naprawdę ma się to skończyć w celi więziennej, w izolacji od świata?

Prawdę mówiąc, nie miałem ani zbyt wielkiego talentu przestępczego (choć, jak się nad tym zastanowić, moi bracia też go nie mieli), ani szczególnego pociągu do tych spraw. Przecież widziałem, jak się potoczyło życie moich braci. Do tego dochodziło jeszcze to pragnienie mamy. Całymi latami powtarzała mi niestrudzenie, że jestem ostatnią nadzieją rodziny na odkupienie.

- Chcę, żeby przynajmniej jeden mój syn nie zszedł na złą drogę, żebyśmy nie musiała odwiedzać go w więzieniu, żebyśmy nie musiała słuchać w sądzie, jak zapada na niego wyrok, zdanie po zdaniu - tak zawsze mówiła.

Po tym ostrzeżeniu policjanta jeszcze raz przypomniały mi się jej słowa.

Czułem więc, że spoczywa na mnie zadanie zadośćuczynienia za wszystkie klęski i upadek moralny braci. Nie mogłem dopuścić do tego, by oładnęła mną własna ciemność, własna gwałtowność i nienawiść. To było przeznaczenie moich braci, z wszelkimi katastrofalnymi skutkami. Dla mnie w tym scenariuszu była tylko jedna rola: odkupiciela ich upadków, przywracającego zakłóconą równowagę.

Lecz tymczasem robiłem niemało, by zejść na złą drogę, choć nie przekraczałem pewnych granic. Palilem teraz regularnie różne świństwa, a w weekendy brałem psychotropy. Większość czasu spędzałem na wagarach, sam sobie wypisywałem usprawiedliwienia, fałszując podpis matki; miałem dzięki temu wolne popołudnia i mogłem się spotykać z dziewczynami, popijać z nimi i pieprzyć się. Mówiłem sobie, że grzech i bunt nie mogą być mi obce, ponieważ w obu tych sferach doświadczenia zawiera się prawda, którą muszę poznać. Odczuwałem to jako coś na kształt prawd naturalnych - coś, co zaciążyło nad całym moim życiem.

Trudno, by uszło to uwagi ludzi Kościoła. Którejś niedzieli zajechał pod nasz dom na Oatfield Road przedstawiciel miejscowego biskupstwa - człowiek, którego naprawdę podziwiałem i uważałem za obdarzonego ojcowskim autorytetem - i poprosił mnie o chwilę rozmowy na osobności. Powiedział mi, że zarówno on sam, jak i inni przywódcy Kościoła bardzo się martwią z powodu mojej nowej powierzchowności - długich włosów i sposobu, w jaki się ubieram - a także są zakłopotani pewnymi poglądami politycznymi, jakie wypowiadam. Uważają, że wszystkie te zmiany mogą wywierać niekorzystny wpływ na innych młodych mormonów. Dopóki oficjalnie nie odwołam tego ducha buntu, powiedział, lepiej będzie, jeśli przestanę przychodzić do ich kościoła.

Zdałem sobie sprawę, że od tego dnia moje życie potoczy się w inną stronę, i wiedziałem, jaka to będzie strona. Te sprawy, które ostatnio mną oładnęły - rock and roli, polityka, sztuka, literatura i seks - stały się moim nowym wyznaniem wiary i dały mi nowy

rodzaj odwagi. Patrząc na to z perspektywy czasu, widzę, że te wybory pozwoliły mi - i wielu innym z mojego pokolenia - urzeczywistnić swego rodzaju działalność „przestępczą”, sformalizowaną i w znacznej mierze zalegalizowaną. Możemy brać prochy, kwestionować władzę czy ostentacyjnie lekceważyć prawo, a nawet usprawiedliwiać użycie przemocy i destrukcyjne akty rewolty, ponieważ mamy po temu powody - tak sobie mówiliśmy. A ponadto wierzyliśmy, że dzięki najwspanialszej muzyce naszej epoki uczestniczymy w czymś w rodzaju buntu, który naprawdę się realizuje, a przynajmniej, tak sobie mówiłem, znaczy więcej niż piętno buntu moich braci. I poprzez najmroczniejszą muzykę tego czasu, utwory Rolling Stonesów, The Doors czy Velvet Underground, mogę zaznać tej ciemności, ale nie muszę się w niej pograżać, co nieuchronnie spotkało Gary’ego i Gaylena.

Podobnie jak każdy członek mojej rodziny, uczyniłem z pewnych ofiar kary śmierci swoich osobistych bohaterów. Wybrałem na takich idoli bostończyków, Nicolę Sacco i Bartolomea Vanzettiego, a także Joego Hilla z Salt Lake. Wszyscy oni zostali straceni - przynajmniej oficjalnie - za zabójstwo. Zginęli jednak także dlatego, że kwestionowali pewne zasady władzy i zwierzchnictwa państwa, uważane za niepodważalne.

Sacco i Vanzetti byli imigrantami włoskimi i anarchistami, którzy działali na rzecz obalenia rządu Stanów Zjednoczonych. Znienawidzeni przez bostońską policję, zostali w 1920 roku oskarżeni o morderstwa rabunkowe. Proces był ewidentnie stronniczy i liczni pisarze, poeci i dziennikarze z całego świata protestowali przeciw skazaniu Sacco i Vanzettiego. Nic nie wskórali. 22 sierpnia 1927 roku stracono obu na krześle elektrycznym w Massachusetts pomimo istotnych wątpliwości co do ich winy - wątpliwości, które przetrwały dziesięciolecia.

Joe Hill natomiast był amerykańskim pieśniarzem i poetą. W 1913 roku - w tym samym, w którym urodziła się moja matka, przeniósł się z Los Angeles do Salt Lake, gdzie wraz z radykalnym i kontrowersyjnym związkiem Robotników Przemysłowych Świata organizował pracowników państwowych. Władze Utah miały jednak gdzieś ruch związkowy i nie pieściły się z jego zwolennikami. Związkowcy nie pozostali dłużni i na siłę odpowiedzieli siłą. W 1914 roku aresztowano Joego Hilla pod zarzutem zabójstwa sklepikarza i jego syna. Ów sklepikarz, John Morrison, były policjant, który został łamistrajkami, miał zabić podczas wymiany ognia kilku członków związku. Hilla skazano i mimo wstawiennictwa wielu wybitnych Amerykanów, w tym prezydenta Woodrowa Wilsona, władze stanowe doprowadziły do stracenia poety. Była to najsłynniejsza egzekucja w historii Utah, aż do stracenia mojego brata sześćdziesiąt dwa lata później. Podobnie jak on, Hill wybrał jako rodzaj wykonania kary egzekucję przez rozstrzelanie. Powiedział: „Chcę być rozstrzelany.

Przywykłem do tego. Strzelano już do mnie w przeszłości, więc niech i teraz tak będzie”. Kiedy nadeszła godzina wykonania wyroku, Hill sam dał strzelcom rozkaz otwarcia ognia.

Poznałem historię tych ludzi i coś się we mnie zmieniło. Zacząłem nienawidzić ludzi i struktur, używających siły w celu poddania innych kontroli. Zrozumiałem także, iż każda forma władzy, która przywodzi człowieka do śmierci, jest czymś niegodziwym.

To moje współczucie dla uciemżonych na tym się jednak kończyło. Mogłem sobie czytać Frantza Fanona, Uptona Sinclaira i Eldridge’a Cleavera, pisać wypracowania szkolne odyktaturze Mirandy, ale nie zadałem sobie trudu, by odwiedzić Gary’ego, który już od pięciu lat siedział w więzieniu. Niełatwo było mi się do tego przyznać. I chyba tej niegodziwości najbardziej się wstydzę i mam z jej powodu poczucie winy. Nie chodzi wcale o to, że w owym czasie więźniom w stanie Oregon nie pozwalano na przyjmowanie odwiedzin osób poniżej osiemnastego roku życia. Wymieniliśmy z Garym kilka listów w ciągu roku, ale zawsze źle się czułem, pisząc mu o tym, co się dzieje w szkole, czy o swoich kolegach i rozrywkach, ponieważ dla Gary’ego te sprawy i zdarzenia istniały niejako „na zewnątrz”. Później, podczas paru moich wizyt, staraliśmy się znaleźć jakąś płaszczyznę porozumienia. Ale ja byłem młody i „na zewnątrz”; on zaś był w pełni dojrzałym mężczyzną i siedział tutaj. Bolesny dystans.

Nie mam pojęcia, jak mogło wyglądać jego życie. Tych parę informacji, które o nim usłyszałem, nie poszerzyło mojej wiedzy. Jesienią 1968 roku w oregońskim zakładzie karnym były poważne rozruchy i Gary brał w nich udział. Słyszałem, że na dziedzińcu więziennym uderzył swego starego wroga tępą stroną młotka, a potem dalej okładał nim po głowie powalonego już człowieka. Facet do końca życia pozostał tylko warzywem. Słyszałem i o tym, że Gary dźgnął kilka razy nożem czarnego, który podobno zranił kiedyś jego przyjaciela czy może tylko mu groził.

Na jakimś poziomie dochodziło do mnie, że Gary żył nieustannie w świecie grozy, ale nigdy sobie tego w pełni nie uświadamiałem. Po prostu nie było mnie tam dla mojego brata, i tyle. Powinienem być, ale mnie nie było. Zbyt pochłaniało mnie planowanie własnej ucieczki.

W ostatnim roku nauki w szkole średniej zaprzyjaźniłem się z instruktorką twórczości literackiej, Grace McGinnis. Grace okazała mi pomoc i stała się moją orędowniczką, co wobec klimatu politycznego, jaki panował w prowincjonalnej szkole średniej w późnych latach sześćdziesiątych, świadczyło o sporej odwadze. Milwaukee było konserwatywnym miastem i w 1968 roku porozklejano w naszych stronach sporo karteczek z napisem: GEORGE WALLACE NA PREZYDENTA. Gdy więc kultura młodych radykalizowała się i stawała coraz śmielsza, a także coraz bardziej niekonwencjonalna, społeczeństwo i szkoła

przyjmowały tę tendencję z gniewem i ze strachem. Szkoła miała określone przepisy dotyczące ubioru; ustalały one dopuszczalną długość włosów i spódniczek oraz ograniczały wszelkiego rodzaju ekstrawagancję w ubiorze - a ja i jeszcze garstka kolegów olewaliśmy te rozporządzenia. W związku z tym dyrekcja postanowiła nas ukarać i uznała, że nie możemy reprezentować szkoły na zewnątrz - w rozgrywkach sportowych, w konkursach zespołów teatralnych i muzycznych. Należałem do grupy dyskusyjnej, która omawiała sprawy krajowe i międzynarodowe w programie miejscowej telewizji, a wicedyrektor szkoły oznajmił, że jeśli nie skrócę włosów, mogę się pożegnać z tym zajęciem. Inaczej mówiąc, swoim podejrzanym wyglądem przynosiłem hańbę szkole i miastu. Grace wstawiła się za mną na radzie pedagogicznej. Wygłosiła do nauczycieli namiętną mowę, obnażając ich bigoterię; dostało się tym, którzy nazywali długowłosych ciotami i traktowali ich jak wrogów. Dzięki jej wysiłkom mogłem nadal uczestniczyć w spotkaniach grupy.

Dowiedziałem się później, że zainteresowanie Grace moją osobą nie było przypadkowe. Mieliśmy ze sobą coś wspólnego: jej panieńskie nazwisko brzmiało Gilmore, a ojciec nazywał się, o dziwo, Frank! O ile mogłem ustalić, nie byliśmy spokrewnieni, ale nieraz sobie żartowaliśmy, że mamy tego samego ojca.

Gdy nadeszła zima, okazało się, że finanse mamy są bardzo niepewne. Musiała nadażać ze spłatami długu hipotecznego, ale nie była już w stanie płacić bieżących podatków i władze chciały przejąć własność. Zadłużenie wynosiło w sumie tysiąc dwieście dolarów, co wtedy wydawało się fortuną. Frank, który wciąż jeszcze z nami mieszkał, ponownie stoczył z mamą walkę o to, byśmy się przenieśli do jakiegoś mniejszego lokum, ale jej opór był nie do pokonania. Sprzedaż pianina i większości pięknych mebli nie ratowała sprawy. Chciałem pójść do jakiejś pracy, ale mama się na to nie zgodziła. Uważała, że cały swój czas i wysiłek powinienem poświęcić na zdobycie wykształcenia; pragnęła, bym uzyskał stypendium do college'u, ponieważ jej nie byłoby stać na płacenie czesnego. Żaden z jej synów nie poszedł na studia, więc wymarzyła sobie, że mnie pierwszemu to się uda.

Któregoś dnia po zajęciach odwiedziłem Grace w jej gabinecie, by porozmawiać o maminych rozterkach. Była osobą bystrą i wyrozumiałą, więc chciałem zasięgnąć jej rady. Spytała, czy może przyjść do nas do domu i porozmawiać z moją mamą, żeby wyrobić sobie zdanie o naszej sytuacji. Mama była niechętna tym odwiedzinom, ale zdołałem ją jakoś przekonać. Rozmawiały bardzo długo i zostały przyjaciółkami. Grace przychodziła potem do nas regularnie, odwiedzała też mamę w jej restauracji.

Do tego wszystkiego okazało się, że była uzdolnionym medium, z całą pewnością bardziej biegłym w tej sztuce niż Fay.

- Nie chcę cię straszyć - powiedziała mi kiedyś - ale, ilekroć u was bywam, odbieram jakieś złe sygnały. Myślę, że wasz dom może być nawiedzony, i wydaje mi się, że twojej matki i całej waszej rodziny nie spotka nic dobrego, dopóki będziecie tam mieszkać.

Doceniałem jej troskę, choć wyznałem, że nie powiedziała mi niczego, o czym sam bym już nie wiedział. A wiem tej sprawie coś więcej. Nie w tym rzecz, gdzie mieszkamy. Jesteśmy przeklęci, dokądkolwiek byśmy poszli.

Niebawem Grace zaczęła podwozić mamę do zakładu karnego w Salem na niedzielne widzenia z Garym. A potem towarzyszyła jej podczas tych widzeń. Prowadziła z moim bratem długie, ożywione rozmowy o literaturze sztuce, była zdumiona jego bystrym umysłem i bogatym słownictwem. Bardzo go polubiła.

Zapraszano mnie, bym również brał udział w tych wizytach, ale zawsze odmawiałem. Mówiłem Grace, że dość już się naoglądałem więzień i sądów przez ostatnie dwanaście lat.

Viama uznała w końcu, że powinna się udać do Kościoła mormonów i poprosić o pomoc w rozwiązaniu swoich problemów. Oświadczyła, że jeśli Kościół pomoże jej spłacić podatki hipoteczne, zapisze mu posesję w testamencie. Kościół nie był jednak skory do przyjęcia tej oferty. Przede wszystkim miała dwóch synów, którzy nieustannie wpędzali ją w kłopoty i nie służyli jej żadną pomocą. Do tego trzeci syn siedział w więzieniu za odmowę służby wojskowej. Zdaniem przywódców Kościoła taki bunt przeciw obowiązkowi - żującym prawom był czymś niedopuszczalnym. No i byłem jeszcze ja: Kościół mnie przygarnął, okazał mi życzliwość i pomoc, udzielił błogosławieństwa, a ja się stałem buntownikiem, który - o ile mogą to ocenić - wyznaje fałszywe wartości i prowadzi życie dalekie od tego, co oni stawiają za przykład.

Miejscowy biskup nie przychylił się do prośby mojej matki.

- To nie było rozsądne: upierać się przy zatrzymaniu tego domu - powiedział później Larry'emu Schillerowi. - Był za duży, ona zajmowała tylko pokój lub dwa, nie była w stanie tego utrzymać. Chciała zachować dom ze względu na wspomnienia szczęśliwych lat, lecz postąpiłaby znacznie roztropniej, wynajmując gdzieś małe mieszkanie. Broniła się przed tym. Sądzę, że musiała to być dla niej bardzo emocjonalna sprawa. Nie podobało się jej to, że ludzie mówili, co ma robić, a przy tym była silnie związana uczuciowo z tym domem.

Biskup miał rację. To rzeczywiście był silny związek uczuciowy. Pamiętam parę spotkań, w których uczestniczyli biskup i Grace. Mama reagowała podczas tych rozmów tak gwałtownie, że nieraz wstawała i wychodziła. Mówiła:

- Kim są ci, którzy myślą, że nie potrzebuję tego domu?

Grace odwiedziła Gary'ego wraz z mamą i powiedziała mu, że Kościół odrzucił jej



prośbę i że teraz już na pewno straci ten dom. Wspominała, że było to jedyne widzenie, podczas którego widziała, jak Gary wpadł w złość. Nie mógł tego pojąć, że Kościół matki odmówił jej pomocy i że teraz ona musi zrzec się swego pięknego domu. Grace wspomniała, że w tym dniu po raz pierwszy ujrzała w twarzy Gary'ego morderczy zamysł.

W ciągu ostatnich paru tygodni nauki w szkole średniej udało mi się uzyskać zwolnienie z czesnego na Uniwersytecie Stanowym w Portlandzie. Późną wiosną 1969 roku, tydzień czy dwa po rozdaniu świadectw, zacząłem się rozglądać za własnym mieszkaniem w centrum Portlandu. Wydawało mi się to rozsądne: skoro miałem chodzić tam na uczelnię, chciałem mieszkać blisko kampusu. Był jednak inny, silniejszy powód opuszczenia domu: po prostu tego chciałem. Zawsze tego chciałem.

Mama musiała się czuć głęboko urażona, gdy wynosiłem swoje rzeczy z domu przy Oatfield, nadrabiała jednak miną i starała się dodać mi otuchy. Kiedy oceniam to z perspektywy czasu, serce mi się kraje na myśl o tym rozstaniu. Ale wtedy niczego takiego nie czułem.

Tydzień później wstąpiłem do domu, by odwiedzić mamę. Wszedłem od frontu, otworzyłem drzwi i znalazłem się w pustym pokoju. Tam gdzie stały zawsze meble, telewizor i gdzie kręcili się ludzie, teraz nie było nic. Szedłem dalej, ale nie napotkałem mamy ani Franka. I nawet śladu po tym, co do nich należało. Przebywanie w tym pustym domu napędziło mi piekielnego stracha. Czułem ciarki na grzbiecie, gdy wchodziłem na górę. Bałem się, że w każdej chwili może się skądś wynurzyć jakaś czarna łapa i wciągnąć mnie w ciemność. Wybiegłem stamtąd, jak mogłem najszybciej.

Zadzwoiłem do Grace. Wyjaśniła mi, że mama opuściła dom parę dni po mojej przeprowadzce, musiała go przekazać właścicielowi hipoteki. Nie poddawała się tak długo, bym mógł skończyć szkołę średnią bez wstrząsu, że tracę dom.

- Nie wiedziałem, że sprawa była aż tak nagła - powiedziałem Grace.
- Twoja matka nie chciała, żebyś wiedział. Pragnęła cię chronić.

Mama i brat opłacili małą przyczepę w pobliżu głównej szosy, w półrolniczej części Oak Grove. Nie mieli jeszcze telefonu.

Wybrałem się tam, żeby ich zobaczyć. Przyczepa w kolorze jasnej akwamaryny miała dwie małe sypialnie, łazienkę i salonik połączony z częścią kuchenną. Brak klimatyzacji sprawiał, że powietrze wewnątrz było gorące i duszne. Powiedziałem mamie, że jestem tym wstrząśnięty. Mówiła potem zarówno mnie, jak i naszym znajomym:

- Umarłam w dniu, kiedy tu się wprowadziłam.

Tak więc oficjalnie rozstałem się z rodziną. Frank mieszkał z mamą aż do jej śmierci,

a ja nigdy tam nie wróciłem. Nigdy już nasza trójka nie spała pod tym samym dachem.

Długo nie oglądałem się wstecz. Próbowałem chodzić do college'u, ale po zawodzie miłosnym straciłem zapał do dalszej kariery naukowej i już go nie odzyskałem. Miałem potem wiele przyjaciółek; uczestniczyłem w radykalnych akcjach politycznych; brałem różne świństwa, nie przejmując się konsekwencjami - przynajmniej nie wtedy. A gdy nie mogłem już patrzeć na to, co narkotyki robią z moim pokoleniem, zostałem doradcą tych, którzy chcieli się poddać odwykowi, i temu zajęciu poświęciłem kilka lat.

Tylko raz w tym okresie odwiedziłem Gary'ego. Było to zaraz po wspomnianym zawodzie miłosnym. Ona i ja chodziliśmy ze sobą jeszcze w szkole, przez ostatnie dwa lata nauki; planowaliśmy, że się pobierzemy. No i pewnego dnia spotkała mężczyznę, którego naprawdę pokochała, przyjęła wiarę chrześcijańską i w ciągu paru tygodni zawarła małżeństwo, zaszła już w ciążę. Byłem tym zdruzgotany. Rozwiał się moje marzenie o założeniu własnej rodziny. Piłem po nocach, spałem w dzień. Porzuciłem college, zrezygnowałem z czesnego, skończyły mi się pieniądze. Popadłem w kłopoty. Klasyczny przypadek miłosnej depresji: czułem się jak ktoś, kto stracił wszystko, co miał.

Którejś niedzieli mama i Grace poprosiły mnie, bym pojechał z nimi do Salem na widzenie z Garym. Pewnie myślały, że to mi dobrze zrobi. Z początku byliśmy obaj zdenerwowani i wzajemnie niepewni swoich reakcji, nie widzieliśmy się przecież od paru lat. Ja, młody, długowłosy, siedziałem w jednym pokoju z krótko ostrzyżonym facetem, jednym z tych, którzy nie odnosili się do mnie z przesadną życzliwością. Jednak po paru chwilach rozmowy uświadomiłem sobie, jak bardzo wciąż Kocham brata i jak bardzo było mi go brak. Spytał, co teraz porabiam. Opowiedziałem mu wszystko - całą historię tej niedobrej miłości i rozpacz, w jakiej się pograżyłem. Myślałem, że mnie zrozumie. Więcej, że jeśli od kogokolwiek mogę spodziewać się współczucia, to właśnie od niego.

Tymczasem Gary długo milczał, utkwivszy we mnie wzrok. Wreszcie uśmiechnął się szelmowsko, jak to on, i rzekł:

- Słuchaj, współniku, kiepsko mi to wygląda. Ale gdybyś chciał zamienić swoje kłopoty na moje, to proszę bardzo. Tylko że nie ma, do diabła, nikogo, kto dałby mi twoją młodość. Wciąż jesteś wolny

Pomyślałem sobie wtedy: nie rozumie mnie. A teraz wiem, że rozumiał moją sytuację znacznie lepiej niż ja sam. Raz jeszcze powiedział mi prawdę o życiu. Może gdybym to wtedy rozumiał, sprawy potoczyłyby się inaczej.



## CHODZĄCY TRUP

### ROZPZI

Któregoś dnia na początku 1971 roku mama zadzwoniła do mnie bardzo przestraszona. Opowiedziała mi okropną historię.

Dzień wcześniej wybrały się z Grace odwiedzić Gary'ego w zakładzie karnym w Oregonie. Gdy wszedł do pokoju widzeń, mówiła mama, ujrzała przed sobą zupełnie innego człowieka. Twarz i ręce miał jakoś dziwnie spuchnięte, niczym ciało topielca, stawiał ciężkie kroki i zachowywał się jak zamroczony potwór doktora Frankenstein. Mówił mało, właściwie niewyraźnie coś mamrotał, z ust ciekła mu ślina. Kiedy próbował napić się kawy, nie mógł utrzymać kubka. Gorący płyn wylewał się mu na kolana, lecz wydawało się, że wcale go nie parzy.

Mama wyciągnęła ku niemu ręce.

- Coś z tobą nie tak? - spytała.

- Jestem na prolixinie - wyjaśnił, pokonując opór sztywnego języka. - Psychiatra i naczelnik trzymają mnie na tym środku. Dają go więźniom, których nie lubią. Panują w ten sposób nad sytuacją. Zostałem ukarany, bo byłem na nich zły z powodu swoich zębów.

Usiłował coś jeszcze powiedzieć, ale słowa przychodziły mu z wielkim wysiłkiem. Usiadł, nadal poruszając ustami.

- Przepraszam cię, mamo - udało mu się wreszcie powiedzieć. - Nie mogę tu zostać. Muszę wrócić do celi i położyć się.

Wszyscy na niego patrzyli, gdy potykając się, wychodził z pokoju widzeń. Paru więźniów dodawało mu otuchy:

- Trzymaj się. Zaraz tam będziesz.

Mama siedziała, nie mogąc powstrzymać płaczu. Grace próbowała ją pocieszać.

Zażądały widzenia z naczelnikiem. Skończyło się na rozmowie z jego zastępcą. Mama chciała wiedzieć, dlaczego Gary przyjmuje ten lek. Była wściekła. Funkcjonariusz pozostał niewzruszony. Wyjaśnił, że prolixin jest najlepszym dostępnym lekiem, który pomaga im radzić sobie z gwałtownymi więźniami. Zachowanie Gary'ego, oświadczył, uzasadniało zastosowanie leku.

Mama opuściła więzienie z wściekłością i nienawiścią, a także z poczuciem bezradności.

- Zamieniają twego brata w zombi - powiedziała mi wtedy przez telefon, płacząc. - Wygląda jak chodzący trup. Musimy coś z tym zrobić.

Okoliczności, które doprowadziły do incydentu z prolixiną, nawarstwiały się przez lata. Zbiegły się tu dwie sprawy: Gary był trudnym więźniem, a do tego źle znosił swoje sztuczne szczęki. To połączenie spowodowało straszny konflikt. Gary miał już parę wyskoków.

Wkrótce po tym, jak mój brat wiosną 1964 roku przybył do zakładu karnego w Salem, więzienny dentysta zbadał jego uzębienie i orzekł, że wszystkie zęby należy usunąć i zastąpić je górną i dolną protezą. Przygotował szczęki dla Gary'ego, ale nie pasowały zbyt dobrze. Ocierały się dziąsła, powodując skaleczenia. Mówienie czy jedzenie stawało się bolesną przeprawą. Gary zażądał nowych protez, ale i z tymi miał ten sam kłopot, więc je zniszczył. Władze więzienia uznały, że to kwestia jego trudnego charakteru i że nie będą wokół niego skakać, aby zaspokoić te kaprysy. Gary doszedł więc do wniosku, iż odmawiają mu właściwych protez, żeby go w ten sposób ukarać.

Ta walka toczyła się latami, bodaj do 1975 roku, kiedy po przewiezieniu do zakładu karnego w Marion w stanie Illinois Gary otrzymał świetnie dopasowany komplet sztucznych szczęk, do których się przyzwyczaił. Lecz wcześniej, w codziennym piekle więzienia, sprawa jego zębów stała się głównym punktem sporu między nim a władzami. Pisywał liczne listy do Zarządu Więziennictwa Stanu Oregon oraz do dwóch kolejnych gubernatorów, skarżąc się na nieznośną sytuację. Wszyscy ci urzędnicy odpisywali, obiecując wyjaśnienie i rozwiązanie problemu. Tymczasem Gary uczestniczył w ciągłych bójkach i sporach ze strażnikami oraz innymi więźniami, co kończyło się jego pobiciem i izolacją, przedłużaną nieraz do kilku miesięcy. Podpalał swój materac, zalewał celę wodą, był wysyłany do psychiatry. Zaatakował jednego dentystę, a drugiemu groził, że go zabije. Wykorzystując miejsce ogłoszeniowe mamy w największym dzienniku Oregonu, wzniesił kampanię w swojej sprawie. Do naczelnika napływał nieustanny potok listów z całego stanu, wszystkie z żądaniem „równych praw dla Gary'ego Gilmore'a”.

Otrzymałem obszerne pudło, wypełnione setkami dokumentów. Można by napisać książkę, zdając się tylko na dramaturgię tej korespondencji i raportów więziennych; byłaby to z pewnością godna uwagi opowieść o przemocy spustoszeniu.

W latach 1970 i 1971 sprawy doszły do punktu wrzenia.

Parę dni po Bożym Narodzeniu 1970 roku Gary'ego przyjęto na więzienny oddział psychiatryczny. Psychiatra zakładowy, doktor Wesley Weissert, zapisał: „Ogólnie biorąc, Gilmore wykazuje nastawienie bardzo antagonistyczne, wojownicze, niewspółpracujące, z charakterystycznymi incydentami oddawania moczu na podłogę, wyrzucania jedzenia, opluwania ekspertów (w tym niżej podpisanego), robienia tego wszystkiego, co uchodzi za obrzydliwe”. Gary skarżył się, iż jego gniew wywołuje postawa władz więziennych, które nie chcą mu zapewnić dobrych protez. Lekarz jednak podejrzewał go o manipulację, więc Gary złościł się i wielokrotnie pluł mu w twarz. Weissert pisał: „Poczyniono próby przekonania go, że nie możemy wzmacniać wspomnianego tu jego nieodpowiedniego zachowania. Gdyby przejawiał je nadal w ciągu następnych dwudziestu czterech do czterdziestu ośmiu godzin, w celu opanowania jego agresywnych napaści werbalnych i fizycznych poda mu się domięśniowo prolixin”.

Gary uspokoił się na parę tygodni, ale wkrótce znów zaczął szaleć. Groził samobójstwem, choć zdaniem Weissera - ta nie była aż takiej depresji, by miał się porywać na życie. W pierwszym tygodniu lutego namówił innych więźniów, by przyłączyli się do jego protestu. Wszyscy, z Garym włącznie, podcięli sobie przeguby. Dwóch przypuszczalnie zmarło.

Miesiąc później doktor Weissert ponownie ordynuje mu prolixin. Jest to środek, który uwalnia pewnych psychotyków od dręczących ich koszmarów sennych, znosi słyszenie głosów i inne omamy. Stosuje się go także doraźnie w zakładach karnych i aresztach w celu uspokojenia więźniów sprawiających kłopoty i wrogo nastawionych. Wielu lekarzy jednak uważa, iż aplikowanie tego środka nie jest wskazane, ponieważ u niektórych osób może on powodować silny niepokój i nerwowość. Średnia zalecana dawka prolixinu waha się w granicach od dwóch do czterech centymetrów sześciennych miesięcznie. Gary skarżył się, że dostawał szesnaście centymetrów przez trzy miesiące, co istotnie - jeśli to prawda - trzeba by uznać za końską dawkę; nie byłem jednak w stanie dotrzeć do jakichkolwiek zapisów, poświadczających lub kwestionujących jego skargę.

Rozmawiałem z wieloma osobami, które dostawały ten lek; ich zdaniem wywoływał on niepokój ruchowy, prowadzący do maksymalnych wyprostów lub wygięć ciała - efektu ubocznego znanego jako akatizja. Ktoś mi mówił, że obserwował ludzi, którzy wyginali się w

tył tak mocno, że było słychać, jak trzeszczy im kręgosłup. Jeśli idzie o Gary'ego - a trzeba przyznać, że inni więźniowie potwierdzali jego wynurzenia - strażnicy przywiązywali go do koi, żeby patrzeć, jak się męczy. On jednak wciąż się buntował. Kiedyś, gdy jeden z nich zbyt blisko się nad nim pochylał, Gary go opluł. Wspominał potem, że strażnik nakrył mu twarz poduszką i zaczął go dusić.

- Byłoby po mnie. gdyby inny nie uznał, że mam już dość.

Kiedy strażnik wiązał mojego brata, kilkakrotnie uderzył go w twarz, a potem obrócił ku światłu i zostawił tak na całą noc. Po zażyciu prolixinu, wyjaśniał brat, światło nieznośnie drażni i nie można usnąć, kiedy się pali.

Jeden z więziennych kumpli brata z tamtego okresu, Steve Bekins, powiedział mi:

- Po prolixinie Gary nie był już nigdy tym samym facetem. Przepelniała go nienawiść, nie znał umiaru. Zawsze posuwał się tak daleko, by doprowadzić do wściekłości władze więzienne, choćby miało go to drogo kosztować. Niektórzy chłopcy odsunęli się od niego. Można by powiedzieć, że był to już człowiek, w którym drzemało morderstwo.

Tymczasem dostałem jeszcze jeden telefon od mamy.

- Twój brat Gaylen wraca do domu - powiedziała. - Zmęczyło go życie w Chicago i przypomniał sobie o nas. Chce naprawić tamte fałszerstwa i rozpocząć tu nowe życie.

Nowina bardzo mnie ucieszyła. Wszystkie złe uczucia, jakie wyniosłem z ostatniego spotkania z Gaylenem, poszły w kąt. Jeśli mama może mu przebaczyć, to ja też. Poza tym brakowało mi jego dowcipu i bystrości.

- Ale muszę ci jeszcze o czymś powiedzieć - kontynuowała mama. - To nie jest już ten sam Gaylen, którego ostatnio widziałeś.

- Co masz na myśli?

- Więc tak... przede wszystkim jest teraz dużo szczuplejszy. Coś tam się z nim stało w Chicago. Chorował, chyba coś z żołądkiem. Wiem, że miał jakąś operację, zrobił się po niej taki słaby. Poza tym przyplątała się jakaś zła miłość. Musiał zostawić dziewczynę, którą kochał. Złamało mu to serce. Myślę, że potrzebuje przyjaciół. Potrzebuje rodziny.

Istotnie, coś złego musiało się przytrafić Gaylenowi w Chicago; nie był to już ten sam człowiek. Kiedy stanął późną nocą u moich drzwi, nie poznałem go. To był szkielet, ciemnooki chodzący trup. Jak to bpa u kogoś, kto ma kłopoty, większość jego dowcipu gdzieś się ulotniła. Mowa stała się niewyraźna, umysł pracował wolniej. Widywałem go nieraz po pijaku, potem także, ale to nie było to. Zdawałem sobie sprawę, że mógł to być skutek uboczny działania środka przeciwbólowego albo skumulowane przez lata efekty nadużywania

alkoholu i prochów. Do jakichkolwiek środków się uciekał, okazały się chyba niezbyt skuteczne. Gdy usiadł i zaczął mówić, stało się jasne, że trawi go ostry ból i Gaylen wyraźnie już nie panuje nad swoim organizmem.

Mimo to, gdy tylko usłyszał, co przytrafiło się Gary'emu w zakładzie karnym w Salem, natychmiast go odwiedził. Pogodzili się, było to prawdziwie braterskie spotkanie. Musiała być niezła scenka: obaj na wpół martwi, zagadujący do siebie, odnawiający więzi rodzinne... Chciałbym to zobaczyć.

Podobnie jak mamę, Gaylena przeraziło spustoszenie, jakie w organizmie Gary'ego poczynił prolixin. Mój brat wpadł do gabinetu naczelnika, żądając odstawienia leku. Zastępca naczelnika zapewnił go, że rozważa się tę sprawę.

Parę dni po wizycie Gaylena psychiatra więzienny sporządził następującą notatkę: „U pacjenta wystąpiły dość ostre reakcje typowe przy podawaniu prolixinu i 5 kwietnia 1971 roku wrócił [na oddział psychiatryczny]. Wstrzymano ordynację prolixinu, po czym nastąpiła stopniowa poprawa symptomatologii. Pacjent jest ujęty w planie zwolnień warunkowych w maju 1971 roku. Wyraża się nadzieję na pełne ustąpienie objawów do tego czasu. Prolixin zostanie odstawiony, a stosowne leczenie wznowi się w zależności od przyszłego stanu pacjenta. Pacjent nie zdradza żadnych wrogich czy agresywnych myśli spowodowanych przez prolixin i nie cierpi z powodu reakcji zdarzających się po przyjmowaniu tego środka, zaleca się więc dalsze stosowanie leczenia. Niestety, utrzymuje się nadal umiarkowanie silna reakcja uboczna, co się zdarza u pewnej liczby pacjentów. W ogólnym obrazie dobre strony podawania prolixinu przeważają jednak nad niekorzystnymi”.

Dopiero po latach dowiedziałem się, co takiego przytrafiło się Gaylenowi w Chicago; był to jeden z owych głęboko skrywanych sekretów rodzinnych, który odkryłem po przeczytaniu *Pieśni kata*. Tyle że Mailer nie opowiada pełnej historii, a to dlatego, że jedyną osobą, która znała tę tajemnicę, była mama. Ona zaś nikomu jej nie wyjawiała. Do dziś, mimo wielu wysiłków, nie udało mi się poznać całej prawdy.

Wiem jedynie tyle: Gaylena zadźgano w Chicago. W straszny i okrutny sposób. Pierwsza wersja mówi, że był pijany i został napadnięty na ulicy zimową nocą. Jeden bandzior go trzymał, drugi okradał z pieniędzy i kosztowności, a potem dźgał w brzuch szpikulcem do kruszenia lodu raz za razem. Słyszałem też inną wersję, która lepiej pasuje do tego, co wiem o moim bracie. Gaylen zakochał się na zabój w jakiejś mężatce. Powinien był zapamiętać nauczkę, jaką dostał w Salt Lake, ale oczywiście nie zaprzętał tym sobie głowy. Któregoś dnia mąż tej kobiety odkrył sprawę, poszedł tropem mego brata, dźgnął go w podbrzusze i zostawił tak, by się wykrwawił. Gaylen stracił sporo krwi, ale dwie lub trzy

operacje uratowały mu życie; lekarz powiedział, że pozna teraz pracę swoich jelit po bólu, jaki będą mu sprawiać.

Obie te wersje nie są jednak niczym więcej niż tylko ponurymi pogłoskami; to wszystko, co zdołaliśmy z Frankiem skleić do kupy z zasłyszanych tu i ówdzie szeptów. Nie odnalazłem ani na policji w Chicago, ani w zapiskach szpitalnych jakiegokolwiek wzmianki o zranieniu Gaylena. Prawdopodobnie posługiwał się w Chicago innym nazwiskiem, ale nikt nie wie jakim.

Udało mi się natomiast zdobyć historię choroby Gaylena ze szpitala w hrabstwie Clackamas. Nie wiedziałem wówczas, że bywał on także częstym pacjentem oregońskiego szpitala miejskiego od wiosny do jesieni 1971 roku. Za każdym razem przyczyna była ta sama: silne bóle brzucha, i za każdym razem niewiele dawało się zrobić. Dwadzieścia trzy lata później, kiedy przedzierając się przez dokładne opisy tech - nicznomedyczne, zapoznawałem się z tymi szpitalnymi dokumentami, zdałem sobie sprawę z głębokości, liczby i powagi obrażeń Gaylena. Zapłakałem ze zgrozy nad jego bólem i śmiercią; jeszcze nigdy tak go nie opłakiwałem.

Mama oczywiście wiedziała wszystko o rozległości ran Gaylena, a także o okolicznościach, w jakich je odniósł. Była to jedna z owych brzydkich prawd, przed którymi starała się mnie chronić. Dopiero dziesięć lat później zrozumiałem, że Gaylena w istocie zamordowano wtedy w Chicago, tyle że umierał dłużej niż większość osób w takiej sytuacji.

Razem z Gaylenem przyjechała tego lata z Chicago do Oregonu jego przyjaciółka, Janet. Tęskniła za nim, tak jak on tęsknił za nią, i opuściła pełen przemocy świat, który znała, dla miłośnicy na zachodzie Stanów. Wynajęli mieszkanie w motelu nieopodal bulwaru, gdzie mieszkała mama z Frankiem. Janet była miłą, opiekuńczą osobą, jedną z tych niewielu młodych kobiet, jakie mama chętnie widziałaby u siebie w domu. Odnosiło się wrażenie, że bardzo kocha Gaylena.

Było to jednak burzliwe uczucie. Oboje za dużo pili, a potem wrzeszczeli i rzucali przedmiotami, dopóki jedno czy drugie nie opuściło motelu, by pić dalej już w samotności. Gaylen nie zmienił się o tyle, że zawsze umiał sobie znaleźć jakąś flaszkę, którą osuszał do dna. Dawniej wolał piwo i czerwone wino, teraz wyniszczony żołądek pozwalał mu jedynie na peppermint. Spróbowałem tylko łyk tego słodkawego paskudztwa i o mało nie zwymiotowałem. Gaylen jednak mógł je pić bardzo długo.

Wielokrotnie gdzieś koło trzeciej w nocy słyszałem walenie do drzwi frontowych. Zbiegałem ze schodów i widziałem stojącego w progu Gaylena, zataczającego się w letnim powietrzu i szlochającego jak dziecko. Wchodził do środka, siadał i gadał, pociągał z butelki i



rozkladał się na mojej kanapie. Wsuwałem mu poduszkę pod głowę i opatulałem go kocem, a potem przy nim siadałem i czuwałem nad jego niespokojnym snem. Rano, kiedy się budziłem, już go nie było.

Niebawem Gaylen stanął przed sądem, który uwolnił go od ciężących na nim zarzutów. Przypuszczalnie sędzia i prokuratorzy wzięli pod uwagę okoliczność, że nie przetrzymałby więzienia. Trzeba też przyznać, iż Gaylen zupełnie stracił zainteresowania życiem przestępczym. Nie rajcowało go już ani puszczenie fałszywych czeków, ani kradzież, ani deliberowanie o zbrodni doskonałej. Pragnął jedynie poślubić Janet i założyć rodzinę. Powiedział mi, że chce rozpocząć nowe życie.

Którejś nocy, już nad ranem, Janet zadzwoniła do Grace. Gaylen, mówiła, ma intensywne bóle i trzeba go zaraz odtransportować do szpitala. Nie może sam prowadzić, a nie mają pieniędzy na taksówkę. No i prosi Grace o pomoc.

Grace podwiozła Gaylena i Janet do szpitala w Mil - waukie, ale na ostrym dyżurze nie chcieli go przyjąć, ponieważ nie był ubezpieczony i nie miał karty opieki społecznej. Wobec tego Grace zawiozła ich do oregońskiego szpitala miejskiego. Tu znowu nie wiedzieli, co zrobić z Gaylenem, mimo że był u nich już tyle razy. Kiedy do piątej rano nie pojawił się jeszcze żaden lekarz, Gaylen poprosił Grace, by odwiozła go razem z Janet do domu.

- Co to za pierdolone zwyczaje! - wściekał się.

W chwilach intensywnego bólu podciągał koszulę i masował sobie brzuch. Wtedy właśnie Grace zobaczyła tę straszną dziurę w brzuchu Gaylena. Jego rany nigdy się nie goiły. Były otwarte i stale krwawiły.

Nazajutrz po tym incydencie Grace otrzymała list od Gary'ego. Chciał zwrócić pieniądze, które mu pożyczyła na nowe protezy, ale do pisania skłoniły go także nienawiść i rozżalenie, jakie żywił w stosunku do całego świata. Grace zawsze wyczuwała tę przemoc, gdy czytała jego listy. Zbieg tych wszystkich złych nowin uświadomił jej, że większość czasu spędza, opiekując się różnymi nieszczęśnikami. Do tego doszedł jeszcze wymiar spirytystyczny: Grace sporządziła wykres naszej przyszłości i ujrzała, że zagraża nam coś strasznego, mającego związek ze śmiercią. Mogło to dotknąć jeszcze parę innych osób. Postąpiła więc tak, jak w podobnej sytuacji postąpiłaby każda rozsądna osoba. Zadzwoniła do mojej mamy i powiedziała:

- Nie chciałabym ci sprawiać przykrości, kocham cię przecież, ale nie mogę dłużej zajmować się twoją rodziną. Nie mam już zbyt dużo czasu ani energii i chciałabym je poświęcić własnej rodzinie.

Kiedy mama mi o tym powiedziała, wszystko zrozumiałem. Przecież to było bardzo

dziwne, że Grace wytrzymała z nami tak długo.

8 października 1971 roku Gaylen i Janet zawarli ślub cywilny. Skromna uroczystość odbyła się w Vancouverze w stanie Waszyngton, niedaleko od Portlandu, na drugim brzegu rzeki Kolumbia. Mama, Frank i ja byliśmy zaproszeni na ślub, a potem poszliśmy wszyscy do restauracji na obiad. Mama była bardzo szczęśliwa. W końcu pierwszy raz zeniła syna.

Nigdy też nie oglądałem Gaylena równie szczęśliwego. Nic nie wiedziałem o tej nocy, kiedy zjeździł całe miasto w poszukiwaniu pomocy lekarskiej ani o innych jego pobytach w szpitalu. Po raz pierwszy, odkąd wrócił do domu, pomyślałem, że jego szansa na nowe życie jest być może realna.

Kilka nocy później w moich drzwiach stanęła Janet. Była pijana, płakała.

- Mam dość tego wszawego pętaka. Znow na mnie wrzeszczał. Jak tylko zdobędę pieniądze, natychmiast wracam do przyjaciół w Chicago. Czy mógłbyś mnie przechować dzień lub dwa?

Wiedziałem oczywiście, co to znaczy i że zaraz rozpęta się tu piekło. Faktycznie, telefon już dzwonił. Gaylen.

- Nie widziałeś gdzie Janet? - pytał.

- Owszem - odparłem. - Jest tu obok. Chyba powinniście porozmawiać.

Gaylen zaraz przyszedł. Z miejsca padli sobie z Janet w ramiona, płakali, przyrzekając sobie święcie, że będą dla siebie lepsi. Wszyscy troje śmieliśmy się i puszczałyśmy płyty Johnny'ego Casha. Kiedy wychodzili, Gaylen zatrzymał się w drzwiach i spojrzał na mnie.

- Chcę ci podziękować za to, co dziś dla nas zrobiłeś. Dziękuję ci również za to, że przyszedłeś na nasz ślub. To dużo dla mnie znaczy.

Byłem nieprzygotowany na ten moment szczerości, więc tylko palnąłem głupio:

- Ach, zawsze cię chętnie widzę. Cholera, przyjadę też na twój pogrzeb, jeśli sobie życzysz.

Była to jedna z tych rzeczy, których już nie da się cofnąć. Nie można ich zapomnieć i trudno je sobie wybaczyć. Wtedy tylko się roześmieliśmy. Bracia zawsze śmieją się z byle czego. skurczów rąk, to sprawa może być poważna. Ale się pocieszyłem: „Jest przecież w szpitalu. Wiedzą, jak się nim opiekować”. Z tą myślą uściśnałem mu dłoń i wyszedłem.

Odrugiej w nocy jeden z moich współlokatorów zapukał do sypialni. Siedziałem w łóżku, czytałem, słuchałem radia.

- Dzwoni do ciebie jakaś kobieta - powiedział. - Mówi, że to ważne.

Byłem przyzwyczajony do tego, że koledzy i przyjaciółki dzwonią do mnie o dziwnych porach. Żyłem w dziwnych porach.

Podniosłem słuchawkę.

- Mikal, tu Janet. Gaylen umarł.
- Co ty mówisz?! Jesteś tego pewna?
- Przed chwilą zmarł na stole operacyjnym. Musiał mieć drugą operację.

Byłem jak odrętwiały. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Kiedy słyszysz coś takiego, szukasz jakiegoś sposobu, żeby to przyjąć, a w następnej chwili musisz zaczerpnąć tchu. Inaczej mógłbyś się pogрузić w taką przepaść bólu i strachu, z której nigdy byś się nie wydobył.

- Janet - powiedziałem - zostań na miejscu. Wezmę taksówkę i do ciebie przyjadę.

- Nie - odparła. - Nie zostanę tutaj. Jest tu John, jeden z przyjaciół Gaylena. Przyjedziemy po ciebie. Musimy jeszcze zawiadomić twoją mamę.

Odwiesiłem słuchawkę i wróciłem do łóżka. W radiu nadawali utwór piosenkarza country Mickeya Newbury, zatytułowany *An American Trilogiy*.

„Cicho, sza, dziecinko, nie płacz - śpiewał Newbury swym posępnym, przepitym głosem. - Wiesz przecież, że tatuś musi umrzeć. I wszystkie moje szlaki, Panie, wkrótce się skończą”.

Po latach Elvis Presley uczyni z tej piosenki swój popisowy numer. Był on tym amerykańskim artystą, którego Gaylen szczególnie ukochał spośród wszystkich pieśniarzy czy poetów, a pięć lat później, kiedy Elvis umarł - było to zaledwie kilka miesięcy po egzekucji Gary'ego - już nie słyzałem tej piosenki, lecz myślę, że moi bracia zostawili za sobą wiele złamanych, niespełnionych serc, oplakujących ich okropne czyny.

Włożyłem płaszcz i wyszedłem na frontowy ganek, czekając na Janet. Była noc i zacząłem się trząść. Śmierć przemknęła tak blisko. Pikowała już na mnie ze swą niezawodną kosą, lecz wzięła mego brata. Mogła wziąć mnie - dokonała innego wyboru. Zastanawiałem się, do czego mogło być podobne owo przejście w dziedzinę niebytu, w której parę chwil temu znalazł się Gaylen. Rozglądałem się po milczących ulicach, a potem podniosłem wzrok ku gwiazdom. Myślałem, że wypatrzę, jak coś się tam porusza. I że to będzie śmierć. Czulem, jak zawisa nade mną i może na mnie patrzy. Pomyślałem, że gdybym jej powiedział, żeby to mnie wzięła zamiast Gaylena, a jego zwróciła Janet i rodzinie, ona by to zrobiła. Ale niczego takiego nie zaproponowałem i śmierć przeszła obok.

Cieszyłem się, że to nie ja umarłem, a ostry podmuch zimnego wiatru, który mną wstrząsnął, był odpowiedzią na moje samolubne myśli.

Gdzieś koło czwartej nad ranem przyjaciel Gaylena, John, podrzucił nas z Janet do

przyczepy mamy w Oak Grove.

Zastukałem do drzwi. Zapaliło się światło i usłyszałem, jak mama szamoce się z zasuwą.

- Kto tam? - spytała.

- To ja, Mikal, mamó. Mikal i Janet.

Mama szarpnęła drzwi. Oczy miała szeroko otwarte.

- To Gaylen, prawda? - domyśliła się. - Nie żyje, prawda?

Padły sobie z Janet w ramiona, oplakując to wszystko, co właśnie straciły i co było już na zawsze martwe.

Mama zbudziła Franka i przekazała mu wiadomość.

- Nie opowiadaj takich rzeczy! - usłyszałem jego krzyk z drugiego pokoju. - Kłamiesz!

Słońce weszło, a my siedzieliśmy w saloniku przyczepy. Mama wydawała Frankowi i mnie niezbędne polecenia. Musimy jechać do zakładu karnego w Salem i zawiadomić Gary'ego. Nie może się o tym dowiedzieć tak, jak dowiedział się o śmierci ojca - od okrutnego strażnika.

Gdy Gary wszedł rano do pokoju widzeń, wyglądał jakoś staro, jak strasznie zmęczony facet po trzydziestce. Sprawiał też wrażenie przestraszonego. Skoro przybyliśmy o tak wczesnej porze, wiedział, że coś się musiało stać.

- Mamy dla ciebie złe wiadomości, Gary - zaczął Frank.

- To chyba nie mama, prawda? - spytał Gary i twarz skurczyła mu się z bólu.

Nie, to nie mama, ale gdy powiedzieliśmy mu o śmierci Gaylena, zalał się łzami. To wtedy po raz drugi widziałem go płaczącego.

Kilka dni później odbył się pogrzeb Gaylena, w tym samym domu pogrzebowym, gdzie żegnaliśmy ojca. Mama wniosła stosowną opłatę za nadgodziny strażników, którzy eskortowali Gary'ego na pogrzeb brata. Siedzieli za nami, w ławkach przeznaczonych dla rodziny. W kieszeniach kurtek mieli pistolety.

Powiedziałem parę słów przed ołtarzem. Choćby mnie kto zabił, nie pamiętam, co wtedy mówiłem: coś o tym, jak zawsze będziemy go kochać i że nigdy nie zapomnimy naszego zmarłego brata.

Kiedy usiadłem, Gary pochylił się i ucałował mnie w policzek. Objął mamę i trwał tak do końca ceremonii. Tulił jej głowę do swego ramienia, cichutko płacząc.

*Ostatniej nocy miałem sen o egzekucji jednego z moich braci. Często miewam takie sny.*

*Tym razem wyrok śmierci odczytano Gaylenowi, i to za przestępstwo, za które nie orzeka się kary śmierci, jakiś tam zwykły, drobny grzeszek. Rodzina i ja spodziewaliśmy się ulaskawienia.*

*Ulaskawienie jednak nie nadchodziło, a czas wykonania wyroku nieubłaganie się zbliżał. W końcu jakoś tak postanowiono, że to ja będę tym, który wykom wyrok, ze względów czysto praktycznych, jako najbliższy krewny.*

*Wyszliśmy na otwartą przestrzeń. Był wschód słońca. Wręczono mi karabin, cel został przypięty nad sercem Gaylena. Brat patrzył na mnie, jego ciemnobrązowe oczy były szeroko otwarte. 7, dawały się błagać, bym zrobił to szybko i sprawnie.*

*Nie sądziłem, że mogę to zrobić, a przecież wiedziałem, że muszę, bo gdyby chciano zadać Gaylenowi śmierć w jakiś inny sposób, byłoby to jeszcze gorsze. Mierzyłem dokładnie w serce brata, starałem się pewnie trzymać ramię. W chwili, gdy już dobrze widziałem cel, zamknąłem oczy i położyłem palec na spuście. Wiedziałem jednak, że mogę nie trafić i sfuszerować robotę, co przysporzyłoby bratu tylko dodatkowych cierpień. Więc po to właśnie są plutony egzekucyjne, pomyślałem, na wypadek gdyby kogoś zawiodły nerwy i nie trafił w cel. To wielka odpowiedzialność, uświadomiłem sobie, zabić człowieka.*

*Mierzyłem w serce Gaylena, ostrożnie i pewnie. Mówiłem sobie, że kiedy już wypełnię swój obowiązek, to znaczy: gdy pociągnę za spust - obudzę się z tego koszmarne snu. Strzeliłem. Ujrzałem, jak kida uderza w pierś Gaylena. Ale zanim się obudziłem, zobaczyłem, że jego serce wyrywa się z piersi i spada na brudny piach, pulsując krwią w pyle. I przypomniałem sobie to, co mama stale powtarzała Frankowi, mówiąc o śmierci Gary'ego w Utah:*

*- Wystrzelili twojemu bratu serce, spadło prosto na ziemię.*

## **CZEŚĆ PIĄTA**

### **KRONIKA KRWI**



Jedynym naszym trwałym śladem jest krew, a kronika krwi nie znosi poprawek.

Harry Crews, *Fathers, Sons, Blood*

Nie ma takiej zbrodni, której nie mógłbym się czuć winny.

Goethe

Śniłem o miłości, która była zbrodnią.

O.V. Wright, *Eight Men and Four Women*



PUNKTY ZWROTNE

## ROZDZIAŁ 1

Mogło się wydawać, że po śmierci Gaylena Gary się zmienił. Stracił dwóch członków rodziny bez możliwości ostatecznego pojednania, rozpaczliwie pragnął wolności. Zaczęliśmy do siebie częściej pisywać. Gary okazywał w tych listach więcej zainteresowania moimi sprawami, był ciekaw, co robię i jakich mam przyjaciół. Usiłował być dla mnie bratem.

Również przełożeni w więzieniu zwrócili uwagę na zmiany, jakie się w nim dokonały. Któregoś dnia, pięć miesięcy po śmierci Gaylena, naczelnik zezwolił Gary'emu na wizytę u rodziny. Uzbrojony strażnik przewiózł go samochodem z więzienia w Salem do przyczepy

mamy w Oak Grove. Gary, mama, Frank i ja spędziliśmy całe popołudnie, jedząc zakąski, wspominając przeszłość i snując plany.

Przyniosłem gitarę, graliśmy i śpiewaliśmy songi Johnny'ego - go Casha. Chyba trudno byłoby znaleźć gorsze głosy, ale to już całkiem inna sprawa. Gadaliśmy z Garym o muzyce; okazało się, że mamy wielu wspólnych ulubieńców: Duke'a Ellingtona, Hanka Williamsa, Charliego Parkera, Milesa Davisa, Little Richarda, Chucka Berry'ego. Fajnie było się przekonać, że tyle nas łączy. Gadaliśmy, a uzbrojony strażnik siedział obok w fotelu, przeglądał czasopisma i popatrywał ze spokojem na Gary'ego.

Doszły nas potem pogłoski z więzienia, że naczelnik i inni funkcjonariusze byli mile zaskoczeni zachowaniem Gary'ego w tym dniu. Myśleli pewnie, że jest już tak spragniony wolności, iż próbuje się wyciszyć i żyć rozsądniej niż dotąd. Ostatnio trochę pracował w więziennym warsztacie artystycznym, a naczelnikowi i strażnikom jego prace tak się podobały, że czasem je od niego kupowali. Naczelnik zachęcał go do udziału w konkursach artystycznych, a gdy jesienią 1972 roku Gary wygrał kilka z nich, władze więzienne chętnie udzieliły mu zwolnienia na zajęcia w dwuletnim college'u środowiskowym w Eugene, gdzie miałby studiować sztukę. Była to wielka szansa: jeśli Gary się sprawdzi w warunkach tego programu, jeśli będzie chodził na zajęcia, otrzymywał dobre oceny, podporządkuje się warunkom życia w kampusie i na kwaterze, gdzie będzie mieszkał w dni robocze, i jeśli nie opuści nigdy obszaru Eugene bez zezwolenia opiekunów - wraz z ukończeniem szkoły będzie mógł uzyskać wcześniejsze zwolnienie z więzienia i przypuszczalnie dostanie pracę w Portlandzie, w branży artystycznej lub w firmie reklamowej. Inaczej mówiąc, gdyby Gary sprostał tym zadaniom, mógłby opuścić więzienie, mając widoki na karierę i nowe życie. Wszyscy widzieliśmy w tym punkt zwrotny.

Tymczasem Gary miał własne plany.

Wśród jego kumpli w zakładzie karnym w Salem był pewien młody mężczyzna, którego będę nazywał Barrym

Blackiem. Niektórzy współwięźniowie dawali potem wyraz przekonaniu, że Barry mógł być potajemnym kochankiem Gary'ego, ale sam Gary stanowczo zaprzeczał, jakoby miewał w więzieniu stosunki homoseksualne. Mimo to były pewne przesłanki, by utrzymywać, iż w ten czy inny sposób kochał Barry'ego Blacka. To do niego zwracał się najpierw, gdy potrzebował pomocy, to on pocieszał Gary'ego, gdy przynieśliśmy mu z Frankiem wiadomość o śmierci Gayle - na, i najwidoczniej mój brat sądził, że mogą pozostawać przyjaciółmi także poza murami więzienia. Gdy się dowiedział, że Barry'ego wysyłają na jakiś zabieg stomatologiczny do kliniki uniwersyteckiej na West Hills w

Portlandzie, powiedział mu, że jakoś zwolni się ze szkoły, aby się z nim spotkać w tej klinice. Miał pewien plan.

Któregoś jesiennego poranka strażnik więzienny zawiózł Gary'ego na jego kwaterę w Eugene, gdzie mój brat miał spędzać wieczory. Wręczył mu ubranie na zmianę i kieszonkowe na pierwszy tydzień. Powiedział Gary'emu, że ma dzień lub dwa na rejestrację w szkole, na poznanie kampusu oraz zakup książek i pomocy szkolnych. Dodał też, że codziennie wieczorem ma być w sypialni; odstępstwo od tej zasady usprawiedliwia tylko udział w wieczornych zajęciach.

- Rządź się teraz sam, Gary - powiedział strażnik. - Nie spieprz tego. Liczymy na ciebie.

Gary odparł strażnikowi, żeby się nie martwił, i uściśnął mu rękę.

Wybrał się do kampusu i znalazł budynek, w którym odbywały się zapisy. Odebrał swoje papiery i zaczął wypełniać formularze, ale przestraszył się, jak później wyjaśnił, tych tłumów, które go otaczały. Wszyscy ci studenci wyglądali tak młodo, byli pewni siebie, atrakcyjni i pięknie ubrani. Zdenerwowało go to i wyszedł. Po krótkim spacerze znalazł bar. Zamówił kilka drinków. Pomyślał sobie, że zdąży jeszcze zapisać się do szkoły jutro, a dzisiaj musi się odprężyć. Podąży: w kierunku autostrady i złapał okazję do mamy; do Oak Grove było stamtąd prawie sto mil. Wiedział, że narusza w ten sposób zasady zwolnienia, ale był pewny, że wieczorem będzie już z powrotem w swojej sypialni.

Godzinę lub dwie przesiedział u mamy, póki nie musiała iść do pracy. Bardzo się ucieszyła na jego widok. W południe stanął w drzwiach mojego mieszkania w pobliżu Uniwersytetu Stanowego w Portlandzie. Miałem zajęcia w coś - lege'u, mogłem się spóźnić. Ale kiedy zobaczyłem w progu Gary'ego, uśmiechniętego i trochę zdenerwowanego, zrozumiałem, że muszę znaleźć dla niego czas. Wszedł do środka i trochę pogadaliśmy. Zapytałem, czy rozpoczął już zajęcia. Powiedział, że właśnie przeszedł się po kampusie i zdenerwowali go ci wszyscy młodzi ludzie, którzy się tam kręcili. Wyjaśnił, że chciał tylko zobaczyć się z mamą, ze mną i z kilkoma kumplami, i wszystko będzie dobrze.

- Wrócę tam przed nocą - powiedział. - Zdążę jeszcze zapisać się jutro.

Ale następnego popołudnia Gary znowu się u mnie pokazał, w tym samym ubraniu. Wokół oczu miał czerwone obwódki. Oczywiście nie wrócił do Eugene, na swoje nieszczęście, i nie tylko utracił w ten sposób szansę nauki, ale mógł jeszcze dostać dodatkową odsiadkę.

- Gary, co ty jeszcze, u diabła, tu robisz?

Nie podjął wątku.



- Chodźmy gdzieś na lunch. Znasz jakieś dobre miejsce?

Wkurzyło mnie to. Gary coś knuł, do tego był natrętny.

Ale nie wiedziałem, na ile mogę sobie z nim pozwolić. Poszedłem po kuitkę. Kiedy wróciłem, był już przy telefonie. Pytał mnie, jaki tu jest adres.

- Po co ci to?

- Zamawiam taksówkę.

Wyjaśniłem mu że do restauracji możemy się przejść, ale on odparł, że nie chce się pokazywać na ulicach. Nie podobało mi się to, co usłyszałem. Udaliśmy się do baru topless było to jedyne miejsce, w którym Gary czuł się dobrze.

Wpadał w trans, przyglądając się parującym dziewczynom.

- Powiedz mi, co się stało - próbowałem przełamać jego zauroczenie. - Bo chyba jasne, że nie pójdziesz do szkoły.

Jakiś czas milczał, patrząc w stół. Kiedy się odezwał, mówił z akcentem południowca, przeciągając samogłoski.

- Nie nadaję się do szkoły. Człowieku, nie mogą mnie nauczyć o sztuce niczego, czego bym już nie wiedział. A poza tym są bardziej interesujące rzeczy. - Pochylił się i utknął we mnie spojrzenie. - Mój przyjaciel z kicia przy - jedzie tu w następnym tygodniu na oddział stomatologiczny. Będzie pod eskortą paru strażników, a ja chcę się z nim zobaczyć. Wiesz, potrzeba mi gnata. Pomożesz mi?

Byłem przerażony. Domagał się ode mnie czegoś, czym nie miałem pojęcia. Za wszelką cenę starałem się unikać miejsc, w których znajduje się broń. Nie wiedziałem, gdzie się ją kupuje ani jak się nią posługiwać, w ogóle nie chciałem o tym słyszeć. Pomyślałem, że zamiast ciągnąć tę rozmowę, udzielę Gary'emu paru ostrzeżeń; jeszcze go postrzelą albo sam kogo postrzeli i tylko powiększy swój wyrok.

- Hej - przerwał mi. - Jeśli się martwisz, że będziesz robił za współnika czy coś takiego, to możesz spać spokojnie. Nie jestem kapusiem.

- Nie o to chodzi. Po prostu nie chcę mieć nic wspólnego z tym, co zamierzasz. Cokolwiek się stanie, Gary, złamiesz sobie życie.

Zmrużył oczy.

- To sprawa honoru - wyjaśnił.

Odwróciłem wzrok i potrząsnąłem głową.

Gary wbijał we mnie spojrzenie, miażdżąc ręką pudełko zapalek.

0 Prosiłem tylko o coś swojego brata - powiedział wstał, kierując się do wyjścia. Znow się uparł, że weźmie taksówkę i odwiezie mnie do domu. Kiedy wysiadałem,

uśmiechnął się i przegarnął ręką moją czuprynę. Zacząłem coś mówić, ale mi przerwał.

- Wszystko w porządku - powiedział, ale w jego oczach była okropna uraza. Opuszczając taksówkę, czułem wstyd, tak jakbym zawiódł kogoś, kogo kocham i od kogo pragnę uznania. Ale czułem także strach. Gary był zdecydowany wziąć gnata i uwolnić kumpla, nawet gdyby miały to rozstrzygnąć strzały. Nie wiedziałem, czy przy takim scenariuszu mój brat wyjdzie z tego żywy. Ale cokolwiek miałoby się stać, za nic nie chciałem być kimś, kto dostarczył mu broń. Tak czy inaczej, czułbym się winny.

Po raz pierwszy Gary postawił mnie w obliczu tak strasznego wyboru. Wiedziałem, co zamierza. Podał mi dzień i godzinę, o której chciał odbić kumpla strażnikom w klinice. Rozumiałem, że jeśli do tego dojdzie, ktoś może zginąć. Zastanawiałem się, czy potrafiłbym wydać brata, i zastanawiałem się też, czy Gary może być tym, kto nie wyjdzie z tej konfrontacji żywy. Postanowiłem, że go nie wydam. Nie chciałem też widzieć go martwym. Ale kiedy podjąłem decyzję, poczułem się uwikłany w tę sprawę, bez względu na przypuszczalne skutki strzelaniny. Gary był niebezpiecznym facetem. Nie powinien chodzić po ulicach.

Nie wiedziałem, jak żyć ze swoim wyborem. Miałem pretensję do Gary'ego o to, że zdradził mi swoje plany. Nienawidziłem tej świadomości, że kocham go bardziej niż ludzi, których może zabić.

Widziałem się z Garym jeszcze dwa razy podczas tej jego ucieczki, która trwała niespełna miesiąc. Wpadł do mnie pewnej nocy, kiedy miałem u siebie przyjaciółkę, i zapytał, czy nie mógłbym mu puścić paru nagrań John - ny'ego Casha. Był czarujący i trzeźwy. Żartował sobie z dziewczyną. Jak ci się podoba mój brat? Wiesz, to mój mały braciszek, czuję, że powinienem na niego uważać.

Próbowałem mu wybić z głowy ten plan.

- Powiedzmy, że to się zmieniło - odezwał się. - Nie martw się o to. Im mniej wiesz, tym dla ciebie lepiej.

Innego dnia wracałem akurat z zajęć na uniwersytecie, a Gary już czekał na mnie w wynajętym wozie. Powiedział, że chce mi przedstawić kilku przyjaciół. Pojechaliśmy, Gary przez całą drogę popijał piwo, dużo gadał, był w towarzyskim nastroju. Jego kumple mieszkali w rezydencji na wzgórzu we wschodniej części Portlandu. Jak się okazało, byli właścicielami największego w mieście biznesu pornograficznego i sieci salonów masażu. Wytwornie ubrani i bardzo grzeczni, mieszkali w pięknym domu. Siedzieli przy stole, przeglądali duże czarnobiałe fotosy z motywem ciągnięcia druta i starali się wypracować najlepszą koncepcję ich układu. Siedzieliśmy z Garym w drugiej części pokoju. Pokazywał

mi swój znakomity zestaw rysunków i malarstwa: obszerną teczkę poruszających studiów, od baletnic do poobijanych bokserów, był też ulotny szkic gwałtownej śmierci. Przeważały rysunki dzieci: okrągłe twarze o jakiejś dzikiej, nietkniętej niewinności.

- Bierz stąd, co chcesz - mówił.

Rysunek był dla niego tylko czymś, co się narysowało co można komuś dać.

Chciał mnie zabrać do swoich przyjaciół, żeby pokazać mi te luksusy, które do niego nie należały. Kiedy oglądaliśmy wewnętrzny basen, nagle, bez ostrzeżenia, rozsunał kurtkę, wyjął pistolet i wręczył mi go kolbą do przodu.

- Myślisz, że nie mógłbyś czegoś takiego użyć? - spytał, zadzierając głowę na modłę Gary'ego Coopera.

Czułem się jak podczas sprawdzianu, którego sensu nie pojmowałem. Pierwszy raz miałem w ręku pistolet, wprawiało mnie to w szczególne zakłopotanie. Zwróciwszy lufę w stronę basenu, palec trzymałem jak najdalej od spustu.

- Powiedzmy, że mógłbym, gdybym musiał, Gary, ale mam nadzieję, że mówisz o sytuacji, w której byłoby to kwestią życia i śmierci, a nie jakiegoś przypadkowego wyboru.

Zabrał mi broń i wsadził ją do kieszeni kurtki.

- No dobra - powiedział. - Odwiozę cię do domu.

Jechaliśmy w milczeniu do mojego mieszkania. Czułem, że jest zły, ale nie wiedziałem dlaczego. Zaczął trąbić na wóz przed nami, który poruszał się dla niego zbyt wolno. Pojazd jeszcze zwolnił.

i Co za skurwiel! - wymamrotał Gary i szarpnął gwałtownie kierownicą, wjeżdżając na lewy pas, prosto pod jadący z przeciwka samochód. Ten zaczął trąbić i hamować w następnej chwili Gary szarpnął jeszcze raz kierownicą, tak że zarzuciło nas na pobocze.

Patrzyliśmy na siebie, dwa bliźniacze odbicia strachu, z szeroko rozwartymi oczyma i rozdziawionymi gębami.

- Omal nas nie zabiłeś! - wrzeszczałem.

Oparł czoło na kierownicy, oddychając głęboko.

- Czasami - powiedział - musisz stanąć twarzą w twarz z taką możliwością.

Parę dni później dowiedziałem się z dziennika telewizyjnego, że Gary'ego zatrzymano za napad z bronią w ręku. Wszedł na stację obsługi w południowoschodnim Port - landzie, nabuzowany i na opiatkach. Przyłożył pistolet do głowy pracownika i powiedział:

- Dawaj wszystko, co tam masz w kasie, albo strącę ci ten pieprzony łeb jak makówkę!

Ujechał zaledwie parę ulic od stacji i trafił do pudła, nie stawiając oporu.

Odczułem ulgę: nikt nie został zabity. Ale też gniew smutek. Gary jeszcze raz zniszczył sobie życie. Próbowałem go odwiedzić w więzieniu hrabstwa Multnomah, ale tym razem nie przyjmował wizyt. Po kilku dniach zadzwoniła do mnie mama. Gary leżał w swojej celi na nasączonym krwią materacu. Pociął sobie prawą rękę i pokaleczył brzuch. Był teraz na oddziale nagłych wypadków tej samej kliniki, z której zamierzał odbić przyjaciela.

„Jezu - pomyślałem. - Czy to się nigdy nie skończy?”

P roces Gary’ego w sprawie rabunku odbył się w hrabstwie Multnomah 12 lutego 1973 roku. Przybyliśmy z mamą na rozprawę.

Wprowadzono go do sali w kajdankach. Zapytał, czy może się zwrócić do sądu; sędzia wyraził zgodę.

- Mam nadzieję, że nie będzie panu przeszkadzało, jeśli posłużę się notatkami - powiedział Gary. - Nie jestem dobrym mówcą.

- Zupełnie nie będzie mi to przeszkadzało, panie Gil - more - zapewnił sędzia.

Gary zaczął mówić.

i Macie przed sobą raport będący podstawą do wydania wyroku i pewnie już wiecie, jaki on będzie, ale chciałbym się zwrócić z prośbą o zastosowanie tu szczególnych względów. Spędziłem dużo czasu w więzieniu i nie sądzę, żeby kolejne lata odosobnienia mogły tu cokolwiek zmienić. O co mi chodzi. Odkąd skończyłem czternaście lat, przesiedziałem łącznie dziewięć i pół roku, a tylko dwa i pół roku spędziłem na wolności. Siedziałem więc w więzieniu i nigdy nawet nie miałem zwolnienia warunkowego, z jednym tylko wyjątkiem, i to kiedy byłem młodociany. Nigdy się nie uchylałem od kary, skłonny jestem nawet sądzić, iż sprawiedliwość powinna być surowa, i aż do dziś nie prosiłem o żadne ulgi. Wciąż mam wyrok do odsiedzenia... Wysoki sędzie, sąd może więzić kogoś zbyt długo, tak jak i trzymać innych pod kluczem, ile będzie trzeba. Ale co chcę powiedzieć... Przychodzi czasem ten właściwy moment, by kogoś zwolnić lub zastosować przerwę w wykonaniu wyroku. Oczywiście ktoś może zapytać: a kiedy nadchodzi, ten moment? Tylko ktoś, kto siedzi, może naprawdę to ocenić, więc w pewnym sensie jest to sprawa uznania tego kogoś. Zdarzało mi się, iż czułem, że gdybym miał taką przerwę, nigdy bym już może nie popadł w tego rodzaju kłopoty, ale jak wspominałem, nigdy tej przerwy w moim przypadku nie zastosowano. Pod koniec września wysłano mnie z zakładu karnego do Lane Community College w Eugene na studia artystyczne i miałem szczere pragnienie, by to zrealizować. Jednego dnia jestem w kiciu od dziewięciu lat, a następnego jestem już wolny, czyż nie jest to coś w rodzaju szoku? Sprawy się zmieniają, człowieku, a ja nie jestem na to nikami na

oddziale stomatologii, ale przestraszył się, że sam mógłby przy tym zginąć albo dostać dodatkowy wyrok za próbę ucieczki. Poszedł do naczelnika i wyśpiewał mu wszystko ze szczegółami. Powiedział, co Gary planuje u kogo może się zatrzymać, gdy będzie w Portlandzie. W zamian naczelnik obiecał Barry'emu ochronę i zaręczył, że jego kandydatura będzie rozpatrywana w związku z najbliższym terminem zwolnień warunkowych.

Gary wrócił do więzienia rozżalony i wściekły. Barry'ego trzymano w oddzielnej celi od strony dziedzińca. Mój brat zatrzymał się na korytarzu i wrzeszczał: „Barry Black to kapuś!”, tak długo i głośno, że strażnicy wywlekli go stamtąd i wpakowali do celi. Barry, dla lepszej ochrony, trafił do izolatki. Gary staczał bójkę z każdym, żeby też się znaleźć w izolatce. Kiedy dotarło to do naczelnika, przeniósł Barry'ego Blacka do innego więzienia. Nikt nic miał wątpliwości, że Gary przy pierwszej nadarzającej się okazji mógłby zabić.

Wijęły lata. Pisałem do Gary'ego trochę listów, a on na nie nie odpowiedział, ale w tym, co pisał, było sporo chłodu i goryczy. Sądzę, że nigdy mi nie wybaczył, że sprzeciwiłem mu się wtedy w barze topless. A ja miałem własne powody do gniewu: oczekiwania Gary'ego w stosunku do mnie były nonsensowne, okazał się przy tym ostatnim głupcem, niwecząc swą największą szansę na drugi start. Czułem nawet coś więcej niż gniew: bałem się swojego brata. Ujrzałem w nim siłę nieprzepracowaną kroczącą ku śmierci.

Więc jak dawniej przestałem się z nim widywać i dryfowaliśmy osobno w przedłużającym się milczeniu. Każdy z nas był zbyt dumny, by przyznać, że punkt widzenia tego drugiego może być słuszny. Gary z czasem skreślił mnie z listy odwiedzających. Nie poczułem się tym urażony ani zawstydzony. Przeciwnie, sprawiło mi to ulgę.

Tymczasem Frank nadal widywał się z Garym. Niedawno przysłał mi list, w którym opowiedział o tych wizytach:

Zacząłem Gary'ego odwiedzać po liście, jaki od niego dostałem. Przepelniały go ból i nienawiść, gdyż nie mógł zapomnieć o swojej rodzinie. Przypominał mi kogoś, kto jest gotów skoczyć z dachu jedenastopiętrowego budynku.

Podczas pierwszej wizyty zaskoczyło mnie to, jak bardzo się zmienił. Wyglądał gorzej niż kiedykolwiek przedtem. Jednym z tematów naszej rozmowy byli klawisze. Gary powiedział, że wszyscy strażnicy to cipy i cały czas próbują tylko poróżnić człowieka z jego kumplami.

- No dobra, Gary, a czy przynajmniej traktują cię tu przyzwoicie?
- Wiesz, jak jest, Frank, nikogo z nas nie traktuje się tu tak, jakbyśmy byli ludźmi. Oni wszyscy próbują cię tylko podejść, nie zgadzasz się ze mną?
- Nie, Gary. Moim zdaniem niektórzy strażnicy dają dupy, to fakt, ale niektórzy

więźniowie też dają, że hej.

- Wiesz, Frank, stary chłopie, nie masz racji. Wszyscy strażnicy dają dupy. Tak lub inaczej. Ale ty powinieneś to wiedzieć. Przecież byłeś w więzieniu. Jesteś zawodowcem jak ja.

- Nie - sprostowałem. - Nie jestem nawet amatorem. - Próbowałem mu to jakoś wyjaśnić: - Słuchaj, Gary, też cię nie widzę w tym gronie. Zrobiłbym wszystko co tylko mogę, żeby pomóc ci się stąd wydostać. Ale, na Boga, czemu nie pomyślisz, że ostatnim razem sam się tu wpakowałeś? Czemu nie pomyślisz, że sam siebie tu trzymasz?

- Pieprzysz, Frank. Nie chcę cię urazić. Po prostu ci mówię. Ani ty, ani nikt inny nie może nawet zrozumieć, przez co przeszedłem. Więc pieprzysz, człowieku. Wiesz, naprawdę to olewam, kiedy ludzie tacy jak ty biorą mnie na spytki i faszują tymi gównianymi naukami, których nie potrzebuję i z których nigdy nic skorzystam. Słuchaj, wiesz, co się z tobą dzieje po siedmiu czy ośmiu latach tutaj? Nie! To po kiego wała wciskasz mi ten kit, palancie? No, po kiego, głupku?

- Dobra, Gary, nie złość się. Pogadajmy lepiej o tym, co obaj znamy. Powiedz mi, co pamiętasz z domu.

0 Same głupstwa, Frank. To znaczy pamiętam, że jedzenie było naprawdę dobre i że tatko popijał. Możesz sobie myśleć, że był kimś wielkim, proszę bardzo, ale dla mnie był takim samym palantem jak ty - no, może z tym wyjątkiem, że był jednak od ciebie lepszy. Ale nie potrafię powiedzieć ile. Słuchaj, Frank, naprawdę nie chcę cię urazić, ale jesteś palant. Spójrz prawdzie w oczy. Nie chcę wcale przez to powiedzieć, żebyś miał być gorszy od reszty rodziny, nie. Przynajmniej pamiętałeś, że jeszcze żyję. A cała reszta rodziny - jeśli chcesz ich nazywać rodziną - nie pamięta o niczym, kiedy coś mi się przytrafia. Już choćby tym się wyróżniasz, że jesteś bratem w tej rodzinie kompletnych palantów. To nie znaczy, że się o ciebie nie troszczę. Ale w końcu, czy cię naprawdę obchodzi, co ja w ogóle myślę?

- Tak, Gary. Tak, rozumiem cię.

Gary odwrócił się i wskazał innego więźnia, który siedział parę miejsc dalej w pokoju widzeń. A potem powiedział:

- Nie sądzisz, że ten pierdoła wygląda jak Woody Allen? Koleś jest prawdziwym palantem. Myśli, że każdy z nas jest bydlakiem, a jego kumple to strażnicy. Nasłuchał się tych bzdetów, zanim tu trafił.

A potem wskazał w prawo na jednego ze strażników powiedział tak głośno, jak tylko mógł:

- Widzisz tego tam pierdołę? Mówią, że obraca swoją siostrunię, a ja nawet w to

wierzę.

Strażnik podszedł do nas i powiedział:

- Jeszcze jedna taka uwaga, Gilmore, i po wizycie.

Gary roześmiał się.

- Ten palant nigdy mnie nie lubił.

Nie przypominam sobie ani jednego widzenia, żeby Gary nie wspomniał choć raz, jak bardzo nienawidził taty i jak cały czas tato go tłukł.

- W większości wypadków nie pamiętam nawet powodów, dla których dostawałem manto. Osiągnął tym jedynie tyle, że go znienawidziłem.

Zawsze bolałem nad tym że opuszczam Gary'ego. Ta myśl doskwierała mi bardziej, niż mógł to sobie wyobrazić. Może nawet bardziej, niż ktokolwiek mógł to sobie wyobrazić. Nic miałem mu za złe, że wypominał mi w gniewie te wszystkie rzeczy czy obrzucał mnie wyzwiskami. Sądziłem, że lepiej będzie dla mego, jeśli sobie ulży moim kosztem, wyładuje się na mnie, niżby miał potem przysparzać więcej kłopotów w więzieniu.

Pod koniec 1973 roku Gary wszczął na nowo swoją wojnę ozęby. Żądał kolejnych szcęk, wdawał się w zatargi ze strażnikami. Domagał się też od kumpli, by popierali go w tej walce. Mieli wspierać każdy jego protest i każde żądanie i przyłączać się do każdej awantury. Jeśli tego nie robili, uważał to za przejaw nielojalności, a nie należał do tych, co lekce sobie wazą obrazę. Było coraz więcej starć z dentystami, więcej ataków na wrogów w murach więzienia. Wszyscy strażnicy zgadzali się z opinią, że gdyby tylko Gary dał któremuś z nich wystarczający powód, ten strzeliłby do niego bez wahania.

- Szkoda, że się na mnie nie rzucił - mówił jeden ze strażników. - Wtedy mógłbym go skasować. Ale Gilmore był bez jaj i tylko czekał, byś odwrócił się do niego plecami, wtedy cię zaczepiał.

Gary wiedział, że strażnicy mają na niego oko, i próbował przekonać paru więźniów, że powinni zabić ze dwóch klawiszy. Ale oni uważali, że przekracza miarkę. Nie widzieli żadnego powodu, żeby zabijać strażnika i spieprzać. To byłoby samobójstwo.

Jesienią 1974 roku Gary zakochał się w pewnej kobiecie, miała na imię Becky. Poznali się przez inną kobietę, która odwiedzała w więzieniu jego kumpla. Becky zaczęła pisać do Gary'ego, a potem przyjeżdżała na widzenia. Mówiła, że na pewno jakoś mu się ułoży i rozpocznie nowe życie, na przykład w Kanadzie. Zapewniała, że gotowa jest zrobić wszystko, by uzyskać dla niego zwolnienie, jeśli obieca jej zmienić swoje życie poskromić gwałtowność. Gary się zgodził. Zapytał Becky, czy nie wyszłaby za niego. Powiedziała: tak.

Najpierw jednak musiała poddać się operacji - coś, co wyglądało na raka, od

dłuższego czasu przysparzało jej wielu cierpień. Umarła na stole operacyjnym.

Kiedy Gary dowiedział się o jej śmierci, wybrał się do więziennego psychiatry i poprosił o jakieś leki. Psychiatra jednak uznał, iż depresja nie jest tak poważna, by uzasadniała rozpoczęcie leczenia, i odesłał go z powrotem do celi.

W ciągu kolejnego miesiąca Gary wszczywał wiele incydentów z użyciem przemocy, a jego usposobienie stało się jeszcze gwałtowniejsze. Któregoś dnia pociął się żyłką zabarykadował w celi. Oznajmił, że chce się zabić i pokroi każdego, kto będzie próbował mu w tym przeszkodzić. Wystarczyło paru strażników i puszka gazu drażniącego, żeby go spacyfikować i odebrać żyłkę.

W tej sytuacji doktor Weissert zdecydował, że trzeba wznowić prolixin. Zanotował: „Odnoszę wrażenie, że Gilmore znalazł się w stanie paranoidalnym i nie jest zdolny do pokierowania swymi sprawami. Nie potrafi już sam opanować wrogich i agresywnych impulsów, zatem konieczna wydaje się kontrola jego zachowania za pomocą środków zewnętrznych. Stwarza realne zagrożenie dla bezpieczeństwa fizycznego swojego i innych, ryzyko jest już zbyt duże. Zalecam w tej sytuacji domięśniowe podawanie środków uspokajających, by przywrócić niezbędną kontrolę nad przejawami wrogości i agresywności pacjenta, dopóki sam nie będzie w stanie jej sprawować... Podawanie tego środka w stanie psychozy paranoidalnej wydaje się bardzo skuteczną terapią, nastawioną na usunięcie objawów, w następstwie czego można sobie potem łatwiej radzić z jego stanem. Podawanie Gilmore'owi leku wbrew jego woli wydaje się w pełni uzasadnione, gdyż stwarza on poważne zagrożenie zarówno dla siebie, jak i dla całego otoczenia”.

Kiedy Gary dowiedział się o zaleceniu doktora Weis - serta, zwrócił się z pisemną prośbą do naczelnika Hoyta

Cuppa o zastosowanie jakiejś innej formy kary. Twierdził, że boi się prolixinu bardziej niż cegokolwiek na świecie nie sądzi, by mógł przetrzymać kolejne dawki tego leku. Dodawał, że woli już spędzić resztę życia bez zębów niż poddać się dalszej kuracji.

Naczelnik Cupp zaproponował Gary'emu układ polubowny: przeniesienie do zakładu karnego w Marion w stanie Illinois, dysponującego najlepszymi środkami bezpieczeństwa. Przede wszystkim dlatego, argumentował Cupp, iż w więzieniu w Salem Gary stanowi zagrożenie dla każdego, nie wyłączając samego siebie. Szerzyły się też plotki, że ostatnie wybryki Gary'ego zniechęciły doń wielu jego dawnych kumpli i stronników, którzy teraz przestali go lubić. Mówili nawet, że go zabiją.

Gary zgodził się na przeniesienie. A potem w ostatniej chwili zmienił zdanie. Powiedział Cuppowi, iż sądzi, że to przeniesienie jest bezprawne. No i z Salem miał blisko do



przyjaciół i rodziny w Oregonie. Cupp uparł się jednak, że czy tego chce, czy nie, i tak pojedzie do Marion.

W nocy 21 stycznia 1975 roku Gary siedział w celi, czekając na strażników. O północy mieli go stąd zabrać przewieźć samolotem do Illinois.

- Człowieku, nie chcę tam jechać - powiedział kumplowi z sąsiedniej celi, facetowi imieniem Roger. - A przynajmniej nic wyniosę się bez hałasu. Kiedy po mnie przyjdą, zrób coś, dobra? Jakies małe piekielko, przywal dobrze po kratkach. Chcę, żeby każdy wiedział, co się kroi i że to nie jest w porządku.

Roger zgodził się spełnić prośbę. Niezależnie od tego, co inni więźniowie myśleli o Garym, był przecież ich kumplem, a kumple muszą na sobie wzajemnie polegać.

Kiedy klawisze zeszli po Gary'ego, Roger spał. Mój brat spytał, czy może obudzić przyjaciela, żeby się z nim pożegnać. Nie wyrazili sprzeciwu.

Zawołał Rogera po imieniu. Przyjaciel się zbudził, ujrzał Gary'ego otoczonego klawiszami i już zaczął podnosić rwetes, gdy mój brat poprosił, żeby się uciszył.

- Wszystko w porządku. Wyjdę stąd po cichu. Chciałem się tylko przekonać, czy nadal jesteśmy przyjaciółmi.

Roger wyciągnął rękę.

- No dobra, to trzymaj się! - powiedział.

- Tak - odparł Gary, ściskając mu dłoń. - Może kiedyś się spotkamy. A teraz muszę sobie jeszcze poszukać dwóch mormonów.

Roger myślał potem trochę o tych ostatnich słowach Gary'ego. Cóż one mogły znaczyć?

Minęło półtora roku, zanim się dowiedział, co Gary miał wówczas na myśli. Ale wtedy Gary Gilmore był już najsłynniejszym zabójcą Ameryki.

## ROZDZIAŁ 2

### NIEBEZPIECZNY I SŁAWNY



Po przybyciu do zakładu karnego w Marion w stanie Illinois Gary wciąż wnosił petycje do naczelnika Cuppa o zgodę na powrót do Salem. „Chcę wyciągnąć rękę i naprawić krzywdy, jakie w życiu wyrządziłem. Czekam na odpowiedź”.

Cupp odpisał, że nie poczynił żadnych planów dotyczących zmiany obecnego układu. To, czy Gary wróci kiedykolwiek do Salem, wskazywał, zależy od raportów, jakie będą napływały z Marion.

Gary zrozumiał, że znalazł się w martwym punkcie. Marion miało reputację miejsca, gdzie nie cackali się z więźniami; klawisze byli tu obcesowi, a sposoby izolacji sztywne i nieprzyjemne.

Nic mogę z całą pewnością twierdzić, że Gary był w Marion kimś w rodzaju wzorowego więźnia, ponieważ federalny system więziennictwa nie udostępnił mi akt. Jeśli jednak wziąć pod uwagę dokumentację z Salem, to nie ulega wątpliwości, że jego zachowanie uległo radykalnej poprawie. Liczne listy od psychiatrów więziennych i funkcjonariuszy stwierdzają, że Gary przejawiał przyjazne nastawienie i chęć do współpracy. Jeden z lekarzy napisał: „Nie wykazuje choroby psychicznej w postaci psychozy ani też o podłożu organicznym; nie wymagał stosowania szczególnych procedur ani testów. Z psychiatrycznego (neuropsychiatrycznego) punktu widzenia, o ile zdołałem to ustalić, pobyt w więzieniu państwowym w Marion przyniósł mu największe korzyści”. W świetle opinii zakładu karnego w Marion Gary mógłby wrócić do Salem. Dodatkowo wynikła jeszcze inna kwestia: według wszelkiego prawdopodobieństwa przeniesienie nie miało podstaw prawnych i gdyby Gary nagłośnił swój przypadek w prasie, Salem musiałoby go przyjąć z powrotem, niezależnie od woli naczelnika.

Stanowisko Cuppa pozostało jednak niewzruszone. W czerwcowej notatce do zarządu oregońskiego systemu zakładów karnych stwierdził, co następuje: „Muszę pozostać nieugięty, jeśli idzie o moją opinię co do możliwości powrotu Gary’ego Gilmore’a do [Salem]. Prześledziliśmy przebieg jego dotychczasowej kary i jak z tego wynika, wciąż ponawiały się u niego najbardziej kłopotliwe wzorce. W naszych obecnych warunkach musiałbym odmówić trzymania go tutaj nawet przez pół roku”.

Tak więc Gary ugrzązł tam, gdzie był: tysiąc mil od domu.

Pewnego dnia na początku listopada 1975 roku mama siedziała z Frankiem w saloniku przyczepy, naradzając się, w jaki sposób można by skrócić Gary’emu drogę do domu, gdy nagle przerwała w pół zdania. Twarz jej pobladła, otworzyła szeroko usta, jakby chciała coś powiedzieć, i zaczęła spluwać krwią. Krew sikała z taką siłą, że spryskała ściany przyczepy. Mama osunęła się z krzesła na podłogę. Frank podbiegł ku niej i uniósł jej głowę.

- Mamo - odezwał się. - Mamo! Co się dzieje?

Nie doczekał się odpowiedzi, a krew wciąż tryskała.

Frank pobiegł do właścicielki posesji, wyjaśnił, co się stało, i poprosił, by zadzwoniła po karetkę. Jeszcze zanim wrócił, mama usiłowała wspiąć się na krzesło.

- Nie chcę żadnej karetki - mówiła. - Wszystko jest w porządku. Chyba coś zjadłam. Nie cierpię szpitala. Tam tylko straszą ludzi. - Osunęła się ponownie na ziemię i zemdląła.

Gdy obudziła się po kilku godzinach, leżała w szpitalnym łóżku. Rozejrzała się wokół. Znała ten pokój. Znała to łóżko. To był ten sam pokój i łóżko w oregońskim szpitalu miejskim, gdzie leżał Gaylen, gdy uchodziło z niego życie. Mama wrzasnęła, żeby przywołać pielęgniarkę. upływem lat dokuczał mamie rozwijający się artretyzm. Brała aspirynę, żeby złagodzić ból, nie na wiele to jednak się zdało. Za każdym razem, gdy ją widziałem, ręce miała coraz bardziej niewładne. Falce zakręcały się do wewnątrz niczym szpony jakiegoś ptaka, z trudem przesuwała stopy po ziemi. W pracy też poruszała się coraz wolniej i wszyscy wiedzieliśmy, że już wkrótce ją straci.

Próbowaliśmy z Frankiem szukać pomocy u lekarza, było to jednak daremne. Mama nie lubiła lekarzy albo im nie ufała, a co gorsza, nie należała do tych, których można było do czegokolwiek przekonać, jeśli tego nie chciała. Zdaje się, że wszyscy mamy to po niej.

Brała więc aspirynę. To była jej jedyna ochrona przed bólem. Nie mieliśmy pojęcia, że pochłaniała takie ogromne ilości, czasami fiołkę dziennie. Wszystko to niszczyło jej żołądek, a w dniu, kiedy osunęła się przed Frankiem, przyczyną ataku była nadżerka w ściankach żołądka, która spowodowała nagłą perforację. Gdyby Franka wtedy nie było, mogłaby tak umrzeć, leżąc we własnej krwi na brudnej kuchennej podłodze.

Teraz, w szpitalu, powróciła jej świadomość, a lekarze byli niemal pewni, że tylko natychmiastowa operacja może ją uratować. Potrzebowali na to zgody krewnych. Frank nie chciał jej wyrazić, ponieważ zabieg wymagał transfuzji krwi, co było sprzeczne z wyznaniem świadków Jehowy. Zadzwoniłem do lekarza mamy i powiedziałem, że przyjmuję odpowiedzialność za tę decyzję. Mogli więc zrobić wszystko co niezbędne, by uratować jej życie.

Zoperowali ją w dwa dni po przybyciu do szpitala. Żołądek okazał się tak zniszczony, że trzeba było wyciąć większą jego część, a resztę uformować w niewielki woreczek. Miała kłopoty z jedzeniem; musiała żyć zgodnie z określonym reżimem diety, a gdyby od niego odstąpiła, pojawiłoby się ryzyko nowej perforacji.

Kiedy pierwszy raz odwiedziłem mamę w szpitalu, nie odzyskała jeszcze

przytomności po zabiegu. Miała rurki podłączone do ciała i wyglądała jak martwa. Przestraszyłem się, że operacja na nic się nie zdała. Później, kiedy wyszła ze szpitala i wróciła do domu, przez pewien czas trudno mi było nawiązać z nią kontakt. Wtedy w szpitalu pogodziłem się już z tym, że nie przeżyje, i w głębi duszy pochowałem ją i opłakałem. Czasami wydawało mi się wręcz nierealne, że wciąż jest wśród nas. Cieszyłem się, oczywiście, ale paraliżowała mnie myśl, że któregoś dnia będę musiał ponownie przeżywać jej śmierć. Raz to aż nadto.

Problemy zdrowotne mamy spowodowały nagły zwrot w sprawie Gary'ego. Wysłał do zarządu oregońskiego systemu zakładów karnych kilka listów z prośbą o powrót do Oregonu. Matka jest w stanie bliskim śmierci, wyjaśniał, więc on sam obawia się, czy zdąży na czas wrócić do domu, by zobaczyć ją żywą. Dałby za to własne życie, powiedział. Chciał uzyskać zwolnienie warunkowe, by zaopiekować się matką.

Zarząd znalazł się w trudnej sytuacji. Podstawy prawne przetrzymywania Gary'ego w Marion i tak były co najmniej wątpliwe, teraz doszła do tego jeszcze kwestia moralna.

Cokolwiek dyrekcja więzienia myślała na temat Gary'ego, nie mogła przecież podważać siły uczucia łączącego go z matką. Z drugiej strony naczelnik Cupp nadal oponował przeciw ponownemu przyjęciu Gary'ego. W liście do zarządu stanowego napisał: „Ewentualny powrót Gary'ego Gil - more'a do oddziału oregońskiego zakładu ryzyko, które obejmuje elementy nieprzewidywalne i stwarzające zbyt duże zagrożenie. Wolałbym uniknąć ryzyka tego rodzaju. Zgodnie z posiadanymi przeze mnie informacjami... komisja zwolnień warunkowych zamierza w tym miesiącu rozpatrzyć przypadek Gary'ego. Po ocenie komisji będziemy dysponowali pewnymi przesłankami co do dalszej decyzji”. Otrzymał odpowiedź, w której go uprzedzono, że tym razem może nie mieć w tej sprawie wyboru. Gary sprawował się w Marion bardzo dobrze, a ze zdrowiem jego matki istotnie było coraz gorzej. Gdyby nie wrócił do Salem, mógłby uzyskać zwolnienie warunkowe.

Gary zaczął tymczasem korespondować z kuzynką Brendą w Provo. Brenda była córką ukochanej siostry mojej mamy, Idy, i lubianego przez wszystkich wuja Vernona. Zawsze bardzo wyróżniała Gary'ego, choć podobnie jak reszta rodziny, w ostatnich latach trochę się od niego oddaliła. Teraz jednak, kiedy zaczęli do siebie pisać, ujrzała otwierające się przed nim nowe perspektywy: umiał spojrzeć bardziej krytycznie na własne błędy i tęsknił za życiem rodzinnym, którego był pozbawiony przez lata przebywania w więzieniu. Był przy tym inteligentnym facetem i zasługiwał na to, by mu okazać współczucie. Brenda sądziła, iż Gary jest już gotowy do życia w społeczeństwie, i uważała, iż obowiązkiem rodziny jest go przygarnąć i pomóc mu stanąć na nogi. W listach krążących między Brendą, Garym,

oregońskim systemem zakładów karnych i naczelnikiem więzienia w Marion dopracowano w końcu szczegóły planu zwolnienia warunkowego. Gary miał pozostawać pod opieką rodziny w Utah: kuzynki Brendy i jej męża Johnny'ego oraz Verna i Idy. Powinien podjąć pracę, porzucić złe nawyki oraz przestępczy tryb życia i być w stałym kontakcie z wyznaczonym funkcjonariuszem.

Nie mógłby się też oddalać poza granice stanu Utah. Gdyby w ciągu kilku najbliższych miesięcy przestrzegał wszystkich tych punktów, mógłby uzyskać zezwolenie na podróż do Oregonu i zobaczyć się z matką, a nawet mógłby się starać pobyt w tym stanie. Jeśli idzie o mamę, to zawsze była gotowa wybrać się do Utah, o ile tylko pozwoli jej na to stan zdrowia.

9 kwietnia 1976 roku Gary został zwolniony z zakładu w Marion w stanie Illinois i po podróży autobusem do St. Louis, Missouri, wsiadł w samolot do Salt Lake City w Utah. Brenda i jej mąż Johnny odebrali go z lotniska przewieźli do jego nowego domu w Provo.

Mama była równie zaskoczona tymi nowinami jak ja. Nie sądziłem, że te negocjacje mogą doprowadzić do zwolnienia Gary'ego. Kiedy mama mi powiedziała, że mój brat został zwolniony i przekazany pod opiekę rodziny, której nie widział od blisko trzydziestu lat, żyjącej w sercu najbardziej nabożnej i surowej społeczności mormonów, przyszły mi na myśl słowa: „To chyba nie jest dobry pomysł”. Ledwo zdążyłem je wypowiedzieć, poczułem się niewdzięcznikiem. Jak to, czy chciałbym, by Gary spędził resztę życia w więzieniu? Czy nie zasługuje na jeszcze jedną szansę życia na wolności?

Są dni, które zmieniają wszelkie życiowe perspektywy: sposób pojmowania przeszłości i spojrzenie w przyszłość. Nic nie pozostaje takie jak kiedyś, a z tym, co się wówczas przydarza, trzeba już żyć do końca. Dla mojej rodziny - i dla wielu innych osób - takie dni nadeszły z końcem lipca 1976 roku.

Oto czego się dowiedzieliśmy.

W dolinie Willamette w stanie Oregon panował upał. W takie dni zamknięcie w przyczepie stawało się dla mamy szczególnie dokuczliwe. Kilka miesięcy wcześniej, w związku z kłopotami zdrowotnymi, musiała zrezygnować z posady pomocnicy kelnera w restauracji w Milwaukie. Żyła z zasiłków opieki społecznej i z pieniędzy, które Frank przynosił do domu z tytułu swoich dorywczych zajęć. Rzadko odważała się wyściubić nos z domu. Połączony efekt resekcji żołądka i artretyzmu uczynił z niej od ludka, ku czemu jakby dążyła przez te wszystkie lata.

Przy tym zachowywała pogodę ducha. Gary został zwolniony z więzienia i zakochał się w pięknej młodej kobiecie z Provo. Ledwo dwa tygodnie temu otrzymała od niego list.

„Nie wiedziałem, że można być tak szczęśliwym” - pisał. Zapytywał również, czy odwiedziłaby go w Utah, gdyby wysłał jej pieniądze na pokrycie kosztów podróży. Zapewniał, że zadbałby o wszelkie wygody. Bardzo chciał ją widzieć. Tego upalnego popołudnia mama dowlokła się jakoś do fotela wystawionego przed małym gankiem z przodu przyczepy i usiadła, cały czas się wachlując. Myślała o zaproszeniu Gary’ego i o tym, jak bardzo pragnie go zobaczyć. Uznała, że powinna zebrać trochę sił przed podróżą. Dobrze byłoby znowu ujrzeć Utah.

A potem zadzwonił telefon.

Mama weszła wolnym, chwiejnym krokiem do przyczepy i zbliżyła się do aparatu. To zawsze trochę trwało, zanim zdołała podnieść słuchawkę, a każdy, kto do niej dzwonił, wiedział, że dzwonek musi trochę podźwiężyć.

Usłyszała głos Brendy. Chciała rozmawiać z Frankiem. To jakoś dziwnie uderzyło mamę.

- Nie ma go tu, Brendo. Jest w pracy Czy stało się coś złego? Coś się przytrafiło Gary’emu? O co chodzi?

- Wszystko jest dobrze, ciociu Bessie. Ale chyba naprawdę powinnam poczekać i porozmawiać z Frankiem.

- Brendo, powiedz mi, co się stało.

Usłyszała, jak Brenda po tamtej stronie nabiera tchu.

- Bessie, zatrzymali Gary’ego pod zarzutem zabójstwa pierwszego stopnia. Zabił dwóch mężczyzn strzałem w głowę i przestrzelił sobie kciuk.

Brenda w razie potrzeby potrafiła mówić bez osłonek, ale takiej bezczelności mama nie była już w stanie znieść.

- Nie wierzę ci - powiedziała Brendzie. - Ten Gary, którego znam, nie zrobiłby czegoś takiego.

- Wiesz, Bessie, lepiej będzie dla ciebie, jeśli w to uwierzysz. Zabił dwóch młodych mormonów.

Brenda wręczyła słuchawkę Vemowi. Potwierdził to, co mówiła Brenda, i podał więcej szczegółów.

- Zbierz się teraz do kupy, Bessie. Ostatnio przywrócili tu karę śmierci. Ludzie są rozgniewani. Chyba chcą zabić Gary’ego.

Mama pozostała przy telefonie. Zadzwoniła do więzienia w Utah, gdzie trzymano Gary’ego. Kiedy zgłosił się oficer policji, powiedziała mu, kim jest.

- Nie zabijajcie mojego chłopca - błagała z płaczem. - Proszę, tylko go nie

zabijajcie. Tak się natrudziliśmy, żeby wyciągnąć go z więzienia.

Oficer się wzruszył. Zapewnił ją, że nikt w więzieniu nie zamierza skrzywdzić Gary'ego. A potem wyszedł i powiedział mojemu bratu, że mama czeka przy telefonie, chce z nim mówić.

- Powiedz jej, że mnie nie ma - odezwał się Gary.
- Bardzo zabawne, Gilmore. Chcesz rozmawiać czy nie?
- Nie, nie chcę. Nie wiem, co mógłbym jej powiedzieć.

Wiele pracowałem w tym tygodniu, przycinałem drzewa, malowałem płoty - opowiadał mi później Frank. - To ciężka harówka, ale zarazem zajęcie, dzięki któremu czułem się wreszcie szczęśliwy. Zatrzymałem się w drodze do domu, wstępując do paru sklepów, żeby kupić coś na obiad dla mnie i dla mamy. Przyniosłem wszystko w dużej torbie, a mama na to: „Zostaw te zakupy. Muszę ci coś powiedzieć”. Schowałem torbę, odwróciłem się do niej, mama zaczęła płakać. Pomyślałem najpierw, że coś się stało któremuś z braci. Spytałem ją o to. Powiedziałem: „Mamo, mam nadzieję, że z moimi braćmi wszystko w porządku”. Odezwała się wreszcie: „Tak, z twoimi braćmi wszystko w porządku, ale... wiesz, Gary zamordował kogoś w Provo”. Tyle się dowiedziałem. Powiedziała mi to, a wiesz, jak ona potrafi płakać, trudno zrozumieć cokolwiek, co wtedy mówi.

W końcu uspokoiła się na tyle, że mogła mi powiedzieć, co się stało: aresztowano go za zabójstwo dwóch osób, jednej na stacji benzynowej, drugiej w motelu, obu w zamiarach rabunkowych i najwyraźniej z zimną krwią. Pamiętam, że musiałem usiąść. Minęło parę godzin, zanim byłem w stanie się ruszyć. Siedziałem tak, skrajnie przygnębiony. Przygotowałem wreszcie mamie coś do jedzenia, a potem napisałem list do Gary'ego. Zaraz na początku wielkimi literami: „Co się stało, Gary?”, jeszcze coś pod spodem i posłałem mu to. Nie wspomniał o tym, co zaszło. Napisał tylko: „Jestem w więzieniu”. To wszystko.

Spytałem jeszcze Franka, czy po otrzymaniu tych wieści nie poczuł, że jego życie zamarło.

- Na parę godzin, tak. Długo trwało, zanim się jakoś otrząsnąłem. Słyszeliśmy już tyle złych wiadomości o Gary'ym, lecz czegoś takiego się nie spodziewałem. Pamiętam, że byłem w tym okresie szczęśliwy, nie tylko dlatego, że miałem pracę, która akurat mi odpowiadała, czy z tego powodu, że pracowałem z ludźmi, których lubiłem. Byłem szczęśliwy, bo po raz pierwszy od wielu lat odnalazłem wewnętrzny spokój. Nikt z rodziny nie siedział w więzieniu i już samo to było dostatecznie niezwykle. A kiedy wracałem z pracy do domu, słyszałem od mamy wieści w rodzaju: „Ach, wiesz, Gary pracuje i ma jakąś dziewczynę, mają swój mały kącik”. Pomyślałem sobie: „Cholera, wreszcie ten facet żyje jak

człowiek, jak normalny człowiek. Wszyscy w mojej rodzinie są na wolności, sprawują się jak należy, mogę się tylko cieszyć”. A potem, gdy to się stało i zrozumiałem, że to prawda, wszystko jakby się cofnęło. Do tego tym razem chodziło o zabójstwo. Więc sobie powiedziałem: „Dobra, przynajmniej więcej nie wyjdzie. Teraz już nie. Już nigdy nie zaznam tego wewnętrznego spokoju, że wszyscy są na wolności i robią, co trzeba”. Czułem się taki silny, kiedy on wyszedł, naprawdę było mi z tym dobrze. Tego właśnie pragnąłem. Jakbym znalazł kopalnię złota. Lecz potem odkryłem, że jestem w śmiertelnej pułapce. Wtedy to poczułem. Prawdziwy ból.

Byłem ostatnim, który się o tym dowiedział. Mama nie zadzwoniła, żeby mi przekazać tę wiadomość. Nie była w stanie.

Podobnie jak Frank, przeżywałem wtedy dobre dni. Zrezygnowałem z pracy na oddziale odwykowym dla narkomanów - miałem dość oglądania ludzi, którzy dokonali w życiu złych wyborów i często umierali w następstwie rozwijającej się depresji. Parę lat wcześniej zdobyłem się wreszcie na odwagę, by robić to, o czym zawsze marzyłem: zacząłem pisać o muzyce. Pisywałem do lokalnych dzienników, a teraz zacząłem posyłać kawałki do dużych krajowych gazet. Patrzyłem z nadzieją w przyszłość.

Pracowałem też w sklepie płytowym w centrum Portlandu, żeby mieć na życie. Podobało mi się to, że wokół rozbrzmiewała muzyka. Większość klientów była w porządku, ale czasami miałem do czynienia z gorszymi stronami tej pracy. Zdarzało się, że musieliśmy zatrzymać złodziei sklepowych, a niekiedy stawaliśmy wobec konieczności użycia przemocy. Jak parę tygodni temu, gdy przyłapaliśmy całą złodziejską rodzinę; wszystkie kieszenie płaszczy i torby mieli wyładowane kasetami. Kiedy zatrzymałem ich przy drzwiach, sięgnęli po noże. Na szczęście dla mnie współpracownik wezwał policję, która stanęła w drzwiach w tym samym momencie, gdy zabłyśły noże.

Potem, gdy sprawa poszła do sądu, sędzia spytał kobietę, która wyciągnęła nóż, dlaczego nosi go w torebce.

- Zabrałam go na piknik - wyjaśniła.
- Piknik z nożem sprężynowym? - zaśmiał się sędzia.

W piątek wieczorem, dziewiątego dnia po aresztowaniu

Gary’ego, wróciłem do domu, zmordowany po ośmiu godzinach pracy w upale. Ponieważ następnego dnia musiałem otworzyć sklep o dziesiątej rano, zrezygnowałem z drinka z przyjaciółmi i poszedłem od razu do domu.

W telewizji nadawali *Dziką bandę* Sama Peckinpaha, powalającą na kolana rozprawę o przemocy i honorze. Półseny przysiadłem na kanapce, żeby trochę popatrzeć, a potem



zerknąłem jeszcze w ostatnie wydanie „The Oregonian”. Przemknąłem wzrokiem po tytule na stronie drugiej: ORE - GOŃCZYK ZATRZYMANY PO MORDERSTWIE W UTAH, i instynktownie zacząłem czytać: „Gary Gilmore, lat 35, został zatrzymany pod zarzutem zabójstwa dwóch młodych sprzedawców, dokonanego na stacji benzynowej i w motelu...” Oszołomiony, czytałem o aresztowaniu Gary’ego. Max Jensen i Ben Bushnell zostali zabici w dwie kolejne lipcowe noce. Obaj byli mormonami, w tym samym wieku co ja, obaj mieli żony i małe dzieci.

Kompletnie mnie to ogłuszyło. Wziąłem gazetę, poszedłem do kuchni i zacząłem wymiotować do zlewu. Zaalarmowana odgłosami, zjawiała się moja przyjaciółka Andrea.

- Stało się coś złego? - spytała.

Powiedziałem jej.

Przesiedziałem całą noc na kanapce, czytając wciąż od nowa tę pobieżną relację. Czulem wstyd, wyrzuty sumienia... a także wściekłość. To mogło przytrafić się i mnie, pomyślałem, mogłem stać się ofiarą podobnie bezsensownego rabunku.

Nazajutrz wybrałem się do mamy; Oak Grove był odległy osześć mil od mojego mieszkania w Portlandzie. Mogłem zadzwonić i zapytać, czy wiedziała o tych zabójstwach, ale wydało mi się to zbyt zimne i oschłe. Martwiłem się o jej zdrowie. Miała sześćdziesiąt trzy lata i nigdy nie odzyskała sił, jakimi cieszyła się jeszcze kilka miesięcy przed operacją; po prostu nie było to możliwe. Okazało się, że wiedziała owszystkim od ponad tygodnia, ale nie mogła się przemóc, by mnie zawiadomić. Siedzieliśmy tam w ciasnocie jej posępnego domu, patrząc na siebie poprzez bezmiar niszczącej nas wspólnej historii, i w końcu do mnie dotarło, że ona przecież zawsze żyła bliżej tego horroru niż ja. Powiedziała przez łzy:

- Czy możesz sobie wyobrazić, co czuje matka syna, którego kocha, a który pozbawił synów dwie inne matki? Gdybym tam była, nie mógłby zabić tych chłopców. Wiem, że umiałabym go powstrzymać, umiałabym ochłodzić jego serce - dodała, chowając twarz w dłoniach, a potem znów zalała się łzami.

W okresie między zwolnieniem z więzienia a tymi fatalnymi lipcowymi wypadkami Gary krótko pracował w sklepie obuwniczym wuja Vernona, spotkał też Nicole Barrett, piękną młodą kobietę z dwójką dzieci, i zakochał się w niej. Trudno jednak było mu się wyzbyć pewnych starych, mniej chlubnych zachcianek. Niemal zaraz po wyjściu z więzienia znów zaczął ostro pić, brał także fiorinal, środek na bóle mięśni i głowy, który nadużywany może powodować ostre wahania nastroju i zaburzenia seksualne. U Gary’ego najwidoczniej wystąpiły oba te objawy. Stał się też bardzo gwałtowny. Zachowywał się brutalnie wobec Nicole po nieudanym stosunku lub kiedy podejrzewał zdradę z jej strony. Nieraz staczał też

bójki z mężczyznami; pojawiał się znienacka za ich plecami i wywijając łyżką od opon niczym dyrygent pałeczką, groził, że poprzestawia im twarze. W krótkim czasie stracił pracę, nadużył zaufania krewnych w Utah; wdawał się w zwadę niemal z każdym, kto mu się nawinął. Dużo pił, jeszcze więcej brał. Wchodził do sklepów i wychodził z czym chciał pod pachą, patrząc przy tym na kasjerki z taką wściekłością, że byłyby chyba szalone, gdyby próbowały go zatrzymać. Bawił się bronią w domu: siadywał na tylnej werandzie, walił w drzewa, w płoty, mierzył do zachodzącego słońca.

- Rozwałę to słońce - odgrażał się Nicole. - Zobaczysz, zaraz zajdzie.

Kiedy po raz kolejny rzucił się na nią z pięściami, Nicole uznała, iż żaden mężczyzna już nigdy jej nie uderzy. Spakowała swoje rzeczy, zabrała dzieci i wyjechała. Gary próbował ją odzyskać, ale daremnie. Nalegał jeszcze przez jakiś czas, ale Nicole nabrała już do niego dystansu. Wtedy powiedział kumpłowi, że chyba ją zabije.

Pewnej upalnej nocy pod koniec lipca Gary podjechał pod dom jej matki i namówił młodszą siostrę Nicole, April, na przejażdżkę jego białą furgonetką. Chciał się tylko przejechać, pogadać, wypić trochę piwa i rozejrzeć się za Nicole, mówiła April. Jeździli parę godzin, słuchali radia, gadali coś bez ładu i składu, wreszcie Gary zatrzymał się gdzieś na rogu przy stacji benzynowej w pobliżu małego miasteczka Orem. Powiedział April, żeby zaczekała w wozie. Wszedł na stację; zastał tam tylko dwudziestosześcioletniego pomocnika, Maksa Jensa. Nie było żadnych innych wozów. Nad Utah zapadła już noc. Gary wyciągnął z kieszeni kurtki pistolet automatyczny kalibru 22 i kazał Jensenowi wyjąć gotówkę z kieszeni. Zabrał mu torbę z utargiem. Potem wprowadził mężczyznę na zaplecze i zmusił go, by się położył na podłodze umywalni. Powiedział, żeby wsunął ręce pod brzuch i nie unosił głowy znad ziemi. Jensen zrobił, co mu kazano, i nawet uśmiechnął się do Gary'ego. Ten jednak przytknął mu broń do potylicy.

- To za mnie - powiedział i pociągnął za spust. - A to za Nicole. - I pociągnął jeszcze raz.

Wrócił do furgonetki. April siedziała w kabinie, radio ryczało, ale wiedziała, że coś się stało. Była wystraszona.

Pojeździli trochę w kółko, a potem trafili do kina dla zmotoryzowanych na *Lot nad kukulczym gniazdem*. Film wzburzył jednak April, która spędziła trochę czasu w szpitalu psychiatrycznym po jakichś złych doświadczeniach z LSD i zbiorowym gwałcie. Nakłoniła Gary'ego, by odjechali stamtąd przed końcem filmu. Wpadli do Brendy, ale wizyta się nie kleiła. Kuzynka chyba powiedziała coś przykrego. Eskapada skończyła się w Holiday Inn, gdzie wypalili trochę trawki, a potem Gary usiłował zedrzeć z April ubranie. Zachowywała

się jednak tak dziwnie, że do stosunku nie doszło.

Następnej nocy Gary wybrał się do biura motelu, oddalonego tylko o parę posesji od domu wuja Vernona w Provo. Mężczyźni za ladą, innemu młodemu mormonowi nazwisku Ben Bushnell, kazał się położyć na podłodze strzelił mu w tył głowy. Wyszedł z motelu ze skrytką na pieniądze pod pachą. Chciał wyrzucić pistolet w krzaki, gdy ten wypalił, robiąc mu dziurę w kciuku.

Gary uznał więc, że najwyższa pora wynieść się z miasta. Przede wszystkim jednak, musiał się zająć zranionym kciukiem. Podjechał pod dom swego kumpla Craiga i zadzwonił do Brendy. Tymczasem jakiś świadek rozpoznał Gary'ego - go, gdy ten opuszczał miejsce drugiego zabójstwa, i policja już skontaktowała się z Brendą. Gary zrozumiał, że Brenda nie udzieli mu pomocy, wsiadł w furgonetkę i skierował się na miejscowe lotnisko. Po przejechaniu kilku mil, tuż przed domem Nicole, został otoczony przez wozy policyjne i drużynę uderzeniową SWAT. Aresztowano go pod zarzutem morderstwa Bushnella, a dzień czy dwa później przyznał się do zabójstwa Maksa Jensena.

Proces Gary'ego rozpoczął się po kilku miesiącach, choć od początku przypadek ten nie budził wątpliwości. Ponadto Gary nie ułatwił sprawy, nie pozwalając adwokatom na dopuszczenie Nicole jako świadka obrony. (Nicole i Gary już się pogodzili; okropnie się czuła po jego aresztowaniu, a teraz odwiedzała go w więzieniu, spędzając tu codziennie parę godzin). Nie ułatwiał też sprawy, wpatrując się groźnie w członków ławy przysięgłych i składając wojownicze zeznania we własnym imieniu. Wyrok i jego uzasadnienie nie były więc niespodzianką: został uznany za winnego i skazany na śmierć. Zwracając się do sądu, prosił jedynie o wykonanie wyroku przez rozstrzelanie, a nie przez powieszenie.

Wieczorem 7 października, po odczytaniu wyroku, mama powiadomiła mnie telefonicznie, że Gary przyjął karę śmierci. Powtórzyłem jej tylko słowa pocieszenia, które słyszałem od moich przyjaciół.

- Mamo - powiedziałem - w tym kraju od dziesięciu lat nie wykonano żadnej egzekucji i nie mogą tego złamać dla Gary'ego.

Odłożyłem słuchawkę, wyszedłem na dwór i usiadłem na krawężniku przed domem. Siedziałem tam długo, wpatrzony w pobliską rzekę, póki nie nadeszła moja przyjaciółka, wyciągając ku mnie rękę.

- Wiem, że to straszne - przyznała. - Ale przecież nie mogą go zabić. Już nigdy w Ameryce nie pośle się nikogo na śmierć.

- Nie - odparłem po chwili. - Ty tego nie rozumiesz. On chce umrzeć. Wykonają na nim wyrok. Po to się narodził.

Przez parę tygodni po tych zabójstwach i ogłoszeniu wyroku śmierci nękały mnie żal, gniew i bolesne upokorzenie. Nie mogłem w to uwierzyć, że mój brat skazuje swoją rodzinę na życie w tak wielkim koszmarze i wstydzie, i nic mogłem mu wybaczyć tego, co uczynił rodzinom Maksa Jensena i Bena Bushnella. Modliłem się o to, by w jakiś sposób ten przerażający epizod już minął, żeby Gary mógł wreszcie zmarnować resztę życia w gorzkiej pustce więzienia w Utah.

Potem usiłowałem jakoś żyć dalej. Powiedziałem swym najbliższym przyjaciołom o tym, co się stało; czułem, że powinienem pozwolić im zdecydować, czy nadal chcą pozostawać przyjaciółmi brata mordercy - ale nie wspomniałem o tym wydawcy ani dziennikarzom w miejscu pracy. Wciąż myślałem, jak by gdzieś zakopać tę straszną prawdę, żeby nie mogła się rozlewać na resztę mojego życia i niszczyć marzeń, jakie mogłem jeszcze mieć.

Jesienią 1976 roku dowiedziałem się, że „Rolling Stone” przyjął mój artykuł do publikacji. Ucieszyłem się. Odkąd zacząłem czytać ten magazyn, marzyłem o tym, że pewnego dnia będę dla niego pisał. Na początku listopada udałem się do San Francisco, żeby podpisać umowę i spotkać się z redaktorami pisma. Współpraca układała się dobrze i mój przełożony, Ben FongTorres, uważał, że moglibyśmy ją rozszerzyć. Nie mogłem się wprost doczekać, kiedy wrócę do domu i opowiem o tym swojej przyjaciółce.

Właśnie wysiadałem z samolotu na lotnisku w Portlan - dzie, gdy z głośników usłyszałem swoje nazwisko:

- Pan Mikal Gilmore! Proszę skorzystać z czerwonego telefonu. Pilna wiadomość dla pana.

Podniosłem słuchawkę. To była Andrea.

- Przepraszam za spóźnienie. Przez całe popołudnie byłem z twoją matką. Miała wypadek, przewróciła się. Chyba powinieneś od razu się z nią zobaczyć.

Andrea poprosiła naszego wspólnego przyjaciela, Michaela, by wyjechał po mnie na lotnisko. Nawiasem mówiąc, spodziewałem się, że po drodze usłyszę od niego coś więcej. Michael jednak był ponury i milczał jak grób.

Mama pokazała mi natychmiast tytuł na frontowej stronie „The Oregonian”:  
**SKAZANY ZABÓJCA PROSI UTAH**

**OWYKONANIE NA NIM WYROKU ŚMIERCI** Podczas gdy przebywałem w San Francisco, Gary zrezygnował z prawa do apelacji i rewizji, domagając się egzekucji. Sędzia J. Robert Bullock zgodził się i wyznaczył jej termin na poniedziałek, 15 listopada.

Byłem wstrząśnięty poniosło mnie. Pomyślałem sobie, że Gary szarżuje, ale

wiedziałem też, że jedynym stanem w Unii, który byłby szczęśliwy, spełniając jego prośbę, jest właśnie Utah, ze swym szczególnym nabożeństwem do Zadoścuczynienia Krwi lak się okazało, jeszcze tego samego dnia adwokaci Gary'ego, mimo jego protestów, wnieśli owstrzymanie egzekucji, a Sąd Najwyższy Utah wyraził na to zgodę.

Tej nocy, po powrocie do domu, usiadłem nad flaszką wina i próbowałem spokojnie rozważyć sytuację. Pamiętam, że pomyślałem, iż nic już nie pozostanie takie samo. Nie dla mnie, nie dla mojej rodziny, może nawet nie dla kraju, w którym żyłem. Pamiętam też, że pomyślałem, iż przeszłość i przyszłość jakby się dla mnie zamykają, a wszystko, co jest, sprowadza się do okropnego teraz: jakiegoś teraz będącego bramą do koszmaru, z którego nikt z nas nie potrafi się wyzwolić.

Nazajutrz doszedłem do wniosku, że muszę się spotkać z Garym. Zadzwoiłem do więzienia w Draper. Ku memu zdumieniu w dwie minuty miałem Gary'ego na linii.

Nasza pierwsza rozmowa była grzeczna, lecz mało konkretna. Gary szybko się zniecierpliwiał.

- Powiesz, o co ci chodzi?

- Gary, traktujesz to poważnie?

- A jak ci się zdaje?

- Nie wiem.

- No właśnie, nie wiesz. Nigdy mnie nie znałeś. - Gary wysoko ustawił poprzeczkę. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. - Posłuchaj - ciągnął już łagodniejszym tonem. - Nie chcę cię pouczać, ale to musi się stac, tak czy inaczej. Nie możesz nic zrobić, żeby to powstrzymać, a ja nawet nie chcę, żebyś mnie lubił. Tak będzie mi łatwiej. Wygląda na to, że rozmawiamy ze sobą tylko z okazji czyjejś śmierci. A teraz chodzi o moją.

Nie spodziewałem się takiego ataku z jego strony. Poczulem się bezradny.

- A co na to mama? - zapytałem.

- No wiesz, chcę się zobaczyć z mamą, zanim to wszystko się skończy - odparł Gary. - Najpierw robię próbę na tobie. Może potem pójdzie mi łatwiej. Bo faktycznie traktuję to serio i nie chcę, żeby mi ktoś przeszkadzał. To wyłącznie moja sprawa, nikogo innego. Zabiłem dwóch ludzi, sąd skazał mnie na śmierć, a ja przyjmuję ten wyrok. Nie zamierzam spędzić reszty życia w sądzie lub w więzieniu. Straciłem wolność już dawno temu. A teraz chcę wreszcie zakończyć to, co zacząłem przed dwudziestu laty.

Chciałem coś powiedzieć, ale się powstrzymałem.

- Coś nic tak? - spytał Gary

- Trudno słuchać czegoś takiego z ust kogoś, kogo się kocha...

- Daj sobie spokój - przerwał mi Gary. - Nie pozwolę nikomu się ranić i nie chcę, żebyś myślał, że jestem jakimś „wrażliwym” artystą, bo maluję obrazki czy piszę wiersze. Zabiłem Z zimną krwią.

Usłyszałem głos strażnika, że czas się skończył.

Nazajutrz dowiedziałem się z telewizji o udanym wystąpieniu Gary’ego przed Sądem Najwyższym Utah, zobaczyłem też krótkie wstawki filmowe, pokazujące, jak mój brat wychodzi w kajdanach z sali rozpraw, z tym swoim nieufnym, kłującym spojrzeniem. Budził w takich momentach współczucie i strach, ja też go nienawidziłem za to, co zwałił na głowę sobie samemu i własnej rodzinie. Trudno mi było wprost uwierzyć w jego bezczelność, w ostentacyjną beznamiętność, z jaką dążył do tego usankcjonowanego przez państwo samobójstwa, czynu popełnianego z nie mniejszą premedytacją niż morderstwo.

Nie mogłem się pogodzić z tym niewybrednym stylem, w jakim podawano do wiadomości publicznej najbardziej bolesne i osobiste aspekty historii mojej rodziny. Przeszłość, od której próbowałem uciec, była teraz wszędzie, co noc. Gary pojawiał się w wiadomościach krajowych każdego wieczoru. Mogłem go też zobaczyć na pierwszej stronie każdej amerykańskiej gazety, patrzył właśnie na mnie z okładki „Newsweeka”. Wewnątrz były zdjęcia z naszego rodzinnego albumu. Również zdjęcie z tego odległego świątecznego poranka, z ojcem, Garym, Gaylenem i mną, ustawionymi pod sznurek. Nikt na tym zdjęciu nie wyglądał na szczęśliwego. Boże, czyż to nie były te święta, kiedy Gary wszedł do mojego pokoju, żeby głosić swą filozofię samo - upokorzenia?

Tego samego tygodnia, w którym ukazał się ów „rodzinny” numer „Newsweeka”, otrzymałem telefon.

- Czy to Mika] Gilmore? - spytał głos po tamtej stronie. - Jestem z „Los Angeles Times” i chciałbym z panem porozmawiać o pańskim bracie, Garym Gilmore.

Powiedziałem, że to nie ten Gilmore, i odwiesiłem słuchawkę. Już po południu zmieniono mi numer. Wiedziałem, że nie da się uciec od tego, co się dzieje, ale nie chciałem w tym uczestniczyć. Trudno sobie to wyobrazić, ów zawrót głowy, którego doznajesz, gdy wydarzenia wynoszą twoje życie na szczyt zainteresowania całego świata.

Raził mnie sposób, w jaki ten przypadek był postrzegany - jako coś nieodwracalnego, jakieś straszliwe fatum, którego nie da się odwrócić ani zmienić. Nie mogłem pojąć nowoczesnych amerykańskich sądów, odrzucających procedurę, strukturę i logikę prawa tylko po to, by zadośćuczynić wyzwaniu brawury bądź zaspokoić czyjeś pragnienie samobójstwa. To było tak, jakby ktoś został schwytyany w pułapkę nowości, ekscytacji, zastępczą martwość zdarzenia i nie mógł się z niej wydobyć.

Uznałem, iż mam tego dość. Wbrew woli mego brata zacząłem zasięgać porad prawnych w Utah, żeby się dowiedzieć, czy rodzina może coś zrobić, żeby wstrzymać egzekucję.

Nazajutrz ustępujący gubernator Utah, Calvin Rampton, zarządził zawieszenie wykonania wyroku, referując sprawę na posiedzeniu Rady Stanu do Spraw Ułaskawień, i według Gary'ego zasłużył sobie tym na epitet „moralnego tchórza”. Wieczorem tego dnia otrzymałem telefon od Anthony'ego Amsterdama ze Szkoły Prawniczej w Stanfordzie, długoletniego, kompetentnego przeciwnika kary śmierci i członka palestry Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych. Naszkicował mi metodę postępowania, jaką moglibyśmy zastosować w tej sprawie. Członek rodziny może powołać adwokata, który doprowadziłby do zawieszenia wykonania wyroku orzeczonego przez Sąd Najwyższy, przy czym okres tego zawieszenia byłby wyznaczony gotowością sądu do rewizji sprawy i decyzją o podjęciu tej rewizji. Praktycznie oznaczałoby to, że Gary'emu trzeba by wytoczyć nowy proces.

Przekazałem tę wiadomość mamie, która także porozmawiała z Amsterdajem. Zgodziliśmy się, że byłoby rozsądne wstrzymać się do czasu decyzji Rady do Spraw Ułaskawień.

We wtorek rano, 16 listopada, dzień po wyznaczonym terminie egzekucji, Amsterdam zadzwonił do mnie z nowiną o próbie samobójczej Gary'ego i Nicole przez przedawkowanie środków uspokajających. Była to dla mnie pierwsza realna wskazówka, że wszelkie wysiłki zmierzające do ratowania życia Gary'emu mogą spełznąć na niczym. Można, jak sądzę, skazywać ludzi na śmierć, ale nie na życie. Gary miał za sobą długą listę zamachów samobójczych, choć niewiele z tych prób miało poważny charakter. Ale ponawiały się one od lat, zwłaszcza te z użyciem żyłki czy rozbitej żarówki. O ile mi wiadomo, nigdy nie usiłował odebrać sobie życia, zażywając środki farmakologiczne.

W okresie między zwolnieniem Gary'ego ze szpitala a sesją Rady do Spraw Ułaskawień odbyłem z nim jeszcze jedną rozmowę telefoniczną. Był w kiepskim humorze, gdyż szpital, w którym leżała Nicole, nie pozwalał mu się z nią kontaktować. W związku z tym Gary nasilił protest. Próbowałem mu uświadomić cenę, jaką rodzina musi dziś płacić, powiedzieć o cyrku, jaki się wokół niego rozpiął, i o tym, jak przeczy to jego staraniom o nadanie tej sprawie godności.

0        Czy jestem ci coś winien? - warknął. - Nie będę już tobie myślał jako o swoim bracie.

Straciłem panowanie.

-        Rzygać mi się chce od tego, co ze sobą wyprawiasz - odparłem. - Niszczysz

mnóstwo ludzi dla własnych egoistycznych względów, a tylko obrażasz i znieważasz tych, którzy nie chcą patrzeć, jak umierasz.

Odwiesił słuchawkę.

30 listopada Rada do Spraw Ułaskawień uznała, że egzekucja może się odbyć. Przewidując taką decyzję, poleciałem do San Francisco, żeby wręczyć Amsterdamowi upoważnienie do działania w sprawie z ramienia mojej mamy

Wydarzenia rozgrywały się szybko. 3 grudnia Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych zezwolił na zawieszenie wykonania wyroku. Ale nasze żądania były ignorowane przez władze więzienne, a Gary ogłosił list otwarty, w którym prosił matkę, by się „nie wtrącała”. Przez cały ten czas ani on, ani żaden z jego przedstawicieli prawnych nie próbował się kontaktować z członkami rodziny spoza Utah. Podpisano natomiast kontrakt z pisarzem i wydawcą, Law - rence'em Schillerem, który kupił od Gary'ego prawa do książki i filmu o nim, oraz poproszono siostrę mamy, Idę, jej męża, Vernona Damico (który zastąpił jednego z wcześniejszych przedstawicieli Gary'ego, Dennisa Boaza, jako jego agent), o odwiedzenie mamy, jakoby po to, by zadośćuczynić poprzednim zaniedbaniom, gdy nie liczono się z jej stanowiskiem czy uczuciami.

Jakiegokolwiek rachuby próbowano z tym wiązać, wszystkie poszły w ką, gdy Vern i Ida mogli stwierdzić, jaki jest naprawdę stan zdrowia mojej mamy i w jakich warunkach mieszka w przyczepie. Vern wstąpił do sklepu, żeby kupić jej coś do jedzenia, a Ida w tym czasie trochę posprzątała. Pojawiły się rozdzwiewki między mamą a jej bliskimi: mama była przekonana, że krewni w Utah ukradli jej syna i wykorzystują jego strasliwą sławę dla własnej korzyści. Ale była też i miłość: opuścili przecież rodzinę, żeby się z nią zobaczyć. Wuj trzymał mamę w swych krzepkich, wielkich ramionach, a gdy tak płakała nad czynami Gary'ego i jego przeklętym losem, Vern i Ida jej wtórowali.

Przed odjazdem Vern wyjął z kieszeni płaszcz a tysiąc dolarów i położył je na stole. Powiedział mamie, że Gary zostawia jej te pieniądze, jeśli podpisze oświadczenie, że odstępuje od starań o jego uwolnienie. Gary chciał także, by wycofała sprzeciw wobec jego egzekucji, a przynajmniej zaniechała dalszych akcji prawnych. Mama spojrzała na te pieniądze i powiedziała: „Dobrze, na pewno mi się przydadzą” - po czym załamała się i znów zaczęła płakać. W końcu odmówiła podpisu i Vernon musiał zabrać pieniądze z powrotem. Wszyscy, którzy w tym uczestniczyli, odczuli niesmak.

13 grudnia rano Sąd Najwyższy uchylił zawieszenie wykonania wyroku, uzasadniając, iż Gary „kierował się najlepszą wiedzą i inteligencją, odstępując od swych praw”. Rezygnacja ta po prostu nas przygniotła.



W końcu mama zdecydowała się na rozmowę telefoniczną z Garym.

- Gary - powiedziała - czy pamiętasz ten dzień, gdy jako dziecko wypadłeś do wody z łodzi, na której mieszkaliśmy w Seattle? Skoczyłam za tobą, ponieważ cię kochałam. A kochałam cię wtedy nie więcej, niż Kocham teraz, więc myślę, że skoczyłabym jeszcze raz, żeby cię złapać. Tak to jest.

- Nie jestem na ciebie zły - odparł Gary. - Mogłem się tego spodziewać. W końcu jesteś moją matką. Wiedziałem, że będziesz próbowała to powstrzymać, bo wiem, że mnie Kochasz. Wiem także, że robisz to dla Mikala.

Poprosił jednak, by wycofała swą interwencję, i mama się zgodziła.

Nazajutrz sędzia Bullock przesunął termin egzekucji na 17 stycznia, a Gary został przeniesiony do izolatki z wyłączeniem wszelkich odwiedzin, także najbliższych osób z rodziny.

W Boże Narodzenie mówiłem sobie i wszystkim, którzy mnie pytali, że nie dbam już o to, co się zdarzy. Popijałem i często brałem prochy. Moja dziewczyna pojechała do domu odwiedzić rodzinę, a ja byłem z każdą kobietą, która mi się nawinęła. Nie mogłem usnąć, brałem pigułki na sen. Szastałem się po domu, rzucałem przedmiotami, niszczyłem pamiątki. Którejś nocy śnił mi się Gary, przywiązany do słupa i dżgany nieustannie bagnetem, podczas gdy ja sam stałem po drugiej stronie płotu, nie mogąc nic zrobić. Rano, kiedy się obudziłem, usłyszałem o jego kolejnej, niemal uwieńczonej sukcesem, próbie samobójczej.

Nagle odczułem rozpaczliwe pragnienie zobaczenia Gary'ego, wyciągnięcia do niego ręki, pojednania - takiego, jakie było możliwe w tych okolicznościach. A jednocześnie uzmysłowilem sobie, że nic nie jestem gotów się pogodzić z jego egzekucją. Niezależnie od tego, co ma się stać, wcale nie chcę, by umarł.



OSTATNIE SŁOWA

## ROZDZIAŁ 3

We wtorek rano, 11 stycznia, wsiedliśmy z Frankiem na pokład samolotu do Salt Lake. Próbowaliśmy trochę rozmawiać podczas lotu, ale po chwili mój brat pogрузzył się w posępnym milczeniu. Wiedziałem, jak bardzo przeżywa to, co nas spotkało.

Ja tymczasem zacząłem się zastanawiać nad paroma sprawami, o których przedtem nie myślałem. Zmierzałem do Utah, by spotkać się z pewnym człowiekiem, moim krewnym, którego nigdy naprawdę nie znałem. Stosunek między nami przepełniały gorycz i zawziętość. Mógłbym powiedzieć, że byliśmy całkiem różnymi ludźmi; mówiłem to sobie przez lata i w jakimś sensie miałem rację. Gary był zabójcą, ja nie. A jednak, w gruncie rzeczy, obaj byliśmy dziś potworami, każdy z nas był zdecydowany pójść własną drogą, nic oglądając się na mordercze nawet skutki dla innych.

Chciałem zrobić wszystko co konieczne, by powstrzymać egzekucję Gary'ego. Wiedziałem, co trzeba czynić. Wmawiałem sobie, że działam z wysokich pobudek moralnych - nie wierzyłem w skuteczność kary śmierci, a egzekucja Gary'ego z pewnością przyspieszyłaby powrót tego środka - ale były jeszcze inne powody, może mniej wielkoduszne. Nie chciałem śmierci Gary'ego, ponieważ wiedziałem, że obróci ona w ruinę życie moje i pozostałych członków rodziny. Nie chciałem żyć z piętnem brata kogoś, kto przywrócił Ameryce karę śmierci. Miałem przecież prawo do własnych nadziei, mówiłem sobie, a te nadzieje nigdy się nic ziszcza, bo jestem złączony więzami braterstwa z tym wstydem i hańbą. Świat będzie mnie osądzał za czyny Gary'ego, a ja nie chciałem dzielić potępienia, które jego spotkało. A przecież miałem jeszcze przed sobą całe życie...

Aby postawić na swoim, musiałbym narzucić własną wolę zarówno tej sytuacji, jak i bratu. Podjąć takie działania prawne, które zapobiegłyby wykonaniu egzekucji, być może nawet na całe lata. Wiedziałem, że gdyby mi się to udało, pozbawiłbym go tego osobliwego momentu, w którym stał się panem historii. Co gorsza, skazywałoby go to na inną formę cierpienia, jakim było oczekiwanie na nierychłą śmierć w piekle więzienia; mimo tych strasznych czynów, jakich Gary się dopuścił, nie miałem wątpliwości, że bardzo cierpiał w tych ostatnich miesiącach i że jego oczekiwanie na śmierć nie było łatwe. Ale nawet gdybym

ja sam zrezygnował z przysparzania mu cierpień, nie odstąpią od tego pozostali członkowie rodziny. Musiałbym stanąć przed mamą i zobaczyć wyraz jej twarzy, gdy usłyszy, że egzekucja zostanie wykonana. Nie chciałbym widzieć twarzy matki w tym momencie, wszystko, tylko nie to.

Nawet gdybym miał nadzieje na uratowanie bratu życia w trakcie tej wizyty (Tylko co to, u diabła, miałoby znaczyć? Niby jak można uratować życie człowieka, którego dusza jest już zgubiona?), nie poczułbym się wcale z tego powodu lepszym człowiekiem. W istocie, może już nigdy nie poczułbym się kimś dobiym. Taka możliwość, mniej niż pewność, spłynęła na mnie gdzieś z nieba podczas tego lotu. Kiedy samolot wylądował, byłem w miejscu, gdzie ludzie postanawiają, kto będzie żył, a kto ma umrzeć. Było to miejsce zarówno fizyczne, jak i duchowe, zmierzałem tu przez całe życie, tak samo jak Gary. To dramat, w którym role zostały już rozdane.

Kiedy przybywasz w takie miejsce, próbujesz zmyć z rąk plamy krwi, a tego nigdy nie da się usunąć ani nie da się o tym zapomnieć.

Nie, nie byłem dobrym człowiekiem i nie mógłbym nim już być. Impet mojej kroniki krwi pozbawił mnie tej możliwości.

Znaleźliśmy się w Salt Lake City. Richard Giauaque czekał już na lotnisku w rollsroisie. Usprawiedliwił się zaraz za ten blichtr - pożyczył wóz od współnika dosłownie w ostatniej chwili. Jak nam wyjaśnił w drodze do Draper, uzyskanie zawieszenia wykonania wyroku było możliwe, dopóki prawomocność kary śmierci w Utah nie została konstytucyjnie potwierdzona.

Więzienie znajdowało się w dolinie Salt Lake w miejscu znanym jako „próg góry”. Z powodu ciężkiego oparu niemal do ostatniej chwili nie można było zobaczyć łańcucha górskiego, schodzącego zakosami ku więzieniu. Zajmowało ono sam środek płaskiego zagłębienia, otoczonego wysokimi, wznoszącymi się pod ostrym kątem śnieżnymi zboczami. Rozciągał się stamtąd może najpiękniejszy widok na całą dolinę.

Wóz musiał się zatrzymać przy centralnej wieżyczce, gdzie strażnik zezwolił nam zjechać wąską dróżką w dół, zalecając przy tym zachowanie najwyższej ostrożności, ku niewielkiemu budynkowi z kolejną wieżyczką, okolonemu podwójnym ogrodzeniem z drutu kolczastego. Gary był tu najściślej strzeżony i praktycznie biorąc, nic wolno mu było przyjmować żadnych odwiedzieli, z wyjątkiem wizyt adwokatów. To dzisiejsze widzenie odbywało się na zasadzie szczególnego wyjątku. Wprowadzono nas do trójkątnego pomieszczenia, uprzedzając, iż jest to wizyta bez możliwości fizycznego kontaktu.

Drzwi się rozsunęły i stanął się w nich Gary, blade, ubrany w białoczerwony

więzienny uniform, w niebieskich tenisówkach, wywijając młynka grzebieniem i uśmiechając się szeroko. Oglądając wciąż te ponure, zimne zdjęcia i wstawki filmowe, zupełnie zapomniałem, jaki potrafi być czarujący.

- Wyglądasz w porządku jak zwykle - odezwał się do Franka, a do mnie powiedział: - Jesteś tak cholernie chudy jak zawsze. - Ustawił ławki na wprost okna pokoju strażników. - Niech ci biedni głupcy mają mnie na oku - wyjaśnił.

Po pięciu minutach wstępnej wymiany zdań poczuliśmy się trochę swobodniej w tym obcym otoczeniu i można było przejść do nieuchronnego meritum. Gary'emu zwężała się twarz, gdy wymieniliśmy nazwisko skazanego w Teksasie Roberta Excella White'a, którego walka o życie zbiegła się w czasie z prośbą mego brata o wykonanie egzekucji. Wzruszył ramionami.

- Tak, chcecie pewnie powiedzieć: jakie to dwuznaczne. Tylko że to nie ma ze mną nic wspólnego. Wiecie, przez jakiś czas czułem się winny wobec tych wszystkich skazańców na karę główną i po części właśnie dlatego chciałem się zabić. Jestem już trochę zmęczony tym, że każdy zrzuca na mnie odpowiedzialność. Nie dbam o to, co się stanie z tymi wszystkimi gwałcicielami i oprawcami. Mogą ich zabrać i od razu jutro rozstrzelać, proszę bardzo. To, co mnie spotka, ich nie dotyczy; ich sprawy będą osądzone na miarę ich zasług.

Poruszyłem sprawę interwencji, ale Gary uciał to z miejsca.

- Słuchaj, nic chcę, żeby mi ktoś przeszkadzał, żadne tam powody zewnętrzne czy jacyś prawnicy w rodzaju Amster - dama. - Wyciągnął rękę i dotknął mego policzka, patrząc mi w oczy. - Mam nadzieję, że on nie macza w tym palców, co?

Zanim zdołałem odpowiedzieć, drzwi się rozsunęły i do pokoju wizyt weszli wuj Vernon i ciocia Ida. Mieli wyznaczone widzenie prywatne! Byłem pewny, że mamy Gary'ego wyłącznie dla siebie, a tu tymczasem, po piętnastu minutach naszej ostatniej rozmowy z bratem, wpieprzają się nagle, jakby nigdy nic, wuj Vernon i ciocia Ida, którzy znacznie się wzbogacą, jeśli tylko Gary usiądzie za tydzień na wielkim drewnianym krześle i pozwoli, by pięciu nieznajomych wystrzeliło mu serię pocisków prosto w serce. Ten Vernon i ta Ida, nasz wuj i nasza ciotka. Byłem tak wściekły, że chciałem zderzyć z ich zasranych twarzy te przypochebne, familiarne uśmieszki, chciałem mocno nimi potrząsnąć.

Dalszy ciąg odwiedzin stał się denerwujący. Najwięcej mówili Gary i Vernon: wymieniali liczne osoby, którym Gary chciał zostawić jakieś pieniądze, i opowiadali stosowne na tę okazję makabryczne dowcipy. Vernon przytargał ze sobą torbę zielonych

podkoszulków ozdobionych napisem GILMORE - ŻYCZENIE ŚMIERCI i komputerowym zdjęciem Gary'ego. Najwidoczniej zostały zrobione na zamówienie jego lub Ver - nona. Rozmawiali o tym, czy Gary mógłby włożyć jeden z nich w dniu egzekucji - potem ten egzemplarz poszedłby na aukcji z największym przebicciem. Zrobiło mi się niedobrze. Po dziewięćdziesięciu minutach wizyta była skończona.

Kiedy wychodziliśmy, Gary dał mi tshirt.

- Chyba jest na mnie za duży, Gary.

- Dobra - powiedział z południowym zaśpiewem, śmiejąc się - może i jest trochę za duży, ale myślę, że do niego dorośniesz.

Przyjąłem podkoszulek.

- Czy jest jeszcze coś, co mogę dla ciebie zrobić w mieście? - spytał Vernon.

Powiedziałem, że chciałbym, aby zaaranżował spotkanie adwokatów Gary'ego, Rona Stangera i Moody'ego, z Lar - rym Schillerem.

Po powrocie do Salt Lake City postanowiłem zostać jeszcze pare dni i spróbować odwiedzić Gary'ego na własną rękę. W biurze Giauque'a wspomniałem o swoich mieszanych odczuciach - z jednej strony byłem zdecydowanym przeciwnikiem kary śmierci, niezależnie od rodzaju popełnionego przestępstwa czy życzeń skazańca, ale czułem też, jakie to ważne, żeby nie podejmować pochopnie jakiegoś działania bez uprzedzenia Gary'ego; nie byłem przygotowany na to, iż zrobię wszystko, by ratować mu życie, skoro jedynym rezultatem tych wysiłków może być jego ostatnia próba samobójcza.

Poprosiłem Giauque'a, by wymienił mi parę nazwisk dziennikarzy, którzy przyjechali do miasta w związku z tą sprawą. Sądziłem, iż dobrze zorientowany reporter mógłby mnie oświecić, co się kryje za kulisami tej złożonej sytuacji. Większość podanych nazwisk, rozmaitych dziennikarzy w rodzaju Geralda Rivery, należała do ludzi, z którymi nie warto było rozmawiać. Potem wspomniał o Billu Moyersie, byłym rzeczniku prasowym prezydenta Lyndona B. Johnsona; nazwisko tego pisarza i publicysty budziło szacunek.

- Czy mógłbyś mnie umówić z Moyersiem? - spytałem.

Parę godzin później jadłem z nim obiad i piłem u niego w hotelu tak bardzo mi potrzebnego drinka. Miał najwidoczniej jakieś złe przecucia związane z moralnym wymiarem tej sprawy i nie był zadowolony z powrotu kary śmierci do Ameryki. Zgodził się na rozmowę, powiedział mi wszystko, co wie, i zapewnił, że nie wykorzysta bez porozumienia ze mną żadnej informacji, jaką mu podam. Doradził mi też, bym zachował w tych dniach szczególną ostrożność, radząc się wszelkich osobistości związanych z prawem, biznesem czy dziennikarstwem; powinienem raczej działać zgodnie z własnym wyczuciem i

sumieniem, próbując porozumieć się z Garym poprzez to, co sobie wzajemnie możemy powiedzieć. Jeszcze teraz, po upływie tylu lat, muszę przyznać, że życzliwe rady Billa Moyersa w znacznej mierze pomogły mi zachować zdrowy rozsądek w ciągu tego tygodnia. dziewiątej wieczorem zadzwoniłem do Vernona i spytałem, czy zapadły jakiegóż uzgodnienia co do terminu spotkania z Moodym i Stangerem. Prawnicy wciąż byli nieosiągalni, ale Schiller przyleciał już z Los Angeles i chciał się ze mną spotkać w hotelu „Salt Lake Hilton” o pierwszej w nocy. Trochę wypilem i potrzebowałem snu, ale nie chciałem uchybić rzecznikowi sprawy Gary’ego.

W hotelu rozpoznałem Schillera na podstawie zdjęcia opublikowanego w „New West” z 20 grudnia pod artykułem Barry’ego Farrella (jego późniejszego współpracownika researchera) *Handlowanie Carym Cihnorc’em*. On z kolei zauważył moje podobieństwo do Gary’ego. Schiller, który przeprowadzał wywiady dla Alberta Goldmana do biografii osławionego Lenny’ego o Bruce’a, zyskał już sobie szczególną reputację fachmana od śmierci. Miał w zanadru kolejne projekty, dotyczące Marilyn Monroe, Jacka Ruby’ego i morderczynie Sharon Tate, Susan Atkins. Chciałem się z nim spotkać, ponieważ sądziłem, że może uwzględniać w swoich planach także egzekucję mojego brata. Byłem przekonany, że zajmując się sprawą Gary’ego, będę miał wpływ na człowieka, który kupił prawa do tej relacji.

Rozmawiałem z Schillerem prawie dwie godziny. Próbowaliśmy nawzajem wysondować, co każdy z nas robi w Utah i dlaczego interesuje się Garym. Powiedziałem szczerze o moim zainteresowaniu wyborem brata i wszystkim, co może się z tym wiązać. Schiller odniósł się do tego życzliwie, ale nie odkrył kart. Musiało wreszcie paść to pytanie, którego nie dało się unikać: czy dla Schillera Gary jest więcej wart za życia czy po śmierci?

Zawahał się przez chwilę, a potem powiedział:

- Wiele lat temu, gdy pracowałem jako fotoreporter, wysłano mnie na miejsce pożaru. Widząc strażaków wynoszących ludzi przez okna, zadałem sobie pytanie, czy powinienem nadal robić zdjęcia, czy raczej odłożyć aparat i pomagać wyciągać ludzi z ognia. Postanowiłem fotografować. Uznałem, że dokumentowanie tego, co się dzieje, jest obowiązkiem dziennikarza. A odpowiadając na twoje pytanie... jestem tu po to, by zapisywać historię, a nie po to, by ją tworzyć.

Otwartość Schillera pod koniec tej rozmowy zrobiła na mnie wrażenie. Uwierzyłem w jego intencje wobec rodzin Bushnella i Jensena, a także w to, że dotrzyma słowa, przyrzekając mi, iż uważa naszą rozmowę za całkowicie poufną. Odwiózł mnie do hotelu, a kiedy wychodziłem z jego wynajętego wozu, rzucił dziwną uwagę:

- Jakie jest twoje drugie imię?

Podałem mu je. Zanotował to zaraz, a potem zapisał jakiś numer telefonu i wręczył mi kartkę.

- Pod tym adresem możesz zawsze zostawić dla mnie wiadomość, gdybyś chciał się ze mną skontaktować, czy to w „Hiltonie”, czy w „Travelodge” w Orem. Ale używaj tylko tego drugiego imienia, nie nazwiska. Chodzi o to, żeby nie zdradzać kancelarii Stangera, gdzie się zatrzymałeś. Gary nie ma najlepszych prawników w mieście, ale to nic ja ich wybierałem.

Po południu usiłowałem się dodzwonić do hotelu Franka, ale tam go nie było. Dzwoniłem do mamy w Oregonie, żeby sprawdzić, czy nie wrócił do domu, ale o ile wiedziała, wciąż jeszcze powinien być w Salt Lake. Tym razem więc miałem się zobaczyć z Garym sam.

Wpisując się do dziennika odwiedzających w Draper, zauważyłem, że są tam już wpisy Moody’ego i Stangera. Spojrzałem w stronę kabiny telefonicznej i zobaczyłem ich rozmawiających z Garym. Wyjaśniłem oficerowi dyżurnemu, że chciałem pogadać z bratem na osobności. Powiedział, że zrobi, co tylko się da, i wprowadził mnie do tego samego trójkątnego pokoju, w którym byłem wczoraj. Usiadłem w kącie, mając na widoku kabinę. Po chwili wszedł strażnik i powiedział Stangerowi, że dowódca warty chce się z nim widzieć. Kiedy adwokat zniknął za rozsuwanymi kratami, Moody spytał Gary’ego, czy odwiedzi go rodzina. Nie słyszałem, co brat mu odpowiedział.

- Posłuchaj, Gary - ciągnął dalej Moody - ostatniego wieczoru Schiller spotkał się z twoim bratem w „Hiltonie”. On chyba myśli, że Mikal byłby w stanie wstrzymać egzekucję.

Nie mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem. Przesiadłem się na ławkę bliżej kabiny.

- Czy wiesz, że Giauaque przywiózł tu wczoraj twojego brata rollsroyce’em?

Nie usłyszałem następnego zdania, zorientowałem się tylko, że chodzi o hotel, w którym się zameldowałem.

Wrócił strażnik.

- Panie Moody, czy może pan tu podejść na chwilkę?

Moody wyszedł z kabiny, spojrzał na mnie i zrobił zdziwioną minę.

- Kto to jest? - słyszałem, jak pytał, oddalając się korytarzem.

Po jakichś trzydziestu minutach wszedł Gary w czarnej bluzie bez rękawów, kręcąc zaczeponą na kciuku kraciatą czapkę. Razem z nim byli Stanger i Moody. Gary przedstawił nas sobie.

- Przykro mi, że się spotykamy w takich okolicznościach - powiedział Stanger - ale jeśli możemy coś dla ciebie zrobić, po prostu zadzwoń.

Skinąłem głową.

- Cieszę się, że wróciłeś - odezwał się Gary, gdy Moody i Stanger wyszli. Przysiadł na oparciu ławki.

- Gary, zagrajmy w otwarte karty. Słyszałem, co mówili twoi prawnicy. Tak, to prawda. Ostatniego wieczoru widziałem się z Schillerem. Myślę o znalezieniu sposobu na odroczenie egzekucji.

Uśmiech znikł z twarzy Gary'ego; ujrzałem to surowe spojrzenie, które znałem z gazet i magazynów.

- Więc to prawda, że Giauque przywiózł cię tu wczoraj rollsroyce'em?

To samo pytanie zadał mi już wcześniej Schiller. Rolls był symbolem jakiejś potężnej interwencji z zewnątrz. Domyślałem się, że tak go postrzegali, choć to takie banalne... Próbowałem wyjaśnić sytuację, lecz Gary powiedział z gniewem:

- Amsterdam i Giauque to liżący się nawzajem czarni pojebańcy, którzy chcą cię wykorzystać dla jakichś swoich celów. Czemu wtrącają się w moje życie? Bo protestują przeciw karze śmierci? Jestem dla nich jakaś szczególną okazją czy może świętym mężem? Dostałem wyrok. To niezły żarcik, co? Nie zwracaj mi tym głowy.

Uznałem, że lepiej unikać rozmowy o aspektach etycznych czy prawnych.

- Jeśli chcesz wierzyć w te wszystkie brednie o Giau - que'u i Amsterdamie, to twoja sprawa - stwierdziłem. - Tylko że to nie ma nic wspólnego z tobą i ze mną. Podjąłbym każdą akcję, która mogłaby prowadzić do uzyskania odroczenia, do zmiany twojego wyroku.

Gary pokręcił głową.

- To niemożliwe - oświadczył. - Nie mógłbym tego powstrzymać, nawet gdybym chciał. - Umilkł na chwilę. - Naprawdę tego chcesz?

Potwierdziłam, że właśnie tego chcę.

Gary wstał i zaczął przemierzać pokój.

- Nigdy mnie stąd nie wypuszczą, człowieku, a spędziłem już za dużo czasu w więzieniu. Nie zamierzam tu zostać. - Spojrzał mi prosto w oczy. - Zabiłem dwóch ludzi. Nie chcę tu siedzieć przez resztę życia. Gdyby jakiś kutas mnie wypuścił, wziąłbym broń i rozwalilibym tych cholernych prawników, którzy się w to wpierdalają. Więc ci mówię: „W co ty się mieszasz? Jesteś z siebie dumny?”

- Czas minął - oznajmił strażnik.

Gary błysnął na koniec tym swoim luzackim uśmiechem.



- Wróć tu jeszcze, jutro sobie o tym porozmawiamy - powiedział. A kiedy stałem już w drzwiach, zawołał: - Gdzie byłeś przez te dziesięć lat, kiedy cię potrzebowalem?!

Słowa te brzmiały mi w uszach przez całą drogę do Salt

Lakc. Byłem zmieszany i rozbity. Godzinę wcześniej uważałem, że jedyną słuszną decyzją była walka o odroczenie wykonania wyroku - życie, a nie śmierć. Tylko że nie pytałem zdanie samego Gary'ego. Chciałbym zniknąć, zaszyć się w jakiejś mysiej dziurze, gdzie nie istnieją żadne wybory ani sumienie. Gdzie mógłbym zapomnieć o tym, co ujrzałem w oczach Gary'ego.

Wieczorem znów jadłem kolację z Moyersem. Opowiedziałem mu o rozmowie z Garym. Wysłuchał mnie z uwagą zapytał, czy moim zdaniem istnieje możliwość, by sam odwiedził Gary'ego. Wyjaśniłem mu, że wyłączność praw uzyskał Schiller i żaden inny dziennikarz nie może rozmawiać z moim bratem. Wtedy Moyers odparł, że chciałby zapewnić mnie, Gary'ego i Schillera, iż nie wykorzystałby takiego materiału w celach dziennikarskich. Niczego by nie nagrywał ani nie filmował, chyba że uzyskałby na to specjalną zgodę, i nie ujawniłby treści tej rozmowy. Sądzi jedynie, że skoro on i Gary są rodowitymi Teksaszczykami, to może znaleźliby płaszczyznę porozumienia. Sądzi także, że pewne jego uwagi zainteresowałyby mojego brata, a nawet, kto wie, mogłyby go przekonać. Ufałem Moyersowi i powiedziałem, że zobaczę, co da się zrobić.

Potem wyszedłem jeszcze na długi spacer zaśmieczonymi ulicami Salt Lake. Właśnie przechodziłem obok świątyni mormonów, gdy natknąłem się na Franka. W pierwszej chwili mnie nie zauważył. Szedł z rękami w kieszeniach, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Zawołałem go po imieniu.

Powiedziałem mu, że widziałem się z Garym, i wspomniałem, o czym rozmawialiśmy. Powiedziałem też, że mógłby jeszcze wrócić i odwiedzić Gary'ego, ze mną albo sam. Najwyraźniej władze więzienne zapomniały o zastrzeżeniu, że wizyta miała być jednorazowa.

- Nie - odparł Frank - nie zrobię tego. Nie chcę go znów widzieć. - Łzy zakręciły mu się w oczach, odwrócił się na pięcie i odszedł w zimową noc.

Piętnaście lat później byliśmy z Frankiem w Salt Lake, próbując odnowić kontakty rodzinne i odnaleźć jakiś sens wydarzeń z przeszłości. Któregoś popołudnia brat zabrał mnie do Liberty Parku. Gdy byliśmy wszyscy dziećmi i mieszkaliśmy z rodzicami w tym nawiedzonym domu w Salt Lake, Frank i Gary przychodzili tu każdego popołudnia. Biegali, grali w piłkę, płatali psikusy tym zatwardziałym mormonom. Frank przyznał, że były to chyba najszcześniejsze godziny w jego życiu - te, które spędzali razem, zanim Gary zaczął

kraść różne rzeczy i ukrywać je w garażu. Zanim stał się na zawsze złym chłopcem.

Po latach Frank wyjaśnił mi, dlaczego w pewnej chwili postanowił, że nie odwiedzi więcej Gary'ego w więzieniu w Draper. Gdy go zobaczył, wybrał się do parku, usiadł tu, gdzie teraz siedzimy, i zatęsknił do tamtych szczęśliwych dni, które przecież nie musiały się skończyć.

- Nienawidziłem tego, co zrobił Gary. To było okropne. Ale nienawidziłem też tego, co jemu zrobiono. Czy sądzisz, że gdyby Gary nic odsiedział w więzieniu tych dwudziestu dwóch lat, byłby w stanie strzelić człowiekowi w tył głowy w obecności jego brzemiennej żony i małego dziecka? Czy nie byłby dzisiaj kimś zupełnie innym? Strzelił do pracownika stacji benzynowej, a ten podobno żył jeszcze jakiś czas. Tyle słyszałem. Że nic umarł od razu, lecz długo cierpiał. Jestem pewien, że dwadzieścia dwa lata szkoły, jaką Gary przeszedł w tym upodlonym więziennym towarzystwie, uczyniło z niego bestię, która spowodowała tę tragedię. Naoglądał się tam różnych rzeczy. Mówił mi o tym. Widział, jak ludzie się okaleczali, mężczyznę, który obciął sobie obie ręce, widział, jak mordowano tam ludzi. Widział wicie gwałtów i scen. przemocy, a kiedy był młodszy, jego także gwałcono. Bito i gwałcono. Zastraszano. Ale nauczył się z tym żyć. A w miarę jak stawał się starszy, silniejszy i podlejszy, coraz częściej uciekał się do przemocy. Nie zrobili nic, żeby go powstrzymać. To tak, jakby zaliczył dwadzieścia dwa lata służby w Wietnamie. Bywał ofiarą i sam zmuszał innych do ohydnych rzeczy. Mógłby powiedzieć: „Tak, zniszczyli mnie, ale teraz sam jestem tym, który niszczy”. Znajdziesz w tym kraju tysiące ludzi, którzy wiodą podobne życie, a wielu przypuszczalnie dokona tego samego wyboru co Gary, wybierze te same sposoby zabijania i umierania. W warunkach grozy i brutalności wiezienia odmienia się. Osiągną punkt, z którego się już nie wraca. Żyją chwilą, z dnia na dzień, i po jakimś czasie śmierć będzie dla nich dokładnie tym samym, czym jest ich życie - drogą prowadzącą donikąd. Boją się niemal wszystkiego z wyjątkiem śmierci, przynajmniej niektórzy. Stają się naprawdę niebezpieczni. Nie możesz ich zamknąć, bo to jest ich dom. Nie możesz zabić, bo tego właśnie chcą. To są ci twoi niebezpieczni ludzie, a włączają się ich po kraju tysiące, wychowanków tych wszystkich więzień i zakładów karnych. Weź tylko jakiegoś dzieciaka z problemami emocjonalnymi lub rodzinnymi, wsadź go do któregoś z tych odrażających domów poprawczych czy więzień, a z czasem stanie się taki jak nasz brat. Gary osiągnął ów punkt, z którego już nie ma powrotu. Chciał się uwolnić przez śmierć. To właśnie dlatego nie mogłem znów go odwiedzić. Wiedziałem, że naprawdę pragnął śmierci, i to mnie niepokoiło. Nie tylko jej pragnął, lecz czekał na nią jak na święto. Celebrował ją. To był jego exodus. Kiedy widziałem go ostatni raz, jakże był inny od owego posępnego człowieka, którego

odwiedzałem przez lata. Tym razem siedział w pokoju widzeń i strzelał palcami, śmiał się i płała figle. Jakby to była wigilia Bożego Narodzenia. Znalazł świetny sposób, by pokonać system - zabijając samego siebie. Wtedy byłby już poza systemem. Byłby wolny. Jestem przekonany, iż przyjmując ten sposób myślenia, sądził, że wygrał. Zapewne większość z nas nie uznałaby tego za zwycięstwo. Ale on miał właśnie taką koncepcję wolności i oczywiście tę wolność po sobie zostawiał. Odsunąłem się więc od niego. Wiem, że ty i mama chcieliście go ratować, i nigdy nie stawałem wam na drodze. Ale musiałem się od tego zdystansować, jeśli sam chciałem iść dalej i coś robić, ponieważ gdyby go trzymali zamkniętego w tym piekle, nie mógłbym się pozbyć poczucia winy. Nie zmrużyłem chyba oka tej nocy, kiedy po raz ostatni go widziałem. Postanowiłem, że już tam nie wrócę.

Nie mogłem patrzeć na jego cierpienie i nie chciałem oglądać, jak umiera. Siedziałem tego dnia w parku i myślałem: „Nie chcę go widzieć. Próbuję go zachować w sercu i myśli jako chłopca, z którym tu właśnie się bawiłem, tego małego braciszka, którego kochałem, zanim sam siebie zniszczył”. Nie sądzę, by Gary wiedział, że naprawdę go kochałem i że ta decyzja przepelniała mnie smutkiem. Nie sądzę, by kiedykolwiek pomyślał, że naprawdę się o niego martwiłem. By pomyślał o tym, co faktycznie do niego czułem. Skończyłem z nim. Nie miał już szans. I to właśnie chcę ci powiedzieć.

Następnego rana po tym przypadkowym spotkaniu z Frankiem zadzwoniłem do Schillera w Orem. Powtórzyłem mu uwagi, jakie usłyszałem z ust Moody’ego, i wyraziłem rozczarowanie faktem, że pewne elementy tego, co uważałem za poufną rozmowę, zostały przekazane innym.

- Nie ujawniałem Moody’emu ani Stangerowi niczego, co stanowiło treść naszego spotkania.

- Więc kto to zrobił?

- No cóż, powiedziałem parę rzeczy twojemu wujowi Vernonowi, ale tylko dlatego, iż wiedziałem, że to głównie z nim się tutaj kontaktujesz i że nadal będziesz to robił. Widocznie to i owo przekazał Moody’emu czy Stangerowi, a cała reszta to tylko ich domysły.

- Przeprosił mnie, jeśli nadużył mego zaufania, i udzielił mi na koniec pewnej rady: - Nie dzwoń do więzienia przed odwiedzinami. Wiadomości szybko się rozchodzą i mnóstwo osób, nie wyłączając mnie, będzie znało godzinę i minutę, w której przekroczysz próg tej pilnie strzeżonej twierdzy.

Wiedziałem już jednak, że trzeba uzyskać wcześniejsze zezwolenie na wizytę. Poczyniłem przygotowania do popołudniowych odwiedzin, a potem usiadłem i napisałem długi list do Gary’ego. Łatwo zapominałem, co mu chciałem powiedzieć, gdy stawałem

twarzą w twarz z nim i jego gniewem Napisałem, iż niezależnie od wyboru, jakiego dokonałem, to sprawa miłości, czegoś, co jest między nim i mną, a nie sądów czy gazet. Powiedziałem mu, iż sądzę, że odkupienie jest pewniejsze w przypadku wyboru życia, a nie śmierci, i wspomniałem o tych latach, kiedy się go bałem i kiedy wprawiał mnie w zakłopotanie swymi gwałtownymi zachciankami. Zostało już niewiele czasu i chciałem przełamać tę barierę.

Począwszy od tego popołudnia, Gary miał oficjalnie potwierdzać, że spodziewa się gości, co oznaczało, jak na ironię, że musiałem rozmawiać z nim przez telefon. Strażnik przejrzał mój list i wręczył go Gary'emu. Ten czytał spokojnie, w zamyśleniu. Uśmiechnął się, kiedy skończył.

- Jak by to powiedzieć... - odezwał się. - Znasz Nietzschego? Napisał kiedyś, że przychodzi taki czas, gdy powinno się stanąć na wysokości zadania. Właśnie usiłuję to zrobić, Mikal... Słuchaj - zmienił nagle temat. - Myślałem o tym, co powiedziałem wczoraj, o tym „gdzie jesteśmy”. To było niesprawiedliwe. Nie zbliżyłem się do ciebie, gdy byłeś dzieckiem. Nie spowodowała tego nienawiść, choć później mogłem się tak zachowywać. Jesteś moim bratem. Wiem, co to znaczy. Owszem, bywałem na ciebie zły, ale to nie miało nic wspólnego z nienawiścią.

Zmusiłem się do postawienia pytania, o którym myślałem już od kilku dni:

- Co byś zrobił, gdybym spróbował cię powstrzymać?

Skrzywił się.

- Nie chcę, żebyś to robił - powiedział spokojnie.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- Daj spokój.

- Gary, co byś zrobił? Powiedziałeś tylko, że chcesz, by wykonano wyrok. A gdyby ten wyrok został zmieniony?

- Sam bym się zabił. Posłuchaj, nie jestem tu tak ściśle strzeżony, jak ci się wydaje. W trakcie ostatnich dwóch tygodni mogłem się zabić w każdej chwili. Ale, widzisz, pragnę lepszego rozwiązania. Gdybym popełnił samobójstwo, nie mógłbym spłacić długu ludziom, którzy mają większe prawo do życia niż ja, a wszelkie moje życzenia w tej mierze stałyby się natychmiast wątpliwe... Poza tym jeśli ktoś jest tak głupi, by zabić i dać się złapać, nie może kręcić nosem na to, co go spotyka.

Gary mówił dalej: o rzeczywistości więziennej, o brutalności, jakiej zaznał i jaką sam egzekwował na innych. Twierdził, że jest przerażony życiem w więzieniu.

- Może mógłbyś zmienić mój wyrok, ale nie byłbyś w stanie sprawić, bym go

odsiedział, ani być przy mnie, kiedy bym się zabijał.

Gdy mówił o więzieniu, w jego oczach czaił się strach znacznie większy, niż kiedy mówił o zbliżającej się śmierci. Może dlatego, iż to pierwsze było wszechobecną, konkretną rzeczywistością, a drugie tylko abstrakcją.

- Nie sędzę, by śmierć miała być dla mnie czymś nowym czy przerażającym. Myślę, że już tam byłem.

Nasza rozmowa trwała już ponad godzinę. Mówił głównie Gary. Zupełnie zapomniałem o locie powrotnym do domu i o kimś, kto na mnie czekał na parkingu. Po raz pierwszy od lat nawiązało się między nami prawdziwe porozumienie; żaden z nas nie chciał odejść. Gary spytał, czy przyjdę następnego dnia, a ja z kolei zapytałem, czy nie mógłby się spotkać z Billem Moyerssem, tylko po to, by porozmawiać, bez wywiadu. Gary od razu się zgodził, pod warunkiem że nie będzie to nagrywane, ponieważ wyłączność praw ma Schiller.

Wieczorem Schiller sam zadzwonił do Moyersa, żeby mu oznajmić, iż jakkolwiek kontakt z Garym jest wykluczony. Nazajutrz, w piątek, nie poruszałem więc tej sprawy, ale Gary do niej powrócił.

- Schiller nie może mi nakazywać, bym nie widywał się z twoimi przyjaciółmi. On tylko pilnuje tej swojej wyłączności. Skurwiel czasami zachowuje się tak, jakbym był jego własnością, jakby mógł mi dyktować, co mam robić, już raz tak było, gdy go prosiłem, by mi oddał moje prywatne listy do Nicole. Nie chciałbym oglądać tego gówna w druku; z rysunkami inna sprawa, ale od tych listów mu wara. No i wbrew memu wyraźnemu życzeniu Schiller je przeczytał. Powinienem go wtedy z miejsca zwolnić i może szkoda, że tak się nie stało, ale było już za późno, by znaleźć kogoś innego. Jedno, co mogę zrobić, to wycofać jego zaproszenie na egzekucję.

Wstrzymałem się z opinią. Nie chciałem wzniecać waśni między Garym a Schillerem. Powiedziałem, że powinienem wieczorem wrócić do domu i resztę weekendu spędzić z mamą.

- Nie mógłbyś zostać jeszcze jeden dzień? - spytał. - Zobaczylibyśmy się znowu. Mam tę książkę, którą przysłał mi lohnny Cash; chciałbym, żebyś dał ją mamie.

Zgodziłem się wrócić tu następnego dnia, w sobotę; zatrzymał mnie, żeby mi jeszcze coś powiedzieć.

- Wiesz, mówiłem mnóstwo różnych bzdur, że nie dbam oto, co sobie ludzie o mnie pomyślą, ale to nie całkiem jest prawdą. Wcale mi się nie podoba, kiedy o mnie gadają, że jestem porąbany i mam źle w głowie. Nigdy dotąd nikomu tego nie mówiłem, ale nie wiem, co to się porobiło tamtego poniedziałku. Może właśnie dlatego potrzebowałem tego

Schillera, żeby trochę ochłoniąć... Wiem, że mi nie uwierzysz, ale nigdy nie myślałem, że wyjdzie z tego taka wielka afera. Nie spodziewałem się tych książek ani filmów, co najwyżej paru artykułów.

Przyłożyliśmy dłonie do dzielącej nas tafli szkła i pożegnaliśmy się.

Ileż to nieprawdopodobnych skoków i uderzeń wykonuje twoje serce, gdy mówisz z kimś o jego śmierci! Wybór Gary'ego był logiczny i spójny, musiałem to przyznać, ale żaden z argumentów nie był w stanie zachwiać mego pragnienia, żeby brat mógł dalej żyć. To tak, jakbyś usiłował przekonać ukochaną, która już cię nie kocha, żeby mimo to nadal cię kochała, ponieważ nie potrafisz sobie wyobrazić dalszego życia bez niej, bez jej obecności, bez tego wszystkiego, czego najbardziej pragnąłeś lub co najbardziej kochałeś; w tej samej chwili, gdy wypowiadasz swe argumenty i próbujesz ją przekonać, by pozostała przy tobie i nadal cię kochała, wiesz, że wszystkie te wysiłki są daremne, a wraz z nimi próżne jest pragnienie, by powróciła ta utracona wersja twojej przyszłości.

Gdy spierasz się z kimś, kto podjął nieodwracalną decyzję, by umrzeć, wiesz, że jeśli pominiessz jakiś argument, nie będziesz już miał następnej okazji do rozmowy, bo może widzisz tę osobę po raz ostatni. Nie mogłem uwierzyć, że w moim życiu przytrafia się coś podobnego: być może znalazłem się w pułapce takiego właśnie sporu. Jedyne ze śmiercią nie ma dyskusji. Nie możesz się spierać z chorobą, która zabiera ci ukochaną osobę lub ciebie samego, tak jak nie możesz dyskutować z wypadkiem samochodowym czy z mordercą, który bez ostrzeżenia przerywa twoje życie. Ale jeśli ktoś chce umrzeć... Kiedy rozmawiałem z Garym, spierałem się z samą śmiercią - on był śmiercią, pragnął jej jako jedynego możliwego spełnienia - i rozumiałem, że nie można z tym wygrać, że tego, co pustoszy serce, nie da się w żaden sposób odeprzeć czy powstrzymać. Stracisz kogoś i będziesz musiał żyć dalej ze świadomością tej straty. I nie stracisz go wskutek postępów raka czy jakiejś innej okrutnej choroby; pogrzebiesz go w otchłani własnej duszy i będziesz się bał, że może i ciebie wciągnie w tę otchłań, bo chyba tylko to jeszcze ma sens. Przede wszystkim jednak już nigdy go nie zobaczysz, a przecież błagałeś, by został, i nic nie dało się zrobić, było za późno na to, by cokolwiek odwrócić. I może w tej chwili chciałbyś pójść za nim, bo nie ma rany tak poważnej i tak cholernie, bez chwili wytchnienia, dającej się we znaki, jak perspektywa spędzenia reszty życia na przyzwyczajaniu się do tej straty, z którą nie mogłoby się pogodzić nawet najzdrowsze serce i która pozostawi w duszy spustoszenia tak głębokie, że staną się one niezbywalną częścią twego najgłębszego „ja”.

Tegoż dnia porozumiałem się z Giaucque'em, informując go, iż odstąpiłem od dalszej interwencji. Rozmowa z nim była niemal tak ciężka jak sama decyzja. Zostałem tam jeszcze

trochę, podpisałem niezbędne dokumenty i wróciłem do domu, przekonany, że podjąłem właściwą i moralnie słuszną decyzję. Ale to nie ja dźwigałem jej brzemień, lecz Gary. To on wybrał samobójstwo; ja mogłem jedynie zgodnie z prawem stwierdzić, że nie odpowiadam za jego wybór, tylko za własny. Gdybym mógł wybrać za Gary'ego życie, zrobiłbym to.

Odbyłem jeszcze w tym tygodniu parę inspirujących rozmów z Billem Moyersem, który powiedział mi, że jeśli stajemy w obliczu wyboru między życiem a śmiercią i wybieramy skrócenie życia, to wybieramy tym samym skrócenie człowieczeństwa. Wszystko to było dla mnie jasne i jednoznaczne. Zmagalem się z decyzją i wreszcie uzmysłowiłem sobie, że nie mogę wybierać życia za Gary'ego, on też na moim miejscu nie mógłby tak postąpić. Doszedł do tego, co można określić jako pewnego rodzaju zadośćuczynienie. Chciał śmierci w swym ostatecznym scenariuszu odkupienia, tym ostatecznym uwolnieniu się z dławiących więzów prawa. Jak na ironię, to samo prawo, które jego zdaniem zawsze chciało go złamać, w końcu chciało go ratować, lecz on już nie pragnął tego ratunku. Aby pokonać prawo, musiał utracić wszystko z wyjątkiem niezachwianego poczucia godności własnej.

Nie mogę tego podważać, nie jestem w stanie tego zmienić. I w końcu nie mogę go tego pozbawić.

W rezultacie odegrałem w tej historii rolę, której nigdy nie chciałem i o którą nigdy nie zabiegałem: to ja musiałem wybierać. Dokonywałem wyborów, które miały trwałe konsekwencje. Być może nie kończą się one tutaj, być może inni teraz umierają, dlatego że postanowiliśmy nie podejmować wyzwania historii czy sprawiedliwości, i może życie innych osób zostało zakłócone, przerwane lub wywróciło się do góry nogami w następstwie tych paru ostatnich dni. Być może zmienił się sam duch naszej państwowości - stał się bardziej krwawy i bezlitosny. Te skutki, jak mi się zdaje, nie dadzą się wyliczyć. Już zawsze będą miały wpływ na nasze życie i na życie naszych dzieci.

Ile może zmienić jedno zabójstwo! w sobotę 15 stycznia byłem u Gary'ego po raz ostatni. Wszędzie w śródmieściu Draper biwakowali już kamerzyści, przygotowując się do finału.

Podczas naszych poprzednich spotkań Gary był zawsze otwarty, rzucał przyjazne uwagi, dowcipkował, a nawet stawał na rękach. Teraz jednak wydawał się trochę zdenerwowany, choć temu zaprzeczał.

- Cholera, ten hałas daje mi się we znaki, ale jestem zimny jak sople lodu - powiedział, unosząc spokojnie rękę. Mięśnie jego przedramion i ramion były jednak naprężone jak postronki.

Pokazał mi listy i rysunki, jakie otrzymywał, głównie od dzieci i nastolatków. Mówił, że

próbuję odpisać w pierwszej kolejności na te właśnie listy, a potem przeczytał mi jeden, od ośmioletniego chłopca:

- „Mam nadzieję, że będą cię gdzieś trzymali i będziesz żył zawsze za to, co zrobiłeś. Nie masz prawa umrzeć. Z największymi złorzeczeniami w sercu od (nazwisko)”. Człowieku, to mną naprawdę wstrząsnęło, na długo.

Spytałem, czy odpowiedział temu chłopcu.

- Tak. Odpisałem mu: „Jesteś za młody, żeby mieć nienawiść w sercu. Ja ja miałem, kiedy byłem w twoim wieku, i popatrz, co się ze mną stało”.

Poprosił strażnika, by przyniósł książkę, którą przysłał mu Johnny Cash. Była to jego autobiografia, *The Mmi in Black*. Gary zamierzał podarować ją mamie.

- Bardzo chciałbym ci coś dać, coś dla ciebie zostawić. Nie przyjąłbyś ode mnie pieniędzy? Wszyscy chcą pieniędzy. - Odmówiłem, sugerując, żeby dał je rodzinom Bush - nella i Jensena. - Nie ma takiej sumy, którą mógłbym im dać - powiedział, kręcąc głową.

Przebiegł nerwowo wzrokiem rozłożone przed nim listy i rysunki. Uśmiechnął się i podniósł fotografię Nicole.

- Piękna, prawda?

Potwierdziłem.

- Codziennie patrzę na to zdjęcie. Wziąłem je sobie. To ono posłużyło mi za model do portretu. Chciałbyś je dostać?

Powiedziałem, że będzie mi bardzo miło.

Nadeszła pora na ostatnie pytanie.

- Gary, pamiętasz tę noc, kiedy cię zatrzymano w drodze na lotnisko?

Skinął głową.

- Dokąd byś się udał, gdybyś na nie dotarł?

- Hmm, do Portlandu.

- Przecież wiesz, że to pierwsze miejsce, gdzie by cię szukali. Dlaczego chciałeś tam się dostać?

Gary przez chwilę spoglądał na ladę, którą miał przed sobą.

- Nie chcę już mówić o tamtej nocy. Nie mam tu nic do powiedzenia.

- Gary, proszę. Chciałbym wiedzieć: co zamierzałeś robić w Portlandzie?

- Miałem, nie wiem.

- Proszę. Muszę to wiedzieć. Co chciałeś tam robić? Czy chciałeś się ze mną spotkać?

Znów skinął głową.



- No i...?

Westchnął i spojrzał prosto na mnie, na chwilę oczy rozblęły mu gniewem.

- A co ty byś zrobił, gdybym do ciebie przyszedł? - spytał. - Gdybym przyszedł i powiedział ci, że mam kłopoty i potrzebuję pomocy, że chcę u ciebie zostać? Czybyś mnie wtedy przyjął? Czybyś mnie ukrył?

Nic mogłem na to odpowiedzieć. Moje pytanie nagle się odwróciło i poczułem, że nie mogę temu sprostać. Gary siedział w milczeniu przez parę chwil, po czym podniósł na mnie wzrok i powiedział spokojnym głosem:

- Myślę, że byłbym cię zabił. Myślę, że to właśnie bym zrobił. Ani ty, ani ja nie mielibyśmy innego wyboru. - Jego oczy złagodniały i Gary posłał mi czuły uśmiech. Był w nim smutek wywołany myślą, że nasze losy się rozeszły. - Czy rozumiesz dlaczego? - spytał.

Skinąłem głową. Oczywiście, że rozumiałem. Ja uciekłem z tej rodziny, tak przynajmniej sądziłem. On nie.

Odczułem nagle grozę. Wiedziałem, że to, co Gary mi powiedział, to prawda. Wiedziałem, że ominęła mnie śmierć, a to znaczy, że mogłem teraz nie istnieć. Niemal wyobrażałem sobie taką możliwość. I to, co czułem, było już nie samą grozą, lecz także ulgą. Śmierć Jensena i Bushnella, a także zbliżająca się śmierć Gary'ego, zwiększała moje bezpieczeństwo. Gdy tylko zdałem sobie z tego sprawę, do ulgi dołączyło jeszcze poczucie winy. I wyrzuty sumienia. Pomyślałem o tym wszystkim, co mogło się zdarzyć w naszym domu czy w naszej miłości, a co mogło sprawić, że nie siedzielibyśmy tutaj, w tym strasznym miejscu, w tej okropnej chwili.

To dziwne, ale poczułem się wtedy bliższy Gary'emu niż kiedykolwiek przedtem. Nagle zrozumiałem, w tym jednym przeblęsku, dlaczego chciał umrzeć.

Po chwili do pokoju Gary'ego wszedł naczelnik Samuel Smith. Zaczęli omawiać kwestię, czy Gary powinien włożyć w poniedziałek kaptur. Odłożyłem słuchawkę. Mijał czas. Kiedy znowu podniosłem słuchawkę, Smith mówił Gary'e - mu, że Schiller nie dostanie pozwolenia na widzenie w ostatnich godzinach przed egzekucją.

Zapukałem w szklaną taflę. Chciałem już wyjść i zapytałem, czy naczelnik nie pozwoliłby mi uścisnąć Gary'emu ręki. Smith zrazu odmówił, ale gdy Gary mu wytłumaczył, że to nasze ostatnie spotkanie, zgodził się pod warunkiem, iż poddam się rewizji osobistej. Oczywiście wyraziłem zgodę. Po rewizji, dokonanej przez dwóch strażników, dwaj inni wprowadzili Gary'ego. Powiedzieli mi, że muszę podwinąć rękaw do łokcia i że ten uścisk ręki jest jedyną formą dotyku, na jaką nam się zezwala. Gary chwycił mnie za rękę, uścisnął mocno i powiedział:

- Dobra, to chyba na tyle. - Pochylił się i ucałował mnie w policzek. - Do zobaczenia w mroku.

Odwrociłem wzrok. Wiedziałem, że nie mogę się teraz rozplakać, nie chciałem, żeby to widział.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Zacisnąłem wargi i skinąłem głową. Strażnik wręczył mi książkę i zdjęcie Nicole, po czym podszedł wraz ze mną do rozsuwanych krat. Gary został za nimi.

- Przekaż мамie, że ją kocham. I nabierz trochę ciała. Wciąż jesteś taki chudy. Strażnik przeprowadził mnie przez podwójną bramę poklepał po ramieniu.

- Trzymaj się, koleś - powiedział.

Wróciłem do domu i zostawiłem Gary'ego swemu losowi. Nienawidziłem się za to. Czułem się tak, jakbym niechcący zajął miejsce po stronie rzeczników kary śmierci, tego brutalnego etosu, którym pogardzałem. A równocześnie uznałem, że lepiej dla Gary'ego, jeśli będzie martwy. Miałem wątpliwości, czy gdyby jeszcze żył, sam by się nie zabił, a być może uśmierciłby także innych. Nie chciałem, by żył i podejmował próby, które mogłyby prowadzić do takich skutków. Nienawidziłem podobnych wyborów, nienawidziłem tego, że znalazłem się w położeniu, w którym wszelkie działanie czy też zaniechanie prowadzi z całą pewnością do śmierci.

W ostatni wieczór przed egzekucją odwiedziłem мамę

i Franka. Wcześniej, w dzień, zadzwoniłem do więzienia ustaliłem, że będziemy jeszcze mogli krótko porozmawiać z Garym przez telefon. Jego ostatnie słowa skierowane do mamy brzmiały:

- Nie płacz, mamó. Kocham cię.

A jej ostatnie słowa do niego:

- Gary, jutro rano będę dla ciebie dzielna, ale wiem, że już nigdy nie przestanę płakać... Będę płakała każdego dnia przez resztę życia.

Oddała mi słuchawkę.

Gary pochwalił się, że wcześniej tego wieczoru rozmawiał ze swym największym bohaterem, Johnnym Cashem. Spytałem, co Cash mu powiedział.

- Kiedy podniosłem słuchawkę, zapytałem: „Czy to ten prawdziwy Johnny Cash?” A on na to: „Tak, to ja”. Więc mu powiedziałem: „Dobra, mówi ten prawdziwy Gary Gilmore”.

Oznajmił, że musi odłożyć słuchawkę.

- Będzie mi cię brakowało, Gary. Wszyscy jesteśmy z ciebie dumni.

- Tylko nie bądź ze mnie dumny - odparł. - Co to znaczy: być dumnym? Idę na rozstrzelanie za coś, co nigdy nie powinno się zdarzyć.

To były nasze ostatnie słowa.

W poniedziałek rano 17 stycznia, w magazynie konserw za więzieniem stanowym Utah, Gary zasiadł przed plutonem egzekucyjnym. Gdy to się stało, byłem razem z mamą, bratem i przyjaciółką. Dosłownie chwilę przedtem widzieliśmy poranną gazetę z wielkim nagłówkiem: EGZEKUCJA WSTRZYMANA, włączyliśmy więc telewizor, żeby się dowiedzieć, o co chodzi. W programie *Good Morning America* odbywała się właśnie konferencja prasowa: nadeszła wiadomość, że Gary nie żyje.

Nigdzie nie można było uciec przed tą huśtawką nastrojów. W jednej chwili zmuszają cię, byś żył mimo koszmaru świadomości, że ktoś, kogo kochasz, ma umrzeć w określony sposób, w określonym miejscu i czasie, a ty nie tylko nie możesz tego zmienić, lecz jeszcze wiesz, że resztę swoich dni przeżyjesz w świecie, który chciał tej śmierci. Codziennie będziesz musiał mijać ludzi, pokrzepionych na duchu śmiercią kogoś z twojej rodziny, kto emocjonalnie umarł już na długo przedtem. Będziesz musiał żyć w takim świecie albo go znienawidzisz, albo jakoś się z nim ułudzisz, bo to jedyny świat, w jakim możesz żyć. Innego nie ma.

W następnej chwili widzisz nagłówek, który podtrzymuje wiarę w możliwość ułaskawienia. Być może, myślisz sobie, sądy panują nad sprawą, osłabiając impet tej wściekłej, niesamowitej nieuchronności. Może nie chcą dopuścić do tego, by kara śmierci została tak pospiesznie zastosowana, być może to starczy, by rozproszyć tę grozę, zdławić rozpętane szaleństwo. Może to ułaskawienie nie tylko obejmowałoby Gary'ego i jego niezłomną wolę śmierci, lecz byłoby także ułaskawieniem dla tych, którzy pozostali z tej rodziny. Może nie musielibyśmy żyć w świecie, który bez obawy zabija kogoś z nas.

A potem, gdy już ulegasz tej nierealnej nadziei, włączasz telewizor, a tam Larry Schiller, jedyny dziennikarz, który mógł być świadkiem wykonania wyroku, opowiada ci, jak naczelnik nakłada czarny kaptur na głowę Gary'ego, przypina okrągły cel na jego klatce piersiowej, a potem pięciu mężczyzn ładuje w ten cel salwę pocisków. Opowiada ci, jak krew tryska z rozdartego serca Gary'ego, spływając mu na nogi, plamiąc szkarłatem białe spodnie i ściekając na podłogę magazynu. Opowiada ci, jak w momencie uderzenia ramię Gary'ego unosi się wolno, a jego palce drżą na znak, iż życie go opuszcza, jakby tym łagodnym gestem żegnał się z owym twardym życiem.

W jednej chwili przychodzi nadzieja. W następnej dowiadujesz się, że horror już się dokonał, i wiesz, że jego szczegóły nigdy cię nie opuszczą. Będziesz próbował znaleźć jakiś

sposób na to, by żyć z tym smutkiem, który na zawsze zostanie na dnie twego serca. Będziesz próbował znaleźć jakiś sposób na to, by żyć w tym świecie i zarazem go nie znieawidzić. Będziesz tego próbował mimo oczywistej daremności twoich wysiłków.

Myślałem o tym wszystkim, a potem spojrzałem na mamę, zobaczyłem, że jej twarz jakby się zapadła, i usłyszałem zawodzenie:

- Mój Boże, Gary, gdzie jesteś? Dokąd odszedłeś?

Po egzekucji brata podniosła się w Utah wrzawa, rozpętana przez tych ludzi (wśród nich kilku obrońców w procesach zakończonych orzeczeniem kary śmierci), którzy w sposobie wykonania kary głównej w Utah dostrzegli niepotrzebny krwawy relikwiarz Dzikiego Zachodu. Dlac/ego utrzymywać te makabryczne przepisy, argumentowali re - formiści, gdy coraz większa liczba pozostałych stanów skłania się ku względnie „humanitarnej” metodzie wykonywania tego wyroku przez śmiertelny zastrzyk?

W błyskotliwie przeprowadzonym akcie, wymagającym prawnej i moralnej zręczności, ustawodawstwo Utah wykorzystało zarówno tradycje regionu, jak i naciski reformistów zmierzających do zmiany. Począwszy od 1980 roku, śmierć przez powieszenie, stara praktyka głównie Dzikiego Zachodu, nie będzie już stosowana jako jedna z możliwych form wykonania wyroku (choć i tak nikt nie wybierał tego sposobu); zamiast tego Utah proponuje teraz śmiertelny zastrzyk. Jednakże, na skutek ogromnych zakulisowych nacisków tamtejszego Kościoła, zachowano w tym stanie także możliwość wykonania wyroku przez rozstrzelanie, jeśli ktoś będzie chciał umrzeć w wyniku rozlania krwi, żeby mieć szansę zbawienia. Nikt jednak dotąd nie wybrał tej formy jest mało prawdopodobne, by wielu zechciało w ten sposób pożegnać się ze światem. Wszystko wskazuje na to, że Gary Gilmore pozostanie ostatnim człowiekiem w Ameryce, który zginął od kul plutonu egzekucyjnego, jak również ostatnim, który zapłacił sztywną cenę mormońskiego Zadośćuczynienia Krwi.

Po latach dowiedziałem się, jakie były ostatnie słowa mego brata. Przyjąłem je ze zdumieniem, odtąd wciąż mnie nawiedzały. Ostatnie słowa Gary’ego Gilmore’a przed rozstrzelaniem brzmiały: „Zawsze będzie jakiś ojciec”.

**CZE ŚC SZÓSTA**

## PADÓŁ ŁEZ



Chcę żebyś mnie zabrał Do cichej przystani Gdzie pieśń ni pocałunek Już serca nie zrani Beztrosko poczekam Na dni moich kres każdy mnie zrozumie Na tym padole łez

Tak słodko i czule Brzmią łagodne słowa wiem że dawna miłość Powrócić gotowa Beztrosko poczekam Na dni moich kres każdy mnie zrozumie Na tym padole łez

Fats Domino i Dave Bartholomew, *Padół łez*



KONIEC RODZINY

## ROZDZIAŁ 1

Krótko po egzekucji Gary'ego napisałem dla „Rolling Stone” artykuł o przebiegu tych zdarzeń. Zrobiłem to dlatego, że doświadczenie, przez które dopiero co przeszedłem wraz z rodziną, okazało się na tyle druzgoczące, iż wydawało mi się, że jeśli o nim nie napiszę, nie będę mógł sobie z tym poradzić. Nasze życie rozpadło się z dnia na dzień w sposób, którego nie byliśmy w stanie pojąć, i przez koszmarnie długi okres nasza historia, nasze grzechy i nasza hańba stały się nieodzowną częścią tego widowiska, które zawsze towarzyszy publicznej śmierci. Nie można już było tego znieść bez próby jakiegoś

oczyszczenia, więc pomyślałem, że pisząc o śmierci Gary'ego, może choć częściowo odzyskam równowagę. Zapłaciłem za to określoną cenę, bez tego się nie obyło, lecz spełniłem zamierzenie. Ludzie teraz wiedzieli, że jestem bratem Gary'ego; wiele osób wygłaszało swoje uwagi i zadawało mi pytania.

Mniej więcej w tym czasie uznałem, że jestem już wystarczająco zmęczony zarówno codziennym płaceniem kosztów przynależności do własnej rodziny, jak i związaną z tym niesławą, i uciekłem z Portlandu w stanic Oregon do Los Angeles, gdzie spodziewałem się otrzymać pracę w „Rolling Stonie”. Mamę w jej nędznej przyczepie w Oak Grove zostawiłem pod opieką Franka.

W Los Angeles nie szło mi wcale jak z płatka. Co noc, zanim się położyłem, wypijałem pół kwarty whisky i brałem dalman, środek nasenny, dzięki któremu nic mi się nie śniło, a przynajmniej nie mogłem sobie niczego przypomnieć. Były jeszcze inne potknięcia. Wciąż żyłem z Andreą, ale ilekroć miałem ochotę, nie odmawiałem sobie innych kobiet. Do tego okazało się, że moje pisanie diabli wzięli, i to na długo. Z coraz większym trudem uzmysławiałem sobie, co i jak chciałem powiedzieć. Nie potrafiłem ocenić, czy coś jest warte, by o tym pisać, czy nie. Straciłem poczucie pewności, jakich słów używa się w jakim kontekście. Redaktorzy „Rolling Stone'a” byli na tyle delikatni, że zatrzymali mnie w swoim gronie, okazując wiele cierpliwości. Pewnie rozumieli, że wciąż walczyłem ze skutkami przebytego szoku, i chcieli mi zostawić trochę czasu, bym doszedł do siebie.

Przestałem więc pisać i oddałem się lekturze czarnych kryminałów, głównie powieści Rossa Macdonalda, który próbował usprawiedliwiać morderców, opisując ich skomplikowane historie rodzinne. Spędzałem też wiele wieczorów, rozmyślając nad mroczną chwałą punk rocka. Lubilem tę muzykę, która narzucała słuchaczom konieczność przystosowania się do bezlitosnej rzeczywistości. Jednym z najlepszych punkowych utworów tego okresu był przebój brytyjskiej kapeli Adverts, *Gary Gilmore's Eyes*. Jak wyglądałby świat, pytał tekst tego utworu, gdyby go oglądać martwymi oczami Gary'ego Gilmore'a? Czy umiałbyś spojrzeć oczami kogoś, kto chciał zabić świat, a potem samego siebie?

Musiałem stawić czoło otaczającej mnie złej sławie Gary'ego. W pierwszych miesiącach pobytu w LA często pytano mnie obrata. Mężczyźni chcieli wiedzieć, jak wyglądał, zwłaszcza ci, którzy go podziwiali za odwagę i twardość. Kobiety chciały ze mną sypiać, ponieważ byłem blisko niego. Unikałem tych osób. Mogłem sobie żyć ze świadomością, że jestem bratem Gary'ego, ale to jeszcze nie znaczy, iż miałbym z tego powodu należeć do jego fanów czy zaprzysięgłych zwolenników.

Spotykałem też kobiety, które gdy dowiadywały się, kim był mój brat, nie chciały

mnie więcej widzieć i przestawały dzwonić. Dostawałem listy od nieznanym, którzy uważali, że nie mam prawa pisać artykułów adresowanych do młodych ludzi, ponieważ jestem krewnym kogoś, kto zabił. Otrzymywałem też listy od ludzi, którzy twierdzili, że powinno się mnie zastrzelić tak jak mojego brata.

Nie było dnia, by ktoś o tym nie wspomniał. W 1979 roku wyszła *Pieśń kata* Normana Mailera. Mój związek z Andreeą już się rozpadł; spotykałem się z inną kobietą, którą kochałem. Kiedy przeczytała książkę Mailera, najwyraźniej zaczęła się zastanawiać, czy powinna ze mną sypiać; rozmyślała nad tym, co ze mnie wkracza w jej życie. Któregoś wieczoru, kilka miesięcy po publikacji książki, oglądaliśmy w telewizji *Saturday Night Live*. Gospodarzem tego programu był Eric Idle, który popisywał się jak zwykle serią błyskawicznych wcieleń. W pewnym momencie założył chustę na oczy i oznajmił triumfalnie: „Oto Gary Gilmore!” Siedziałem z tą kobietą i jeszcze kilkoma przyjaciółmi, oglądając program. Po tym epizodzie wstałem i nalałem sobie szklanekę whisky. A później, w nocy, moja przyjaciółka miała ze mną trudną przeprawę. Powiedziała, że mnie rzuca i w ciągu tygodnia odejdzie. Trzeba jej oddać sprawiedliwość: nie twierdziła, że ta decyzja ma coś wspólnego z Garym, chodziło o mnie. Byłem przekonany, że to prawda, już od jakiegoś czasu między nami się nic kleiło i oboje popełnialiśmy błędy. A jednak czułem, że to zło ma związek z tym, kim byłem - człowiekiem, który nosi piętno swojej rodziny.

Trwało to bardzo długo; co parę dni musiałem wysłuchiwać tego miazdzącego pytania:

- Jesteś młodszym bratem Gary'ego Gilmore'a, prawda? Co się czuje, gdy ma się brata, który w ten sposób umarł?

Nie miałem pojęcia, jak odpowiadać na takie pytanie. Myślę, że mógłbym powiedzieć: Już nie wiem, co się wtedy czuje. Emocje towarzyszące temu zdarzeniu, wszystkie jego szczegóły i historia przestały być czymś, co należy tylko do mnie. Widzisz, jak twoje osobiste, najintymniejsze związki stają się przedmiotem publicznej sensacji i ciekawości mediów; widzisz, jak życie brata, więc w pewnym sensie część twojego życia, zaczyna rosnąć i wymykać ci się spod kontroli, a po jakimś czasie przestaje już przypominać to, co sam pamiętasz. Nie wydaje się jednak, by takie doznanie mogło się pojawiać zbyt często, ponieważ nie jest w stanie wymazać bólu, wstydu, złych wspomnień czy nierozwiązanych spraw miłości i nienawiści.

Trudno było mi powstrzymać odruch obrzydzenia, ilekroć stykałem się z takimi pytaniami. Z czasem stałem się grzeczny i przywdziałem grubą skórę. Wciąż jednak musiałem wysłuchiwać takich uwag ze strony ludzi, których najwidoczniej zawiodła

inteligencja; wzdrygałem się za każdym razem, słysząc te komentarze i żarciki. Jakby już nigdy nie miano mi zapomnieć ani wybaczyć, że jestem bratem tamtego cholernego zabójcy Trochę się dowiedziałem, czym staje się życie po takiej karze: jako żyjący krewny bierzesz na siebie całe jej brzemienie i dziedzictwo. Nie można już dotknąć ani zranić samego Gary'ego Gilmore'a, ale przecież ma brata - i nawet jeśli wcale nie byliście do siebie podobni, jego można osiągnąć. To tak, jakby ktoś, kto wywodzi się z rodziny, która wydała na świat mordercę, miał być ukształtowany w identyczny sposób i tak samo zły, a więc niejako odpowiedzialny za ów gwałtowny czyn. Tak jakby nosił piętno odrażającego i haniebnego dziedzictwa. Jakby jego wilia wynikała już z samego rodowodu.

Doszedłem do wniosku, że dla większości ludzi Gary musiał być kimś innym niż dla mnie - może nawet był dla nich kimś większym. Może był jakimś symbolem siły czy bohaterstwa, a może obrzydzenia, przykładem sławy, kimś, kto zasługiwał na współczucie, czy też utożsamiał się ze swoją sprawą. Kimkolwiek dla nich był, postrzegali go przeze mnie, a ja wiedziałem tylko, że nie jestem tym, kogo chcieli we mnie widzieć. Nie byłem sławny ani nie byłem przestępcą. Byłem jedynie surogatem, jakimś celem zastępczym ich pogardy lub fascynacji, niekiedy jednym i drugim naraz, ponieważ wielu ludzi pogardza zabójcami, równocześnie skrycie ich podziwiając, a nawet im zazdroszcząc.

Zdarzały się dni, kiedy pragnąłem zabić cały świat. Musiałem chyba wtedy przypominać mojego brata, z jednym wyjątkiem: w nim dokonało się już takie spustoszenie, że mógł pociągnąć za cyngiel; ja nie mogłem.

Znów trochę odszedłem od codzienności mojej rodziny. Mógłbym odwiedzać mamę w Oak Grove w Oregonie przynajmniej parę razy do roku, ale te wizyty zawsze okazywały się kłopotliwe. Stan jej zdrowia był opłakany i bez przerwy mówiła o przeszłości - o swoim dzieciństwie w Utah, egzekucji Gary'ego. Po jego śmierci nie ruszała się z przyczepy; ani ja, ani Frank nie mogliśmy jej namówić na wizytę u doktora. Wiodła życie odludka, w ciemnym, zamkniętym nędznym pomieszczeniu. Praktycznie biorąc, była kaleką. Kiedy tam przychodziłem, czułem się osaczony. Nie było nawet gdzie odetchnąć; wszędzie wokół nas czaiły się złe wspomnienia, i tak bez końca.

Były jednak osoby, które próbowały odwiedzać moją mamę. Przychodzili niektórzy członkowie Kościoła mormonów, oferując jej współczucie i pomoc, ale mama je odrzucała. Siedziała w przyczepie w swym fotelu, okna i drzwi zamknięte na glucho, i wrzeszczała na gości:

- Czemu nie próbujecie zbawić siebie samych? Nie opowiadajcie mi, jak wam jest przykro, i nie mówcie, co powinnam czuć. Co wy możecie wiedzieć o tym, co ja czuję.



Bywało nieraz, że ludzie dobijali się do drzwi, a ona siedziała tam w fotelu, nie ruszała się i nie odpowiadała. Właściwie zachowywała się tak od lat, nawet gdy jeszcze mieszkaliśmy na Oatfield. Pamiętam, jak powtarzała: „Jeśli nie otworzysz drzwi złym wieściom, to złe wieści cię nie dopadną”. Z wyjątkiem swoich pozostałych synów, Franka mnie, mama nie otwierała już nikomu.

Miała po temu powody. Nie było zbyt trudno ustalić, gdzie mieszka; czasami, w środku nocy, w porze gdy zamykano bary, siedziała po ciemku w fotelu w kuchni i słyszała, jak na zewnątrz zatrzymuje się jakiś samochód. Dobiegały ją głosy szepty, śmiechy, przekleństwa i groźby. Niektórzy wrzeszczeli okropne rzeczy, inni rzucali w przyczepę butelkami i puszkami. Siedziała tak w ciemności, nie ruszając się; dobrze wiedziała, że ten świat na zewnątrz nigdy nie przebacza.

- Nie da się wypowiedzieć tego, co przecierpiała Bessie. To wprost nie mieści się w głowie - mówiła mi potem jedna z jej przyjaciółek. - Dlatego schroniła się w tych ścianach.

W ostatnich latach życia moja nieobecność musiała ją bardzo ranić. Wspominała mi o tym Grace McGinnis, która utrzymywała z mamą kontakt telefoniczny. Na jednej z taśm magnetofonowych, nagranych przez Larry'ego Schillera i Normana Mailera, zostały utrwalone takie słowa mamy:

- Brakuje mi Mikala. Chciałabym, żeby tu wrócił. Rzadko teraz dzwoni, a kiedy się na to zdobędzie, wydaje się taki odległy, taki cholernie grzeczny. Zupełnie jakby się mnie bał.

Miała rację. Uciekałem od niej. Nie potrafiłem jej pomóc, nie umiałem patrzeć, jak umiera. Chciałem być od rodziny najdalej, jak tylko się dało.

Gdyby to było teraz, dzwoniłbym do niej i widywałbym się z nią codziennie. Wypytywałbym o jej sprawy. Mówiłbym, jak bardzo ją kocham za to, co przecierpiała i jak próbowała mnie ratować.

Ale jej już nie ma - zostały mi tylko stare fotografie i głos na tych taśmach. Nigdy z nią nie porozmawiam ani jej nie zobaczę. w grudniu 1980 roku zastrzelono lidera Beatlesów, Johna Lennona, gdy wracał do swego mieszkania w Nowym Jorku. Kiedy o tym usłyszałem, wybrałem się do przyjaciela, Jima Henkego, redaktora „Rolling Stone'a”. Oglądaliśmy szczegółową relację i rozmawialiśmy o tym do późna w nocy. Trudno to było pojąć. Zabójstwo było straszliwą zapłatą dla kogoś, kto zostawił takie wspaniałe dziedzictwo i kto tak bardzo wzbogacił nasze życie. To było tak, jakby zniszczono część naszej przeszłości i utopiono ją we krwi. Może powinienem się już przyzwyczaić do takich zakończeń, ale nie

potrafiłem. Kiedy słuchałem o zabójstwie Lennona, myślałem o tych okropnych czynach, które popełnił Gary, o tej straszliwej, tajemniczej śmierci, jaka dosięgnęła Gay - lena. Morderstwo jest sposobem zakończenia czyjejs drogi życiowej. Może nadejść w każdym miejscu i o każdej porze. nie tylko oznacza koniec życia, ale także kwestionuje osiągnięcia, w jakie ono obfitowało, i niweczy wszelkie dobre wspomnienia. Byłem już zmęczony tym spustoszeniem, jakie powoduje zabijanie - ale cóż z tego? Poszczególne morderstwa można odkryć i ukarać, ale morderstwa jako takiego jeszcze się przez to nie zlikwiduje. Tego się nie da zrobić bez przebudowy ludzkiej duszy, bez rozwikłania tajemnicy, która sprawia, że nasze serca są tak mroczne samotne.

Nazajutrz po zabójstwie Lennona mama zadzwoniła do Los Angeles.

- Chciałam się dowiedzieć, jak się czujesz. Wiem, jak bardzo kochałeś tego człowieka. Wiem, że musiało cię to zranić.

Była niezwykłą osobą. Zdawałem sobie z tego sprawę nawet wtedy, gdy chciałem być od niej jak najdalej. Moja matka wiedziała, czym jest strata, wiedziała, co to znaczy. To ją zniszczyło, ale nie na tyle, by nie mogła zadzwonić do syna, kiedy zabito jego idola, i spytać, jak to zniósł. Podczas tej rozmowy z matką zdarzyło mi się to, co nigdy już się nie powtórzyło: płakałem z powodu zabójstwa Johna Lennona, które okaleczyło również i mnie.

Pod koniec rozmowy mama złożyła mi pewną propozycję. A może było to coś więcej niż błaganie.

- Dlaczego nie miałbyś wrócić na święta do domu? - spytała. - Tak długo już cię nie widziałam. Czasami się wydaje, jakbyśmy przestali być rodziną. Odkąd Gary nie żyje, tak trudno naszej trójce spotkać się w jednym miejscu. A co to za Boże Narodzenie, jeśli nie widzę żadnego ze swoich synów? Czy nie udałoby ci się tym razem wrócić do domu?

Przyjechałem. Spędziłem święta z mamą i bratem. Wizyta okazała się udana, ale zarazem zniechęcająca. Stan zdrowia matki był gorszy niż kiedykolwiek przedtem. Siedziała w starym szlafroku przy stole w kuchni. Tkwiała tam cały czas jak przestraszone zwierzątko, które nigdy nie opuszcza bezpiecznej kryjówki.

Gdy wreszcie Frank wyszedł na dłużej, znalazła czas, by opowiedzieć mi te straszne historie, których nigdy nie zapomnę. Właśnie wtedy usłyszałem opowieść o jej ojcu, który zmusił ją do przyglądania się egzekucji - co zresztą wcale się nie wydarzyło.

- Miałeś rację, że odszedłeś - powiedziała mi wtedy - Bardzo mi ciebie brakowało, ale miałeś rację. Jest jakaś klątwa, która pochłania nas jedno po drugim, nie wyłączając i mnie. Mieszkasz tak daleko; może to fatum nigdy cię nie dosięgnie. Chciałabym, żebyś przynajmniej ty ocalał. Nie chcę, żeby ci się stało coś złego. - A potem się roześmiała. -

Ach, co ja wyprawiam! Paplę jak stara baba. Jeszcze pomyślisz, że twoja matka jest głupia.

Chwilę później wpatrywała się w płamę na podłodze, jakby pod tym zabrudzeniem kryły się jakieś tajemnice.

- Boże, brak mi Gary/ego - wyznała. - Dlaczego on chciał umrzeć? Dlaczego zabił tych dwóch chłopców, a potem sam chciał umrzeć? Nie wiem, czy kiedykolwiek go zrozumiem. - Ukryła twarz w dłoniach i jej szloch wypełnił ciemność przyczepy.

Po raz ostatni widziałem ją wtedy żywą.

Po latach Frank opowiedział mi, jaki był jej koniec. Opowiedział też o innych sprawach. O tym, jak wyglądało jego życie z mamą po śmierci Gary'ego.

- Bardzo ją to dotknęło, oczywiście. Połączenie bólu fizycznego i emocjonalnego pchało ją nieraz w jakąś irracjonalną stronę. Siedziała i gadała różne bzdury. „Czy jest na świecie coś, co nie rani?” Mówiła mnóstwo takich rzeczy. Była przekonana, że przywrócenie kary śmierci było przeznaczeniem Gary'ego - lub j e j, poprzez Gary'ego. Czasami się zachowywała, jakby już zupełnie postradała zmysły, wykrzykując: „To Gary był jedynym, którego zabili! Jedynym, którego mogli zabić! Już nigdy nie uda im się nikogo zabić w tym kraju. Zrobili to ci cholerni mormoni, ponieważ mnie nienawidzą. To oni strzelili twemu bratu prosto w serce, aż wypadło na ziemię”. Powtarzając to nieustannie, pograżała się w takiej zaciekłości, że musiałem w końcu wstawać i ją uspokajać. Miałem wiele kłopotów z jej odżywianiem. Była bardzo ostrożna na punkcie tego, co je, ale oczywiście nie powodowała się tu zdrowym rozsądkiem. Najbardziej lubiła czekoladę, a żoiądek miała przecież w okropnym stanie, możesz to sobie wyobrazić. Jedną z niewielu rzeczy, które mogła jeść, był pewien specjalny gatunek chleba. Gdy kiedyś poszedłem do sklepu i nie mieli akurat tego chleba, dostała ataku hysterii. Oskarżała mnie, że nie przynoszę do domu tego, co jest najbardziej potrzebne. Nasze kłótnie stały się tak głośne, że sąsiedzi musieli je słyszeć. Nie chciałem skrzywdzić mamy, ale naprawdę jej zachowanie stało się niemożliwe. Nie wykonywała podstawowych czynności, nie przyjmowała żadnych rad. Czasami zapominałem się i głośno krzyczałem, tak już byłem tym zmordowany. Przekonywałem ją: „Mamo, musisz zacząć się lepiej odżywiać. Jeśli tego nie zrobisz, wezmę pielęgniarkę, która będzie cię pilnować”. Wtedy dopiero wpadała w histerię i wykrzykiwała: „Chłopcy, chłopcy, chcecie mnie wysłać do domu starców!” No i w końcu musiałem jej obiecać: „Już dobrze, mamo, proszę, tylko się uspokój. Dom starców? Co ty mówisz! Nigdyśmy z Mikalem nawet o tym nie myśleli. Nigdy cię tam nie oddamy”. Spodziewała się, że kiedy dorosnę, będę się nią opiekował, że nawet nie pomyślę o ułożeniu sobie życia. Ale nie mogłem pozostawać z nią cały czas. Opuszczałem ją, niekiedy w tygodniu, lecz zwykle w weekendy. Uważała to za

zdradę. A przecież spędzałem z nią większość czasu, choć miałem prawie czterdziestkę. Zwykle synowie nie robią tyle dla swoich matek. Ale ponieważ nie mogłem jej poświęcić całego swego czasu i urywałem się na parę dni, uważała mnie za zdrajcę, jakbym był jakim Judaszem. Kiedy wracałem, zwykle mawiała: „Jesteś taki sam jak twój ojciec”. Gdy próbowałem jej pomóc, rzucała oskarżenia, że chcę ją umieścić w domu starców. Nigdy nie miałem takiego zamiaru, lecz nie potrafiłem jej o tym przekonać. Podobnie jak nie byłem w stanie jej nakłonić, by wzięła jakieś lekarstwo czy zjadła solidny posiłek. Miałem z tym więcej zachodu, niż można sobie wyobrazić. Nie umiałbym jej nawet pomóc, bo brakowało mi odpowiednich kwalifikacji. Cóż jeszcze mógłbym zrobić? Wielokrotnie próbowałem sprowadzić lekarza lub jakiegoś doradcę, lecz ona zawsze reagowała tak samo. Wpadała w szał. Rzucała przedmiotami. Wrzeszczała. Za nic nie chciała opuścić domu, nie można było nawet o tym wspomnieć. Nie sądzę, by naprawdę pragnęła poprawy. Nie traciłem nadziei, że któregoś dnia wstanie i się zmieni. Była to wielka słabość z mojej strony. Zawsze myślałem, że w końcu jakoś weźmie się w garść. Ale z upływem lat zacząłem myśleć, że z nią jest tak jak z Garym. Zawsze mówiliśmy: „Dobra, jak wyjdzie następnym razem, to się poprawi, będzie inny, zmieni się”. Czegoś takiego oczekiwałem też od mamy: że któregoś dnia się obudzi i nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, przeistoczy się w prawdziwą matkę, jaką zawsze mogłaby być. Kiedy ją straciliśmy, uzmysłowiłem sobie, że na tym świecie to się już nie stanie. Ta myśl była dla mnie wyjątkowo silnym ciosem. Powinienem zrobić to co ty. Odejść. Może wtedy by się nauczyła, że nie może się zdawać na łaskę innych. Mogłaby się obracać we własnym świecie, żyć własnym życiem, mieć przyjaciół, oglądać telewizję. Może nauczyłaby się pokonywać przynajmniej niektóre ze swych lęków. To właśnie one nie pozwalały jej normalnie funkcjonować, te śmieszne lęki, które całkowicie nad nią zapanowały. Nie można było ich wymazać, choćbyś nie wiem jak się trudził i ją przekonywał. Bała się wszystkiego naraz. Brudu i czystości. Wody i ognia. Lekarstwa i choroby. Nie była w stanie przyjąć żadnej pomocy, trudno mi już było to wszystko znosić. Pytała: „Dlaczego to ja jestem taka chora? Dlaczego mnie się to wszystko przytrafia?” Mógłbym jej na to odpowiedzieć: „Jesteś chora, bo nie chcesz być zdrowa. Jesteś chora, bo chcesz umrzeć”. Nie chciałem jej jednak pozbawiać ostatniej nadziei. Mimo że byłem na nią zły, nie posunąłem się do tego.

Pewnego dnia Frank nagle sobie uświadomił, że sprawy przybrały zły obrót. Od kilku dni Bessie była chora. Leżała godzinami w łóżku, a potem wstawała i zajmowała swoje miejsce w kuchni. Cały czas się skarżyła, jaka jest wyczerpana, a nie chciała przyjąć nic do jedzenia. W końcu Frank powiedział:

- Mamo, sprowadzę karetkę.

Bardzo się tym zdenerwowała.

- Długo byłem cierpliwy - mówił. - Przypuszczalnie za długo. Wreszcie, po dwóch czy trzech dniach odmawiania przez nią pokarmu, uznałem, iż czas nadszedł.

Frank wezwał karetkę i Bessie przyjeżdża do szpitala w Milwaukie. Wrzeszczała, że syn chce ją zabić. W szpitalu lekarze jej powiedzieli, że postąpił słusznie, ale powinna tu trafić wcześniej. Nie chciała zostać. Brała talerze, które przynosiły jej pielęgniarki, i rzucała nimi o ścianę.

Frank przychodził do niej dwa lub trzy razy dziennie. Widział, jak jej twarz nabiera rumieńców, wyraźnie czuła się lepiej. Po dwóch dniach lekarze powiedzieli, że wszystko będzie w porządku.

- Poczulem taką ulgę - opowiadał mi potem. - Przeszedłem pieszo całą drogę ze szpitala do domu. Zrobiłem sobie coś na obiad i nagle usłyszałem łomotanie do drzwi. Usłyszałem: „Musieli umieścić twoją matkę w tym urządzeniu”. Zaraz mnie tam zawieźli i zobaczyłem, że mama leży pod namiotem, a maszyna za nią oddycha. A przecież dopiero co ją widziałem; rozmawiała ze mną i wyglądała lepiej. Zdenerwowałem się i poszedłem porozmawiać z lekarzem. Powiedział: „Wszystko w porządku, musimy tylko usunąć infekcję”. Musiała złapać jakieś zakażenie, nie myła się już od dawna. Ale jej organizm odrzucał antybiotyki. Umarła po południu trzydziestego czerwca osiemdziesiątego pierwszego roku. Pamiętam, że dzień był gorący i zapowiadano zaćmienie słońca. Zawsze okropnie się tego bała. Mówiła, że umrze podczas zaćmienia. Okazało się, że miała rację.

Nie wiedziałem, że mama była w szpitalu. Nie zapisała sobie mojego numeru telefonu w Los Angeles, który podał jej Frank. Gdy otrzymałem wiadomość, nie żyła od dwóch dni. Było już wiele śmierci w rodzinie, ale pierwszy raz poczułem się tak kompletnie rozbity.

Pojechałem do domu i pomogłem Frankowi w przygotowaniach do pogrzebu. Miał czterdzieści lat, a wydawał się bez niej zupełnie zagubiony.

Wieczorem po pogrzebie zostaliśmy z bratem w domu mojej przyjaciółki. Nazajutrz odlatywałem do Los Angeles. Poprosiłem Franka, by jak najszybciej przyjechał do Kalifornii i zatrzymał się u mnie przez jakiś czas. Uścisnęliśmy sobie ręce na pożegnanie; patrzyłem za nim, jak idzie ulicą, przy której mieszkaliśmy tyle lat i którą przemierzaliśmy tysiące razy.

Napisałem do niego, gdy tylko wróciłem do LA. Po paru dniach list wrócił z adnotacją: NIE MIESZKA POD TYM ADRESEM - INNEGO ADRESU NIE ZOSTAWIŁ. Szukałem go długo, bez rezultatu. Zupełnie tak samo jak tamtego ranka, kiedy pożegnaliśmy się przed nawiedzonym domem na Oatfield Road. Jakby rozwiął się w pustce wraz z tymi

wszystkimi duchami.

## ROZDZIAŁ 2

### NOWE RODZINY, STARE DUCHY



Inny sen.

*Jestem w swym jednopokojowym mieszkaniu w Portlandzie, gdy nagle w drzwiach staje ojciec. Mówi, że właśnie odnalazł matkę, której ślad zgubiliśmy jakiś czas temu. Podobno mieszka gdzieś w Seattle i ojciec uważa, że powinniśmy ją odwiedzić.*

*Wsiadamy do jego wozu, starego pontiaca kombi, i ruszamy w kierunku Seattle. Ojciec musi dobrze znać tę drogę, jeździł tamtędy dosłownie setki razy, ale z jakichś względów każdy zakręt go zaskakuje, budząc w nim narastającą złość. Co gorsza, wszystkie te zjazdy wyglądają tak samo: wielkie, szerokie pętle okrążające rozległe bagna. Po paru złych manewrach, kiedy już widać, że nie potrafi odnaleźć drogi, która wydawała się znajoma, ojciec zbacza z pętli i kieruje samochód prosto zu bagna; koła zagłębiają się miękko zu podmokłej trzawie, wyrzucając na wierzch błotnistą darń. Widzi to policjant z drogówki i zaraz do nas podjeżdża. Ojciec tłumaczy się, że ktoś musiał usunąć oznaczenia zjazdów i teraz trudno mu odnaleźć drogę. Policjant chyba zna ojca, bo nie zatrzymuje go ani nie wlepia mu mandatu, nie udziela nawet pouczenia, wskazuje tylko drogę do Seattle.*

*Docieramy tam wczesnym rankiem; ojciec prowadzi mnie do wynajętego mieszkanka. Dom wygląda jak te opuszczone zgliszcza, przy których mieszkaliśmy, gdy byłem dzieckiem. Z tą jednak różnicą, że w lokalu jest też gospodyni, z którą spodziewam się przespać. Ojciec wychodzi, zapowiadając, że wpadnie później. Kobieta podaje drinki i zaczynamy się kochać, gdy nagle pojawiają się jeszcze dwie kobiety, przyjaciółki gospodyni, taszcząc ze sobą śpizuary. Przyjechały do niej na kilka dni. Rozmazoiamy przez chzuilę, a potem one rozkładają szuoje śpizuary na podłodze, u stóp jej łóżka, i idziemy zuszyscy spać.*

*Budzę się w środku nocy, nie mogę znowu zasnąć. Wstaję i robię sobie drinka.*

*Wracając, zoidzę, jak blondyna za spizuoarze siada i bacznie mi się przygląda. Też nie może zasnąć i zaprasza mnie do siebie. Zaczynwmy się całozuć. Kładę się na niej.*

*- Ach, chyba nie musimy być tacy banalni, prazuda? - mówi, zuciskając moją głowę między uda i przytrzymując mnie mocno, dopóki nie poczuję, że zaspokoiliśmy żądze.*

*Kiedy jest już po zuszystkim, wracam do łózka gospodyni i zasypiam, tuląc ją w ramionach.*

*Nazajutrz zjazuia się ojciec i móżui, że już pora, byśmy zobaczyli się z matką.*

*Potem pamiętam, że jest noc i siedzimy zue dzuóch z restauracji, pijąc z kobietami; mnie towarzyszy gospodyni, a ojcu ta blondyna, z którą byłem ostatniej nocy. Wszyscy jesteśmy z dobrej komitywie i świetnie się bawimy, zuyczuwając zapozuiedź przyszłych nieskrepozuaných rozkoszy.*

*Ojciec podnosi się, trochę zuzastuioný i na rauszu, i oznajmia, że idzie po moją mamę. Po chzuili zuraca i móżui, że musimy iść razem. Nagle wszystko staje się uroczyste i poważne, jakbyśmy uczestniczyli z jakiejś sztyzunej i nieprzyjemnej ceremonii, jak pogrzeb czy egzekucja. Szukając matki, musimy przejść przez restaurację, która przypomina labirynt; przeciskamy się przez kolejne sale, pełne pijanych ludzi. W końcu w jakimś rogu znajdujemy mamę, pięknie ubraną, siedzącą przy stoliku. Obok siedzi młoda kobieta, miła i powabna, która kiwa na mojego ojca. Ten podchodzi i siada przy niej. Dotyka jej ramienia.*

*- Tu jest, to twoja mama - mówi.*

*Obaj wiemy, że się myli, ale teraz, gdy dostrzega mamę, jest zakłopotany i nie śmie skorzystać ze względów, jakie okazuje mu ta młoda kobieta. Zwracam się do mamy. Uśmiecha się do mnie grzecznie, nieśmiało, takim kruchym uśmiechem. Wygląda staw i delikatnie, jakby się miała rozpaść, gdybym ją objął, ale jest zarazem uradowana, że się odnaleźliśmy. Dostrzegam w jej oczach niewyobrażalny smutek i żal, jakby się bała tego, co mógłbym powiedzieć; a może myśli, że ją odrzucę. Obejmuję ją, choć wiem, że jest taka krucha, i budzę się.*

*Po śmierci mamy i zniknięciu Franka poczułem, że nie mam już rodziny. Bluesmani śpiewają o okropnym losie dziecka, które traci matkę, o tym, jak niszczące może się okazać odcięcie nie tylko od macierzyńskiej miłości i pocieszenia, ale także od źródła własnej historii. Utracić matkę, powiadają, to utracić swą kotwicę w świecie. Wszystko, co cię stworzyło i chroniło, już odeszło. Dryfujesz, i nawet jeśli odnajdziesz swoje miejsce, utraciłeś bezpowrotnie tę najbardziej żywotną więź, która łączy z przodkami. Utraciłeś coś świętego.*

*Zawsze lubiłem te pieśni, choć nie sądzę, żebym je czuł. Tak, oplakiwałem mamę. Miałem złamane serce i nienawidziłem tego bólu, który ją szarpał przez całe życie, a kiedy*

dowiedziałem się o jej śmierci, poczułem jakieś okropne rozdarcie, przesywający i nieukojonny ból, jakiego dotąd nie doznałem po niczyjej śmierci. W nadchodzących latach nie mogłem już z nią rozmawiać; musiałem porzucić nadzieję, że pewnego dnia przyniosę dobre wieści, które powetują jej całe dekady złych wiadomości, jakie wciąż na nią spadały.

W dodatku po Franku zaginął wszelki ślad i martwiłem się, czy coś mu się nie stało, z tą jego nieśmiałością i depresją, na tak nieżyciwej ziemi.

Utraciwszy rodzinę, nie miałem jednak poczucia, że świat mi się zawalił. Doznałem nawet ulgi: nic mnie już nie wiązało ze szczątkami rodzinnego ducha i cokolwiek mogło mi teraz przynieść życie, wiedziałem przynajmniej, że to moje własne życie, niczyje inne. Nie musiałem beczynnie i trwożnie wyczekiwać na wiadomość o kolejnej katastrofie, jaka spotkała kogoś bliskiego.

Kilka miesięcy po śmierci matki poznałem młodą kobietę oczach spragnionych miłości. Miała na imię Erin.

Podobnie jak ja, wywodziła się z rodziny nękanej przez śmierć i inne nieszczęścia, wierzyliśmy więc, że możemy sobie pomóc nawzajem znosić klęski, które nas dotyczą. Zakochaliśmy się i w sierpniu 1982 roku wzięliśmy ślub w Tucson w stanie Arizona.

W tym samym czasie dowiedziałem się, że Larry Schiller ukończył właśnie czterogodzinną adaptację telewizyjną *Pieśni kata*, która miała być pokazana w listopadzie 1982 roku. Od dawna już unikałem kontaktów z Schillerem. W 1977 roku, tuż przed egzekucją, opuściłem U tali, nie rozmawiając z nim nie biorąc jego numeru telefonu. Czułem, że zainteresowanie Schillera tą sprawą uczyniło z egzekucji Gary'ego towar medialny i naruszyło prywatność życia mojej rodziny.

Kiedy przenieśliśmy się do Los Angeles, Schiller zadzwonił, by mi powiedzieć, że namówił Normana Mailera do napisania książki o życiu i śmierci Gary'ego; spytał mnie, czy nie zechciałbym się przyczynić do jej powstania, godząc się na rozmowę. Szanowałem Mailera, ale miałem zbyt wiele wątpliwości co do tego, czy mogę zaufać Schillerowi i wziąć udział w tym projekcie. Nie chciałem, też na nowo wzbudzać zainteresowania tragedią mojej rodziny.

Kiedy w 1979 roku wyszła *Pieśń kata*, mogłem się przekonać, że Schiller, który przeprowadził większość wywiadów składających się na książkę, podszedł do zadania solidniej, niż to sobie wyobrażałem. Mailer nie usiłował mistyfikować legendy i historii Gary'ego ani z nimi polemizować; bardziej interesowała go prawda wyłaniająca się ze zgłębiania zewnętrznych szczegółów, wzajemne relacje postaci i zdarzeń, które napędzały rozwój wypadków z tak złowieszczą mocą. Podobnie odniosłem wrażenie, że postawa



Schillera jako kronikarza zapisującego tę opowieść była czymś w rodzaju fortelu moralnego, pozwalającego narratorowi bardziej się otworzyć.

Gdy po ukazaniu się *Pieśni kata* Mailer zapytał, dlaczego odmówiłem współpracy, wyjaśniłem:

- Ze względu na Larry'ego Schillera.

Pomyślał chwilę i powiedział:

- Chyba wiem, o co ci chodzi. Widzisz, przez te lata nie bardzo zgadzałem się z Larrym. Lecz muszę powiedzieć, że było coś istotnego w tym materiale, którego kształt właśnie jemu zawdzięczam.

A teraz Schiller zrobił film i zdałem sobie sprawę, że znów mogłem być świadkiem odtwarzającym bolesną przeszłość mojej rodziny. Wiedziałem też, że relacje filmowe często wydają się bardziej sugestywne od pisanych; ponieważ film operuje konkretnymi twarzami i konkretnym głosem, zwykle sobie wyobrażamy, że postaci opowiadają rzeczywiste historie. Ale ja zbyt dobrze wiedziałem, że prawda o tym, co się zdarzyło w życiu Gary'ego, nie daje się wyrazić środkami dramaturgii telewizyjnej, i nie chciałem w tym uczestniczyć. Postanowiłem jednak, że tym razem nie będę się krył. Redakcja „Rolling Stone'a” zgodziła się z moim stanowiskiem i udzieliła mi na swych łamach miejsca na omówienie tego filmu.

Schiller dowiedział się, co zamierzam, i zadzwonił, żeby zaprosić mnie na projekcję i zaoferować pomoc. Propozycja była może nazbyt łaskawa (nie mówiąc już, że dość sprytna), jeśli wziąć pod uwagę, że uprzednio odrzuciłem jego liczne zaproszenia do współudziału w realizacji projektu Mailera.

Kilka dni później obejrzałem film i musiałem przyznać, że pod wieloma względami okazał się bezwzględnie prawdziwy.

Bez zbędnego koloryzowania czy sentymentalizmu przedstawiał w wartkiej narracji życie Gary'ego w Provo i pokazywał narastanie szaleństwa, które znalazło ujście w dwóch bezsensownych morderstwach. A potem to bezkompromisowe dążenie do zniszczenia samego siebie, z końcową egzekucją jako kwintesencją. Uważałem jednak, że film ma też wiele wad: brakowało w nim choćby tych poczynań mojego brata, które zmierzały do odrodzenia się czy możliwości odkupienia. To się po prostu nie mieściło w koncepcji roli, jaką przyjął grający Gary'ego Tommy Lee Jones; nie przekazał śmiertelnej powagi, zawziętości i uporów swojego bohatera, ani też skali jego inteligencji. Najbardziej uderzyło mnie to, że tak mało uwagi poświęcono nieprzepartemu dążeniu Gary'ego do własnej śmierci, a bez należytego zrozumienia tej sprężyny jego działania wszelkie poszczególne czyny wypadają w filmowej relacji trochę płasko.

Któregoś letniego wieczoru, było to chyba tydzień później, siedziałem z Schillerem w jego ogrodzie i dzieliłem się z nim wrażeniami po obejrzeniu filmu.

- Dobrze - zgodził się. - Masz rację. Filmowy Gary nie jest z całą pewnością ani tym Garym, którego ja poznałem, ani też tym, którego ty znałeś jako jego krewny... A jednak myślę, że ten Gary zmierza do tego samego nieuniknionego końca, co prawdziwy.

Nic na to nie powiedziałem, a Schiller dodał po chwili:

- Pozwól, że teraz ja zadam ci pewne pytanie. Czemu tyle czekałeś, żeby jakoś ustosunkować się do tego wszystkiego? Dlaczego odmówiłeś mi wywiadu do książki Maile - ra, kiedy cię o to prosiłem?

Dlatego, że bardziej niż ktokolwiek inny chciałem zachować własne zdanie w sprawach dotyczących Gary'ego. Nikomu nie mógłbym wtedy udzielić wywiadu, a poza tym czułem, że nie byłbym w stanie zapanować nad słowami.

Schiller skinął głową.

- Zachowałeś swoje zdanie. Myślę, że mógłbym zrozumieć powody twego milczenia, o których mi teraz wspominasz. Ale wiesz, twój głos miałby wtedy istotne znaczenie jako siła napędowa tej opowieści i żałuję, że nie udało mi się ciebie do tego skłonić.

Dodałem, że moim zdaniem ostatni pobyt Gary'ego w Utah stanowił największy żer dla prasy i był może najważniejszy dla literackiego przedstawienia zdarzeń, dla in - scenizacji jego śmierci. Wydawało mi się jasne, że Gary był więcej wart dla Schillera...

- ...martwy niż żywy - dokończył moją myśl Schiller. - Tylko że to nieprawda.

- Więc tak nie myślisz?

- Nie. Gary Gilmore wcale nie musiał umrzeć. To, co mu się przydarzyło, mogłoby mieć większe reperkusje społeczne, gdyby się nie rozmyło we wrzawie wywołanej jego śmiercią.

- W jaki sposób?

- Ponieważ potem moglibyśmy się przekonać, jakie by to naprawdę miało znaczenie dla społeczeństwa, a także jak ono potrafiłoby się z tym uporać. Wolałbym, żeby mój film tak właśnie się kończył.

- A nie zastanawiałeś się nad tym, czy twoje działania nie przyspieszają decyzji o przeprowadzeniu egzekucji?

- Nie wydaje mi się, by mogły rzeczywiście się przyczynić do śmierci Gary'ego - odparł Schiller - choć z pewnością określały jej wymiar. Gdyby media, a myślę też o tym, dla którego sam pracuję, wyniosły się z miasta na dwa tygodnie przed egzekucją, śmierć

Gary'ego nie zostałyby może tak rozdmuchana. Słuchaj, myślisz sobie, co tylko chcesz, ale ja nie pragnęłam oglądać egzekucji Gary'ego. Z pewnością doceniam wartość życia, ale rozumiem także, że Gary miał prawo, niezaprzeczalne prawo wyboru swego losu. Nie jestem też wcale przekonany, że jego decyzja, by umrzeć w ten sposób, mogła zaszkodzić komukolwiek poza nim samym.

Była upalna letnia noc. Słyszeliśmy jedynie szelest drzew, gdy lekki powiew przynosił niewielką ulgę. Siedziałem przy stoliku naprzeciw człowieka, do którego czułem kiedyś głęboką niechęć, i odkryłem ku swemu zdumieniu, że nie noszę już w sobie tej zapiekłej urazy.

Pod koniec rozmowy zapytałem Larry'ego Schillera, czy mógłby mnie skontaktować z Nicole Barrett Baker, ostatnią przyjaciółką Gary'ego. Tak się jakoś złożyło, że nigdy jej nie spotkałem i nigdy z nią nie rozmawiałem. Gdy odwiedzałem Gary'ego w Utah na tydzień przed egzekucją, leżała jeszcze w szpitalu po próbie samobójczej, którą podjęła wspólnie z nim. Usiłowałem się z nią skontaktować, gdyż prosił mnie o to Gary, ale także dlatego, iż ból i zamęt tej chwili wręcz nakazywały wyciągnąć ku niej rękę - była jednak ściśle izolowana w szpitalu i nie miałem do niej dostępu. Najprostsze, co przyszło mi do głowy, to przesłać jej wiadomość za pośrednictwem lokalnego radia; poprosiłem, by nadali dla niej utwór wybrany przez Gary'ego: *Valley of Tears* (Padół łez) Fatsa Domino, jego ulubioną piosenkę rhythm'n' bluesową.

Nie było miesiąca, bym nie myślał o nawiązaniu spóźnionej znajomości z Nicole, może dlatego, że wydarzenia związane ze śmiercią Gary'ego wciąż były świeże. Mogłem ją odnaleźć tylko za pośrednictwem Larry'ego Schillera, a przez własny upór odciąłem sobie tę drogę. Chyba też nie byłem jeszcze gotowy. Spotkanie z Nicole mogło mi boleśnie uzmysłwić żywe wspomnienie utraty Gary'ego; nie wiem, czy byłbym w stanie to znieść.

Teraz jednak napisałem do niej list pod adresem, który mi podał Schiller. Wspomniałem, czym się zajmuję, i zapytałem, czy nie zechciałaby się ze mną zobaczyć i porozmawiać. Parę tygodni później leciałem już do niewielkiego miasta w Oregonie, gdzie mieszkała. Ta Nicole, która wyszła po mnie na lotnisko, wydała mi się równie urocza jak postać grana w filmie przez Rosannę Arquette. Była może nieco bardziej nieśmiała, a przy tym bardziej opanowana. Najwyraźniej ostatnie kilka lat wyszło jej na dobre: okazała się szczęśliwą mężatką, świeżo nawróconą chrześcijanką i mamą kolejnego malucha. Przywitaliśmy się z odrobiną wahania i poszliśmy do nocnej restauracji coś zjeść.

Musiąło upłynąć wiele godzin, nim byliśmy gotowi poruszyć wątek Gary'ego. Opowiedziała mi o swym małżeństwie i wierze chrześcijańskiej; ja zaś wspominałem jej

owłasnym małżeństwie i wyjaśniłem, dlaczego tak mnie porusza rock and roli. W końcu mogliśmy już rozmawiać o Garym i o tym, co go spotkało. To zabawne, ile czasu musiało upłynąć, nim wyczerpaliśmy osobiste wspomnienia, wspierając się zdjęciami i zapiskami. I dopiero w trakcie tych rozmów uzmysłowiliśmy sobie, jak łatwo gubią się rozmaite momenty naszego życia.

Ostatniego wieczoru wybraliśmy się na długą przejażdżkę po zalesionym wybrzeżu Oregonu. Rozmawialiśmy o tym, co pamiętaliśmy z okresu egzekucji Gary'ego. Opowiedziałem Nicole o ostatnich odwiedzinach u brata, o tym, jak mimo dzielącego nas dystansu i trudności z porozumieniem znaleźliśmy sposób, by się pożegnać w poczuciu wzajemnego szacunku.

- A wiesz - odezwała się Nicole - że nigdy się nie pożegnałam z Garym? - Milczała przez chwilę, patrząc w ciemność, gdy pędziliśmy autostradą. - Pewnej nocy - ciągnęła dalej - w domu, który po egzekucji Larry wynajął dla mnie w Malibu, przyśnił mi się Gary. Przyjechał na swym wielkim motorze. Nie mówił dużo, ale wiedziałam, że chce, bym pojechała z nim. Usiadłam z tyłu, przywarłam ciasno do niego i ruszyliśmy w długą drogę. Wreszcie dotarliśmy do wąskiego pasemka lądu, które wrzynało się w morze. Na końcu tego cypla wznosiło się więzienie o mu - rach z białego kamienia, lecz nie było tam bram ani strażników. Przypominało to miejsce, gdzie ludzie gromadzą się w oczekiwaniu na coś, co ma nastąpić. Gary zsiadł z motoru i powiedział: „Żegnaj”. „Czy mogę iść dalej z tobą?” - spytałam. „Nie, ty chyba nie rozumiesz. Nie zobaczysz mnie więcej”. Zaczęłam rozpaczliwie płakać, nigdy jeszcze tak nie płakałam. Rozejrzałam się i zobaczyłam w pobliżu inną płaczącą kobietę. To była twoja matka. Podeszłam do niej, przytuliłam się i płakałyśmy razem.

Siedzieliśmy jakiś czas w milczeniu, a potem zapytałam:

- Czy wciąż jeszcze tyle o nim myślisz?

Spojrzała na mnie, uśmiechnęła się i popatrzyła w okno.

- Ach, czasem, gdy zachodzi słońce, przypomina mi się Gary. - A po chwili dodała: - Zawsze.

Na zewnątrz przesuwają się pasma wzgórz, na których usadowiły się domy jakiegoś nadmorskiego miasteczka; widać było ciemne zarysy na tle rozgwieżdżonego nieba. Zrozumiałem, że to spotkanie z Nicole było dla mnie wielkim i pięknym przeżyciem. W powszednim życiu wspomnienia i najprawdziwsze uczucia, jakie zachowujemy w sercu, nie mogą prowadzić nas do katastrofy. Poczuję się tak, jakbym rozmawiał z kimś z rodziny; od dawna tego nie zaznałem.

Nicole odwiozła mnie do motelu.

- Nienawidzę pożegnań - powiedziała, błyskając wstydlwym uśmiechem.
- Ja też ich nie lubię - odparłem.

Ucałowałem ją. Patrzyłem jeszcze, jak się odwraca i macha do mnie, a potem wsiadła do samochodu. Wróciła do swego życia, a ja do swego. Tylko to mogliśmy zrobić.

Wydaje się, że ta opowieść dobiega już końca. Jakby nadszedł wreszcie czas na to, by ją zamknąć. Może nawet opuścić ją z nadzieją odkupienia. Tak przynajmniej sądziłem jesienią 1982 roku, kiedy napisałem o spotkaniu z Nicole na końcu tekstu o filmie *Pieśń kata* dla „Rolling Stonek”. Myślałem: „Oto czego powinienem się nauczyć, czego my wszyscy powinniśmy się nauczyć: życie biegnie dalej. Musimy wchłonąć swój ból, stawić czoło wspomnieniom, zapomnieć, jeśli zdołamy. Ogólnie biorąc, to jeszcze nie najgorsza rzecz, jakiej musimy się nauczyć”.

Problem jednak w tym, że nasze życie toczy się dalej i nie zna innego końca oprócz śmierci. Czy można zatem uznać, że już się skończyło, rozwikłać jego intrygę i dramaturgię, opowiedzieć przebieg wypadków? Gary i wszyscy ci, których dotknęła już śmierć - członkowie rodziny i ludzie, których zabił - tylko oni w tej opowieści chcieli, by to się zamknęło, ich role zostały odegrane, a oni sami przestali już płacić lub uszli swemu dziedzictwu. Życie innych toczy się nadal i wykracza poza ostatnie strony; dla nich spuścizna śmierci nigdy się nie kończy.

IVloje życie nie zawsze toczyło się najlepiej, choć przynajmniej pod jednym względem było udane. Kariera publicysty muzycznego zapowiadała się pięknie. W 1980 roku zostawiłem na parę lat „Rolling Stone’a”, nadal z nim współpracując. Przez jakiś czas prowadziłem dział muzyczny w „L.A. Weekly”, potem pracowałem jako krytyk muzyki pop w nieistniejącym już „Herald Examinerze”, którego bardzo teraz brakuje w Los Angeles. Wykonywałem wreszcie swą ulubioną pracę i czułem po raz pierwszy od lat, że odnalazłem w sobie ten krytyczny ton, któremu mogę zaufać. Spotykałem się i rozmawiałem z wieloma ludźmi, których muzyka od lat wywierała na mnie głęboki wpływ; byli wśród nich: Bob Dylan, Miles Davis, Mick Jagger, Keith Richards, Johnny Rotten, Bruce Springsteen czy mój największy idol, Lou Reed.

Nie wspominam o tym, by się chwalić, choć jestem dumny z większości swoich tekstów o muzyce i wdzięczny rozmaitym wydawcom, którzy stworzyli mi możliwości rozwoju. Darzyłem wprawdzie rock and roli i inne formy popkultury szczerą i stałą namiętnością, ale nie stanowiło to bynajmniej najważniejszej części mego życia i nie dawało mi poczucia, iż właśnie to, co robię, nadaje mu sens. Po całym dniu pisania wracałem wreszcie do domu i musiałem stawić czoło rzeczywistości. Moje małżeństwo nie kleiło się

niemal od samego początku. Wnosiliśmy pewnie do tego związku zbyt wiele naszych rodzinnych demonów, by mogło nam się udać życie pod jednym dachem, a jeśli mam być szczery, nie rozumiałem lęków mojej żony, które wpędzały ją w pułapkę, i nie umiałem jej pomóc. Los naszego związku był już przesądzony w chwili, gdy sobie uświadomiłem, że nie tyle kocham żonę, ile usiłuję ją uratować, być może widząc w tym rodzaj zadośćuczynienia za to, że nie udało mi się uratować własnego brata. To zaś nie rokowało dobrze naszemu małżeństwu i gdy na koniec jednej ze szczególnie bolesnych kłótni Erin powiedziała: „Nie potrzebujesz mnie tak, jak ja potrzebuję ciebie”, zrozumiałem, że ma rację i jak bardzo byłem wobec niej niesprawiedliwy. Dwa lata po ślubie uzyskaliśmy separację, a w 1985 roku rozwód. Pozostaliśmy dobrymi, choć nieco skłóconymi przyjaciółmi, a raz czy dwa próbowaliśmy jeszcze odnaleźć drogę powrotną, ale obawiam się, że te próby przyniosły tylko więcej szkody. Nadal była kimś, kogo kochałem i komu życzyłem jak najlepiej.

A później nawiązywałem jeden gorączkowy związek po drugim. Byłem coraz starszy i rozpaczliwie pragnąłem odnaleźć kogoś, z kim mógłbym zbudować rodzinę i dom. Trwało to już jednak zbyt długo i po prostu przestałem myśleć o domu i rodzinie, żeby się nie katować. Czułem się jak jakaś ofiara: chciałem tego i zarazem byłem pewny, że nigdy mi się to nie uda, a jeśli nawet, to i tak wszystko diabli wezmą. Wreszcie, i może nie było to wcale takie zaskakujące, przeżyłem epizod klinicznej depresji. Siedziałem w pracy, słuchałem muzyki albo coś czytałem, gdy nagle dopadał mnie lęk. Wychodziłem, kładłem się do łóżka, zwijałem w kłębek i pozostawałem tam godzinami, czekając, aż rozwieją się ciemności i będę mógł normalnie oddychać. Robiłem to samo co w dzieciństwie, kiedy miewałem napady tej dziwnej choroby: zaciskałem mocno pięści, skupiając się na centrum dłoni. Wydawało mi się, że znajduję w ten sposób jakąś ulgę, jeśli tylko zdołam z wystarczającą mocą zacisnąć dłoń.

Wiedziałem o depresji dostatecznie wiele, by zdać sobie sprawę, że może się pogarszać i prowadzić do fatalnego końca. Rozpocząłem terapię u dobrego lekarza i po pewnym czasie lęk i inne objawy z wolna ustąpiły. Życie odzyskało barwy i powaby. Ten epizod nie trwał nawet parę miesięcy, ale czułem, jakby to była wieczność. Trudno jest mówić o depresji, ciężko taki stan zrozumieć, ale jeśli zdarzyło ci się coś takiego, już nigdy o tym nie zapomnisz.

Patrzysz na świat z nieco większą dozą współczucia, penetrujesz uważnie rozmaite zakamarki swego życia i może nawet uda ci się rozjaśnić coś mrocznego.

Podpisałem umowę na książkę o grupie muzycznej. Nie byłem w stanie wypełnić tego zobowiązania, zupełnie nie czułem tematu, wciąż jednak myślałem, że chcę zmienić różne rzeczy w swoim życiu i że umiem pisać o muzyce - muszę się tylko zmobilizować. Minął

prawie rok, a ja niczego nie napisałem i wiedziałem, że już nie napiszę. Wpadłem za to na pomysł innej książki, poświęconej innej grupie owdzięcznej nazwie Grateful Dead. Był to bardzo dobry pomysł. Relacjonując historię Grateful Dead, można zarazem przeanalizować pewien ważny etap rozwoju współczesnej kultury amerykańskiej. Być może istotnie powinienem się podjąć takiego zadania, ale właśnie popełniłem fatalny błąd: zakochałem się.

Nie ma tu niczego, czym mógłbym się pochwalić. Chodzi o zdradę jednej czy dwóch osób, które mnie kochały i darzyły zaufaniem, o żenujący rozpad uczuć. Wybrałem się do Port - landu, żeby opracować pomysł monografii Grateful Dead, poznałem pewną kobietę; będę ją nazywał Roxanne. Prawdę mówiąc, znałem ją, chociaż dość luźno, od Jat. Była młodszą siostrą mojej dawnej przyjaciółki, wtedy świeżo rozwiedzioną, matką czteroletniego chłopczyka. Pragnęła jakiegś zmiany w życiu, podobnie jak ja. Ot, zwykła przygoda. Zrazu naszą namiętność utrzymywaliśmy w sekrecie, ale potem, w miarę jej rozwoju, spotkania i randki nabrały jakiegś szczególnej intensywności; po prostu tego rodzaju uczucie domagało się fizycznego spełnienia. Było jednak coś jeszcze. Opowiedziałem Roxanne o snach, jakie mnie dręczyły, gdy mieszkalem z rodziną, a ona zwierzyła mi się kiedyś, że chciałaby mieć więcej dzieci. Zastanawialiśmy się, czy nasze marzenia się spełnią. Sądziłyśmy, że to całkiem możliwe.

Na czas pisania książki przeniosłem się do Portlandu, mając też na względzie dalszy rozwój mojej miłosnej przygody. Byłem przekonany, że w końcu trafiłem szczęśliwie i teraz będę już mógł założyć własną rodzinę. Myślałem nawet, że ten związek okupi nie tylko moją historię, ale także nieszczęsną historię rodziny, budując podwaliny nowego życia tam, gdzie dotąd wszystko prowadziło do utraty i śmierci.

Tak się jednak nie stało. Dwa dni po przybyciu do Portlandu dowiedziałem się czegoś strasznego, co fatalnie zaważyło na naszych wzajemnych stosunkach. Jak się okazało, Roxanne spotkała kogoś, kim była bardziej zainteresowana niż mną. Nasza kłótnia zakończyła się rozstaniem, a Roxanne chciała wyjść za tamtego mężczyznę i mieć z nim dziecko. Takie rzeczy się zdarzają. Nie mogłem o to nikogo winić, może z wyjątkiem samego siebie, i nikt też nie mógł mi wybaczyć, tylko ja sam. Tyle że wtedy wybaczenie nie przychodziło mi lekko.

Nie był to najłatwiejszy okres. Siedziałem w swoim mieszkaniu w Portlandzie i ryczałem jak bóbr. Piłem niemal co wieczór, żeby zasnąć, i nie byłem w stanie skoncentrować się na pracy. W końcu zrezygnowałem z tej książki.

Musiałem być wtedy tak bliski autodestrukcji jak nigdy dotąd, ale przynajmniej zdawałem sobie sprawę, gdzie mnie to może zaprowadzić. I kiedy wreszcie pojąłem, że ani

rusz nie potrafię się z tego wyplątać, że nic nie robię, by się od tego oderwać, przestało mnie to zaprzątać. Nie odczułem żadnej ulgi, nie uwolniło mnie to od tego, co się stało w moim życiu, i chcąc nie chcąc, musiałem nadal żyć z tą świadomością.

I wtedy właśnie ujrzałem ducha.

*Była późna noc, około trzeciej. Poszedłem spać pijany, ale sen miałem niespokojny. Mieszkałem na jakimś poddaszu blisko śródmieścia, światła odbijały się od murów, pulsując z rytmem ulicznego ruchu. Otworzyłem oczy i ujrzałem, jak coś się poruszyło. To światła, pomyślałem i z powrotem zamknąłem oczy. I wtedy usłyszałem skrzypienie podłogi. Ponownie otworzyłem oczy i zobaczyłem przed sobą jakąś kobietę. Wokół niej jarzył się bursztynowy blask; mogłem w tym świetle zobaczyć, że jest wysoka, o blond włosach i w bieli. Podeszła do jnojego łóżka, przemawiając takim śpiewnym, łagodnym tonem. Weszła na łóżko i dosiadła mnie okrakiem. Wczepiła się w moje ciało rękami i poruszając się w górę i w dół, przyciskała mi boleśnie ręce i ramiona. Pochyliła się nade mną i zaczęła całować moje uszy, szepcząc:*

- *Znam cię. Jesteś ostatni. Zabrałam wszystko każdemu z nich, a teraz przyszedłam po ciebie.*

Obudziłem się z przegubami przyciśniętymi do ściany, czułem w nich ból. Rozejrzałem się po wypełnionej neonowym odblaskiem ciemności. Nikogo nie zobaczyłem. Wstałem i przeszedłem się po pokoju. Byłem sam.

Czy rzeczywiście ujrzałem ducha? Nie, oczywiście, że nie. Był to zapewne ten rodzaj snu, który lekarze nazywają obezwładniającym koszmarem. Takie sny pojawiają się w pewnym stadium świadomości śpiącego i odznaczają się pełną realnością fizyczną, obejmującą także wszelkie zawarte w nich groźby. Występują dość powszechnie w różnych kulturach i przypuszcza się, że wiele osób umiera w ich trakcie, doznając z przerażenia ataku serca.

Nie, to nie był prawdziwy duch. Przecież wiedziałem. Lecz jeszcze przez kilka dni nie mogłem się otrząsnąć z tego wspomnienia, które miało dla mnie moc czegoś najzupełniej realnego, niczym posłanie płynące z innego świata, a może z podświadomości, żeby mi przypomnieć, w jak wielkim stopniu utrata, której doznałem, wiązała się z przeszłością i wykraczała poza mój osobisty ból. Zrozumiałem tej nocy, że nigdy tak naprawdę nie umknę przed swoją rodziną, bo noszę jej rozpad głęboko w sobie, może od samego początku. Nadszedł czas, by uciec z tej ziemi, w której wszyscy leżeli, i wrócić do przyjaciół i życia w Los Angeles.

Byłem już od kilku miesięcy w LA, gdy zadzwoniła moja przyjaciółka, śpiewaczka Victoria Williams, by mi powiedzieć, że w ogólnokrajowym programie *A Certain Affair*,



omawiającym aktualne skandale w sensacyjno-rozrywkowej formie, tego wieczoru zostanie pokazany odcinek poświęcony mojemu bratu. Producenci cyklu dotarli do Nicole Baker i namówili ją na rozmowę o Garym, jego morderstwach i egzekucji; był to pierwszy wywiad, jakiego udzieliła przed kamerami.

Trochę mnie zaskoczyło, że po upływie dziesięciu lat związek Gary'ego z Nicole i jego śmierć stały się żerem dla twórców programu opartego na bieżących wydarzeniach, ale widać ci łowcy skandali nie mieli niczego świeżego. Włączyłem telewizor, spodziewając się niesmacznego obrzydliwstwa, i moje obawy się potwierdziły. To, co ujrzałem, było - przynajmniej dla mnie - oczywistą prowokacją. Trzeba jednak przyznać, że wywierało jakieś dziwne, zaskakujące wrażenie. Przedstawiony materiał filmowy ukazywał Gary'ego doprowadzanego do sądu i eskortowanego stamtąd w trakcie długotrwałej rozprawy, jego nieufne, taksujące spojrzenia rzucające w kierunku uwijających się wokół kamer, wykorzystujących skwapliwie każdą nadarzącą się okazję. Pamiętam, z jakim oszołomieniem i gniewem oglądałem tę kronikę w 1976 roku. Teraz pomyślałem, że Gary wyglądał w niej zgodnie z oczekiwaniami widzów: na zimnokrwistego, bezczelnego, nieubłaganego. Gdy zobaczyłem to teraz, po tylu latach i nowych doświadczeniach życiowych, zauważyłem parę szczegółów, które być może uszły wtedy mojej uwadze: Gary po prostu wyglądał na wystraszonego i było przy tym widać, jaki jest do mnie podobny. Mam na myśli, że wyglądał jak ktoś, kogo kochałem i nienawidziłem zarazem, ktoś, kto nieodwracalnie zmienił moje życie. Wyglądał jak ktoś, kogo bardzo mi brakowało, z kim mógłbym usiąść i porozmawiać, choćby nie wiem jak bolesna miała to być rozmowa.

Ogólnie biorąc, był to jednak ohydny i małoduszny paszkwil. Próbowano przerzucić na Nicole winę za morderstwa Gary'ego. Nicole opisywała, jak Gary ją uderzył. Powiedziała, że w tej sytuacji mogła tylko od niego odejść.

- Żaden mężczyzna nigdy mnie nie uderzył - mówiła - więc powiedziałam sobie: „Ochodzę”. Nie zasłużyłam na to, cokolwiek uczyniłam. Wiedział, co musiałam odczuwać. A gdy na niego spojrzałam, byłam pewna, że jeśli odejdę, on kogoś zabije. Zdawałam sobie sprawę, że jak go opuszczę, ktoś będzie musiał umrzeć.

- I mimo to zdecydowałaś się odejść? - padło pytanie.

Nicole odwróciła na chwilę wzrok od kamery. Ujrzałem znany mi już niepewny uśmiech.

- To jedna z tych rzeczy, których najbardziej w życiu żałuję - powiedziała w końcu.

Prowadzący wywiad nie miał wątpliwości: wina Nicole była bezsporna. Opuściła

Gary'ego, on zaś, nie mogąc się pogodzić ze stratą, zabił Maksa Jensena i Bena Bushnella, oszczędzając ją i mszcząc się na nich za to, że odeszła. Za tym pytaniem i narzucającą się odpowiedzią kryła się jeszcze jedna podła implikacja: że powinnością Nicole było pozostać z Garym i poddać się jego gwałtowności, tak by nie skierowała się przeciw niewinnemu światu. Inaczej mówiąc, zadający pytania sugerował, że to Nicole jest winna, ponieważ nie była już w stanie znieść przemocy ze strony tego człowieka.

Na wszelki wypadek konkluzji tej nie wyrażono wprost, lecz na zakończenie wywiadu zarezerwowano inny podstępny cios.

- Czy miałaś kiedykolwiek do czynienia z kimś tak bezwzględnym?

- Wtedy jeszcze tak nie myślałam. Wszedł w moje życie, kochał mnie i zniszczył wszystko, co było w tym życiu dobre.

- Czy gdybyś mogła wymazać ze swojej przeszłości Gary'ego Gilmore'a, uczyniłabyś to?

Znów ujrzałem jej niepewny uśmiech, spojrzała gdzieś przed siebie i potrząsnęła głową.

- Więc powiadasz, że masz świadomość, iż gdyby w twoim życiu nie było Gary'ego, ci dwaj nadal by żyli, a ich dzieci miałyby ojców...

Nicole okazała wreszcie zniecierpliwienie i ucięła dalsze pytania.

- Tak - powiedziała, kiwając głową. - Tak, mogłoby tak być.

Kamera skierowała się teraz na prowadzącego program Maury'ego Povicha. Był wyraźnie z siebie zadowolony, choć udawał obrzydzenie.

- To chyba nie powód, by wylewać nad tobą łzy - skomentował.

Omam nie rozwalilem telewizora.

Siedziałem, tak, patrząc na twarz Povicha, i myślałem: Nicole wcale nie prosiła o twoje zasrane łzy. Nikt z nas cię nie prosił: ani ona, ani Gary, ani ja. Jeśli ktokolwiek ich potrzebował, to przede wszystkim rodziny Maksa Jensena i Bena Bushnella; zasługiwały nie tylko na łzy, ale także na współczucie, wsparcie i modlitwę. I jeszcze inni na to zasługiwali. Skoro już o tym mowa, pomyślałem, powinno się płakać nad tymi ludźmi, którzy nigdy nie usiłowali naprawdę się dowiedzieć, jak i dlaczego popełniono te morderstwa i jak mogli im zapobiec. Powinieneś zapłakać nad sobą, ty pierdolony, zadufany w sobie kutasie, ponieważ w jakiś sposób, podobnie jak ja, ty również współtworzysz ten kontekst, który sprawia, że zabójstwo staje się częścią naszego codziennego życia. I, panie Povich, jeśli nie jesteś w stanie współczuć Nicole, i nie masz żadnych wyrzutów sumienia, wykorzystując ją w celu przyciągnięcia publiczności do swojego widowiska, mógłbyś spróbować okazać współczucie lub

przynajmniej zrozumienie tym ludziom, którzy już od dzieciństwa nosili w sercu piętno zbrodni, ponieważ czasami tak bywa, że morderstwo jest tylko zwieńczeniem tego, co wypływa z głębi spustoszonego serca.

Muszę przyznać, iż nie wszystko, co sobie wtedy myślałem, było wytworne i miłe, a tym bardziej racjonalne. Wściekły i głęboko urażony miałem już dość tych bezlitosnych osądów świata.

Wyłączyłem telewizor, zgasilem światło w pokoju i siedziałem długo w ciemności. Parę miesięcy temu zakończyłem jeden z najgorszych rozdziałów w moim życiu, przenieśliem się na krótko do Portlandu i wróciłem, a kiedy spojrzałem na to teraz, z pewnego dystansu, uświadomiłem sobie, że jeśli coś mi się nie powiodło, to w dużej mierze za sprawą mojej przeszłości. Jakby powracające echo tego spustoszenia, które zaczęło się na długo przedtem, zanim się urodziłem, sprawiło, że większość tego, co mnie łączyło z Garym z racji związku krwi, było naszą wspólną własnością; obaj byliśmy dziedzicami tej negacji, na którą nie mieliśmy wpływu, być może nawet nie potrafiliśmy ogarnąć jej istoty. Oczywiście każdy z nas inaczej sobie radził z tym spadkiem. Gary, kwestionując wszystko to, co było na zewnątrz, zwrócił się przeciw niewinnym osobom: przeciw Nicole, własnej rodzinie, przeciwko mnie, przeciw światu i jego koncepcjom sprawiedliwości, wreszcie przeciw sobie samemu. Ja podążyłem ku wewnętrznemu spustoszeniu, ponieważ nie pozwalałem sobie kierować sprzeciwu na zewnątrz, być może nie byłem w stanie tego zrobić. Na zewnątrz czy do wewnątrz, co za różnica - była to potężna destrukcyjna siła i po raz pierwszy w życiu doszedłem do przekonania, że jej oddziaływanie pewno jeszcze trwa. Upadek mojej rodziny wcale się nie skończył wraz ze śmiercią Gary'ego, ponieważ nie zaczął się w chwili jego narodzin.

Siedząc tak w mroku, zdałem sobie sprawę, że wychowałem się w rodzinie, która nie będzie miała kontynuacji. Było nas czterech braci, lecz żaden nie założył nowej rodziny. Nie pozostawiliśmy po sobie żadnych następców, poprzez których rozwijałibyśmy lub spełniali nasze potrzeby, łagodne czy okrutne, destrukcyjne czy wysoce moralne. Nikogo zatem nie biliśmy ani nie niszczyliśmy, tak jak nas bito i niszczone. Przez tyle lat mówiłem wszystkim, że chcę mieć rodzinę - choćby po to, by w ten sposób okupić krzywdy, których zaznałem we własnym domu - a teraz muszę przyznać, że nic z tego nie wyszło. Nie mam rodziny. Nigdy mi się nie udało dokonać trafego wyboru, który mógłby ziścić to marzenie, a teraz muszę się zastanowić, czy było ono w ogóle realne. Najwidoczniej to, co się zdarzyło w naszej rodzinie, okazało się tak straszne, że musiało położyć kres jej istnieniu, bo gdybyśmy mieli dzieci, przetrwałaby groźba nieustannej dalszej destrukcji. A jedyna droga unicestwienia tej groźby

wiedzie przez unicestwienie samych siebie. W pewnym sensie to właśnie uczynili Gary i Gaylen: położyli kres rodzinie, kładąc kres własnemu istnieniu, zanim mogło dojść do kontynuacji tej destrukcji.

Niełatwo jest dotrzeć do takiego punktu, w którym czujesz, że może jest w tobie samym coś, co nie pozwala ci przekazać komuś własnej twarzy, coś, co powinno umrzeć wraz z tobą. Osiągnąwszy ten punkt i ujrzawszy siebie i swoją przyszłość w taki właśnie sposób, zmieniłem życie. Odtąd nie byłem już tą samą osobą i nieraz myślę, że nigdy nią nie będę.



SEKRETY I KOŚCI

### ROZDZIAŁ 3

Postanowiłem znowu wrócić do Portlandu - tym razem po to, by odnaleźć brata.

Frank był ostatnim członkiem mojej rodziny, a ja pozwoliłem mu zniknąć. Nie miałem pojęcia, czy żyje szczęśliwie, czy stał się bezdomnym włóczęgą, czy jest zdrowy, czy może złożony chorobą. Zbyt często traciłem tych, których kochałem lub na których mi zależało, czy to dlatego, że umierali, czy też dlatego, że przestawali mnie kochać, a czasami po prostu dlatego, że zbyt lekko przychodziło mi odejść czy uciec raz na zawsze od tych, których mogłem pokochać lub którzy najbardziej mnie potrzebowali. Nieraz podobne decyzje podejmowałem z tak przerażającą łatwością, jakbym w ogóle o tym nie myślał; był to jeden z tych moich wstydliwych sekretów, z których nie w pełni zdawałem sobie sprawę, a które teraz chciałem bliżej poznać.

Prawdę mówiąc, ogromnie brakowało mi Franka. Przez wszystkie te lata od czasu do czasu próbowałem go odnaleźć. Docierały do mnie wieści, że widziano, jak gdzieś pracował bądź szedł tą czy inną ulicą Portlandu, nigdy jednak nie udało mi się wpaść na jego trop. Ostatni raz słyszałem o nim jakieś dwa lata temu. Znajomy powiedział, że Frank zatrudnił się w charakterze dozorczy. Lecz zanim się dodzwoniłem do jego pracodawcy, rzucił tę robotę i

znikł gdzieś bez śladu.

Nie miałem pojęcia, jak to będzie, gdy wreszcie odnajdę brata, ale jedno wiedziałem na pewno: bardzo chciałem się z nim zobaczyć. Chciałem pogadać, dotknąć go, przekonać się, że nie jest mu źle, nawet gdyby na zawsze miał mnie pr/egnać ze swego życia.

Przebywałem w Portlandzie parę miesięcy, zanim w końcu odnalazłem Franka. Robiłem wszystko, co mogłem, żeby go odszukać, a choć naczytałem się mnóstwo dreszczowców, nie zdołałem jakoś osiąść sztuki odnajdywania zaginionych osób. Wertowałem świadectwa zgonu, odwiedzałem schroniska dla bezdomnych, zaglądałem w twarz każdemu mężczyźnie, który przechodził ulicą, a wydawał mi się podobny do mego brata. Aż potem któregoś wieczoru, niedługo przed Bożym Narodzeniem, jadłem kolację z Jimem Reddenem, znajomym dziennikarzem i sprawozdawcą rubryki kryminalnej. Obiecał mi pomoc, zapowiadając, że do mnie zadzwoni. Rano, ledwo zdążyłem wstać, na sekretarce była już wiadomość. Redden odnalazł adres Franka. Dziesięć przecnic od miejsca, gdzie się zatrzymałem, w północnozachodnim Portlandzie.

Ubrałem się i poszedłem tam. Może i było to tylko dziesięć przecnic, ale mijając je, przechodziło się z jednego świata do innego. Ten rejon Portlandu, w którym mieszkałem, stanowił starą część miasta, zabudowaną wiktoriańskimi domami, które stopniowo odnawiano. Była to teraz bogata dzielnica ze sklepami, barami i kawiarniami - jakże różna od sąsiednich osiedli, zamieszkałych przez zacuka - nych, obcych etnicznie przybyszów, którzy wyroili się w większości amerykańskich miast w ostatnich dwóch dekadach. Wystarczyło jednak przejść Dwudziestą Trzecią, by znaleźć się w strefie nieodnawianych wiktoriańskich ruin, rozpadających się starych domostw; stąd było już blisko do uprzemysłowionych obszarów północnozachodniego Port - landu. Tę część miasta, zapuszczoną i nietkniętą od lat czterdziestych, zaludniali teraz głównie starsi ludzie; nie brakowało tam też skupisk lumpów, którzy pałętali się beczynnie wokół narożnych sklepów spożywczych z kratami w oknach, psami obronnymi i ze strzelbami ukrytymi pod ladą. Było tu sporo knajp, nawiedzanych głównie przez prymitywnych roboli i najrozmaitszych obiboków.

Tam właśnie mieszkał Frank, odnajmował jakiś stary pokój tuż przy hałaśliwej knajpie. To miejsce wydało mi się znajome; przypominało jedną z tych ruder, do których zabierał mnie w dzieciństwie ojciec, gdy szukał swoich akwizytorów. Pokój był słabo oświetlony i od dawna niewietrzo - ny. W nozdrza uderzała woń starych ludzi, spędzających czas na oglądaniu telewizji, piciu i medytowaniu. Poczulem się, jakbym trafił do jakiejś jaskini. Przygnębiające wrażenie. W pierwszej chwili chciałem uciec.

Wspiąłem się po schodach i zapukałem do drzwi, za którymi miał być Frank. Żadnej

odpowiedzi. Zapytałem właściciela lokalu. Powiedział mi, że człowiek, który tu mieszka, poszedł do pracy i nie będzie go aż do wieczora.

Oczekiwanie na powrót Franka dłużyło mi się jak nigdy dotąd. Wciąż myślałem o tym miejscu, w którym mieszkał. Usiłowałem sobie wyobrazić, jak mu się tutaj żyje. Bo jeśli omnie chodzi, to mogłem mieć różne kłopoty, ale przynajmniej miałem do dyspozycji wszelkie wygody i kontakty towarzyskie. Pod wieloma względami żyło mi się dobrze, lepiej niż komukolwiek z naszej rodziny.

To zdumiewające, jak bardzo rozminęły się nasze drogi życiowe. A także potwornie niesprawiedliwe. Frank został w domu, by opiekować się matką. Był bodaj jedynym z nas czterech, który próbował postępować właściwie. Podczas gdy ja po prostu uciekłem i troszczyłem się wyłącznie o siebie. Nawet nie pomyślałem, by przejąć brzemię kłopotów mamy. Poświęcając się dla niej, Frank zmarnował sobie życie i wiódł je teraz w towarzystwie włóczykiów i innych wykołajeńców. Choć nie udało mi się z wieloma sprawami tak, jak pragnąłem, jakoś się urządziłem. Miałem swoją pozycję, rzeczy, pieniądze w banku. Nie zamierzałem wcale skończyć w tych nędznych ruderach do wynajęcia.

Nie zamierzam się przesadnie biczować czy usprawiedliwiać. Bo nawet nie bardzo sobie wyobrażam, żebym potrafił postąpić inaczej. Myślę, że musiałem odejść od rodziny, by nie ulec jej żądaniom. A jednak kiedy zobaczyłem, gdzie Frank mieszka, nietrudno było mi sobie wyobrazić, jak wyglądało jego życie w ciągu ostatnich dziesięciu lat, i nie poczułem się wtedy najlepiej. Nie napawała mnie też radością perspektywa powrotu do miejsca, w którym się zatrzymał.

Przez resztę dnia włóczyłem się samochodem, rozmyślając tych sprawach. Zastanawiałem się, co każdy z nas mógłby powiedzieć drugiemu po tak długim czasie.

Około dziewiątej wieczorem wróciłem do tego domu, gdzie Frank wynajmował pokój. Na schodach niemal się zderzyłem z facetem, który zapinał kurtkę i naciągał kaptur dla osłony przed zimnem na dworze. Przyjrzałem mu się szybko - nabrałem tego nawyku w ostatnich miesiącach - zobaczyłem przed sobą obraz, który nosiłem w pamięci od lat: twarz z głębokimi bruzdami świadczącymi o kiepskiej przeszłości. Zobaczyłem twarz mego brata.

- Frank - odezwałem się do niego.

Podniósł wzrok. Nie byłem pewny, czy mnie poznał.

- Frank, to ja, Mikal.

Stał tak, z nieruchomym spojrzeniem. Wahał się, jakby nie wierzył w to, co usłyszał. Już sądziłem, że wyprostuje rękę i zepchnie mnie ze schodów. Nie mogłbym nic na to poradzić. Pomyślałem, że miałby rację.

Ale on wyciągnął ręce, objął mnie i przytrzymał w ramionach. W jednej chwili cała ta nędza wokół przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie. Poczułem się, jakbym był w domu.

Pół godziny później siedzieliśmy już w ciepłe mojego mieszkania. Frank nie chciał, żebym widział, jak mieszka.

Rozejrzał się, kiedy przekroczył próg, obrzucił wzrokiem półki z książkami i płytami kompaktowymi, sprzęt elektroniczny i komputerowy.

- Chłopie - powiedział z uśmiechem - to całkiem jak u mamy. Wygląda, jakbyś nigdy stąd niczego nie wynosił.

Siedzieliśmy na kanapie, piliśmy coś gorącego, gadaliśmy. Frank słyszał, że się ożeniłem, chciał poznać moją żonę. Wy tłumaczyłem mu, że już od dawna po wszystkim i że to był jeden z tych honorowych, niemniej smutnych błędów, jakie człowiek popełnia.

- Jezu, chłopie! - rzucił, mieszając kawę. - Przykro mi, że to słyszę. Nie masz dzieci?

Wyjaśniłem, że nie. Skwitował to milczeniem.

Spytałem, co się z nim działo, odkąd widziałem go po raz ostatni.

Wzruszył ramionami i odchrząknął.

- Ach, nosiło mnie, wiesz, parę miesięcy tu, parę tam. Trochę piłem przez kilka lat po śmierci mamy. Czułem się okropnie, kiedy umarła. Tak jakbym był winny, nie mogłem się od tego uwolnić. Nie cierpiała szpitali, bała się ich. A ja ją tam wysłałem i umarła. Może gdybym, tego nie zrobił, mogłaby jeszcze żyć. Po jej śmierci sprzedałem przyczepę i wyniosłem się stąd. Od lat już tak żyję: przenoszę się z miejsca na miejsce, łapię jakąś robotę, piję. Wiele czasu spędzam na ulicy. Brałem udział w paru bijatykach. Dwa razy złamali mi ręce. Kiedyś dopadła mnie banda skinów. Zabrali wszystko, co miałem.

Frank urwał i uśmiechnął się, co stanowiło zadziwiający kontrast z tą litanią okropności, którą przed chwilą wyrecytował.

0 Myślę, że mi po prostu trochę odbiło przez te wszystkie lata. Kiedy zacząłem myśleć o całym tym gównie, tym, jak Gaylen umarł za młodu, a Gary zrobił te straszne rzeczy... Ludzie, których ledwo znałem, zaczepiali mnie pchali się z tymi okropnymi pytaniami: „Czy to prawda, że twój brat zrobił coś tak potwornego? Jak mogłeś mieszkać pod jednym dachem z takim człowiekiem?” Parę razy ktoś mnie rozpoznał w robocie jako brata Gary’ego. Chcieli mi spuścić łomot, no bo jakby mnie pobili, zaraz by się poczuli więksi czy silniejsi od Gary’ego, a może im się zdawało, że go w ten sposób ukarzą. Kilka miesięcy temu pracowałem w Salt Lake City, a kiedy się zorientowali, że jestem bratem Gary’ego, wylali mnie.

W miarę jak Frank mówił, czułem, że przeszłość powraca. Może i on to czuł, bo wstał i zaczął się przechadzać po pokoju. Chodził tak i rozglądał się po sprzętach, a potem usiadł przy stole, na którym położyłem kilka zdjęć z naszego rodzinnego albumu. Pilnie ich strzegłem; były wszystkim, co pozostało po rodzinnym dobytku. Często się im przyglądałem, próbując z nich odczytać jakieś wskazówki, które mogłyby rzucić światło na zagadki naszego życia.

- Zastanawiałem się, co się z nimi stało - powiedział, podnosząc jedno ze zdjęć.  
- Nie zostało mi ich wiele. Przenosiłem się tyle razy, rozkradli je albo gdzieś przepadły. Było u mnie jedno takie twoje zdjęcie jako niemowlaka, w kojcu, z nadmuchiwaną ropuchą. Pamiętasz je może?

Odłożył fotografię i sięgnął po inną.

- Nie masz nic przeciw temu, że sobie tak siedzę i oglądam te zdjęcia?

Powiedziałem mu, że może tu zostać, jak długo zechce, i że porobię odbitki z tych fotografii, które chciałby wziąć.

- Dobrze - zgodził się, przysuwając sobie krzesło. - Naprawdę nie chciałem, żebyś oglądał ten bajzel u mnie. Choć może byłoby zabawne, gdyby ktoś spojrział na to z boku.

Siedzieliśmy przy stole, pochyleni nad starymi zdjęciami. Frank patrzył na nie jak ktoś, kto zna rozmaite historie związane z każdym z nich. Ja przyglądałem im się jak ktoś postronny, z dystansu. Opisywały pewien świat, a gdy ja się urodziłem, ten świat się kończył.

Wybrał sobie z kupki jedno z kolorowych zdjęć. Przedstawiało indyka na Święto Dziękczynienia, nic poza tym. Nie było widać ludzi, żadnych uśmiechniętych twarzy. Tylko sam pieczony ptak.

- Pamiętam tego indyka - odezwał się Frank. - Tak fajnie wyglądał na stole, a myśmy tylko czekali, aż nadejdzie czas, żeby usiąść i zacząć jeść. No i mama z tatą nagle się szczepili. Pamiętam, jak mama chwyciła indyka i nim rzuciła, jak spadł na podłogę. Pac! Aż sos się rozlał. I pamiętam, jak leżał tam do wieczora. Nikt go nie podniósł, bo rodzice byli zbyt zajęci wyzywaniem się i praniem swoich brudów. Nikt go nawet nie skosztował. - Frank odłożył zdjęcie i westchnął. - Szkoda, to był naprawdę piękny indyk.

Przejrzał jeszcze parę zdjęć i odłożył kolejne. Był na nim ojciec i Gary w marynarskiej czapeczce. Nasz brat splótł ciasno ręce wokół karku taty, przytulał się do niego policzkiem, sprawiał wrażenie zagubionego. Serce mi się krajało, gdy patrzyłem na to zdjęcie - nie tyle ze względu na wyraz twarzy Gary'ego, będący już zapowiedzią jego przyszłości, ile z powodu reakcji ojca. Odpychał policzek syna, ledwo skrywając obrzydzenie widoczne na twarzy.



Frank dłuższą chwilę przyglądał się temu zdjęciu, a potem spojrzał na mnie.

- Czy wiesz - powiedział z namysłem - że Gary miał syna?

Odparłem, że dowiedziałem się o tym całkiem niedawno, przesłuchując jedną z taśm wywiadu, którego Gary udzielił Larry'emu Schillerowi. Dowiedziałem się też z nagranej wypowiedzi mamy, że chłopiec wcale nie umarł zaraz po narodzinach, jak sądził Gary.

- To prawda - potwierdził Frank. - Dziecko żyje. Tylko mama i tata go oszukali. Chyba nawet widziałem tego chłopaka parę lat temu. Nie było to miłe spotkanie. Szedłem sobie po Bumside któregoś letniego popołudnia. Niedaleko był park, gdzie włóczy się sporo bezdomnych. Wracalem z roboty, chciałem wpaść do knajpki na kufelek piwa. I kiedy tam wszedłem, podbiegł ten chłopak i zaczął ze mną rozmawiać. Spytał, czy to ja jestem Frank Gilmore. Potwierdziłem. Powiedział: „Twój brat Gary był moim ojcem”. Spojrzałem na niego i odparłem: „Nie wiem, o czym mówisz”. Chciałem stamtąd odejść. Zatrzymał mnie. „Oczywiście, że wiesz. Twój brat był moim ojcem. Wasza rodzina nieźle spieprzyła mi życie, a teraz ja ci przypieprzę”. Próbował powalić mnie na ziemię ciosem pięści. Uchyliłem się, chwyciłem go i trzasnąłem na odlew. Zobaczyłem, jak z jego rąk wypadła jakaś laga. Czymś takim można naprawdę dowalić. Wykopałem go na ulicę i powiedziałem: „Jezu, nie umiesz nawet bić się jak mężczyzna?” Zostawiłem go i odszedłem. Kiedy zobaczyłem, że stracił już ochotę, żeby iść za mną, wróciłem do tej knajpki i powiedziałem barmanowi, co zaszło. Wyjaśnił mi, że ten chłopak szwendał się tu od paru dni, jakby na kogoś czekał. Wypiłem piwo, a gdy po chwili się rozejrzałem, zobaczyłem, że stoi jeszcze na zewnątrz i przygląda mi się przez szybę. Pomyślałem, że trzeba by wyjść i spróbować z nim porozmawiać. Wyszedłem, ale już go nie było i nigdy więcej się nie spotkaliśmy.

- Myślisz, że on naprawdę mógł być synem Gary'ego? - spytałem. - Czy był chociaż do niego podobny?

Frank spojrzał na mnie w milczeniu, a potem powiedział:

- Wykapany Gary.

Cholera, pomyślałem. Jeśli to prawda i jeśli ten młodzieniec, którego spotkał Frank, faktycznie był synem Gary'ego, to sprawy wyglądają jeszcze gorzej, niż sobie wyobrażałem. Może po prostu ten łańcuch przemocy, owa fatalna spuścizna w ogóle nie ma końca. Może rozlewa się dalej, wnikając w historię, w świat, w nasze dzieci, we wszystko, co ma związek z naszą krwią.

Ledwo to pomyślałem, Frank pochylił się nad stołem i powiedział:

- Wybacz, że cię unikałem przez te wszystkie lata. To nie dlatego, że nie wiedziałem, gdzie mieszkasz czy gdzie mam ciebie szukać. Zawsze chciałem zadzwonić albo

napisać do tego magazynu, w którym pracujesz. Tylko że... sam nie wiem. Pomyślałem: pewnie dobrze ci się wiedzie. Nieraz, gdy nic miałem swojego kąta i wykonywałem jakąś brudną robotę czy spałem pod mostem, myślałem sobie: „Mam brata, któremu się powodzi. Jest pisarzem, rozmawia ze sławnymi ludźmi, a oni go szanują, ożenił się i na pewno ma dzieci. No tak, chyba już jestem wujkiem”. Nieraz się zastanawiałem, czy to chłopak, czy dziewczynka, czy ma blond włoski i niebieskie oczka jak ty, kiedy byłeś dzieckiem. Myślałem o tym wszystkim i nieraz mi to pomagało. Jak ci wspomniałem, czułem się zagubiony po śmierci mamy, ale myślałem o tobie i byłem z ciebie dumny. No i tak sobie postanowiłem, że nie będę zawracał ci głowy, nie będę cię szukał i przysparzał kłopotów. Nie chciałem być jakimś bagażem z przeszłości, który wozi się bezpiecznie za twymi plecami. Myślałem: „Jeden z nas - on - coś osiągnął, wyszedł na ludzi. Trzeba mu dać spokój, nie zakłócać szczęścia. Zasłużył na nie. Nie ma powodu, by ta rodzina wciąż mu ciążyła jak kula u nogi”.

Nic nie odpowiedziałem. Chybabym nie znalazł odpowiednich słów. Siedziałem, patrzyłem na brata i myślałem: „To cała rodzina, jaka mi została na świecie, rodzina to rodzina”. Nigdy naprawdę nie rozumiałem, co się kryje w sercu Franka, nie ogarniałem głębi jego samotności, lecz może nie jest jeszcze za późno. Może, choćbym miał na to zaledwie cień szansy, byłbym w stanie czegoś się nauczyć owierności wobec własnej krwi.

Przez następny rok spotykaliśmy się z Frankiem u mnie w mieszkaniu po kilka razy w tygodniu i rozmawialiśmy o naszej przeszłości. Opowiedział mi wiele historii, które tu przytoczyłem, i dzięki niemu nauczyłem się pełniej i bardziej racjonalnie rozumieć własną rodzinę. Jak się okazało, Frank miał całkiem niezłą pamięć i prawdziwy talent do przytaczania żywych i barwnych szczegółów. Wielokrotnie naprowadzał mnie na pewne elementy historii rodzinnej, których istnienia nawet nie podejrzewałem, a kiedy nie potrafił odpowiedzieć na moje pytania czy nie znał rozwiązania różnych zagadek, po prostu mi to mówił. W trakcie tych spotkań poznałem swojego brata tak, jak nigdy przedtem nie miałem sposobności go poznać. Mogliśmy pogadać o różnych trudnych przejściach i zaszłościach tak szczerze, jak rzadko się to zdarza nawet wśród rodzeństwa.

Zrozumiałem w końcu - i wywarło to na mnie niezatarte wrażenie - jaką cenę musiał zapłacić za te lata, gdy był synem i bratem w naszej rodzinie. Któregoś dnia pojawił się przed moimi drzwiami straszliwie wyczerpany. Chyba przez pół godziny nie był w stanie wykrztusić słowa. Gdy wreszcie zaczął mówić, opowiedział mi o pewnej fobii, jaka męczyła go od lat. Dość złożonej, mającej związek z poczuciem wstydu czy winy - to taki lęk, który karmi się sam sobą stając coraz gorszy. Ale był w tym także lęk, aby nie zostać posądzonym.

W tym konkretnym wypadku fobia odżyła na skutek incydentu, jaki się wydarzył w sklepie spożywczym. Kobieta za ladą powiedziała kiedyś coś takiego, że Frank pomyślał, iż podejrzewa go o to, że jest złodziejem sklepowym. Podczas kolejnych zakupów w tym sklepie wyraźnie czuł, że go obserwuje.

- Bałem się, że uznają mnie za winnego czegoś, czego nie zrobiłem - wyznał mi.  
- Boję się, że ludzie pomyślą, że jestem jakimś złodziejem czy zabójcą. Nieraz czuję się taki samotny w tym zasranym życiu, jakbym miał przeciw sobie cały świat.

Nie był to bynajmniej jakiś przelotny strach. Frank uważał, że ta fobia wywodzi się stąd, że miał brata mordercę. A mnie się zdaje, że to było coś więcej. Jeszcze w dzieciństwie Frank, jak zresztą my wszyscy, obwiniał się o wszelkie konflikty między rodzicami. Dla dziecka to bardzo poważna sprawa, kiedy mu się wydaje, że ponosi za coś winę. Potem, kiedy był już trochę starszy, ilekroć Gary obrywał od ojca za coś, co rzeczywiście przeskrobał, równocześnie karano

i Franka, niezależnie od tego, czy był winien, czy nie. Tego rodzaju postępowanie - zwłaszcza gdy się je stosuje konsekwentnie, całymi latami, a karę egzekwuje bardzo drastycznie - może prowadzić do zaszczepienia głębokiego poczucia winy.

Tego dnia, gdy tak siedziałem i patrzyłem, jak mój brat płacze, musiałem zdać sobie sprawę z tego, jak głęboko ranił go osąd świata. Frank, zapewne bardziej niż każdy z nas, płacił wciąż za to, co się zdarzyło w naszej rodzinie. Codziennie spłacał dług za Gary'ego, za mamę i za ojca. właśnie dlatego znalazł się w tym okropnym i ustronnym miejscu.

W połowie 1991 roku wybraliśmy się z Frankiem do Utah. Chciałem na własne oczy zobaczyć okolice, gdzie wychowywała się matka i gdzie poznali się rodzice, a także te miejsca, w których Gary popełnił zbrodnię. Chciałem też się pogodzić z pozostałymi członkami rodziny. Przed laty, kiedy wydarzyła się tragedia, oceniłem ich zbyt surowo i zapewne niesprawiedliwie, obarczając częściową odpowiedzialnością za winy Gary'ego. W tym okropnym czasie zbyt pochopnie oceniałem innych ludzi, nie tylko swoich krewnych. Zrozumiałem, że wuj, ciotka i kuzyni nie byli w stanie podołać tej straszliwej sytuacji. Nie prosili Gary'ego, by wszedł w ich świat i wyrócił go do góry nogami, by zamordował sąsiadów, a potem odszedł w blasku samozwańczej chwały. W ciągu tych kilku miesięcy zniszczył życie wielu ludzi. Nadszedł czas, bym sobie przypomniał, że oni też stanowią moją rodzinę.

Wyruszyliśmy osobno. Frank chciał się zatrzymać po drodze i spotkać z przyjaciółmi, ja wolałem jechać tam od razu. Któregoś lipcowego dnia krótko po północy zatrzymałem się w Ogdenie w stanic Utah i zainstalowałem w motelu. Włączyłem telewizor; właśnie nadawali

wiadomości rozpakowując się, usłyszałem głos spikera:

- Egzekucja przebiegła gładko, bez scen i niespodzianek.

Usiadłem na łóżku, osłupiały. To William Andrews, jeden z tych, którzy zasłynęli tutaj jako HiFi Killers (ponieważ męczyli i mordowali swoje ofiary w sklepie ze sprzętem stereo), dostał właśnie śmiertelny zastrzyk. A czekał w kolejce na wykonanie wyroku już w tym samym czasie co Gary. Gdybym wiedział, że planowano tę egzekucję, nie wybrałbym się teraz do Utah. Pod tym względem byłem taki jak moja matka: gdy szykowano egzekucję, uciekałem z domu i kryłem się. Nie mogłem tego znieść.

„No tak, witaj w Utah” - pomyślałem. Znów byłem w domu. Poszedłem do łazienki i zwymiotowałem.

Jeśli dobrze pamiętam, porzygałem się także następnego dnia. Pojechałem do Orem, miasta leżącego w pobliżu miejsca urodzenia matki, i do Provo, na stację benzynową Sinclaira, gdzie Gary popełnił pierwsze zabójstwo. Stara stacja już dawno temu popadła w ruinę, wprowadzono tu teraz samoobsługę, wydzielono kilka stanowisk do tankowania, a kasjera posadzono w osobnej kabinie; były też pokoje do wynajęcia. Ulżyło mi, gdy się zorientowałem, że nie ma już tej umywalni, w której mój brat kazał Maksowi Jensenowi położyć się na podłodze i wpakował mu dwie kule w głowę. Wciąż jednak było to miejsce w jakiś sposób nawiedzone i napiętnowane, nie dało się w nim wytrzymać. Tak jest tam, gdzie jakaś historia dobiegła końca, gdzie przelano krew i odebrano ludziom życie. Siedziałem w wozie, rozglądałem się dokoła, wspominając słowa mamy: „Jak mogłeś to zrobić, Gary? Jak mogłeś to uczynić temu człowiekowi?” Pomyślałem, że dobrze rozumiem, co zniszczyło mojego brata, co sprawiło, że stał się zabójcą, ale wciąż nic potrafiłem przeskoczyć pewnej sceny - wyobrazić sobie, jak ten obcy mężczyzna o miłej twarzy leży na zimnej posadzce i czeka na strzał.

Siedziałem tam i myślałem o tym, i wkrótce nie mogłem już myśleć o niczym innym. Poczulem dawny wstyd, powrócił tamten wstrząs. Pojechałem do Provo, znalazłem miejsce, gdzie podają dobre mocne trunki - co w tym mieście wcale nie było łatwe - a potem wróciłem do motelu porzygałem się.

Dzień lub dwa dni później spotkałem się z Frankiem i poszliśmy odwiedzić wuja Vemona w domu na obrzeżach Provo. Widzieliśmy się też z jego córkami, Brendą i Toni. Ida już nie żyła, Vernon ponownie się ożenił, z miłą i troskliwą mormon - ką. Brenda też straciła małżonka: John zmarł na raka jakiś czas temu, pochowano go przy Idzie na cmentarzu w Provo, niedaleko leżeli moi dziadkowie, George i Alta.

Ta wizyta była dla mnie odkrywaniem ludzi, do których nigdy przedtem nie miałem

okazji się zbliżyć, z którymi me utrzymywałem praktycznie żadnych kontaktów od ostatnich odwiedzin na farmie, kiedy to mama zabrała mnie do Utah na pogrzeb dziadka. Dla Franka te odwiedziny były chyba czymś więcej. On znał ich dobrze. Wychował się wśród nich. Widząc, jak się dogaduje z Brendą i Toni, mógłbym pomyśleć, że to jego siostry. Wszyscy ci ludzie lubili się nawzajem, miło było na to patrzeć.

Wracając potem z Frankiem do Salt Lake City, zabłądziliśmy w Provo i krążyliśmy trochę w kółko, próbując odnaleźć główną ulicę, która wyprowadziłaby nas na autostradę. Zjechałem na bok, żeby spojrzeć na mapę, i po chwili Frank powiedział:

- To tutaj.

Podniosłem wzrok. Nasz samochód stał niemal na wprost City Center Motel, gdzie następnego wieczoru po zabójstwie Maksa Jensena Gary kazał położyć się na podłodze Benowi Bushnellowi i jego także zastrzelił. Przez dłuższy czas siedzieliśmy w milczeniu. Wreszcie zaczerpnąłem powietrza i zapytałem:

- Nie sądzisz, że powinniśmy pójść tam do biura i rozejrzeć się?
- Nie - odparł Frank. - Nie chcę się tam rozglądać.

Odetchnąłem z ulgą.

- Ja też nie - powiedziałem i odjechaliśmy w noc.

Gdy byliśmy w domu wuja Verna, ten odwołał mnie na bok i rzekł:

- Trzymam tu u siebie ubranie Gary'ego. Chciałbym, żebyś coś zobaczył. Rzuciłbyś na to okiem?

Wyjaśniłem, że wołałbym kiedy indziej, bo nie sądzę, żeby to było właściwe w obecności Franka.

Wróciłem tam któregoś wieczoru i udałem się do kuchni. Na stole leżała duża plastikowa torba. Vem wyjął z niej czarną koszulkę bez rękawów, białe spodnie oraz tenisówki z czerwono-białoniebieskimi sznurowadłami i rozłożył to wszystko przede mną. W tym ubraniu Gary zasiadł przed plutonem egzekucyjnym. Spodziewałem się, że będzie okrwawione i podziurawione, ale myliłem się. Plamy krwi zostały starannie wyprane. Sięgnąłem po ubranie brata. Byli tu dla mnie mili i choćby dlatego nie chciałem im robić przykrości. Może tak będzie lepiej.

Vern uniósł koszulkę, pokazując dziury po kulach, które rozdarły materiał i przeszyły serce Gary'ego. Cztery gładkie dziurki, takie, że mógłbyś wetknąć tam palec.

- Spójrz na to - powiedział Vern i wskazał jeszcze jedną dziurę, trochę większą od pozostałych. - To też jest - wyjaśnił - otwór po kuli.

Zgodnie z tradycją Utah, a może również zgodnie z prawem, w plutonie

egzekucyjnym było pięciu ludzi, ale tylko czterech miało strzelby załadowane ostrą amunicją. Dzięki temu zwyczajowi, jeśli któregoś z nich dręczyły wyrzuty sumienia, mógł mieć uzasadnione wątpliwości co do tego, czy to właśnie jego kula zabiła skazańca.

Zatem w koszulce powinny być cztery dziury. A było pięć. Najwyraźniej stan Utah nie dał memu bratu najmniejszej szansy.

Podczas pobytu w Utah nie zapomniałem odwiedzić kuzynki Brendy; poznałem też Jacka, silnego, bystrego uprzejmego faceta, który miał się z nią ożenić. Długo nie zdawałem sobie sprawy, że wszyscy moi bracia kochali się w Brendzie. Była zabawną osobką, praktyczną, na wskroś uczciwą, bardzo pogodną i kochaną. Miała wyrzuty sumienia, że źle oceniła motywy postępowania Gary'ego i nie zapobiegła jego fatalnemu uczynkowi. Brenda go kochała czuła, że jest z nim źle, ale kiedy zaczął zabijać, nie udzieliła mu wsparcia ani ochrony. Rozumiała, że jeśli to zrobi, on dalej będzie zabijał. Dokładnie wiedziałem, co czuła, wiedziałem też, że postąpiła słusznie, mówiąc policji, gdzie mają go szukać.

Ostatniego wieczoru, który spędziłem w Utah, Brenda wręczyła mi zielony słój z zapieczętowaną przykrywką. Patrząc uważnie przez mętną zielonkawą ściankę, można było zobaczyć, co tam jest w środku: kawałki kości, które pozostały po odsianiu popiołów z kremacji.

- Tyle czasu było to u mnie - powiedziała Brenda. - Ale sądzę, że powinno raczej należeć do ciebie.

Miałem teraz wszystko, co pozostało na tym świecie po Garym Marku Gilmore. Jego szczątki były ze mną w moim biurze przez ostatnie kilka miesięcy, kiedy spisywałem tę opowieść.

Nie tylko jednak kości wywiozłem z Utah. Poznałem tam również pewną tajemnicę, która mnie zdruzgotała i z którą długo nie mogłem sobie poradzić.

Wiedziałem o tym już po przesłuchaniu taśm, które mi wypożyczyli Larry Schiller i Norman Mailer. Ciotka Ida powiedziała Schillerowi o czymś, co zdarzyło się dawno temu. Było to w czasie, gdy ojciec znalazł się w więzieniu, a mama zabrała Franka i Gary'ego i pojechała do rodziców, by czekać w ich gospodarstwie na powrót męża. Pewnego dnia pokazywała Idzie jakieś zdjęcia i nagle natknęła się na podobiznę Roberta Ingrama.

- Czyż nie jest to najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziałas? - spytała siostrę. - Szkoda, że mi się nie trafił w odpowiednim czasie. Wiesz, to jest prawdziwy ojciec Franka juniora.

Bessie powiedziała jeszcze Idzie, że miała z Robertem krótki romans zaraz po tym, jak poślubiła mojego ojca. Było to podczas jednego z wyjazdów Franka starszego, gdy zostawił ją

w Sacramento ze swoją matką i synem z poprzedniego związku. Bessie lubiła Roberta, który darzył ją wzajemnością, a dla niego było to też czymś w rodzaju odwetu na ojcu, który kiedyś go porzucił. Bessie nie zamierzała zająć w ciążę, ale gdy do tego doszło, wiedziała, że z łatwością przekona męża, iż dziecko jest jego. Może nie całkiem miała rację, bo ojciec wciąż coś podejrzewał. Tyle że jak na ironię sądził, że to Gary może być synem Roberta, i kto wie, czy nie stąd brała się szczególna niechęć ojca wobec Gary'ego zaciekłość, z jaką go tłukł. Być może dlatego Bessie tak biła Franka, gdy był małym chłopcem. Może za każdym razem, gdy na niego patrzyła, przypominała sobie tamten romans. Może się go wstydziła i winą za wszystko obarczała dziecko. Tak czy inaczej, Franka juniora mama najczęściej karała. Za to, co było między nią a ojcem, zapłacili on i Gary.

Od jakiegoś czasu wiedziałem o wszystkim, ale chciałem się jeszcze co do tego upewnić, wypytując rodzinę w Utah. Nic nie mówiłem Frankowi. Nie wiedziałem, jak mam mu o tym powiedzieć. Uzgodniliśmy, że będziemy się wzajemnie informowali o wszystkim, czego się dowiemy, czy będzie to prawda, czy tylko pogłoski. Przecież wyjawiał mi sprawy, o których trudno mu było mówić. Po wizycie w Utah, kiedy Vern i Brenda potwierdzili tę pogłoskę jako bardzo prawdopodobną i dodali pewne nowe szczegóły, uznałem w końcu, że powiem Frankowi wszystko, co wiem.

Podczas jednej z naszych ostatnich rozmów wspomniałem, że muszę mu coś zdradzić.

Wziął krzesło.

- To jakaś bomba?

Potwierdziłem, że owszem, tak.

Z początku przyjął to spokojnie. Powiedział cicho:

- Słyszałem raz czy dwa, jak tatko insynuował mamie coś takiego. Wrzeszczał na nią, że ona i Robert to zrobili, a on od początku o tym wiedział. Słuchałem tego, ale myślałem, że tylko strzępi sobie gębę, żeby dopiec mamie. Sądzę, że to by wyjaśniało parę spraw. Na przykład dlaczego czułem się tak niepewny emocjonalnie. I chyba także to, dlaczego mama była zawsze w stosunku do mnie taka surowa. Po śmierci taty Gary i Gaylen wciąż popadali w nowe kłopoty, niszczyli ją. A przecież zachowała dla nich swą miłość, również i wtedy. To ja byłem tym, który dostawał w dupę, mimo że tak bardzo chciałem, by była zadowolona, a ona odpłacała mi tylko nienawiścią, niczym więcej.

Urwał i spojrzał na mnie z twarzą stężoną od bólu.

- Więc to by znaczyło, że tatko nie był moim ojcem. Moim ojcem był mój przyrodni brat, a tatko był moim dziadkiem. Ale co bym chciał wiedzieć: skoro ty i ja nie mamy tego samego ojca, czy to oznacza, że już nie jesteś moim bratem?

- Zawsze będę twoim bratem - zapewniłem go - a ty zawsze będziesz moim. To się nie zmieni. Tu nic się nie zmieni. Przykro mi, że ci to powiedziałem. Długo się zastanawiałem, czy powinienem to zrobić. To jedna z najgorszych rzeczy, jakie musiałem ci wyjawić.

Frank opuścił wzrok, próbując powstrzymać łzy.

- Wszystko w naszej rodzinie jest takie spleprzone, że trudno o tym mówić.

Od tej ostatniej rozmowy nie spotkałem już Franka. Musiałem wracać do Los Angeles, by dokończyć pracę, a on wolał zostać w Portlandzie. Czasami rozmawialiśmy przez telefon, ale rzadko, Frank nie miał telefonu. Pisywaliśmy do siebie od czasu do czasu, owszem. W sztuce korespondencji Frank znacznie mnie prześcignął.



LIST Z DOMU

## ROZDZIAŁ 4

Niedawno dostałem od niego list, w którym usiłował mi wyłożyć pewne sprawy rodzinne, nigdy dotąd nieporusza - ne. Wciąż wracam do tego listu.

Oto co pisze Frank:

Zanim się urodziłeś, w czasach gdy mieszkaliśmy na Crystal Springs Boulevard, chodziliśmy z Garym do pobliskiej szkoły. Do dziś myślę o niej z niechęcią, ponieważ kojarzy mi się ze śmiercią kolegi, który zginął, przebiegając przez ulicę Flavel.

Miał na imię Paul, szedł ze swoim ojcem. Nagle zobaczyłem, jak biegnie na drugą stronę ulicy i w chwilę potem uderza go jakiś wielki czarny samochód. Pamiętam jeszcze, jak przeraził się ojciec Paula i jak sobie uprzytomniłem, że zapomniałem odebrać brata ze szkoły. Miał wrócić ze mną do domu, ale jakoś o nim zapomniałem, sam nie wiem dlaczego.

Widok Paula, który wpadł pod samochód, bardzo mną wstrząsnął i sprawił, że straciłem głowę. Myślałem, że to może był Gary. Biegłem przez całą drogę do szkoły,



wrzeszcząc, że mój brat został zabity przez samochód. Pamiętam, jak jakaś pani o ciemnych włosach stała przed swoim domem i patrzyła na mnie ze smutkiem. Znalazłem Gary'ego, lecz wciąż byłem rozstrojony. Powiedziałem mu, co się stało, razem wróciliśmy do domu. Opowiedziałem o wszystkim mamie. Tylko spojrzała na mnie z obrzydzeniem.

- Idź pomóc przy obiedzie - rzekła. - I nie zapominaj na drugi raz o swoim bracie.

Nauczyłem się wtedy, że jeśli mam jakieś zmartwienie, nigdy nie powinienem mówić o nim rodzicom...

Gary i ja dostarczaliśmy wtedy gazety, mieliśmy swoje stałe szlaki. Trwało to jakiś czas, a potem Gary się znudził zamiast dostarczać gazety do domów, po prostu je rozrzucał. To był już koniec jego pracy, wylano go i pamiętam, że tatko strasznie się tym zdenerwował, okropnie bił Gary'ego, trwało to bardzo długo. Żaden z nas, dzieciaków, nie był doskonały. Ale biednemu Gary'emu chyba najwięcej brakowało do ideału...

Mój brat Mikal pojawił się w naszym życiu, gdy mieszkaliśmy na Crystal Springs Boulevard. To było jeszcze przed przeprowadzką do Utah. Gary i ja słuchaliśmy właśnie radia, gdy zadzwonił telefon. Tatko chwycił słuchawkę. Po chwili wpadł do pokoju i oznajmił:

- No dobra, chłopaki, nie wiem, co wy na to, ale macie nowego braciszka.

Byliśmy z Garym już na tyle duzi, że orientowaliśmy się, iż dziecko jest w drodze, nie było to dla nas żadną niespodzianką, ale obaj bardzo się ucieszyliśmy.

Pamiętam, jak parę dni później maszerowaliśmy Dwudziestą Trzecią Aleją w północnozachodnim Portlandzie, żeby odebrać Mamę i naszego nowego braciszka, Mikala. Pamiętam, że dziecko było o wiele mniejsze, niż się spodziewałem, pomarszczone jak suszona śliwka, ale od razu mi się spodobało. A tatko miał wreszcie kogoś, kogo mógł naprawdę kochać. Rzeczywiście kochał Mikala, tak jak ja. Pamiętam, jak pewnego razu Mikal był niezdrów i tatko wezwał doktora. I jaki był szczęśliwy, kiedy przyszedł doktor i powiedział, że to nic takiego. Mikal był przecież maskotką całej rodziny. Doktor uparł się jednak, że musi mu zrobić zastrzyk. Tak się tym zdenerwowałem, że wyszedłem, by tego nie widzieć.

Pamiętam też, że Mikal miał takie łóżeczko z wysokimi barierkami, żeby nie wypadł. I tylko ja mogłem go stamtąd wyjmować. Ilekroć mnie ujrzał, bardzo się cieszył i podchodził do barierki, żeby go wyjąć. Jak tylko go podniosłem, przebierał nóżkami, robiąc chyba milion mil na minutę. A kiedy sięgnął podłogi, szurszur, i już go nie było. To znaczy: w mig było go pełno w całym domu. Jakby chciał, żeby każdy widział, że jest wolny.

## EPILOG



Minęło już życie, z nim plany dążenia mojego serca.

Noc chcę zamienić na dzień:

„światłość jest bliżej niż ciemność”. Mam ufać? Szeol mym domem, w ciemności rozłożę swe łoże, grobowi powiem: Mój ojciec, matko ma, siostró - robactwo. Właściwie, po cóż nadzieja, kto przedmiot ufności zobaczy?

Czy zejdziesz do królestwa Szeolu?

Czy razem do ziemi pójdziemy?

Księga Hioba, 17, 11-16

## PROCE

*Ostatni sen.*

*Przyszedłem na rozprawę. Gary'ego. Jesteśmy w małej, lecz dostojnej sali sądu stanu Utah; wokół pełno groźnych, bezlitosnych twarzy. To sędziowie. Pytają Gary'ego - który w tym śnie, jak w prawdziwym życiu, prosi o wyrok śmierci - dlaczego popełnił swe zbrodnie, dlaczego był tak gwałtowny. Wydaje się stropiony tymi pytaniami, nie ma ochoty się bronić. Należę do grupy jego obrońców - zarówno jako rzecznik obrony, jak i świadek - i kreślę notkę do adwokata. „Mogę powiedzieć prawdę o tych wydarzeniach - piszę. - Proszę powołać mnie na świadka”.*

*Podchodzę i składam zeznania, które - jak uważam - są istotne, dla sprawy. Opowiadam o laniu, jakie Gary obrywał w dzieciństwie, o tym, jak musiał patrzeć, gdy maltretowano jego matkę, jak tysiące razy porzucano go i wykorzystywano.*

*Nikt nie odnosi się poważnie do tego, co wyjawilem. Sam Gary wzdryga tylko ramionami. Sędziowie uznają moje zeznanie za niezynoszące nic do sprawy.*

- *To, co się stało w dzieciństwie, nie rozgrzesza tego człowieka mózui jeden z nich.*

*Ale potem logika snu, a przynajmniej logika postępowania sędziezu, zostaje dziwnie zachwiana. Gdy dozuiadują się, że Gary ma ciemnowłosą córeczkę w wieku około trzech lat, uznają, iż dziewczynka nosi na sobie piętno jego zbrodni. Jeśli Gary chce umrzeć - ośzuiadczać - dziecko musi umrzeć razem z nim. Gary przyjmuje wyrok.*

*Jestem tak zuściekły z powodu tego orzeczenia, że zuybiegam z sali rozpraw. Każdego, kogo napotykam, usiłuję przekonać o nie - sprazuiedlizuości sądu, o okrucieństwie i szkodlizuości takiego wyroku. Ale nikt się tym zbytnio nie przejmuje. Gary godzi się pokryć koszty egzekucji dziecka.*

*Przestaję się martzić o los brata. Chcę uratować to dziecko. Walczę o jego życie do ostatniej chzuiili, póki ktoś nie podchodzi do mnie, gdy stoję w mroku przed więzieniem, i nie mózui:*

- *Dziecko nie żyje.*

*Gdy to słyszę, ogarnia mnie ogromny, druzgoczący żal. Nie mogę uwierzyć zu to, co się stało. Nie jestem zu stanie wyobrazić sobie dalszego życia ani przeboleć takiej straty. Nie mogę przecież żyć ze szuiadomością czegoś lak okropnego.*

ICiedy się obudziłem, poczułem przeszywający wnętrzości, ostry ból. Zdałem sobie sprawę, że płaczę. Leżałem tak, szlochając w ciemności, i choć wiedziałem, że naprawdę żadne dziecko nie zostało zgładzone, nie mogłem przestać płakać. Czułem się tak, jakbym rzeczywiście coś stracił, czułem, że nie mogę z tym dalej żyć.

Wstałem i spojrzałem na zegar. Była czwarta trzydzieści nad ranem. Poszedłem do kuchni nalać sobie szklankę whisky. Wróciłem do pokoju i usiadłem na łóżku. Długo siedziałem niemal bez ruchu. Dopilem whisky, wślizgnąłem się pod kołdrę i przykryłem głowę poduszką, by nie oglądać tego straszliwego porannego światła, którego tak nienawidzę. Zwinąłem się w kłębek i powiedziałem sobie:

- *Nigdy już nie będzie dobrze. Nigdy. Nigdy nie będzie dobrze.*

Powtarzałem to sobie w kółko, aż znalazłem w tych słowach ukojenie i wreszcie zasnąłem.

## PODZIĘKOWANIA

Wiele osób pomagało mi w trakcie zbierania materiałów powstawania tej relacji.

Najwięcej zawdzięczam mojemu bratu, Frankowi Gil - more'owi juniorowi oraz Lawrence'owi Schillerowi i Normanowi Mailerowi.

Kiedy pod koniec 1991 roku, po dziesięciu latach milczenia i braku wzajemnych

kontaktów, poszukiwałem brata, nie miałem pojęcia, w jakim stanie umysłu i serca go znajdę, nie wiedziałem, jak przyjmie pomysł książki o przeszłości naszej rodziny, gdyż mogło się wydawać, że tak wiele nas dzieli. I choć Frank miał obawy przed odgrzebywaniem przeszłości i podawaniem do wiadomości publicznej tych niemiłych faktów, okazał się niezwykle pomocny, dzieląc się ze mną wszystkim, co wiedział o tej zagmatwanej historii. W końcu nagrałem z nim około stu godzin wywiadu - jeśli można tym słowem określić intymną rozmowę dwóch braci - a w trakcie tych spotkań musiałem znacznie zmienić własny osąd relacjonowanych wydarzeń. Frank nie zamierzał nikogo z naszej rodziny potępiać ani usprawiedliwiać, z samym sobą włącznie. Chciał po prostu opowiedzieć wszystko tak szczerze i bezstronnie, jak to zapamiętał. Wciąż mnie zdumiewała świeżość żywych, szczegółowych wspomnień Franka, pozostawałem pod wrażeniem jego głębokich i bezpretensjonalnych opowieści.

Książkę zadedykowałem Frankowi, to mu się należy. Bez jego pomocy te opowieści nie miałyby charakteru, nie byłyby tak wyraziste i nie nabrałyby takiego znaczenia. Co ważniejsze, bez jego zaangażowania nie mógłbym odzyskać tego ostatniego przyczółka rodziny, którego zresztą nigdy nie utraciłem. Jestem szczęśliwy i dumny, że mam takiego brata.

Wkład Schillera i Mailera był także ogromny, i to tym większy, że niespodziewany. W 1977 roku, kiedy Schiller przeprowadzał wywiady, zbierał i opracowywał materiały do książki Mailera *Pieśń kata*, kilkakrotnie się ze mną kontaktował, pytając, czy nie zgodziłbym się na wywiad. Niezmiennie odrzucałem te zaproszenia, i chyba nie zawsze uprzejmie. Czyniłem to po części z powodów już tutaj wspomnianych: moje kontakty z Larrym w tygodniu spędzonym w Utah przed egzekucją Gary'ego nie były najlepsze i prawdę mówiąc, czułem do niego urazę. (W istocie nie potrafiłem jeszcze stawić czoła źródłom tej tragedii). Potem, kiedy przeczytałem gotową książkę, byłem pod jej wielkim wrażeniem. Mailer umiał opowiedzieć tę złożoną i niepokojącą historię bez natrętnego narzucania własnego punktu widzenia, a Schiller zebrał i opracował materiał z niezwykłą rzetelnością. A kiedy zrealizował filmową wersję książki, zaprosił mnie na pierwsze projekcje i udzielił mi wywiadu w związku z moim tekstem ofilmie dla magazynu „Rolling Stone”. Poniekąd więc żałowałem swojego wcześniejszego uporu, który kazał mi odmówić współpracy, gdy powstawała *Pieśń kata* - przyjmując teraz pomoc Schillera, wstydziłem się własnego grubiaństwa sprzed lat. Okazało się, że zacząłem go szanować, wbrew temu, co poprzednio o nim sądziłem; Schiller wykorzystał zebrany materiał, trzymając się prawdy i nie przekraczając miary przyzwoitości. Razem z Mailerem stworzyli naprawdę monumentalne dzieło.

Jesienią 1991 roku, gdy zwierzyłem się Schillerowi z trudności, które nie pozwalały mi dotrzeć do bardziej ukrytych aspektów mojej rodzinnej historii, ten spontanicznie zaproponował, że pożyczy mi oryginalne nagrania magnetofonowe rozmów, które przeprowadził z Garym i moją mamą. Sądził, że odsłuchiwanie tych autentycznych materiałów pobudzi moje emocje do tego stopnia, że będę mógł wyjaśnić kilka dręczących mnie zagadek. Oczywiście, byłem bardzo zakłopotany tą wspaniałomyślnością - w końcu konsekwentnie odmawiałem wszelkiej pomocy, o którą prosili Schiller

i Mailer - nie na tyle jednak, by nie skorzystać z szansy. Same głosy matki i brata usłyszane po upływie kilku lat, podobnie jak zdumiewające opowieści Franka, nie tylko zmieniły mój sposób myślenia i odczuwania względem ludzi, do których usiłowałem dotrzeć, ale także pogłębiły mój związek z nimi. Nie ma potrzeby dodawać, że mając dostęp do tych taśm, mogłem zebrać bardzo istotne szczegóły i relacje; w swojej książce kilkakrotnie miałem przyjemność wyrazić wdzięczność za to dobrodziejstwo. (O ile to było możliwe, starałem się nie powtarzać tych wątków, które zostały wyczerpująco przedstawione w dziele Mailera, jakkolwiek nie udało mi się uniknąć podobnych ujęć. Tak więc ci, którzy oczekują bardziej precyzyjnego i rzeczowego opisu nieszczęsnych uczynków Gary'ego w Utah, powinni raczej sięgnąć po *Pieśń kata*; opowiada się w niej, i to rewelacyjnie, nieco inną historię niż ta, którą ja się zajmuję).

Schiller i Mailer, a także asystentka tego ostatniego, Judith McNally, wykazywali nadzwyczajną cierpliwość, gdy wielokrotnie do nich dzwoniłem i pisałem, prosząc o wskazówki i podpowiedzi, które pozwoliłyby mi rozszyfrować rozmaite kłopotliwe tajemnice z przeszłości moich rodziców. Pomagali mi w miarę swoich możliwości, ale niekiedy byli w kropce, podobnie jak ja.

- To są te same pytania, które myśmy sobie zadawali - powiedział mi kiedyś Mailer.

W końcu wiele z tych pytań pozostało bez odpowiedzi. Ojciec i mama zadali sobie sporo trudu, by zatrzeć ślady. Jakkolwiek to były tajemnice, Frank i Bessie Gilmore'owie zabrali je ze sobą do grobu. Wątpię, czy mnie by się coś takiego udało.

Wielu mi pomagało w tej nużącej i uporczywej pracy, jaką było badanie odległej przeszłości naszej rodzinnej historii. Paula Jean Brown, Jennifer KrieghLobianco, Jim Redden, Sheila Rogers, Neil Thompson i Ewa Wojdak niestrudzenie przedzierali się wraz ze mną przez stosy akt i zapisków, całą tę stanową i państwową biurokrację, żeby znaleźć istotne dane.

Karen Essex redagowała, czytywała i opatrywała przypisami moje wywiady z

Frankiem. Jej uwagi i spostrzeżenia były zawsze bardzo trafne i cenne; pozwalały mi nieraz inaczej spojrzeć na relacje Franka.

Oprócz niego wspomnieniami o różnych ludziach i zdarzeniach z przeszłości mojej rodziny podzielili się ze mną: Steve Bekins, Craig Esplin, Duane Fulmer, Tom Lyden, Grace McGinnis, Robert Moody, Larry Olstad, Rich Parker, Norm Rieter i Roger Shirley. Naturalnie rozmawiałem z jeszcze innymi osobami, ale z różnych względów nie mogę tu wymienić ich nazwisk. Dziękuję im wszystkim za wspomnienia i 7.a czas, jaki zechcieli mi poświęcić.

Jeszcze nim wziąłem się do pisania, wiele osób zachęcało mnie do realizacji tego pomysłu, oferując pomoc. Wśród nich: Nancy Clark, James Ellroy, Karen ITall i Victoria Williams. Moja przyjaciółka, Helen Knode, podpowiedziała mi tytuł. Od razu zauważyłem, jak bard/o jest trafny. Teraz, po dwóch latach, zdaję sobie sprawę, na ile pomógł mi on ukształtować tę opowieść.

Kilka lat temu pisałem w „Rolling Stonie” o wydarzeniach związanych z egzekucją brata i o filmowej wersji jego życia. Spore fragmenty tych artykułów znalazły się w nieco zmienionej postaci w części piątej, zatytułowanej *Kromka krwi*. Chciałbym tu podziękować następującym dawnym i obecnym pracownikom „Rolling Stone’a”, którzy pomagali mi ponownie zredagować te teksty: Barbarze Downey, Benowi FongTorre sowi, Jamesowi Henkemu, Sarah Lazin, Terry’emu McDonnel - lowi, Susan Murcko, Steve’owi Pondowi, Bobowi Wallace’owi

i Jann Wenner.

„Rolling Stone” pomagał mi przezwycięzać kłopoty, gdy byłem już tak zniechęcony, że chciałem po prostu zniknąć. Pragnę wyrazić podziękowanie wszystkim osobom, z którymi współpracowałem w tym magazynie, za ich niezmierną cierpliwość i wsparcie, jakiego mi udzielali.

Chciałbym również podziękować następującym osobom: Lee Youngman za jej podróż do Zakładu McLarena i wnikliwe uwagi o przemocy wśród młodzieży; Charlesowi Crookhamowi i Jeffowi Van Valkenburghowi z biura Prokuratury Generalnej Stanu Oregon oraz Robey D. Eldridge z Zarządu Więziennictwa Stanu Oregon za pomoc w dotarciu do więziennych zapisków lekarskich i psychiatrycznych dotyczących Gary’ego; doktorowi Williamowi Druckerowi za podzielenie się ze mną swoją wiedzą o złożonych sprawach związanych ze stosowaniem leków antypsychogen - nych; firmie David Copperfield and Kreskin za pomoc w dotarciu do prawdy kryjącej się za pogłoskami dotyczącymi Houdiniego; L. Kay Gillespie z Uniwersytetu Stanowego Webera w Utah za pomoc w zrozumieniu znaczenia kary śmierci w tradycji mormonów z tego stanu (Gillespie jest autorką nieocenionej

pozycji, zatytułowanej *The Unforgiven: Utah's Executed Men*); Harry'emu Crewsowi za jego przerażającą powieść *Fathers, Sons, Blood*, z której zaczerpnąłem tytuł piątej części swojej książki, jak również za cytaty z Goethego, którego sam bym pewnie nie znalazł; oraz Virginii Campbell, Katherine Dunn, Steve'owi Erickso - nowi, Neilowi Gaimanowi, doktorowi Leonardowi Lewen - steinowi, Bernadette Megowan, Shannon Riske, doktorowi Larry'emu Ryanowi i Michaelowi Suggowi za wiele nieocenionych godzin rozmów, porad i nieoczekiwanych punktów widzenia. Chcę wreszcie podziękować Alanowi Pakuli za to, że natchnął mnie wiarą w powodzenie tego przedsięwzięcia.

Nieocenioną pomoc osobistą okazali mi także: moi kuzyni z Nowego Jorku, Peter Lancton i jego nieżyjący już ojciec, Clarence Lancton, którzy uzupełnili historię mojej babki, Fay; a w Utah wuj Vernon Damico i jego córki (a moje kuzynki), Brenda Wagstaff i Toni Gurney. Vern, Brenda i Toni nie skąpili mi czasu ani wspomnień - które nieraz musiały być dla nich bardzo bolesne - a także miłości na tej ziemi, której nauczono mnie nienawidzić. Szczególne podziękowania należą się Nicole Barrett. Udzieliła mi ogromnej pomocy i okazała zrozumienie w trudnym okresie swego życia, jej przyjaźń okazała się naprawdę niezastąpiona. Dzięki ci, Nicole, za to, że tak dzielnie zniosłaś wszystkie te kłopoty i złe wspomnienia. Jestem ci winien uczucie, i jeszcze więcej.

Chciałbym na koniec podziękować mojemu wydawcy, Davidowi Gernertowi, i jego asystentce, Amy Williams, oraz swemu agentowi, Richardowi Pinc'owi. Wszyscy oni byli bardzo cierpliwi i wyrozumiali, wykraczając poza zakres swoich obowiązków. Szczególne podziękowania jestem winien Richardowi, za jego cierpliwość i dodawanie mi otuchy w ciągu tych kilku niełatwych lat, pełnych falstartów. Bez jego niezachwianej wiary w moje zdolności ta książka z pewnością by się nie ukazała.

Prace przygotowawcze rozpocząłem w październiku 1991 roku w Portlandzie, a ukończyłem je w Los Angeles w styczniu 1993 roku. Samo pisanie zajęło mi okres od lutego do października 1993 roku.